

PRZEGLĄD POLSKI.

ROK XIV.

Kwartał IV.

(Kwiecień, Maj, Czerwiec).

Ogólnego zbioru tom 56.

(Zeszyty od 166 do 168).



W KRAKOWIE,
CZCIONKAMI DRUKARNI »CZASU»
pod zarządem J. Zakocińskiego.
1880.

SPIS RZECZY

zawartych w tomie IV. rocznika XIV.

	str.
Literatura Poznańska w pierwszej połowie bieżącego stulecia, przez Seweryna Przerowę	3, 191, 325
Julian Klaczko. Wieczory Florenckie. II. Beatrice i Poezya Miłości. III. Dante i Katolicyzm. IV. Tragedya Dantego. Przekład Stanisława Tarnowskiego	28, 205, 362
Na Południu i na Północy. Nowella (dokończenie), przez Zygmunta Przybylskiego	81
Homer, Schliemann i Mykeny. Wspomnienia z podróży do Grecyi, przez Lud. Ćwiklińskiego.	113
Erudycya Trembeckiego, przez Stanisława Tomkowiecza	159
Podróże Nordenskjölda w okolicach biegunowych, przez Ludwika Dziedzickiego	238
Szkice z podróży do południowej Afryki, odbytej w latach 1875—1876. IX. <i>Chłopska Rzeczpospolita czyli kraj Oranje</i> , przez Ant. Rehmana	262
Jubileusz Długosza (Odezwa Akademii Umiejętności)	288
Odrodzenie i Reformacya w Polsce. Pięć prelekcij publicznych Józefa Szujskiego	406
Kwestya polska w Literaturze rosyjskiej. (Sprawozdanie z artykułu profesora Uniwersytetu petersburskiego <i>A. Pypina</i>), przez L. Kozłowskiego	426

	str.
Obchód w rocznicę śmierci Długosza i Zjazd historyczny w Krakowie, przez Dr...skiego	444
Przegląd literacki, przez Hugona Zatheya. <i>Adama Asnyka</i> „Przyjaciele Hioba“	467
Nowe książki	293
Przegląd polityczny, przez Al. Szukiewicza i przez Józefa Szujskiego	142, 303, 473
Wspomnienia pośmiertne: Adam Żółtowski, Jan Działyń- ski, Bronisław Dąbrowski i Anna z Treuttlerów Ludwikowa Helelowa, przez Stanisława Tar- nowskiego	155, 320

LITERATURA POZNAŃSKA

W PIERWSZEJ POŁOWIE BIEŻĄCEGO STULECIA.

(Ciąg dalszy).

IV.

Zwróćmy się z kolei rzeczy do innych działów ówczesnej literatury poznańskiej a zacznijmy od najobficiej po publicystyce w Poznańskim naówczas uprawianego, od *historji*. Względ, by w naszym opowiadaniu nie spaść na poziom prostego bibliograficznego spisu, względ niemniej, że w *tej* dziedzinie nie omieszkało odbić się charakterystycznie swemi wrażeniami i wpływami ówczesne *życie*, powoduje nas do streszczenia i zgrupowania naszego szkicu około co wybitniejszych w Poznańskim na polu nauki i pracy dziejowej osobistości. Pierwszą postacią, jaka się po roku 1815 na widowni poznańskiej pod tym względem przedstawia, jest znany nam już z powyższego opowiadania Edward hr. Raczyński z Rogalina. Wspomnieliśmy już wyżej o założeniu przezeń *Biblioteki Raczyńskich* w Poznaniu, wspomnieliśmy dalej o jego *Podróży do Turcyi*, o *Listach Jana III z czasu wyprawy Wiedeńskiej*. Na *tem* tu miejscu wypadnie nam szersze nieco tej pamiętnej, oryginalnej osobistości poświęcić wspomnienie.

Wskazaliśmy już wyżej różnicę między konserwatyzmem *jego* a konserwatyzmem Marcinkowskiego. Marcinkowski był konserwatystą ludowym, Raczyński nie zapierającym się swej idei arystokratą, przypominającym tem lepiej może Henryka *Komedyi Neboskiej*, że podobnie, jak on, opuszczony, politycznie przynajmniej, na swej obronnej baszcie, *nawet* przez swoich. Otóż co stanowi pośród ówczesnych usposobień społeczeństwa poznańskiego *jego*, społeczeństwa nieszczęście, co tłómaczy zarazem *jego*, Raczyńskiego, osamotnienie. Głęboka tragika zawodu tego niepospolitego, choćby nawet w swej excentryczności człowieka, przejmując tem większym żalem, że widzieć w nim przez całe życie szczerego, gorącego, skłóconego tylko z wołaniami i prądami chwili patriotę. Być może, iż tyle użyteczna, na tak rozmaitych pojawiająca się polach działalność jego nie była wolną od lekkiej przymieszki niewinnej doprawdy, bardzo wybaczenia godnej próżności. Mniejsza jednakże o to. Jakże chętnie darowalibyśmy innym panom polskim całe góry próżności za połowę choćby tylko Raczyńskiego pracy i zasług! Nieszczęściem, błędem akeyi któregoś z odzywających się naówczas kierunków pozostanie, że osobistości, jak Raczyńskiego, pozostawiały na uboczu a jeśli która, to z pewnością jego postać jest jednym z przekonujących dowodów praktycznej użyteczności nauki i doświadczeń dziejowych dla przyszłych generacji. Niechaj *nasza* generacya na przykładzie takiego Raczyńskiego uczy się, jak zużytkowywać w naszym położeniu tego rodzaju osobistości, choćby nawet *bez* dobrodziejstwa inwentarza wszelkich ich przywar, błędów czy dziwactw. Czy to upomnienie się śmiało r. 1831 o wywiezione z Warszawy zbiory Towarzystwa Przyjaciół Nauk, czy to pomnikowe wystąpienie i upomnienie się podczas koronacji króla Fryderyka Wilhelma IV w Królewcu r. 1840 o prawa Polaków W. Księstwa Poznańskiego, czy to opieka rozciągnięta nad Niemcewiczem, czy to owo wołanie do Mickiewicza: „Pisz co chcesz, wszystko co chcesz, byle po polsku; będę twoim wydawcą!“, czy to założenie biblioteki swego imienia w Poznaniu, wszystko to dowodzi, jak zapewne wymowniej trudno, czem Raczyński był, czemu żywot swój poświęcał, w czem pokładał ambicję. Jedną ze specjalności jego patriotyzmu była działalność na polu dzie-

jowem. Działalność owa objawia się przede wszystkim, długo jeszcze przed rokiem 1830, przez systematyczne zbieranie drukowanych i niedrukowanych, archiwalnych, co rzadkością naówczas, źródeł do dziejów polskich. Nie mówiąc już o *Bibliotece Raczyńskich*, która faktem swego istnienia prawdy naszego twierdzenia dowodzi, pozostaną wymowniejszem może jeszcze jej stwierdzeniem prywatne jego zbiory w Rogalinie, gdzie do dziś dnia znajdują się nieużytkowane jeszcze w znacznej części, ciekawe do dziejów XVII i XVIII mianowicie wieku materyały z archiwów berlińskich, paryskich i naszych krajowych. Rzecz naturalna, iż *nasz* przedmiot interesuje głównie działalność jego, objawiająca się bądź to w wydawnictwach owych materyałów, bądź w samodzielnych opracowaniach. Pod *tym* względem jest, skoro się rozpatrzymy w naszej historyografii pierwszej połowy bieżącego stulecia, czynność jego i zabiegłość wielkiego uznania godną. Drukarnie warszawskie, poznańskie, wrocławskie niekiedy, zasypane literalnie jego wydawnictwami. Szereg ich, jak już wspomnieliśmy wyżej, rozpoczynają wydane w Warszawie roku 1823 *Listy Jan. III*. Potem przychodzi kolej na Poznań, a jedyna obawa tylko, aby w lustracyi jego wydawnictw, przy ogromnej ich liczbie nie opuścić może wielu zasługujących na wzmiankę i uwagę. Dość wspomnieć tylko dział literatury pamiętnikowej i zacząć od niej przegląd tej równie naukowo zabiegłej, jak piętannie kosztownej działalności. Edwardowi Raczyńskiemu zawdzięczamy nasamprzód pierwsze wydanie (w Poznaniu r. 1836) niezrównanych w swoim rodzaju *Pamiętników Paska*. Po za niemi idą w r. 1838 równie po raz pierwszy wydane z rękopismu *Pamiętniki Erazma Otwinowskiego*, ów najobszerniejszy polski materyał do *całości* dziejów panowania Augusta II, którego lepiej scharakteryzować nam niepodobna, jak nazywając go niezrównanym barometrem opinii szlacheckiej za rządów pierwszego Sasa w Polsce. Tuż obok *Pamiętników Otwinowskiego* w r. 1839 ukazują się w Poznaniu *Pamiętniki księcia Stanisława Albrechta Radziwiłła*, tyle ważny, tyle ciekawy przez stanowisko autora przyczynek do dziejów Zygmunta III, Władysława IV i pierwszych lat panowania Jana Kazimierza. Któż z obeznanych choćby najpowierzelowniej z materyałami historycznymi

do dziejów Polski XVIII w. nie zna *Pamiętników księdza Kito-wicza*? I one zawdzięczają swe całkowite wydanie w latach od 1840 do 1845 Edwardowi Raczyńskiemu. Długi, kilkunastu-tomowy szereg publikacyi, noszącej tytuł *Obraz Polaków i Polski w końcu XVII i w XVIII wieku*, zawierający dro-gocenne materyały do historyi Augusta II, Augusta III i Stanisława Augusta, wydany również jego nakładem w Po-znaniu w ciągu roku 1840. W r. 1840 wydaje z niedruko-wanego nigdy rękopismu *Pamiętniki Pstrokońskiego kano-nika katedry Gnieźnieńskiej*, do dziejów XVII wieku, krótko przedtem (w Poznaniu r. 1839) *Pamiętniki generała Dąbrow-skiego* o jego tyle zaszczytnej dla oręża polskiego wyprawie w r. 1794 do Wielkiej Polski; w roku 1840 również w Po-znaniu dwutomowe *Dzieje panowania Jana Kazimierza*, będące właściwie przekładem pierwszych trzech Klimakterów Wespazjana Kochowskiego. W dwa lata później (1842) wy-chodzi jego nakładem polski przekład krzyżackiej *Kroniki Wiganda* z Marburga z XIV wieku; w roku 1843 *dzieła Tadeusza Czackiego*; w roku następnym dwa tomy ważnego do dziejów panowania Jana Kazimierza materyału pod tytu-łem *Portofolio królowej Maryi Ludwiki*; nieco później *Do-kumenta do historyi powstania Kościuszki*. Nie wyliczamy wszystkich jego wydawnictw i nie mamy też tego zamiaru. Do dokładności katalogu i bibliograficznego spisu opowia-danie nasze nie ma pretensyi a wyszczególnione powyżej wydawnictwa wystarczą zapewne do stwierdzenia prawdy, jak dalece niestrudzoną, jak dalece nie dającą sobie ani jednej chwili wytchnienia, była jego na tem polu działal-ność, jak ogarniała, jak ogarnąć się starała najróżnoro-dniejsze ustępy dziejowej naszej przeszłości. Niechaj nadto będzie raz jeszcze dowodem, jak ją cenił i kochał ten, co dla niej tyle czynił... Nie ograniczając się na czynności wy-łącznie wydawniczej tylko, składa również Edward Raczyński dowody swej działalności bądźto w opracowaniach, bądź w pracach samodzielnych. Do rzędu pierwszych zaliczamy jego łaciński *Kodex dyplomatyczny* W. Księstwa Litewskiego z r. 1845, poprzednio (1838) *Gabinet medalów polskich*; do rzędu drugich dwutomowe, ozdobione przepysznymi rycinami historycznych miejscowości wielkopolskich, wydane w roku

1842 w Poznaniu *Wspomnienia Wielkopolskie*, rodzaj przedsięwzięcia literackiego, jakie widzieliśmy urzeczywistnionem w wydawnictwie *de la France pittoresque*, ze szczególnem przecież tylko uwzględnieniem przeszłości... Krótkie słowo wypada nam teraz powiedzieć o stanowisku i tendencji historycznej Raczyńskiego, o ile miał sposobności i możności dać jej wyraz, a mógł ją mieć naturalnie rzadko w działalności swej głównie wydawniczej. Dzieje się to przecież tu i owdzie w zamieszczonych na wstępie własnego pióra *przedmowach*, które na jego usposobienie i kierunek pod tym względem objaśniające rzucają światło. Przedmowy takie, czy to do *Historji panowania Jana Kazimierza*, czy to do *Pamiętników Otwinowskiego*, nie wspominając innych, charakteryzują Raczyńskiego więcej może jako doktrynera historycznego, aniżeli jako prawdziwego, wnikającego w ducha przeszłości narodu i jego instytucyj znawcę dziejów polskich. Jak są i jak mieliśmy w historyografii naszej doktrynerów republikańskich, tak Raczyński, o ile objawia samodzielnie myśl historyczną, jest niezaprzeczenie doktrynerem szkoły monarchicznej. Lubomirski nie może mieć słuszności przeciw Janowi Kazimierzowi, szlachta nie może mieć nigdy racji przeciw choćby nawet Augustowi II. Niechaj podobne przykłady wskazują, jakiemby było stanowisko Raczyńskiego, gdyby był występował na polu historyi polskiej w charakterze samodzielnego pisarza; jak jednostronnym, jak spaczonym sądom byłoby pod piórem jego uległo ocenienie różnych chwil przeszłości naszej. Na szczęście dla swej naukowej sławy i dla dziejowej prawdy, ograniczał się na właściwsze sobie pole *wydawnictwa*, gdzie, jak już wyżej powiedziano, położył nieśpożyte zasługi, tem ważniejsze dla Poznańskiego, że w chwili tej swojej działalności nie znajduje odpowiedniego sobie współzawodnika. Tytus Działyński, powrócony dopiero Poznańskiemu w skutek amnestyi króla Fryderyka Wilhelma IV z roku 1840, zaczął naówczas gromadzić i porządkować swe drogocenne, ale dla użytku publiczności jeszcze do dziś dnia nie otwarte zbiory *Biblioteki Kurnickiej*. *Wydawnictwa* zaś jego, mianowicie monumentalna dla dziejów XVI wieku publikacya *Aktów Tomicyanów* i *Źródłopisma do dziejów Unii*, nie mówiąc o innych niemniej ważnych treścią, lecz

skromniejszych objętością, datują się z późniejszej epoki... Wracając do osoby i działalności Edwarda Raczyńskiego, oddając należne uznanie jego wydawniczej czynności, jego wspieraniu czasopiśmiennictwa, nie możemy przepomnieć jego najważniejszej zasługi około dziejopisarstwa naszego w Poznaniu przez dostarczenie temuż właśnie zakątkowi kraju osobnego historyka w osobie *Józefa Łukaszewicza*. Bez przesady można powiedzieć, że Edward Raczyński był moralnym rodzicem Józefa Łukaszewicza w jego dziejopisarskiej czynności i na jego dziejopisarskim stanowisku. Obdarzył go urzędem naczelnego zawiadowcy *Biblioteki Raczyńskich*, wprowadził go w bezpośrednią styczność z materiałami dziejowymi, wysyłał go do archiwów miejscowych i zagranicznych, używał do swoich wydawnictw, wspierał jego publicystyczne i naukowe przedsięwzięcia. Znamy już Józefa Łukaszewicza jako publicystę, staraliśmy się ocenić jego przymioty i błędy w tej właśnie części literackiego i naukowego zawodu. Osobiście i zewnętrznie żywe przeciwieństwo Libelta. Pewien kwas i pewna profesorska zarozumiałość, chwalebna konsekwencya w karceniu grzechów przeciw czystości i poprawności języka, obok pewnej umyślnej może ciasnoty poglądów na ludzi i wyobrażenia otaczającego świata; uszczypliwość i surowość w sądach; nie, co by kojarzyło, łączyło, pociągało sympatycznie młodzież mianowicie. Takim przedstawia się Łukaszewicz jako człowiek i publicysta, co nawiasowo powiedziawszy, nie przeszkadza, że żywot jego zapisuje niekiedy czyny szlachetności i dobroczynności, jakie zeicha a bez rozgłosu świadczył. Poznajmy go teraz jako historyka. Charakterystycznym znamieniem jego działalności historycznej pozostanie, by od jej *zewnętrznej* począć strony, iż nie ogarniała ani bądź to całości, bądź części *politycznych* dziejów Polski, lecz że wybierała sobie w licznych swych pracach za przedmiot bądź to dzieje pewnych miejscowości, bądź to pewnych instytucyj, bądź moralno-politycznej doniosłości wydarzeń, do jakich należy reforma religijna XVI wieku. Zadanie piękne i wdzięczne a z pewnością w razie umiejętnego wykonania przyczyniające się więcej może od wszelkich prób dziejopisarstwa *politycznego* do rozświecenia wątpliwych i ciemnych stron przeszłości na-

szej. Gdy się zastanowimy nad upadkiem publicznej moralności naszej w XVII i XVIII wieku, gdy z bólem spoglądamy na smutny fakt nieobecności *ojczyzny* w sercach ówczesnych generacyj, gdy widzimy niestety, jak podobnego, czystego ideału miejsce zastępuje u wielkich i małych względ osobistego interesu, zwraca się nasze oko mimowolnie ku *temu* i *tym*, co *takich* wychowali obywatele, co takim usposobieniem dojrzeć pozwolili, ku szkołom i wychowaniu publicznemu dawnej Polski, ku kierownikom młodzieży, którzy w serca jej lepszego ziarna zawczasu rzucić nie potrafili. Wdzięczne więc z pewnością, godne najznakomitszego historyka zadanie wziąć się do gruntownej odpowiedzi na tyle ważne z przeszłości naszej zapytanie. Jeżeli widzimy dalej ogromny, zbawienny i zgubny naprzemian wpływ rozpoczynającej się z XVI wiekiem reformy religijnej na rozwój naszego życia duchowego i politycznego, jeżeli widzimy, jak w wieku XVI staje się jednym z czynników stworzenia naszej literatury; jak w wieku następnym staje się godłem i przyczyną naprzemian krwawych walk i prześladowań, jak o jeszcze jeden wiek dalej wychodzi na sofistyczny argument interwencyi zagranicznej a pośrednio, między innemi przynajmniej, na powód naszej zguby, przyznamy niewątpliwie, że i *to* dziedzina, wywołująca słusznie dziejopisarską badawczość. Jeśli następnie w rozpatrywaniu się nad organizmem naszego społeczeństwa przychodzimy do stwierdzenia prawdy, iż *Kościół* był dlań wielką instytucją moralności i wychowania publicznego, nie dość zaś na tem jeszcze, że *kościół* w niedostatku zbiorów sztuki, jakimi się inne narody ucywilizowanej Europy szczyciły, były niemniej pomnikami, jak przybytkami tego, na co się zmysł estetyczny naszego narodu w dziedzinie twórczej mógł zdobyć, że więc reprezentują ważną tyle część jego duchowej działalności, winniśmy oddać tylko należne uznanie dziejopisarskiemu zmysłowi, który bierze na siebie trud rozpatrzenia się w dawności, architekturze, pomnikach, materyalnych i naukowych zasobach naszych kościołów. Jeśli wreszcie zważymy, że rozmaite miejscowości nasze, czy to miasta, czy ziemie, łatwiejsze z powodu bogactwa i przystępności źródeł do poznania w swym całokształcie dziejowym od innych ustępów i pomników przeszłości naszej,

dają nam *sobą i na sobie* najwierniejszy obraz stanu społecznego, politycznego, moralnego przodków naszych *wogóle*, przyjdziemy i *tu* do przekonania, że monografie, mające za przedmiot historię grodów czy okolic dawnej Polski, z pewnością drogocenny do *całości* jej dziejów stanowią przyczynek. Otóż to zaś wszystko pole działalności Łukaszewicza, otóż to ważne *czynniki* politycznego i społecznego życia, którym pracowite swe, poprawne pióro i ogromny zasób nauki poświęcił. Rzuciwszy rychło niefortunne swe próby poetyckie w *Mrówce* i *Weteranie Poznańskim*, rozpoczyna dziejopisarską działalność od skromnego, ale wielce zajmującego, wydawnego w Poznaniu r. 1832 dziełka, *Wiadomości historycznej o dyssydentach w mieście Poznaniu w XVI i XVII wieku*. By się trzymać porządku materji raczej, aniżeli chronologicznego, zapiszmy tuż po tem dwutomowe *Dzieje Kościołów wyznania helweckiego w W. Księstwie Litewskiem* z portretem ks. Mikołaja Radziwiłła zwanego *Czarnym*, wydane w Poznaniu r. 1842. Trzeciem z kolei, też samą materję traktującym dziełem są wydane dużo później (w r. 1852) *Dzieje Kościołów wyznania helweckiego w dawnej Małopolsce*. Wspomnieliśmy o szkołach. Pod tym względem zasłużył się czterotomową, wydaną w Poznaniu roku 1849 *Historją szkół w Koronie i W. Księstwie Litewskiem*. Później (w r. 1858) wydaje w trzech tomach *Krótki opis historyczny kościołów, klasztorów i kaplic w dawnej diecezji Poznańskiej*. W r. 1838 wyszedł jego dwutomowy *Obraz historyczno-statystyczny miasta Poznania*, dużo później, już jako dzieło pośmiertne *Opis historyczno-statystyczny miast i wsi dzisiejszego powiatu Krotoszyńskiego*. O pracach mniejszych rozmiarów i wagi, jak n. p. *Geografii i dziejach starożytnej Polski*, wydanych pod pseudonimem Andrysowicza, o rozprawach treści historycznej rozrzuconych po czasopismach, nie mówimy tutaj. Należałoby się teraz w ramach, naturalnie odpowiednich rozmiarom i symetrii naszego opowiadania, rozpatrzyć w wartości, stanowisku, przedmiotach i wadach dziejopisarskiej działalności Łukaszewicza. Głównym i naczelnym ich przymiotem jest strona materiału i źródłowości. Choćby najmniej z przedmiotem i kunsztem dziejopisarskim obeznany czytelnik, czuje mimowolnie, że wszystko, cokolwiekby Łukaszewicz napisał czy powie,

nie jest rezultatem pracy drugiej ręki, że polega na samodzielnych, mozolnych poszukiwaniach, że jest drogocennym, szczerym kruszczem, wydobytym z archiwalnych, nienapoczętych przez nikogo skarbów. Są, jak zobaczymy niżej, różnice w pracach Łukaszewicza pod względem artystycznego opracowania. Pod względem *źródłowości* natomiast są wszystkie jego prace historyczne sobie równe a pod *tym* względem *równej* ceny. Język jego jest wszędzie wolny od niepotrzebnych efektów i świecidełek, wielce poprawny, jasny, utrzymujący się na wysokości opowiadanego przedmiotu. Obok tych przymiotów ma przecież bezstronna krytyka historyczna powód zarzucić Łukaszewiczowi ważne usterki i niedomagania. Nasamprzód jestto pisarz obok wielkiego zasobu nauki i pracy, widokregu nieszczególnie szerokiego. Wzniesć się np. w swych dziejach Kościoła helweckiego czy to w Wielkopolsce, czy w Małej Polsce, czy na Litwie, do ocenienia i rozważenia reformy religijnej, jako wielkiego *humanitarnego* faktu, wprowadzić ją w związek z różnemi jej pojawami w reszcie europejskiego świata; zastanowić się nad jej moralnym i politycznym wpływem w Polsce, nad przyczynami jej nagłego wzrostu i jej równie nagłego upadku, nad następstwami jej w kolejach późniejszego żywota narodowego; zająć stanowisko, z któregooby można objąć okiem *całość* tego wielkiego wypadku wraz z jego przebiegiem i sensem moralnym dla dziejów polskich, na to nie starczy Łukaszewiczowi historycznego oka. Jest źródłowym, dokładnym, sumiennym, *ale* w szczegółach, *ale* w spisywaniu liczby *zborów* kalwińskich, *ale* w lustracyi tych i owych panów przyjmujących reformę, *ale* w podawaniu treści obrad różnych zjazdów różnowierczych, na jakich wówczas nie zbywa, *ale* w skreślaniu prześladowań, na jakie osoby, szkoły i Kościoły dyssydentów polskich w epoce reakcyi XVII i XVIII wieku wystawione bywały. Dosłownie to samo spostrzeżenie narzuca się po przeczytaniu *Historji szkół* i *Opisu Kościołów*. Są to oba przedmioty *zmuszające* jakoby traktującego je historyka do postąpienia na pewne wyżyny, do starania się o wydobycie i zyskanie *ostatecznych rezultatów*, ostatecznego sensu moralnego dla oświaty, stanu umysłowego i społecznego narodu w ciągu jego przedrozbiorowej przeszłości. I tu

jednakże przedstawia nam się toż samo widowisko. Zamiast grupowania szczegółów ku tworzeniu obrazu całości; zamiast skupiania światła około jakichbądź wydatniejszych momentów, czyto ludzi, czy wypadków, czy prądów; zamiast dążenia do jakichbądź swego opowiadania *rezultatów*, układa raczej autor ogromny katalog, w którym znajdujemy spisana wiernie jedną po drugiej szkołę, zaciągnięony z nie mniejszą sumiennością jeden po drugim kościół z wszystkimi kaplicami, grobowcami i pomnikami... Prócz tego, wypływającego z charakteru i rodzaju zdolności autora niedomagania, nie nazwalibyśmy też szczęśliwą i dobrą *metody* jego dziejopisarskiej. Jednym z najważniejszych przymiotów i warunków sztuki dziejopisarskiej, jest umiejętność opowiadania i jego ciągłość. Łukaszewicz należy do pisarzy, którzy nasamprzód sobie samym a przez to samo i czytelnikowi tok swego opowiadania ciągle przerywają i psują. Owo mnóstwo często zbyt licznych przypisków, zostawiających bardzo mało miejsca dla tekstu; owo niemniej częste wtrącanie do szczupłego i tak już tekstu długich, dokumentowych ustępów, utrudza niesłychanie rzecz czytelnikowi, czyni ją rozwlekłą bez najmniejszej dlań korzyści. Do ostatecznej przesady jest ta metoda doprowadzona w *Dziejach wyznania Kościoła helweckiego w Małopolsce*. Zamiast gotowego gmachu, odbiera się tu stos belek i cegieł; zamiast przedstawiającego jakąś całość obrazu, pudło farb i pędzli. Najmniej z wszystkich dzieł Łukaszewicza cierpią na podobny błąd organiczny i najlepsze dla tego są pierwsza owa mała *Wiadomość o dyssydentach w mieście Poznaniu* i *Dzieje Kościołów wyznania helweckiego w W. Księstwie Litewskim*. Obok tego niepodobna w ocenieniu historyczno-politycznego stanowiska Łukaszewicza, oszczędzić mu zarzutu wadliwej jednostronności. Jak nie czerwona ciągną się wskrós wszystkich jego dzieł, prac i zapatrywań *dwie* historyczne nienawiści, jedna do gminowładztwa szlacheckiego, druga do Jezuitów. Niewątpliwie, wybujałość gminowładztwa szlacheckiego, zdrożne jego i grzeszne nadużycie czy skoszlawienie na rzecz prywaty wielkich czy małych, stało się klęską i zgubą Polski. Niewątpliwie dalej system wychowania Jezuitów, namiętność ich gwałtownego nawracania różnowierców, interwencya ich we wszystkie spra-

wy publiczne, przyczyniły się również do podkopania narodowego bytu, cokolwiekby dzisiejsi rzecznicy ku ich obronie powiedzieć chcieli. Nie chcieć przecież czy nie umieć widzieć wskrós całej nieledwie historyi polskiej, *nie* po za procesem królewskości ze szlachecczyną, w którym pierwsza powinna zawsze mieć rację przeciw drugiej; nie chcieć czy nie umieć wnikać w genezę historycznego rozwoju a dostrzedz niezaprzeczonych obok błędów i nadużyć *zastug* gminowładztwa szlacheckiego; nie chcieć czy nie umieć ocenić historycznie i politycznie ważnego jego stanowiska w przebiegu naszej przeszłości; widzieć w nim tylko jeden wielki wybryk lekkomyślności i rozpusty politycznej, pozostanie, co najmniej, tanim doktryneryzmem. Podobnie ma się rzecz z Jezuitemi. Stawiać się na stanowisku wyłącznie protestanckiem, mówić tylko o prześladowaniach dyssydentów przez katolików z Jezuitemi i jezuityzmem na czele; zapominać, że dzieje reformy religijnej w całej Europie i w Polsce są objawem ogromnej i *dwustronnej walki*; że po prądzie reformy następuje prąd reakcyi katolickiej, której Jezuici są wynikiem; że dzieje owe przedstawiają obraz dziejowego zatargu, *wzajemnych* prześladowań według kolejnych faz przewagi i zwycięstwa jednej lub drugiej strony; że np. prześladowania dyssydentów polskich za Jana Kazimierza są następstwem poprzedniej *ich* zdrady kraju i prześladowań katolików *przez* dyssydentów w czasie i pod patronatem inwazyi szwedzkiej, — zapominać wszystko to, mówimy, jest grzechem jednostronności, która bez fałszowania faktów przeinacza przecież gruntownie prawdę oblicza owej epoki... Otóż to błędy i niedomagania zapatrywań i metody Łukaszewicza, które wytknąć ze stanowiska krytyki historycznej uważaliśmy za rzecz konieczną, które przecież, jak *jemu* nie odbierają charakteru i kwalifikacyi znakomitego uczonego, tak dziełom jego mimo to wszystko nie odbierają zasługi i znaczenia drogiego do dziejów naszych *materyatu*... Wspomnieliśmy o *zasadniczych* pojęciach i zapatrywaniach Raczyńskiego i Łukaszewicza na polu dziejowem. Wyobrażają oni naówczas w Poznaniu i jego literaturze szkołę, jeżeli ją tak wolno nazwać, *monarchiczną* historyografią polską, w czem są zupełnie zgodni z naukowo-literackim zastępem otaczającym osobę,

podzielającym przekonania i dążności polityczne ks. Adama Czarotoryskiego na emigracyi. Zastęp tenże znajduje publicystyczny wyraz w piśmie politycznem *Trzeci Maj*, naukowy w *Skarbcu* historyi polskiej Karola Sienkiewicza, ognisko swe centralne w zostającym pod kierownictwem księcia Czarotoryskiego *Towarzystwie historyczno-literackiem* paryskim. Szkoła monarchiczna ówczesnej historyografii polskiej odpowiada wiernie i równolegle ówczesnemu konserwatyzmowi politycznemu, tak emigracyjnemu, jak krajowemu, którego składowe pierwiastki pozwoliliśmy sobie scharakteryzować wyżej. Koleją bradzo naturalną we wszystkich rzeczach i sprawach ludzkich, nadewszystko w przebiegu walk i namiętności partyjnych, nie mogło stronnictwo ruchu czy postępu, jak je nazwaliśmy wyżej, pozostawić podobnego wyzwania na polu historycznych pojęć bez odpowiedzi. Jak nań odpowiedziano w emigracyi, jakie stanowisko zajął względem niego Lelewel, jak się odzywały przeciw niemu głosy w *Demokracji Polskiej* lub w *Przeglądzie dziejów polskich*, nie będziemy tu szczegółowo skreślali ponieważ to leży po za obrębem naszego zadania. Obchodzić nas może tylko pod tym względem widownia *poznańska* a na niej spotykamy się, jako z głównym reprezentantem kierunku przeciwnego, który nazwijmy *szkołą republikańską*, z osobą *Jędrzeja Moraczewskiego*. Staraliśmy go się scharakteryzować wyżej jako publicystę, obywatela i człowieka. Trzeba nam go teraz poznać jako historyka. Co go przede wszystkim odznacza, to zamięłowanie przedmiotu i dziwna przy rozlicznych zatrudnieniach łatwość pojęcia i umiejętność obcowania z ludźmi z drugiej strony, przymiot, jak zaraz zobaczymy, wcale nie obojętnego znaczenia w zadaniu jakie sobie położył. Moraczewski był niezrównanym agitator-em na polu nauki, starał się ją popularyzować, rozszerzać, budzić dla niej interes, bądź to, jak to wyżej już powiedzieliśmy, przez urządzanie odczytów, bądź to za pomocą zawięzujących się na całej przestrzeni prowincyi towarzystw starożytności. Był to obywatel na polu nauki, nie zamknięty w cieśni czterech ścian uczony. Uczonemu takiego rodzaju i takiej dążności trzeba było umieć obcować z ludźmi, by ich wciągnąć mimowiednie może nawet w działalność naukową, uczynić ich dla niej użytecznymi, co mu się też w zna-

cznej części powiodło. Osiadłszy po długim pobycie na wsi od r. 1842 w Poznaniu, rozpoczął obok wspomnianych już wyżej odczytów i prac publicystycznych pracę nad swemi *Dziejami Rzeczypospolitej Polskiej*, których pierwszy tom ukazał się w Poznaniu roku 1843 a które w roku śmierci autora (1855) miały urósć do objętości dziewięciu tomów i posunąć rzecz aż do czasu abdykacyi Jana Kazimierza. Ponieważ wspomnieliśmy co dopiero o Moraczewskim, jako ówczesnym reprezentancie historyograficznej szkoły przeciwnej Łukasiewiczowi i Raczyńskiemu, pozwólmy sobie przed wskazaniem treści i ocenieniem naukowej wartości wielkiego dzieła Moraczewskiego nawiasu, w którym niechaj nam dalej będzie wolno wypowiedzieć zdanie nasze o stanowisku wartości jego teoryi. Wszelki *doktryneryzm* w historyografii, jak w praktycznej polityce, uważamy za błąd prowadzący w prostej a nieumieknionej konsekwencji do historycznego i politycznego fałszu. Dzieje ludzkości i narodów nie rozwijają się według filozoficznego czy politycznego ideału, lecz według potrzeb, pojęć, namiętności i prądów chwili, w warunkach, jakie pewnemu społeczeństwu zakresliły tradycya, okoliczności, położenie geograficzne, stosunki wreszcie otaczającego świata. Uchwycić oblicze i ducha pewnej społeczności w chwili, czy w chwilach, jakie sobie za przedmiot swego opowiadania obrała na podstawie *takich* warunków i *takich* danych, otóż zadanie nauki historycznej i dziejopisarskiego kunsztu. Jedyną zaś *doktrynę* jego mogą i powinny pozostać ogólne prawdy moralności ludzkiej i politycznej, w obrębie których dwóch zdań między ludźmi sumienia i uczciwości nie ma i być nie może. Owa, według nas, *konieczność* usunięcia jakiegobądź doktryny z rzędu czynników dziejopisarstwa, jest przeciw *konieczności*, by ją zastosować do przedmiotu, który nas tutaj obchodzi, niemniej wobec szkoły monarchicznej, jak republikanckiej. Ani jedna, ani druga nie ma prawa doszukiwania się w przeszłości polskiej czy jakiegobądź innej stwierdzenia *dzisiejszych* teoryj; ani jedna ani druga nie ma prawa wytaczania przeszłości procesu ze stanowiska takichże teoryj, które usłuchane niewykonalnie z *teraźniejszości w przeszłość*, byłyby to niby mogły zbawić i ocalić Polskę. Inaczej jednakże, aniżeli z doktryną przeniesioną z *teraźniejszości w przeszłość*, ma się rzecz

z jakim bądź podstawnym, politycznym czy społecznym czynnikiem dostrzeżonym okiem, wydobytym i wyprowadzonym na jaw pracą historyka w dziejach pewnego narodu czy społeczeństwa. Otóż takim czynnikiem dopatrzonym trafnie, nie wyprowadzonym dostatecznie na jaw i nie uświadomionym narodowi przez republikancką szkołę historyczną, jest nie jakiś nowomodny, obcy tradycjom, charakterowi i usposobieniu polskiemu republikanizm francusko-angielsko-amerykański, lecz *pierwiastek gminowładczy* stanowiący istotę i sens moralny wewnętrznych dziejów Polski. Uważać go, skoro się patrzy na jego chorobę i zgniliznę w drugiej połowie XVII i przez XVIII wiek, za rozpustę i swawolę wogóle, za orgię rozpasanej szlachecczyny przeciw dobremu prawu monarszej władzy za jakiś błąd organiczny zatruwający śmiertelnie wnętrze Polski od początku do końca politycznego istnienia; przepominać jego ogromnych w przeszłości i teraźniejszości Polski zasług, jego pokojowych zdobyczy, jego dziwnej zdolności kształcenia charakterów i wychowywania ludzi, dopóki się nie wyrodził i nie skarłowaciał w prywatę, byłoby znów grzeszną jednostronnością. Najciekawszym, najwięcej uderzającym na pierwszy rzut oka pojawem w istnieniu dawniejszem i obecnem narodu polskiego, są *dwa* niewątpliwie faktycznej prawdy, wyzywające badawczość psychologiczno-polityczną zagadnienia, fakt jego wzrostu z jednej, fakt jego trwania i trwałości po zagładzie bytu politycznego z drugiej strony. Mylimyż się, będąc przekonania, wypowiedziamyż paradox, skoro sobie pozwalamy twierdzić, iż gminowładczy pierwiastek będący w epoce swego rozkładu i rozprzężenia przyczyną naszej zguby, był w poprzedniej epoce swego zdrowia i czerstwości główną dźwignią i czynnikiem naszego wzrostu i wielkości; że, nie dość na tem, później, po upadku kraju stał się nam puklerzem moralnego bezpieczeństwa pośród i przeciw ogromowi otaczającego, usiłującego nas przeinaczyć ucisku? Dla czego zapytujemy, kupią się i gromadzą w ciągu wieku XV, XVI nawet jeszcze XVII, około Polski, składając się na jej wzrost i wielkość, żywioły obce plemieniem, mową, wiarą? Z prostej przyczyny, iż rozumieją w związku z Polską odzyskać, zachować lub pozyskać *wolność*, taką naturalnie, jaką owe wieki pojmują, wolność *tych*

żywiółów, które reprezentują naówczas społeczność narodową a którą Polska, dzięki własnemu organizmowi gminowładczemu, zaręcza i im święcie szanować i przestrzegać. Owa Litwa, owe Prusy, owe Inflanty, owe Czechy i Węgry nawet dążą do związku z Polską, bo spodziewają się, bo czują, bo widzą, że im będzie *dobrze* w połączeniu z krajem, który się rządzi gminowładczo, który nie przedstawia gleby zdolnej wydać czy to zdzierczych i rozbójniczych panów, jak Krzyżacy, czy to srogich i barbarzyńskich despotów, jak Iwan Groźny. Pierwiastek gminowładczy staje się wielkim, pokojowym zdobywcą na rzecz Polski w *przeszłości*. Dzisiaj zaś, po całym szeregu rozbiorów, po całym stosie usiłowań wymierzonych ku zagładzie imienia, wspomnień, języka, nadziei i dążeń polskich; dzisiaj wśród owego ze wszech stron żywioł nasz otaczającego, wrogiego i niszczącego pożaru, cóż, zapytalibyśmy, utrzymuje w stanie nienaruszalności, *moralnej* przynajmniej, w świadomości narodowego istnienia, istnego owego salamandra polskiego? Znowu tenże przechowany bezwiednie, tradycyjnie, z przeszłości w teraźniejszość pierwiastek gminowładczy, który samą naturą i charakterem swego organizmu wzniosł nieprzebytą duchową zaporę między narodem polskim a jego politycznymi panami wyrosłymi i istniejącymi na podstawie żywiołu wręcz przeciwbiegunowego, pierwiastek gminowładczy, który posiada właściwość wychowywania i kształcenia przedewszystkiem *indywidualnej samodzielności*. Korona Chrobrego rozprysła się na tyle szczątków, ile głów myślących, ile serc czujących w Polsce; namaściła jedne i drugie do niepodzielnego przechowania pamięci swego majestatu. Że się *takie* przechowanie symbolicznego klejnotu wśród i wbrew całego ogromu ucisku i trudów powiodło, jest, raz jeszcze zasługą pierwiastku gminowładczego, który, jak co dopiero powiedziano, kształcąc samodzielność indywidualną, kształcił zarazem w narodzie chęć i praktykę samorządu; pozwolił mu pod skorupą zwierzchniego ucisku, na wewnątrz pozostać *sobą*... Czyż przeszkadza podobne zapatrywanie na ów zasadniczy i podstawny czynnik przeszłości polskiej wybuchnąć choćby nawet, gdzie i ile razy tego potrzeba, gniewem i oburzeniem, ale gniewem i oburzeniem *miłości* przeciw jego spaceniu, skoszlawieniu, nadużyciu i sfalszowaniu?

Czyż pojęcia *gminowładztwa* i *anarchii* miałyby być synonimami a czyż dzieje narodów starożytnych nie wskazują przykładów, że gminowładztwa w razach gorącej potrzeby i niebezpieczeństwa umiały abdykować na rzecz różnej nazwy i rozmaitych tytułów prawnych dyktatur? Uznanie tedy wagi i zasługi pierwiastku gminowładczego w przebiegu dziejów naszych nie potrzebuje mieć nic wspólnego ani z nowomodnym republikanizmem XIX wieku, ani być przeszkodą w pojęciu bądź to ludzi, bądź czynów sterczących smutnie-pomnikowo przykładami zdrożnego nadużycia swobody gminowładczej z ojczyzną krzywdą. Cokolwiek bądź przecież i jakiegokolwiek bądź mogą być w tym względzie zapatrywania, pozostanie pierwiastek gminowładczy czynnikiem godnym rozgrzać i zainteresować dziejopisarską wyobraźnię i dziejopisarskie pióro a stworzony na *jego* podstawie obraz całości dziejów polskich, nie potrzebowałby zaiste grzeszyć nieprawdą historycznego oblicza. Chodzi naturalnie tylko o dojrzałe naukowe uzasadnienie i przeprowadzenie podobnej tezy, a tu nasuwa się ze względu na nasz przedmiot pytanie, o ile Moraczewski w swych dziewięciotomowych *Dziejach Rzeczypospolitej Polskiej* zadanie podobne rozwiązać potrafił. Chowając sobie ocenienie metody dziejopisarskiej i wartości naukowej jego dzieła na później, pozwalamy sobie w przedmiocie kierującej nim zasadniczej myśli wypowiedzieć zdanie, iż pod *tym* względem *wczytano* i *wmówiono* w Moraczewskiego więcej, aniżeli się z jego książki, trzymając się jej gołosłownych twierdzeń i orzeczeń, na prawdę *doczytać* można. Współczesna i późniejsza krytyka, jaka nad jego dziełem wyrosła i dotąd się tradycyjnie utrzymuje, polega, jeżeli się mocno nie mylimy, w przeważnej części na zbyt bliskiej znajomości osoby autora i pojęć politycznych, jakie wyznawał. Współczesnej krytyce, czy to pisanej, czy objawiającej się ustnie ze strony opinii publicznej, nie mogło się pomieścić w głowie, aby Moraczewski związany ściśle ze stronnictwem ruchu, chodzący blisko konspiratorów i konspiracji, mający z powodu swoich przekonań politycznych opinię republikanina, mógł być i w historii czem innem, jeżeli nie republikaninem i to republikaninem odszukującym w przetrwałej przez się przeszłości polskiej stwierdzenia swego politycznego ideału.

Przekonanie podobne zakorzeniwszy się bardziej może jeszcze w opinię publiczną, aniżeli w drukowane krytyki, przypięło się nieoderwalnie osoby Moraczewskiego jako historyka i uczyniło zeń jakiegoś wybijającego doktrynera szkoły republikańskiej. Jakże się tymczasem owa opinia ma do istotnej rzeczywistości? Niezaprzeczenie jest Moraczewski w swych zapatrywaniach przeciwnikiem Raczyńskiego i Łukaszewicza; niewątpliwie jest politycznie republikaninem, ale jestże istotnie owym doktrynerem teorii republikańskiej w zapatrywaniu się na *przeszłość polską*? Ostrożny i powściągliwy w życiu publicznym, jest Moraczewski równie ostrożnym i powściągliwym w stawianiu jakiegobądź kategoriycznych doktryn i teoryj na polu dziejowym, a będąc niewątpliwym czcicielem pierwiastku gminowładztwa szlacheckiego, wyznaje ową cześć w ciągu swego dzieła ostrożnie, raczej biernie, aniżeli wyraźnie i stanowczo. Już za Piastów i Jagiellonów wprowadzie wskazuje na prawo elekcyjne szlachty, jako dowód jej gminowładczych rządów w epoce *poprzedzającej* niewątpliwą datę wybieralności królów. Tam, gdzieby Łukaszewicz i Raczyński byli niezawodnie stanęli po stronie królewskiej, staje Moraczewski jak n. p. w opisie wojny kokoszej za Zygmunta I, rokoszu Zebrzydowskiego za Zygmunta III, rokoszu Lubomirskiego za Jana Kazimierza, po stronie przeciwnej. Podobnie ma się rzecz, ile razy mu przyjdzie skreślać jakiegobądź zatarg możnowładztwa magnackiego z gminowładztwem szlacheckiem. W opowiadaniu dziejów reformy religijnej walczy i to stanowczo sympatjami swemi za reformą przeciw prześladowczości reakcyi katolickiej. Owo stanowisko gminowładcze jest jednakże traktowane w sposób tak przedmiotowy, tak beznamiętny, tak widocznie pozbawiony wszelkiej intencji jakiegobądź na czytelnika nacisku, że trudno dopatrzeć się doktrynera usiłującego śmiało postawić i przeprowadzić swą tezę. Przeciwnie, powiedzielibyśmy, że jego historyczno-polityczna teoria rozwodnia się i rozcynia raczej w unikającym wyrażnie sformułowanych konkluzyj opowiadaniu. Jak zaś dalekim jest Moraczewski od przypisywanej mu przez powierzchowną krytykę myśli i chęci sympatyzowania ze zdrożnościami i wybrykami gminowładztwa szlacheckiego, niechaj posłuży za dowód sąd jego n. p. o

szlachcie ulatniającej się z obozu Jana Kazimierza podczas wyprawy Beresteckiej; niechaj posłuży dalej jego zdanie o *liberum veto* z powodu zerwania sejmu z roku 1652 przez Sicińskiego. O pierwszej mówi jak następuje: „Tymczasem w obozie polskim nie jest też spokojnie i nie ma tam poświęcenia życia za dobro pospolite, tylko *privata* (sic) na jaw się ukazuje i szlachta, żeby żniw w domu dopilnować, przypomina natarczywie o prawie z roku 1573, ale przewrotnie przez siebie wykładanem, że nad dwie niedziele w pospolitem ruszeniu zostawać nie potrzebuje. Wreszcie powiada, „szkoda krwi szlacheckiej, lepiej najać Niemca, co za pieniądze daje gardło“... O smutnej pamięci czynie Sicińskiego odzywa się dosłownie, jak następuje: „Jakkolwiek i dawniej zrywano sejmy, to jednakże nie w skutek oddalenia się jednego posła. Prawda, że dbano o to, aby nikt nie protestował przeciw ważności dalszych obrad, lecz jedynie z tej przyczyny, że poseł coby to mógł uczynić, snadno by stanął na boku, ściągnął do siebie przeciwników większości i mógłby się stać powodem do konfederacyi, rozdzielenia Rzeczypospolitej i wojny domowej. Starano się więc zawsze upartego przejednanem do zgody z drugimi nakłonić i w izbie zatrzymać. Ta właśnie obawa rozdzielenia szlachty i skwapliwe chodzenie wszystkich rozsądnych około udobruchania jednego krnąbrnego głupca albo niegodziwca przenosząc go swój interes nad pospolity, w wieku, w którym ludzie świeccy wychowania jezuickiego zrzekli się wszelkiego prawa do myślenia na monopol Jezuitów, wyrodziła w końcu przekonanie, że posłowi każdemu służy prawo tamowania obrad. I tym sposobem przez dążenie do zgody przesadzone, otworzono dopiero wrota najwyższej niezgodzie. Sam w sobie postępek Sicińskiego był wypadkiem małej wagi, ale że dał początek zrywaniu sejmów przez *liberum veto* (niepozwalam), czy to w interesie panów, czy królów, stał się następstwami swemi bardzo głośnym. Czyli zaś zasługuje aby na niego *kłaść* tak wielką wagę, jak kładą zwykle *historicy*, to rzecz bardzo wątpliwa. W jędrności bowiem obyczajów, bez zepsucia się, Polaków, bez wygórowanego sobkostwa, byłby król mógł z senatem i bez sejmu rząd jak najlepiej prowadzić, a nawet rozpisane podatki byłyby się dały pościagać, byle tylko na

wojnę i rzeczywiste potrzeby. Tak bywało nieraz dawniej i dobrze się działo, bo prawość obywatelska była i będzie zawsze głębszą i mocniejszą podstawą państw, niż krój instytucyi, niż zachwalony u innych narodów, najsztuczniejszy organizm władz i całego rządu. Ale wiek XVII w całej Europie nienawidził enoty, a w przewrotności nad inne wygórował. Nie *liberum veto*, lubo samo przez się niedorzeczne, ale podłość za nie się kryjąca, która z byle czego umie sobie robić zasłonę i wytrych złodziejski, w nie się opatrzywszy, pędziła naród polski z drugimi po drogach nieprawości. Inne w tym czasie narody europejskie jako *despotyczne* (sic) miały za pierwiastek żywotny *postrach*, inne jako monarchiczne żyły *honorem*, to jest ukwieconym egoizmem klasy wyższej w społeczeństwie i mogły się bardzo dobrze obywać bez enoty, ale Polska, jako rzeczpospolita (w znaczeniu *państwa*) stojąca tylko na *cnocie*, zwątlwszy enotę, odrazu sam drdzeń swego drzewa zarażała zgnilizną i pruchnieć poczęła; nie powiemy, że do samego korzenia tkwiącego głęboko na spodzie i mającego siłę do puszczenia jeszcze zieleńszych latorośli, niż inne państwa, ale to pewne, że odmłodzi się dopiero po spruchnieniu wszystkiego co bujało do góry“.... Niechaj ta zawiła i niezręczna próba stylistyki Moraczewskiego obejmująca ważną część jego historyczno-politycznego wyznania wiary, będzie odpowiedzią tym wszystkim, co zeń robić gotowi zwolennika *Liberaum veto* i jakiegobądź wybryków wybujalości szlacheckiego gminowładztwa. Doktryneryzm republikańsko-gminowładczy byłby tedy najmniejszym z pewnością grzechem Moraczewskiego jako historyka. Co do nas, zarzucilibyśmy mu, pozostawiając nietkniętą *zasadę*, ważne błędy i usterki *wykonania*. Pierwszy tom *Dziejów Rzeczypospolitej* obejmujący dzieje polskie aż do roku 1386, jest już napisany po *Historii polskiej* Röppla w zbiorze Heerena i Ukerta, miał więc bardzo naśladowania godny wzór, którego, powiedzmy z góry, nie dosięga pod względem krytyczności i naukowej wartości. W pierwszym tym tomie nie widać ani badawczego oka, ani oryginalności poglądów, ani śladu jakichś samodzielnie podjętych studyów i poszukiwań. Jestto proste zużytkowanie i streszczenie znanych do dziejów owej epoki źródeł bez ożywienia ich i rozświecenia własnym

rzutem światła. Strona artystycznego opracowania i język pozostawiają również bardzo wiele do życzenia. Moraczewski nie objawia, w tym pierwszym przynajmniej dzieła swego tomie, tyle ważnego w sztuce dziejopisarskiej przymiotu, umiejętności grupowania wypadków. Wszystko tu, jak w kronice średniowiecznej lub na obrazie bizańtyńskiej szkoły bez perspektywy i na jednym planie, rzecz opowiadana bezbarwnym, pozbawionym siły i jedności stylem. W dodatku stworzył sobie Moraczewski dziwaczną ortografię i afektowanej nieco prostoty język, który go i w następnych nie odstąpił tomach. Nie w *zasady* tedy, lecz w *wykonanie* Moraczewskiego miała prawo i powód uderzyć krytyka. Uderzyła jednakże w łamach *Orędownika* równie namiętnie, jak nieudolnie ze strony Łukaszewicza i Wacława Aleksandra Maciejowskiego w *zasadę* właśnie, w podrzędnej dalej wagi okoliczność, że autor zaniedbał zaopatrzyć dzieło swe w *przypiski*. Takim był obejmujący historią Piastów *pierwszy* tom dzieła Moraczewskiego *Dziejów Rzeczypospolitej Polskiej*. Sumiennność krytyczna nakazuje przecież stwierdzić, że po takim początku następne tomy podnoszą się, w porównaniu w pierwszym przynajmniej, bardzo znacznie w naukowej i artystycznej wartości. Nie przedsięwzięcie wprowadzić do epoki Jagiellońskiej, od której drugi tom zaczyna, jakiegobądź samodzielnych poszukiwań, nie bada zagranicznych czy krajowych archiwów. Za to jednakże staje się *odtąd* jego historia sumiennem i umiejętnem streszczeniem wszelkich drukowanych materyałów na podstawie przedewszystkiem Długosza. Odtąd też to aż do końca dzieła, to jest aż do jego dziewiątego tomu obejmującego dzieje Jana Kazimierza, utrzymuje się autor na zyskanej dokładnem zbadaniem wskazanych co dopiero źródeł i nabytą pisarską rutyną wysokości. Nie jest to, powtarzamy raz jeszcze, historyk dzisiejszej szkoły i nowej metody, któryby nie poprzestając na znanych materyałach, starał się rozszerzyć swój widokrag własnymi i samodzielnymi poszukiwaniami. Jestto przeciwnie pisarz zestawiający znany i gotowy materyał a zdążający w podobnej pracy ręczo i ochoczko ku spełnieniu postawionego sobie zadania: skreślenia na obszerne rozmiary *całości* historii polskiej. W dążeniu do tego celu pisze dzieje Jagiellonów,

Henryka Walezego, Stefana Batorego, Wazów, przewyższające naukową wartością i sztuką opracowania nieskończenie dzieje Piastów. Dzieło jego ma tem większą wobec społeczności naszej zasługę, iż aż do jego wystąpienia historyografia polska dzieła podobnej objętości, ogarniającego tak znaczny obszar przeszłości naszej dziejowej nie posiadała. Jakikolwiek tedy ze stanowiska dzisiejszego postępu nauki dziejowej być mogą niedomagania *Dziejów* Moraczewskiego, pozostaną przecież one dziełem wielkiej, wszelkiego uznania godnej zasługi. Zresztą, jak późniejsze ich tomy, jak dzieje Jagiellonów, Henryka, Stefana i Wazów mają niezaprzeczoną naukową wartość, tak znów na korzystniejsze jeszcze i dodatkniejsze nawet z pośród nich wyróżnienie, zasługuje osobno w roku 1851 wydane dzieło jego *Polska w złotym wieku*, summa i to wielce zaszczytna summa wiedzy, nauki, badawczości historycznej i zdolności opowiadawczej, na jaką się autor w ciągu długiego swego zawodu pisarskiego mógł zdobyć. W barwnym tym zwyczajów, obyczajów, prawodawstwa publicznego, cywilnego, ruchu umysłowego obrazie społeczeństwa polskiego z XV, XVI i XVII wieku, kruszy autor więzy jakie sobie samowolnie nakłada w historyi politycznej tejże samej epoki. Staje się swobodniejszym i samodzielniejszym; odzyskuje zdolność opowiadawczą, pewną wolność ruchów wraz z talentem grupowania; stwarza, słowem, rzecz, która daje najlepsze z wszystkiego co o tej epoce pod *tym* względem dotąd pisano wyobrażenie, o stanie obyczajowym, moralnym i politycznym wieku Jagiellonów... By i o tem nie zapomnieć, pozostanie *styl* Moraczewskiego najujemniejszą pono stroną jego dziejopisarskiego zawodu a pod *tym* względem miałby wiele bardzo do pozazdroszczenia przeciwnikowi swemu Łukaszewiczowi. Przytoczyliśmy próbkę jego stylu wyżej. Nie ma tam niby grzechów przeciw czystości języka, ani przeciw wymaganiom jego gramatyki. Mimo to robi on wrażenie stąpania jakoby w powiciach; brak mu swobody i potoczystości, brak jakoby odpowiedniej przedmiowi, tyle nieodzownej mu męskiej siły i poważnego nastroju. Mimo to, mimo wszystkich niedomagań pozostanie Moraczewski historykiem wysokiej zasługi, jako pierwszy po Narusze-wiezu, który na podobne jemu, obszerne rozmiary podjął a

w znacznej części i przeprowadził trudny do wykonania pomysł opracowania *ciężkości* dziejów Polski. Co zaś nie najmniej ważna, potrafił zainteresować niemi publiczność polską; rozpowszechnić pomiędzy nią znajomość przeszłości narodowej, wywołać krytykę i krytyki, które znów w rezultacie obróciły się na rzecz rozszerzenia koła zajmujących się i trudniących ojczystemi dziejami. Nie najgorszym pono dowodem wartości naukowej i użyteczności wystąpienia Moraczewskiego pozostanie, iż wielu pisarzy, nie wyjmując przede wszystkim takich, co zasadniczo zajmują odmienne nibyto stanowisko, przy rozmaitych sposobnościach i w najrozmaitszych pracach bardzo obficie zgotowaną przezeń strawą się karmią... Po za obrębem dziewięciotomowych *Dziejów Rzeczypospolitej Polskiej*, zasługują jeszcze na uwagę wspomniane już wyżej przez nas, wydane w dwóch grubych tomach *Starożytności Polskie*, w których wszystkie prawie lepsze, ważniejsze i obszerniejsze artykuły są pióra Moraczewskiego i dla tego też zapewne, na ten raz zaś bez słusznego powodu, wywołały „jako objaw i produkt nieporządnego pospolitego ruszenia“ zjadliwą wycieczkę ze strony Łukaszewicza w *Orędowniku*. Z mniejszych prac historycznej treści Moraczewskiego zapisać nam jeszcze przychodzi dzieje polskie dla ludu wydane w r. 1850 w Poznaniu pod tytułem *Opowiadanie gospodarza Jędrzeja, jakato dawniej była Polska*, pracę, która nie miała czasu wywrzeć odpowiedniego swej dążności i wartości wpływu, ponieważ się zbyt prędko spotkała z prokuratorem i konfiskatą; następnie *Opis pierwszego zjazdu słowiańskiego w Pradze r. 1848*, rzecz suchą, raczej wartości statystycznej, aniżeli historycznej i politycznej; wreszcie *Wypadki poznańskie roku 1848*, w których autor sam miał żywy udział. Dziełko to, traktujące znane i pamiętne wszystkim, świeże naówczas dzieje teraźniejszości, dzisiaj już rzadkość bibliograficzna, bo skonfiskowane również swego czasu na rekwizyceę prokuratorską, sprawiało poniekąd dziwaczne wrażenie przez sprzeczność staroświeckiej formy zastosowanej do wypadków dnia dzisiejszego. Gdy autor, posługując się dykcyą kronik Bielskiego czy Strykowskiego, opowiada, jak wszystkie obozy polskie zebrały się razem „u Mitostawia“, lub gdy mówi, że Mierosławskiemu zbywało po spo-

tkaniu Sokołowskiem „potrzebnego strzeliwa,“ mogłoby się zdawać zaiste, że to rzecz „o jakiej potrzebie króla Stefana z Gdańszczany pod Tczewem“ lub „o przewagach króla JM. Jana Kazimierza przeciw Chmielnickiemu pod Beresteczkiem.“ Moraczewski lubował się przecież w łączeniu podobnych przeciwieństw i cieszył się nawet, gdy mu je wytykano. Po za tymi reprezentantami dwóch przeciwnych sobie szkół historycznych, nie przedstawia dziedzina historii w ówczesnej całości literatury poznańskiej, zbyt obfitego obrazu. Starajmy się jednakże zebrać tu i streścić sporadyczne jej pojawy. Jeżeli, jakoby przychodząc szkole republikańskiej w sukurs, zasłużona tyle później swemi wydawnictwami w Poznaniu Księgarnia Żupańskiego, przypomina po raz pierwszy od roku 1831 na gruncie krajowym imię Joachima Lelewela, wydając w roku 1844 w sporym tomie jego *Rozbiory dzieł*, odpowiada znów szkoła monarchiczna wydana w Lesznie roku 1841 nakładem Księgarni Günthera *Matką Encyklopedyą polską* Stanisława Platera. Ukazujące się to w kilkunastu poszytach, niezaprzeczonej zkadynad użyteczności i wartości naukowej dziełko, stoi najzupełniej na gruncie zasady monarchicznej, na podstawie nienawiści do gminowładztwa szlacheckiego, posuwając się w tym kierunku niekiedy dalej, aniżeli by dopuszczać powinny prawda i sprawiedliwość historyczna. Doczekało się też entuzjastycznej pochwały ze strony Łukaszewicza w zestawieniu i porównaniu ze *Starożytnościami polskimi* Moraczewskiego... Przepomnieć-że dalej datujących się z tejże samej epoki prób popularnej historii polskiej dla ludu, prób stojących zasadniczo na podstawie szkoły, której daliśmy miano *republikańskiej*? Do nich zaliczyć należy nieudaną, afektowaną, przedrzeźniającą nielitościwie język polski w intencji uczynienia go popularnym, książeczkę Julii Wojkowskiej, *Dzieje Polski od Lecha do Jachwigi*, rzecz dzisiaj najdoskonalej zapomniana; następnie owe świetne talentem opowiadania i pięknoscią języka, rozpowszechnione w tylokrotnych wydaniach, po raz pierwszy ogłoszone w Poznaniu roku 1845 *Wieczory pod Lipą* Grzegorza z pod Raławic Lueyana Siemieńskiego? Jestto z pewnością najświetniejszy specymen popularnego wykładu historii dla ludu, na jaki się którabadź z literatur europejskich

zdobyć potrafiła... Warunkujący w owej epoce wszelkie objawy umysłowego życia narodowego antagonizm między *postępem* a *konserwatyzmem*, przenosi się i odbija na próbach *historyi literatury*, na jakich także Poznańskiemu wówczas nie zbywa. Jeżeli, jak już wiadomo, Edward Dembowski wydaje w r. 1844 w Poznaniu swe *Piśmiennictwo polskie w zarysie*, rzecz pospiesznie, gorączkowo i dorywczo wykonaną, z dążnością aż do ostatecznej przesady demokratyczno-postępową, napisał i ogłosił poprzednio ze stanowiska czysto i wyłącznie naukowego w Lesznie roku 1838, znany nam jako jeden z twórców *Przyjaciela Ludu* profesor Jan Popliński, pod skromnym i niepokątnym tytułem *Wypisów polskich, części drugiej, Historię prozy polskiej z wyimkami*, która pozostanie jednym z najcenniejszych podręczników dziejów naszego piśmiennictwa a zasługuje doprawdy, by prędzej czy później była wydobyta, szczególnie dla użytku dojrzalszej młodzieży, z dawnego zapomnienia w ponownem jakim wydaniu. Po za owemi wydawnictwami i samodzielnemi pracami historycznemi *obozów* partyjnych a przynajmniej osobistości, któreby się do nich zaliczyć i zaklasyfikować dały, ileżto jeszcze naówczas w Poznańskiem pojawia się szacownych publikacyj treści dziejowej, które słuszność i faktyczna prawda pod podobne sztandary wtlaczać nie pozwalają! Zaliczmy do nich, nie mówiąc o rozpoczynającym się naówczas przez księgarnię Żupańskiego i Stefańskiego naprzemian wydawnictwie dzieł Lelewela, *Tublice synchronistyczne do historii polskiej* niewiadomego autora, wydane w r. 1845 przez Żupańskiego, *Wiadomości o Konfederacyi Barskiej* Kaczkowskiego wydane przez tę samą księgarnię w roku 1843, *Zbiór wiadomości do historii sztuki lekarskiej w Polsce* doktora Ludwika Gąsiorowskiego, wzrosłe od roku 1839 do 1856 w objętość czterech poważnych tomów; przekład *Dziejów polskich* Jana Długosza przez Gustawa Bornemanna rozpoczęty w Lesznie r. 1840 nakładem Księgarni Günthera, przerwany z powodu zbyt rychłego zgonu zacnego tłumacza; *Obraz wieku panowania Zygmunta III* Franciszka Siarczyńskiego w nowem wydaniu księgarni Kamińskiego z roku 1843; zajmujące, wydane w roku 1845 z rękopismów Biblioteki Kurnickiej przez Lucyana Siemieńskiego *Pamiętniki o Samuelu*

Zborowskim... Postępując w podobnem wyliczaniu ukazujących się naówczas w Poznańskim wydawnictw treści historycznej, popadlibyśmy naszym opowiadaniem w *to* właśnie, czego uniknąć pragniemy. Rzecz nasza stałaby się katalogiem, kiedy zadaniem jej streszczanie rezultatów, odtworzenie zbiorowego, umysłowego i literackiego oblicza epoki. Niechaj to, cośmy powiedzieli i mimochodem wyliczyli, będzie dowodem wszechstronnego, rozbudzonego życia ówczesnego w Poznańskim i na polu *dziejowem*...

(Dokończenie nastąpi).

Seweryn Przerowa.

JULIAN KLACZKO.

WIECZORY FLORENCKIE.

II.

Beatrice i Poezya Miłości.

„*Cara Contessa*“ — rzekł *Marchese Arrigo*, kiedy następnego wieczora zeszli się znowu wszyscy na zwykłą rozmowę — niech mi wolno będzie zrobić jedną uwagę odnoszącą się do poprzedniego posiedzenia. (Przepraszam za ten sposób mówienia, przypominający naszych parlamentarnych gadułów z *Monte Citorio*). Dlaczego wczoraj, mówiąc o Dan-tem poccie, polityku, myślicielu, i chrześcijaninie, nie wspominał nikt, jakżeby umyślnie, o człowieku czułego serca i zakochanym? A przecież miłość zajmuje wielkie miejsce, zdaje mi się, w życiu i w dziełach poety, który mógł sam o sobie powiedzieć:

„... I'mi son un che, quando
„Amore spira, noto, ed a quel modo
„Che detta dentro, vo significando“¹⁾.

¹⁾

„Jestem ten, co kiedy
Miłość technie na mnie, i jak we mnie mówi,
Uważam pilnie i spisuję wiernie.“

Purgat. XXIV. 52, 54.

Czyż nie jako takiego właśnie zna go i sławi uczucie powszechne, ten instynkt ludzkości, który tak rzadko się myli? Zapytajmy tego instynktu, tego ogółu, co on wie i pamięta o Dancie? Nie, lub mało co o bitwie pod Campaldino, o Corso Donati i jego gwałtach, o Świętym Tomaszu i o jego filozofii, o Bonifacym VIII i o jego polityce, ale wie, że była Beatrix Portinari, i Dante jest dla niego przedewszystkiem jej kochankiem. Czemuż nie mamy lub nie chcemy przyjąć tego wyroku ludów i wieków? czemu upieramy się koniecznie szukać wytłomaczenia *tragedyi Dantego* w czem innem, jak w tem, co bywa najczęściej tragedją życia każdego z nas?

Hrabina. Jakto? czy naprawdę wierzysz Pan tak bardzo w wielką miłość Dantego do *Beatrice*?

Vicomte Gérard. Co Pani mówisz! Zgroza przejmuję na takie pytanie, na takie, chciałbym prawie powiedzieć, bluźnierstwo. Czy naprawdę wierzymy, że Dante kochał *Beatrice*? Jakto! umysł jeden z najwyższych, serce jedno z najszlachetniejszych, jakie ludzkość na chwałę swoją wydała, od lat najmłodszych pała miłością najczystszą do dziewczyny, dajmy na to nawet, że najpiękniejszej w świecie i najbardziej uroczej; ta dziewczyna staje się jego bóstwem, duszą jego duszy, jedynym przedmiotem jego myśli, jego natchnień, jego uniesień szczęścia i jego udręczeń; wysławiał ją, dopóki żyła na ziemi, a gdy umarła, wielbił jak świętą; imię jej podał wiekom i zrobił nieśmiertelnem, wystawił jej pomnik, jakiego nie miał ani Alexander, ani Cezar, ani Napoleon..., i to wszystko jeszcze nie dosyć? i to niczego jeszcze nie dowodzi? Czegóż wam więcej trzeba, istoty stworzone, na to, by nas zachwycać i dręczyć? Cóż was zdoła przekonać o szczerości i prawdzie naszych uczuć?

Hrabina. Wolne żarty, panie dyplomato, ale mój zdrowy rozum ani myśli przed niemi ustąpić. Mówmy rozsądnie, rzetelnie, i przywiedzmy sobie na pamięć fakta, jak się rzeczywiście miały, bez ogródek. Dante zakochuje się po raz pierwszy w Beatrix Portinari, mając lat dziewięć; trochę to zawcześnie, ale pozwólmy mu zresztą na tę poetyczną licencję. Widzi ją i opiewa: dobrze. Mówi z nią po raz pierwszy w latach ośmnastu i opiewa dalej. Potem ona zaraz idzie za innego, a on ani się gniewa, ani rozpacza, ani nawet martwi,

tylko w najlepsze opiewa wciąż. Ona umiera wkrótce, on lamentuje, opiewa bardziej niż kiedykolwiek, i czempredzej spieszy ożenić się z Gemmą Donati następnego zaraz roku po śmierci ubóstwionej Beatrice.

Gérard. Ożenił się! Jest! otóż mamy wielki dowód wielkiej zdrady Dantego! Cóż robić? prawda. Ożenił się nie-szczęsny, i nietylko że się ożenił, ale miał jeszcze sześcioro czy siedmioro dzieci. A gdybym zapytał, jak w tragedyi Corneilla „*cóż miał zrobić?*“ usłyszeliśmy niechybnie odpowiedź starego Horacyusza: „*Umrzeć!*“ „*Qu'il mourût,*“ Tak rozumują i tak rozumieją wszystkie kobiety, a mój przyjaciel Dumas miał pomysł genialny, kiedy jednej ze swoich wielkich pań kładzie w usta te słowa: „*Comment monsieur? Vous m'avez aimée, vous n'en êtes pas mort, et vous voulez que je Vous parle!*“

Hrabina. Radzę panu uważać, bo za zuchwalstwo może być kara. Gdybym też powtórzyła jednej z moich znajomych to, co Pan mówisz, i opowiedziała, jak Pan ładnie zaprzęgarz na parę miłość i małżeństwo, i jak zdajesz się rozumieć sztukę takiego powożenia... O mężczyźni, mężczyźni! wszyscy bez litości dla nas, a dla siebie z wyrozumiałością najłaskawszą, bezczelną. Wszyscy tacy sami, wszyscy, nawet ten wielki Alighieri, który sam żonie nie wierny, piętnuje biedną margrabinę d'Este za to, że drugi raz poszła za mąż i pozwala pierwszemu mężowi z samego nieba robić jej wyrzuty takie, że żadna kobieta nie może ich powtórzyć.

Marchese Arrigo.

Per lei assai di lieve si comprende
Quanto in femmina fuoco d'amor dura
Se l'occhio o il tatto spesso nol raccende ¹⁾.

Akademik. Tę sprawiedliwość przynajmniej oddajmy autorowi *Boskiej Komedyi*, że sam nigdy nie ukrywał swo-

¹⁾ Przez nią to łatwo zrozumieć, jak długo
Ogień miłości trwać może w kobiecie,
Gdy go nie żywi wzrok lub dotykanie.

ich miłosnych ułomności; a tylko surowi komentatorowie upierają się, wbrew jemu samemu, kłaść mu gwałtem wieniec enoty na głowę. On już w *Vita Nuova* wyznaje, że kiedy Beatrice zmarła, wkrótce jakoś, o mało że go w tym smutku nie pocieszyła jakaś *gentil donna*, która „z piętra przez okno“ patrzyła na niego z takim współczuciem, że „zdawałoby się, jakoby litość sama była się w nią wcieliła.“ Do tej litościwej *donny* pisane są przecież Sonety, najpiękniejsze może i najrzowniejsze z całego zbioru. A kto je przeczyta z umysłem nieuprzedzonym i nieskrępowanym formułkami, ten przekona się łatwo, że ona nie jest wcale allegorycznem wyobrażeniem filozofii, jak twierdzą niektórzy uczeni na wiarę jednego niejasnego ustępu z *Convito*, ale rzeczywistą kobietą z ciała i kości. Później znowu, w liście pisanym w pierwszych latach wygnania, prawdopodobnie w roku 1307, mówi Dante o swojej straszliwej miłości do jakiejś pani z Casentinu: „namiętność „ta zniszczyła wszystkie inne jego uczucia, wygnała je z jego „serca, odjęła mu wolną wolę i rozrządzanie sobą“ i puściła na wiatr jego „chwalebne postanowienie nie myślenia więcej o kobietach.“ Jeszcze później, choć ma już lat pięćdziesiąt, zwraca mu głowę jeszcze inna czarodziejka *Gentucca* z Lukki. I w Czyścicu samym, o kilka kroków zaledwo od tego Raju, w którym ma ujrzeć swoją Beatrice, każe sobie przepowiadać przez jakąś duszę pełną współczucia, że dla miłości tej Lukkezyjki polubi jej miasto rodzinne, choć o niem ludzie tyle zawsze mówią złego.

Hrabia Gérard. Ale to bardzo oryginalne! Połoba mi się ten pomysł, żeby przez pośrednictwo jakiejś pobożnej czyścicowej duszyczki zalecać się przedmiotom swoich affek-ów na ziemi. Gotówbym prawie za przykładem Dantego wybrać się w tym celu w podróż naokoło tamtego świata.

† *Don Felipe.* Nie radzę, bo możnaby czasem ugrzęznąć w pierwszym królestwie, w kole bluźnierców na przykład.

Akademik. Jakżeby zresztą można nie zważać na znaczenie zupełnie ziemskie i zmysłowe tych wyrzutów, któremi przyjmuje swego dawnego wielbiciela Beatrice, kiedy go spotyka na szczycie czyścicowej góry? W tych dwóch cudownych pieśniach (trzydziestej i trzydziestej pierwszej), które nazywamy zwykle spowiedzią Dantego, umiał on ze sztuką naj-

misterniejszą i nigdy przez nikogo nie przewyższoną, łączyć ustawicznie rzeczywistość z fikcją, przeplatać symbolami materialną faktyczną prawdę, zlewać znak zewnętrzny z rzeczą, którą on oznacza, i usnuć z tego tkaninę połyskującą, mieniącą się w oczach faktami i allegoryami. Beatrice jest tam niezawodnie tą *donna di virtù*, „przez którą jedynie wzniósł się ród ludzki“ ponad ziemskie strefy; wyobraża ona znajomość rzeczy boskich i najwyższą wiedzę, ale nie przestaje dlatego być sobą, dawną kochanką, dawną miłością, zawsze to Beatrix Portinari. Ona mu pokazuje wprawdzie swoją „drugą piękność“, tę, która śmiertelnym jest zakryta

„La seconda bellezza che tu cele“¹⁾.

A przecież przypomina mu mimo to, że „natura ni sztuka „nie wydały nigdy nic równego piękności kształtu, w którym „niegdyś mieszkała, a który dziś jest tylko popiołem.“ I ciągnąc dalej, każe mu się wstydzić, że „za pierwszym rzeczy zwodniczych postrząłem“ nie umiał „podnieść się ku niebu w ślad za nią,“ ale owszem tak często „skrzydła opuszczał,“ „czekając nowych strzał z oczu dziewczyny.“

Marchese Arrigo.

Mai non t'appressentò natura ed arte
Piacer, quanto le belle membra in ch'io
Rinchiusa fui, e che son terra sparte:

E se il sommo piacer sì ti fallio
Per la mia morte, qual cosa mortale
Dovea poi trarre te nel suo disio?

Ben ti dovevi, per lo mio primo strale
Delle cose fallaci levar suso
Diretr'a me, che non era più tale.

Non ti dovea gravar le penne in giuso
Ad aspettar più colpi, o pargoletta,
O altra vanità con sì brev'uso.

¹⁾ „Drugą twą piękność, którą przed nim kryjesz.
Purgat. XXXI. 138.

Nuovo augeletto due o tre aspetta
 Ma dinanzi dagli occhi de pennuti
 Rete si spiega indarno, o si saetta“ ¹⁾.

Akademik. Jeszcze jedna uwaga. Nie bardziej zajmującego, jak śledzić w *Boskiej Komedyi* i oznaczać stopień współczucia, jaki okazuje w niej Dante dla tych rozmaitych nędz ludzkich, których obraz złowrogi i przerażający roztacza przed naszymi oczyma. Jak żywo i z jakim przejęciem bierze on udział w cierpieniu potępionych lub żałujących! Ale to współczucie staje się najgorętszem tam, gdzie jego własne sumienie musi rzecz brać do siebie także na widok tych ułomności lub namiętności, których żądło on czuje w swoim własnem sercu. Bardzo ciekawy i charakterystyczny pod tym względem jest ten ustęp Czyśca ²⁾, gdzie on, znajdując się w kole zazdrosnych, twierdzi, że po śmierci nie będzie długo w tem miejscu przebywał, ale że boi się tych męczarni, które widział poniżej, *tormento di sotto*, czyli w tem kole, w którym się pokutuje za pychę. Natura taka, jak jego, z pewnością była wyższa nad nędzne popędy zazdrości, ale od pychy mogła nie być, a raczej nie mogła być wolna. To też wy-

¹⁾ „Nigdy natura ze sztuką złączona
 Rozkoszy takiej ci nie objawiła,
 Jak piękne członki, które mnie więziły,
 A które dziś już w proch się rozsypały.
 Jeśli więc moja śmierć odjęła tobie
 Rozkosz najwyższą, jakaż rzecz śmiertelna
 Żądzę twą mogła pociągnąć ku sobie?
 Za pierwszym rzeczy zwodniczych postrzałem
 Powinien byłbyś podnieść się ku niebu
 Wślad za mną, która już nie byłam taką.
 Nie należało nadół spuszczać pióra
 I nowych czekać ran z oczu dziewczyny,
 Lub innej równie znikomej próżności.
 Nowotny ptaszek czeka, aż doń strzela
 Dwa lub trzy razy, lecz przed okiem tego,
 Co porósł w pierze, próżno sieć rozkładać,
 Próżno nań z łuku ostre puszczać strzały.“
 Purgat. XXXI. 49—63.

²⁾ Purgat. XIII. 134.

znaje poeta, że z ciężkiem sercem i wielkim uciskiem w duszy — *l'anima carca* ¹⁾, przechodził przez okrag pysznych. A czy taksamo nie możnaby, czy byłoby zbyt śmiałem, dojrzeć myśli o sobie i jakiejś zgryzoty sumienia, w tem zawstyżeniu wielkiem, z jakim Dante patrzy na tych, co grzeszyli gniewem? czyż niczego nie dowodzi ten srom na jego twarzy, kiedy mu Wirgiliusz wyrzuca, że z upodobaniem słucha obelg i zniewag, jakie rzucają na siebie wzajem nieszczęśni potępienicy ²⁾. Jak delikatną, a jak ostrą razem naukę daje sobie przez usta swego mistrza ten człowiek, nad którego nikt nigdy nie chłostał z większą siłą i z większym geniuszem? Nigdzie zaś poeta nie okazuje tak się wzruszonym, nigdzie z tak głębokiem i bolesnem w duszy pomieszaniem i frasunkiem, jak w tych dwóch okręgach Piekła i Czystańca, gdzie są kary za grzechy cielesne. W pierwszym z tych okręgów mdleje i „pada jako martwe ciało pada“ — w drugim, zdjęty niewymownym strachem „stał jak człowiek, „którego żywceem w dół grobowy kładą“ ³⁾. Nigdzie indziej, powtarzam, w ciągu całej mistycznej pielgrzymki nie okazuje on się tak straszliwie przerażonym i nigdzie nie odzywa się z takim wyznaniem cichem a przejmującym, w którym myśl swoją zwraca oczywiście na siebie. Nie chcę być tak niemilosierdnie otwartym, jak Boccaccio, który w życiu Dantego mówi poprostu i bez ogródki o „niepohamowanej jego lubieżności“ ⁴⁾, ale w oględniejszych wyrazach powiem o nim to tylko, co on sam mówi o najpiękniejszym i najbardziej uroczym z bohaterów Iliady:

Che con amore alfine combatteo ⁵⁾.

Polak. Jabym mu już zresztą gotów darować te różne miłości i *del cta*, choć nie samej *juventutis* tylko, gdyby nie

¹⁾ Purgat. XII. 2.

²⁾ Infera. XXX. 130 et seq.

³⁾ Inf. V. 142. Purgat. XXVII. 15.

⁴⁾ Tra cottanta virtù, tra cottanta scienza, quanto dimostrato è di sopra essere stato in questo mirifico poeta, trovò ammissimo luogo la lussuria, e non solamente ne giovanili anni, ma ancora ne maturi.

⁵⁾ „Co walki nie uszedł z miłością.“ Inf. V. 60.

delikatność wyszukana i wymuszona w jego miłości do Beatrix Portinari. 'Dziś rano jeszcze odczytywałem *Vita Nuova*, i muszę wyznać, że tym razem znowu, jak zawsze, ile razy ją czytałem, wyniosłem z niej wrażenie rzeczy sztucznej, wymyślonej w głowie, a nie w sercu poczętej. Od samego początku zaraz ile tam przygotowań i przyborów! Poeta miał sen, w tym śnie widział swoje własne serce, gorejące i pożerane przez jakąś piękność uśpioną; ta piękność jest osłonięta zlekka suknią krwawego jakiegoś koloru i trzyma na rękę Amorka z groźnym i rozkazującym wyrazem twarzy. Potem udaje on się do swoich braci w Apollinie, żeby mu znaczenie tego snu wytłómaczyli, a oni, ma się rozumieć, spieszą uczynić zadość jego wezwaniu. Czy to wszystko nie wygląda raczej na jakiś konkurs literacko-pretensyonalnych *jeux floraux*, aniżeli na pierwszy rozkwit prawdziwej i wielkiej miłości w sercu młodem i dziewiczym? Gdzież jest ta instynktowa godność, ta wstydlivość nieświadoma siebie, gdzie te słowa mimowolne, wyrrywające się z serca i powstrzymywane zarazem, gdzie te wyznania bez wyznania pierwszej miłości, której niezrównanym i czarującym wdziękiem jest to, że ona razem objawia się i ukrywa? Niema ich ani na początku, ani w dalszym ciągu, kiedy poeta tak młody jeszcze, a już tak przebiegły, chce odwrócić uwagę w inną stronę i udaje, że sławi jakąś inną pannę, albo gdy dla tem pewniejszego zmylenia czytelnika pisze *sirvente* na cześć sześćdziesięciu najpiękniejszych kobiet z Florencyi, wymieniając wszystkie po nazwisku i to nie raz, ale kilkakrotnie; a w tej litanii, „eudownym jakimś przypadkiem,“ jak mówi, po każdych ośmiu przychodzi zawsze dziewiąte imię *Beatrice*. I tak w niezliczonych a sztucznych wymysłach i subtelnościach, których znaczenia i celu nieraz i zrozumieć trudno, w strofach pełnych dźwięków ale próżnych treści, pośuwa się naprzód to opowiadanie, w którego całym ciągu nikt nie dosłyszy ani jednej najmniejszej zmiany tonu, ani jednego przejścia z *majoru* w *minor* naprzykład. Jednostajność nieczem nieprzerwana, w której nie odznacza się nawet i od innych rozpoznać nie daje ta chwila, kiedy ubóstwiona Beatrice zostaje żoną innego. Śmierć jej tylko, sama jedna, sprowadza jakąś przecie modulację w tej nucie jednotonnej

aż dotąd i jednostronnej. Ma wprawdzie poeta akcent prawdziwego i rzetelnego uczucia, kiedy mówi, że po tej śmierci Florencyja wydaje mu się miastem wymarłym, i z biblijnym prorokiem woła: *quomodo sedet sola civitas plena populo!*; szkoda tylko, że mieści te słowa w Liście „*Do Księżąt i Panów tego świata*,” których kwapi się uwiadomić o swoim nieszczęściu, a przed tym widokiem i przed retorycznymi przyborami pierzcha wzruszenie, które już czytelnika opanować miało. I taksamo znowu przygoda z ową litościwą i pełną współczucia *gentil donna*, psuje wrażenie następnych Sonetów, poświęconych rozpamiętywaniu straty, którą z jednej strony ogłasza się za niepowetowaną, a z drugiej pokazuje jako tak powetowania blizką, że gdyby nie sen jakiś nowy stanął na przeszkodzie, niepocieszony kochanek byłby się jakoś pocieszył. A cóż dopiero mówić o mozolnym i ciężkim komentarzu, który te wszystkie kwiaty poezyi, same przez się już dość sztuczne i w pocie czoła wypracowane, zwiążuje razem, otacza, i swoim ciężarem do reszty przygniata? co mówić o tej allegoryi sztywnej i zimnej, która unosi się nad tem wszystkim, o tej dziwacznej a dziecinnej exegezie, która każde słowo objaśnia, w każdym coś dziwnego i nieledwie cudownego upatruje, i rzeczom zwyczajnym, jak liczbie *dziewięć* naprzykład, przypisuje nadzwyczajne znaczenie? Pierwszy raz spotkał swoją ukochaną w latach dziewięciu, drugi raz w ośmnastu czyli dwa razy dziewięciu: imię Beatrice wracało zawsze jako dziewiąte z kolei w owym *Sirvente* na cześć sześciudziesiąt piękności. Beatrix umarła, kiedy wiek dziewięć razy obiegł koło lat dziesięciu (to znaczy w roku 1290) i umarła w miesiącu, który jest dziewiątym podług kalendarza... żydowskiego! „A więc” — wnosi z tego wszystkiego czuły i rozpaczający kochanek — „Beatrix była dziewiątką, liczbą „cudowną, której pierwiastkiem jest ni mniej ni więcej, tylko „Trójca Święta sama; bo liczba *trzy*, pomnożona sama przez „siebie bez pomocy żadnej innej, daje *dziewięć*!” Tłómaczmy to, ile tylko chcemy, charakterem epoki, jej skłonnością do mistycyzmu, nie zdołamy przecież w nikogo wmówić, jakoby w tych arytmetycznych subtelnych conceptach słyhać było głos prawdziwego uczucia.

Marchese Arrigo. Ależ, mój drogi, nie zapominaj, że

prawie wszyscy poeci, mówiąc o miłości, wpadali w ten błąd, którym cię tak razi *Vita Nuova*. Sam Pretrarka przecież...

Polak. Na miłość Boską, szanujmyż przecież Dantego i nie mieszajmy w jego sprawę tego nieznosnego retora, który się nazywa Petrarka...

Marchese Arrigo. A to barbarzyniec! bluźnierca! obrazoburzca! Widać, że nie jest

„del bel paese là dove il si suona“ ¹⁾).

Polak. Naturalnie! Wiadomo całemu światu, że nie może ocenić Petrarki, kto nie urodził się Włochem, taksamo, jak Francuzi mówią, że ich Corneille i Racine przez tych tylko może być sądzonym i ocenionym, którzy się porodzą nad Sekwaną czy Ligierą. A w nawiasie mówiąc, Francuzi czy Włosi, nie wahają się mimo to weale zabierać głosu, ile razy im się podoba, z niemalą nawet pewnością siebie, w sprawie obcych poetów, i to nie tylko takich, jak Szekspir lub Göthe, ale i takich nawet, jak Homer, jak Sofokles, jak Aristofanes, którzy są im nierównie bardziej obcymi, niż jest Petrarka czy Corneille dla dzisiejszego wykształconego człowieka, z jakiegobądź on jest narodu i kraju. Przecież, choć nie Włochowi, niech mi się godzi zrobić co do autora Sonetów jedno zapytanie, to samo, które pani Hrabina miała odwagę zrobić co do Dantego: czy mamy doprawdy tak bardzo wierzyć w miłość Petrarki do Laury? Nie mówię o tem jakimś młodzieńczem uczuciu, które mogło być prawdziwem, a nawet żywem. Ale jakże mam wierzyć, że czuły śpiewak z Vaucluse pałał przez całe życie tysamym ogniem, tąsamą czystą i niezmienną miłością do czcigodnej matrony i matki jedenaściorga dzieci! On kochał Laurę taksamo, jak kochał Włochy, jak kochał Rienzego, jak kochał mnóstwo innych pięknych rzeczy; Laura, jak tamto wszystko, służyła mu za dobry pretext do rymowania dźwięcznych wierszy i piłowania dźwięcznych frazesów. Zręczniejszy nierównie od prostodusznego Dantego Petrarka umiał sobie doskonale radzić, i godzić razem, różne rzeczy niezgodne: płakać naprzykład

¹⁾ „Z pięknego kraju, kędy *si* podzwania.“

Inf. XXXIII. 80.

niad uciemieniem nieszczęśliwej Italii, a nie narazić się różnym jej większym i mniejszym ciemiezom; pioranować na zepsucie papieskiego dworu, tej „Babilony Zachodu,“ a przyjmować skwapliwie tłuste prebendy z rąk Awiniońskich Papieży. Umiał nawet stać się podziwem całego świata przez swoją miłość stałą i wierną, przez miłość do kobiety zameżnej, on, ksiądz, kanonik z Lombez, a w wolnych chwilach kochanek i innych także, i ojciec kilkorga dzieci, zrodzonych z niewiadomej jakiejś lub dziś zapomnianej matki.

Uczeni bywają czasem bardzo niebezpieczni, a ich uwielbienie miewa skutki fatalne! Swojemu ubóstwionemu Petrarce naprzykład oddali najgorszą usługę, ogłaszając dokumenta, z których dowiedzieć się każdy może, z kąd pochodziły jego dzieci naturalne, a zwłaszcza, co ciekawsze o wiele, jak się rodziły jego dzieci duchowe, te *Rime* tak wypracowane, tak wypolerowane, tak i tyle razy gładzone i pilowane! *Ubalдини* naprzykład — właśnie widzę tam na pulce jego książkę dziś bardzo rzadką ¹⁾ — albo *Foscolo* ze swoimi *Saggi*! Proszę mi pozwolić przeczytać z nich tylko jeden ustęp, ten, w którym Petrarka swoją własną ręką zapisuje, jak się nosił z jednym ze swoich Sonetów i jak go nareszcie urodził:

„Zacząłem ten Sonet przy boskiej pomocy dnia 10 września, o świcie, po rannych pacierzach. — Te dwa wiersze trzeba będzie przerobić, ułożyć je w innym porządku, a dla większej pewności prześpiewać je sobie: trzecia godzina zrana, 19go października. 30go października, o godzinie 10ej zrana: Dobrze, podoba mi się. — 20go grudnia, wieczorem: nie, — niepodoba mi się. Trzeba to będzie poprawić; wołają mnie na obiad. 18go lutego koło 9tej wieczorem: Teraz już zupełnie dobrze, jednak trzeba będzie jeszcze to przejrzeć. Innym razem, a miał wtedy lat sześćdziesiąt i cztery, 19go maja roku 1368, jak sam własną ręką starannie zapisał, wstaje w nocy po to, żeby *przerobić* Sonet, napisany przed laty dwudziestu pięciu na „rękawiczkę Laury.“ I wierzyć-że po-

¹⁾ Le Rime di M. Francesco Petrarca, estratti da un suo originale. Roma MDCXLII. *Ugo Foscolo*: Saggi sopra il Petrarca. Obadwa te dzieła podają wyjątki z rękopismów Petrarki, przechowywujących się w Bibliotece Watykańskiej.

tem w tę „furyę miłości,” która go niby pożerać miała, jak mówi, i w natchnionych wierszach wybuchała z jego serca! Taksamo, jak niemożna wierzyć w miłość Tassa do Leonory, kiedy się wie, że ona uczyła go sama, jak ma pozyskać łaski donny Bendidio, nie budząc podejrzeń zazdrosnego *cavaliere Pigna!*

A kiedy już zacząłem, to pójdę dalej, i z szorstką otwartością barbarzyńcy wyznam wręcz, że namiętności prawdziwej, wielkiej, potężnej namiętności, nie widzę nigdzie w waszych miłosnych poezyach, nie widzę jej nawet u waszych największych poetów. W ich Sonetach i *canzonich* widzę wiele sztuki, a jeszcze więcej sztuczności, ale głębokiego i prawdziwego uczucia mało. Tasso igra szczęśliwie ze słowami i zestawia Leonorę z *le onore*, jak Petrarca z upodobaniem mówi o Laurze i o *laurze*, jak Dante uporczywie szuka jakiegoś tajemniczego związku między swoją Beatrice a *dziewiątką!* Wszyscy igrają najspokojniej z tym ogniem, który ich nibyto ma pożerać, wszyscy przyglądają się sobie z upodobaniem, i cieszą się, że im do twarzy z temi tęsknotami, miłosnemi omdleniami i łzami. A ta choroba miłości, na którą skarżą się wasi poeci, tak mniej-więcej, jak skarży się na podagrę stary emeryt hulaszczego życia, który, mimo podagry, żyje długo i umiera z jakiegobądź powodu, nie mającego nic wspólnego z jego chronicznem cierpieniem: ta choroba, *ce mal d'amour*, jak oni mówią, jest chorobą dość niewinną, a przytem elegancką wcale, modną, która w świecie robi doskonały efekt i choremu dobrze przystoi. *Francesca* w czterech tylko terzinach opowiada o owym pierwszym nieszczęsnym pocałunku, a w tych słowach o ileż więcej jest uczucia, namiętności, poezyi, niż we wszystkich razem Sonetach z *Vita Nuova!* Ile tam prawdy, ile cierpienia, ile wstyd iwości w tem krótkim opowiadaniu, krótkiem, bo trzeba było korzystać z chwili, kiedy nadstał wicher piekielny, i ukraść burzy tę chwilę czasu. Ale to opowiadanie zostawia burzę w sercu czytelnika, a za te dwanaście wierszy pełnych łez, które nie oschną nigdy, oddałbym całe tomy *Canzon* i Sonetów.

Rozumiem tych, którzy dają się oczarować wdziękiem erotycznej Muzy Starożytnych: zmysłowa i lubieżna, jest ona przynajmniej młoda, rozpłomienioną, porywającą. Cała z in-

stynktów i z popędów tylko, przemawia potężnie do zmysłów a na rozswagę nie zostawia czasu; przenosi w jakiś świat wiecznie młodzieńczy, w te jak dobitnie mówi Göthe „bohaterkie wieki, kiedy bogowie kochali się i boginie, kiedy „za pierwszym spojrzeniem szło natychmiast pożądanie, a za „pierwszem pożądaniem rozkosz ¹⁾.“ Rozumiem także, i jeszcze łatwiej, że ktoś da się wzruszyć i porwać tym tonem ponurym, gwałtownym, jaki nadaje zachwytom i zawodom swojej miłości Byron, albo Musset, albo i niejeden inny z naszych nowszych poetów: oni tak umieją łączyć swoje własne uniesienia i rozpacz z aspiracyami i ze zwątpieniami każdego i wszystkich, że ludzkość sama, że wiek cały, jak chór jakiś żalem przejęty grzmiącym echem wturuje ich pieśni, ich osobistemu uczuciu. Ale zkądże i kto może zdobyć się na współczucie dla cierpień czy uniesień waszych sonetystów włoskich, kiedy te uniesienia takie dziecinne i drobne, te cierpienia takie wyszukane i sztuczne, a cała sfera ich natchnień taka najczęściej ciasna i jałowa! Beatrix spotyka się gdzieś przypadkowo z Dantem i nie oddaje mu ukłonu czy nie odpowiada na jego powitanie: ten ważny ewenement dostarcza wątku i natchnienia do Sonetu, do Ballady, i jeszcze do snu, w którym Amor sam przychodzi wyjaśnić rozpaczającemu poecie powody tego nieporozumienia, a tę Amor do tego zaczyna swoją przemowę po łacinie! Innym razem Beatrix przechodziła przez ulicę, a kochanek poznał ją po samem tylko drzeniu swego serca, naraz opadło go takie wrażenie, jakby cała jego istność rozpływała się w nicłość, – przedstawiała być. Przed ubóstwioną szła jej przyjaciółka która nazywała się Joanna, a czyż nie Jan także było imię tego który szedł przed Zbawicielem świata i prostował jego drogi? Laura znowu, upuściła raz rękawiczkę: Petrarka ją podniósł ma się rozumieć, i w trzech po kolei sonetach, bardzo misternie wypracowanych, rozbierał kwestyę mniej lub więcej prawnego posiadania tej cudzej własności: jeżeli odda to co ukradł, czy on wtedy nie okradnie siebie samego? A

¹⁾ In der heroischen Zeit, da Götter un Göttinnen liebten
Folgte Begierde dem Blick, folgte Genuss der Begier.
Röm. Elegien III.

gdyby mógł jeszcze ukraść i welon Laury! ten welon najszczęśliwszy a przeklęty, który oblicze Laury osłania a przed nim je nieraz zasłania! A dopieroż zwierciadło! ten „wróg zawzięty“ który pokazuje Laurze jak jest piękną, i sprawia, że ona tem okrutniejszą się staje im się bardziej czarującą widzi! Kiedyindziej znowu Laura choruje, niespokojny kochanek drży o jej życie, i.... troszczy się o miejsce jakie ta *anima gentil* w razie nieszczęścia zajęłaby w niebie: na której planecie zamieszka Laura po śmierci? czy na Wenerze, czy na Merkury? czy na Jowisz, na słońcu, albo na Marsie? Nie: nie na Marsie, Mars jest za srogi dla duszy tak tklivej. Ale na jakąkolwiek dostałaby się gwiazdę, zaćmi zawsze każdą swoją nieporównaną jasnością!... Nie będę już dalej ciągnął tej analizy: przypomnę tylko, jak starannie unikają sonetyści wszelkiego tonu silniejszego, gwałtowniejszego, wszelkiego wykrzyku namiętności. Jak naprzykład nie odezwie się u nich krzyk mimowolnie wydzierający się z serca szarpanego zazdrością lub zakrwawionego zdradą? Kochają się wszyscy, a przynajmniej mówią że się kochają, w kobietach które mają mężów, a prócz tego otoczone są hołdami najświetniejszych, najbardziej niebezpiecznych *cavalieri*, jakich miało ówczesne płoche i lekkie towarzystwo. Oni tymczasem zazdrośni nie są wcale! niepokoje zazdrości, wściekłość miłości zdradzonej, to uczucia zbyt gwałtowne, zbyt niesforne i dzikie, żeby mogły znaleźć miejsce w poezyi złożonej z samych tylko słodkich uśmiechów i cichych westchnień, z samych czułych komplementów i wyszukanych *concetti*.

A tem mniej dopiero dałby się w tej poezyi znaleźć ślad choćby najłżejszy tej męskiej energii i moralnej powagi, tej walki obowiązku z namiętnością, sumienia z pociągami zmysłów, która jest ostatecznie głównem zadaniem człowieka i jego prawdziwą godnością. Fakt to tem dziwniejszy, że ci sami poeci kiedy wychodzą ze swojej oficjalnej roli śpiewaków miłości, w swoich zwierzeniach istotnych i szczerych, Tasso naprzykład i Petrarca, w swoich listach i w swoich pismach prozaicznych, nie okazują się wcale tak wolnymi od skrupułów i zgryzot sumienia: owszem, wyrzucają sobie nieraz i czasem gwałtownie nawet, swoje występne zapamiętały. Ale w ich

poezyi ani śladu tych wahań czy walk; w poezyi owszem miłość występuje jako bóg świata: jako jedyny bóg prawdziwy, pan samowładny i prawowity, a człowiek powinien go słuchać i poddać mu się bez pytania i restrykcji, z zupełnem wyrzeczeniem, wyzuciem się siebie samego to — jego obowiązek i jego chwała! Te „strzały zdradliwe,“ *sagette d'amor*, o których oni ustawicznie mówią, nabierają przez to wielkiego podobieństwa do tych strzał zatrutych, które Indianie zapuszczają straszliwem *curare*: jak tamte paraliżują, zabijają w człowieku wolę, siłę, zdolność ruchu i działania, a zostawiają tylko *tkliwość*. Tkliwość, ten przymiot wyłącznie kobiecy, staje się tutaj głównym jakoby obowiązkiem i pierwszą cnotą mężczyzny; mężczyzna nie walczy, nie opiera się, nie działa, tylko z największym pośpiechem i upodobaniem ogłasza wszem wobec, że jest w stanie najzupełniej biernym; co więcej popisuje się z chlubą tem, że jest tylko tklivym, wrażliwym i nerwowym; a ta dziwna i dziwaczna przemiana ról między mężczyzną a kobietą, nieledwie przemiana płci, jest jednym z rysów najbardziej charakterystycznych ale i najbardziej wstrętnych tej miłosnej poezyi. Kobiety to rzecz, i jej prawo, z jednego uczucia, z jednego przywiązania, zrobić wielką sprawę całego życia: jej to natura przyłgnąć, poddać się, poświęcić się i słuchać; i jej to niezrównany wdzięk że potrzebuje wzruszyć się, rozrzewnić, rozczulić, i wszystko do swego serca odnosić i przymierzać. W Sonetach tymczasem i w całym tym świecie sonetowej poezyi i sonetowej miłości, własności te stają się koniecznemi. obowiązkowemi przymiotami mężczyzny, kochanka; to on powinien płakać, trząść się, mdleć, bać się wszystkiego aż do snów nawet; on ma sobie za zasługę uległość, absolutną pokorę, cierpliwość niezmordowaną, on chce, żąda, ma sobie za szczęście i za obowiązek wyzuc się z siebie samego, roztopić się, rozplynać się w ukochanym przedmiocie swoich zapalów. Kobieta naodwrot ukazuje się tam jako istota silna, ona ma przymioty męża, ma spokój, ma władzę nad sobą, umie zachować tajemnicę swego serca, dba o swoją godność przynajmniej, jeżeli nie zawsze o swój obowiązek: ona jest *donna*, *domina*, ona jest *panią*, i panuje, góruje nad mężczyzną z wysokości tego empyreum, w którym ją postawił. Że w tem wszystkim bywa nieraz i nawet często

i wdzięk, i gracya, i niepospolita jakaś *morbidezza*, któżby śmiał przeczyć. Ale kiedy *Percy* rozczuła się i mięknie a *Porcya* lub *Imogena* zbroi się w mężką energię i stałość, to taka przemiana ról i charakterów pod tym tylko warunkiem może się podobać i wzruszyć, żeby była wyjątkową i nie trwała długo: przeciągnięta po za zakres przemijającej i wyjątkowej sytuacji, zamieniona w stan stały, w regułę, w zwyczaj, ona stałaby się oznaką i miarą jakiejś chorobliwej perturbacji moralnej, niemniej groźnej i zgubnej dla sztuki, jak i dla życia samego; a te strofy wspaniałe, w których *Petrarka* oplakuje niewolę swojej Italii, wydawałyby mi się nierównie piękniejszemi jeszcze, gdyby nie były pomieszane z tysiącami wierszy na cześć tych „więzów miłosnych,“ które najwięcej może ze wszystkiego przyczyniły się do odhartowania Włoch i do utrwalenia ich niewoli politycznej.

Hrabia Gerard. Co on mówi! co on sobie myśli? ten północnik z kraju śniegów i lodów. I ty, *Marchese*, słuchasz cierpliwie tych bezbożnych herezj?

Marchese Arrigo. Ja mówię z boskim *Dantem*:

O Settentrional vedovo sito

Poichè privato se' de mirar quelle ¹⁾

Polak. Gdyby przynajmniej ta poezya mogła dokazać choć tego żeby dawała nam uczuć i poznać wdzięk tych kobiet, które sławi i ubóstwia! żeby chociaż dawała o nich jakiegokolwiek wyobrażenie! Żeby bodaj tylko próbowała wtajemniczyć nas w ich życie i obudzić współczucie dla ich losów? żeby była zdolna wbić nam w pamięć czy w wyobraźnię wrażenie przejmujące i silne, zarysy wyraźne, obraz pociągający i żywy tych różnych *donne gentili*, tak, jak to umie robić *Catullus*, *Göthe*, albo *Heine*, kiedy mówią o swoich kochankach! Ale czy ktokolwiek może, choćby z najdalsza, domyślać się tylko, jaka być mogła ta *Lea* czy ta *Lucia*, o której prawi *Boccaccio*? A ktoby chciał wyobrazić sobie *Beatrice*, czy ma potem jakikolwiek najmniejszy rys czy

¹⁾

Wdową ty jesteś o północna strono,
Kiedys widoku tych gwiazd pozbawiona.

Purgat. I. 25, 27

wskazówkę? Nie, tylko oliwną gałązkę, biały welon, zielony płaszcz, suknię ognistego koloru, w jakich ona ukazuje się w Raju ¹⁾. A ten wielki spór toczący się tak długo o to, czy były trzy Leonory, czy mniej albo więcej, czy były dwie Lukrecye, czy dwie Vittorye także, czyżby on mógł być powstać, gdyby nie ta bezcielesność i bezkształtność kochanki Tassa, który z umysłu niejako sadził się na to, żeby zatrzeć i ukryć wszelkie podobieństwo, wszelki obraz tego bóstwa, które czci i nam z sobą czcić każe? Na czterysta sonetów, *canzon*, ballad, seksten, i madrygałów, z których się składa *canzoniere* Petrarki, znajdzie się może zaledwo trzydzieści, w których jest mowa o czem innem, nie o miłości. Zresztą cała ta ogromna masa wierszy, do której jeszcze dodać trzeba jego *Trionfi*, poświęcona jest wyłącznie i jedynie chwale miłości i Laury. Tymczasem, niech kto szuka jak chce, nie znajdzie w tem mnóstwie strof ani jednego rysu, z którego mógłby powziąć najlżejszy cień wyobrażenia o charakterze, umyśle, uczuciach tej kobiety, ani jednej najmniejszej alluzji do jej stosunków i okoliczności jej życia, nawet tego się nie dowie i nie zgadnie, że miała męża! W całych trzech sonetach nie mówi Petrarka o niczem tylko o portrecie Laury malowanym przez Szymona Memmi; a niech kto z tych sonetów domysli się choćby tylko, jakie Laura miała włosy? I doprawdy nie można się tak bardzo dziwić okrzyczanej szkole Rossettego ²⁾, że chciała dowodzić, jakoby te wszystkie kochanki, do których wzdycha Dante, Cino, Petrarka i Boccaccio, nigdy nie były na świecie, że chciała uważać te wszystkie *donne gentili* za tajemnicze tylko znaki jakiegoś wolno-mularskiego niby języka, jaki ułożyć między sobą i w jakim rozumieć się mieli poeci włoscy XIII i XIV wieku. Umyślna i systematyczna mglistość konturów, rysunek z zamiaru niewyraźny i zatarty, najzupełniejszy brak życia, plastyczności i kolorytu, w figurach tych kobiet tak hojnie przez poetów obdarzonych chwałą, a życiem tak skapo, mogły, a może nawet musiały naprowadzać ludzi na domysły i przypuszczenia tak dziwaczne. Tak samo, jak

¹⁾ Purgat XXX. 3, I 33.

²⁾ Gabriele Rossetti, *Sullo Spirito antipapale dei classici antichi d'Italia*. Londyn 1832.

one także sprowadziły ten fenomen dziwny, niezaprzeczony a bardzo znaczący, że kochanka Dantego wydaje nam się nierównie bardziej rzeczywistą i żyjącą w *Boskiej komedyi* aniżeli w *Vita Nuova*. Pochodzi to ztąd, że tam Beatrice występuje szczerze i jasno jako abstrakcyja, jako ideał; z kobiety, która niegdyś żyła na ziemi pozostał co najwięcej cień i wspomnienie tylko, ona w *Boskiej komedyi* jest poprostu duchem bez ciała, figurą symboliczną, i jako z taką oswajamy się z nią łatwo, i rychło uczymy się podziwiać jej powiewne, przejrzyste, a jednak stałe i wyraźne zarysy. W *Sonetach* przeciwnie: Beatrice drażni nas i korci, robi wrażenie zagadki, anonimu, postaci zamaskowanej czy mitycznej, osobistości fikcyjnej, jeżeli nie jakiejś erotycznej mrzonki poprostu, jakiejś miłości i jakiejś kobiety, która być-by mogła albo być może, ale nie jest, która jak mawiali scholastyczni filozofowie, ma być *in potentia* ale nie *in actu*. I wrażenie to samo robią wszystkie heroiny wszystkich tego czasu poetów miłości.

Hrabina. Tego już zanadto! Ten bezbożny Sarmata doprowadzi mnie do rozpaczny swojem zuchwalstwem. Kiedy pokornie ośmieliłam się wyrazić niejaką wątpliwość co do miłości Dantego, nie przewidywałam, że dam hasło do takiej zacieklej napaści na wszystko, co się u nas najbardziej podziwia i kocha. Odwołuję się do was, panowie, którzy nie jesteście Włochami, zniewieściałymi pod wpływem wierszy Petrarki, odwołuję się przedewszystkiem do członka Akademii Francuskiej, czy potwierdzi klątwę rzuconą przez tego Scytę?

Akademik. Z pewnością nie. A to tem mniej, że urodzony w Prowancyi, jestem tu jedynym reprezentantem tego kraju, w którym urodziła się ta poezya miłości, tak surowo tu osądzona. A do wyjaśnienia sprawy potrzeba istotnie i koniecznie przypomnieć czas i kraj, w którym poczęła się ta poezya, trzeba ciągle mieć na myśli i przywodzić na pamięć sztukę trubadurów. Sztuka to dziwna, rozwijająca się nie wiedzieć jak i zkąd, pośród powszechnego barbarzyństwa i ciemnoty, na małym uprzywilejowanym kawałku ziemi, wśród pokolenia już płochego i wykwintnego, któremu się bardzo dobrze działo, pod wpływem i na tle tych *cours d'amour*,

gdzie wielkie a może i pełne wdzięku panie dyskutowały z wielką powagą o kwestych takich, jak na przykład: „Czy może być miłość prawdziwa między żonatym mężczyzną a kobietą zamężną?” — albo: „Czy panna, enotliwym afektem przywiązana do kawalera, jeżeli potem posła za innego, ma prawo odrzucać holdy owego pierwszego i nie świadczyć mu tych łask, których mu nie odmawiała przed swoim zamężciem?” — albo jeszcze: „Co lepsze dla małżonka? być zwiedzionym przed ślubem czy po ślubie, *en herbe* czy *en gerbe*,” jak mówił Des Periers.

Hrabia Gérard. Ale to widać musieli być jacyś rozumni ludzie, ci ludzie z XII wieku!

Hrabina. Kto Panu dał głos? — do porządku!

Akademik. Pomijam liczne podobieństwa, jakie zachodzą w sposobach pisania i w budowie wiersza pomiędzy poetami miłości we Włoszech i w Prowancyi; pomijam ten sam wspólny im inwentarz obrazów, porównań, i stale przyjętych wyrażań, i to upodobanie dziwaczne, jakie jedni i drudzy mają w grze słów, te *bisticci*, te alliteracye, te powtarzania, te umyślne i wyszukane niejasności, to *chiuso parlare*, którego hasło dał Petrarca w sławnym i tyle już objaśnianym wierszu:

Intendami chi può, ch'i'mi'tend'io ¹⁾.

Nad jednym tylko zatrzymać się muszę cokolwiek dłużej, to nad tem, co możnaby nazwać literackim obyczajem poetów w obu tych krajach: nad przyjętymi sposobami i zwyczajami, które zachowują w samej pracy tworzenia i w kompozycyi — nad samem ich pojęciem swego zawodu i sztuki. Wydaje się komuś dziwnem, że Dante, Petrarca, albo Tasso, tak się głośno oświadczały i popisywały otwarcie ze swojemi uczuciami; że jeden z nich prosił swoich braci po Apollinie, żeby mu tłómaczyli jakiś sen, albo książętom i panom świata donosił o śmierci swojej kochanki; że drugi piłował bez końca swoje Sonety i tuzinami rozsyłał je swoim przyjaciółom i protektorom; albo że trzeci chodził do całego areopagu księ-

¹⁾ Mniejsza, czy będę zrozumianym; ja siebie rozumiem. Petrarca. Canzone IX.

zniczek i pań dworskich radzić się, jaki ma dać zwrot tej lub owej strofie, w którą chciał przelać swoje ogniste uczucia? Taki niechże sobie przypomni, że nie inaczej robili w wieku XII i XIII wszyscy poeci z Tuluzy, z Narbonne, z Aix, wszyscy mistrze tej sztuki, którą nazywano *gaie science*. *Gay saber*, to była urzędowa nazwa tej rymowanej *galanteryi*, która miała swoje prawidła, nieledwie swój kodeks; a pierwszy Sonet z *Vita Nuova*, i to w nim wezwanie do wszystkich tokańskich poetów¹⁾, nie wyda się dziwnem temu, kto zna choć te *tensony*, tak miłe prowancim poetom, tak odpowiednie rodzajowi ich usposobienia i smaku... Skarżymy się, że wszystkie te postacie: Beatrice, Laura, Lia, Leonora, grzeszą niby umyślną i systematyczną mglistością konturów, rysunkiem niewyraźnym i zatartym, brakiem życia, plastyczności i kolorytu, oburzamy się na tę cechę „bezcieslesności i bezkształtności“, jaką nosi na sobie sztuka poetów, wysławiających *le donne gentili*? Ależ pomyślmy przecie, że u trubadurów było to właśnie regułą, prawem, że oni mieli sobie za obowiązek zachowywać jak najściślejszą dyskrecyę względem „damy swoich myśli“, że jej opis mieliby sobie za grzech, za wstyd każdą najmniejszą aluzję do jej stosunków, do jej rodziny i domu, taksamo, jak mieli za świętą powinność nie wspominać nigdy o swoich własnych żonach i rodzinach, i o swoich dla nich uczuciach. Na ten ostatni wzgląd zwłaszcza chciałbym zwrócić uwagę tych wszystkich niezliczonych krytyków, którzy nie mogąc zrozumieć, dlaczego Dante nie mówi nigdy o swojej żonie, podzielili się na dwa nieprzyjacielskie obozy i jedni szarpiają bez litości, a drudzy bronią zapamiętałe biedną Gemmę Donati, o której ani jedni, ani drudzy (jak wszyscy inni zresztą) nie zgoła nie wiedzą. Niejeden spór może podobnie ustałby sam z siebie, gdyby

¹⁾ A ciascun alma presa, e gentil core
 Nel cui cospetto viene il dir presente,
 A cio che mi riscrivan suo parvente
 Salute in lor signor, cioè Amore.

Sercom, które kochania znają błogie technienie,
 Jeśli te słowa przed oczy im staną,
 Abym odpowiedź miał przez nie przysłaną:
 W miłości — Panu ich — ślę pozdrowienie.

krytycy raz przecie raczyli zestawiać bliżej i porównywać staranniej dwie literatury, z wielu miar do siebie podobne, a podobne zarówno w swoim rozkwicie, jak i w upadku. Bo samo nawet niezliczone mnóstwo sonetystów bez talentu, ta plaga poezyi włoskiej, widziało się już przedtem nad brzegami Durancyi i Sorgi, a już w XIII wieku skarży się jeden poeta, że trubadurowie mnożą się ze wszech stron i psują rzemiosło, „mnożą się,“ mówi, „jak króliki; istny zalew,“ przed którym niewiedzieć gdzie uciekać.

Ale w niczem niema tak bliskiego podobieństwa i w niczem trubadorowie nie byli takimi wzorami i mistrzami dla poetów erotycznych włoskich, jak właśnie w tej rycerskiej czci kobiety, w samym ogólnem pojęciu miłości i *galanteryi*. Te *wieży miłości*, które nasz przyjaciel tak gorzko wyrzucał Petrarce i jego szkole, to było właśnie pierwsze przykazanie, pierwszy artykuł kodeksu szkoły prowanckiej. Stosunek miłości jest tam taki, jak stosunek lennika do zwierzchnego pana; cała zasługa, cała wartość, cała cnota kochanka zasadza się na uległości najpokorniejszej, na posłuszeństwie wier-nem, ślepem, zaprzysiężonem i niezachwianem, dla samowolnych rozkazów Pani, prawie zawsze okrutnej. Że stosunek taki musiał oczywiście być produktem kultury, a nie natury towarzyskiego i literackiego zwyczaju, a nie uczucia, to wskazuje sam rozum i natura rzeczy, a badanie cokolwiek tylko uważne świadectw i dokumentów współczesnych, wyjaśnia to i stwierdza do reszty. Średniowieczny kochanek, ten wassal poddany swojej pani, podobny był do tego porządnego człowieka, który w wieku XVII nazywał się we Francyi *l'honnête homme*, a dziś nazywa się *le galant homme*: a jego poddańcza wierność i poddana miłość nie więcej w gruncie miała znaczenia i skutku, jak zwykłe dzisiejsze salonowe zalotności. Trubadur był prawie zawsze rycerzem, nosił kolory jakiejś damy, bo mu to „przynosiło chlubę“ w zawodzie rycerza i w zawodzie śpiewaka; bardzo często ani pomyślał o jakiej za swoje wierne służby nagrodzie, a czasem w życiu swoim ani widział tej pani, której ogłosił się sługą. Tak Godfred Rudel na przykład, książę Blaye obrał sobie za *panią* i przez całe życie opiewał Hrabinię z Tripoli, której piękność i cnoty sławili wracający z za

morza pielgrzymi, a którą sam w ostatniej chwili życia dopiero miał zobaczyć. Sławny Blacas zapytuje w znanym tonsonie drugiego trubadura Rambaud de Vaquieras: „Cobyś „wołał, Rambaud: czy żeby dobra pani uszczęśliwiła cię „swoją miłością, ale tak, iżby nikt o tem nie wiedział, albo, „żeby dla twojej chwały dawała ludziom do zrozumienia, że „jest na ciebie łaskawa, a ty prócz chwały nie miałbyś z tego „nie?“ Rambaud odpowiada wprawdzie, że „wołałby miłą „rozkosz pociechu, niż próżny pozór i chlubę bez rzeczy,“ ale Blacas, ten wzór wszystkich doskonałości prawego rycerza, łaje go za taką odpowiedź i twierdzi, że „głupcy tylko wzię- „liby taki wybór za mądry, a *znawcy* poczytaliby go za szaleństwo.“

Hrabia Gérard. To bardzo głębokie! co to za mądrzy ludzie byli...

Hrabina. Powtarzam, że pan nie masz głosu.

Akademik. Jeden ze znawców także tej *gaie science*, i z tych, którzy zbadali ją najlepiej, tak streszcza ostatecznie swój sąd o literaturze prowauckiej: „Ogółem wzięta, jest ona „daleko więcej poezją wymysłu i sztuki, aniżeli poezją uczucia. Miłość, tak, jak się wyraża w ówczesnym i tamtejszym „*Canso*, jest naprawdę poetyczną fikcją tylko, pretekstem do „pisania wierszy. Za przedmiot swoich pieśni brał sobie trubadur jakąkolwiek damę, która mu się najgodniejszą zdawała: czy ona zamężna czy nie, to mu było wszystko jedno, „bo o wzajemność nie chodziło mu prawie nigdy. Jedna i „druga strona myślała w tym stosunku o jednej tylko rzeczy „i jednej pożądała: chluby“ ¹⁾. I taksamo też, dodałbym, Petrarka pożądał nadewszystko *lauru*, a Tasso *le onore*.

Bo poezya miłości we Włoszech, nigdy tego dość powtarzać i przypominać nie można, pochodzi w prostej linii od *gay saber*. Pierwszymi poetami, jakich po upadku Cesarstwa i po napadzie barbarzyńców poznała ojczyzna Horacyusza i Virgila, byli właśnie trubadorowie południowej Francji. Ci wcześniej bardzo nauczyli się drogi przez Alpy, a kiedy wybuchało prześladowanie Albigenów, tłumami wynosili się na drugą stronę. Pierre Vidai, Rambaud de Vaquieras, Faidit

¹⁾ Diez: Poésies des troubadours. 136—137.

Hugues de Saint Cyr, Aimeric de Peguillham i wielu innych, przeszli do Włoch i wprawiali po kolei w podziwienie dwory włoskie w Palermo, w Mantui, w Weronie, swojemi pieśniami w prowaneckim języku. W tym języku przecież składać także zaczęli swoje pierwsze rymy poeci Włoch północnych, Nicole z Turynu na przykład, Boniface Calvo z Genuy, Pierre de Caravana, Laufranc Cigala, a nadewszystko sławny Sordello z Mantuy, którego imię stało się głośnem we Włoszech i Francyi i aż do Arragonu i Kastylii. Ten to Sordello także, jeden z pierwszych próbował rymów w mowie ojczystej, w tej *lingua vulgaris*, jak ją wtedy nazywano; ale jego współzawodnicy i następcy, nawet kiedy rzucili zupełnie obce narzecze i we włoskiem tylko wiersze składać zaczęli, — w czem Sycylianie zresztą znacznie ich wyprzedzili — to i wtedy jeszcze wiernymi pozostali swoim pierwotnym wzorom i ideałowi rycerskiej miłości. Wielecy zaś poeci włoscy z XIII i XIV wieku wiedzą doskonale i mówią bez wahania o pochodzeniu prowaneckiem swojej poezyi; przyznają je otwarcie, dobrodusznie i z gotowością nierównie większą, niż je przyznawać chcą dzisiejsi włoscy krytycy. Dante zwłaszcza nie szczędzi nam pod tym względem zeznań i świadectw najwyraźniejszych i najbardziej stanowczych. Naprzód, sam jedną swoją *canzone* napisał w trzech językach: po włosku, po łacinie i po akwitańsku ¹⁾. W książce *De Vulgari Eloquentia* mówi z takim samem prawie uszanowaniem o poetach prowaneckich, co o wielkich autorach starożytnych. W XXVI pieśni *Czyśśca* Guido Guinicelli, najznakomitszy z poprzedników Dantego w poezyi włoskiej, nie przyjmuje pochwały za swoje „słodkie wiersze“ — *dolci detti* — tylko wskazuje palcem innego przed sobą, który „lepszym był daleko mistrzem od niego w macierzystej mowie,“ a tym lepszym mistrzem jest: trubadur, Arnaud Daniel, który odpowiada trzema terzinami, napisanemi w najczystszej prowaneckiej narzeczu. Któż nie pamięta tego ustępu z szóstej pieśni *Czyśśca*, w którym spotykają się Virgiliusz i Sordello; spotkanie to, to epizod jeden z najwspanialszych, jakie są w Boskiej Komedyi ²⁾. Ale mało

¹⁾ Canzone: Ai fals ris! per que traitz avetz etc.

²⁾ Purgat. VI. 70 i seq.

który czytelnik zwraca uwagę na to, że od tej chwili Sor-dello z Virgiliuszem razem staje się towarzyszem wędrówki mistycznego pielgrzyma i jego przewodnikiem aż do bram Czyścea. Widać z tego, jak wysoko stawiał Dante Mantuańskiego trubadura, i widać także, że chciał w ten sposób spłacić dług wdzięczności, do jakiego się poczuwał względem prowanekich poetów.

Nie idzie zatem, żeby poezya miłości była dobrze wyszła na tem swoim przeniesieniu na grunt włoski. We Włoszech naprzód rycerstwo nie było nigdy, jak gdzieindziej, rodzimą wielką instytucją; duch wojen krzyżowych, system feudalny, wszystko to było im obce, a ich narodowe życie objawiało i rozwijało się w kierunku wprost tamtemu przeciwnym, w żywotności i wielkiej czynności miast, małych okręgów, gmin, w bujnym rozkwicie munięypiów. Miłość rycerska, sama przez się dość już konwencyonalna i sztuczna nawet u prawdziwych rycerzy, u ludzi czynnego wojennego powołania i ducha, jakimi byli akwitańscy trubadorowie, kiedy się dostała w świat mieszczański i w ręce ludzi nauki i pióra, musiała stać się nierównie jeszcze bardziej sztuczną i konwencyonalną. Za to były znowu Włochy, i oddawna, w posiadaniu obszernej wiedzy, o jakiej ani słyszała, ani o nią dbała ojczyzna trubadurów; pyszniły się swojemi szkołami Salernitańskimi, Bonońskimi, Padewskimi, i swojemi wiadomościami w rzeczach literatury starożytnej, mythologii, prawa, filozofii scholastycznej, i temi swojemi wiadomościami zaczęły się zaraz popisywać przy każdej sposobności, nawet w płodach swojego *bello stile*. Ale czy to wprowadzenie pierwiastków allegorycznych i dydaktycznych do poezyi było szczęśliwą innowacją i wyszło jej na dobre, to wielkie pytanie. I to jeszcze powiedzieć trzeba, że *gay saber* pod ręką swoich włoskich adeptów ścieśnił bardzo koło swoich natechnień i swoich form, że ci naśladowcy nie umieli wcale skorzystać z wielkiego bogactwa rytmów i rodzajów, jakie zostawiła im w spuściznie sztuka trubadurów. Zaniedbali oni naprzykład, a z czasem i zarzucili zupełnie formy tak wdzięczne, jak dyalogowany *tenson*, zdolny niepospolitych wcale, nieraz prawie dramatycznych efektów; zarzucili i *sirvente* z charakterem tak uszczypliwym, szyderezym i namiętnym; i *pastorelle*

i *balladę*, których cecha ludowa miała tyle oryginalności i wdzięku; a *aubade* (pieśń poranna), jedna z najmilszych form, jakie wynalazła *la gaie science*, u nich znikła zupełnie; i Szekspir dopiero przywrócił ją do należnej czei, kiedy odkrył, że nadawała mu się wybornie do tego nieśmiertelnego pożegnania dwojga kochanków, których brzask dzienny rozstać się przymusza ¹⁾).

Jeszcze mniej starali się Włosi korzystać z prowaneckich rytmów, których wielka rozmaitość i obfitość każe mimowolnie myśleć o niezrównanych modulacyach liry greckiej; owszem, nie tylko nie umieli z tego skorzystać, ale jeszcze rytm i rodzaj ścieśnili, skurezyli jak tylko mogli najbardziej, kiedy siebie i poezję przykuli do formy Sonetu, w którą wszystko tłoczyć zaczęli, formy ciasnej, niewygodnej i sztucznej, jak żadna inna na świecie, formy geometrycznej, żeby się tak wyrazić, a najmniej ze wszystkich i ze wszystkiego odpowiedniej i przydatnej do serdecznych wynurzeń i zwierzeń, do wylewów i wybuchów osobistego uczucia.

Książę Silvio. Skoro tu już wspomniano Greków, nie mogę oprzeć się pokusie i mimochodem nie natraścić, z jakim niezrównanym zmysłem ci mistrze sztuki umieli odgadnąć naturę rytmu i rodzaju poezyi, i jeden do drugiego stósować. Do epopei mieli jeden tylko rytm, hexameter, który przez swoją kadencyę regularną, poważną i spokojną, nadaje się tak dobrze do opowiadania o przeszłości, odległej już a poważnej i wielkiej. W dramacie, który przedmiot swój przedstawia jako odbywający się w teraźniejszości, w chórach zwłaszcza, które stanowią jego część liryczną i muzyczną,

¹⁾ Porównać piątą scenę z III aktu Romea i Julii, mianowicie: „Wilt thou be gone? it is not yet near day etc.“

— ze sławną wielokrotnie przytaczaną pieśnią poranną:

„En un vergier, sotz fuelha d'albespi
Tenc la dompna son amic costa si,
Tro la gayta crida que l'alba vi.
Oy Dieus, oy Dieus, de l'alba tan tost ve!
etc.

„W ogrodzie, w cieniu tarniny,
Pani druha przytula do siebie.

A wtem straż wola, że ranek już:

O Boże! o Boże! że ranek tak skory!...“

używają miar daleko już żywszych i rozmaitszych. Dla poezyi lirycznej wreszcie, która jest wyrazem osobistego i właśnie w tej chwili poruszonego uczucia, wynaleźli takie mnóstwo modulacyj, że same nawet Ody Horacyusza dają o niem słabe zaledwo wyobrażenie: tysiące miar tak zmiennych i coraz innych, jak wrażenia i różne odcienia uczuć w ludzkim sercu. U nas nowożytnych, przynajmniej u ludów romańskich, dzieje się wprost przeciwnie; w tej, jak w niejednej zresztą kwestyi sztuki, zdaje się, jakżebyśmy się byli uwzięli robić inaczej, niż natura rzeczy wskazuje i wymaga. W poezyi epickiej dopuszczamy wielką rozmaitość rytmów, *terze rime*, *ottave rime*, alexandryn i t. d.; dramat skazaliśmy na jednostajną i ciężką formę alexandrynu, a poezję liryczną zdolaliśmy zamknąć całą prawie jak na złość w niewdzięcznej i wymuszonej formie Sonetu.

Akademik. Uwaga zupełnie słuszna, i doprawdy żałować trzeba i dziwić się razem, że właściwy Włochom zmysł artystyczny i maestria tym razem nie posłużyły im lepiej. Bo mistrzami formy, wirtuozami, byli niezaprzeczenie włoscy uczniowie akwitańskich poetów, a w technicznej biegłości od pierwszego początku przeszli swoich nauczycieli. Tego przecież nikt zaprzeczyć nie może, że nie jest tak przeciwnem prawdziwej sztuce, jak właściwa truba/lurom jednostajna zawsze łatwość i płynność pomysłu i wiersza. Udało im się czasem natrafić na jakie szczęśliwe odkrycie, znaleźć coś niechcący, przypadkiem; ale ogółem wzięwszy, nie wzniesli się oni nigdy nad poziom dyletanckiego, amatorskiego pisania. Ich sztuka nazywała się *gaie science* i była istotnie zbyt wesołą, ich powołanie zbyt przyjemnem, pojęcie swego zawodu zbyt lekkim. Obserwacya i uczucie natury, głębsza znajomość ludzkiego serca, wszystko to było im zupełnie obce, a ich zaalpejscy naśladowcy przewyższają ich pod tym względem o wiele. Ledwo zaczęli pisać w swoim języku, już zaraz w tych pierwszych próbach znać pilne baczenie na sztukę. I choć przejęli od obcych pierwiastek poezyi nie w związku z całym swoim historycznym rozwojem, ani ze swoim stanem społecznym, choć ścieśnili jeszcze zakres sam przez się już dość ciasny tych obcych pomysłów i natchnień, choć nadto jeszcze wprowadzili weni nowe niepotrzebne i z naturą tej

poezyi niezgodne pierwiastki, mimo to wszystko przecież poezya miłości, ledwo dotknięta ich ręką, wyszlachetniała zaraz, nabrała takiej podniosłości i wykwinności uczuć, takiej estetycznej godności, takiego literackiego wyrobienia i smaku, o jakich jej się nie śniło, dopóki była na akwitańskiej ziemi. Dla trubadurów *canso* to była rozrywka, sztuczka, przyjemna zabawka; pod ręką Włochów, jak Guinicelli, Cino, Cavalcanti, Dante, było to już dzieło sztuki, które pod ręką Petrarcki stało się prawdziwem w swoim rodzaju arcydziełem.

Słyszeliśmy tu o nim zdanie nader surowe. Nie chcę przeczyć, że był retorem, że był egoistą; wszystko to jest prawdą; tylko w tych dwóch epitetach nie wszystko jest objęte, i daleko do tego, coby się powiedzieć dało o człowieku, który w historii świata zostawił ślady tak widoczne i tak niezatarte. Dziś, kiedy nam się zdarzy mówić o Petrarce, myślimy tylko o śpiewaku miłości, o autorze Sonetów; współcześni i wieki następne uważały i sądziły go z innego stanowiska, i podziwiały, wynosiły pod niebiosa nie poetę, ale przede wszystkim śmiałego wyswobodziciela umysłów, pierwszego człowieka, który dał początek i popęd Odrodzeniu, pierwszego humanistę...

Książę Silvio. Pierwszego człowieka nowoczesnego.

Akademik. Tak jest, pierwszego człowieka nowszych czasów, pierwszego, który przez swój szczerzy zapal dla starożytności i dla tych piękności przedtem nieznanych, niezrozumianych, dla rzymskich ruin naprzykład albo dla dzikiej alpejskiej natury, a zwłaszcza przez walkę nieustającą, namiętną, jaką prowadził z ciasną uczonością pedantów, z szarlatańską sztuką ówczesnych lekarzy, z formalizmem prawników, przez nieubłagane a trafne wydrwiwanie astrologii, alchemii, nauki tłómaczenia snów, i tysiąca innych zabobonów i przesądów, któremi wieki średnie były jak skrepowane, otworzył światu nowe widnokregi i powołał do życia tysiące sił ukrytych i uspionych. *Epistolae Familiare*; dopiero pozwalają ocenić słusznie ogromny niezmierzony wpływ Petrarcki, tak, jak w korespondencyi tylko odsłania się zupełnie i daje się poznać Voltaire prawdziwy. Bo jest istotnie coś z Ferneyskiego patryarchy w tym średniowiecznym pustelniku z Vacluse. Jego niesłychana czynność, jego nieustanna zabie-

gliwość w zawiązywaniu i utrzymywaniu stosunków ze wszystkimi znakomitościami i wielkimi figurami jego wieku, namiętność, z jaką prowadzi propagandę swoich idei, i o każdej ważnej sprawie swego czasu swoje słowo koniecznie powiedzieć chce i musi, wszystko to istny Voltaire; a trudno także nie dojrzeć wyraźnego z Voltairem podobieństwa w tej bezczelności komicznej, z jaką Petrarca przy każdej sposobności popisuje się Platonem. On, tak samo jak wszyscy uczeni jego wieku, nie czytał nigdy ani jednego słowa autora Fedona: tylko, że Aristoteles był największą powagą, bożyszczem wszystkich pedantów epoki, więc kanonik z Lombez musiał na złość postawić śmiało naprzeciw powagi Stagiryty jakiegoś Platona własnego wynalazku, tak samo, jak później Voltaire na złość przyjętym wyobrażeniom swego czasu musiał wymyśleć swojego Chińczyka, zbiór i wzór wszystkich cnót i doskonałości.

Don Felipe. Tylko że Petrarca nie był nigdy bezbożnym; wszakżeż zrywał się w nocy i boso szedł się modlić, a marzył o tem tylko, żeby Najświętszej Pannie zbudować kaplicę.

Akademik. Ma się rozumieć. Voltaire to wierzący, nie tak drwiący jak tamten, co zresztą przynosi mu wielki zaszczyt; ale tak próżny, taksamo łakomy na oklaski jak tamten. Tylko: nie taki, jak tamten, poeta!

Bo czyż nie był wielkim poetą, pytam, poetą w całym znaczeniu słowa ten, który zdołał całemu jakiemuś nowemu nieokreślonemu jeszcze, ale wielkiemu zbiorowi i porządkowi pojęć i myśli, których wartość moralną i estetyczną można różnie sądzić, ale nie ogromnego i powszechnego ich wpływu przez ciąg pięciu wieków zaprzeczyć, czy nie był wielkim poetą ten, który temu nowemu światu pojęć i myśli dał najwyższą sankcję sztuki i był jego stanowczym, najdoskonalszym wyrazem? O tem przecież zapominać się nie godzi, że ideał, w Prowancyi poczęty, nie na same Włochy tylko rozszerzył swoje panowanie; dostał się on za Pyrenees tak samo, jak za Alpy, za Ligierę tak, jak za Ren i za Angielską cieśninę, i panował we Francyi północnej tak, jak w południowej, w Niemczech jak w Anglii, jak na Iberyjskim półwyspie. Ci niemieccy *Minnesängerowie*, o których tak lubimy mówić,

nie znając i nie czytawszy ich nigdy, nie byli niczem innem, jak prostymi i niezagrabnymi weale naśladowcami trubadurów. Od XII wieku aż do końca XVI świat cywilizowany nie znał, nie cenił, nie śpiewał innej miłości, tylko tę rycerską, z której brał natchnienie nietylko do swoich poezyj lirycznych, ale i do bohaterских także, do *Orlanda* i do *Jerozolimy*. I trzeba było dopiero tak wielkiego faktu, jakim był bujny i potężny rozkwit poezji dramatycznej, od wieku XVII poczynawszy, na to, by umysłem i wyobrażeniom nadać inny zwrot, a miłości ten charakter głęboki, namiętny, i patetyczny, z jakim od tego czasu występuje w poezji. I może właśnie brak tej poezji dramatycznej we Włoszech sprawił, że *petrarkisci* mogli przeciągnąć tu swoje panowanie tak długo, aż do końca XVIII wieku, aż do Alfieriego. Jakkolwiek bądź, świat cały staje na świadectwo i dowód, że Petrarka pierwszy otoczył czarem sztuki ten w Prowancyi poczęty ideał miłości, który przez wieki całe przed nim i po nim zajmował, wzruszał, i zachwycał Europę. On mu nadał tę delikatność uczucia, tę czystość smaku, ten blask wyrażen, i ten niezrównany dźwięk i wdzięk muzyczny; on go podniósł na ten stopień doskonałości, którego nikt nigdy nie przeszedł ani nawet nie doszedł. A nie dość na tem, zrobił on coś nierównie większego jeszcze: z ideału sztucznego w gruncie, przypadkowego, a przeto przeznaczonego logicznie na konieczną zagładę, on umiał wydobyć pierwiastek prawdziwy, niezmienny, a przeto powszechny i wspólny wszystkim krajom i wiekom, dla wszystkich zarówno prawdziwy i rozumiały.

My ludzie dzisiejsi jesteśmy tak nastroszeni na ton zbyt wysoki przez nasz dramat, przez nasz romans, przez różne gorączkowe produkta bieżącej literatury, że w sferze wyobraźni nie umiemy już prawie zrozumieć i rozpoznać miłości, jeżeli nie widzimy koło niej tych przyborów, tych piorunów i grzmotów, a nie słyszymy tych akordów gwałtownych i przeźrząliwych, do których przyzwyczaiła nas poetyczna retoryka naszych ponurych geniuszów. Na to nie zważamy weale, że w życiu, którego sztuka — jak mówi mądrze Hamlet — jest tylko uroczem zwierciadłem, miłość nie żyje samemi wyłącznie katastrofami i kataklizmami, że owszem, kiedy bywa

najczystsza właśnie i najprawdziwsza, ona bywa nieprzerwanym szeregiem wzruszeń drgających nieustannie ale z cicha, wzruszeń bolesnych czy słodkich, ale zawsze jakby przysłoniętych i trzymanych na wodzy. Ta „róza mistyczna“ kwitnie rada i rozwija wszystkie swoje barwy i wonie (i swoje ciernie także) najprędzej, najczęściej, najchętniej — o czem my zbyt dziś zapominamy — w strefie czułości, wdzięku, rzewnego przywiązania, szacunku, jednym słowem, w tej strefie umiarkowanej uczuć i wrażeń, w której podobała sobie muza Petrarki i jego współzawodników. I dlatego to właśnie ta poezya nie straci nigdy swojej władzy nad sercami, zawsze je wzruszy i do siebie przyciągnie. Ona odpowiada uczuciu, które jest wrodzonym, ogólnie i wiekuiście ludzkim, a oddaje wiernie wszystkie najsztudniejsze tego uczucia tony i przemiany, wszystkie najprzelotniejsze jego oscyllacye i drgnięcia, i w swoich drobnostkach samych, może przez tę swoją *niedużość* właśnie, ona jest wielką. Prawda, kiedy malują słodki afekt, poeci włoscy nie unikają tych wszystkich najpotoczniejszych i najdrobniejszych szczegółów, których uszczypliwe wyliczenie słyszeliśmy co dopiero, co więcej, oni tych drobiazgów umyślnie szukają. Ale czyż w każdej idylli dwojga zakochanych szczegóły takie nie przybierają wielkich rozmiarów? czy nie bywa „ważnym ewenementem“ jakieś przypadkowe spotkanie, jakieś spojrzenie rzucone lub wyminięte, ukłon oddany lub nie oddany, kwiatek podany i przyjęty, zgubiona i podniesiona rękawiczka? Dla rękawiczek przynajmniej proszę o pobłażanie i łaskę, kiedy niemi i sam Szekspir nie gardził:

o that I were a glove upon that hand.

That I might touch that cheek ¹⁾

mówi Romeo w cudownej scenie ogrodowej. Dzieciństwa to wszystko? być może. Ale przystoją też dobrze dziecku, młodzieniaszkowi, a nie zapominajmy, że pod postacią dziecka wyobrażali sobie swojego Erosa ci Grecy, tak w swoich allegoryach szczęśliwi i trafni. Przypomnijmy sobie zwłaszcza te

¹⁾ Gdybym był rękawiczką, co jej dłoń okrywa,
I mógł dotknąć jej lica.

lata, kiedy sami byliśmy wystawieni na różne zasadzki złośliwego bożka — niektórzy z nas, a między tymi sam nasz północny nieprzyjaciel Petrarki, dziś jeszcze nie ze wszystkim są od niego zabezpieczeni; — przenieśmy się pamięcią w te lata, z których uśmiechać się nam łatwo, ale których odżalować tak trudno, i popatrzmy, jak wielkie miejsce w naszych myślach i troskach, w naszych radościach i smutkach, zajmowały rzeczy, które dziś wydają nam się blahemi fraszkami. A jeżeli przypadkiem w jakim Sonecie Petrarki lub w jakim wierszu Tassa zdarzyło nam się znaleźć jakieś swoje własne zmartwienie albo uniesienie, oddane w obrazach przejmujących i świetnych, w słowach, które dla cudzoziemca nawet mają wdzięk i brzmienie muzyki — o! jak wtedy byliśmy wdzięczni tym poetom, że tak dobrze i tak długo mówili o tych drobiazgach, że tak wspaniałomyślnie, jakby dla naszej potrzeby, opiewali te *paulo minora*! Sam nawet rysunek niewyraźny i brak oznaczonej osobistości w postaciach tych *donne gentili*, służył nam w takich razach doskonale, bo nam pozwalał wstawiać na ich miejsce tę, o której myśleliśmy sami, i wyobrażać sobie Beatrice, Laurę, albo Leonorę z takim kolorem włosów czy oczów, jaki w danej chwili wydawał nam się od wszystkich piękniejszym. A co o tem, to już z pewnością żaden z nas ani pomyślał, żeby pytać i powątpiewać, czy ci poeci kochali naprawdę; za szczerość ich uczuć ręczyła nam rzeczywistość i prawda tego, co doznawaliśmy sami.

A cóż nam do tego zresztą, czy autor Sonetów albo autor Jerozolimy mniej czy więcej głęboko i wiernie kochał tę kobietę, którą sławił w swojej poezyi, byle ta poezya zachwycała nas i trafiała nam do serca? Co nas to obchodzi, jaką naprawdę była Fornarina, byle obraz, do którego ona służyła za model, był Madonną Syxtyńską? Dzisiejsza krytyka wpada w wielki błąd i w zły bardzo zwyczaj, kiedy żąda od poetów aktów i dokumentów legitymacyjnych na każdy ich pomysł i natchnienie, i kiedy się raduje i chlubi, jeżeli którego z nich złapie na gorącym uczynku anachronizmu i wykaże sprzeczność między wierszami a dokumentami i datami. Krytyka w takich razach zapomina poprostu o tem, że u geniuszów przerwa bywa długa między światłem

błyskawicy a grzmotem piorunu, że sztuka nietylko nie na tem nie traci, ale zyskuje owszem, bo „oko duszy“ ma także swoje optyczne wymagania i warunki, i potrzebuje pewnej odległości, żeby całość objąć mogło. Schiller niedarmo zrobił mądrą uwagę, że ręka jeszcze drżąca od wzruszenia nie może dobrze rysować. A kiedy Horacy mówi *Si vis me flere*, nie rozumié przez to wcale, że kto chce lzy wyciskać, ten musi koniecznie sam w tej chwili płakać, tylko że raz płakać musiał, że musiał sam doznać kiedyś tych uczuć, które chce oddać i drugim dać odczuć. Że Dante, Petrarca, Tasso, w pewnej chwili swego życia czuli i znali miłość prawdziwą, któżby o tem śmiał wątpić? Ale raz uchwyciwszy ten ton, powtarzali go i zmieniali z wszelką swobodą, podług każdorazowego natchnienia lub może nawet i zachecenia, stósowali go do wyobrażeń swego czasu, zwłaszcza do tych zwyczajów i form rycerstwa, które podówczas górowały nad wszystkim. *Wahrheit und Dichtung*, Prawda i Zmyślenie, taki tytuł wypisał Göthe otwarcie na pamiętnikach swego życia; te dwa słowa należałoby mieć także na pamięci, kiedy się mówi o wewnętrznym życiu duszy innych poetów, zwłaszcza może poetów miłości.

I dzięki właśnie tej mieszaninie prawdy i fikcyi, dzięki temu, że jest tak ogólna a nie wyraźnie osobista, dzięki wreszcie swojemu charakterowi muzycznemu raczej, jak plastycznemu, stała się włoska poezya miłości tak powszechną i miała taki urok dla tylu wieków przed nami, jak dla wielu jeszcze po nas mieć będzie. Nie myślę z pewnością zaprzeczać siły i patetycznej namiętności czy Byrona, czy Musseta, czy któregokolwiek z wielkich nowoczesnych poetów, i podziwiam ze wszystkimi zarówno tę sztukę, z jaką oni umieją mówić o swoich miłościach, a przytem dawać wyraz wszystkim nieokreślonym pragnieniom i wszystkim boleściom swego czasu. Ale czy kiedyś, w przyszłości, jakimś pokoleniem spokojniejszym i żyjącym w większej niż my równowadze, mowa tych poetów i ton ich uczucia nie wydażą się dziwnymi? Kto wie, czy ten akcent ponury i gwałtowny, z jakim Byron mówi o ścieśnionej lub zbezczeszczonej wolności, o ujarzmionej Helladzie, albo o małościach towarzyskiej hipokryzji i o nieczemnościach wielkich tego świata,

czy ta gorycz, z jaką Musset skarży się, że wierzyć nie może i że „przyszłedł zapóźno na świat już za stary,“ czy to wszystko kiedyś wyda się na swoim miejscu obok miłości, w jednym i tym samym wierszu, który ma być jej przedewszystkiem wyrazem i śpiewem? Czy owszem to, co nas dziś tak zachwyca, nie wyda się potomnym tak lub więcej jeszcze dziwnem, jak nam wydają się *bisticci* i allegoryczne subtelności Sonetystów? Przyjdą może takie czasy — owszem, przyjdą z pewnością — że ludzkość nie będzie się niepokoiła temi bolesnemi zagadnieniami, które nas dziś szarpia i dręczą, że je szczęśliwie rozwiąże lub raz nazawsze stanowczo usunie. Wyobraźmy sobie, że w tych lepszych czasach młodzieniec jakiś odebrał postrzał z ręki tego figlarnego bożka, który jeden nigdy się nie zmienia i nie starzeje, i wyobraźmy sobie, że ten zakochany chłopiec szuka u wielkich mistrzów poezji wizerunku tego stanu duszy, w jakim jest, i harmonijnego wyrazu na to uczucie, którem bije jego serce? Nie śmiem źle tuszyć, ale bałbym się bardzo, że najpiękniejsze strofy Byrona lub Musseta więcejby go zadziwiły, aniżeli zachwyciły, a nie założyłbym się wcale, czy napadłszy wkońcu na jaki Sonet Petrarki lub jaką *canzone* Tassa, ten kochanek przyszłości nie zawołałby uradowany: „Szczęśliwi Włosi! wy jedni rozumieliście miłość!“

Hrabia Gérard. Otóż ja oświadczam, że już teraz i od dawna i nazawsze myślę tak, jak ten kochanek przyszłości: Włosi jedni rozumieją prawdę, co to miłość! Oni jedni umieją żądać od niej wszystkiego, co ona dać może, i nie żądać nic nad to, co dawać powinna. Oni jedni umieją zamknąć miłość w tej sferze, czułości wdzięku i rozkoszy, która jest jej jedynem właściwem polem, a trzymać ją zdala tak samo od jałowych pustyń ideologii i metafizyki, jak od eterycznych błękitów uczuciowej exaltacji. O szczęśliwi Włosi, niech wam bogowie dadzą zachować jaknajdłużej te nieoceanione własności i dary, o których inne narody dlatego tylko źle mówią, że wam ich zazdroszczą; w tem, jak we wszystkim, trzymajcie się Rossiniego, a strzeżcie się Wagnera. Bo w tem właśnie wasz cały wdzięk i wasza nad innymi wyższość, żeście tak prości, tak zupełnie tacy, jak was Pan Bóg stworzył, że nie uważacie za potrzebne nic ukrywać ani nie

sobie dodawać, że w waszych popędach, jak w waszych uczuciach, w potrzebach życia materialnego czy w zbytkach i wytwornościach życia umysłowego, w dobrych przymiotach czy w złych skłonnościach, wy jedni na świecie umiecie być *senza complimenti e senza vergogna*. Nie zapomnę nigdy, co raz zabawnie ale i mądrze powiedziała księżna S., zmarła lat temu kilka, tak sławna z głębokiego rozumu i z bystrego dowcipu, który czuć było jeszcze trochę XVIII wiekiem. Było to w r. 1866, w początkach austriacko-pruskich zatargów, ja byłem sekretarzem ambasady w Wiedniu. Księżna, wielka patriotka austriacka, nie posiadała się z gniewu i oburzenia na „piemonckie intrygi,” i pomimo że miała lat ośmdziesiąt, mówiła o nich z młodocianym zapalem i popędlivością. Pewnego razu, kiedyśmy tak rozmawiali we dwoje, ona zatrzymuje się w połowie jakiejś gorącej flippiki i przerywa sobie następującą uwagą: „Co mnie gniewa, to, żebym nie wiem co robiła, nie potrafię nienawidzić tak, jakbym powinna, ojezyny „pana Cavour i Garibaldegó! Ale cóż ja temu winna, kiedy „ci Włosi mają taki wdzięk: uważają za rzecz tak naturalną *„aver paura e far l'amore*.”

Marchese Arrigo. Doprawdy, lepiejbyś zrobił, gdybyś pochował ten niesmaczny koncept razem ze złośliwą starą...

Hrabina. Daj pokój, *Marchese*.

Che ti fa ciò che quivi si pispiglia

Vien dietro a me, e lascia dir le genti ¹⁾.

Raczej podziękujmy uczonemu synowi Prowancyi, który jest przecież jednym z Francuzów nietylko uprzejmych, ale i poważnych, za światłe, a zupełnie bezstronne jego słowa o Petrarce. Jedno tylko w tem, co Pan mówiłeś, nie było mi zupełnie zrozumiałem, to ustęp o poezyi dramatycznej w przeciwieństwie do poezyi miłości. Wyznaję, że nie widzę, jaki związek...

Akademik. Spróbuję wytłómaczyć się jaśniej. Kiedy pod koniec XVI wieku i w pierwszej połowie XVII zjawili się

¹⁾ Cóż cię obchodzić mają szmery owe?
Idź za mną, oni niech sobie gadają.

Purgat. V. 12, 13.

wielcy poeci dramatyczni w Anglii, w Hiszpanii, we Francyi wreszcie, musieli oni w dziełach swoich przeznaczyć bardzo wielką rolę — większą nierównie naprzykład, niżeli miała w dramacie greckim — tej miłości, która dotychczas była prawie wyłącznie duszą poezyi lirycznej i sławnych epopei rycerskich. Ale choć miejsce, jakie teraz zajęła miłość w dramacie Szekspira, Calderona, Corneilla, było bardzo wielkie, nie mogła ona przecież panować w nim tak wyłącznie, tak zupełnie i absolutnie, jak panowała w poezyi trubadurów i minnesängerów, jak w sonetach i epopei romantycznej. Religia, honor, miłość ojczyzny, ambicya, wierność, pycha, zemsta, żądza władzy, żądza rozkoszy, i wszystkie uczucia i namiętności miały także swoje miejsce i wyraz w tych czarodziejskich odbiciach ludzkiej natury, które noszą imię Hamleta, Polyukta lub Atalii. Miłość musiała wskutku tego wdać się w stosunki, we współzawodnictwo, w walkę, z niejedną z tych sił moralnych i psychicznych, musiała pozwolić na to, że one nieraz występowały jako jej równe, a niekiedy nawet ustąpić im pierwszeństwa. Godność i wartość człowieka nie zasadały się już na poddawaniu się bez oporu i walki słodkiemu pociągowi miłości: przekonano się pomału, że w pewnych razach może mieć zasługę, kto z nią walczy, chwałę, kto ją przewycięży. Wielkie pojęcie i wielkie słowo obowiązku znalazło prawo obywatelstwa i wyraz w poezyi. Co zaś w tem jest godnego uwagi, to, że miłość sama nabiera nowej żywotności i mocy w tej gimnastyce, do której ją nowa sztuka zmusiła, i zyskuje na głębokości i sile, co na rozciągłości straciła. Znikła, podziela się gdzieś ta gracya miękka i nieco zniewieściała, ta *morbidezza* blizka przesady i sztuczności, a miejsce jej zajęła energia, namiętność, i pathos. W tej najcudowniejszej tragedyi miłości, jaką dał światu Szekspir, w *Romeu*, stoją jeszcze obok siebie oba ideały miłości, dawniejszy i nowy: miłość wedle pojęcia trubadurów i wedle pojęcia tragików. Ale stoją obok siebie, nie łącząc się i nie mieszając, tak jak w niektórych rzekach rozróżnić się dają wyraźnie prądy dwóch różnych potoków. Gdybym się nie bał zapuszczać w zbyt długie rozprawy...

Hrabina. Bez obawy, proszę, słuchamy z coraz większem zajęciem.

Akademik. A więc ta pieśń miłości, ta *Pieśń nad Pieśniami* Szekspira — pierwsza co do czasu z jego wielkich tragedyj, robi na mnie zawsze takie wrażenie, jak pomnik jakiś postawiony na pograniczu dwóch światów. Słyszę w niej ostatnie dźwięki ustającego już *canzo* trubadurów, i pierwszy krzyk namiętności właściwej naszemu nowoczesnemu dramatowi. Warto uważać, jak obok potężnych wybuchów liryzmu, w jakich Szekspirowi nikt nigdy nie zrównał, trafia się tam jeszcze naśladowanie niektórych rytmów miłych dawnym poetom prowancem i włoskim. Wspomniałem już o tem, że sławny dyalog o skowronku i słowiku, ma formę *Porannego*; pierwsza znowu rozmowa Romea z Julią na balu ma budowę sonetu, a tym sposobem odzywają się w tej wspaniałej symfonii miłosnej tony, przypominające trubadurów i Petrarke. Petrarca jest tam nawet wyraźnie nazwany i to, jeżeli się nie mylę, jedyny raz u Szekspira ¹⁾. Ale to wszystko mniejsza; więcej znaczące jest to, że sam Romeo, Romeo z pierwszego aktu, przed spotkaniem z Julią i przed sceną w ogrodzie, jest zupełnym i wiernym adeptem tej miłości, jaką widzimy u trubadurów i u poetów włoskich. Zakochany w Rozalinie, napelnia świat cały echem swoich skarg i westchnień. Rozkoszuje w swoim smutku, chce się otoczyć „sztuczną nocą,” mówi ustawicznie o „strzałach miłości,” opowiada o „snach” (co mu sprowadza świetną odpowiedź Mercutia, opowiadanie o królowej Mab). A oważ dopiero Rozalina, niewidzialna i nieczuła, o której wdziękach i okrucieństwie ciągle słyszymy, ale której rysów nie możemy nigdy zobaczyć, która na pierwsze zjawienie się Julii „znika jak cień i rozechodzi się jak dym” — czyż ona nie jest zupełnie istną „damą” z prowancckiego *canço*, *donna gentil*, jak wszystkie donny z włoskich Sonetów i *canzon*? „erotyczną mrzonką,” jak się tylko co wyraził nasz przyjaciel? A kiedy ukazała się Julia, Romeo zapytuje sam siebie: „czy kochał przedtem” i „wyrzeka się” swojej przeszłości. Ależbo z Julią weszła na see-

¹⁾ *Mercutio.* „Now is he for the numbers that Petrarch flowed in etc.” Teraz go rymy Petrarcki rozczulają... Akt II, sc. IV. Dzieła Dramatyczne Szekspira. Warszawa, 1875. T. II, str. 30.

nę — i weszła w świat poezyi — miłość, o jakiej nie śniło się trubaduirom i ich włoskim uczniom; a niezrównany duet w ogrodzie, jest ze wszechmiar przeciwieństwem tego czulego poddaństwa, opiewanego w *gay saber* i w Sonetach. Julia nie umie „udawać obojętnej,“ jak kobiety zręczne — nie umie tać swoich uczuć, jak *donne gentili*, ale będzie umiała być „wierniejszą od tych, co się drożą“ — i zaraz bez wahania i odwłoki mówi o ślubie, chce, żeby się odbył zaraz nazajutrz, w celi ojca Laurentego. „Ślub — małżeństwo“ — słowa tego nie słyszało się ani razu przez pięć wieków trwania miłosnej poezyi, nie było go w słowniku owych poetów, jak nie było w nim tej nazwy „pana,“ jaką kochankowi swemu od pierwszej chwili daje Julia, gotowa iść za nim zaraz choćby na koniec świata i nie opuścić go aż do śmierci. A nie napróżno mówi się tu o śmierci; nie jest ona tą marną figurą retoryczną, jaką bywała tak często u mistrzów „wesolej sztuki.“ Tutaj ta przysięga będzie wykonaną i stanie się smutną tragiczną rzeczywistością.

Mogę się mylić, nie wiem, ale zdaje mi się, że tylko mając ciągle na pamięci ideał miłości, jakim był u prowanckich i włoskich poetów, można zmierzyć całą głębokość angielskiej tragedyi i zrozumieć wszystkie jej piękności. Naprzykład ta przemiana ról, natur, i nieledwie płci, dostrzeżona tak trafnie w poezyi miłosnej Włochów, a zganiona tak surowo, ona u Szekspira jest także w charakterach tych dwojga kochanków. Nie w tem znaczeniu ma się rozumieć, jakoby Szekspir miał być z Julii robić jakąś *virago*, jakąś wojowniczą Bradamantę; przeciwnie, on jej zostawia całą trwożliwość dziewczęcia. Ona się boi i drży, kiedy ma wypić napój usypiający, boi się i drży na myśl, że się obudzi w grobie między trumnami, przez chwilę nawet posądza spowiednika o straszliwą i nikezemną zdradę; ale przezwycięża wszystko, nie traci mocy i panowania nad sobą, wypija płyn i tyle jeszcze ma przytomności umysłu, że chowa przy sobie sztylet, na przypadek, gdyby narkotyk nie skutkował. Równie spokojną i stałą w postanowieniach, rozważną i przewidującą w zamiarach, okazuje się ona zawsze, w każdym stosunku i wobec wszystkich otaczających, czy ojca, czy matki, czy spowiednika, czy mamki, czy zalotnika. W porównaniu do Julii młody

Montague okazuje się naturą daleko węższą, nieledwie chorobliwą. Od samego początku rozmarzony, wrażliwy, do najwyższego stopnia nerwowy, traci zimną krew za lada przeszkodą; w celi mnicha rozpacza i omdlewa, mówi, że jest „zniewieściałą przez szczęście,” zanim go jeszcze użył, a Lorenzo mówi to o nim daleko wyraźniej jeszcze:

„unseemly woman in a seeming man“ ¹⁾.

Ale kiedy poeta prowancki lub włoski byłby się użalał i rozczulał nad nieszczęśliwym kochankiem, to Anglik czuje się w obowiązku wystąpić surowo i groźnie, jako moralista, jako wykonawca sprawiedliwości poetycznej, i zwalić na kochanka samego odpowiedzialność za szczęście stracone, za nieszczęście, jakie na niego spada. Bo wszakżeż Romeo sam przyspiesza, sprowadza katastrofę, kiedy na pierwszą wieść o śmierci Julii wraca copędzej z Mantui i spieszy prosto na cmentarz, nie pytając o nic więcej, nie dowiadując się, nie pomyślawszy nawet o tem, żeby rozmówić się z Ojcem Laurentym, powiernikiem swojej miłości i tajemnicy Julii. Romeo ponosi tu karę za zbyt wielką czułość, jak gdzieindziej karze Szekspir Duńskiego królewicza za zbyt wielką subtelność umysłu. A tu jak tam, jak w każdej tragedji, daje on tę samą wielką naukę, że rozum powinien kierować i rządzić nawet najszlachetniejszymi uczuciami i najświetniejszymi zdolnościami człowieka. A jeżeli teraz przypomnimy sobie, że ten dramat wzruszający i uroczy, jak żaden inny, napisany był w ostatnich latach XVI wieku, to jest, kiedy nie żył jeszcze na świecie ani Calderon, ani Corneille, ani Racine, to będziemy musieli przyznać, że w dziedzinie nowożytnej poezji Romeo jest w odniesieniu do miłości, jak Hamlet w odniesieniu do melancholii, nie tylko arcydziełem, ale prosto pierwszym jej objawieniem.

Hrabina. A Dantemu jakież przypadłoby miejsce w poezji miłości?

Akademik. Miejsce obok takich poprzedników Petrarki, jak Guinicelli, Cavalcanti, i Cino z Pistoii, jeżeli mówimy o

¹⁾ Akt III, sc. II. Postać wskazuje twoja, żeś jest mężem.
Czy twe niewieście.

autorze Sonetów i canzon z *Vita Nuova*. Ale autor *Boskiej Komedyi*, ma pod tym względem stanowisko osobne, różne nie od tych tylko, ale od wszystkich poetów, tak mało zbliżone do Petrarcki, jak i do Szekspira.

Wszyscy prawie nasi krytycy wpadli, mojem zdaniem, w wielki błąd, kiedy wyobrazili sobie jakiegoś Dantego jednolitego, całego z jednego odlewu, a nie odróżniali młodego człowieka, który wprawiał się w *bello stile*, pisał wiersze, jak wszyscy jego bracia w Apollinie, i palił ofiary na cześć różnych piękności konwencyonalną modą swego czasu, od geniusza, który przez doświadczenie i rozwagę doszedł do zupełnej dojrzałości, i wziął się do dzieła, w którym objąć chciał „niebo i ziemię,“ tajemnicę naszego bytu i zagadkę stworzenia. Dziwnem także wydaje mi się, że krytycy jakby się byli uwzięli, chcą brać dosłownie i uważać za prostoduszną epokę i literaturę, która prostoduszną i naiwną bynajmniej nie była, poezję wykształconą na wszystkich wykwinnościach *wesołej sztuki* trubadurów, literaturę przesiąkniętą subtelnościami filozofii scholastycznej, epokę zakochaną i zaślepioną w retoryce, równie sofistycznej jak rozwlekłej. Nie widzę, żeby czytelnik nieuprzedzony i dobrej wiary, mógł widzieć co innego, prócz czysto retorycznych sztuczek w *Vita Nuova*, to jest w tym komentarzu prozaicznym, jakim Dante uważał za potrzebne objaśniać w latach późniejszych utwory swojej młodocianej muzy, podsuwając pod nie allegoryczne znaczenia w najwyższym stopniu naciągane i z przedmiotem niezgodne. A jednak na tymto lotnym piasku, na tym niestałym gruncie naciąganej i widocznie sztucznej exegezy, zakładała krytyka fundament tej budowy, którą podobało jej się nazwać „historią psychiczną Aligbierego!“ I na podstawie takichto dowodów i wywodów każą nam wierzyć w jakiegoś Dantego niezmiennego, zawsze tego samego, od dziewiątego i ósmastego aż do pięćdziesiątego szóstego roku życia, czyli aż do śmierci! Zawsze on niby swoją Beatrice jedynie zajęty, zawsze żyje tylko wspomnieniem młodzieńczej miłości dla kobiety (nie wątpię że uroczej), wydanej za innego i zmarłej w kwiecie wieku. Wszystkie najboleśniejse przejścia człowieka politycznego i męża stanu, wszystkie pytania i prace człowieka nauki i myśli, wszystkie najświętsze

obowiązki męża i ojca, wszystkie smutki wygnańca bez domu i ojezyny, to wszystko miało niby być zaćmionem, zagłuszonym przez wspomnienie tej dawnej miłości, miłości czystej, jedynej, „wielkiej sprawy jego żywota,“ „przewodniczki,“ jego moralnego i umysłowego rozwoju i życia! O tem nie chcę już nawet mówić, jak ci budowniczowie i składacze „psychicznych historyj“ na każdym kroku zmuszeni są zadawać gwałt lub obelgę najprostszemu rozsądkowi, jak naciągac i przekręcać fakta najoczywistsze i najlepiej znane; jak oni koniecznie łamią sobie głowę naprzykład nad sposobami zręcznego wytłumaczenia lub ukrycia różnych pięknych pań z Casentinu czy z Lukki? jak zwłaszcza nie wiedzą, co począć z żoną Dantego, z tą biedną Gemmą Donati, którą jedni usiłują wystrychnąć na Xantipę, a inni na Penelopę! Tego jednego przecież pominąć nie mogę, że pomimo najlepszej woli i stałego postanowienia, żeby wszystko brać dosłownie i za dobrą monetę, nie zawsze przecież mogą wytrwać do końca w postanowieniu i w obranym systemie. Tego już naprzykład nie śmia utrzymywać, jakoby Dante miał być myśleć naprawdę, że Beatrix była dziewczátką czyli cudem, którego „pierwiastkiem jest ni mniej ni więcej, tylko Trójca Święta sama;“ i kiedy się spotkają z podobnemi potwornościami, przypominają sobie, że to zwykła moda wieku. Ale jeżeli widzą i przypuszczają, czezą retorykę w jednym ustępie, czemuż nie chcą przyznać jej taksamo w wielu innych? Czemu upierają się i zaręczają na podstawie *Convito*, że litościwa dama, która po śmierci ubóstwianej Beatrix o mało że nie pocieszyła Dantego, nie była kobietą, ale Filozofią! czemu nie chcą wierzyć temu, co tak wyraźnie stoi w *Vita Nuova*, że to była piękna Florentynka, która z okna patrzyła na przechodzącego poetę.

Jeżeli zaś będziemy mieli odwagę zapomnieć o tych wszystkich rekonstrukcyach „psychicznej historyi,“ a wziąć Sonety, Ballady i Canzony z *Vita Nuova*, jak są, bez niepotrzebnych później dorobionych komentarzy; jeżeli je uważać będziemy jako wiersze pisane sporadycznie, od niechcenia, bez żadnego z góry obmyślanego planu — a z pewnością one tak a nie inaczej były pisane — to cóż w nich zobaczymy? Oczywiście produkt sztuki wynalezionej przez pro-

wanekich poetów, zbiór lirycznych wierszy, których pretekstem raczej niż naprawdę bohaterką jest jakaś *donna gentile*. Nie wątpię ani na chwilę, że Beatrice Portinari wywarła silne wrażenie na umyśle i na wyobraźni młodego Alighierego, że był oczarowany i wzruszony do głębi serca jej pięknnością i wdziękiem. Ale na to znowu ślepym być nie mogę, że on niczego od tej kochanki nie żądał, niczego w tej miłości nie szukał, tylko „zaszczytu i chluby“ — że chciał jedynie w dźwięcznych wierszach śpiewać jej pochwały, taksamo jak od wieków „damy“ swoje opiewali i sławili zaalpejscy adepci „wesolej sztuki,“ taksamo jak za jego życia jeszcze robił Guinicelli, Cavalcanti, Cino i wszyscy inni uczniowie i mistrze „del bello stile.“ Ztąd dziwna wytrwałość tego ubóstwienia, które nie poniosło najmniejszego szwanku, choć Beatrice poszła za Szymona de Bardi; ztąd ten fakt dziwny, że w *Vita Nuova* Dantego ani jednym słowem nie wspomina o tem zameżczeniu; ztąd jeszcze i ta łatwość, z jaką on sam wchodzi w związki małżeńskie z Gemmą Donati, i ztąd zawsze ta charakterystyczna otwartość, z jaką małżonek i ojciec dzieciom mówi śmiało o swojej „dawnej miłości i dawnych zapalach.“ Wszystko to jest najzupełniej w porządku ówczesnych wyobrażeń i zwyczajów, uświęconych przez rycerską *galanterię*; wszystko to bez tych wyobrażeń i zwyczajów nie dałoby się zgola zrozumieć i wytłómaczyć. Z tych bowiem i z nich jedynie, wyłącznie, czerpał Dante natchnienie do swoich młodocianych lirycznych poezyj.

Inaczej zupełnie ma się rzecz z tem dziełem nieśmiertelnem, którego pierwsze fundamenta zaczął Dante zakładać, kiedy był już w pełnem rozwinięciu swego geniuszu i w pełnej lat swoich dojrzałości, *nel mezzo del cammin di vita*. Ta miłość, którą w terzinach swoich opiewa „poemat święty,“ nie ma nic wspólnego z „czułem poddaństwem“ trubadurów, ani też z tą namiętnością, „mocną jak śmierć,“ lecz wyłącznie ziemską, której tragiczne tajemnice objawić miał Szekspir. W *Boskiej Komedyi* miłość pojęta jest w znaczeniu czysto nadnaturalnem, ona tam jest pierwiastkiem ożywiającym, siłą kosmiczną, wielkim prądem przepływającym przez „całe morze bytu“ i przez wszystkie trzy królestwa niewidzialnego świata. Fizyczny ruch, życie wegetacyjne, i życie

duchowe, oto są coraz wyższe szczeble tej wszystko ogarniającej i wszystko ożywiającej miłości. Bezgrzeszna na szczeblach niższych, gdzie jest mechanicznem tylko prawem, albo co najwięcej instynktem, miłość staje się zdolną złego i dobrego od chwili, kiedy ją rozum oświeca. I oto powód tego stałego połączenia, tego systematycznego synkretyzmu, w jakim występuje Miłość i Światło w Dantejskiem pojęciu i wyobrażeniu Raju, Czyśćca, i Piekła. Niebo jest u niego „anielską świątynią, której jedynym kresem jest miłość i światło,“ jest „czystą światłością,“ „światłem duchowem a miłości pełnem,“ ale i Piekło, i ono także jest dziełem nie sprawiedliwości tylko samej, ale z nią zarówno dziełem miłości i światła ¹⁾. Tak jak ciemności są tylko umniejszeniem światła, jak zimno jest ciepła obniżeniem, taksamo złe, taksamo występki nie jest niczem innem, jak obniżeniem miłości, jest miłością odwróconą od swego prawdziwego przedmiotu i celu, a zwróconą do przedmiotów i celów jej niegodnych ²⁾.

Don Felipe. Już Święty Augustyn powiedział: „*boni aut mali mores, sunt boni aut mali amores.*“

Akademik. To też ze Śgo Augustyna w istocie, z Boecyusza także, ze Śgo Bonawentury i z innych mistyków średniowiecznych, wziął Dante to pojęcie miłości jako uniwersalnego pierwiastka, jako duszy wszystkiego; a zbytecznie byłoby przypominać, że początek tego pojęcia odnieść należy do Platona, do tego, którego nazwano *Homerem Filozofii*. Wielka zaś oryginalność Dantego, tego Homera katolicyzmu, tkwi w tem, że z niesłychaną potęgą wyobraźni uchwycił to pojęcie i przyodziął je symbolizmem nie mniej poetycznym, jak głębokim. Na tym wielkim planie Dantejskiego kosmos Bóg ukazuje się na samym szczycie bytu, Bóg, najwyższa miłość i najwyższa światłość, a promienie jego rozchodzą się na wszelkie stworzenie, wedle miary jego względnej doskonałości. Miłość jego dochodzi aż do tych kół, ułożonych jedne nad drugimi i w nierównej od Boga odległości, w których kary odmierzają się podług miary wykroczeń; słabem już światłem, ale oświeca ona jeszcze tę otchłań, gdzie ci, któ-

¹⁾ Parad. XXVIII, 53—54 i XXX, 39, 40. Inf. III. 6.

²⁾ Inf. XI. 52, 66

rym do zbawienia wiary tylko brakło, cierpienia przynajmniej nie znają, a promienie jej gasną zupełnie aż tam dopiero, gdzie na dnie lodowej przepaści podnosi się wśród zdrajców olbrzymia postać Lucypera. Poeta odstępkuje tu śmiało, z wszelką świadomością i w sposób charakterystyczny bardzo, a nie dość może dostrzeżony, od zwykłego podania teologii, która w buncie strąconego anioła widzi przedewszystkiem grzech pychy. Dante upatrzył w tym buncie grzech inny, większy, największy podług niego i najczarniejszy ze wszystkich; najgorszy dlatego, że nie się tak miłości nie sprzeciwia, nie tak od niej nie oddala i jej nie zaprzecza, jak zdrada.

Komandor zwrócił już naszą uwagę na ten pomysł wspaniały, którym Dante połączył bunt anioła ciemności, tę pierwszą zdradę „miłości najpierwszej,” z początkiem, z samem powstaniem Czyśca i Piekła. Strącony ze szczytu nieba Lucyper wrył się w środek ziemi, utkwiał w tym punkcie „do którego wszelkie ciało dąży swoim ciężarem,” i tam leży przywalony wszystkimi ciężarami wszechświata całego ¹⁾. Te wyrażenia tak na swój czas zadziwiające, słusznie zwróciły na siebie uwagę: nieraz stawiano sobie pytanie czy Dante nie miał czasem jasnego i dokładnego wyobrażenia o prawie ciężenia; i istotnie wolno jest przynajmniej widzieć w nim poetycznego Newtona nadprzyrodzonych światów. W tym świecie bowiem jaki on w poemacie swoim stworzył, jest cała osobna i bardzo ciekawa mechanika niebieska obejmująca razem przestwory nieskończoności widzialnej i niewidzialnej, planety na firmamencie, tak jak przybytki błogosławionych i potępionych. Jest tam prawdziwy system powszechnego przyciągania:

Tutti tirati sono, e tutti tirano ²⁾.

Miłość i światło, to są dwa czynniki składowe tego Kosmos, obejmującego świat materji i świat ducha, dwa pierwiastki nadające mu spójność, jedność, ład i związek cudo-

¹⁾ Inf. XXXIV. 110. Parad. XXIX. 59.

²⁾ Wszystkie są ciągnione
I wszystkie znowu ciągną k'sobie wzajem
Parad. XXVIII 129.

wny. Uważajmy naprzykład, że jeden i tensam zawsze boski płomień przenika ożywia i wprawia w ruch trzy zaświatowe króleswa: pali on i pożera zatwardziałych grzeszników w sferach piekielnych, oświeca i oczyszcza żałujących w miejscach pokuty, rozpromienia wreszcie i opromienia wybranych w anielskiej świątyni, gdzie wszystko jest blaskiem i radością tylko, gdzie przedmioty i duchy nie odróżniają się jedne od drugich kształtem ni kolorem, ale tylko światłem jakie z nich bije, swoją własną wewnętrzną jasnością i blaskiem ¹⁾. I ta sama miłość Boża także, ten sam Chrystus, krzyżowany jest w każdym naszym grzechu, a zmartwychwstaje w każdym żalu. A cóż większego na świecie, jak obraz dusz w tej chwili uroczystej, kiedy doszedłszy już do kresu swej pokuty wychodzą z Czyśćca, a „niebo odbiera to, co zawsze było jego ²⁾.“ Przy każdym takim uwolnieniu zatrzęsie się góra cała, tak jak zatrzęsła się ziemia przy Zmartwychwstaniu, a w przestrzeni rozlega się tensam śpiew: *Gloria in Exeelsis*, który niegdyś ogłaszał światu Narodzenie Syna Bożego. Ani Stwórca, ani żadne stworzenie, mówi poeta w sławnym ustępie Piekła, nie mogą być bez miłości: „Miłość jest naturalną i bez winy“ — to znaczy zawsze tą samą i nieświadomą, u stworzeń nie mających rozumu: staje się „duchową i zdolną upadku“ w stworzeniu oświeconem boską światłością,— i w takim ona jest „nasieniem wszelkiej cnoty i zarazem wszelkiej czynności ściągającej karę ³⁾.“ A śledząc tak dalej nieprzerwany symbolizm *Boskiej Komedyi* od najwyraźniejszych, najbardziej wystających jego zarysów, aż do najdalejszych i najskrytszych jego zakątów i tajników, wszędzie i zawsze znajdzie się tę myśl podstawną Miłości i Światła. A wtedy i Beatrice także ukaże się w swoim określonym, i, jak sędzę, w swoim jedynym prawdziwym znaczeniu: ukaże się jako personifikacya jedna między wieloma ale najjaśniejsza, najbardziej ludzka, najmiłsza, tej idei powszechnego przyciągania, która jest samą duszą całego dzieła: a w strofach które sławia jeszcze dawną miłość i dawne zapaly, daje

¹⁾ Parad. X. 42.

²⁾ Purgat. XX.

³⁾ Purgat. XVII. 91. 105.

się w prawdzie rozpoznać ton osobistego uczucia i zwierzenia, ale zmieszany i zlany z wielką harmonią sfer, która jest tematem głównym tego śpiewu „świętego.“

Ten śpiew zaś, to jest razem i Epopeja powszechna i i osobiste wyznanie, hymn pochwalny całego bożego świata, i pokorna spowiedź jednej grzesznej duszy, a ten podwójny charakter *Boskiej Komedyi* sprawia, że ona jest jedynem w rzędzie ludzkich dzieł i natełnień pomnikiem. „Widzeniu“ swojemu naznaczył Dante datę r. 1300, tego pamiętnego roku pierwszego jubileuszu, kiedy na głos Bonifacego VIII zbiegło się ze wszystkich stron świata sto z górą tysięcy pielgrzymów, żeby u grobu Apostołów czynić pokutę: zdawało się, mówi historyk, że to chrześcijaństwo całe stanęło przed swoim Sędzią na dolinie Jozafata. W tej samej chwili odbywa i poeta swoją pielgrzymkę po tajemniczych regionach zaświata, pielgrzymkę, którą, jak o tem zawsze pamiętać należy, pojmował jako akt skruchy i upamiętania. Widok piekielnych męczarni i niebiańskiej błogości, przekonanie się naoczne o skutkach nieodwołalnych dobrego jak złego, miało naprowadzić go znowu „na prostą drogę, z której się zabłąkał“ i przywrócić mu pokój duszy zbyt długo burzami miotany. „Tak był już upadł nisko“—mówi o nim w Raju ziemskim jego duch opiekuńczy, że już jeden tylko zostawał dla niego ratunek i jedna nadzieja zbawienia, pokazać mu królestwo piekieł i zmusić go przez to żeby swój trybut żalu zapłacił:

„di pentimento che lagrime spenda ¹⁾).

Że ten żal i ta skrucha odnosić się miały głównie do zmysłowych żądź i popędów ciała, o tem czytelnik nie uprzedzający się nie może wątpić na chwilę. Zbyt często bywał Dante czuły na głos tej „Syreny co na pełnem morzu uwodzi żeglarza;“ zbyt często „czekał na nowy postrzał z ocz dziewczyny.“ Inaczej nawet być nie mogło. Z naturą tak potężną i bujną, wśród społeczeństwa, którego wykwintną lubieżność opisał tak dobitnie Villani albo Malaspina, między

¹⁾

by złożył opłatę
żalu co hojne łzy wylewać każe.
Purgat XXX. 136, 145.

temi pięknosciami, które on sam opisuje jak „chodzą po Florencyi szyje i piersi pokazując nagie ¹⁾“, on do tego był przyjacielem, krewnym, towarzyszem zabaw tych Donatich sławnych ze zbytku, z przepychu i z gwałtownych namiętności. „Jeżeli przypomnisz“, mówi do Forese Donati, spotkawszy go w kole niewstrzemięźliwych całego pokrytego suchym trądem i zeszpeconego nie dopoznania; „jeżeli przypomnisz jakim ty ze mną a ja z tobą byłem, dziś jeszcze ciężkiem będzie to wspomnienie ²⁾“. A potem dodaje poeta, że Virgiliusz odciągnął go od takiego życia, co w Dantejskim języku ma znaczyć, że nauka była mu tarczą przeciw zgubnym pokusom. Nam zaś godzi się może przypuszczać, że życie czynne, życie polityczne ze swojemi wrażeniami i naukami, skuteczniejszem być musiało w tej mierze, i pewnie niż nauka położyć mogło koniec temu w jego życiu okresowi rozpasywania i rozpusty, nie wykorzeniając przecież ze wszystkiem z jego serca tego cielesnego żądła, które go dręczyło. W tym samym także jubileuszowym roku 1300 objął Dante wysoki urząd Priora Rzeczypospolitej, urząd, który miał doprowadzić go do wygnania i tułactwa przez resztę życia. Widok zatem wielkich wstrząśnień politycznych we Florencyi, i widok wielkiej chrześcijańskiej skruchy i pokuty w Rzymie, schodząc się razem w jednej i tej samej chwili, wywarły na duszy chrześcianina i poety głębokie wrażenie, z którego wytrysła pierwsza myśl *Boskiej Komedyi*.

Taka zresztą stanowcza kryzys, taki zwrot do ascetycznych uczuć, po długiem życiu spędzonym na usługach „wesolej sztuki“ i *donne gentili*, nie był wcale zjawiskiem rzadkiem podówczas w Prowancyi, ani we Włoszech. Historia trubadurów wskazuje wiele przykładów podobnych, a między ich zaalpejskimi naśladowcami, dość wymienić imiona takie jak Panuccio dal Bagno, Bacciarone, Tomasza z Faenzy, Guitone z Arezzo, którzy wszyscy żyli przed Dantem, a wszyscy zostawili nam opis niemniej budujący, ani mniej allegoryczny podobnego odrodzenia moralnego. Oto przykład, jak jeden

¹⁾ Purgat XXII. 102.

²⁾ Purgat XXIII. 115 — 118.

z nich opisuje swoje wyrzeczenie się „szalonej miłości“ a nawrócenie do Najświętszej Panny:

Poi fu dal mio principio a mezza etate
In loco laido, disorrate e brutto,
Ove n'innvolsi tutto... ¹⁾.

Czy w tych wierszach chropawych można nie dojrzyć wyraźnych zarodków pierwszych strof Piekła? *Mezza etate* tutaj, przypomina bardzo sławne *mezzo del cammin* Dantego. Tylko, kiedy pod wpływem i wieku, i takiego stanu duszy, Panuccio, albo Guitone, podobnie jak ich mistrze w Prowancyi, rzucają poprostu w ogień to, co wielbili i przeklinają swoje dawne „szaleństwo“, to Alighieri pod tym samym wpływem, w tych samych powodach, znalazł natchnienie jedno z najwznioslejszych, jakie kiedykolwiek danem było geniuszowi poety.

Miłość może błdzić i grzeszyć skoro jest w duszy, skoro przestaje być prawem mechaniki lub popędem instynktu: ale wtedy także może stać się zarodem wszelkiej enoty, jak „wzelkiej czynności ściągającej karę.“ Tę ogólną zasadę, która rządzi całym jego kosmos, stosuje Dante także do tego mikrokosmu, którym jest człowiek, do pociągu zmysłów i do miłości kobiety. Jeżeli skłonność taka wiedzie człowieka do upadku i do upodlenia, tak, że on „zwróci swe kroki na tę „drogę mylną, goniąc za szczęścia złudnemi obrazy, które „obietnic nie ziszczają żadnych“, to znowu ona staje się źródłem pragnień i dążeń najwznioslejszych, formą na odlew „przymiotów dobrych i nawyknień prawych“, kiedy zwrócona do wzniosłych przedmiotów i „przejęta jest enotą wysoką ²⁾.“ Rozróżnienie to nasuwało się Dantemu choćby tylko wskutku jego wielkiej od Platona pochodzącej teoryi, a było czemś innem zupełnie od tej skruchy, z jaką nawrócony tru-

¹⁾ Rime di Fra Guitone d'Arezzo. (Ed. Valeriani). Canzon III.

a potem naraz w połowie wieku

Znalazłem się w miejscu ohydny, dzikiem i strasznym,
Gdziem się przemienił cały.

²⁾ Furgat. XXX possim.

badur zwykł był patrzeć na „szaloną“ miłość swoich lat młodych. A kiedy zastanowienie i pamięć zwrócił na siebie samego i na swoją przeszłość, kiedy „w niedoli wspominał o dniach szczęścia“, musiał Dante pomyśleć i o tej dziewczynie, która obudziła pierwsze uderzenia jego serca i pierwsze dźwięki jego liry. Jej zawdzięczał swoją chwałę, jej to że „nad gmin się wzniosł“ ¹⁾, jej obraz zachował całą czystość dziewczęzą, pośród tylu wspomnień, tylu innych nie tak niepokalanych miłości, a wreszcie w niej była ta godność i powaga, to „piętno dokonania i doskonałości“ jakie na człowieku śmierć tylko wyciska. W ten sposób, naturalny zupełnie i łatwy do pojęcia, stała się Beatrice w planie „poematu świętego“, który już Dante układał w głowie, symbolem idealnej miłości, a niezrównany urok sztuki uzupełnił, wykształcił ten pomysł, i zrobił z niego wzniosłą postać, którą widzimy w *Boskiej Komedyi*. Sposobem daleko mniej naturalnym, a zwłaszcza daleko mniej szczęśliwym, przeniósł Dante ten cały symbolizm wstecz, i unyślił zastosować go do dzieł swojej młodości, dorobić allegoryczną i platonieczną interpretacją do sonetów i canzon pisanych niegdyś za młodu, w duchu i podług prawideł *del bello stile*, pod wpływem rycerskiej miłości i poezyi trubadurów. I oto początek i powód prozaicznej części dodanej do *Vita Nuova*, części oczywiście sztucznej, naciąganej, dowolnie dorobionej, ale której ostatni ustęp godzien jest uwagi i pamięci, bo zawiera w sobie jakoby praeludium i argument *Boskiej Komedyi*, której pomysł był już podówczas dojrzały, a plan zupełnie gotowy. W zakończeniu *Vita Nuova*, wspomina Dante o pielgrzymach, których widział jak przez Florencję szli do Rzymu w roku jubileuszowym, a potem dodaje: „Wkrótce potem miałem cudowne widzenie, w którym patrzałem na takie rzeczy, że postanowiłem nie mówić już nic więcej o tej błogosławionej „(Beatrice), aż do czasu, kiedybym zdołał mówić w sposób „zupełnie jej godny. Żeby do tego dojść, uczę się ile tylko „mogę, a ona wie o tem dobrze. To też, jeżeli Ten, przez „którego jest wszystko co żyje, pozwoli mi jeszcze życia, spo-

¹⁾ Inf. II. 105.

„dziewam się powiedzieć o niej kiedyś, co o żadnej innej „nigdy powiedzianem nie było.“

Obietnica dość dumna w swojej całej chrześcijańskiej pokorze: ale Mistrz miał ją kiedyś spełnić świetnie, łącząc szczęśliwie razem dwie wielkie myśli, nierównej oczywiście wartości, ale pod względem poetycznym podobnie wzniosłe: platońską ideę miłości, i katolicką wiarę w świętych obcowanie. Czy jest coś na świecie piękniejszego, bardziej wzniosłego i uroczego razem, jak ta nauka naszego *Credo* o nieustannym związku, o wzajemnem połączeniu przez modlitwy i prośby, między Kościołem cierpiącym, wojującym, i tryumfującym? Czy jest co wznioślejszego nad ten dogmat jedności między świętymi w niebie, duszami cierpiącymi w czyśćcu i wiernymi żyjącymi na ziemi? W tym Kościele wszystko jest wspólne: modlitwy, dobre uczynki, zasługi i laski; „jednym ciałem jesteśmy, a każdy z osobna jeden drugiego członkami,“ mówi święty Paweł, — niech więc nie będzie „rozzerwanie w ciebie, ale, iżby jedne członki o drugich staranie miały“ ¹⁾. Ten węzeł miłości, którym nasza wiara związała świat widzialny z niewidzialnym, ten boski system wzajemnego ubezpieczenia jaki ona zaprowadziła pomiędzy życiem a śmiercią, nie mógł ująć uwagi Dantego i pominiętym być w jego katolickiej epopei. Czyliż miałbym potrzebę przypominać, jak on owszem z nauki tej korzysta, jakie na podstawie tego dogmatu i z jego pomocą tworzy kolosalne i patetyczne obrazy? przypominać te epizody tak przejmujące, tak niezapomniane nigdy, jak Manfred, Buonconte, Sordello, Malaspina, Hugo Capet, Forese Donati, Guinicelli, Cacciagnida? Na każdym kroku tej wędrówki zatrzymują poetę biedne dusze, błagając, żeby ich krewnych i bliźnich pozostałych na ziemi prosił od nich o modlitwy, „bo szczeremi modły wyrok „może być skrócony, a pomoc z tamtąd wielce nas posuwa“ ²⁾. Na każdym kroku zatrzymują go, żeby pytać, co robią, jak się sprawują ci, których kochają, a którzy jeszcze progu wieczności nie przebyli. Jakie współczucie rzewne, jaką troskliwość serdeczną, okazują te dusze czyścicowe, „anielskie mo-

¹⁾ Do Rzymian XII. 5. I. do Kor. XII. 25.

²⁾ Purgat. III. 136. 145.

„tyle lecące bezbronną ku sprawiedliwości“ dla biednych poczwerek pozostałych na ziemi! W tem miejscu bowiem, jak oczyszczają się złe skłonności, tak dobre znowu ziemskie uczucia „doskonają się“ i szlachetnieją:

„A miei portai l'amor che qui raffina, ¹⁾

mówi jedna z tych dusz, w słowach, którym równych niewiele na świecie. I podobnie także, ta czułość na ziemi już dziewica i platoniczna, jaką za życia mogła mieć Beatrice, stała się w niebie ciągłą przyczyną błogosławionej za przyjacielem nieszczęśliwym:

L'amico mio, e non della ventura ²⁾

Przyczyna ta, dodać jeszcze należy, jest czemś więcej nawet, niż prostą modlitwą, sięga dalej, niż „Świętych Obcowanie“ w rozumieniu Kościoła. Krytycy Dantego, najprawowierniejsi nawet i najbystrzejsi, jak Ozanam na przykład, albo Filalete, olśnieni pięknnością fikcy i jakżeby oczarowani jej urokiem, nie dostrzegli w Dantejskiej teologii tego dziwnego braku, że nigdzie niema ani najmniejszej wzmianki o *Aniele Stróżu* ³⁾. Beatrice bierze na siebie, przywłaszcza sobie niejako w *Boskiej Komedyi* tę rolę względem swojego tak wiernego a tak niewiernego kochanka, jest jego opiekuńczym duchem i jego patronką w niebie. Od chwili rozstania, od chwili, „gdy się od ciała wyniosła do ducha,“ nie przestała na chwilę czuwać nad nim i martwić się jego grzesznemi zбочeniami ⁴⁾. Darownie starała się naprowadzić do na dobrą drogę, już to ukazując mu się we śnie, już podając mu dobre myśli i wzniosłe pragnienia: nie nie zdołało zatrzymać go na niebezpiecznej pochyłości, zawiodły ją „wszelkie środki na zbawienie

¹⁾ Wielką miłością swoich ja kochałem:

Dzisiaj ta miłość tu się doskonali.“ Purgat. VIII. 120.

²⁾ Przyjaciół mój, ale nie losu. Inf. II. 61.

³⁾ *Ozanam*, Dante, et la philosophie catholique au XIII^e siècle. Paris 1845. *Philaletes*: (Jan król Saski) Die Göttliche Komödie (tłómaczenie i komentarz). Leipzig 1865. (III tomy).

⁴⁾ Purgat. XXX, XXXI.

jego“ ¹⁾. W tej ostateczności nie jej nie pozostało, jak uciec się do ostatecznego środka: umyśliła przeprowadzić go przez przybytki potępionych, pokazać mu na oczy kary przeznaczone dla zatwardziałych grzeszników. Sama czeka na niego na szczycie Czyścica, w Raju Ziemskim, a kiedy żałujący pokutnik wspina się tam nareszcie, oparty na ramieniu Virgila, ona nie szczędzi mu najtwardszych wyrzutów, ażeby „większego wstydu doznał za swe winy.“ Czy mu nie wstyd, że zapomniał tak rychło? że tak słabo opierał się postrzałom rzeczy zwodniczych? że tak nisko upadł pomimo lat dojrzałych, i choć „miał brodę,“ dawał się chwytać w tesame zawsze dobrze znane sidła? „Nowotny ptaszek czeka, aż nań strzelą dwa lub trzy razy, lecz na tego, co porósł w pierze, próżno z łuku ostre puszczać strzały.“ I dopiero kiedy ukochanemu zbłąkanemu dała zmierzyć całą głębokość jego upadku, kiedy on musiał stać przed nią ze spuszczonemi oczyma, „jak dzieci, kiedy uznają winę i żałują za nią,“ dopiero kiedy z ust jego usłyszała spowiedź pełną żalu i upokorzenia, dopiero wtedy przebaczyła mu i otworzyła skarby najwyższej miłości. Porywa go i unosi w sfery niebieskie, między planety i po nad planety, ukazuje mu mieszkanie błogosławionych, aniołów i archaniołów, tłumaczy mu tajemnice najbardziej niedoścignione. A kiedy doszli wreszcie do samego „niebieskiego dworu,“ ona rzuca mu na pożegnanie ostatnie spojrzenie i wraca na swoje miejsce w chwale wybranych, w płomienistej róży, ale i tam jeszcze widać ją, jak „ręce składa“ i za nim się modli ²⁾).

W tej roli przewodnika po niebiesiech i tłumacza świętych tajemnic przybiera córa Portinariach rozmiary nadludzkie i nadprzyrodzone, i wydaje się czasem jak żeby była doskonałym wcieleniem znajomości Boga, absolutną i najwyższą wiedzą. A dwa wieki później, kiedy Rafael zechce w sławnej Stanzy malować alegoryczną figurę Teologii, wyobrazi ją pod tą postacią, w jakiej pośród ziemskiego raju ukazała się Dantemu Beatrice.

¹⁾ Purgat. XXX. XXXIII. passim.

²⁾ Parad. XXXIII. 38, 39.

Marchese Arrigo.

Sovra candido vel' cinta d'oliva
Donna m'apparve, sotto verde manto
Vestita di color di fiamma viva ¹⁾).

Akademik. W tej ostatniej najwyższej apoteozie jest ona tą *donna di virtù*, przez którą rodzaj ludzki dostaje się wyżej ponad ziemskie rzeczy i sfery, jest tą światłością, która jest „pośrednikiem pomiędzy prawdą a rozumem“

che lume fia tra'l vero e l'intelletto ²⁾).

I znowu tu, jak wszędzie, to zjednoczenie, ten stały synkretyzm miłości i światła, który jest myślą podstawną Dantejskiego Kosmos. Tylko Beatrice, będąc aniołem stróżem i niebieskim przewodnikiem dawnego kochanka, nie przestaje mimo to być jego muzą i jego natchnieniem przy pisaniu „poematu świętego.“ Onato wszakże, za przewodnika po ciemnych regionach kary i pokuty wybrała mu Virgiliusza, „zaszczyt i światło poetów,“ wielkiego w starożytności śpiewaka zagrobowych krain, tego, który także opisywał zstąpienie do piekieł „*Descensus Averni*.“ Ona, i nieraz nawet, przykazuje Dantemu, żeby, jak wróci na ziemię, opisał wszystko, co z łaski jej widział: „Ty zapisz to sobie dobrze, a słowa, które „odemnie słyszałeś, pamiętaj powtórzyć tym, których życie „na ziemi jest tylko gonitwą ku śmierci“ ³⁾. *Donna gentile* z młodości Dantego stała się wspaniałomyślną orędowniczką jego zbawienia i współzycielką przy dziele, które miało go nieśmiertelnym zrobić na wieki. A nie nie da się porównać z tą sztuką, z jaką on połączyć zdołał rzeczywistość i życie z ideałem, w tem przemienieniu, w tej Transfiguracyi istoty ziemskiej w uwielbioną.

Niech więc, Pani — i to będzie zakończeniem mojej długiej mowy — nie wyrzuca sobie, że śmiała wątpić o mi-

¹⁾ W wieńcu oliwnym, po białej zasłonie,
W zielonym płaszczu zjawila się Pani
Barwą żywego płomienia odziana.

²⁾ Inf. II. 76, 77, Purgat VI. 45. Purgat. XXX. 31, 33.

³⁾ Purgat. XXXII. 103. XXXIII. 52.

łości Dantego do Beatrix Portinari. Powątpiewania te mają słuszny powód, ale nie ujmują nie kreacyi jednej z największych, jakie duch ludzki począł i wydał. Bo jeżeli prawdą jest, że autor *Vita Nuova* nieinaczej kochał i śpiewał swoją *donna gentile*, jak wszyscy adepci „wesolej sztuki“ i „pięknego stylu“ — to wieszcz *Boskiej Komedyi* zdołał powiedzieć o swojej *donna di virtù* to, co o żadnej innej nigdy powiedzianem nie było, i nigdy o żadnej powiedzianem nie będzie.

Hrabina. Wiesz Pan, że nasz dzisiejszy wieczór wyszedł z łaski Pana na coś bardzo podobnego do prowaneckich *cours d'amour*, a wątpię, żeby rycerze i poeci XII wieku słyszeli byli coś piękniejszego i bardziej nauczającego. Widocznie była dziś kolej na cudzoziemców; popisywali się przed nami Gallowie i Sarmaci. Ale przyjdzie kolej i na nas, a Włochy nie dadzą się wyprzedzić: *non è vero principe?*

Księżę Silvio. Jakto? do mnie Pani zmierzasz? mnie wyzywasz na taką rozprawę, starego pedanta, zagrzęzłego między Rzymianami i Grekami?

Hrabina. *Che, che, che, principe?* Proszę nie udawać. Widzę w oczach Księcia, że masz dość do powiedzenia o tem zagadnieniu, które mi nie daje pokoju. Ah *carissimo!* jeżeli mi dasz nareszcie to wytłómaczenie, którego tak pragnę, uwieńczę cię kwiatami, jak robili Rzymianie i Grecy, uściskam cię na placu podczas karnawału, gotowabym nawet, *Dio mio*, przez wdzięczność uczyć się po grecku.

Tłóm. St. Tarnowski.

(Dalszy ciąg nastąpi).

NA POŁUDNIU I NA PÓŁNOCY.

NOWELLA

przez

Zygmunta Przybylskiego.

(Dokończenie).

VI.

Pieczary dnia

Moja jedyna Wando!

Każesz mi się sądzić, gdy ja cię umiem tylko kochać i połowę życia oddałabym dla twojego szczęścia.

Jeżeli serce nie ci nie mówi, jeżeli się nie rumienisz wobec twych myśli, jeżeli czujesz się niewinną, jeżeli wierzysz, że nie zrobisz kroku dalej, a cofnąć się nie możesz, nie masz sił, bądź szczęśliwą, ja cię potępiac nie potrafię i nie chcę. Mogę tylko cieszyć się lub płakać razem z tobą.

Jedno zaledwo ośmielę się zrobić ci pytanie: czy podobnie szczerą spowiedź, jak przedemną, zrobiłabyś i przed twą matką i czy wobec niej również czułabyś się niewinną?

I jeszcze jednym tylko spostrzeżeniem podzielę się z tobą: w miarę, o ile wzrasta w twem sercu uczucie dla

Juliana, o tyle w równej mierze zwiększa się nienawiść dla twego męża. Czy czasem nienawiść ta nie jest potrzebą zagłuszenia wyrzutów sumienia lub usprawiedliwienia się przed samą sobą z niedopełnienia swych obowiązków?

Droga Wando moja, jesteś sierotą i dlatego nie miałaś sposobności wyrobić sobie poczucia obowiązku, nie miałaś możności zahartować go w pracy i poświęceniu się dla rodziny, a nikt nie otworzył przed twą chciwą wrażeń duszą obowiązków jeszcze szerszych i wspanialszych. Mąż od ciebie ich nie wymagał — i stało się, że rozżalona i upokorzona poszłaś tam... zkaąd rzadko się wraca z niezłamanem sercem.

Stało się, droga Wandziu; radabym przycisnąć do serca twoją rozpaloną główkę i — i razem z tobą zapłakać, a wtedy możeby mi się udało szepnąć ci do uszka: Uciekaj, uciekaj od tych gorących słonecznych promieni południa i promieni oczu tego złego ducha, który przybiera na siebie postać Endymiona, bajronisty lub bohatera, aby tylko jedną więcej szlachetną duszę wtrącić w przepaść.

Piękna Włoszka, to pewno również jedna z jego ofiar! Ta artystyczna dusza potrzebuje wrażeń i szuka ich! Czył naczey: ten egoista potrzebuje coraz to nowych zwycięstw. Bawią go, drażnią i upajają udręczenia sere, których on jest sprawcą. I oneto zapełniają mu próżnię życia. Ty go uwielbiasz, a ja, powtarzam ci, droga Wando, mam wstręt do niego! i na samą myśl, co się dalej stać może, serce mi się ścisaka.

Nie jestem w stanie pisać ci dużo o sobie, o naszym cichem życiu, o dniach podobnych do siebie, a jednak jest nam tu dobrze, cicho, swobodnie. Nie doznajemy wielkich wstrząśnień, ale też burze nie robią w naszych sercach pustek.

Nowa książka, nowe nuty stanowią epokę, a nowe zrebę lub owieczka, radosny wypadek. Wyjazd do kościoła, spacer do lasu, należą do miłych rozrywek, a podróż do Krakowa na nową sztukę, do uroczystości. Smutno się teraz zrobiło w domu: Staś wrócił do Krakowa, młodzi bracia odjechali do szkół.

Zostałam z rozmarzoną Antosią. Boję się o nią; to tylko szczęście, że ona nie pojedzie do Włoch!

Wandziu, przebacz mi, nie chciałam ci tym wykrzyknikiem dokuczyć. Lecz i ty byłaś względem mnie złośliwą, każąc mi koić smutek pana Hilarego.

Pogodził się już ze swym losem, jest mniej smutny i mniej nieśmiały. Często wyjeżdża do Krakowa, kupuje dużo książek, bywa w teatrze, czyta wiele, nawet lubi rozmawiać o literaturze i sztuce, a zawsze modnie i elegancko ubrany. Ojciec mówi, że zmiany te są mojem dziełem, lecz propinator z Jasienic (wsi pana Hilarego) powiedział mamie pod sekretem, że jego dziedzic niedługo już przywiezie panią podobno z okolic Bochni. Bawił tam u siostry przez tydzień. Jest tak dobry i ma tak łagodny wyraz twarzy, że można się do niego przyzwyczaić; to też gdy przyjedzie, nie robi mi przykrości, tem więcej, że zawsze z sobą przywozi ciawkę i zajmującą książkę.

I tak jakoś nam życie płynie. A płynęłoby cicho i w tej ciszy radośnie, gdyby nie troska dnia powszedniego. Nie chcę się więcej skarżyć przed tobą; boję się, abys nie pomyślała, że cię wzywam do ofiar. I nie rób ich, proszę cię. Duma szlachetnego mego ojca ciężko cierpiała po szalonym mym kroku spłaty twemi pieniędzmi rat Towarzystwa. Nie pisz mi nawet o gotowości twej do ofiar dla mnie, bo czułabym się względem ciebie skrepowaną, a może będę musiała pisać ci rzeczy, o których dziś myśleć się boję.

Wando moja, której serdeczny uśmiech był moją rozkoszą i radością, uśmiechaj się do mnie, jak wtedy w grubyh i szarych murach klasztoru, gdy je rozświecałaś blaskiem swych oczu i rozweselałaś srebrnym śpiewem twego głosu.

Nie, ja cię sądzić nie mogę, bo tylko kochać cię umiem. Pisz.

Twoja

Marya.

VII.

Rzym d.

Droga Maryniu!

Stało się, jak rozkazałaś. Uśmiecham się tak szczerze i serdecznie, jak wtedy, gdy moja Marynia, podobna powagą do matki Walentyny, dawała mi nauki moralne w naszej sypialni klasztornej. Nauki moralne — i za co? — za malutki żart z matki Kunegundy lub dowcip na rachunek pomidorowej twarzy naszego profesora historii naturalnej. I miałaś wtedy serce i odwagę gniewać się na mnie, gdy teraz drżysz, boisz się, a nie śmiesz mi ukazać całej głębi przepaści, nad którą stoję.

Nie bój się!... Zgadzałam się, że stałam nad przepaścią, lecz on mnie wyratował. Nie lubisz go, nawet zdaje ci się, że masz wstręt do niego.

Umię on jednak kochać i cierpieć. Artystyczna ta dusza jest również i artystycznie szlachetną — słuchaj!

Trzeciego dnia po opisanej ci wizycie Juliana, a mej prawdziwie włoskiej wycieczce do teatru — przyszedł...

Byłam nieco słaba, a więcej zmęczona. Napół leżąc na kozetce w buduarze, czytałam książkę, a raczej patrząc na czarne litery, marzyłam. Julian wszedł blady i smutny, a nawet nieśmiały. Nie przywitał mnie, również i ja milczałam, patrząc na niego, jak się patrzy na człowieka, któremu dlatego tylko przebaczymy, że go kochamy.

Jedna błyskawica oczu i był u mych nóg, całując kraj mej sukni — milczałam. Ujął moją rękę, przyciskając dłoń do ust; w oczach zaświeciły mu łzy...

— Widziałem transtewerankę — szepnął.

Czułam palące rumieńce na twarzy.

— Jesteś dumna, szlachetna i niepokalana — mówił cicho. Uwielbiam twoją dumę, kocham twą szlachetność, korzę się przed niewinnością; zostań całe życie podobną, bo jedynie taką kochać mogę, a kocham tylko wtedy, gdy uwielbiam i cześć. Bądź zawsze dla mnie wymarzoną, uśmiechem w snach

moich i niedościgłym celem w życiu; bądź dla mnie dobrem i pięknem, bądź szlachetnością mej duszy i szlachetnością mych pragnień — ja nie więcej nie wymagam. Ciężkie moje życie, pełne trudu i walk, których końca nie widać, na dalekim widokregu płynie wśród udanych uśmiechów smutno i monotonnie. — Bądź moją Beatrice i jasnością aniołów rozświecaj mi drogę.

— Czy nie i nigdy wymagać odemnie nie będziesz, pytałam poważnie, zatrzymując moją rękę w jego dłoniach.

— Nie i nigdy! — odpowiedział.

— Kocham cię, szepnęłam i ze wzruszenia zamrużyłam oczy. Uczułam dotknięcie ust jego na mem czole; nie śmiałam oczu otworzyć, lecz gdym je rozwarła, już go nie było.

Byłam mu za to wdzięczną i zsunęłam się na kolana, aby za tę chwilę pełną uroku i szczęścia podziękować Bogu.

Co fatalny wpływ mego męża potargał, on przywrócił do pierwiastkowego stanu: niepokalaną świeżość uczucia, przed którego utratą drżałam. On mnie pierwszy zobaczył zstępującą z wyżyny, na której sam mnie postawił, i pierwszy przyszedł ratować mnie — i uratował.

Dziś jesteśmy serdecznymi przyjaciółmi; nie mówimy o miłości, nie powtarzamy sobie przysięg i utartych frazesów, nie dajemy sobie tajemniczych schadzek, nie szukamy się wzajemnie, nie gonimy za sobą. Salon mój, *corso*, a najczęściej galerya Watykańska, są miejscami, w których nas ludzie widzą wśród białego dnia cichych, spokojnych, poważnych. Zwierzamy się wzajemnie z naszych wrażeń, myśli i uczuć. Nie jesteśmy egoistami, nie mówimy wyłącznie i zawsze o sobie; on nieraz się uśmiecha z mych uwag lub poglądów; mimo to jest dla mnie rozkoszą myśleć przy nim głośno i wydobywać z serec tajemnice tak długo tajone nawet przed sobą samą.

Czuję rozkosz, bo jestem spokojną i bezpieczną, nie zagraża mi nawet zazdrość. Nie wiem, czybym się dziś mogła zniżyć do zazdrości.

Piękna, ubóstwiana przez cały Rzym Włoszka, wyjechała do Florencyi. Istotnie, mówią powszechnie, że jest zakochaną w Julianie, jak tylko Włoszki kochać umieją, t. j. aż do szaleństwa, do granic nienawiści i zemsty.

Czy on może kochać kobietę podobnie gwałtownych namiętności, choćby była jednocześnie boginią i królową?...

Co Julian we mnie ukochał, mówił mi to dziś wobec „Przemienienia Rafaelowskiego“

Jakato rozkosz patrzeć na arcydzieła świata i słuchać szeptów tego, którego się kocha i ubóstwia!

Patrzałam w „Przemienienie“ — ja przemieniona, a on patrzył w me oczy, jak to często robi, gdy jest zmęczony widokiem arcydzieł.

— Ukochałem w tobie — mówił mi — tę naiwność, która tkwi w niepokalanej czystości ducha twego; wygląda z twych oczu i uśmiecha się miłością do ludzi. Kochasz świat, a ja przez miłość twą przebaczam mu...

Nie powiem już nic więcej, bo przekopiewane na papier nasze zwierzenia, pozbawione uroków, jak jego spojrzenie łagodne, i takich dekoracyj, jak galeria Watykańska, i takich cudów, jak „Przemienienie Pańskie,“ bledną podobne lodydze, która straciła kwiat upajający zapachem.

Szczęśliwi nie piszą, nawet mało mówią. Jestem w tych czasach milcząca i zasluchana w harmonii świata, która się układa do akompaniamentu pieśni miłości, wydobywającej się z mego serca.

Nie mówimy o przyszłości, nie dopytuję się o projekta i zamiary Juliana; cieszymy się, jak motyle, słońcem dnia dzisiejszego i zapachem róż, i choćby jutro przyszła śmierć, byłaby mi słodkim snem, raczej przeniesieniem mych złotych snów w wieczność.

Adio, droga Maryniu, piękna gosposiu i artystko! Pan Hilary cię kocha! — nie obawiaj się, wróci z pod Bochni niepokieszony. Przeczuję, że będziesz panią, absolutną panią Jasiennickiego dworu.

Kocha cię i przyciska do serca szczęśliwa

Wanda.

Ps. Mój pan mąż wybornie się bawi w klubie, często na operze, czasami na balach. W teatrze i na balach jesteśmy razem, zresztą nigdzie. Domyślasz się, że nie tęsknimy do siebie.

Gniewasz się, że tak mało nim się zajmuję, a oskarżasz, że go nienawidzę. Doprawdy, dziś za to wszystko, co się stało, powinnam mu być wdzięczną; bo gdyby mnie prześladował miłością, gdyby był zazdrosny, gdyby mnie dręczył swem towarzystwem, zabiłby mnie.

Widzisz, jakie cuda robi miłość. Dziś nietylko że go nie nienawidzę, lecz wdzięczną mu jestem.

Szczęśliwi są egoiści, lecz ja radabym świat cały przycisnąć do serca.

I nareszcie ty cicha i łagodna jesteś tyle dumna, że mi nawet odbierasz nadzieję radości ze zrobionej ci małej przysługi. Ja mam i nie potrzebuję, ty masz niewiele, a dużo potrzebujesz dla uszczęśliwienia drugih... a jednak zakazujesz mi...

Nie byłam nigdy zbyt posłuszną; ciebie się jednej boję jako jedynego mego sędziego i dlatego słucham cię; sądzę jednak, że mi nie zabronisz wywoływać uśmiechów radosnych w waszej wiosce, u ludu, który się garnie do białych ścian waszego dworku, i do anielskiego uśmiechu twej mamy, i dlatego załączam ci weksel na dwa tysiące franków, abyś ich użyła, jak ci się podoba. Praktyczny twój umysł potrafi sumką tą zrobić wiele dobrego i użytecznego. I jeżeli ty masz mnie za zgubioną, to przynajmniej serdeczne westelmienia ludu waszej wioski zrównoważą twą zgrozę.

Nie gniewaj się, kochaj mnie troszeczkę, a przebaczaj wiele.

Wanda.

VIII.

Pieczary dnia

Droga moja Wandziu!

Wczoraj były moje urodziny i wczoraj przyniesiono mi twój list, bukiet od pana Hilarego i bilet wizytowy z dopiskiem: „Od przyjaciela.“ Wczoraj również zrobili nam nie-

spodziankę Staś i jego przyjaciel, a zarazem pryneypał, młody adwokat, u którego braciszek mój praktykuje. Obaj zajechali cicho pod ogród i niespodziewanie zjawili się w salonie. Wczoraj nareszcie mama zaprosiła dwie moje przyjaciółki i naszą koleżankę z klasztoru. Pamiętasz ją pewno; żywa jak iskra, zawsze uśmiechnięta i swawolna, dziś poważna mężatka.

Domyślasz się pewno, że z porządku rzeczy przyjechało wieczorem parę naszych sąsiadów w białych rękawiczkach i białych krawatach i kilka sąsiadek w lekkich sukniach. Ściany białego dworku rozszerzyły się i tańczyliśmy prawdziwie po wiejsku, bo aż do świtu.

Co do mnie, wystąpiłam w bardzo skromnej blado-niebieskiej sukience, a mimo to dwa razy uśmiechnęłam się do siebie w lustrze! Zdawało mi się wtedy, że nie jestem brzydką. Lekkie rumieńce na twarzy, jakoś dziwnie świecące oczy i uśmiech na ustach, raz bardzo wesoły, drugi raz trochę smutny. Byłam wesołą, a jednak często ścisnęło mi się serce; żal mi było nie wiem sama kogo, tęskniłam nie wiem do kogo. Czy ta nieświadoma a serdeczna walka uczuć odbijała się w mych rysach i świeciła na mem czole, dość, że mnie otaczała młodzież przez cały wieczór; starsi się uśmiechali.

Pan Hilary nie tańczy, lecz za to stojąc we drzwiach, głęboko zamyślony, wpatrywał się we mnie jak w jakieś zjawisko, do którego nie śmiemy się zbliżyć. Bo widzisz, pan Stefan, ów młody adwokat z Krakowa, był ciągle ze mną i przy mnie; kierował tańcami — tańczyliśmy razem.

Jak ci go opisać, nie wiem sama. Wszystko co posiada, naukę i stanowisko, winien samemu sobie. Dużo jest u nas tego rodzaju młodych ludzi z ludu lub małego mieszczaństwa. Walka z życiem zostawiła w ich sposobie zachowania się, a pewno i w charakterze pewne ślady; są nieco szorstcy, złośliwi, zarozumiali, nadto pewni siebie. Nie posiadają tej miękkości, którą wytwarzają w dziecku pieszczoty matki, w młodzieńcu estetyczne wychowanie, poezya i muzyka; za to mają większy hart duszy, więcej energii i siły. Przynajmniej tak mnie się zdaje i tak być powinno, a nam dziś tych przymiotów bardzo potrzeba.

Pan Stefan był dla mnie grzecznym, szukał mnie nieustannie, dużo rozmawiał, często szydził; dowcip jego ostry, wyrażenia nie zawsze wyszukane. Jest niezłym adwokatem, jest również w połowie dziennikarzem; zajmuje się polityką, ma kandydować na posła do Rady państwa. Przypomina on na każdym kroku szermierza, dobijającego się znaczenia i wpływu przez pracę dla kraju. Nowy ten zastęp nowych ludzi zaczyna się u nas dopiero wyrabiać.

Pan Stefan zaledwo ma skończonych lat trzydzieści. Twarz jego chuda, wyrazista, oczy nieco zapadłe, głęboko osadzone, wyraz twarzy imponujący, — tybyś powiedziała arogancki. Na pierwszy rzut oka nie pociąga, lecz po dłuższym poznaniu zniewala rozumem, logicznością swych wyrażań i wymową.

Wesoło mi było w jego towarzystwie. Przyjaciółki i sąsiadki zrobiły mnie królową zabawy; pan Stefan niezbyt grzecznie mówił mi w oczy, że jestem zachwycającą.

I nareszcie, gdyby nie pan Hilary, który tak smutno się we mnie wpatrywał, bawiłabym się wybornie. Pan Stefan szydzić zaczął z p. Hilarego. Przypuszczam, że Staś opowiadał swemu przyjacielowi tajemnice rodzinne. W tej chwili odwróciłam się, spojrzałam na p. Hilarego i zobaczyłam taką głębię uczucia w jego oczach i taki smutek na twarzy, że mi się zarumieniła z bólu i wstydu. P. Stefan w tym błysku myśli porównania z p. Hilarym dużo stracił. Odeszłam smutna i nie wiem czemu, zagniewana na siebie samą.

Przykre wrażenie prędko się zatarło. P. Hilary wyszedł z sali, p. Stefan powrócił. Tańczyłam, mówiłam dużo, uśmiechałam się do ludzi i kochałam ich.

Z brzaskiem dnia goście się rozjechali; Staś z panem Stefanem wrócili do Krakowa, ja zaś rozmarzona, nieśmiała wobec myśli, niezdecydowana wobec pragnień nieokreślonych, nie mogę zasnąć; czytam już czwarty raz list twój, upajam się nim, rozmarzam, cieszę się i żal mi ciebie.

A więc znalazłaś człowieka, którego możesz kochać całą głębią twojej szlachetnej duszy, i on cię kocha czcią i uwielbieniem tylko!

Żal mi ciebie, bardzo mi ciebie żal. Dlaczego on nie jest twoim mężem? Łzy mi świecą w oczach i szepczę sobie, po-

wtarzając w myśli ustępy twego listu: Dlaczego on nie jest twoim mężem?

Mnie nikt tak kochać nie będzie!...

Lecz gdyby mi ktoś powiedział: Będiesz kochaną podobnie jak Wanda, lecz wtedy, gdy będziesz żoną innego, chociażby żoną człowieka, którego bym kochać żadną miarą nie mogła, nigdy bym się na to nie zgodziła.

Drżałabym nieustannie ze stracha, przytem sumienie przegryzłoby mi wkrótce serce. Nie wiem, lecz wątpię, czy, bym zniosła wzrok mego męża... I nareszcie zawołałabym do niego pełną rozpacz i udręczenia: Zabij mnie raczej, a nie patrz się tak... A może sam jego wzrok zabiłby mnie.

Widzisz, ja jestem wieśniaczka, usposobienie moje otwarte, szczere, nie znoszące tajemnic, uciekające przed dramatami serec; a gdyby przyszedł prawdziwy dramat życia, zapytuję sama siebie? serce mi odpowiada: zniosłabym go ze spokojem i odwagą. Obowiązek, do którego mnie przyzwyczajono od dzieciństwa, i walka, do której jestem wdrożoną, dodawałyby mi siłę; uśmiechałabym się do Boga i ludzi pełną wiary w przyszłość. bo spokojna i niewinna.

Przebacz mi droga Wando; piszę to, co powinnam, jestem rozmarzona i niespokojna o przyszłość twoją.

Twoja w złych i dobrych losach

Marya.

Ps. Przysłane przez ciebie pieniądze rozdamy z mamą ludziom naszej wioski w postaci przychowku, jałówek, owiec, kóz i rozumię się strojów, zaczawszy od najbiedniejszych; niektórych pospłacałam wczoraj długi. Tobie tylko winni, że zostali w wiosce przy kawałku ziemi. Radość tych pocziwłych ludzi, ich łzy wdzięczności i błogosławieństwo wzruszyły nas wszystkich do głębi. Pan Stefan na to konto powiedział tyradę przeciw arystokratom, marnującym majątek za granicą. Uśmiechnęłam się z tego zapachu, lecz gdybyś widziała, jak jest rozkosznie czynić drugim dobrze!... Przykro mi, bardzo mi przykro, że złote serce mej Wandy, tak

zdała od kraju, przepała się w niebezpiecznej walce, gdy tu tyleby otarło lez, tyle uszlachetniło ludzi. Dosyć tych kazań, nie lubię tyrań i nie lubię mów. Kończę już — bądź szczęśliwą!

Marya.

IX.

Neapol d. ...

Moja rozmarzona Rusalko!

Pozwól i mnie przyłączyć się do chóru twych sąsiadek i górskiej młodzieży i zawołać z nimi: „Niech żyje nasza królowa!“ Panowałaś ty nam w klasztorze mimo słodyczy i spokoju, jakąś mistyczną siłą twego ducha, a może artyzmem. Tąsamą potęgą, którą mnie przykuł do siebie Julian, ty pana Hilarego.

Lecz teraz ja się o ciebie boję. Jakiś pajak chudy, kościsty rozsuwa sieci, aby pochwycić moją wesołą muszkę; jakiś potwór zaczaja się, aby porwać rozmarzoną rusalkę i wywieść ją z jej królestwa, z gór, wyrwać z jej otoczenia, odebrać jej możność osuszania lez i wywoływania na ustach uśmiechów szczęścia.

Droga Maryniu, chylę głowę przed rezultatami postępu i cywilizacyi, lecz przyznam ci się, boję się tych ludzi nowych, tak świeżych, tak dzisiejszych. Mają oni w sobie coś demonicznego; może są przeznaczeni do przeobrażenia świata i do tego potrzeba im olbrzymich sił, pewności siebie, która przechodzi aż w arogancję, dumy, która się zmienia w ambicję i nienawiść, wytrwałości przechodzącej w zawziętość i zemstę... Wszystko to być może, lecz nie są oni pociągający i sympatyczni. Ludzie tej kategorii, wyobrażam sobie, podług jednego i tegożsamego modelu, brata naszego rządcy, którego spotykałam u nas na wsi prawie co waka-cye. Nie dość, że był czarny i chudy, z małemi w dole osadzonemi oczami, lecz do tego włosy jego sterczące przypo-

minały czarną gęstą szczotkę; i to go jednocześnie robiło śmiesznym i strasznym z powodu zaciśniętych warg, ostrego głosu i pogardy tego wszystkiego, co nie było realną treścią życia, a przedewszystkiem co go przerastało.

Czy i pan Stefan ma włosy na głowie, prezentujące się w postaci czarnej sterczącej szczotki, nie wiem, lecz sama mi piszesz, że jest chudy, czarny i złośliwy. Żal mi cię, moja gołąbko, bo widzę, żeś steroryzowana wymową, odwagą, a może i palącym wzrokiem młodego Maryusza. Drżysz i chwiejesz się, nie mając sił uciekać przed szponami jastrzębia; boję się o ciebie, bo czuję z twego listu, że serce twe zaczyna się budzić, zaczyna pragnąć i tęsknić, a nie chciałabym, aby ono należało do jednego z trybunów, którzy zwykle po za własną ambicją mało co rozumieją innych uczuć ludzkich.

Nie, droga moja, ty nie jesteś dla cudzoziemca, dla obcego, z jakiegoś innego świata, choćby uczuć i myśli. My należymy do przeszłości, do tej tradycyi, dla której ideały świecą w całej pełni; my nie zrzucamy z piedestałów naszej czei starych bogów, które ukochałyśmy od dzieciństwa. Dla nas modlitwa jest potrzebą serca, piękno i dobro tęsknotą za lepszym światem i pragnieniem lepszego świata!

Przed chwilą był Julian; pozwoliłam mu przejrzeć to wszystko, co do ciebie napisałam.

Po przeczytaniu zamyślił się głębioko, i nareszcie jakby sam do siebie powiedział półgłosem:

— A jednak przyszłość jest w ich rękach, i gdyby nie ich duma i aroganeya, dużo, dużo możnaby przez nich zrobić.

Uderzyły mnie te wyrazy, serce mi się ścisnęło, bo przyznam ci się, wtedy pierwszy raz przeleżałam się o Juliana i o siebie samą. Od pewnego czasu dopiero zaczyna mi się rozjaśniać, zaczynam pojmować nagłe wyjazdy, zmienne usposobienia, roztargnienie, zamyślenie, smutny uśmiech lub wybuchy radości. On musi być czemś bardzo zajęty, on musi walczyć, zwyciężać i przegrywać, ztąd często jest smutny lub wesoły.

A więc miłość mu moja nie wystarcza; często mu przeszkadzam, staję się zaporą do dopięcia celu, stanęłam na jego drodze.

— Tak się spieszyłem — mówił mi raz po powrocie z długiej wycieczki — tak się spieszyłem do ciebie, a ile przez pośpiech straciłem, a gdzie ja nie byłem.

— Gdzież? zapytałam zaciekawiona.

— W piekle, na samym dnie. Radzę ci, miej się na baczności! — nie czujesz zapachu smoły?

Żartowałam wtedy z nim, nie mając pojęcia o niebezpieczeństwie; dziś drzę o niego i siebie, a teraz patrzę w jego oczy, widzę w nich jakieś dziwne, złowrogie płomienie.

Julian nie jest wyłączną moją własnością, to mnie dręczy i przygniata.

W Neapolu bawimy od paru tygodni. Mniejszy tu wir i zamęt wielkiego świata, więcej zatem swobody. Spacery wspaniałe nad morzem, szczególnie na Chiaja, gdy ciemny szafir nieba pokryje się gwiazdami, a na dole wśród szpalerów południowych drzew, marmurowych posągów i wspaniałych pałaców z olbrzymimi tarasami, przyświeca smutny, zamysłony księżyc. Muzykę tych czarownych wieczorów stanowi szept morza lub oddalone chóry wesołego ludu.

Podczas wieczornych przechadzek mam zawsze z sobą dame de compagnie, aby mi Julian mógł swobodnie towarzyszyć, lecz za to wycieczki urządzam sama, gdyż zwykle Julian czeka na mnie za miastem; wtedy razem jedziemy i wtedy czuję się szczęśliwą i jestem wesołą, jak po egzaminach w klasztorze. Julian jest zachwycony mojem trzpiotostwem i dziecinnością.

To szczególna, męczyzna im rozumniejszy, tem więcej lubi wesołość, a przepada za naiwnością graniczącą z dziecinstwem, i nareszcie sam z ochotą staje się dzieckiem. Jego umysł potrzebuje odpoczynku i chwilowego zapomnienia. Ludzie wiecznie poważni podobni są do pustych dzwonów.

Krzysztof wiecznie jednako satyrycznie uśmiechnięty, wiecznie zimny jak lód, wiecznie jednakowo elegancki, wiecznie na wszystko obojętny; lecz niestety od niejakiemu czasu zaczyna zmieniać nie swoje usposobienie, lecz postępowanie, zaczyna mi się bacznie przypatrywać, obserwować, dość często ze mną rozmawia, częściej odwiedza a może i śledzi. Boję się, czy czasem teraz tak raptownie, pewno z nudów,

nie zaczynam mu się podobać. To przypuszczenie przeraża mnie, boję się o tem myśleć.

Droga Maniu, tyś mnie nauczyła i tyś mnie przyzwyczaiła do tej myśli, to też często za tobą powtarzam sobie: „dlaczego *on* nie jest moim mężem.“ Byłabym przez pewność siebie dumną, przez spokój szczęśliwą, posiadałabym go w zupełności; dziś, choć jestem niewinną, kryję się i boję.

Nie zapominaj...

Twoja biedna

Wanda.

Dnia ...

Tak już dawno, a było to dopiero wczoraj przy zachodzie słońca, które kryjąc się za białą chmurkę, złoćło ją i za tą osłoną kładło się do łóża z błękitów w bezdenne morze... Byłam w Pompei, Julian obok mnie. Staliśmy w známym domu aktora, patrząc na słońce; uśmiechaliśmy się zachwyceni pięknością zjawiska. Woń upajała mnie i mimowolnie skloniłam głowę na ramię Juliana; flet ślepego staruszka śpiewał jakąś smutną piosnkę pożegnania.

Nie wiem, jak to długo trwało, dość, że z po za ściany ukazał się mój mąż blady, z zaciśniętymi ustami. Zbliżał się do nas cicho, Julianowi nawet nie zadrżała ręka.

— Zdaje się, że już czas wracać do Neapolu — rzekł z taką obojętnością, jakby mnie porzucił przed chwilą i jakby nas tylko dwoje było. Umyślnie ignorował Juliana.

— Dziękuję, odpowiedziałam chłodno, wieczory w Pompei są tak rozkoszne...

— Że zostajesz, aby się rozkoszować.

Nie nie odpowiedziałam.

— Czy pomyślałaś o tem, że nikomu nie wolno rzucać cienia na moje imię?

— Panie! zawołałam wyniośle.

— Wykrzyknik nadto dramatyczny, rzekł mój mąż.

— Czy pan pomyślałeś — odparł Julian spokojnie — że niewolno ubliżać czci należnej kobiecie?

— A to pan bierzesz w opiekę honor mej żony? — Dramat zmienia się w karykaturę. — Obrońca honoru mej żony! — wybornie, wybornie kochany panie! — stajesz pan na straży czci mego nazwiska, wszak tak? — i zasłaniasz swą wielką powagą, stanowiskiem, godnością i cnotą honor mej żony przed napaściami męża?

Śmiał się sucho, wargi mu drżały.

— Bronię honoru kobiety przed napaścią, a mało mnie obchodzi, kto jest napastnikiem, mąż czy obcy.

Słyszac to, zachwiałam się i nie mogąc utrzymać się na nogach, zsunęłam się na kolana. Julian pochwycił mnie półzemdlącą.

Nie wiem, co się dalej działo. Gdym otworzyła oczy, już nie było nikogo prócz Juliana, cuciącego mnie przyniesioną wodą.

— Prawda, że to był sen? szepnęłam.

— Ciężki, przykry sen, lecz już przeminął i następstwa przeminą, a wtedy będzie nam cicho i swobodnie — pocieszał mnie Julian.

— Gdzież mój mąż? zapytałam przecierając oczy.

— Uratowałam go — odpowiedział jakoś dziwnie.

— Uratowałeś! powtórzyłam, nie śmiejąc, nie chcąc dokończyć myśli. Drżałam na całym ciele; Julian również wzruszony podał mi rękę. Szliśmy w milczeniu do miasta.

— Spal wszystkie listy — mówił mi, odprowadzając mnie do domu — wszystkie te, które mówiłyby o naszej sympatii; nie zmieniaj dotychczasowego mieszkania, gdyż to on nie powinien przestąpić progu twego domu. Do widzenia — rzekł, ściskając mi serdecznie lecz nerwowo rękę.

Sama w pokoju, opuszczona, zalałam się łzami. Teraz dopiero zrozumiałam okropność położenia.

Już dwadzieścia cztery godzin upływa, już drugi zachód słońca ozłaca Neapol, a ja zgnębiona, w udręczeniu niewiadomości liczę minuty. Ani mego męża ani Juliana. Fatalizm lub może Nemezis, za winy, których nie popełniłam, tak zawzięcie mści się nademną. Cóż zawiniłam?...

Wanda.

X.

Pieczary d.

Droga moja Wandziu!

Po odebraniu twego listu nie spałyśmy z mamą noc całą, modliłyśmy się za ciebie długo i gorąco. Płakałam, rzewnie płakałam nad twym losem. Dziękuję Bogu za nasze góry, które nas oddzielają od świata. Odwagi, odwagi najdroższa moja! — I u nas smutno, bardzo smutno, ale my z po za łez możemy się jeszcze uśmiechać.

Pisz, pisz, serce mi bije, ile razy zobaczę pocztę schodzącą z gór, wybiegam na gościniec, aby coprędzej odebrać listy, i nie znajduję od ciebie żadnej, ani złej ani dobrej wieści.

Błagam cię, nie dręcz mnie więcej.

Twoja

Marya.

XI.

Pieczary d. ...

Moja biedna Wando!

Już czterdzieści dni upływa od ostatniego twego listu. Długie, smutne czterdzieści dni i żadnej wiadomości. Wierzysz w serdeczne uczucia moje i dlaczego nie zsyłasz mi pociechy... Może jesteś chora? — wezwij mnie telegramem, przyjadę natychmiast.

Na szczytach gór bieleje śnieg, w dolinach wiatr i deszcz jesienny, mimo to ja zawsze na gościńcu czekam na listy z Włoch — i zawsze napróżno!

Smutna rózo moja, pociesz mnie.

Marya.

XII.

Dnia 15 kwietnia.

Vevey.

Droga Maryniu!

Przebacz, tak długo nie tęskniłam za tobą, tak długo! Bo też dotąd nie żyłam prawie na świecie, nie miałam żadnych pragnień, żadnych potrzeb serca; zdawało mi się nawet, że nie myślałam.

Ukryta w zakątku, przeznaczonym od Boga na przytułek dla tych, którym świat zabrał wszystko, serce i wiarę, mogłabym zwątpić, gdyby nie czary przyrody, gdyby nie jej piękność, przez którą Bóg przemawia, upokarza nas, zadziwia i mimowolnie zgina nasze kolana przed Swym majestatem.

Tu się ukryłam, patrząc całymi godzinami na wody jeziora, na czerwone domy miasteczek, poprzyczepiane do szmaragdowej zieleni jego brzegów; na granatowe góry i śnieżyste pasmo Alp, zarumienione słońcem. Patrzałam, dopóki piękność budzącej się wiosny nie otworzyła mi serca, nie uporządkowała bezładnych myśli...

Dotąd przesuwalam się przez życie tych ostatnich miesięcy jako cień samej siebie, złamana, uciekająca od własnych wspomnień i strasznych obrazów przeszłości. Listy zostawały nierozpieczętowane; bałam się ich otworzyć, myśląc, że cały świat przeklina mnie, że wszyscy ludzie gardzą mną. Parę dni zaledwo temu, drżącą ręką otworzyłam list twój...

Pierwsze łzy były dla ciebie i twej matki, i pierwszy uśmiech z po za łez był dla was. Burze wstrząsały mną, straszliwe wycia wiatrów, podobne przekleństwom, szumiały nad moją głową, tylko serca wasze zawsze ciepłe, tęskniące, zostały te same, niewzruszone. Maryniu moja, nareszcie tyś mnie rozbudziła stanowczo, zupełnie, i kazałaś kochać ludzi tak, jak ty ich kochasz!

Straszne są dzieje żywota mego. Po powrocie z Pom-

pei do Neapolu, po trzech dniach złowrogiej ciszy i samotności mej, w nocy, przed samą północą, zatoczyła się wolno przed bramę naszego domu kareta.

Dwóch mężczyzn w milczeniu wyniosło na barkach Krzysztofa; poznałam go odrazu, odgadłam wszystko, zbiegłam na dół przerażona. Nieznajomi w milczeniu podtrzymując chorego, złożyli go na łóżko... Był blady, oczy zamknięte; sądziłam, że umarł. Jakiś dziki wrzask wydobył się z mych piersi; Krzysztof otworzył oczy i uśmiechnął się łagodnie. Ta łagodność uśmiechu jego szarpała mi serce. Nie wiedząc co robię, pełna wyrzutów i zgrozy, popychana jakąś siłą nadprzyrodzoną, pochwyciłam jego rękę, tuląc ją do mych ust.

— Żal ci — szepnął — lecz cóż, gdy już zapóźno.

Łzy wydobyły się z mych oczu.

— Doktor zamówiony, wkrótce nadejdzie — szepnął mi jeden z tych, którzy przynieśli męża i zaraz obaj odeszli. Zostałam sama z Krzysztofem.

— Pić — szepnął chory. Przyniosłam wody; ręka mi drżała, gdy szklanekę niosła do ust rannego.

— Żal ci? — powtórzył cicho, — i mnie żal, bo on ciebie nie wart... To nie jest ten, którego szukałaś...

— Nie, nie, odpowiedziałam; — pił z chciwością.

— To nie ten, o którym marzyłaś — powtórzył cicho po chwili milczenia — to nie ten...

Zamrużył oczy, ciężko robiąc piersiami.

Myślałam, że umiera; zsunęłam się na kolana i znów pełna jakąś siłą, pochwyciłam jego rękę, okrywając ją pocałunkami. Ból przeszedł widocznie, bo otworzył oczy i uśmiechnął się.

— Kochałem cię — szepnął, patrząc na mnie łagodnie — tylko, niestety, po swojemu, może trochę dziko, więcej dumnie... Tak, kochałem — dodał — tylko że tak kochać, jak ty wymagałaś, nie umiałem. Ciężko zawiniłem, lecz też okrutnie, z zinnem wyrachowaniem i sztuką zadano mi cięcie.

Do pokoju cicho wsunął się doktor ze swym pomocnikiem. Drżałam na całym ciele, gdy rozwiązywali i opatrywali ranę małą, wąską na piersiach. Długo badali oddech chorego, coś smutno szepejąc między sobą.

Skinęłam na starszego, wzywając go do framugi okna.

— Żadnej nadziei? zapytałam, ściskając konwulsyjnie rękę doktora.

— Żadnej — powtórzył cicho.

— Żadnej? — to niepodobna!

— Konieczność — rzekł stanowczo — przed którą schylamy czoła. Głęboka, uderzająco głęboka rana zadana szpadą; nie przeżyje dwudziestu czterech godzin, — chyba cud — módl się pani.

Ja wtedy już oddawna zapomniałam się modlić; miałam tylko na swe rozkazy rozpacz i zwątpienie.

Doktorzy wyszli. Złowroga, przygniatająca cisza, przerywana ciężkim oddechem męża, zapanowała w dużym pokoju, oświetlonym zaledwo jedną świecą.

Nie wiedziałam, co z sobą zrobić i błagałam Boga, aby mnie razem z nim zabrał z tego świata. Tak mi było jakoś strasznie, że nie pojmowałam możliwości dalszego życia. Jakieś dawne wspomnienia tłoczyły mi się pod czaszkę, budząc w pamięci obrazy tych chwil, w których, będąc panną, w towarzystwie Krzysztofa byłam szczęśliwą.

— I byłabym nią, gdybym umiała i chciała, zawołałam w duchu.

— Wandziu — szepnął Krzysztof.

Przysunęłam się do łóżka.

— Pić, ach pić! Ogień, który tak pali — pokazał na piersi — spali mnie.

Ujął moją rękę.

— Przepraszam cię — rzekł, wpatrując się we mnie. — Zalałam się łzami, a z wyrzutów sumienia i wstydu rumieńce twarzy mi wypiekły. — Mogłam cię zrobić szczęśliwą, lecz nie umiałem, a może nie chciałem — powtarzał własne moje myśli.

Pił długo i powoli, odpoczywał i znowu pił podaną wodę z sokiem.

— Żal mi cię — mówił z długimi przestankami, trzymając moją rękę. — *On* wszystko i wszystkich poświęci dla siebie; on się nie cofnie przed żadnym środkiem; zaważałam mu — usunął mnie.

Dał znak, abym się więcej przybliżyła.

Pochyliłam głowę, a wtedy zaczął mi szeptać:

— Wybrał szpady, chociaż wiedział, że nie władam tą bronią... Wybrał szpady, bo jest mistrzem w ich użyciu. Szedł na pewne, aby mnie zepchnąć ze swej drogi. Przy trzecim złożeniu przebił mi piersi na wylot. .. Umrę, bo dobrze mierzył — a on pochwyci cię w swe szpony... Nie wierzysz mi i dlatego boję się o ciebie.

— Wierzę ci, szepnęłam.

— Przysięgasz, że wierzysz w prawdę słów moich?

— Przysięgam, odparłam wzruszona do głębi.

Transteweranka przyniosła lekarstwa. Po zażyciu paru łyżek chory się uspokoił i zasnął; we śnie gościł w nim życie. Raz jeszcze przebudził się, spojrzął szklannymi oczami, westchnął głęboko i skonał.

Wyprostowałam się, dumna, straszna i mściwa. Żał rozrywał mi serce, wstyd wypiekał rumieńce, rozpacz gnieździła się w sercu; oczy miałam suche, usta spieczone, myśli bezładne. Nie wiedziałam, co począć, ludzie uciekli odemnie. Transteweranka rządziła wszystkim. Dodaj do tego protokoły z policją wobec zwłok męża, szczegółowe wypytywania się o Juliana, gdyż znali całą sprawę pojedynku wybornie. Codzień prawie, domyślałam się, przyjaciele przysyłali mi w kopertach gazety, opisujące całe zajście w potwornych i podburzających obrazach, przedstawiających mnie jako awanturnicę zasługującą na pogardę; Juliana jako Rinaldiniego i Don Juana. Tłumy oblegały dom, w którym mieszkałam, grożąc mi i ciskając przekleństwa, i z tego powodu pogrzeb mego męża musiał się odbyć o trzeciej rano.

Oprócz kilku rzuconych mi kart wizytowych od mężczyzn, komisarza i policyantów, nikogo nie widziałam.

Natura ludzka musi być silną i potężną, jeżeli zniosłam to wszystko, jeżeli nie padłam pod ciężarem tych walk serdecznych, jeżeli dotąd żyję...

Nie śmiałam wyjść na ulicę, nie śmiałam wyjrzeć oknem. Julian zniknął, raczej przepadł. Można było przypuszczać nawet, że jest w więzieniu.

Nie zajmowałam się nim. Ile razy stanął mi przed oczyma, strach mnie przejmował. Zabójca, powtarzałam sobie, zabójca, obliczający zyski i korzyści... Zabójca z zimną krwią, z ułożonym planem, bez żadnego narażenia się, zabójca męża

dla pozyskania żony! Dreszcz strachu i wstrętu przejmował mnie.

Były chwile, w których nie chciałam temu wszystkiemu wierzyć, lecz rana wązka, podłużna rana na piersiach mego męża była nadto silnym dowodem. Krzysztof dobrze strzelał, lecz o użyciu szpady nie miał pojęcia.

Tak mi przeszedł cały tydzień, długi jak wieczność. Po-
stanowiłam wyjechać, lecz zaraz tego uczynić nie mogłam,
aby nie powiedziano, że uciekam ze strachu przed odpowiedzialnością.

Ósmego dnia wdowieństwa mego, budząc się rano, spostrzegłam na stoliku przy łóżku bilecik bez adresu. Gorączkowo zrywam kopertę, poznając odrazu ręką Juliana skreślone wyrazy:

„Czekam w Wenecyi, w tem miejscu, gdzie cię pierwszy raz zobaczyłem — na Piazzetta. Codzień wieczorem stać tam będę, zaczawszy od przyszłego czwartku.“

Zarumieniłam się, serce bić mi zaczęło, wszystkie wspomnienia spędzonych razem z nim chwil odtworzyły się w mej pamięci w bezładnych obrazach, aż nareszcie zobaczyłam wązka, podłużną ranę na piersiach mego męża i usłyszałam odbite w mem sercu jego ostatnie wyrazy: przestrożę i prośbę.

— Nigdy! nigdy! zawołałam, kryjąc twarz w dłoń.

Zadzwoiłam; wbiegła transteweranka uśmiechnięta, szczęśliwa.

— Kto przyniósł list? zapytałam surowo.

— Jeden z tych, Signora, którzy odwieźli ś. p. pana.

— Czy to był Włoch?

— Si, Signora, tylko nie Neapolitańczyk.

— Żadnych więcej listów nie odbieraj — zakazuję ci.

— Dlaczego, Signora — czy dlatego, że Signore Giuliano jest odważniejszy zręczniejszy i piękniejszy?

— Odejdź!

— Dobrze, lecz to pewna, że Signora zabijasz...

Wyszła rozgniewana, a ja nabrałam przekonania, że transteweranka jest przekupioną przez Juliana. Postanowiłam zrazu ją oddać, lecz stała mi się niezbędną w mem opuszczeniu i samotności.

Zostać dłużej w Neapolu nie chciałam, więziona w własnym pokoju, szpiegowana przez ludzi Juliana, śledzona przez osoby z naszego towarzystwa. Pragnęłam widoku morza, ciszy i szerokiego oddechu dla piersi.

— Na Piazzetta! — szeptał mi zły duch. — Cóżes ty winna, żeś pokochała?... — Odepehnęłam podszepty słabości i nędzy ludzkiej, szukając na mapie Włoch zakątka, gdziebym się ukryć mogła.

— Sorrento! zawołałam. — Uciekam do Sorrento. I tego samego dnia, wieczorem, siedziałam na tarasie domu, w którym się Tasso urodził, zmienionego w oberżę. Siedziałam zadumana; zdawało mi się, że gdzieś ulatuję w niedościgłą przestrzeń, bo z tej prostopadłej skały nie widać, tylko błękitne wody morza i błękitny nieba. Na ziemi wokół mirty i zapach kwiatów łagodził rozdrażnione me nerwy.

Tu postanowiłam kupić sobie willę lub zbudować nową i resztę smutnych dni mego żywota przepędzić. Tymczasem wynajęłam skromny domek na skałę, zagospodarowałam się w nim i pragnęłam ukoić żal do ludzi, niechęć i wstręt do świata. Cicho tu było, dni płynęły spokojnie, niezamęczone niczem. Samotność moją i monotonność przerywały białe żagle okrętów, które zdaleka przesuwwały się po powierzchni morza i znikwały... Czytałam historię Grecyi i zazdrościłam Grekom; czytałam historię Rzymu i gardziłam Rzymianami. Czy tylko nikczemni i zręczni zwyciężają? pytałam siebie...

Tak upłynęło dwa miesiące — i jesień na ołowianych chmurach, poprzedzana wiatrem i deszczem, z północy płynęła.

Jednego z tych dni ponurych, jak fatum jęczące morze rozbijało się o skały, napełniając duszę smutkiem i zwątpieniem... Późno już wieczór siedziałam w swoim pokoju, oświetlonym jedną lampą, pochylona nad książką, gdy cicho i niespodziewanie stanął przedemną Julian.

Na pierwszy rzut oka sądziłam, że to duch jego. Przeżalenie oddech mi zaparło w piersiach. Widząc to Julian, chciał mi przybieść na ratunek; zerwałam się jednak w tej chwili, stając zimna i dumna.

— Nie zbliżaj się, mówiłam z trudnością, ciężko robiąc piersiami, lecz tak surowo, że Julian stanął jak wryty.

— Wando! — zawołał drżącym od wzruszenia głosem.

Dźwięk jego głosu, sympatyczny i serdeczny, rozbroił mnie; nie mogłam przemówić słowa, nie mogłam utrzymać się na nogach — usiadłam. Również opodal w fotelu usiadł Julian. Zapanowała cisza, przerywana cichym odgłosem bicia mego serca.

— I nareszcie, gdy pani zostałaś wolną — mówił poważnie — gdy masz prawo rozporządzać sobą, odpychasz człowieka, którego kochałaś będąc niewolnicą...

— Lecz kochałam człowieka czystego, nieskalanego, w którym ceniłam wielkość duszy i szlachetność charakteru.

— A dziś pani przekonałaś się?

— Rana na piersiach mego męża, zadana szpadą, oskarża pana i rozdziela na zawsze.

— Więc pani chciałaś, abym jej i swą przyszłość i przyszłość mych zasad i prac oddawał pod pewny strzał człowieka, którego życie było igraszką dla niego samego, a dla wielu ciężarem? Krok ten byłby zbrodniczą lekkomyślnością z mej strony.

— A zatem, przerwałam rozdrażniona, wołałeś pan sam zabić, nie narażając się.

— Wołałem, broniąc się, sam zabić, jak być zabitym.

— Zawsze zabójstwo jest zbrodnią.

— Często jest koniecznością — rzekł Julian.

— Koniecznością podłości, krzyknęłam przeraźliwie.

Julian blady i straszny powstał.

— Tylko tobie jednej przebaczam rzucane mi w twarz obelgi.

— Dziękuję panu, odparłam wyniosłe, bo wszystkich innych mordujesz własną ręką lub może każesz zabijać. Mnie przebaczasz, a ja właśnie wołałabym zginać z twej ręki, jak patrzeć na naszą hańbę.

— Na naszą hańbę — powtórzył — gdy napadnięty i zelżony broniłem się.

— Zabiłem, powinienes powiedzieć — i dlatego opinia wydała swój wyrok, a uczeiwi ludzie przekleli nas.

— Opinia, uczeiwi ludzie, — mówił smutnie Julian, nareszcie jesteśmy u celu. Opinia, co to znaczy? — uczeiwi ludzie, co to za określenie? Jakie mogą mieć stosunki opi-

nia i uczciwi ludzie z nami? Opinia, to poziom, to głosy mas nędznych i wstrętnych; uczciwi ludzie, to miernoty myśli i sądów. Czy są zdolni nas dosięgnąć, a tem więcej rozdzielić?

— Ale ja chcę mieć wśród tłumów podniesioną dumnie głowę i przechodzić wśród nich niewinna i nieskalana.

— Potraf raczej deptać tłum, a wtedy on będzie schylał karki przed tobą.

— Deptać nie potrafię i nie pragnę, uczciwość szanuję i cenię.

— Wtedy musisz się zdecydować być dręczoną lub uciekać przed opinią, jak teraz.

— Nareszcie czego pan żądasz odemnie? zapytałam stanowczo.

— Nie takiego pytania spodziewałem się, przychodząc tu — odparł poważnie Julian.

— Ja zaś nie takiego rozwiązania...

— Innego być nie mogło, na co należało być także przygotowaną — przerwał Julian.

— Robisz mnie pan współniczką swej zbrodni i oskarżasz... Zaczęłam rzewnie płakać.

— Wando! — zawołał z uczuciem, wyciągając do mnie ręce.

— Nie zbliżaj się — na rękach twych ślady krwi mego męża!

— Dosyć już tych przesądów — mówił z siłą — wyrzutów, przerażeń i uciezek. O cóż tu idzie? o życie jednego potworka, które pędził w nudzie, nie wiedząc, jak go zapełnić; cóż ono znaczy wobec naszego szczęścia, naszej przyszłości i możliwości zrobienia wiele, bardzo wiele dla tych tłumów, któremi dziś gardzimy?

— Przestań pan, przestań, szeptałam zrozpaczona — nie znałam twego charakteru, twych zasad, tych jakichś ciemnych i niezbadanych głębin...

— A ja nie przypuszczałem, że przesady i w twym sercu tak się zakorzeniły, że loika wypadków musi przed niemi ustąpić, że zdolna jesteś poświęcić im szczęście swe i szczęście człowieka, którego kochasz; bo niepodobna, aby miłość, którąś żywiła dla maie przed paru tygodniami, miała zgaśnąć. Nie, ona jest, tylko zaćmiona strachem własnych my-

śli, i byle tylko te ciemne chmury barbarzyństwa, nagromadzone wiekami w naszych umysłach, rozpędzić, spojrzysz znów jasno, wrócisz do promieni słońca, do życia, do jego czarów i rozkoszy — wrócisz...

— Nigdy! zawołałam gorączkowo.

— Więc stać się dla człowieka niezbędną, zabrać mu życie, wydrzeć mu przyszłość, a potem odepchnąć, nie jest również zbrodnią?

— Nie, bo ty nie jesteś tem, czem byłeś przed katastrofą.

— Miałem więc całe życie zostać Filonem pasącym owce, i jak owca iść na rzeź, a wtedy byłbym przez ciebie oplakiwanym bohaterem?

— Tylko byłbyś uczciwym człowiekiem, odpowiedziałam.

— A dziś?

— Zabójcą, szepnęłam.

— Dość tego — rzekł groźnie, powstając. — Stało się; nie masz pani nikogo prócz mnie, a więc ja mam obowiązek, a zdaje mi się, i pewne prawa mieć cię w swej opiece. Francya, Belgia, Holandya są dla nas otwarte. Nie pozwalasz się pani dziś zbliżyć do siebie, nie pozwalasz uścisnąć nawet ręki; być może, że przyszedłem zawcześnie. A więc do widzenia! Sądzę, że czas złagodzi drażliwość nerwów; — co do mnie, jestem zawsze jeden i tensam; kocham całą potęgą serca i kochać będę, a przysięgam ci, że będziesz moją! — proszę i radzę oswoić się z tą myślą.

Wyszedł cicho i zniknął w ciemnościach.

Walczyłam z sobą całą noc i parę dni następnych, aż nareszcie pokonałam się. Kazałam spakować rzeczy i nie mówiąc gdzie, wyjechałam z transteweranką do Livorno, ztamtąd odesłałam ją do Rzymu, a sama statkiem parowym popłynęłam do Genui i przez Turyn, Mont-Cenis na Genewę do Vevey uciekłam...

Czy ja tego człowieka kochałam? Czy ja go dziś jeszcze kocham? — stunowczo mogę powiedzieć, że o ile go się boję, o ile mam jakiś niewytłómaczony wstręt do jego ciemnych zasad, do jego spokoju i pewności siebie, do jego stanowczości i pogardy ludzi, o tyle mogłabym mieć sympatyę

do niego samego, do jego towarzystwa, wytwornego obejścia i rozumu, gdyby nie ta wążka, głęboka rana na piersiach mego męża; onato odpycha tego człowieka na wieki odemnie.

Pierwszych dni po nocnej awanturze w Sorrento gardziłam nim, później nienawidziłam go, a potem zobojętniałam na wszystko; nie umiałam się modlić, a nawet nie mogłam.

Gdy nareszcie śniegi na górach topnieć zaczęły, a dobroć Boga objawiać się na ziemi, przez uśmiech wiosny i mego serca lód zaczął tajać. A powtarzam, listy twe krótkie, proste, rzewne, przepełnione miłością i przebaczeniem, rozbudziły mnie. Tyś przeczuwała następstwa, tyś widziała zbliżającą się burzę, lecz po nich zostało tylko trochę wspomnień i ból wielki. Czyż ja wiecznie będę usychać pragnieniem i zawsze z pustem sercem powracać do nicości i tęsknoty?

Kochaj mnie — tak mi smutno.

Twoja jedynie

Wanda.

Ps. Nie tracę nadziei, a nawet wierzę mocno, że nie zbyt długo będę czekać na odpowiedź mej dobrej i przebaczącej Maryi. Pisząc, adresuj poste restante. Przeczuwam, że jestem poszukiwaną, a za nic na świecie nie chciałabym się spotkać więcej w życiu z tym człowiekiem. Boję się jego gniewu, obrażonej dumy... Boję się, aby mnie jakąś tajemniczą swą siłą nie przykuł do siebie... Ach, ja się już wszystkiego boję.

XIII.

Pieczary d. ...

Droga moja Wandziu!

Stało się. Czyż tak przerażającej potrzeba było katastrofy, aby cię ocucić? Nie, moja droga, ja nie jestem

zdolna robić ci wyrzutów! Poszłaś tam, gdzie cię popychało serce pragnące wzruszeń i fantazy. Wolę ja raczej z Tobą płakać, bo byłaś bardzo biedną; a że jesteś zawsze moją rozpieszczoną i ukochaną Wandą, tem więcej było mi Cię żal; dziś witam cię odrodzoną, wymarzoną moją, taką, jaką chciałam, abyś zawsze była.

W całym tym bolesnym dramacie wszyscy zbyt może srodze zostali ukarani i wszyscy ciężko przeboleli. Zadosyćuczynienie Bogu i ludziom spełniło się i sprawę uważam za skończoną; reszty dokonają ofiary twoje i miłość dla ludzi. Wracaj tylko do nas, my cię zasłonimy i obronimy. Ach, z jaką rozkoszą przytuliłabym cię do serca! U nas pewno nie jest tak pięknie, jak w Alpach, ale i tu Bóg objawia się miłością.

Ośm miesięcy czasu, jakto długo, wieleżto burz przeszło nad naszymi głowami! Nareszcie niebo się wypogodziło i cisza, ta łagodna cisza, pełna uśmiechów i wróżb, zapanała.

Fatalizm nas prześladował, mówi nasz ojciec, mama, ja i lud naszej wioski; wierzymy, że Bóg nas doświadczał.

Kiedy już siewy roku zeszłego były skończone, szalona burza nawiedziła nasze góry, Raba wylała, niszcząc nam grunta i zasiewy; podmulila owczarnię i przewróciła ją, topiąc owce, tartak zabrała ze sobą; klęska była straszną; z ogólnej powodzi uratowane zostały stodoły ze zbożem i krowy ulubione mamy.

Wprawdzie mieliśmy czem przeżyć zimę, lecz zbliżający się rok przyszedł groził nam ruiną. Żadnej nadziei, aby z wiosną uprawić i obsiać podwójną ilość pól, a Towarzystwo kredytowe, nieublagane jak fatum, wychyliło swą żarłoczną paszczę. Dochód z tartaku przepadł przynajmniej na lat dwa.

Smutno się zrobiło w białym dworku. Zamyślenie ojca, mamy ciche łzy i moje westchnienia, w wiosce narzekania i lamenty; jeden Staś swemi listami dodawał nam odwagi, ukazując przyszłość w barwach różowych.

Pan Stefan bowiem, po mych urodzinach, odwiedzał nas dość często, jak na znaczną odległość z Krakowa do Pieczar. Za to pan Hilary bywał coraz rzadszym gościem.

Nadmienić ci muszę, że zaraz po wylewie pan Hilary

odstąpił swego tartaku memu ojcu z powodu, że sam miał postawić sobie nowy; a że służy nie były zniszczone, tartak niezadługo w bieg został puszczoney.

Na święta Bożego Narodzenia przyjechali z Krakowa nasi panieze, jak ich służba nazywała. Byliśmy sami, a więc rozmowa często powracała na najwięcej zajmujący nas wszystkich przedmiot, na wylew Raby, a ztąd i przyszłość naszą. Pan Stefan proponował nam kupno Pieczar, bo chociaż młody, już po szczęśliwem przeprowadzeniu kilku zawitych spraw dorobił się majątku.

Mamie żal było naszej wioski; ojciec przyciśnięty smutną koniecznością, musiał się zgodzić. Postanowiono, że po przejrzeniu tabuli i karty szacunkowej przez pana Stefana postawi on nam cenę za Pieczary. Tego wieczora był dla mamy bardzo serdeczny, dla mnie bardzo grzeczny, z ojcem wiele mówił o sprawach kraju.

W parę tygodni później nadszedł z poczty obszerny list pana Stefana, a w nim traktat o stanie majątkowym Pieczar. Dość, że po odliczeniu Towarzystwa i innych mniejszych długów, oraz mego posagu, gdyż o mnie się w liście oświadczył, zostawało rodzicom niecałe piętnaście tysięcy guldenów które radził zostawić u niego na siedm od sta procentów.

Przestrach, smutek i żal nas opanowały. Co robić z tak małą sumką i jak dzieci wychować?... Ojciec z każdym dniem więcej siwiał, mama codziennie stawała się smutniejszą, cichszą i mniej uśmiechniętą.

Dziwne jakoś i ponure tło miało oświadczenie się pana Stefana, oświecone bielejącym włosem ojca i łzami matki. Dla mnie osobiście nie było ono niespodzianką, przeczuwałam i oczekiwałam; lecz pomimo, że był mi sympatycznym, że mi imponował rozumem, a zadziwiał bystrością, pomimo, że byłam zdecydowaną zostać jego żoną, nie tęskniłam do niego. Mężczyzna, który nigdy nie rozrzewni kobiety, jestem pewna, że nie zdobył jej serca.

W tym serdecznym, cichym smutku naszym i braku odwagi na stanowczą decyzję, odwiedził nas pan Hilary Przywitaliśmy go wszysej, nie wyłączając i mnie, jakoś serdeczniej, bo też niespodziewanie wstąpiła w serca nasze otucha i nadzieja.

Przy herbacie ojciec przedstawił mu propozycję pana Stefana.

Pan Hilary czytał długo, rozważał i uśmiechał się. Uśmiech pana Hilarego rozweselał nam smutne myśli nasze.

— Tak źle nie jest — nareszcie zdecydował; — a że adwokat umalował wszystko na czarno, temu się dziwić nie można, — mieszkańcy Pieczar są dla niego „stroną.“

Rodzice spojrzeli po sobie, ja zaś uczułam, że się rumienię.

— Jabym się odważył na inną propozycję — odezwał się po długiej pauzie milczenia pan Hilary.

Zapanowała w naszym kółku cisza, jak wtedy, gdy się słucha człowieka zwiastującego ratunek.

— Jeżeli się państwo zgodzą, wezmę Pieczary w dzierżawę na lat 12, naznaczając ratę dzierżawną cztery tysiące guldenów oprócz Towarzystwa.

— Ależ to niepodobna — przerwał mój zacny ojciec.

— Być może w pierwszym roku — mówił cicho, spuszczaając oczy, pan Hilary, lecz w następnych to już odemnie za-
leżeć będzie. Kupuję maszynę parową do tartaku, zatem i po-
ręby leśne Pieczar potrzebne mi będą. — Długo rozprawiali na ten temat; ojciec mój zaprzeczał, pan Hilary przekonywał i przekonał.

Stało na tem, że od Śgo Jana pan Hilary bierze w dzierżawę Pieczary. Rodzice przenoszą się do Krakowa z warunkiem mieszkania na wsi podczas wakacyj, gdyż sąsiad nasz obsadza w oficynach Pieczar ekonoma, zostawiając nam wolne mieszkanie. Pan Hilary umiał tak dobrze rachować i w oczach rodziców podnosić wartość naszej wioski, że nareszcie pocziwe me ojczyisko uwierzyło, że jest właścicielem złotego jabłka, co go robiło troszkę dumnym i szczególnie.

Nazajutrz pan Hilary przysłał kontrakt dzierżawny do podpisu i tysiąc guldenów zadatku. Ojciec w tej chwili odesłał je do Lwowa na ratę Towarzystwa kredytowego.

Odetchnęliśmy, jakoś się nam zrobiło ciepło, serdecznie, rzewnie a wesoło. Ciężkie sny odleciały, wstawaliśmy uśmiechnięci i nieco rozmarzeni, podobni uratowanym rozbitkom.

Lecz jakież nasze było zdumienie, gdy czwartego dnia,

odesłano nam ze Lwowa posłane pieniądze, z tym dodatkiem, że rata towarzystwa kredytowego z Pieczar, już na cały rok zapłaconą została.

— Kto to mógł zrobić — rzekł ojciec.

Na to pytanie nie było odpowiedzi. Nikt nie śmiał wymienić imienia pana Hilarego, domyślałam się, w mej obecności. Co do mnie, byłam pewną, że mnie twarz pali i wyszłam. Czułam jakby wyrzuty sumienia i naprawdę zaczęłam się wstydzić samej siebie.

Zapomnieliśmy o panu Stefanie, jego propozycjach i oświadczeniu się o mą rękę. Nie mówiliśmy o nim; zaniepokojony naszem milczeniem, zjawił się niespodziewanie podczas obiadu w Pieczarach. Witaliśmy go pomieszani i onieśmieni spostrzegł to i również stracił na swej swobodzie zawsze wyzywającej i nieco rubasznej.

Przy końcu obiadu ojciec powiedział mu o wypuszczeniu Pieczar w dzierżawę za cztery tysiące guldenów. Na tę wiadomość pan Stefan spojrział zdziwiony i stanowczo oświadczył, że biorący dzierżawę Pieczar, będzie dokładał do nich rocznie dwa tysiące. Ojciec mój nieco obrażony zaczął stanowczo oponować; korzystając z dyskusyi wysunęłam się niepostrzeżenie z sali jadalnej.

Nie umiałam sobie zdać sprawy ze stanu mego serca i umysłu. Pan Stefan teraz w moich oczach jakoś dziwnie wyglądał. Był brzydki, a zaciśnięte, wąskie usta, wzrok ostry, kazały mi się domyślać żądz nie zbyt wzniosłych, ani nawet wzniosłych, ani nawet szlachetnych. Nie pokazałam się więcej, nikt mnie też nie wzywał, nikt nawet nie odwiedzał w moim pokoju. Gość nasz wieczorem na całą noc pospieszył do Krakowa. Przy herbacie nie przypomniano go ani jednym słowem. Byłam im za to bardzo wdzięczna.

— Pan Hilary przyjechał, szepnęła mi w parę dni później Antosia, wbiegając do mego pokoju. I nie wiem dla czego po wyjściu Antosi, spojrzałam w lustro aby poprawić włosy, i nie wiem dla czego, może bojąc się swych rumieńców, weszłam do salonu dopiero o szarej godzinie i siadłszy do fortepianu grałam tylko Mendelsona „Pieśni bez słów.“ Zdawało mi się że nikogo nie ma w salonie, i dlatego gra moja miała dużo swobody i uczucia. Omyliłam się jednak,

bo gdy skończyłam, zbliżył się do mnie pan Hilary, ujął moją rękę, przyciskając ją do ust. Nie broniałam się, a więc całował długo, bardzo długo, aż dopóki nie uczułam dwóch kropli łez na mej ręce. Musiał się swoich serdecznych łez zawstydząć, bo się odwrócił i wzruszony wyszedł.

Wybornie się stało bom i ja miała łzy w oczach, a nie chciałam aby je zobaczył.

Od tego czasu pan Hilary odwiedza nas codziennie gdyż już gospodaruje w Pieczarach.

Nie było go jednak aż całe dwa dni, dopiero wczoraj przyjechał z Krakowa, przywiózł pierścionek i wczoraj się odbyły nasze zaręczyny.

Dotąd nie mówiliśmy nic o sobie i nic o miłości. Ja jestem wesoła i trzpiotowata, pan Hilary uśmiechnięty, żywiony, czasem zamyślony, czasem zapatrzony w moje oczy. Poczciwy mój ojciec w wybornym humorze; mama mnie pieści, a Antosia już dwa razy była w Jasienicach, opowiadając szeroko jaki śliczny fortepian pan Hilary sprowadził, jakiego koloru dają nowe obicia w salonie, i wiele innych miłych i ciekawych dla nas rzeczy.

Ślub mój odbędzie się piątego czerwca. Rodzice zostają całe wakacje w Pieczarach, a ja przyrzekłam mamie odwiedzać ich codziennie z Jasienic. Antosię zabieram do siebie. —

Zapytasz się pewno moja najdroższa Wando, czy ja jestem szczęśliwą i czy go kocham. — Dotąd nie zadawałam sobie tego pytania. Jeżeli jednak szczęście polega na zaufaniu i wierze w pogodną przyszłość, i na serdecznych uśmiechach mych drogich i bliskich, to ci powiem, że jestem bardzo szczęśliwą!

Czy go kocham? nie wiem. Przedewszystkiem cenię jego zacny charakter, szanuję go i tęskno mi bez niego. A gdy patrzę w te pocziwe rysy i ciemne jego oczy, mam ochotę przytulić się do niego z tym spokojem i pewnością, że mi będzie przy nim dobrze, że odgadnie każdą moją pocziwą myśl i będzie się starał wpleść ją w życie nasze.... Czy ja go kocham, nie wiem, lecz to pewna, że wszystko, może nawet życie oddałabym dla jego szczęścia. Zresztą moja Wando, ja jestem mu wdzięczną za uśmiech mej matki, wypogodzone czoło ojca, radość Antosi i dumę Stasia.

A może mu jestem wdzięczną i za to, że mnie wyrwał, jak to sama pisałaś, ze szponów jastrzębia.

Czy ja go kocham, czy powinnam go kochać, osądź sama.

Moja droga Wando, powiedz mi, czy niemożna być chociaż troszkę po ludzku szczęśliwą, bez wielkich wstrząśnień serca, bez wyszukiwań nadzwyczajności i wielkich efektów w życiu. Ciche, pełne uczucia i prawdy dramata, wszędzie można znaleźć, nawet w wiejskim dworku i pod słomianą strzechą, tylko je trzeba umieć szukać, a być w nich uśmiechem lub promykiem nadziei, to także rozkosz.

Czy nie zatęsknisz wśród cudów natury za krajem, naszym ludem i twą przyjaciółką, za potrzebą wywoływania uśmiechów i osuszania łez.... To również należy do szczęścia. Iluż to ludzi usycha z pragnienia podobnych czynów, lecz nie wszystkim dano urzeczywistnić je. A tym, którym dano? Ci zwykle uciekają od nas.

Przebacz, kochaj mnie i pisz.

Marya.

XIV.

Vevey d.

Pokonana i zwyciężona! Jutro opuszczam Vevey i nie zatrzymując się nigdzie jadę prosto do białego dworku nad Rabą.

Ukradnę cię panu Hilaremu i Rodzicom na całe dwa tygodnie. Musisz mnie uczyć filozofii życia. Nareszcie mam nieprzeparty pociąg ucisnąć dłoń twemu narzeczonemu, zapłakać w objęciach twej matki, a oczami twego zacnego ojca popatrzeć choć jeden dzień jasno i swobodnie w przyszłość.

Tęskno mi do Was. Ach, jak moja pokojowa powoli pakuje rzeczy!

Do widzenia, serce mi bije na myśl, że Cię tak prędko uściskam.

Twoja

Wanda.

HOMER, SCHLIEMANN I MYKENY.

Wspomnienia z podróży do Grecyi.

(Ciąg dalszy)¹⁾.

V.

Niniejszy ustęp, poświęcony krótkiemu opisowi tych licznych przedmiotów, któremi odkrycia Schliemanna w Mykenach zbiory helleńskie wzbogaciły, rozpocząć wypada od uwag o szczególnie bogatej spuściznie przeróżnych wyrobów z *gliny*. Ceramiczne bowiem wyroby mają dla badacza dziejów przedhistorycznych wartość i znaczenie pierwszorzędne; czem w geologii są muszle, tem w prehistoryi są garnki i skorupy naczyń. Wyroby z cennego materiału, zwłaszcza z kruszców szlachetnych, ze złota i srebra, zdolne są złudzić zmysł fachowego nawet badacza, ale w rzeczy samej świadectwo ich nie jest tak pewnem, tak wiarogodnem, jak świadectwo mniej ponętnych, częstokroć dziwnokształtnych i brzydkich dzbanków i kubków, garnków i innych naczyń z gliny. Wyroby ze złota i srebra nie wyciskają na tym

¹⁾ Patrz *Przegląd Polski*. Luty 1880.

gruncie, który je ukrywa w swem wnętrzu, tej cechy cywilizacyjnej, którą go piętnują naczynia z materiału tak pospolitego, jak glina. To, co się znachodzi w wielkiej ilości, to, co jest powszednie i zwykłe, wszędzie i zawsze najlepszą jest miarą przeciętnego stopnia kultury i jej rozległości. Z tych przedewszystkiem względów przyznać należy terracottom wszelkiego rodzaju wysokie stanowisko w rzędzie archeologicznych zabytków.

Nie od dziś wprawdzie zamieniają ludy pomiędzy sobą utwory własnego pomysłu i wykonania; komunikacja handlowa pomiędzy poszczególnymi narodami Azji i Europy sięga najdawniejszych czasów. Przywóz i wywóz nie mógł być wszelako ongi znacznym już nawet dla samych przeszkód i trudności komunikacyjnych; tylko drogocenne wyroby przemysłu opłacić się mogło wywozić i sprowadzać. I po dziś dzień nie zwykliśmy kupować po za granicami własnego kraju przedmiotów, służących do zaspokojenia najgłówniejszych potrzeb codziennego życia, wyrobów z pospolitego, taniego, a łatwo zniszczeniu podlegającego materiału.

Tylko więc w wyjątkowych wypadkach do importowanych artykułów należały w czasach zmierzłej przeszłości przedmioty sztuki ceramicznej, tj. głównie zapewne wtedy, jeżeli się odznaczały udatnością form i doskonałością techniczną. Z reguły zaś wazy i naczynia gliniane fabrykowano *in loco*, tak, jak umiano — ceramika była wszędzie przemysłem rodzimym, autochtonicznym. To też słyszymy często — o fenickich, kypryjskich, etruskich i rzymskich złotnikach i rękodzielnikach, oddających się pracy w innych metalach, że wędrowali z miejsca na miejsce, wykonując swoje rzemiosło, o *wędrujących garncarzach* żadna nam się nie przechowywała wiadomość.

Inne przytem okoliczności podnoszą wartość archeologiczną waz i skorup *mykeńskich*.

Wyroby metalowe, szklane, kościane itd. pojawiły się na terytorjum dawnej Pelopidów stolicy prawie tylko w grobach, *pochodzących mniej więcej z jednej i tej samej epoki*, przedewszystkiem w głębi nieznacznej przestrzeni, objętej owym pasem dwóch równoległych kół płytowych. Wyroby z gliny napotymano natomiast nietylko na spodzie grobów

i w nasypie zapełniającym groby, czyli w t. z. *χώματα*, lecz, jak wyżej nadmieniono ¹⁾, na całym niemal terytorium dawnego miasta. Już też, zanim Schliemann zabrał się do pracy, zwrócili niektórzy archeologowie uwagę świata uczonego na te liczne szczątki ceramiczne, rozsypane po powierzchni ziemi, poczynawszy od Akropolii aż do wsi Charvati, publikując w czasopismach niektóre fragmenta. Przez obfitą zdobycz Schliemanna materiał stał się niemal zupełnym: sięga od najdawniejszych czasów aż do zburzenia miasta przez Argijczyków i nawet w czasy późniejsze, a temsamem jest całkowitym obrazem historycznego rozwoju ceramiki argiwijsko-mykeńskiej. Rozwój ten z tem większą ścisłością będzie można przedstawić, im więcej poznamy wyrobów *pokrewnych obcego* pochodzenia. Obecnie już znaczną jest liczba zupełnie takich samych lub podobnych naczyń i skorup malowanych, które odkryto na różnych miejscach Europy i Azji, że tutaj wspomnę tylko o naczyniach, wynalezionych ostatniemi czasy w *helleńskich* miejscowościach, mianowicie: w Tiryni i Nauplii, w Atenach i Menidhi i w Tebach, na wyspach Kypros i Rhodos. Przeciwnie zaś bardzo szczupłym jest zasób obcych wyrobów *kruszcowych*, zwłaszcza złotych, któreby z mykeńskim skarbem zestawić wypadało. Także więc skutkiem bogactwa analogicznych wzorów ceramicznych z innych stron Grecji i z innych krajów Europy, winny mykeńskie naczynia malowane stanowić punkt wyjścia nie tylko dla tego, który usiłuje scharakteryzować ornamentykę wyrobów mykeńskich wszelkiego rodzaju, lecz również i dla tych wszystkich, co badają w ogóle prymitywną sztukę owej dawnej epoki i dochodzą jej początków i źródeł.

Pominąwszy ²⁾ nieliczne naczynia późniejszego pocho-

¹⁾ Zob. rozdział IV.

²⁾ Nie chcąc obciążać rozprawki ciągłemi cytatai, zestawiam w niniejszej uwadze artykuły, rozprawy i dzieła, z których przedewszystkiem w tym i następnym rozdziale korzystać mi wypadało, i do których łaskawych czytelników po bliższe szczegóły odsyłam; oprócz do wymienionych już powyżej dzieł i rozpraw *Schliemanna*, *Hartla*, *Sybla*, *Newtona*, *Köhlera*, *Milchhöfera*, *Stamatakisa* i innych, odnieść się trzeba było mianowicie do następných:

dzenia, odkryte tuż prawie pod powierzchnią przypadkową, jaka była przed wykopaliskami Schliemanna, wszystkie inne okazy mykeńskiej ceramiki mają ozdoby malowane w jednym i tym samym stylu. Jest to styl, który poznano nieco bliżej przed bardzo niedawnym czasem. Spostrzeżono wprawdzie ornamentykę tego rodzaju na wielu wyrobach z brązu — nawet na rękojeściach mieczów kilku oraz i na płytach grobowych — w Skandynawii, lecz archeologowie skandynawscy w dążności swej salwowania odrębnej oryginalności dawnej kultury swych krajów rodzinnych, nie sięgali w tym kierunku wzrokiem po za granice swej ojczyzny i nie dość uwagi poświęcili rozlicznym szczegółom ornamentacyjnym. Dopiero gdy i w innych krajach naszego kontynentu pojawiły się okazy tejsze ornamentyki, gdy odrębność jej w coraz to liczniejszych wzorach uwidocznić się zaczęła, archeologowie niemieccy i francuscy baczna na jej właściwość zwrócili uwagę. I w tym atoli wypadku objawiło się dobitnie znamienite znaczenie Hellady, jako ogniska bardzo starożytnej kultury — tej Hellady, na którą się dotychczas patrzano przeważnie tylko jako na ojczyznę tyłu dzielnych bohaterów i tyłu znakomitości literackich, w której szukano i podziwiano tyle arcydzieł sztuki i piśmiennictwa z epoki klasycznej, nie badając jej epok najdawniejszych, nie bacząc na to, że ona stanowi ważne ogniwo w dziejach prehistorii, ponieważ kryje w swem wnętrzu na różnych miejscach zabytki mogące rozwiązać niejedną zawiłą kwestję archeologiczną. Greckich albowiem naczyń zastęp dość liczny, umieszczony przeważnie w muzeach w Leyden, w Pa-

Semper, der Stil itd., zwłaszcza t. II; *Conze*, zur Gesch. der Anfänge griech. Kunst, Sitzungsber. der Wiener Akad. d. Wiss. philos. histor. Classe, tom LXIV str. 505 nast. i LXXIII 221 nast. i Gött. gel. Anz. na cyt. m. oraz annali dell'instituto archeol. ted. z r. 1877; *Helbig*, annali dell'instituto z r. 1875; *Hirschfeld* ibid., *Blümner*. Technol. u. Terminol. der Gew. u. Künste der Gr. u. R., zwłaszcza tom II, do świeżo wydanej świetnej publikacji: *Furstwängler und Loeschke*, Myken. Thongefässe, im Auftr. d. archaeol. Instit. zu Athen. Berl. 1879 i innych, które w części poniżej na odnośnych miejscach trzeba było osobno wymienić.

ryżu i Londynie, mając ornamentykę, o której mowa, dał pochoć do umiejętnego określenia jej właściwości i przyznania jej pierwszeństwa chronologicznego przed wszelkimi innymi rodzajami dekoracyj. Po mniej lub więcej ścisłych uwagach Burgena i Bircha, a dalej Gerharda, Raoul-Rochette'a, Stackelberga, de Witte'a, Ottona Jahna i Bursiana, w krótkich rysach, lecz trafnie naszkicował historyczne znaczenie rzeczonych naczyń przedwcześnie dla nauki zgasły Semper, w znakomitem dziele o stylu; następnie, na podstawie bogatszego już materiału, badali ten styl i rozpisali się o nim Conze, Helbig i Hirschfeld, nie we wszystkim się ze sobą zgadzając, ani też we wszystkim znajdując wiary u innych współczesnych badaczy. Uczona polemika, zwłaszcza Conzego z Helbigiem, przyczyniła się w wysokim stopniu do wytłumaczenia niejednej wątpliwości, a tymczasem wzmógł się niesłychanie materiał, objął wszystkie kraje naszego kontynentu i pozwala już nawet odróżniać pewne fazy w ciągu rozwoju ustanowionej osobnej grupy rzeczonych wyrobów. Gdy chodziło o nadanie miana temu stylowi, różne stawiano wnioski. Conze proponował nazwy: przedkadmejski lub pelazgijski, a Semper w tym samym duchu nazwę: indoeuropejski, a raczej indogermański. Później Conze, porzucając geograficzne określenie, podał rzeczowe; nazwał ten styl: tekstylno-empaistycznym, Helbig natomiast dał mu miano geometrycznego stylu, które też ogólnie niemal się przyjęło.

Nazwom wziętym z właściwości ornamentyki niewątpliwie pierwszeństwo przyznać należy przed nazwami geograficznymi. Jeszcze bowiem jest sprawą niedostatecznie zbadaną, gdzie szukać mamy właściwej ojczyzny stylu geometrycznego i jak daleko sięgało jego panowanie. Conze chciałby go poczytać za indoeuropejską własność; nadmieniamy wprawdzie, że nazwy „indoeuropejski“ nie należy tutaj zastosować w zupełnie ścisłym, w lingwistyce używanym i przez nią utartym znaczeniu, lecz zarazem obstać przy twierdzeniu, że ornamentacja geometryczna nie może pochodzić z Egiptu i z Górnej Azji, gdzie w czwartym, a względnie w drugim tysiącu lat przed Chrystusem powstał i wykształcił się osobny styl, znany pod nazwiskami *stylu*

oryentalnego, azyatyckiego lub stylu krajów położonych nad morzem Śródziemnem. Helbig również wprawdzie uznaje jak najzupełniejszą różnicę obu wymienionych stylów, ale jest zdania, że i styl geometryczny dostał się z Azji do Europy.

Nazwa „styl geometryczny“ jest niezawodnie najstosowniejszą, gdyż czynnikiem głównym w tym stylu są linie. Właściwości jego najlepiej się uwydatniają na ozdobaх naczyń.

Ozdoby geometryczne składają się z kombinacji zupełnie pojedynczych linii: prostych w najrozmaitszych kierunkach, a obok tego czysto kolistych; innego rodzaju linie spotyka się rzadziej.

Zupełnie jest naturalnem, że pierwsi rysownicy zaczęli od prostych linii. Każde dziecko, gdy się zaczyna uczyć rysować, kreśli nasamprzód linie proste, następnie ślimakowate, a w końcu dopiero przechodzi do rysowania figur. Podobnie i najdawniejsi „artyści“ robili kreski w tę i ową stronę, prostopadłe, poziome i ukośne, obok siebie i po nad sobą w rozmaitych długościach i łączyli je z sobą, i tak powstawały krzyże proste, krzyże haczyaste, pola szachownicy, trójkąty, zygzaki, ściegi krzyżowe i t. d. Już Semper wypowiedział domysł, a z nim zgadza się Conze i zgadzają się inni, że te szczegóły ornamentyki linearnej są przeważnie technicznego pochodzenia; te różne kombinacye kresek wzięte są z techniki tkactwa, w części także z techniki plecienia i haftowania. W tkaninach i haftach napotyamy nici krzyżujące się pod prostym kątem, ztąd wynikło linearny deseń, w rysunku prostolinijne i łamane jego formy. Słusznie zapewne wnosić możemy, że w onej epoce, kiedy się rozwijał system dekoracyi geometrycznej, tkactwo, plecienie i haftowanie były najznacześniejszymi gałęziami przemysłu u narodów, które ów system zastosowywały. Niepodobna jednakże pominąć milczeniem, że niektóre połączenia kresek są prawdopodobnie naśladowaniem kształtów, które w budowlach występują. Z wzorów życia zapożyczili dekoratorowie naczyń i t. d. także koła proste i koncentryczne, malowali je gęsto okok siebie, łączyli tangentami i wypełniali znowu krzyżami prostemi, liniami albo punktami. Potem na

wyższym szczeblu rozwoju, nastąpił podział rysunku na pola, które w różny sposób przyozdabiano; na takiej to drodze powstał cały system ornamantyki czysto linearnej.

Lecz wnet wzbudziła się żądza naśladowania przedmiotów natury. Zabrano się do rysowania zwierząt, z którymi najwięcej stykano się, a więc czworonożnych: koni, jeleni, koziorożców, ptaków znanych, szczególnie wodnych, podobnych do gęsi. Lecz kreska góruje. I zwierzęta muszą się poddać szematowi liniowemu, postaci ich są cienko narysowane, jakby tylko naliniowane, a jeżeli kiedy tułów pełniej jest uwydatniony, nogi w każdym razie tylko linie oznaczają. Wreszcie zaczęto przedstawiać lęty, drzewa i gałęzie, lecz ogółem najmniej zapożyczano się z dziedziny roślin, i ilekroć na naczyniach lub innych sprzętach stylu geometrycznego napotykamy ornamenta roślinne, są bardzo nieudolne i niedokładne. Mniej trudności sprawiał na pozór obraz człowieka, określano go poprostu liniami, tak jak zwierzęta. O wiele rzadziej jednakowoż można się spotkać z obrazami ludzi aniżeli zwierząt.

Zwracając się szczegółowo do naczyń glinianych wyalezionych w *Mykenach*, nasamprzód nadmienić muszę, że znaczna ich część wyrobioną została z wolnej ręki, a nie na kręgu garncarskim. Dla tego samego już pod względem kształtności i technicznego wykończenia, różnią się mykeńskie wazy pomiędzy sobą bardzo znacznie; przedział, jaki rozłącza najpiękniejsze od najmniej udatnych, jest ogromny i nie da się wytłumaczyć li tylko postępem w zręczności rękodzielniczej mykeńskich garncarzy, lecz nasuwa przypuszczenie, że najlepsze okazy drogą importu dostały się do Argolidy ¹⁾.

Kształty naczyń mykeńskich są bardzo rozmaite; gdy ilustracyi dodać mi niepodobna, nie mogę się ani kusić o określenie wszystkich form. Główne typy są następujące: Znajdźmy zwykłe naczynia znacznej objętości i z wielkim otworem, podobne do naszych kuchennych garnków z gliny; są pomiędzy niemi wazy bez ucha i z jednym, lub dwoma, lub z trzema nawet uchami, które u wszystkich bez

¹⁾ Zob. rozdz. VI.

wyjątku naczyń są osobno dorobione. Napotykamy także wazy z wąską szyją i osadzone na podnózu, niemniej kształtne dzbanki i kubki, podobne do kieliszków, używanych do czerwonego wina, a nawet płaskie czary czyli czaszki. Każdego, komu na tem zależy, odsyłam po dokładniejsze informacje do atlasu wybranych naczyń glinianych mykeńskich, wydanego świeżo z niezmierną starannością, na uczenie jubileuszu pięćdziesięcioletniego istnienia instytutu archeologicznego niemieckiego w Rzymie, przez młodych archeologów niemieckich, dr. *Furtwänglera* i dr. *Loeschkego* ¹⁾. W zbiorze swym umieścili oni te przedewszystkiem naczynia, które na szczególną uwagę zasługują z powodu wybitnych cech technicznych, a głównie z powodu stylu ozdób namalowanych. Wychodząc ze zupełnie słusznego zapatrywania, że w interesie badań archeologicznych i prehistorycznych ściśle należy rozłączać spuściznę poszczególnych grobów, osobno podają i rozbierają naczynia i skorupy każdego ze sześciu grobów, dzieląc je według dwóch kategorii. Do pierwszej klasy należą wszystkie te naczynia, na których ozdoby są nałożone farbami bezpołyskliwemi; druga klasa składa się z tych, które wykazują dekoracją połyskliwą, jakby glazurową, w kolorze brunatnym. Ostatnie zdanie mogłoby wywołać u czytelników fałszywe wyobrażenie o tém, co nazywam „połyskiem“, „glazurą“ naczyń greckich. Tej glazury, której obecnie używają, Grecy jeszcze nie znali ²⁾. Jest ona wynalazkiem Arabów i dostała się do Europy, nasamprzód do Włoch, dopiero w XII wieku naszej ery. Połysk, właściwy wazom greckim, tak archaicznym jak i późniejszym, pochodzi w części ze samego materiału, który bardzo delikatnie urabiano, a silnie przytem wypalano; głównie jednakże jest ten ładny połysk wynikiem zręcznego wygładzenia powierzchni naczynia za pomocą rogu, oraz cienkiego

¹⁾ Mykenische Thongefässe im Auftr. des archaeolog. Instit. zu Athen, herausgegeben von *Furtwängler* und *Loeschke*. Berlin 1879. Zobacz także *Schliemann*, Mykenae tabl. VIII—XV, XX, XXI i na wielu miejscach w tekście zwłaszcza str. 70 nast.

²⁾ Por. *Blümner*, Technol. und Terminol. der Gewerbe und Künste bei Griechen und Römern, tom II, str. 88 nast.

nałożenia farbowego pokostu, którego substancyi ze zupełną pewnością oznaczyć jeszcze niepodobna; zdaje się, że się składał z ciał solnych i alkalicznych.

W pierwszej klasie naczyń mykeńskich rozpoznać można dwa jeszcze typy, a niektóre naczynia stanowią przejście od jednego do drugiego.

Naczynia, które do pierwszego typu tej klasy zaliczamy, są wykonane na kole garncarskiem z glinki nie zbyt miało urobionej. Powierzchnia ich, powiększej części koloru czerwonego, niekiedy też brudno-żółtego lub zielonkawatego, nie jest zupełnie gładką, a natomiast mocno wypolerowaną. Taką politurę powierzchni okazują mianowicie dość liczne naczynia, nie mające żadnej malarskiej ozdoby, szczególnie dwuuszne czary. Gdzie zaś się znachodzą ornamenta, są nałożone wprost na glinę farbami niepołyskliwymi w kolorze brunatnym i czerwonym.

Naczynia drugiego typu nie mają politury właściwej naczyniom pierwszego typu. Znachodzimy tu pospolite naczynia ręką urobione, a na nich ornamenta farby tak płowej, że zaledwie odbijają od tła ciemno-zielonego. U lepszych naczyń jest tło żółtego, nieraz nawet silnie jaskrawego koloru, a farba ornamentów bardzo ciemną, niemal czarną.

Klasa naczyń malowanych farbą pokostową przeważa co do liczby wazy o bezpołyskliwych ornamentach. Wszystkie wazy tego grona są wykonane na kręgu garncarskim. W glince nie dość miało urobionej mieszczą się często kamyczki i inne ingredyencye. Tło wygładzonej powierzchni jest albo koloru żółtego lub też szarego, co głównie zależy od mniej lub więcej silnego wypalenia oraz od jakości glinki. Pokostowa, czyli glazurowa ornamentacya ma natomiast kolor ciemno-brunatny, a łatwo się łamie i odpada. Niektóre linie i punkta są jeszcze na ornamentacyjnym pokoście farbą modro-białą (Lazurweiss) pociągane.

Co się tyczy form ornamentacyi naczyń mykeńskich, odwołać się muszę do tego, co już powyżej nadmienilem o ozdobach wszystkich waz archaicznych tego rodzaju. I na wazach mykeńskich napotykamy owe rozmaite czynniki, któreśmy poznali jako właściwe geometrycznemu stylowi. Wi-

dzimy linie gzygzakowate, pola czworograniaste, pola podobne do pól szachownicy, krzyże, koła, i to albo koła pojedyncze, albo wiele kół koncentrycznie ułożonych — szersze ponad węższymi — z krzyżem lub punktem lub kilku punktami białymi w centrum, niemniej koła połączone tangentami prostymi i wężkowatymi. Te rozmaite szczegóły ornamentacyjne ujęte są wszelako na wszystkich wazach, nawet na bardzo prymitywnych, w pewien system; wszystkie wykazują w całości dekoracyi pewien układ artystyczny.

Pomiędzy poziomymi liniami, biegnącymi wkoło całego naczynia równolegle do siebie, w mniej lub więcej znacznych odstępach, mieszczą się interwalla węższe lub szersze. Zwykle nie jedna tylko, lecz dwie, trzy lub i więcej nawet linii, grubsze i cieńsze obok siebie, odgraniczają jedno intervallum, czyli jeden pas od drugiego. Te interwalla dzielą się znowu niekiedy za pomocą kresek pionowych na mniejsze pola czworoboczne, poczęści kwadratowe. Ornamenta nie pokrywają jednakże z reguły wszystkich pól; bardzo często przyozdobione są jeno środkowe, a zwłaszcza górne pola, lub też tylko przednia część naczynia, a reszta nie ma żadnej dekoracyi.

W połączeniu owych prostych niezaprzeczenie szczegółów ornamentacyjnych, garncarze mykeńscy okazali niewyczerpaną wyobraźnię; tyle bowiem niemal znajdujemy kombinacyj, ile jest egzemplarzy naczyń. Niepodobna przeto określać poszczególnych ozdób, każdą z osobna; musielibyśmy chyba wszystkie naczynia bez wyjątku szczegółowo opisywać.

Oprócz ornamentów linearnych mieszczą się także na wazach mykeńskich malatury ptaków i różnych czworonożnych zwierząt. Pomiędzy ptakami uprzywilejowane są ptaki wodne, szczególnie łabędź. We wielu razach nie można rozpoznać, jakie ptaki malarz chciał przedstawić. Również i zwierzęta czworonożne są dziwnego kształtu. Niektóre podobne są do antylop, inne do koni, lecz głowy tych ostatnich podobne do dziubów bocianich i niosą rogi. Mało próbowali artyści mykeńscy sił swoich w przedstawieniu roślin, a najmniej w przedstawieniu postaci ludzkich; widzimy ludzi na kilku odłamkach, które starano się w części przy najmniej zestawzić i spoić. Znajdowały się atoli w Charvati,

w czasie mej bytności tamże, całe jeszcze kosze skorup pomalowanych, a na wielu z nich były postacie ludzkie. Skorupy te miano skleić, o ile to było możliwem; czy się to stało, nie wiem.

Na jednym z naczyń widzimy wojownika w przyłbicy z dzidą w lewej ręce, a prowadzącego w prawej konia za cugle ¹⁾. Uście dzbanka jednego przyozdobione było w głowę człowieka, która się zachowała ²⁾.

Najciekawsze resztki znaleziono w owym domu cyklopskim, położonym na południe od Schliemannowskiej agory; zestawiono te resztki i zlepiono ze sobą, wypełniając luki jakąś masą, tak, iż obecnie przedstawia się piękna waza oczom widzów, zwiedzających zbiór mykeński w ateńskiej politechnice ³⁾.

Widzimy na tej wazie wojowników w pełnem uzbrojeniu wojennem; maszerują jeden za drugim; wybierają się zapewne na jakąś wyprawę. Postacie te mniej więcej 15 cent. wysokie (środkowe są nieco większe od bocznych) namalowane są na tle jasno-żółtem farbą ciemno-czerwoną. Twarze wojowników zupełnie są do siebie podobne; jeden typ się w nich przedstawia, mają długie nosy, wielkie oczy, małe uszy i długie spiczaste brody. Głowy ich pokrywają przyłbice białe centkowane i w kity zaopatrzone, z jakimiś wyrostkami ku górze, których nawet Schliemann wytłumaczyć się nie podjął. W prawej ręce niosą wojownicy bardzo długie groty, wszyscy w jednej i tej samej pozycji; tylko jeden wojownik trzyma swój oszczep tak, jak gdyby go chciał rzucić. Do oszczepów są przymocowane tuż przy górnym końcu jakieś worki, których znaczenia także nie możemy się domyślić. W lewej ręce trzymają wojownicy tarcze w kształcie półksiężyca, które zasłaniają ich grzbiety. Osłaniają wreszcie wojowników pancerze, dobrze przystające do ciała i przymocowane pasami, a nogi ich opatrzone są we wysokie sandały.

¹⁾ *Schliemann*, Myk. Nro 47, tabl. X.

²⁾ *Schliemann*, Myk. Nro 81, str. 77.

³⁾ *Schliemann*, Myk. Nro 213, str. 153. Por. także Nro 213 a) i b) i Nro 214, str. 160 i 161.

Plastyczne przedmioty z gliny przechowały się w znacznej ilości i w Mykenach i w Tiryncie, lecz nie mogą nas wcale zachwycić; tak surowe i niedołążne są to wyroby. Pomijam zwierzęta — jelenie, osły i konie — a tylko kilka słów wtrącę o niezgrabnych figurkach jakichś zwierząt i łbach, pono krowich, i o osóbkach z terracotty, które mają mieć znaczenie symboliczne; Schliemann upatruje w nich wszystkich boginię Herę „o krowich oczach“ (boopis)¹⁾. Szczególnie dziwaczne są idole, w kształcie postaci kobiecych. Wyraźnie uwydatniają się strasznie niekształtne głowy o wielkich niezmiernie oczach. Resztę ciała oznacza w bardzo wielu wzorach jakaś kulista lub półkulista bryła, na której są wymalowane różnokształtne linie i wstęgi, oraz piersi kobiece. U niektórych figur wreszcie wyróżnia się wprowadzie część dolna ciała od górnej, lecz nie inaczej jak tylko wcięciem talii. Niektóre egzemplarze są tego rodzaju, iż wątpić należy, czy ich twórca chciał przedstawić rzeczywistość jaką osobę ludzką lub boską. Przeważna ilość tych przedmiotów — więcej aniżeli sto — wykazuje wszelako jeden i ten sam typ jakiejś kobiecej postaci. Można więc przypuszczać, że się odnoszą do kultu jakiejś bogini — czy do Hery, czy do innej bogini, to może dopiero w przyszłości się rozjaśni.

Szczególnego rozgłosu zażywają odkrycia Schliemanna skutkiem niezliczonej ilości przedmiotów ze złota i z innych kruszców. Wartość samego złota wynosi około 100,000 franków. Trudno zaprzeczyć, że pod względem artystycznym złote wyroby mykeńskie są najdoskonalsze z całej zdobyczy, a charakterystycznym ich znamieniem jest, że tak sprzęty same, jako ich ozdoby, albo wykute zostały młotkiem, albo wyduszone na formach z kamienia, czyli na tak zwanych matrycach, których kilka przechowało się w Mykenach i Spacie. Nieznani nam z nazwiska prastarzy złotnicy starali się o ile możliwości poszczególne sprzęty wyrobić z jednej tylko

¹⁾ Por. epizod u *Schliem. Myk.* p. 22 nast., tabl. A, B, C i D. oraz tabl. XVI—XIX. str. 12 nast. str. 80 i inne.

płyty metalowej, a jeżeli to było niemożliwem, spajano kawałki przydawkowe za pomocą małych gwoździków, nie zastosowując lutowania; tego bowiem owi złotnicy nie znali. Wyrobów z lanego kruszczu oraz wyrobów żłobkowanych, bardzo mało się znalazło w Mykenach.

Zastanawiając się nad wielką ilością przedmiotów kosztownych, niektórzy uczeni wyrazili domysł, że może w czasach historycznych Mykeńczycy ukryli skarby swoje przed nieprzyjaciołmi w grobach swych przodków w czasie jakiegoś wielkiego niebezpieczeństwa. Stanowczo atoli temu zaprzeczyć należy. Złote sprzęty leżały po największej części na samym spodzie grobów; w tym samym więc czasie i z tego samego powodu do grobów włożone zostały, co naczynia z terracotty. Odwołuję się na powyżej ¹⁾ przytoczone doniesienia wiarogodnych historyków greckich, że w Babylonii, Assyrii i Makedonii chowano członków królewskiej rodziny wraz z bogatymi skarbami, odwołuję się do licznych odkopalisk najnowszych czasów, które przekonują, że w dawnej bardzo przeszłości było to zwyczajem rozpowszechnionym i w innych jeszcze krajach, jak w Scytyi, Egipcie, i Włoszech, a niemniej i w Grecyi. Już wreszcie poprzednio i o tem mówiłem, co ogólnie jest znanem, że i w historycznych czasach Grecy grzebiąc umarłych, dodawali im rozmaite przedmioty. Jeżeli w czasach późniejszych Grecy w tej mierze nie zbytkowali, jeżeli nie pozbywali się drogich i cennych przedmiotów, by uczyć zmarłych i uprzytomnić i uprzyjemnić im pamięć życia na ziemi, jeżeli naonczas kładli do grobów jeno tańsze wyroby i sprzęty, dziwić nas nie może. Panowała między nimi demokratyczna niemal równość, powodująca i u bogatszych skromne występowanie na zewnątrz; nie mieli książąt zamożnych! Lecz w czasach heroicznych byli książęta, których stało na świetne przystrojenie grobów²⁾.

Przedmioty kruszczowe, które się mieściły w grobach

¹⁾ Zob. rozdz. III ku końcowi.

²⁾ Obfitość złota, ukrytego w grobach mykeńskich, zmusza nas niemal do przypuszczenia, z innych jeszcze względów się nasuwającego, że to są groby członków książęcej rodziny, która ongi panowała w Mykenach.

mykeńskich, są w małej części tego rodzaju, że i za życia mogli się nimi zmarli posługiwać, w znacznej części były zrobione tylko na okaz, w tym celu, aby zdobić grobowe komnaty książąt. Już sama cienkość materiału przemawia przeciw ich używaniu w życiu codziennem. Wątpię nawet, czy wazy i dzbanki złote służyły do codziennego używania, nim je w grobach złożono, jak Newton twierdzi. Snadniej to przypuścić o niektórych przedmiotach, służących zawsze i wszędzie jeno do przystrojenia ciała, np. o pierścieniach. Natomiast z mieczów, których sporą ilość przy ciałach znaleziono, żaden, zdaniem mojem, nie mógł być w używaniu. Dziwne to rzeczywiście zjawisko! Miecz stałym był towarzyszem zmarłych wojowników za ich życia, czyż nie winien był im towarzyszyć i po śmierci? Schliemann nie wątpi wprawdzie, że miecze były w używaniu, chciał nawet w zapale swym, jak już wspomniałem, rozpoznać słynny miecz Orestesa, lecz naocznie się przekonałem, iż istotnie miecze jedynie w dekoracyjnych celach służyć mogły. Twierdzenie to zgadza się z wynikiem poszukiwań niektórych tegoczesnych archeologów, tych mianowicie, którzy na podstawie odnośnych orzeczeń Homera, tragiców i innych pisarzy greckich i ze względów technicznych wystąpili z twierdzeniem ¹⁾, iż w europejskich i azjatyckich krainach dawnej kultury, a zwłaszcza w Grecyi, od dawien dawna w wyłącznem były używaniu w boju i w walce miecze i inna broń ze żelaza i stali, że natomiast miecze z brązu przeznaczone były li tylko dla parady, np. w procesyach, oraz do przystrojenia ciał zmarłych nieboszczyków. Mykeńskie miecze są z brązu. Według analizy słynnego chemika i metalurga, Dr. John Percy

¹⁾ Zob. artykuły *Hostmanna*, w VIII i IX tomie czasop.: „Archiv für Anthropologie“, a szczególnie t. IX, str. 205 nast. Kwestya ta łączy się z kwestyą wyłączności epoki brązowej, nad którą także kongres archeologiczny peszteński się zastanawiał; zob. *Sadowskiego* sprawozdanie w dod. do VI t. rozpr. i spraw. hist.-filozof. wyd. akad. umiej. krak. Większość archeologów europejskich oświadczyła się już przeciw twierdzeniu skandynawskich uczonych, którzy koniecznie usiłowali utrzymać dawną teorią o istnieniu osobnego wieku brązowego przed wiekiem żelaza. Zob. poniżej rozdz. VI.

w Londynie, mieścił metal jednego miecza z czwartego grobu 86,36 procent miedzi, a 13,06 cyny, oprócz bardzo nieznanego procentu żelaza (0,17), niklu (0,15), ołowiu (0,11) ¹⁾ Miecze te są albo o jednym, albo o dwu ostrzach, lecz wszystkie kształtu takiego, iż tylko do klucia nadawaćby się mogły ²⁾. Rękojeści były pokryte listkami złotymi, mającymi ornamentykę z linii spiralnych ³⁾. Znalazły się także w grobach guziki z kości i z białego nieprzeźroczystego alabastru; tymi guzikami przyozdabiano rękojeści mieczów. Pewien kawałek miecza przymocowany był jeszcze do pendentu z cienkiej blachy złotej, gdy grób otworzono. W innym tj. w IV grobie znaleziono nawet szczątki drewnianych pochew, pokryte także listkami złotymi ⁴⁾. Niektóre kawałki drzewa obrobionego, są według wszelkiego prawdopodobieństwa szczątkami tarczy, a jeden złoty pas przedstawia zapewne rzemień, czyli po grecku telamon, do którego tarcza była przymocowana ⁵⁾. Znaczna część guzików kościanych, pokrytych listkami złotymi, miała zapewne służyć do przyozdobienia rzemienia tarczowego, albo i pasa na ciele zmarłych. Guzików z kości i z drzewa ze złotem pokryciem, lub tylko ze złotej blachy, przechowało się jednakowoż takie mnóstwo, iż koniecznie nasuwa się domysł, że używano ich jeszcze do czego innego, jak do przystrojenia rękojeści mieczów i pasów; prawdopodobnie przyszyte były do szat nieboszczyków ⁶⁾. W grobie piątym (I według Schliemanna) ⁷⁾

¹⁾ Zob. *Schliemann*, Mykenae. str. 417 i 424 następ.

²⁾ Zob. *Schliemann* Mykenae. Nr. 221, str. 167. Nr. 442 do 449, str. 320 następ. Nr. 460, str. 347. Nr. 463 do 467, str. 350 i 352 i inne.

³⁾ O podobnie ozdobionych rękojeściach mieczów bronzowych w muzeum peszteńskim (wykop. na Węgrzech), por. *Sadowski* j. w. str. XVIII i tablicę z rys.

⁴⁾ *Schliemann* j. w. str. 253.

⁵⁾ Zob. mianowicie *Schliemanna* Mykenae, Nr. 354, 455, 459 i 460.

⁶⁾ Zob. *Schliemann* j. w. Nr. 377—386, 387—422, 485 do 512, 520—524.

⁷⁾ Aby ułatwić czytelnikom korzystanie z dzieła *Schliemanna*, zestawiam obok siebie porządek liczbowy grobów mykańskich według *Stamatakisa*, którego się w niniejszej

znaleziono dwanaście podłużnych blaszek złotych, z których po dwie przymocowane były odwrotnemi stronami do nie-wiadomego nam nader cienkiego przedmiotu. Przeznaczenie ich nie jest jasne; Newton domyśla się, że to są resztki ze spinek przy pasach, Schliemann zaś mniema, że to są końce rękojeści mieczów. Ani jedno, ani drugie, nie jest prawdopodobnem. O ile mnie się zdaje, tworzyły pojedyncze dwie blaszki ozdobę na końcach pasów, wiązanych tak, iż końce ich spadały, zastępowały one więc nasze dzisiejsze frendzle; sama cienkość i skład blaszek na mniemanie to naprowadzają. Dwie z tych blaszek na szczegółową zasługują wzmiankę z powodu reliefów, silnie i wyraziście wykutych ¹⁾. Na jednej z płyt napada lew na jakieś zwierzę, prawdopodobnie na konia, który w rozpacz i bojaźń upada. Po nad koniem widzimy jakiś potwór morski z rybim ogonem, uzbrojony w kolce, a tło przyozdobione jest w liście i korony drzew palmowych. Zupełnie podobną jest rzeźba na drugiej blaszce. Wpółśród ozdób z liści palmowych, spostrzegamy lwa pożerającego okropną swą paszczą kreteńskiego kozła, a po nad lwem głowę krowy (wołu), z parą przestraszająco-wielkich oczu i podwójnym szeregiem rogów. Niepowściągnięta żądza, spotkania się wszędzie ze śladami i szczątkami wielkiego Agamemnona, naprowadziła Schliemanna także na dziwny, rzekłbym nawet, pocieszny domysł, co do symbolicznego znaczenia drugiej rzeźby. We lwie gryzącym tylne rogi kozła, upatruje on Agamemnona lub innego członka rodu Pelopidów, czyniącego ofiarę bogini *Hera boopis*, która, uwydatniona przez głowę krowy, rykiem z otwartej paszczy oświadczać ma swoje wysokie zadowolenie z czynionej ofiary. Bądź jak bądź, wydatne i pełne życia kształty zwierząt, przypominające wzory stylu azya-

rozprawie trzymamy (por. roźdz. IV), i następstwo grobów według *Schliemanna*: I Stam. = II Schliem., II Stam. = V Schl., III Stam. = III Schl., IV. Stam. = IV Schl., V Stam. = I Schl., VI Stam. Schliemannowi nieznany.

¹⁾ Zob. *Schliemann*. Mykenae. str. 470—472, str. 354 następne, porów. także Nr. 347 i następne.

tyckiego, nadają rzeczonym rzeźbom niepomierne znaczenie w rzędzie zabytków mykeńskich

Wojowników, których ciała spoczywały w grobach mykeńskich, tak dalece zaopatrzyli grzebiący ich potomkowie we wszystkie przybory wojenne, że nie zapomnieli nawet o oselkach, służących do ostrzenia mieczów. Tembardziej przeto zadziwiać nas może, iż nie znaleziono żadnej przyłbicy; dałoby się to jednakowoż tem wytłumaczyć, iż mieszkańcy Hellady nosili prawdopodobnie przyłbice ze skóry, przystrojone niekiedy na stronie przedniej jaką ozdobą metalową. W ten to zapewne sposób była użyta złota blacha, łeb lwa przedstawiająca ¹⁾, która tak z powodu braku proporecy, jak z powodu nieudolnego uwydatnienia oczu, uszu i pyska, zaliczoną być może do najsłabszych wyrobów złotniczych; zasługuje jednakowoż na szczególną uwagę naszą, z powodu znacznych rozmiarów. Zresztą bowiem napotykałyśmy w skarbie mykeńskim same postaci zwierzęce nieznacznych tylko proporcji.

Homer niejednokrotnie wspomina pasy, czyli mitry, *μῖτρες*, zakrywające ciała bohaterów poniżej pancerzy. W greckich i etruskich grobowcach Italii wiele odkryto mitr z brązu. W Mykenach znalazło się wiele pasów podobnych, wyrobionych z dość grubej blachy złotej; są one tak długie, że mogły objąć całkowicie korpus rycerzy. Ornamenta są na nich również wykute młotkiem w kształcie koła, ślimacznicy, liścia i t. p. ²⁾. Także cztery napierśniki ze złotej blachy leżały na kościotrupach mykeńskich grobów; zastępowały one wprawdzie pancerze, lecz nie przystawały dokładnie do kształtu piersi. Jedynie brodawki piersiowe są

¹⁾ Na nieszczęście maska ta jest bardzo uszkodzoną, zob. *Schliemanna Mykenae*. Nr. 326, str. 244 i opis str. 255. Przeznaczenie tej maski jest niejasne; w tłumaczeniu powyższem poszedłem za *Newtonem*, z którym się jednakowoż nie zgadzają ani *Schliemann*, ani *Benndorf*, *Antike Gesichtshelme und Sepulcralmasken*, w „*Denkschr. d. ksrll. Akademie d. W. zu Wien, philos.-histor. Cl.*“, tom XXVIII, str. 305.

²⁾ *Schliemann*, j. w. str. 285, Nr. 357 i 358.

zaznaczone dwiema nieznacznymi wypukłościami ¹⁾. Nie zaniedbano także pochowanych wojowników mykeńskich przystrajać w nagolenice dziwnego kształtu, a tak cienkie, że ani na chwilę przypuścić nie można, aby im za życia kiedykolwiek służyły ²⁾. Nie brak również obwiązek złotych, czyli tak zwanych teniów, które przyozdabiały głowy umarłych, przedewszystkiem, zdaje się, niewiast; dwie tenże uznał Schliemann za korony. Jedna z tychże (Nr. 281) odznacza się niezapreczenie przed innemi i rozmiarami i miśternością roboty ³⁾.

Do najciekawszych zabytków mykeńskiej przeszłości, należy niezawodnie sześć masek złotych, zakrywających twarze trupów ⁴⁾. Maski te nader przykre na oglądających je robią wrażenie, tembardziej, że je ciężar narzuconych gruzów mocno pogniótł, znacznie uszkodził i prawie do niepoznania zeszcpecił. Mimo to, każda z nich inaczej wygląda; różnią się co do wielkości, w rysach twarzy i w układzie włosów. Wolno się zatem domyślać, że pochodzą z różnych epok, oraz zdaje się prawdopodobnem, że są zrobione podług odcisków. W każdym razie są to portrety tak nieudatne, iż ich twórcy na miano artystów wcale nie zasługują.

Nie pierwsze to ani jedyne okazy masek. Nie od dziś też zastanawiają się uczeni nad znaczeniem zwyczaju pokrywania twarzy zmarłych. Mimo to nie posiadamy dotychczas wyczerpującego etnograficznego studyum tego rodzaju, i dlatego też bezwzględnie pewnej odpowiedzi dać nie możemy na pytanie: jakie to względy i powody skłaniały ludy pogańskie do tego zwyczaju. Wyjaśniła się jednakowoż znacznie ta kwestya przez gruntowną rozprawę Dr. Benndorfa,

¹⁾ *Schliemann*, j. w. str. 345, Nr. 458.

²⁾ *Schliemann*, j. w. str. 266, Nr. 338 i str. 374, Nr. 519.

³⁾ *Schliemann*, j. w. Nr. 281 nast., na str. 215 nast. i Nr. 337 na str. 264.

⁴⁾ *Schliemann*, j. w., Nr. 326, 331, 332, 473 i 474; ze szóstej nie można było zdjąć fotografii, gdyż bardzo była zniszczoną; por. *Schliemann*, Myk. str. 254. Cztery maski znajdowały się w grobie IV, dwie w grobie I (Stam).

profesora archeologii w uniwersytecie wiedeńskim, publikowaną w pismach wiedeńskiej akademii ¹⁾).

Zestawiwszy i opisawszy szczegółowo wszystkie maski ze złota, srebra, żelaza, bronzu i gliny, które się znalazły na terytoryach zamieszkałych ongi przez Greków, lub Rzymian a pomieszczone zostały w różnych muzeach europejskich, przypomina Benndorf, że używanie masek sepulkralnych sięga tak co do czasu, jak co do przestrzeni po za granice cywilizowanego świata starożytności, że nie wyszło ze wschodu, jak się niejednokrotnie domyślano, lecz widocznie należy do tych obrzędów, które w swym praktycznym i psychologicznym początku świadczą wyraźnie o jedności rodu ludzkiego. Nie mogąc się zapuszczać w bliższe wywody, wspomnę tylko o Egipcie, gdzie od dawnych czasów w pewnych razach było zwyczajem pokrywać twarze mumii złotymi maskami. Odkryto także maski w Niniveh w Assyrii, oraz w właściwej Fenicyi, i w słynnej jej osadzie, w Kartaginie. Donoszą nam również etnologowie, że zwyczaj ten był bardzo rozpowszechnionym w Meksyku. Jeżeli się zaś rozglądnijemy po krajach, przez Greków i Rzymian ongi zamieszkałych, przyznać musimy, że obrządek ten zachował się najdłużej w odległych, na wpół barbarzyńskich zakątkach dawnego świata cywilizowanego, w okolicach, w których prymitywne pojęcia i obyczaje, mimo napływu elementów hellenisko-romańskich i zewnętrznej ogłady, w surowości swej uparcie i długo się utrzymywały, np. na półwyspie krymskim. Maski są przeto oznaką niskiego jeszcze stopnia wykształcenia. Nietylko też wtedy do nich się uciekano, jeżeli brakło głów nieboszczykom, albo jeżeli te były bardzo zepszczone; w niektórych, lecz stosunkowo nielicznych wypadkach był to niezawodnie główny powód do maskowania twarzy zmarłych; w przeważnej atoli liczbie wypadków — także i w Mykenach — nie ta była przyczyna. Religijne przedewszystkiem względy były dla pogan pobudką w tej mierze. Sztuczny portret, miał, dopóki trupa nie pochowano, zniszczyć przykry wyraz śmierci i nadać zmarłemu urok wyższej niejako istoty. Po spuszczeniu trupa do grobu miała

¹⁾ Zobacz tytuł rozprawy w jednej z poprzednich uwag.

maska strzedz twarzy jego od szkodliwych wpływów i zapewnić mu spokój. Przyznawano przeto maskom, zwłaszcza złotym, siłę *prophylaktyczną*; złoto bowiem zawsze uchodziło za najlepszy środek zaradczy przeciw czarom, nie-szczęściom i t. p.

Jak rycerzy, pogrzebanych na cmentarzu akropolii mykeńskiej zaopatrzone w paradny rynsztunek ze złota i brązu, podobnie także i niewiasty tamże pochowane przystrojono w strój kosztowny i obfity w szczegóły toaletowe, którychby niejedna z naszych dam pozazdrościć mogła. Drobnostki te mają również dla filologów, archeologów, historyków wartość niepomiarną, jako dowody i świadectwa możności prastarych rodzin książęcych i zamiłowania ich w przepychu i zbytkach, jako materiał do historii ubiorów i do historii rękodzielnictwa i sztuki, a wreszcie jako komentarz do tylu miejsc w poematach greckich, zwłaszcza w Iliadzie i Odysei, których bez okazji nie można było dobrze zrozumieć.

Zwyczaj noszenia bransolet jest bardzo dawny; napotykamy przeto bransolety i w mykeńskich grobach ¹⁾. W grobie trzecim odkrył Schliemann sześć *złotych* naramienników, każdy z nich składał się z dwunastu kręgów spiralnych z drutu złotego. Bez porównania piękniejszym jest złoty również naramiennik, wielkiej objętości, wynaleziony w grobie czwartym. Na stronie przedniej w środku znajduje się piękny kwiat ze złota, przymocowany srebrnym sztyfcikiem do srebrnej platy, która znowu jest przylutowana do pierścienia właściwego.

Przepyszne musiały być naszyjniki księżniczek mykeńskich: składały się z drogich klejnotów, z *gemm* i pereł, z najrozmaitszych kamieni; spotykamy achat, onyx, sardonyx, lapis ollaris, ametyst i inne. *Gemmy* i perły znalazł Schliemann i w dromosie do „skarbcza,” na wpół oczyszczonego pod okiem pani Schliemann (Greczynki z pochodzenia, i w kilku grobach akropolii. Przeważna ich część jest przedziurawioną, lub próżną nawylot, i ztąd właśnie wnosząc

¹⁾ Zob. *Schliemann*, j. w. Nr. 400 str. 226, Nr. 336, str. 262.

jest dozwolonem, że je naciągano na druty lub sznury ¹⁾. Niektóre z nich mają rzeźby, czyli intagli, mianowicie zwierząt, a ciała tychże, dość okrągło i harmonijnie wyryte, przypominają już szkołę azyatycką; albo są importowane z Azji, albo — i to jest prawdopodobniejszem — są niezręcznemi, barbarzyńskimi kopiami assyryjskich i fenickich wzorów. Zupełnie takie same soczewkowate gemmy z niekształtnemi wyróżnieniami postaci zwierząt znaleziono już niejednokrotnie na wyspach greckich; świeżo n. p. odkryto w Jalysos na wyspie Rhodos w grobie gemmę z kryształu górnego z wyrzniętym obrazem kozy. Wiele gemm pochodzących z wysp greckich, mieści się w British Museum, niektóre zaś publikował przed niedawnym czasem Lénormant w *Revue Arhéologique* z r. 1874 na tabl. XII ²⁾. Wyraźniejsze jeszcze piętno pochodzenia swego ze Wschodu, z Egiptu, lub Azji — niosą dwie gemmy z obrazem ludzkim w intaglio. Jedna z nich, opal w kształcie cylindra, przedstawia tylko głowę człowieka ze zamkniętymi oczami, szerokim bardzo nosem, wielkimi ustami i chustką na szyi; Schliemann upatruje w tym wizerunku typ egipski. Na drugiej z wymienionych gemm widzimy dwie całkowite postaci ludzkie, kobietę bogato przystrojoną, z koroną na głowie, a obok niej mężczyznę, z nakrytą hełmem głową.

Także i złote ozdoby nosiły niewiasty mykeńskie na szyi. Są to częścią wydrążone perły ze złota — wysuwkami nazywa je Schliemann: „goldene Schieber von Halsbändern“ — częścią zawieszadła w kształcie roślin lub zwierząt. Czternaście pereł złotych znaleziono li tylko w grobie po za „Agorą“ (Schliemann, str. 410). Perły te składają się z dwóch półkuli, młotkiem jeno ze sobą spojonych. I tego rodzaju perły znalazły się także w wspomnianym powyżej grobie w Jalysos na wyspie Rhodos.

Dłuższą wzmiankę poświęcić musimy trzem *rzeźbio-*

¹⁾ Zob. *Schliemann*, j. w. Nr. 174 nast. str. 126 nast.; Nr. 206 nast. str. 136; Nr. 311 nast. str. 233, str. 353, i inne.

²⁾ Zob. *Newton*, Beiblatt j. w str. 527, i *Schliemann*, j. w. str. 127. Podobne gemmy znalezione w bliskości Heraion zob. u *Schliemanna*, str. 412.

nym przyzmom z trzeciego mykeńskiego grobu ¹⁾); należały one niezawodnie do naszyjników, gdyż są przedziurawione. Na jednym przyzma spostrzegamy wojownika (Herkulesa?) z lwem walczącego. Na drugim przyzma wyobraża rzeźba dwóch wojowników, zacięcie ze sobą bój toczących. Jeden z nich, silny młodzian, jeno około bioder osłonięty, z resztą cały nagi, rzuciwszy, jak się zdaje, tarcz swą na ziemię, wypycha gwałtownie miecz obosieczny w szyję starszego już widocznie przeciwnika z długą brodą i przyłbicą na głowie. Mimo tarczy, którą ten drugi rycerz trzyma w lewej ręce przed sobą, nie zdołał on przecie odeprzeć razów napastnika, i śmiertelnie ugodzony pada na ziemię. Schlieman bezustannie jeno marząc o bohaterach Homerowskich, rzuca i w tym związku śmiałe pytanie, czyliby nie godziło się uznać w pięknym młodzieńcu dzielnego Achillesa o nadobnych kształtach ciała, a w jego przeciwniku Hektora, który od przyłbicy otrzymał stały swój u Homera epitet: *νορθαίολος*. Wprawdzie według opowiadania Iliady (w księdze XXII w. 326) Achill lancą zadał Hektorowi cios śmiertelny, lecz być może — w ten sposób pociesza się Schliemann — że z braku miejsca (!) artysta lancę mieczem zastąpił.

Trzecie przyzma przedstawia nam lwa klęczącego na skalistym gruncie i zwracającego głowę w prawo. Budowa ciała ludzkiego lub zwierzęcego i na tem i na dwóch innych przyzmatkach dobrze jest uwydatnioną, a chociaż w szczegółach niejedno — wiele raczej mielibyśmy do wytknięcia, przeoczyć nie możemy, że rzeźby te wyryte zostały na tak małej przestrzeni bez pomocy lupy, i że okazują one znaczne ku lepszemu odmiany w stosunku do rzeźb i ornamentyki w stylu geometrycznym, na których spotykamy sztywne postacie, ujęte w system *linij* grubszych lub cieńszych, prostych lub łamanych. Na przyzmatkach natomiast ciała zwierząt i ludzi stylizowane są z większą bujnością, a *niektóre* szczegóły, jak n. p. misternie wykonane lwie grzywy, winny zaspokoić wybredne nawet żądania tegoczesnych widzów.

³⁾ Zob. *Schliemann*, j. w. N. 253, 254, 255.

Podobne, lecz bardziej skomplikowane rzeźby spotykamy na czterech pierścieniach, z których dwa znalazły się w domu cyklopskim, dwa zaś w grobie czwartym ¹⁾. Każdy z tych pierścieni składa się z jednego tylko kawałka złota, obrobionego młotkiem; także bowiem i podługwato-okrągłe pudełka pierścieniowe są z tych samych kawałów, co właściwe obrączki. Pudełka te są na odwrotnej stronie tak wydrążone, że wygodnie można palec wsunąć. Na przedniej zaś stronie wyrzeźbił rytownik sceny jakiegoś z życia bogów, czy półbogów, czy ludzi — dziwne i niezrozumiałe. Najbardziej zastanowić musi rzeźba na jednym z pierścieni domu cyklopskiego. Na lewej stronie siedzi niewiasta w ubraniu; prawdopodobnie jest to jakaś bogini, w prawej ręce trzyma trzy makówki; być może, że to są granaaty. W tyle za ową niewiastą widzimy jakieś drzewo, którego gałęzie pełne owoców, rozpościerają się szeroko; za tem drzewem, a więc zupełnie w lewym kącie, stoi mniejsza postać kobieca. Ku siedzącej bogini zbliżają się trzy niewiasty, jedna za drugą — jedno dziewczę i dwie starsze kobiety; niosą kwiaty w rękach, by je złożyć w darze bogini. Powyżej tych dwóch starszych niewiast wznosi się jakiś przedmiot, który ogólnie uważają za palladium, a ponad głową dziewczęcia wiszą dwa topory wojenne. Na prawym brzegu znajduje się sześć przedmiotów, które mają pozór głów; oczy widać wyraźnie. Niektórzy poczytywali je za lwie głowy, inni sądzili, że to są korynekie przyłbice Ateny, a Newton domyślał się, że to są gwiazdy, *τείρεα*, które się miały także mieścić na sławnej tarczy Achilleasa, opisanej w Iliadzie. Na samej górze widać dwie ślimakowe linie, które zapewne oznaczać mają morze, ponad temi liniami widać słońce w pełni blasku, a tuż przy słońcu sierp księżyca. Szaty kobiet zaczynają się dopiero poniżej piersi, a rozszerzają się bardziej ku stopom; są to suknie strojne, lecz układ ich sztywny, bez wszelkich fałd.

Schliemann donosi w swem dziele o Mykenach, że i on i jego żona pierwszy raz ujrzawszy ten pierścień, mimowoli

¹⁾ *Schliemann* j. w., Nr. 333, 334, 335, 530 i 531 str. 258, 259, 402 i 409.

zawołali: „Ten pierścień musiał Homer widzieć, zanim opisał owe cuda, które, według Iliady, XVIII 483—498, Hephaistos na tarczy Achillesa wyrzeźbił.“

Do tak entuzjastycznego okrzyku nie było powodu! Z drugiej przecie strony nie mogę się znów zgodzić z Newtonem, który dziwaczny niezaprzeczenie rysunek na pierścieniu nazywa „w najwyższym stopniu barbarzyńskim“ (äusserst barbarisch, według tłumaczenia Michaëlis). I w tym wypadku przypomnieć muszę, com już z powodu rzeźb na przyrządach nadmieniał, iż rytownik wyrzeźbił scenę, obejmującą nader liczny zastęp osób, na tak małym polu bez użycia lupy. O znaczeniu symbolicznem rzeźby moglibyśmy podać chyba tylko *domysły* własne i innych; uzasadnić je należycie, nie byłoby łatwo, dlatego wolę je pominąć milczeniem.

Mniej skomplikowaną, lecz także niezrozumiałą jest rzeźba na drugim pierścieniu, pochodzącym z domu cyklopskiego. Są tam wyryte wole i lwie głowy, trzy wiązki kłosów i inne jakieś przedmioty. W łbach krowich upatruje Schliemann naturalnie idole Hery, w lwich głowach palladia.

Natomiast dwa pierścienie z czwartego grobu mają zrozumialsze rzeźby. Jedna przedstawia nam dwie osoby: strzelca i woźnicę, stojących na wozie, ciągnionym przez dwa dzielne rumaki; strzelec z łuku wyrzuca pocisk na jelenia, umieszczonego na obrazie jakby w powietrzu ponad zaprzęgiem; tylne jego nogi znajdują się w równej linii z mężami na wozie, a przednie o wiele wyżej są wzniesione. Wóz sam nieco odmiennie ma kształty od wozów, wyrzeźbionych na kamiennych wiekach grobowych (zob. rozdz. IV); koło natomiast u tego wozu składa się także jeno z czterech sprychów, tworzących krzyż około osi, a zatem zupełnie jest równe kołom wozów na owych płytach.

Na czwartym wreszcie pierścieniu wyrzeźbioną jest scena wojenna. Jeden z czterech wojowników, których na rzeźbie spostrzegamy, już został pokonany i siedzi na ziemi, wspierając się rękami; drugi, klęcząc przed zwycięzcą na jednym kolanie, stara się w pierś mu wepchnąć miecz swój długi; trzeci przystanął, zdaje się, w ucieczce i lancę swą zwraca ku zwycięzcy, który właśnie zamierza silnym

zamachem miecza, owego klęczącego przed nim wojownika uczynić dla siebie nieszkodliwym. Jest prawdopodobnem, że złotnik rzeźbiący ten obraz miał jakiś sławny, rzeczywisty czy mytyczny wypadek wojenny na myśli, którego się dorozumieć nie możemy. Nas też przedewszystkiem szczegóły rzeźby zająć winny, jakoto: różna broń wojowników, przyłbice, ogromna tarcz itd.

Oprócz tych ozdobnych pierścieni przechowało się w Mykenach niemało skromniejszych, jako to: droste obrączki złote, niemniej kręgi podwójne, poczwórne i t. d. z okrągłego i czterokańczastego drutu złotego, oraz kilka pierścieni brązowych ¹⁾.

Że prastarzy mieszkańcy Hellady trefli i stroili włosy na rozmaite sposoby, wiemy z Homera ²⁾. I w mykeńskim skarbie napotykamy niektóre ozdoby, które, jak się domyślać wolno, do przystrojenia włosów służyły, np. sześć złotych ozdób dziwnego kształtu, przedstawionych w dziele Schliemanna pod Nr. 295 i 296 na str. 226.

Wiele innych pięknych przedmiotów, które zdobiły ciała pogrzebanych w mykeńskiej akropolii niewiast i mężczyzn, jakoto: szpilki różnego rodzaju, mianowicie szpilki do wetknięcia w płaszcz na piersiach ³⁾, grzebienie, rękojeści i berła z krzysztálu górnego, ze srebra i bronzu i t. p. muszę pominąć milczeniem, gdy i tak już zbyt może obszerne uwagi poświęciłem niektórym przedmiotom.

Do najdoskonalej wykonanych przedmiotów całego skarbu mykeńskiego, należą niezapreczenie wazy złote. Jest ich bardzo wiele i mają różne kształty ⁴⁾. Przeważną jednakowoż ilość sprowadzić możemy do dwóch wzorów. Jedne mają

¹⁾ Zob. *Schliemann*, j. w. str. 401 i str. 165. Niektóre z tych obręczy z drutu złotego służyły według wszelkiego prawdopodobieństwa jako zausznice, a nie jako pierścienie. Pierścień z onyxu wraz ze rzeźbą na nim wrytą opisuje *Schliemann* str. 152; rys. zob. pod Nr. 175 na str. 126.

²⁾ Por. *Friedreich*, die Realien in der Iliade und Odyssee § 66.

³⁾ Zob. *Schliemann*, str. 203 i 223.

⁴⁾ Por. mianowicie VII, VIII i IX rozdział w *Schliemanna* dziele; *Schliemann* przedstawia w rycinach kilkadziesiąt naczyń. Zob. także *Newton*, j. w.

kształt taki, iż postawione dnem do góry, tworzą ścięty o-
strokrąg. Drugi rodzaj nazywa Newton „goblet type“; na-
czynie właściwe ma kształt połowy jaja, a osadzone jest
na trzonku, który rozszerzając się znacznie, przybiera kształt
okrągłego postumentu. U naczyń obu klas napotykamy jeno-
po jednym uchu, zawsze osobno dorobionem i przynitowa-
nem. Niektóre nie mają żadnych ozdób, inne zaś przystro-
jone są w bogate, młotkiem wykute ozdoby linearne i z dzie-
dziny świata fizycznego lub także roślinnego.

Oprócz owych dwóch typów znajdują się inne jeszcze,
piękniejsze formy w nie tak licznych wprawdzie egzempla-
rzach: wazy z dwoma uszkami, kształtne naczynia z po-
krywkami, wysokie dzbanki do wina z wąską szyją.

Znalazły się również w grobach mykeńskich i srebrne
wazy i dzbanki, lecz nieznaczną jest ich liczba. Sporą jest
natomiast ilość kotłów z miedzi, które dla studium techniki
tego metalu w dawnych wiekach starożytności cennym są
nabytkiem.

Bardzo udatnym wyrobem jest waza w kształcie jele-
nia o jednym rogu ¹⁾. Jeleń ten wyrobiony jest z aliażu sre-
bra i ołowiu; szyja naczynia mieści się na jego grzbiecie.
W mykeńskim skarbie jedyny to egzemplarz naczynia w kształ-
cie czworonożnego zwierzęcia z otworem na grzbiecie. Lecz
w innych zbiorach greckich wyrobów ceramicznych i meta-
lowych, naczynia tego kształtu znachodzą się często i sięgają
dawnych bardzo czasów.

Ten jeleń należy do nielicznych przedmiotów lanych,
w zbiorze mykeńskim. Skarb ten przechowuje również gło-
wę wołu z lanego srebra ²⁾, ze złotemi mocno wygiętymi
rogami, która przewyższa niewątpliwie wszystkie inne przed-
mioty zbioru Schliemanna co do wykończenia; szkoda tem
większa, że długi pobyt we wilgotnej ziemi nadpsuł niemało
jej powierzchnię. Rogi, pysk i podbródek oddane są wier-
nie i misternie są wykończone. Nie mniejsza pochwała należy

¹⁾ Zob. *Schliemann* j. w., Nr. 376, str. 296.

²⁾ *Schliemann*, *Myk.*, str. 250 Nr. 327 i 328.

się małemu lewkowi z lanego złota, przymocowanemu do gładko wyrzniętego postumentu ¹⁾).

Pozostaje jeszcze niezliczone mnóstwo drobnych przeważnie przedmiotów z cienkich blaszek złotych, o których dotychczas nie wspomniałem. Przeznaczenia ich w znacznej części nie znamy i rozgatunkować je trudno. Spora ich liczba przyszyta była niezawodnie do szat nieboszczyków, złożonych w grobach mykeńskich. Innne rozrzucono widocznie na to tylko po grobach, aby pokryć złotem w zupełności ciała zmarłych. Te przedmioty w równym stopniu ściągają uwagę archeologów na siebie, jak przedmioty, o których dotychczas mówiłem, i to głównie z powodu ornamentyki. Ornamenta są prawie wyłącznie wykute młotem lub wyduszone na matrycach, a wzięte są także z dziedziny roślin albo ze świata zwierzęcego. Ornamenta roślinne są aż nadto wybujałe, dowolne i nieregularne, ozdoby zwierzęce niezgrabne, sztywne, niedołączne; anatomiczna budowa ciała zwierzęcego zupełnie jest zaniedbaną w rysunku; między zwierzętami napotykamy najczęściej motyle i sepie. Prastarzy artyści, czy raczej rzemieślnicy, którzy wyrabiali te przedmioty, nie przeszli widocznie żadnej szkoły w przedstawianiu zwierząt, były to ich własne próby, oryginalne usiłowania oddania tego, co widzieli w naturze. Pewna tradycja artystyczna wykształciła się była u nich jedynie co do ornamentyki czysto-liniowej; tę też napotykamy we wszelkich możliwych kombinacjach i dla niej przedewszystkiem owe różne przedmioty mają wielką wartość historyczno-archeologiczną.

Dopóki skarb mykeński nie ukazał się światu, można było ozdoby, wychodzące od prostej linii czyli, ogólniej mówiąc, styl geometryczny studyować niemal jedynie na nielicznych naczyniach glinianych. Mykeńska zdobycz obdarza nas setkiem większych i mniejszych tabliczek złotych różnego kształtu, ozdobionych na sposób właśnie podany. Nie mniej, jak ze siedmset okrągłych tarczy złotych o średnicy pięciu do ośmiu centymetrów, przechowuje muzeum mykeń-

¹⁾ *Schliemann, Myk.*, str. 410, Nr. 532.

skie w Atenach; przeznaczenia ich nie znamy ¹⁾. Wspominałem już poprzednio o guzikach kościanych i drzewianych, pokrytych na jednej stronie złotymi listkami, i o guzikach szczerozłotych, nadmieniając w formie przypuszczenia, do czego ich używano. Guziki te mają po większej części dekorację geometryczną. Nie inne też ozdoby występują na tak zw. gwiazdach złotych. Gwiazdy te składają się z reguły z czterech tylko cienkich liści ze złota połączonych ze sobą gwoździkiem z brązu ²⁾. Wszystkie te przedmioty mogą skutkiem swych ozdób na pierwsze wejrzenie wydać się bardzo dziwnymi, mogą na chwilę wywołać podejrzenie, że są pochodzenia bizantyńskiego. Lecz w rzeczy samej dawne ich pochodzenie nie może ulegać wątpliwości; styl ozdób jest właśnie najpierwszym. Na różnych, przeważnie drobnych przedmiotach ozdobniczych, znachodzą się także postacie zwierząt i ludzi nie tylko w celach ornamentacyjnych, lecz już jakoby samodzielnie. Z pomiędzy zwierząt wymienić przedewszystkiem wypada: jelenie, lamparty, także sfinxy i gryfy i orły, niemniej i delfiny, lecz najczęściej napotykamy lwy, bądź pojedynczo bądź w parach ³⁾. Ludzkie postacie stosunkowo o wiele rzadziej się spotyka. Jedna fibula czyli sprzączka ma kształt niewiasty, przybranej w długie szaty, a trzymającej w rękach girlandę. W dwóch egzemplarzach przechowała się postać nagiej kobiety z gołębiem na głowie; na jednym egzemplarzu widzimy także na ramionach tej kobiety gołębie, które się właśnie zabierają do lotu ⁴⁾. Dwa te wyroby widocznie są idolami jakiejś bogini, może Afrodyty, jak się niektórzy uczeni archeologowie nie bezpodstawnie domyślają; idole te są niezawodnie pochodzenia karyjskiego. Gołębie też znajdujemy na pewnym przedmiocie ze złota, który ma w zupełności kształt ołtarzyka. Aż trzy egzemplarze takiego ołtarzyka czy świątyni znalazły się w jednym i tym samym grobie ⁵⁾. Widzimy na fundamencie dość

¹⁾ Por np. *Schliemann*, j. w., Nr. 239 nast.

²⁾ Zob. *Schliemann*, j. w., Nr. 285—291.

³⁾ Por. *Schliemann*, j. w. Nr. 261—280, Nr. 480 nast. i inne.

⁴⁾ *Schliemann*, *Myk.* Nr. 267 i 268 str. 209.

⁵⁾ *Schliemann*, *Myk.* Nr. 423 str. 306.

wysokim trzy niższe czy też troje drzwi, w środku których mieszczą się kolumny ozdobione kapitelami. W środku zaś całej budowy wznosi się coś nakszałt wieży; na bocznych dachach siedzą dwa gołębie.

Przegląd przedmiotów, wykopanych przez Schliemanna, już i tak niezawodnie przekroczył słuszne granice, i dlatego ogólnikowo nadmienić wkońcu podobna, że w Mykenach odkryto również naczynia i inne przedmioty z alabastru, resztki jakichś wyrobów z drzewa, z kryształu, z porcelany egipskiej, ze słoniowej kości, noże i kończyny strzał z obsidianu, noże, strzały, lance i sztylety z brązu i wiele innych. Obfitość materiału jest tak wielką, iż ograniczenie się na wybitniejsze, z tego lub owego względu bardziej zajmujące i pouczające wyroby i zabytki, było koniecznością.

(Dokończenie nastąpi).

Dr. Ludwik Œwikliński.

Przegląd polityczny.

Kraków 31 marca.

Wyrazem ogólnego położenia politycznego, jest przymierze niemiecko-austryackie. Doniosłość jego nabiera coraz większego znaczenia. Zawarte początkowo w formie przymierza odpornego, dla obrony obustronnych posiadłości i utworzenia drogi związkowi handlowemu, rozszerzyło ono *tacite* zakres swego wpływu, i lubo urzędownie nie posiada charakteru sojuszu i przymierza zaczepno-odpornego, jest już pierwszym, a drugim stać się może w danej sposobności. Genezę tego przymierza cofają do roku 1870 a nawet do r. 1867, gdyż wtedy już kanclerz niemiecki czynił kroki dla wciągnięcia Austrii w związek niemiecki, ale bez przyznania jój atrybucyi państwa przewodniczącego. Inny to jednak charakter miałyby wtedy taki upośledzony powrót Austrii do Rzeszy niemieckiej: byłby bowiem tylko przyznaniem Prusom supremacyi i poddaniem się ich zwierzchnictwu, na wzór małych krajów Rzeszy. Przymierze obecne jest następstwem rozbicia się trójcesarskiego przymierza oraz ostatniej wojny wschodniej i traktatu berlińskiego. Nie ma w niem miejsca dla Rosyi. Ale nie ks. Bismark jest twórcą polityki, która stawiała czoło Rosyi i powstrzymała jej zapędy. Zasługa ta należy lordowi Beaconsfieldowi, który broniąc interesów Anglii na Wschodzie, umiał małemi stosunkowo środkami powstrzymać pochód

wojsk rosyjskich na Konstantynopol i w niwecz obrócić traktat w San Stefano. Czy liczył na poparcie Austrii i Niemiec — niewiadomo, lecz wiadomo, że ks. Bismark z dawien dawna przewidywał konieczność starcia się Niemiec z Rosyą, a podniesienie przez Rosyę panslawizmu do potęgi działacza politycznego, tem więcej konieczność tę utwierdziło.

Mniejsza jednak o genezę. Przymierze niemiecko-austriackie istnieje i pomimo sentymentalnej miłości cesarza Wilhelma dla swego siostrzeńca, godzi ono głównie w Rosyę; ono skierowało kroki Austrii do Bośni i Hercegowiny, ono usiłuje postawić Rumunię na straży dolnego Dunaju, ono zniewoliło rząd włoski do głośnego wyparcia się wszelkich planów zaborszych na szkodę Austrii; ono wreszcie dało powód gabinetowi angielskiemu do ryzykownej próby wystawienia się na nowe wybory parlamentu. Jeśli lord Beaconsfield wygra, Niemcy i Austria będą wiedziały, że mają po sobie Anglię, jeżeli upadnie, będą zmuszone działać przezorniej.

Skoro zostawało parlamentowi angielskiemu żywota na jedną tylko sesyę, czyż miano z wyborami czekać chwili, gdy wypadnie wiedzieć już kategorycznie, jak rzeczy stoją: czy Anglią rozporządzać można, lub wypuścić ją z rachuby. Związać się dziś z Anglią na to tylko, aby po upływie jednej sesyi parlamentu na miejscu Beaconsfielda zastać Gladstona, Granvillę, a choćby tylko Derbego i być przez whigów paraliżowanym w planach swoich, rzecz to ryzykowna. Lepiej za wczasu mieć pewność. Oto właściwy powód rozwiązania parlamentu angielskiego, jak również przyczyna, że decyzya względem rozwiązania powziętą była nagle, w czasie, kiedy rząd posiadał większość w Izbie, uzyskał potrzebne kredyty i mógł spokojnie oczekiwać naturalnego rozwiązania parlamentu, to jest prawnego upływu okresu prawodawczego. Zrozumiano bardzo łatwo, że polityka zagraniczna dała powód do rozwiązania gabinetu, ale nie zwrócono na to uwagi, że gabinet Beaconsfielda nie mógłby rozpoczynać wielkiej akcji politycznej, nie mając zapewnionego sobie przynajmniej kilkoletniego bytu. Dla samego tylko uregulowania stosunków w Afganistanie i w kraju Zulów nie potrzeba było rozwiązywać parlamentu.

Przymierze niemiecko-austryackie mimo swej formy bardzo pokojowej i zastrzeżeń, że do ekonomicznych odnosi się stosunków, budziło podejrzenie cesarza Wilhelma i spowodowało starcia między nim a kanclerzem, które zachowają w historii nazwę „*Friction*.” Mimo tej „frykcyi” zdołał ks. Bismarck uzyskać sankcję cesarską dla projektu swego powiększenia sił zbrojnych na dalszy siedmioletni okres, a to trzymając się obliczeń statystycznych na podstawie stosunku do liczby ludności. Nowella odnośna przeszła już przez Radę związkową i potrzebuje jeszcze uchwały parlamentu, a wnosząc ze składu jego, otrzyma takową, bo wielka część partyi liberalnej zapatruje się na tę nowellę ze stanowiska patryotyzmu i potęgi państwa, lubo cała ta partya przeciwną jest militaryzmowi. Ażeby uzyskać sankcję cesarską dla nowelli, dzienniki rządowe przedstawiały ciągle niebezpieczeństwo grożące ze strony Francyi, która przeprowadziła u siebie reorganizację wojsk i znacznie zwiększyła siły zbrojne, zarazem jednak wskazywały, że Rosya nie cofa wojsk swoich po ostatniej wojnie w głąb państwa, lecz trzyma je skupione w Polsce i w krajach zabranych, tudzież wchodzi w porozumienie z Francją i Włochami.

Nadarzyła się sposobność okazania sympatyi cesarza Wilhelma dla cara Aleksandra w d. 2 marca z powodu 25 letniego jubileuszu panowania. Obchód ten oddawna przygotowywany, miał wyrosć w olbrzymią manifestację, ale wypadki poprzedzające tę rocznicę, sprowadziły go do maluczkich rozmiarów domowego święta. Trudno bowiem było liczyć na zjazd książąt z domów panujących, lub przynajmniej posłów nadzwyczajnych, tam, gdzie nie można zapewnić gościom nietylko spokoju, ale nawet życia, gdzie skrytobójcza ręka nihilistów grozi rewolwerem lub podsadza minami pociągi cesarskie i samo mieszkanie Cara. Choroba Cesarzowej posłużyła też za pozór dla ograniczenia obchodu do kółka ściśle familijnego. Deputacye, korporacye, instytutu publiczne, składające życzenia, były jedynemi aktami obchodu, w którym obce państwa wzięły udział jedynie *by cortesy* przez złożenie życzeń za pośrednictwem swych stałych reprezentantów przy dworze petersburskim. Wyjątek stanowiło pismo cesarza Wilhelma do Cara, kontrasygnowane przez

ks. Bismarka, a tem samem wychodzące po za zakres osobistego stosunku obu monarchów. Podpis kanclerza nadawał temu pismu cechę polityczną, był stwierdzeniem przez rząd zapewnień pokojowych, dopóki cesarz Wilhelm pozostaje przy życiu. Więc nie na dłużej. Pismo to wiąże kanclerza niemieckiego na czas życia cesarza Wilhelma, ale nie wiąże go ani osobiście, ani politycznie po śmierci Cesarza, który właśnie ukończył 82 lat życia.

Stosunek przyjacielski między Rosyą a Niemcami opiera się dziś głównie na węzłach familijnych i osobistych uczuciach monarchów; jeśli musiał zatem kanclerz niemiecki nadać temu stosunkowi charakter polityczny, wynikło to zapewne z konieczności, aby „frykeya“ nie sprowadziła dalszego rozdwojenia, któreby musiało zakończyć się kwestyą gabinetową, a raczej kanclerską. Wydaje się też, jak gdyby przewidywane, a nawet niemal zapowiadane starcie się Niemiec z Rosyą było tylko odłożonem; że zaś nie jest ono wykluczonem, wynika z natury rzeczy i z konsekwentności polityki ks. Bismarka.

Wielkie znaczenie przyznano w Petersburgu listowi cesarza Wilhelma, wyrażającemu trwałą sympatyę dla cara Aleksandra, owszem, powzięto myśl rozdwojenia Niemiec i Austrii. Naraz więc prasa rosyjska zaczęła wznosić hymny pochwalne dla rządu niemieckiego i wypierać się panslawizmu jako środka politycznego, wobec Austrii tylko nie zmieniła tonu. Chcąc jednak zbliżyć się do Niemiec, wypadło odwrócić się od Francyi, na której przyjaźń liczono, bo były nawet przedsiębrane tajne kroki porozumienia się, a gdyby przymierze to stanęło, myślano wciągnąć do niego Włochy. Nadarzyła się też Rosyi sposobność zerwania z Francją, aby ułatwić sobie drogę do przejednania Niemiec. Policya rosyjska wysledziła, że w Paryżu ukrywa się niejaki Hartmann, jakoby główny sprawca zamachu na życie Cara, w chwili, gdy ten wracając z Liwadyi, wjeżdżał na kolei żelaznej do Moskwy. Była podłożona mina pod kolej i wysadziła pociąg, ale nie ten, którym Car jechał. Mina wychodziła z pobliskiego torowi kolei domku, najętego przez jakiegoś obcego człowieka pod zmyślonem nazwiskiem. Miał nim być Hartmann. Na proste wezwanie prefekta policyi

paryskiej Andrieux ze strony agentów rosyjskich, aresztowany został Hartmann.

Nie istnieje między Rosyą a Francją kartel względem wydawania sobie nawzajem przestępców, potrzeba zatem było przeprowadzić sądowe śledztwo w Paryżu, wysłuchać tam oskarżonego i świadków, tak, aby sądy francuskie uznały oskarżonego winnym zamachu na życie. Prosta rekwizycja dyplomatyczna nie wystarczała. Nadchodziła chwila rozstrzygająca: poseł rosyjski ks. Orłow zawiadomił rząd francuski, że potrzebne dowody będą bezzwłocznie dostarczone; ale rząd francuski ułękł się demonstracyi radykalistów, którzy mu otwartą grozili wojną, jeśliby uczynił zadość żądaniu Rosyi. W dziennikach i na zgromadzeniach studentów podniesiono okrzyk grozy; dowodzono, że królobójstwo jest zbrodnią polityczną i nie może być uważane za zbrodnię pospolitą, a przeto obwiniony o zamach na życie Cara Hartmann uważany być winien za wychodźcę politycznego, a nie za zbiegłego zbrodniarza. Odmówił więc rząd francuski wydania Hartmanna, ale w motywach odmowy powołał się nie na argument podyktowany przez radykalistów, lecz na niedostateczność posiadanych dowodów dla sprawdzenia tożsamości osoby. Ponieważ zaś dowody te mogły być zaraz dostarczone, i tem samem rząd francuski byłby się postawił w niemożności odmowy wydania, przeto natychmiast, uwolnwszy Hartmanna, wysłał go do Anglii.

Ten krok rządu francuskiego został przez Rosyę użyty za środek odsunięcia się od Francyi, bo nawet poseł rosyjski w Paryżu opuścił Francję, a nie pozostawało nawzajem nic innego posłowi francuskiemu w Petersburgu, generałowi Chanzy, jak uczynić to samo. Nie nastąpiło wprawdzie zerwanie stosunków dyplomatycznych, bo obaj posłowie wyjechali tylko za urlopem, ale nastąpiło oziębienie, jakiego dwór rosyjski pragnął, gdyż to ułatwiało mu jego zwrot ku Niemcom.

Kiedy też nadszedł dzień urodzin cesarza Wilhelma 22go marca, obchodził go dwór rosyjski, jakby święto narodowe, a powinszowania wysłane od Cara do Berlina, tchnęły gorącym uczuciem nie tylko dla osoby cesarza Niemieckiego, ale oraz dla państwa Niemieckiego, połączonego

węzłami przyjaźni i interesów z Rosyą. Nie omieszkął cesarz Wilhelm odpowiedzieć również serdecznie na petersburskie życzenia, tak, iż zdawałoby się, że między polityką Niemiec i Rosyi istnieje stosunek wspólności. W trudnem położeniu znajduje się ks. Bismark, nie dlatego, aby miał już dziś zamiar zetrzeć się z Rosyą, lecz że nawiązanie dawnych stosunków utrwała rządy ks. Gorczakowa, z którym kanclerz niemiecki zostaje w osobistem nieporozumieniu, obaj bowiem nawzajem się lekceważą. Gorczakow nie będzie zapewne w stanie wysadzić Bismarka, ale i Bismark nie zdołał dotąd wysadzić Gorczakowa.

Ksiązę Gorczaków kierować będzie i nadal sprawami zewnętrznymi Rosyi, choć naczelny zarząd spraw wewnętrznych objął generał hr. Loris-Melikow z tytułem naczelnika komitetu wykonawczego. Powitała go na pierwszym kroku d. 3 marca kula nihilisty Hipolita Mładeckiego. Strzał był bliski, kula przeszła płaszcz i mundur, ale zostawiła generała nietkniętym. Tym razem nie prowadzono rozciągniętego śledztwa dla wyszukania współników, bo jen. Melikow zrozumiał, że tylko doraźny wyrok sprawia wrażenie. Mładecki zginął na szubienicy. Od tej chwili żaden zamach nie powtórzył się. Wątpić można, aby wobec rozgałęzienia spisków nihilistycznych i strasznej odwagi, jaką ci fanatycy zniszczenia okazują, trwoga ich owładnęła, ale raczej przypuścić trzeba, że oczekują czynów naczelnika rządu, który zabiera się nie do reform radykalnych, nie do zaprowadzenia pewnego rodzaju ustawy konstytucyjnej, albo do ogłoszenia ustaw zasadniczych, ale do zmian w administracyi, mogących wiele złego uchylić. Rozpoczął hr. Melikow czynności swoje przez powołanie do komitetu wykonawczego osób rządowych i niektórych reprezentantów miast większych z głosem doradczym, zmienił generał-gubernatorów, posady ich powierzając ludziom swego wyboru, a tym sposobem uczynił ich zawisłymi od siebie, postanowił zaprowadzić zarządy policyjne cywilne po miastach, jako wstęp do zaprowadzenia cywilnej administracyi w miejsce wojskowej; zapowiadają też z jego strony zamiar rozdzielania sądownictwa i administracyi, a nawet przywrócenia gubernatorów cywilnych. Niepodobna z tych pierwszych początków zrobić sobie wyobrażenie o nowej organizacyi we-

wewnętrznej państwa, są to bowiem rozporządzenia sporadycznie wydawane, bez jasno nakreślonego programu. Ale i tego zapominać nie należy, że instytucje nie znaczą, jeśli nie ma ludzi do sprawowania ich, a w Rosyi nie ma istotnie w sferach dzisiejszych urzędników, ludzi zdolnych i uczciwych. Wyjątki oczywiście znajdują się, ale ogół jest na wskrós zepsuty, przedajny, ciemny, despotyczny względem niższych, uległy względem wyższych, słowem bez wszelkiej moralnej wartości. Co zrobić z takim materiałem? Nie ma go nawet czem zastąpić, trzeba by dopiero wychować nowe pokolenie, lecz i szkoły rosyjskie tak jak dziś są, nie dostarczają wychowanców. Żaden Loris-Melikow nie przeobrazi całego społeczeństwa. Narody kształcą się długą wewnętrzną pracą w szkole życia domowego i życia publicznego, a dotąd w Rosyi wychowywano tylko poddanych, a kto się przeniebierzył tej metodzie, ten albo ginął na Kaukazie wzięty w szeregi, albo na Sybirze, aż wreszcie w ostatnich czasach, zostawał nihilistą. Czekają więc rewolucyoniści rosyjscy na dalsze czynności naczelnika kraju i może mu nie chcą przeszkadzać.

Zbliżenie się Rosyi do Niemiec mogłoby osłabić siłę przymierza niemiecko-rosyjskiego i doniosłość jego wniwecz obrócić. Albo więc Rosya przystąpiłaby do tego przymierza, a temsamem uczyniłaby je bezwładnem, albo odciągnęłaby Niemcy od Austrii, narażając tę ostatnią od strony Turcyi i Włoch. Cała zręczność ks. Bismarka zależy na tem, aby odwrócić takie niebezpieczeństwo; zapewne najlepszym do tego środkiem będzie polityka wyczekująca, kunktatorska, i z tego powodu możnaby na cały rok naznaczyć to za program polityczny kanclerza niemieckiego. Nie przeszkodzi mu to do uzyskania zatwierdzenia nowelli militarnej i zamierzonego dwuletniego okresu budżetowego, który go uwolni od nieustających zapasów parlamentarnych i pod wielu względami dozwoli działać więcej na własną rękę. Układy ze Stolicą Apostolską wpłyną znów niemało na usunięcie niesnasek wewnętrznych, a układy te są dziś bliższe skutku, niż kiedykolwiek dotąd były.

Ważnym krokiem ku temu jest *breve* Leona XIII do arcybiskupa Kolońskiego Melchersa, w którym pozwolone jest biskupom zawiadamiać władzę świecką o kandydatach

na posady proboszczów. Rząd pruski miał sobie udzielone to *breve* za pośrednictwem posła swego w Wiedniu, któremu nuncyusz kardynał Jacobini udzielił je w urzędowym przekładzie francuskim. Nie zgłosił się Papież wprost do rządu pruskiego, z którym mógłby tylko traktować przez nuncyaturę w Monachium, lecz polecając biskupom stosowanie się do *breve*, uchylił jedną z pierwszych zawad do ugody. Półurzędownie odpowiedziała na to *breve Norddeutsche allg. Zeitung* zapowiadając zmianę ustaw majowych na drodze prawodawczej a nadto przyrzekając poprzednio ignorowanie ich przez rząd. Jestto pierwsze ze strony rządu oznajmienie tego rodzaju. Wykonywanie ustaw majowych otrzymało już ostatniemi czasy łagodniejszą interpretację, ale dopiero w oznajmieniu wspomnianem dziennika półurzędowego jest zapowiedź zakończenia walki z Kościołem.

A dzieje się to właśnie w chwili, gdy walka ta rozwinęła się we Francyi z całą zaciekłością, przypominającą czasy prześladowania Kościoła pod koniec zeszłego wieku. Paragraf siódmy projektu ustawy o wyższem wychowaniu, który członków zgromadzeń duchownych nieuprawnionych pozbawia prawa nauczania, lubo prawo to służy każdemu świeckiemu, upadł po dwakroć w senacie. Nie sami tylko wyznawcy wiary katolickiej sprzeciwiali się wnioskowi rządowemu, ale oraz ci, którzy bronili wolności nauczania, jako zasady przez konstytucję uznanej. Rząd uciekł się do środka mającego doprowadzić go do tego samego celu, bo odwołując się do ustaw z pierwszej rewolucyi, postanowił zamknąć i rozwiązać zgromadzenia duchowne nieuprawnione i nakazał przedłożyć sobie statuta tych zakonów, któreby pragnęły uzyskać pozwolenie tworzenia korporacyj. W ten sposób naruszoną zostaje wolność stowarzyszeń, również konstytucyą zawarowana. Jeżeli państwo przeważnie protestanckie, jakim są Prusy, uczuło głęboko szkodliwe skutki walki z Kościołem, bo ta podkopała ducha religijnego w narodzie i wpłynęła na wzrost racjonalizmu w kościele ewangelickim, cóż dopiero będzie we Francyi, gdzie mimo wszelkich bezwyznaniowych deklamacyj, mimo indyferentyzmu panującego w mieszczaństwie, przeważna część ludności pozostała przy wierze przodków swoich; taka walka z Kościołem

przyczyni się do coraz większego postępu radykalizmu, który porwie za sobą rząd dzisiejszy, i na tej równi pochyłej, gdzie zatrzymać się niepodobna, strąci w otchłań nowej rewolucyi społeczność. Walka z Kościołem w Prusach rozpoczęta była w mniemanym interesie potęgi państwa, a osłabiła je; we Francyi toczy się w interesie rewolucyi radykalnej, której ostatniem słowem Kumuna.

Właśnie ogłoszony został d. 30 marca dekret względem zakonów we Francyi. Znosi on zakon Jezuitów bezwzględnie, naznaczając czas trzechmiesięczny do załatwienia spraw swoich, a wszystkim innym zakonom, nieupoważnionym przez rząd, zostawia możność postarania się w ciągu tego czasu o pozwolenie, szkoły zaś zakonne pozostawia do końca sierpnia dla ukończenia roku szkolnego. Dekret ten służy za odpowiedź na uchwałę senatu, odrzucającą artykuł 7my wniosku ustawy, pozbawiający nauczania wyższego przez duchownych. Nie pierwszy to raz znoszą we Francyi zakony: rewolucya poczytywała zniesienie ich zawsze za jedno z pierwszych zadań swoich, a kiedy nie zdążyła uczynić tego pod firmą jakiegoś dekretu, znalazła zawsze gotowych wykonawców tajnych rozkazów, którzy wiodli księży na gilotynę albo ich topili i strzelali, rabując majątek klasztorny. Wszakże za Komuny, gdy nie było czasu bawić się w prace ustawodawcze albo wydawać dekretalia, wyprowadzano Dominikanów na ulicę i tam ich rozstrzelano. Rząd dzisiejszy prowadzi prześladowanie z pewnym rodzajem systematu, każe ciałom prawodawczym uchwalać naruszenie wolności stowarzyszeń i wolności nauczania, a skoro napotkał w jednej z Izb nieznaczną większość przeciw swej woli, obywa się bez uchwały senackiej i dekretuje samowolnie rozwiązanie zakonów. Prawdopodobnie udadzą się pokrzywdzeni na drogę prawa i odwołają się do konstytucyi gwarantującej wolność, ale wątpić można, aby sądy, które umiały zachować niezawisłość swoją pod rozmaitemi rządami, zdobędą się dziś na heroizm niezawisłego zdania. W programie bowiem rządu obecnego znajduje się jeden ustęp, który zmierza do pozbawienia sądów niezawisłości, znosząc nietykalność sędziów. Jeszcze ustawa tego rodzaju nie przyszła do skutku, ale

pod grozą jej zostaje cała magistratura i już czuje wiszący nad głową swoją miecz Damoklesa.

W parlamencie włoskim długie i żarliwe toczyły się rozprawy podczas obrad budżetowych nad interpelacjami, żądającymi wyjaśnienia polityki zagranicznej gabinetu. Rząd był wzięty w obroty przez członków prawicy i środka, a nawet niektórzy członkowie lewicy żądali wyjaśnień, aby się nie zdawało, że idzie im jedynie o kwestyę gabinetową. Oświadczenia, jakie złożył Cairoli, posłużyły do wniesienia motywowanego porządku dziennego, przychylnego gabinetowi, i ten wreszcie przyjętym został. Główny nacisk kładziony był w dyskusyi na stanowisko Włoch wobec Austrii i na demonstracyę stowarzyszenia *Italia irredenta*; inne, mniejszej wagi, odnosiły się do zachowania się rządu wobec kwestyi granicy turecko-greckiej i pod względem Egiptu z uwagi na wierzcicieli włoskich tego kraju i na udział Włoch w komisji międzynarodowej do spraw Egiptu. Pod względem *Italia irredenta* wyparł się rząd wszelkiego udziału w planach tego stowarzyszenia, odnoszących się do zaboru Tyrolu południowego i Tryestu, potępił wybitnemi słowami działania tego stowarzyszenia, zapewnił o zamiarze utrzymywania z Austryą stosunków przyjacielskich, niemniej wyparł się, jakoby, o co go posądzano, miał myśl opanowania wybrzeża Albańskiego, a przytem wyrzekł się wszelkiej solidarności z prądem republikańskim. Wyznania te i zaprzania były koniecznością, bo jedynie ta droga pozostawała gabinetowi, który chce się utrzymać przy władzy, aby mógł dalej prowadzić przygotowawcze czynności do reform radykalnych, jak np. głosowanie powszechne, które stoi na programie rządowym i ma mu dać kiedyś parlament z wykluczeniem żywiołów konserwatywnych. Obecne położenie Europy nakazało gabinetowi Cairolego odegrać rolę konserwatywną, bo plany związania się przymierzem z Rosyą spełzły na niczem, skoro nie przyszło do skutku przymierze francusko-rosyjskie, jak znów dawniej zawiodły rachuby Crispiego, iż Włochy znajdą w Berlinie sprzymierzeńca przeciw Austrii. Od zawarcia przymierza niemiecko-austriackiego rzeczy się pod tym względem zmieniły.

Cała więc sytuacja obecna ma charakter bardzo po-

kojowy — do pewnego czasu. Rdzeń jej tkwi w związku niemiecko-austriackim, który już przez to zachować musi stanowisko czysto odporne, iż otoczony jest państwami nieprzyjawnymi, jak Rosya, Francya i Włochy, a nieprzyjawnymi dlatego, że każde z nich miałooby czegoś żądać bądź od Niemiec, bądź od Austrii. Związek ten mógłby się wzmocnić przystąpieniem Anglii, jeśli wybory do parlamentu angielskiego wypadną na korzyść stronnictwa stojącego dziś u władzy, ale samo już przystąpienie Anglii podniosłoby wojenny charakter przymierza, Anglia bowiem jest wybitnym przeciwnikiem Rosyi tak na półwyspie Bałkańskim, jak w Azji środkowej. Listy serdeczne, wymienione między cesarzami Niemieckim a Rosyjskim, służą za dowód, że dyplomacya, tak niemiecka jak rosyjska miarkowaną jest przez oba dwory, które usiłują odjąć wszelką cechę nieprzyjaźni rządów i sprzeczności interesów. Zapewne więc ministrowie muszą uleść tej *fors major*. Polityka dworska przeważa nad polityką rządów.

Stanowisko Polaków wobec trzech rządów rozbiorowych naznaczone jest położeniem politycznem każdego z trzech mocarstw i ich organizacją wewnętrzną. Wielkopolska jest reprezentowaną w sejmie pruskim i w parlamencie niemieckim jako prowincya pozbawiona wszelkiej odrębności, przyznanej niegdyś sobie i zawarowanej traktatami. Posłowie przetopolscy w Berlinie biorą wtedy tylko udział w obradach ogólnych, gdy idzie o szczególne prawa Polaków, o ich wiarę i język; czynność ich z tego powodu ogranicza się na manifestowaniu i protestowaniu.

Mniej jeszcze mogą objawiać życzenia swe i praw swych domagać się Polacy pod rządem rosyjskim, gdyż nie mają żadnego organu prawnego do objawienia tych praw i życzeń. Nie ominęli jednak sposobności, jaką im dał jubileusz cesarski, bo w formie adresu z powinszowaniem oznajmili swoje monarchiczne uczucia i wyparli się wszelkiego współnictwa z rewolucją socyalną i jej objawami w Rosyi. Adres żądał puszczania w niepamięć przeszłości, aby tem łatwiej zostawić Polakom możność rozwijania się spokojnego w duchu narodowym.

Ani tam, ani tu nie powinni Polacy w milczeniu stać

na boku, pod pozorem, że głosy ich nie będą wysłuchane. Obowiązkiem ich jest wszędzie głos zabierać, choćby słaby i bezskuteczny, zarówno w Berlinie, jak w Petersburgu, o ile czynić to mogą.

Obszerniejsze zadanie i obszerniejsze pole mają Polacy w Galicyi, i dlatego delegacya ich jest czynną i gorliwy bierze udział we wszystkich sprawach dotyczących się monarchii Austryackiej, bo służąc jej, służą zarazem własnemu krajowi. Nieraz też głos ich w Wiedniu jest decydujący wśród waśni stronnictw i krzyżowania się interesów. Że nie był on bezowocnym przed feryami Wielkiej Nocy, dowodem tego memoryały w sprawie regulacyi rzek, w sprawie języka instytucyi ksiąg hipotecznych, interpelacya o zapomogę skarbu dla dotkniętych powodzią w Galicyi, wreszcie uchwała Koła polskiego o budowie kolei żelaznych i rezolucya 12go marca, oświadczająca, że „Koło polskie nie poczytuje obecnego rządu za przyjazny“ i „zachowa się wobec niego przedmiotowo, kierując się tylko interesem kraju.“ Wpływ też Delegacyi polskiej sprawił, że Austria w politycznych stosunkach swoich znajduje silny punkt oparcia w Polakach, a szczególnie, że jest pewną, iż nie pójdą oni nigdy przeciw niej, znajdując w położeniu kraju swego w monarchii powód bardzo stanowczy do obrony dobra i całości monarchii oraz dynastji. Jestto silna tarcza, jaką posiada rząd austriacki w Polakach wobec Rosyi i panslawizmu, a że jest o tem przekonany, iż z tej strony może liczyć na Polaków, przeto stanowisko Polski nabiera znaczenia w sprawach europejskich i ogląda się na nie dyplomacya, nie uważając jej za martwy ugór, na którym wejdzie każde ziarno, które rzucone będzie.

Aleksander Szukiewicz.

W wyborach mniejszej posiadłości okręgu Kraków-Chrzanów-Wieliczka, mamy do zapisania fakt wyboru księdza Gołdy i upadku kandydatury p. Stanisława Koźmiana,

współredaktora *Przeglądu Polskiego* od jego początku. Kandydatura postawioną była w myśl i skutek wyraźnego życzenia ludzi poważnych, „z woli starszych,“ jak powiedział sam kandydat w mowie przedwyborczej, a wbrew obawom, które najbliżsi jego przyjaciele polityczni mieć mogli i mieli. Podawała ona łatwą gratkę żywiołom, które nie zapomniały i nie zapomną nigdy wszystkich cięgów, jakie im zadało śmiałe i tęgie pióro redaktora *Przeglądu i Czasu*, a przeprowadzić mogły vendettę swoją przez tych, co nigdy jednego i drugiego w rękę nie mieli. Z stronnictwem, które nie może względem duchownego używać tej samej broni, którą z nim walczone, łatwa na takim polu rozprawa. Programy polityczne, rozumowania, na nic się nie przydadzą, wystarczy wobec słuchaczy i wyborców kalemur i paszkwil. Porażkę tę całem sercem wyłącznie bierzemy na małe, pierwotne koło przeglądowe, licząc ją do kategorii tych położzeń, w których zawsze pobici będziemy, i na których, bronią przeciwników, nie pragniemy nigdy odnieść zwycięstwa.

Nie miałem jedynie w tej sprawie jest dla nas — mimowolny zatarg — z sutanną; nie miałem, że w najpoważniejszej sprawie, jaka istnieje wśród społeczeństwa, zaczyna się od czasu do czasu pojawiać duch, który sojusz z gazeciarstwem lwowskiem zawarty przy sprawach dawnej administracji Biskupstwa krakowskiego, realizuje przy wyborach do Rady Państwa, lub bawiąc się w kondottierstwo polityczne, stosunki z ludem zdobyte redaktorstwem dziennika, wyzyskuje w usługach elementów, nie zaiste z Kościołem i jego interesami nie mających wspólnego, jeżeli już nie zupełnie tymże interesom przeciwnych. Owi poważni ludzie, którzy chcieli dla kraju zużytkować wysoką zdolność i doświadczoną nieugiętość p. S. Koźmiana, w walce z żywiołem, zmiennym jak kameleon, a przez zaufki secesyjonizmu i sympatyj centralistycznych, wiodącym owece natury do — sympatyj dla liberalizmu rosyjskiego — mogli dostatecznie zaspokoić najdrażliwsze sumienia agitujących sutann — których drażliwość, moralną wszakże, w niemałe wprawia podejrzenie — towarzystwo, wśród jakiego się je spotyka.

J. Szujski.

WSPOMNIENIE POŚMIERTNE.

W chwili zamknięcia naszego zeszytu odbieramy dwie złe wiadomości, które krótkość czasu tylko nam zapisać pozwala. Ponieśliśmy dwie straty bolesne w Wielkopolsce. Jedną śmierć *Adama Żółtowskiego*, po którym ta przynajmniej zdołała pociecha, że umarł syt lat i zasług, a nie cały umarł, skoro zostawił synów, którzy w młodym wieku już służą i dobrze. Drugi, *Jan Działyński*, zeszedł ze świata w sile męskiego wieku, bezpotomnie i ostatni z rodu. Niegdyś młodziemiec świetny zdolnością, znakomitą nauką, gorący w miłości ojczyzny, pociągający szlachetnemi popędami serca i wielkim osobistym wdziękiem, zapowiadał obywatela tak znaczącego i znakomitego, jak był ojciec, po którym wiele przymiotów odziedziczył. Zdaje się, że w samym kwiecie zwarzył go rok 1863, a później złamała choroba, tak, że bez swojej winy w dojrzałym wieku nie mógł być tak czynnym, jakby był pragnął i umiał. Syn Tytusa Działyńskiego, wychowany w tradycjach roku 1830, żył w nadziei i przekonaniu, że chwila powstania będzie stanowczą chwilą nie w jego życiu tylko, ale w historyi Polski i świata. Nie udało się; on ani zwyciężył, ani zginął, choć poszedł i bił się, a ten zawód i wszystkie dalsze wypadki nadłamały go, jeżeli nie złamały zupełnie. Chciał jeszcze próbować, pomagać, robić, chciał zaczynać od fundamentów, znosić cegły, a choćby ziarenka piasku, prowadził dalej ojcowskie wydawni-

ctwa, starał się o postęp nauk ścisłych — bo to podstawa i rękojmnia powodzeń wojskowych i ekonomicznych — szukał drogi i w postępie wiejskich gospodarstw, a tem wszystkiem i rzetelnie pożytecznym być chciał, i bezwiednie oszukiwał, zasłaniał przed sobą gorzkie rozczarowanie, którego wtedy doznał. Organizm fizyczny, zawsze dość wątły, uległ w tem pasowaniu się z losem i z sobą, i na długie lata przed zgonem zaczęła się choroba, która go zabiła. Do różnych strat, jakieśmy w owych wypadkach ponieśli, można śmiało doliczyć i za wielką poczytać, udaremnienie tego żywota. A koniec jego tem smutniejszy, że w tym ostatnim żegna się cały szereg serc dzielnych i wiernych, imię, które się często w historii polskiej spotykało, dom, który jak na Wielkopolskiej ziemi wyrósł, tak w nią wrósł i do ostatka na niej trwał, i był w niej siłą, przybytkiem polskiego ducha, szansem obronnym, a nieraz zarazem i zaczepnego, choć nie wojennego, działania główną kwaterą. Przypomina się i Tytus, i jego ojciec wojewoda, i pułki Działyńskich, i tych piętnastu czy więcej wojewodów, którzy dziedzicznie prawie zasiadali wielkopolskie krzesła w senacie; i wszystkich razem żal, a tego ostatniego najbardziej. Bo od żadnego ze swoich nie gorszy, od wielu zdolniejszy i lepszy, ze wszystkich był najmniej szczęśliwym; nie dał mu Bóg takiej jak przodkom rzeczywistości, ani nawet takich jak ojcu nadziei. A kiedy ich wszystkich dziś chowamy, ich, którzy niegdyś na Unię Korony z Litwą patrzali, a w naszych oczach akta jej wydawali, i którzy szerokiem staropolskiem sercem wszystkie ziemie dawnej Rzeczypospolitej jedną obejmowali miłością, połączmy łacińskie koronne i unickie litewsko-ruskie pożegnanie, i powiedzmy im *requiem aeternam* w niebie i *wieczna pamięć* w Polsce.

St. Tarnowski.

ERUDYCJA TREMBECKIEGO.

Działalność literacką Trembeckiego znamy dość niedokładnie. Przedewszystkiem wiemy tylko, że był poetą, lecz poezyj nawet jego zaledwie część jest wydana. Jednak ziemby było, gdyby autor, tak bogato od natury uposażony, taką łatwość pisania mający i tak potężnie stylem władający, w całym bardzo długim życiu nie był się zdobył na nic więcej, jak kilkanaście drobnych, a kilka nieco dłuższych poematów i jedną tłumaczoną tragedję. Pisał on i pisał wiele, aż do późnej starości, lecz, zdaje się, mało dbał o los pism swoich. Pozostawił wiele poezyj, które albo zaginęły, albo też tak były śliskie, że nawet w wieku ośmnastym drukowane być nie mogły i poczęści do dziś dnia zachowane w rękopisach, tułają się po różnych bibliotekach, z kąd zapewne aż na Sądzie Ostatecznym na jaw będą wydobyte — wątpię, czy ku wielkiej pociesze autora.

Atoli prócz poezyj pisał niemało jeszcze innych rzeczy. Był to umysł żywy, ruchliwy i wrażliwy, któremu nic obcym nie było. Świadczą o tem współcześni, a jeszcze dobitniej ludzie młodszej generacyi, którzy w naszym już stuleciu mieli sposobność poznać dziecinniejającego starca w Tulczynie. Zresztą wiemy z historyi, że Stanisław August wiele bardzo na bystrość Trembeckiego liczyć musiał, skoro po odsunięciu się Krasickiego od dworu, jego obdarzył swoim całkowitem w trudnych kwestyach zaufaniem, a co więcej, użył go nawet do delikatnej z konfederatami barskimi negocyacyi.

Przyznać jednak trzeba, że śladów dowodnych, dokumentów, tej wszechstronności mało nader się zachowało. Ze zbioru znanych pism Trembeckiego przybliżonego nawet o niej wyobrażenia utworzyć sobie niepodobna.

Któż wie, ile ich mogła mieścić owa legendowa skrzynia, przekazana przez umierającego poetę żonie swego ostatniego mecenasa, skrzynia, którą wedle tradycji tak troskliwie przewietrzano, że aż manuskrypta Trembeckiego się z niej ulotniły?

Na szczęście, przed panem Szczęsnym miał poeta innego kiedyś mecenasą; na Zamku warszawskim troskliwiej przechowywano papiery niż w Tulczynie. Świadczy o tem teka z XVIII wieku, obecnie w posiadaniu p. Pawła Popiela w Krakowie będąca, o której gdzieindziej już obszerniej wspomniałem.

Wśród mnóstwa świstków i ramot, które znoszone ze wszech stron przez usługujących dworaków, rozweselały lub zajmowały amfitryona czwartkowych obiadów, zawiera ona autografy wszystkich prawie znakomitości polskich z epoki Stanisławowskiej, a między nimi i niejedną drobnostkę cenną, zasługującą na uratowanie od zatury.

Lecz nieczylich, przynajmniej ze znakomitszych, autografów nie mieści teka wspomniona więcej niż Trembeckiego. A choć są to po największej części drobne urywki i notatki — o odkrytych tamże poetycznych utworach kiedyindziej mówić zamierzam — nie chcemy ich bynajmniej lekceważyć. Pozwalają nam one rzucić okiem w wewnętrzną pracownię tego niezmordowanego umysłu i dają obraz jego wielostronności.

Czegóż bo tam nie znajdziemy?

Czy się pojawiła nowa książka w jednym ze znajomych języków, czy przedstawiano w teatrze nieznaną sztukę, czy doszła wieść o jakim wynalazku naukowym — zaraz rzucał się jak na pożądaną zdobycz Trembecki: książkę czytał i krytykował, z dramatu zdawał sprawę i wyrok o nim wydawał, odkrycie rozbierał, badał a nieraz sam doświadczeniem je sprawdzał. Wykopano starożytną inskrypcję, Trembecki brał się do jej odczytywania; publikowano którego z klasyków łacińskich, on o edycji wydawał sąd i zda-

nie. Słowem, trudno znaleźć pole, na któremby sił swych nie był próbował. A wszystkie swoje uwagi, spostrzeżenia, notatki składa w ofierze komu? królowi, który okazał się tu ideałem protektora i powiernika. Nie wiem, doprawdy, czy znalazłby się kto drugi, ktoby z tą troskliwością, z tem uczuciem wzruszającej *pietatis* zbierał i zachowywał najmniejszą karteczkę nadwornego swego literata, każdą jego literę, każdą kreskę prawie. Sam Trembecki nigdy nie był tak drobiazgowo staranny w utrzymywaniu własnych papierów.

Myliłby się wszakże ten, coby myślał, że wśród tej mnogości własnoręcznych zapisek szambelana znajdują się rzeczy wielkiej literackiej lub naukowej wartości. Mało gdzie da się trafniej niż tu zastosować przysłowie: *qui trop embrasse mal étreint*. Wykształcenie wieku encyklopedystów wybiło na wszystkich, nawet potężnych inteligencyach pewną cechę powierzchowności, która pozostanie piętą Achillesową największych tej epoki ludzi. Każdy literat myślał, że mu wolno pisać o wszystkim, każdy wykształcony człowiek chciał wiedzieć wszystko, osiąść przynajmniej główne tajemnice wszystkich nauk i umiejętności i... zwykle nie posiadał żadnej gruntownie. Prostem a smutnem tego następstwem płodność, która napełniała półki bibliotek, a z niemi kieszenie księgarzy, lecz w głowach zostawiała straszne luki. Biskupi, margrabiowie, profesorowie uniwersytetu mieli pretensję uczyć świat piekarstwa, ślusarstwa lub sztuki perukarskiej i pisali niezliczone foliały, których drzeworyty chyba tylko służyć mogły dzieciom do zabawy... Bo któż nauczyć się piekarstwa, patrząc, jak upudrowane markizy, pozujące za stołami dekoracyjnych sklepów, sprzedają bułki, podczas gdy obok wpółnaczy atleci ciasto urabiają; — lub kto potrafi zostać ślusarzem, przejrzawszy illustrowany tom, w którym zobaczy elegantów w trykornach i harbajtlach, którzy w afektowanej stojąc postawie przy delikatnym warsztacie, trzymają z wykwintną gracyą pilnik w ręku.

Nigdzie jednak te wykłady nauk, sztuk i rzemiosł, rozpowszechniane przez profesorów perfumowanych, przybranych w glancowne rękawiczki, a nie wychodzących po za obręb swego gabinetu i pańskiego salonu, tyle może złego nie narobiły,

co u nas. Trafily bowiem właśnie na ową epokę, kiedy naród, przez króla-literata zbudzony z półtorawiekowego umysłowego letargu, jednym zamachem chciał dorównać Zachodowi, który go o tyle w cywilizacyi przez ten czas wyprzedził.

Tu trzeba szukać motywów tych wszystkich lekko-myślnych ramot, które szpecą ówczesne piśmiennictwo nasze. Nie mówiąc o drugorzędnych pisarzach, dość wspomnieć najlepszych. Za przykładem encyklopedystów i Voltaira, Krasiński chce naraz być i epikiem, i historykiem, i uczyć naród wszystkiego w *Zbiorze potrzebnych wiadomości*; Naruszewicz, urodzony historykiem, chce razem być Tacytem, Horacym, i Juwenalem. Więc i Trembecki nie poprzestaje na poezyi, do której ma wyraźne powołanie, lecz musi bawić się w archeologa, i w filozofa, i w historyka, i w krytyka, i w fizyka i w lekarza nawet.

Czy mógł tyle rzeczy robić dobrze? Na to pytanie po raz pierwszy odpowiedzieć można jakotako dokładnie, sumiennie a dokumentnie, mając w ręku tekę wspomnianą. Świadcstwo jej będzie niepodważane, bo własną autora Zofjówki spisane ręką.

Zacznijmy od szczegółów mniej ważnych.

Wiadomo, że poeta, starzejąc się, bardzo wiele zaczął przemyślać o zdrowiu, dyecie i lekach. W ostatnich latach stało się to zupełną manią, dziwactwem. Nietylko sam ograniczył swoją żywność do kawy, wody, jaj, owoców, ale nadto czuł się powołanym do apostołowania w sprawie pewnego rodzaju wstrzemięźliwości od mnóstwa potraw powszechnie używanych. Jedno z pism peryodycznych, już kilkadziesiąt lat temu, ogłosiło znaleziony po śmierci Trembeckiego rękopis z rozprawą o pokarmach, które wogóle poklasyfikował na cztery oddziały: „najlepsze, mniej dobre, bardzo podejrzane, szkodliwe,” i z których tyle podciągnął pod rubrykę szkodliwych (np. ogórki, wędliny, ryby), że krótka lista najlepszych każdemu przejadłaby się za tydzień, a najzdrowszy człowiek z jedzenia samych zdrowych rzeczy rozchorowałby się musiał.

Otóż prócz drugiego egzemplarza własnoręcznego spisu tych pokarmów, znajduję w tece pod nr. 261 zapiskę pokazującą, że się Trembecki nie żartem w doktora bawił.

„Przeciw asthmowi:

1^o „Wziąć nie kurę, nie kapłona, ale koguta (im starszy, „tem lepszy) i warzyć go w zalepionym garnku tak mocno, żeby kości od mięsa odstały, a gdy ten rosółek „ostygnie, dopiero odlepić i wypić naczeczko. Dlatego koniecznie w zalepionym garnku, aby te najsubtelniejsze „partykuły, które właśnie pomódz mają, wraz z parą nie „uleciały.

2^o „Tegoż dnia w godzin dwie po obiedzie wypić szklanę „soku wywiercianego z rzepy.

„To dwoje kontynuując ciągle przez dni piętnaście“ itd.

Przyczem do słowa *ciągle* daje następujący przypisek: „Chryniewiecki z Markuszowa w wielkim nieochędstwie trzymając zęby, bolał na nie często i wielce. Żalącemu się gorzko, gdy ktoś doradzał płukiwać usta: ach! — „rzecze wojewoda — jużem ja tego kilka razy próbował, a „nie mi nie pomogło.“

Niedowierzając jednak całkowicie swoim medycznym wiadomościom, kładzie pod przepisem powyższym takie ostrzeżenie:

„Lekarze europejscy po największej części (*salvis aliter agentibus*) są do Pinettego podobni, połową fizycy, połową szarlatani. Gotowi oni najlepsze zganić lekarstwo za „to, że albo nie z ich poszło rady, albo że 24 *species* w niego (sic) nie wchodzi, albo że się nie po grecku zowie. „Dosyć tedy byłoby teraz o to tylko spytać się lekarza, czyli „niniejsza preskrypcya w żaden a żaden sposób szkodzić „nie może.“

Im starszy, tem lepszy, co za pociecha dla gospodyń, które zwykle nie wiedzą, co robić ze staremi kogutami! Pospieszmy jednak przestrzedz słabowitych czytelników, aby więcej podobnych przepisów nie oczekiwali, bo to jedyny, jaki w tece się znalazł.

Za to dosyć jest poważniejszych notatek. Wspomnę wybitniejsze. Dwie są, z których można poczęści poznać sądy literackie Trembeckiego. Z pierwszej nadto (nr. 31) dowiadujemy się, jaka była pobudka tłumaczenia na polskie *Syna Marnotrawnego*. Kartka nie była pisana dla króla, tylko przez odbiorcę królowi zakomunikowana.

„Wolterowi wszystko wolno. Co on zrobiwszy, da pod „swojem imieniem, pewien jest, iż przed przeczytaniem „jeszcze tysiące ludzi' będą to aprobować. Komedya jego „*l'Enfant prodigue*, wykracza przeciw wielu regułom teatralnym, ale on jest wyższy nad prawo. Osoby wchodzące „tak przeciwnie mają charaktery, że jedne do śmiechu, drugie do płaczu, w przemiany, podbudzać zdają się. I jeden „drugi interes zbija, jeden drugiemu przeszkadza. Dla tych „i innych. przyczyn nigdybym był sobie tej komedyi do „przestosowania nie wybrał, ale na usilne nalegania Xcia „Gnała Podolskiego musiałem to uczynić. Położywszy jednak „za kondycyę, aby nigdy grana ani drukowana nie była. „Teraz nie mam jej przepisanej w domu, tylko *brouillon*, „ale w tym momencie rozkazuję przepisywać ją *ad mundum* i za dwa razy 24 godzin będę miał ukontentowanie „przesłać ją WMCPanu.“

Mimo to wyszła komedya z druku w r. 1780, i tylko może słabe o niej mniemanie kazało tłómaczowi uciec się do jednego z pseudonimów, których miał tyle w pogotowiu: Ludwika Azarycza, a opinia podobno zarówno niezupełnie zgodziła się na tak ostrą krytykę utworu, jak umiała poznać się na wartości niepospolitego przynajmniej co do języka „przestosowania.“ Poeci zwykle podejrzanymi bywają krytykami. Znajdujemy tego jeszcze i niżej dowód, gdy Trembecki będzie mówił o *Tristiach* Owidiusza. Warto zaś zaprawione złym humorem twierdzenie o bezkarności potentata literatury francuskiej o tyle sprostować, że całkiem przeciwnie niż mówi Trembecki, powodzenie *Syna Marnotrawnego* w Paryżu przez pierwsze trzydzieści przedstawień niezmiernie utrzymało się właśnie tak długo, jak długo publiczność nie wiedziała, że bezimiennym autorem jest Voltaire. Niewydarzony *l'Indiscret* tak był bowiem zraził sąd powszechny, że sam Voltaire z pewną nieśmiałością po 11 latach odważył się z nową komedją wystąpić.

Druga notatka (nr. 252) ciekawa jest pod tym względem, że daje nam wiadomość o nieznanym dramacie polskim, który, jak przypuszczam, król Trembeckiemu do referatu przydzielił. Jest to także autograf zapisany w rejestrze

jako: „o tragikomedyi jednej polskiej zdanie p. Trembeckiego.“

„Nędzarski, szlachcic bardzo cnotliwy, ma żonę, syna i córkę Marysię. Wpada w ubóstwo i nie ma czem żywić swojej familii. Chodzi po dawnych znajomościach, prosząc, nikt mu dać nie chce. Litośnica, wdowa, żąda czynić im przysługi, ale córka Marysia powiada, że im nic nie brakuje. W nocy nie mają chleba, ani drew, chociaż zima, i ostatnia lampa dopala się. Bardzo cnotliwy szlachcic, stawiawszy *ostatnią szablę*, wychodzi z domu, żona i córka lękają się, aby kogo nie rozbił, bo jest noc głęboka. W tej głębokiej nocy przychodzi z wizytą do cnotliwej Marysi JmPan Kochański, oficer. Marysia *nie wie*, czy nie miłość go tam zwabiła. On uważa się, że niedobłą mają gospodę i twierdzi, że ich smutne przypadki są mu już wiadome, jako że *w jednej ich majątności* pożar szkody poczynił, a *w drugiej* wylew wody. Po długiej konwersacyi, Marysia postrzega, iż nie jest przyzwoita panience być w nocy sam na sam z młodzieńcem. Powraca Nędzarski i przynosi chleba. Kobiety dorozumiewają się, że musiał kogo rozbić. Marysia narzeka, że *dnia wczorajszego* nie zchodziło im na niczem, a dziś w wielkim są niedostatku. Syn Nędzarskiego umiera z głodu i siostra płacze. Żołnierze przychodzą brać Nędzarskiego za to, że przechodnia rozbił, ale wzdrygają się aresztować go i płaczą, bo z czoła jego wiadać, że to człowiek bardzo cnotliwy. Instygator przypomniawszy, iż byliby karani i on swoje utraciłby miejsce, wymógł na żołnierzach, że tego cnotliwego wzięli do kozy. Kochański, na wyższych kartach oficer, na tej sędzia marszałkowski, prosi Marysi, aby *kilkoletnią* jego konkurencyę oddaniem mu już ręki nagrodzić raczyła, ale oraz dokłada, że jej ojca na śmierć osądzi. Człowiek rozbitý jest tego Kochańskiego ojciec, który w głębokiej nocy z jednym tylko służącym chleby ubogim sam roznosił i Nędzarskiemu także miał zanieść *tak, jako i dawniej*, ale ten, nie czekając na szczodroblivość, na ulicy rozbił go z tych chlebów. Przeto Kochański na śmierć go dekretuje. Ale król, gdy zasłży instancye, rozwalnia dekret i Kochański z Marysią żeni się.

„Nie ma tu ani aequivoków, ani konceptów Biskupa

„kijowskiego, ale wynalazek nikczemny, powieść zimna, pa-
 „mieć krótka, kontradykcyjne, i wszystko arcyźle pozszywane.
 „Morał także niezupełnie z dobrą zgadza się policyą. Gdy
 „podupadły szlachciec zamiast, żeby miał służyć albo zara-
 „biać pracą rąk swoich, albo nakoniec żywot porzucić bę-
 „dący już tylko ciężarem, może raczej kraść albo rozbijać
 „dla żywienia swoich i zwać się bardzo cnotliwym.“

Z końcowego ustępu sądząc, autorem tego osobliwszego utworu mógł być Józef Jędrzej Załuski, biskup kijowski. Ktokolwiek nim zresztą był, nie wielka to szkoda, że *tragi-komedyja* do dziś dnia ze stanu rękopisemnego nie wyszła.

Słabe to próbki krytyki, zapewne, ale może jedyne Trembeckiego, jakie naszych czasów doszły. Korzystniejsze nań światło rzucą notaty jego naukowe, których tu znaczną ilość napotykamy, a zwłaszcza filologiczne, świadczące o znajomości łacińskich autorów.

O klasycznym wykształceniu autora *Zofijówki*, powątpiewać byłoby śmiesznością. Wszak próbki tłómaczeń z Horacego i Wirgilego zawierają się w zwykłych edycjach dzieł poety. W dziełach jego oryginalnych wierszy żywcem wziętych z Owidyusza lub Horacego i Wirgilego, i alluzji do starożytności także dość się znajdzie; zresztą, kto tak mistrzowsko włada językiem i formą, nie uczyły tego mówić piastunki, ani mu nawet nie wystarczy czytanie Kochanowskich i Skaręgów — musiał umiejętność swą zasięgnąć z pierwszej ręki, z owych niepożytych wzorów dobrego stylu i smaku.

Czytał on autorów rzymskich, czytał wiele i sumienie, a jak staranne robił z nich wypisy, jak ich dokładnie znał i ile umiał na pamięć, mamy jedną, ale niepoślednią próbkę. Stawiał się właśnie w Warszawie pałac Łazienkowski. Nie była to właściwie budowla nowa. Łazienka, jako taka, nawiasem mówiąc, bardzo sławiony renesansowy budynek, stawiany podobno przez jednego z uczniów Michała Anioła, stanowiła od r. 1683 czy 1684 część rezydencji Ujazdowskiej czyli Jazdowskiej, która z rąk królewskich przeszła była w XVIII wieku do Lubomirskich, od których ją p. Stolnik litewski na własność nabył. Zostawszy królem, zarzucił on dawny pałac, a w r. 1767 zaczął z wielkim nakładem Łazienkę w pałac przebudowywać, przyczem

jednak wiele dawniejszych części do dziś dnia pozostało, świadcząc o smaku Lubomirskich rodu.

Po mozolnem zniesieniu bagien a przeprowadzeniu odpowiedniejszej kanalizacji, architekt nadworny, Włoch, Merlini, podjął przebudowę samego gmachu, co zabrało lat 11. Król, który szczycił się zawsze gustem estetycznym i zamiłowaniem klasycyzmu, do przyozdobienia tej letniej rezydencji przykładał punkt honoru. Chciał on, ażeby nietylko całość wytwornością przewyższyła wszystkie podobne siedziby w Polsce, ba, żeby nawet za granicą piękność budowli i ogrodu zasłynęła; ale z niezmordowaną drobiazgowością troszczył się o najmniejszy każdy szczegół. Wszystko musiało składać się na wywołanie powszechnego podziwu.

Zwyczaj wieku wymagał, żeby każdy budynek, każda altana, brama do ogrodu i brama do pałacu, nieledwie pokój każdy i drzwi, zaopatrzone były w stosowny napis. Kiedy w pierwszą rocznicę Konstytucyi 3go maja założył król w botanicznym ogrodzie kamień węgielny pod kościół a raczej kościółek Opatrzności w Warszawie, Naruszewicz miał polecenie wyszukania napisu do dzwonu (nr. 188 naszej teki). Do Łazienek zadanie to przypadło Trembeckiemu, a zadanie niełatwe, bo nietylko chodziło o znaczną ilość napisów, ale musiały one zawierać odpowiednią przedmiotowi alluzję i odznaczać się krótkiem a zwięzłem wysłowieniem myśli; wykute zaś z kamienia lub spiżu licznym pokoleniom następców świadczyć miały o erudycji i dowcipie swych twórców. Trembecki też *con amore* przyłożył się do rzeczy. Cały kajecik kilkunasto-arkuszowy (nr. 230) przedłożył królowi w dowód swej pracy. Znajdziesz tam dewizy wypisane z Horacyusza, Lukana, Marcyalisa, Seneki, z Aksyomów Stoików, lecz obok tego także z przysłów Salomona, Ekklezyasty, z Księgi Mądrości, jakby na okazanie, że poganinowi z zasad i życia, jakim był nasz poeta, przecież Pismo ște obcem bynajmniej nie było. Znajdziesz i cytaty ręką samego króla wynotowane; najbardziej zajmującym atoli będzie ustęp proponujący dewizę do rotundy łazienkowskiej.

Trembeckiemu wiele dewiz przychodzi na myśl, wkońcu wpada na wiersz Horacyusza: *Quid virtus et quid sapientia*

possit, utile proposuit nobis exemplar i dodaje: „albo też „krócej: *Utile proposuit nobis exemplar*. Jeszcze krócej: *Nobis exemplar*. Ale nigdy podobno nie znalazłbym przyzwoitszego napisu nad ten, który stosuje się razem do wszystkich „w rotundzie obrazów, posadзки, posągów, i do pana domu: „*Ploravêre suis non respondere favorem speratum meritis*, a „ponieważ: Kazimir (sic) W. za żywota spotwarzany był o „siostrę, do Zygmunta I strzelono i rokosz pod nim podniesiono, Batoremu słowami dokuczano, Jana III nieustannem „przeciwieństwem prześladowano aż do zgonu, Titus *censetur* „otruty i były przeciw niemu konspiracye, Trajan udawany „był za pijanicę, okrutnika i pederastę, M. Aureli kalumnionwany o śmierć kolegi i później chciano z tronu zrzucić „przez rewolucyę Awidyusza, i tak tedy sprawiedliwość, łaskawość, odwaga i roztropność nie mogły ich dosyć zasłonić. Tego wszystkiego przyczyną była na pawimencie wyrażona *zazdrość*, a zatem i ten w górze napis nie bardzo „byłby od rzeczy (ile że tacite i do *niektórych żyjących* stosować się może):

Ploravêre suis non respondere favorem speratum meritis. Hor.“

Królowi jednak ani jeden ani drugi wiersz nie musiał zbyt przypaść do smaku. Kto dalsze robił propozycye, nie wiemy. Lecz chociaż ostatecznie pod bania rotundy, mieszczącej posąg czterech królów polskich, nie z Horacego położono napis, tylko z *Farsalii* Lukana:

Utile mundo editi in exemplum,

to przecież myśl jest podobna i cytat ten zarówno z wielu jeszcze innemi, w pałacu użytymi, znalazł swój początek w naszym zeszyście.

Jeżeli by kto lekcewazył tę erudycyę, myśląc, że może Trembecki z książki tylko był mądry, to może o swym błędzie przekonać się z innej kartki, pisanej widocznie nie u siebie w domu, lecz prawdopodobnie na wsi, a której treść też zapewne do rotundy się odnosi. Oto, co tam po kilkunastu dłuższych cytatach czytamy: „Letko się bardzo wybierając, nie wziąłem z sobą żadnej klasycznej księgi. „Wiem, że najkrótsze napisy są najlepsze. Z tych żaden nie

„przychodzi mi teraz na myśl; może nadejdzie później. Item „do inwidy: *Quaesivit lucem ingemuitque repertâ*. Virg. Item „w górze: *Ut sibi quivis speret idem*. Hor.“

Tak więc i bez książek do szukania zawsze cały zapas excerptów miał w pamięci, a tylko się skarżył, jeżeli mu najtreściwsza dewiza czasem nie przyszła na myśl odrazu.

Prócz jednak zbierania rzeczy czysto pamięciowych i mechanicznych i poważniejsze czasem robi studia filologiczne. Dla użytku króla, który, czytając Horacego w edycji birminghamskiej, potrzebował niektórych uzupełnień tam brakujących, podejmuje nużącą pracę porównania ody w ode, poematu w poemat, edycji „de Birmingham“ z „układem Sanadona“ i podaje królowi sporządzony w ten sposób spis każdego kawałka z oznaczeniem początku, rodzaju poezyi, karty w książce i roku powstania z dodaniem uwag filologicznych (228).

Do tych próbek językowych przyłączają się niekiedy archeologiczne. Musiała kiedyś, może przy obiedzie czwartkowym, być mowa o bandurze i zadawano sobie pytanie, czy w starożytności słowiańskiej to narzędzie muzyczne było już znane. Otóż Trembecki, wróciwszy do siebie, wypisuje na kartce ze zbiorowego dzieła tak zwanych sześciu historyków Cesarstwa rzymskiego:

„in historia Augusta

„w jednym miejscu: *pandurizavit*... in M. Aurel. Anto., „w drugim miejscu: *exhibuit ludum sarmaticum quo dulcius nihil est*“ i notatę posyła królowi na dowód, że czystosłowiański instrument wspominany i ceniony był już za cesarza-filozofa (254).

Innym razem przysyła z Rzymu ktoś (może Albertrandi) podobiznę znalezionej tam w r. 1727 starożytnej tablicy, zawierającej prawo *lex de bacchanalibus*. Trembecki natychmiast bierze się do odczytania długiej archaistycznej inskrypcyi i odczytanie swoje do podobizny dołącza (278).

Znów kiedyindziej mowa była o zwyczajach u starych Germanów. Ktoś z obecnych twierdził, oparty jakoby na powadze uczonego Blatterie, że siostrzeńcy w zwyczajach spadkowych byli na równi z synami uważani i że zwykle do równego działu przypuszczani, czasem nawet „przed synami succe-

syę brali.“ Poeta przeczył temu, a gdy zażądano dowodów, przysłał z domu karteczkę z wypisem z Tacyty *De moribus Ger.* Cap. 18, na dowód, iż miał słuszość, że „lubo siostrzeńców bardzo kochano, jednak“ nawet razem z synami spadku nie otrzymywali (265).

Czasem przerzuca się zupełnie na pole etnografii, a z notatek odnośnych widać, o jak różnorodnych przedmiotach toczyły się rozmowy na dworze królewskim. Jedna z nich (205) zaczyna się: „*Cimmerii*, mieszkający (jak dziś zowią) w Królestwie Neapolitańskim, o których wczora była wzmianka i pytanie i t. d.;“ inny znów przydłuższy zapissek (260) stara się licznemi argumentami wykazać, że „osada illiryska za Apeninem nie może być inna, tylko Wolscy“, przyczem wychodzą na wierzch różne dziwaczne zapatrywania, np. o pochodzeniu Greków, którymi byli „Afrykanie, „których poznaliśmy pod imieniem Greków,“ i że „Brygowie (Phryges)... z Etruskami zmieszani, brali imię Latynów.“

Znajdujące się tu i owdzie wypisy z kronikarzy polskich naprowadzają nas na stawianą nieraz a nigdy nie rozwiązaną kwestyę: co to była za praca historyczna, która zajmowała długie lata życia poety?

Że Trembecki uchodził wśród współczesnych za erudyta, zdolnego z korzyścią nauki „zstąpić do ciemnicy dziejów,“ okazują i te słowa z wiersza Węgierskiego, i nieraz wspominany list Naruszewicza z roku 1790, w najpochlebniejszych wyrazach wzywający „orła,“ autora Zofijówki, do pracy nad panowaniem dwóch ostatnich Jagiellonów, i biograficznej wartości list Michała Konarskiego, świadka ostatnich chwil poety, i przytaczamy w studyach o Trembeckim opis Tulczyzna owej nienazwanej damy. Słowem tradycyi o historycznej pracy Trembeckiego prostym epitetem „bajki“ zbić (jak chcieli niektórzy) nie można. Ale co to była za historia? Tu sęk.

Czy to prosta ramota, za jaką miał ją uznać Kraszewski, czy też miała wartość odpowiednią dobrej opinii współczesnych, czy zginęła, czy ją zabrał Czacki, czy pisana po łacinie i dzieje powszechnie zawierająca, czy po polsku i o dziejach polskich traktowała, czy to była cała historia Polski, czy „200 arkuszy o czasach pierwiastkowych,“ czy wkońcu

pamiętnik tylko z obroną Szczęsnego Potockiego? Oto szeregi pytań, przez historyków literatury postawiony, które odpowiedzi czekają i długo może czekać będą. Na dwa tylko z nich teka nasza daje niepodważaną odpowiedź: że historię Trembecki pisał i że było to dzieje Polski.

Jakiej epoki historię? tego nawet nie można rozstrzygnąć; zdaje się jednak, że nad kilku epokami razem pracował i kilka osobnych dzieł przygotowywał, a żadna wątpliwość nie zostaje, że czynił to z wyraźnego polecenia królewskiego. Dwa listy odnoszą się do tegoż przedmiotu. Oba bez daty i bez podpisu, ale oba pisane (tak jak zresztą wszystkie tu wzmiankowane zapiski uczone) tem znajomem, wyraźnem, drobnem a okrągłutkiem pismem i zakończone charakterystycznym gzygaczkiem, w kształcie powiększonego o kilka zwojów węża heraldycznego, który prawie zawsze zastępuje podpis Trembeckiego. Ortograficzne cechy także oryginalne, które jednego Trembeckiego odznaczają od współczesnych pisarzy. W wyrazach obcych, spolszczonych i polskich, gdzie *i* z następującą samogłoską w jedną zgłoskę się nie zlewa, pisze on *ï*, n. p. akademïa, Angliï; przy zakończeniu na *ści* daje dwa znaki miękkące mimo *i*, np. wiadomości.

Zobaczmy naprzód Nr. 237 zapisany w rejestrze: o „historyi, którą pisze Trembecki.“ Brzmi on:

„Najjaśniejszy Panie!

„Taki jest często los szukających umiejętności ludzi. Póki niektóre tylko z starej a jasno zrozumianej historii powiadam kawałki, póty od inaczej nauczonych będę mianym za bardzo śmiesznego; a gdy później całą rzecz dowiodę na oko, tak, iż się na niej nikt omylić nie zdoła, wtedy wszyscy mniemani po akademiach sawanci wykrzykną, że oni już to dawno wiedzieli, że oni to wynaleźli.

„Wolałem tedy dzisiaj sumę na zakład położoną przegrać i uchodzić za próżno upornego a pełnego presumpcyi nieuka, niżeli znacznej osób liczbie ukazać jedną z tych ścieżek, które mię ku prawdzie wiodły. *Nihil novi sub sole*; w tym postępku jestem tylko naśladowcą. Zwiedzając różne Kartagińczykowie morza w Brytanii, postrzegli cynę i onę dla siebie zakupowali corocznie. Gdy raz po nią wysłany

okręt ujrzał dążący ku sobie rzymski statek i szpiegujący jego drogę, starał się z oczu mu zniknąć; czego gdy dokazać nie mógł dla usilności Rzymian, którzy w jego płynęli ślady, rozmyślnie się rozbił. Za co potem od Suffetów i całej Rzpltej poganionym nie był. Stopy pańskie z najgłębszym całuję respektem. — P. S. Wyraz, który mam rozkaz pokazać, w tej edycji Tacyta znajduje się na karcie 47-ej w wierszu 27-ym, tuż nad wielką literą C na lewym boku drukowaną.“

Postscriptum to dowodzi, jak król Trembeckiego do rady w kwestyach naukowych używał. Co zaś do samego listu, treść jego jest dziwnie ciemną. Moznaby prawie myśleć, że nie do historyi, ale do jakiegoś wynalazku się odnosi, może do owego balonu, o którym pisałem gdzieindziej, a przecie spis rzeczy, robiony przez kogoś ludzi tych bliskiego, nie zostawia żadnej wątpliwości.

Natomiast jesteśmy w miłym położeniu wykazania się innym, dużo jaśniejszym listem (Nr. 325), który bez ogródki już i nazywając rzeczy po imieniu, mówi o historyi, określa cały obszar zamierzonej pracy, wylicza wszystkie wchodzące w nią przedmioty i przygotowawcze mozolne studia naukowe w żywych barwach maluje. Z tych szczegółów wnosząc, zadaniem tej — przez jakieś zakłęcie i tym nawet razem nie zatytułowanej czarno na białem — roboty, był rodzaj filozofii dziejów Polski, przedstawiający na podstawie badań porównawczych powołanie Polski wśród dziejów powszechnych; w każdym razie dzieło przeważnie politycznej tendencji, umyślnie przez Stanisława Augusta zamówione, lecz sięgające aż początków powstania państwa polskiego, rzecz zakrojona widocznie na wielkie rozmiary. Autor bowiem tak się o niej wyraża w piśmie niestety niedatowanym:

„Najjaśniejszy Panie!

„Co się tylko ściąga do chwały i pożytku W. K. Mei, jedynie mnie interesuje, ku ich rozszerzaniu mam szczerą chęć przykładać się ze wszystkich sił duszy mojej; a wszakże są przeciw mnie pozory. Otóż znowu dwie niedziele wyszły, a pisanie moje jeszcze nie wzięło końca. Jużem tak sobie gruntownie postanowił, iż jeśli choć jedna z książek ode-

mnie zaczętych przed barankiem skończona nie będzie, na dobrowolne idę wygnanie i weześnie najłaskawszego z królów całując stopy, o niepokalanej, lubo w oddaleniu, mam honor upewnić wierności. Nie dla uniknienia pracy bardzo słodkiej i którą całe życie zatrudniać się pragnę, radbym się ztąd wynieść, ale dla nieznośnego wstydu, żem się ważył przed królem, panem moim, naznaczać terminy, na których uiścić się nie mogłem.

„Jak ów niewieszczwany ogar puszczoney na łosia, goni po drodze zwierza, którego tylko wytropi, goni i ptaka, który się przed nim zrywa, taka jest przygoda moja. Chciałbym wszystkie wiadomości pochłonać razem dla usługi W. K. Mei. Historia, prócz obcej, polska i sarmacka, znana i niewiadoma, geografia stara i nowa, prawa ojczyste i zwyczaje, polityka powszechna, wszystko to w moje wchodzi cele, nad tem wszystkim zosobna piszę i jedno drugiemu zawadza. Ta zaś rozliczność jest mi z innych miar potrzebną, bo gdy jedną rzeczą zmordowany umysł do drugiej się przenosi stanie mi to za spoczynek.

„Arouët, najwprawniejszy wieku naszego pisarz, potrzebuje dwa roki czasu do złożenia jednej, wiekować mającej, tragedyi. Ja przysługą dla W. K. Mei grzany, gdybym co z mojej ubogiej pisał głowy, prędkobym skończył, ale kompilacya wiele mi zabiera czasu.

„Jeśli dobrze pomnę, oświadczyłem to był niegdy przed majestatem W. K. Mei, iż polityki wcale nie znam, i słowa i uczynki moje nieprzystanne w tej mierze dawały mi świadectwo; gdy jednak łaskawa ufność W. K. Mei zleciła mi pisanie, które z tą umiejętnością znacznego potrzebuje obznajomienia, i o to wedle możności starać się musiałem. A do tego dążąc końca, w przeciągu kilku miesięcy tylem podobno przeczytał, ile się żadnemu z żyjących w równej porze nie zdarzyło. Lecz to nie jest dosyć, trzebaby każdą rzecz przetrząsnąć i rozsądzić, a gdzież był czas po temu? Więc to nagle zbyt obfite czytanie na wiele się nie przyda. Wysypmy korzec zboża na jedno w roli miejsce, cóż tam się urodzi?

„Przeto niżli te wiadomości, które sobie dać mogłem, zmieszają się z sobą, wszelkie weześnie z nich idące

płody będą niedorżale (sic) i podobne zarodkom. Nie jest rzecz nadnaturalna, iż za dziesięć lat, jeśli mi ich przyjdzie dożyć, mogę co godnego panowania W. K. Mci zostawić, ale co teraz piszę, nie można, aby było na wybór. Już przestrzegam jedną wielką nieprzyzwoitość, styl dzisiaj w Europie jest prawie jeden, do tego i ja chciałem się być przychyłać, ale przez częste przestawianie z Jaszkami, Kadłubkami, Bogufałaini, Baszkami, znowu w dawny wpadłem barbaryzm.

„Niemiłosierny czas tak gwałtownie leci, jak nigdy nie pamiętam, tylko się obejrzę, już-ci godzina. Myśli nie płyną porządkiem, lecz i do tej i do innej należące materji, te muszę jako i siły dzielić, bo na porażkę Wielhorskiego kozaki moje są dosyć, J. J. R. od cięższej artylleryi ma ucierpieć. Ten subtelny retor przeciwko zwyczajowi narodu, między którym mieszka, od głowy starzec poczyną. Z nim się pasować! może o zbyt wiele w początkach się kuszę; *piękna jest pod Herkulesem poledz*, już tedy mam się czem pocieszyć, jeśli, według bliższego podobieństwa, zwyciężonym będę. A jeśli nie będę?...

„Nikogo mi się poradzić nie godzi, sam nad każdym punktem muszę się zamyślać i z każdej go strony oglądać, wyciągi czynić, stosować, dziesięć razy jedno własną ręką przepisywać, a sto razy czytać, wszystko to do zwłoki pomaga. Świętny (sic) był Nazona dowcip, a jego książka *Tristium* nie nie warta, bo w złych pisana chwilach. Najwięcej mi jednak opóźnienia sprawuje wspomnianie sobie, iż to przyjdzie pod wiadomość i sąd W. K. Mci, a prawdziwie łatwiej jest pisać dla piętnastu Ludwików, niż dla jednego Stanisława Augusta.“ —

Po tem świadectwie chyba już i największy niedowiarzek nie potrafi zaprzeczyć podaniu o historycznej pracy Trembeckiego; czy ją skończył, czy miała jaką wartość naukową? to inne pytanie. W każdym razie to widoczne, jak wiele sobie zadał pracy, jak chciał sumiennie zbożać wiedzę badaniami nad historją polską i historją w ogólności. Badania te — cokolwiekbaż warte były — stracone są podobno bezpowrotnie. Nie moglibyśmy o ich rodzaju naj-

mniejszego sobie zrobić wyobrażenia, bylibyśmy mogli, rozważając nieobliczoną stratę ich, oddawać się rozpaczcy do skończenia świata, gdyby nie traf, szczęśliwy lub nieszczęśliwy, który dozwolił odkryć w tece, będącej źródłem wszystkich niniejszych wiadomości, cząsteczkę rezultatów naukowych historycznego mozołu poety.

Ta cząsteczka, nie jestto żaden urywek z owej legendowej *historii*, ale raczej ślad, trop na sąsiednim odszukanym gruncie, po którym możemy się domysleć, w jakiej okolicy i w jakiej klasie mieścić przedmiot naszych poszukiwań i ciekawości, mianą dotychczas za twór mityczny. Rzecz się tak miała.

Na początku r. 1795 Jan Filip Garran, członek kolejno zgromadzenia prawodawczego, konwentu narodowego, rady pięciuset, senatu i instytutu, publicysta dość ruchliwy, piszący o sprawach wewnętrznych zarówno jak o zagranicznych, wydał w Paryżu książkę p. t. *Recherches politiques sur l'état ancien et moderne de la Pologne*. Było czas, w którym Francuzi bardzo wiele Polską się zajmowali. Czy wskutek tego, że w epoce rewolucyi znaczna ilość emigrantów mimowolnie z polskimi zaznajomiła się stosunkami, czy też raczej dla jakiejś wewnętrznej sympatyi i w nadziei znalezienia u nas wdzięcznej roli dla eksperymentów doktrynerskich, czy wreszcie wskutek sympatycznego zbliżenia się dwu narodów osiągniętego za Konfederacyi barskiej, dość, że posypały się francuskie książki o Polsce.

Jedna z pierwszych w tym rodzaju była: *Lettre à S. A. le prince Sanguszeko*, wydana jeszcze w r. 1764 przez Pirhys'a de Varille, nauczyciela młodych Sanguszków w Zaslaviu, który, siedząc długie lata w Polsce i otrzymawszy nawet indygenat, ogłosił aż pięć dzieł o kraju naszym i rządzie jego.

Po konfederacyi barskiej i pierwszym rozbiorze zaczęły mnożyć się podobne publikacye. Wystarczy wspomnieć nazwiska znakomitszych autorów, jak Rousseau, Mably, La Bizardière, d'Eon de Beaumont, de Pfeffel, nie mówiąc już o kilku pracach francuskich Wielhorskiego, aby dać wyobrażenie o ówczesnym ruchu umysłów odnośnie do spraw polskich. Kto żył, pospieszał z radą, a rady te tak bywały

sprzeczne, jak zdania homeopatów, allopatów i hidropatów, którzyby się zbiegli, aby ratować konającego.

Jedną z bardziej radykalnych była opinia Garrana. Republikański czystej wody, „przedstawiciel ludu,“ jak się podpisywał, lecz przytem człowiek dobrej wiary i potężający, terroryzm Robespierrea, sięgnął do głębi rewolucyjnej apteczki, aby dla ojczyzny naszej sporządzić receptę. Składała się ona z dwóch głównych czynników: zniesienia władzy królewskiej i absolutnego zrównania stanów. Było pomysł godny członka konstytuanty, lecz jak w zastosowaniu do Polski dość oryginalny; jak gdybyto właśnie zbyt duża przewaga monarchizmu była naszą główną chorobą i raną! i jak gdyby zrównanie stanów gdziekolwiek, a zwłaszcza w Polsce dało się przeprowadzić! Wechodziły, co prawda, w receptę Garrana i inne niekiedy dość zbawienne ingrediencye, lecz przewodnią myślą było: korzystając z przewrotu i zapалу, wywołanego powstaniem kościuszkowskim, przewrócić do góry nogami stosunki na wzór rewolucyi francuskiej; więc przede wszystkim urządzić konwent narodowy, którego skutki we Francyi okazały się tak błogie. I Polsce ten jedynie przynieść może zbawienie, jest bowiem lekarstwem niezawodnym na feudalne trąłycy. Jak można bronić się nazei wewnątrz, zapytuje autor, gdy się wprzód nie upora z wrogiem wewnętrznym, którym jest nieład i nierówność społeczna? A nieładu tego i nierówności główną przyczyną zasadzanie siły zbrojnej na kawalerji. Kawalerja jest źródłem i podporą kastowości. Trzeba tedy spieszyć siłę zbrojną, poobcinać zbyt wielkie fortuny, rozsprzedać królewszczyzny, obdarczyć chłopów wolnością i własnością, a zwłaszcza wzmocnić mieszczaństwo i oddać władzę w ręce municypiów, które są jedynym dobrym owocem ustawodawstwa rzymskiego, tak zresztą świata zgubnego.

Jak widzimy, autor w półśrodku się nie bawi. Nie chce on słyszeć o monarchji konstytucyjnej, ani nawet o dwuizbowym systemie parlamentarnym. Jedyne ratunek dać może społeczeństwu wyrażnie demokratyczna republika, co udowadniają przykłady z całej historyi za włosy poprzyciągane i stosownie przykrojone. Niepodoba się autorowi, prócz Państwa rzymskiego, ani Sparta, ani nawet Anglia,

ale za to ideały niezrównane upatruje w urządzeniach Aten i w Islandyi dziesiątego wieku naszej ery!

Na takie mrozem przejmujące rady i wzory, niedziw, że w sferach rządowych i dworskich warszawskich powstał jeden krzyk zgrozy, zwłaszcza, że dzieło obok wielu niedorzeczności mieściło dowody pewnej gruntowności badań i znajomości stosunków polskich, że radykalne postawione w niem zasady nie były niczem innem, jak tylko teoryami wielkiej rewolucyi, z któremi wówczas liczyć się było rzeczą nieodzowną i na które głowy XVIII wieku odpowiedzi nie miały, najbardziej zaś dlatego, że Garran po krytyce nie dość mu skrajnych projektów Mablego i Russa, jakby taranem uderzał w chlubę ówczesną narodu i w deskę zbawienia partyi dworskiej: w Konstytucyę 3go maja.

Wiemy, jak wyidealizowano na czas jakiś doniosłość skutków tej konstytucyi, która miała wad wiele i byłaby zapewne kraju nie zbawiła, ale była wielkim krokiem ku postępowi i wymownem świadectwem pewnej siły moralnej, która wobec niebezpieczeństwa zniewoliła naród do szlachetnego zrzeczenia się najdroższych wad i tradycyj, najbardziej schlebających jego słabym stronom.

Gdy książka Garrana się pojawiła, król od kilku miesięcy był w Grodnie, z kąd do stolicy nigdy nie miał już wrócić. Zdawałoby się, że od chwili wyjazdu z Warszawy, zerwana była ostatnia nić łącząca go z narodem. Wszystko, co o nim wiemy, każe nam domyślać się, że odtąd sprawy kraju i przyszłość kraju stały mu się obojętne. Myśli on o sobie, o wygodach i finansach, co najwięcej myśli o swoich, ale po za koło krewnych i sług nie sięga jego pieczołowitość. To przynajmniej wynika z dziennika Bezborodki, z raportów Repnina i z innych znanych źródeł.

Tymczasem pokazuje się, że tak nie było. Po za pozornym, choć psychologicznie niewytłómaczonym egoizmem najgorszego rodzaju, po za zimną obojętnością na wszystkie dawne wspomnienia i na szlachetniejszą część swego przeszłości, ukrywała się resztką przywiązania do ojczyzny, która niepozwoliła mu o niej zapominać. Książka Garrana udzieliła, wygnańcowi w własnym kraju, królowi, wywarła silne lubo niemile wrażenie. Proponowane tam środki zaradcze,

z niesmakiem najwyższym były przyjęte zarówno przez króla jak i przez jego otoczenie. Nie mogło być inaczej; co jednak dziwniejsze, to, że pomimo całej tragiczności sytuacji, nie uważano jeszcze snąć w Grodnie sprawy polskiej i sprawy królewskiej za straconą, kiedy zajęto się z natchnienia samego Stanisława Augusta daniem odprawy nieproszonemu lekarzowi niemocy narodowej. Dowód tego pozostał w numerze 277 naszego zbioru. Jestto spora francuska praca zatytułowana: *Réflexions sur un pamphlet français d'un Mr Garran*. Pismo tekstu nie jest mi znajome z charakteru, kto wie jednak, czy nie powstało poprostu pod dyktandem królewskim, którego ręką dopisany jest tytuł, wypełnione są luki pozostałe w tekście i poczynione liczne poprawki.

Ktokolwiek zresztą był autorem rozprawy, trzeba mu przyznać rozsądek niepospolity i zdrowe o rzeczach zdanie. Przechodząc po kolei główne myśli Garrana, ostrzega autor przedewszystkiem że gdy „*ludy pótnocy i wschodu*“ w drugim wieku ery chrześcijańskiej uległy gwałtownym ruchom i przewrotom, tylko o tych które znalazły się bliżej granic państwa rzymskiego pozostawili nam historycy łacińscy i greccy dokładniejsze wiadomości, że tedy więcej wiemy „*o najściu Galii przez Franków,*“ aniżeli o „*kraju zwanym dziś Polską*“ aż do czasu opisanego przez historyków niemieckich. Mimo to nie ma powodu przypuszczać, że tutaj inne były początki poddaństwa i włościan aniżeli we Francyi n. p., gdzie „*podbici Gallowie i Rzymianie przeszli w niewolę zwycięskich Franków*“ i podlegli innemu prawodawstwu niż ich panowie. Ten stosunek jest zdaniem autora na całym świecie przyczyną różnicy prawnej i społecznej, a lubo w Polsce utrzymał się najdłużej, to na zachodzie dotrwał przecież do początku XVII wieku. Jest to złem zapewne, lecz nie byłoby większem w Polsce niż gdzieindziej, gdyby nie słabość granic państwa i kruche podstawy monarchii.

Ztąd bierze autor asumpt do krytyki rządu polskiego i wbrew napiętnowanym jako ułudne mrzonkom o republikańskiej doskonałości, lub demokratycznej równości, dochodzi do wniosku, iż najlepszą formą rządu jest monarchia konstytucyjna. System reprezentacyjny opierać się powinien na dwóch czynnikach: na izbie niższej z wyborów pośrednich, i senacie

z godnością dziedziczną, a co najmniej dożywotnią. Ministerjum ma być mianowane przez króla, a odpowiedzialne przed obu izbami. Cała władza egzekucyjna jest przy tronie, który powinien być dziedzicznym. Słowem jest to najzupełniejsza motywowana obrona konstytucyi 3 maja, z rozwinięciem szczegółowszem niektórych tejże punktów.

I tak obstaje autor przy majoratach, które są jedyną rękojmią niezawisłości izby wyższej i utrzymania majątku zasłużonych rodów. Stan mieszczański znajduje uwzględnienie, lecz nie tak obszerne, jak w ustawie z 18 kwietnia 1791.

Zabawną jest polemika z rewolucyjnymi zamiarami zrównania stanów i usamowolnienia całkowitego a nagłego chłopów. Garranowi i innym doktrynerom chcącym zbudować społeczeństwo według praw matematyki, na podstawie abstrakcyjnych pewników i pojęć wymyślanych i rozwijanych przy zielonym stoliku pracowni naukowej, przeciwstawia autor teorię zupełnie na podobnej drodze osiągniętą. Powiadacie, że człowiek ma prawo być równym innym ludziom; otóż zasada przeciw zasadzie — „najpierwszem prawem każdego człowieka żyjącego w społeczeństwie jest: być szczęśliwym. Chłop pod pewnym względem jest dzieckiem; jak dziecku nie wolność i równouprawnienie zapewnia szczęście, ale owszem opieka, dozór i władza wychowawców, tak samo i chłop potrzebuje nad sobą pana, jeżeli niema zginąć z nieradności, nieładu i niedostatku.“

Nie idzie zatem, aby go nie dźwigać i nie zbliżać do innych stanów. Początek do tego zresztą już uczyniony ustawą r. 1768. odejmującą panu prawo śmierci nad poddanym i znoszącą wykupno za zabicie chłopą. Deklamacye obcych pisarzy przeciw upodleniu chłopą w Polsce o tyle są niesłuszne, że zupełnie podobne fazy przechodziło społeczeństwo innych krajów, tylko że na zachodzie a zwłaszcza we Francyi przebyło je trochę wcześniej.

Następuje wcale rozumny plan stopniowego polepszenia bytu chłopą. Trzeba ograniczyć ilość dni roboczych należnych panu od chłopą, trzeba chłopu dać jakkolwiek rękojmię bezpieczeństwa przeciw uroszczeniom panów, stanowiąc sądy właściwe, coś nakszałt dawnych sądów referendarskich w królewsczyznach i starostwach, tylko z pewnemi

jeszcze ulepszeniami w wykonywaniu władz referendarzów. Trzeba dalej dać mu wolność nabywania nowych dzierżaw i swobodę obicrania, dla pewnej liczby przynajmniej dzieci swoich zawodu, jaki będzie najkorzystniejszy, a więc zmieniania ich stanu.

To wszystko rozumie się o tyle, o ile włościanin pozo-
stanie *glebae adscriptus*. Deklamują przeciw temu obcy tak
wiele, lecz kto zna stosunki prawdziwe ten nie zaprzeczy, że
byle pan nie był okrutny (a to w rzeczywistości tak rzadkim
już bywa wypadkiem), stan przykutego do gleby nie jest
wcale tak ciężki, szczęśliwszy nieraz od stanu wolnych, któ-
rzy muszą czasem z zazdrością patrzeć na swych mniej
uprzywilejowanych braci. Dzieje się to zwłaszcza w wypad-
kach głodu, wojen, klęsk elementarnych, chorób, wobec któ-
rych usamowolniony dużo bywa bezradniejszym niż *glebae ad-*
scriptus, mający zapewnione od dworu główne potrzeby, opał
i budulec. Dowodów na to i przykładów przywiązania „nie-
wolników“ do panów nie trzeba szukać daleko.

Mimo to pewnem jest, że zniesienie poddaństwa i za-
miana pańszczyzny na czynsz stanie się rzeczą konieczną,
skoro czas potemu przyjdzie, i zapewni tak stanowi włościań-
skiemu, jak ogólnemu dobrobytowi kraju i samym nawet
panom wielkie korzyści.

Wielu ziemian czując to, próbowało już z własnego po-
pędu oczynszowania swoich poddanych, nie wszędzie jednak
z równym skutkiem. Zdarzało się, że usamowolnieni sami
prosiłi po kilku latach o przywrócenie dawnego stanu; snąć
nie byli jeszcze dojrzałi. Najlepszym w skutkach okazał się
zaprorowadzony gdzieś system oczynszowania i usamo-
wolnienia jedynie w nagrodę za moralność i gospodarność.

To pokazuje, jak wolno i stopniowo można tylko prze-
prowadzać reformę takiej doniosłości. Autor zastanawia się
więc na zakończenie nad zgubnemi następstwami natych-
miastowego oczynszowania wszystkich chłopów w całym kró-
lestwie, któryto przewrót zemściłby się zarówno na stosun-
kach ekonomicznych jak socyalnych, byłby ruiną kraju i
prywatnych, zgubą panów i chłopów zarazem.

Najlepszym na to dowodem świeża próba. Zarzucają
nieproszeni reformatorowie Kościuszcze, że popełnił niezre-

czność, nie usamowalniając jednym zamachem wszystkich chłopów. Tymczasem w tych kilku miejscowościach, gdzie tego spróbował, pokazało się, że ani im dobrobytu nie przysporzył, ani z nich dobrego żołnierza nie uzyskał.

Taka jest pokrótce treść dosyć obszernej rozprawy, którą król przejrawszy i uzupełniwszy dopiskami dał Trembeckiemu do ocenienia. zapewne dla ostatecznego zadecydowania, czy ma być jako odprawa przesłaną nierachującemu się z krajowemi potrzebami francuskiemu utopiście, lub też może nawet ogłoszoną drukiem dla sprostowania opinii w błąd wprowadzonej cudzoziemskim „pamfletem.“

Że zaś Trembecki a nie kto inny miał powierzony referat nad pracą tak mało w związku stojącą z jego powołaniem, pochodziło z reputacyi uczoności w rzeczach historii i polityki, jaką umiał sobie w ostatnich właśnie czasach wyrobić, o czem wspomniałem poprzednio.

Choćby więc król i innego literata miał być pod ręką w Grodnie, nie powinno nas zadziwiać, że wybór padł na „orła“ uważanego za głębokiego historyka.

Trembecki przeczytał przesłany rękopis, a poczynione przezeń postrzeżenia i wytknięcia spisane na dwóch blisko arkuszach, włożone są obok krytykowanej pracy, pod tytułem, ręką króla dopisanym: *Noty nad refleksyami o książce Garrana.*

Jak się poeta wywiązał z zadania zechce cierpliwie czytelnik sam osądzić z tekstu, który dla osobliwości w całej osnowie dosłownie przytaczam. Powiada on:

„Mając rozkaz oddać pozwolony mi papier, na tej kopercie przyłączam naprędce niektóre bardzo zdadne do powiększenia kominkowego ciepła.

„1. *Il est connu et hors de dispute que des nations du Nord et de l'Orient etc.* — Wyraz wschodu i północy zdaje się troszkę generalny, gdyż to dwoje na każdym miejscu znaleźć można. Jeżeli zaś przez wschód rozumieć tu mamy Azyę, od czasów chrześcijańskich żaden z tamtąd pochodzący naród nie siedzi w Europie prócz Turków, którzy dopiero w X i XIII w. wkroczyli. Wszystkie inne narody stare są i posiadają swoich nie odmieniły, ale przyczyniały [niły?] rozrywając państwo rzymskie. (Same zaś między sobą późniejsze czyniąc

podboje do ... artykułu nie należą). Niektóre tych narodów ludy wysłały swoje osady do krain odległych i nie łączących się z starą ojczyzną; te się im mniej dobrze udały niż Frankom, którzy tylko wpodłe siebie leżące najeżdżali ziemie. Dzieje naszych ludów ciemniejsze są przez to, żeśmy się później nad innych czytać i pisać nauczyli. A potem księża nasi bez żadnej krytyki popisali bajeczki pod imieniem historyi.

„2. *Lors de l'invasion des Gaules par les Francs* — To potrzebowałoby długiej dysertacyi dla dowiedzenia się co to są *les Francs*; bo tak żaden naród ani lud stary nie nazywał się. Niech tymczasem będzie dosyć w krótkości namienić, iż w kraju, który Rzymianie rozdający imiona według upodobania swego ¹⁾ nazwali Germanią, były niektóre ludy *przechodne* mieszkające w kawałkach niezmiernej puszczy, pod obowiązkiem płacenia podatku Sławom i służenia w czasie wojny. Te ludy wykoczowali (sic) Rzymianie i przenieśli je na lewy brzeg Renu do Niemiec ²⁾, gdzie w kraju od siebie spustoszonem i wyróżnionem wielkie nadali im osiadłości, pod nałożeniem strzeżenia brzegu przeciwko Germanom. Ci przeniesieni z Germanii do Niemiec, jedni byli Cymbrowie pozostali nad rzeką Sygą, drudzy Ubbowie posiadający las Odina ich Boga, między Nikrą i Moguną ³⁾, a gdy za czasem Rzymianie wymagać chcieli od nich poborów, porwali się do broni, wzięli imię Franków, to jest od wszelkich powinności wolnych; wypędzani mocą z nadanej sobie Gallii zawsze wrócili i zawsze kraj dalszy plondrowali. Mieli

¹⁾ Tak jak potem Hiszpanie w Ameryce.

²⁾ *In Galliam*, rozmyślnie powtarzam to często dla pamiętania.

³⁾ imiona łacińskie:

Cymbrowie nad Sygą	{	Cimbri mediterranei	Rzeka Nikra	{	Nierus		
		Sugambri			później Ne-		
		Sicambri			kar		
Ubbowie	{	Ubii	Rzeka Moguna	{	Mogunus		
		potem Ripuarii			Mogus		
					Mahunus		
					Moenuis (?)		

oni bezprzestannie swój rząd osobny i swoich królików, którzy najczęściej służyli za oficerów w wojsku rzymskiem. Do tych zbuntowanych przyłączyli się Batawowie, także uwalniający się od powinności a zdawna w Galii mieszkający na wyspie Renu. Przyłączyli się też Kattowie, lud niemiecki, ale z tej strony Renu osiadły ¹⁾ przyłączyli się nakoniec Hamawianie lud czeski ²⁾, który po przeniesieniu stolicy do Bizantion część Gallii do swojej ziemi przybrał. Otóż są

¹⁾ Kattowie po łacinie tyle imion mają: Catti, Cattuarii, Attuarii, Chatti a naostatku Hassi. Był to lud wędrowny od gór pirenejskich, który w pustym lesie osiadł na prawym brzegu Renu, że zaś był bitny i liczny, nikomu dani nie dawał. Gdy przeniesiono Ubbów i Sykambrów na lewy brzeg Renu, Kattowie wzięli po nich rolę. Rzymianie którzy do tych ról formowali pretensye, przeto że za nie inne większe i lepsze właścicielom dali, wyciągali od Kattów powinności przynamniej (sic) wojennych; te zrazu dopełniane nie ciągle, nareszcie naprzykrzyły się i Kattowie złączyli sprawę swoją z rokoszanami w Galii mieszkającymi, biorąc spólnie imię Franków. Kraj tych Kattów zwał się w ich języku Ooster-valdt i Vester-valdt, w łacinie młodszej: Francia orientalis, potem Franconia, granice zaś wcale nie te co dziś. Sed nunc non de his agitur.

²⁾ Czaychy, po dzisiejszemu Czechy (sic) i Cziechi w łacinie tak się zowią: Cayci, Caycones, Cauci, Cauchi, Chauci, od Gallów zwani byli: Sachs, *id est piratae*. Zkąd zrobiło się także imię Saxones. Mieszkali oni wtedy nad północnem morzem pomiędzy Łabą i Renem. Nie wspomnę tu Karola Pipińczyka, najbrzydszego ze wszystkich okrutników o których kiedykolwiek słyszeć mi się zdarzyło; przez lat 30 nawracając tych nieboraków wyrzwał ich, rozpędził, i przeniósł do Italii i Francji tam ich rozproszywszy a reszcie we krwi ochrzczonej narzucił takie prawa, które gdyby nie egzystowały aktualnie zdałyby się do uwierzenia niepodobne; zowią się *jus vehmicum*. Nadał on ich krajowi nowe imiona: Oost-Volen i Vest-volen; z tego ostatniego zrobiła się Westfalia, pierwsze nie utrzymało się. To zaś godzi się napomknąć, iż wschodnia część tych Czaychów, mieszkająca między Łabą i Wezerem, idąc niegdy z Lagobardami (sic) na podbicie Italii za daną sobie w tę drogę pomoc ustąpiła ról i siedlisk swoich Sławom, ale w Italii ciężko skłóciwszy się z Lagobardami (sic) wyszła ztamtąd i chciała do opuszczonej wrócić się

te, a nie żadne inne ludy, które nadały sobie imię Franków, i w jednym żyły długo związku. A gdy w Galii północnej razem jednego króla mieć poczęły, któremu mniejsi hołdowali królikowie ¹⁾, dynastya panująca wybrana była non ex gentibus cisrhenanis, ale z rodu Sykambrów zdawna do Galii od Rzymian przeniesionych. — *Et autres nations cisrhénanes*. Nie wiem czy ta phrasis, dokładnie wykazuje ludy, które aż od czarnego morza przyszły, jakoto Wołoszą naddunajską, która w bliskich czasach Galią południową podswoiła ²⁾, i Wołoszą krymską, która Prowancyą i Delfinat zabrała ³⁾, tudzież Phruguntów; ci ruszywszy się od Niemna, w Galii szwajcarski kraj i dwie Burgundye zachwycili ⁴⁾.

„3. *Les derniers conquérans du pays que nous nommons la Pologne avant que le Christianisme etc.* — To mniemanie na historyi się nie wspiera. Francya sobą być nie przestała, chociaż jej przedziały inaczej się zowią jak przed laty dzieściu. U nas samych jest kilka województw i powiatów, które za dziadów naszych inne miały imiona. Ludy tu mieszkające są *autochthones*; ich wspólne imię było Sław y. Ci dopiero imiona brali cząstkowe od udziałów położeń i innych przyczyn, jakoto: Polanie, Pomorany, Górale, Luszaki, Morawany etc. i ciągnęli się z północy na południe od Sławskiego morza ⁵⁾ po Dunaj. Wszyscy starzy czasem nas Sławami, czasem Wandalami mianują dla naznaczenia różnicy od drugich Sławów. Błąd nazywania nas Sarmatami dopiero się urodził w głowach mędrków XVI wieku; zasłyszeli oni że zdawna tuż za Germanami mieszkali Sarmatowie, a ponieważ Niemcy biorą dziś imię Germanów (jak Mungalowicze (sic) Chinczyków) ztąd konkludowali, że nasz

ojczyzny, której nie oddali Sławowie; przymuszona więc była osiąść w Garbatej puszczy, mało wtedy zamieszkałej. Ten to jest kraj który dziś królestwem Czeskiem zowiemy.

¹⁾ Ci królikowie zwali się wtedy w ich języku: *Gast*, vide *Capitularia regum Francorum*.

²⁾ ³⁾ ⁴⁾ nie masz odnośnych przypisów (P. W.).

⁵⁾ Morze to nazywało się Sławskiem Niemcy potem Bałtyckiego dali mu imię i znowu Bałtyckiego (sic) i znowu Oost-See, to jest M. wschodnie.

naród zaraz za niemi położony, a tamtym ani obyczajami, ani strojem, ani językiem niepodobny, musi być Sarmacki. Nie szukali tedy dalej jakie którego granice, co byli Sarmatowie, co Germanowie, jakim który lud mówił językiem, kiedy Niemcy do Germanii weszli i jak wiele jej już posiedli? lubo wszystko to w dawnych dziejach znajduje się.

„Hłap (w dzisiejszym dyalekcie polskim chłop) idzie od słowa hlapati (łapać i znaczy tożsamo co u Rzymian *servus id est servatus*, albo *mancipium id est manu captus*. Grecy pisarze twierdzą, iż najdawniejszy zwyczaj był zabijać pojmanych na wojnie. To nikomu nie czyniło pożytku. Miał tedy więcej ludzkości w sobie i oboma stronom użyteczniejszy był kontrakt, gdy gardłowego złapawszy nieprzyjaciela, żyć mu zwycięzca pozwolił, pod kondycją, aby się stał jego rzeczą; a takie kontrakty zaczęły się przed Homerem i Mojżeszem. Przyczyna niewolnictwa czyli chłopstwa też sama u nas była co i wszędzie indziej. O tem być mogłoby pytanie czy takie ułożenia zgadzają się z słusnością. Jakże? kiedy mój ziomek podpali mi dom, zabierze mi konia, zgwałci mi żonę, albo córkę, zabije mi krewnego, za któreżkolwiek z tych złoczynstw sprawiedliwie i prawnie śmiercią będzie karany; a nieprzyjaciół obcy który mnie i moim wszystko to wyrządzi, nie byłby słusnie karany śmiercią! Zkądże być miałyby większa dla cudzoziemców szkodzących niżli dla swoich względność? Gdy więc zasłużył na stracenie życia, czynię prawdziwą łaskę gdy mu dozwalam okupić je pracą, z której zysku większa część dla mnie. Aż póty sprawiedliwie; tego zaś nie wiem, czy niewinne tych jeńców potomstwo, aż do skończenia świata powinno pokutować w niewoli, chyba, że im powiemy: *omnes peccastis in Adam*. Chłopi nasi oryginalnie idą z pochwytanych Rzymian, Greków, Niemców, których Gallami i Tartarów których Sarmatami starożytność zwała. Wojowały Sławy ludy i same między sobą i na wzajem w chłopów przemieniały brańców. Ale to najgorzej iż stara klasyfikacya u nas zaginęła Według świadectw zagranicznych pisarzów było u nas cztery klasy: w pierwszej umieszczeni regales (nieumiem ich po polsku nazwać), pochodzili oni z linii królów; a że wtedy u tych pogan pożyczowano za niezbożność

i nieuczciwość przestać kiedykolwiek dzieci robić, ta familia królów mnożyła się bez końca, i było jej zawsze stami. Druga klasa zamykała Sławczyców (po dzisiejszemu szlach-ćiców) to jest z ojca i matki Sławów, a ci właściwie czynili naród i wojsko. Trzecia klasa była Liudów, wolnych wprawdzie ale od sprawowania urzędów oddalonych, ta składała się z cudzoziemców osiadłych, z handlarzy przybyłych, rzemieślników, uskoków i tych, którzy się albo wykupili, albo wysłużyli, wyzwolenców. Czwarta klasa byli jeńcy wojenni i onych potomstwo.

„Gdyśmy, od narodowych odstępując zwyczajów, ubiegać się poczęli za niemieckimi modami, te wkradły się i do sposobu wojowania, a jak u tamtych Ritter i Knecht, tak u nas rycerz i kmeth ze dwóch klas byli brani. Tak rycerz jako i kmet posiadali ziemię dziedzictwem, każdy w swojej proporcji. Dziś wszystkie dziedzictwa kmethów zniknęły. W czasie pokoju prawo pozwalało, aby kmethowie dla rycerza, któremu wieś była nadana, robili dzień jeden w tygodniu, teraz robią dni sześć tęgiej pracy i cożkolwiek w niedzielę. Kmethowie byli wolni, *successive* w zupełnych chłopów zamienieni są, osobliwie we wszystkich włościach, które się szlachcie dostały. Dziedzictwo ich, które teraz zakupieństwem zwiemy, gdziekolwiek tylko po duchownych i królewskich widać dobrach, jeżeli ich dotąd jeszcze zabrać nie raczyli starostowie. Sprawiedliwości dla nich żadnej, protekcyi żadnej; gdy który wieśniak o rzecz zbyt jawnie słuszną pożywa, *jura cancellariae* w trójnasób płacić powinien. Prócz robocizny, stróży, szarwarków, daniny, przedzenia, jaj i kur, jeszcze wieśniak obowiązany jest tyle a tyle gorzałki koniecznie wypić, a jeżeli nie wypije, wszelako musi ją zapłacić. Przeto zawsze w nędzy żyje, zdarty od pana, od ekonoma, od żołnierza, od żyda i od księdza, prócz tego do publicznych należąc jeszcze podatków. To pewna, że nieszczęśliwszej istoty w całej Europie nad chłopą polskiego nie byłoby, gdyby był czułym ¹⁾).

¹⁾ Wolno go sprzedać, zamieniać, darować i zabić. Komecki, dziedzic Wadowa w województwie Krakowskiem za swojego czasu, rozgniewawszy się na swego chłopą, rozka-

„Nie z samych tedy schwytyanych na wojnie składa się chłopstwo dzisiejsze, ale i klasa Ludów *per abusum* w nie się stopiła. Kto nowej religii przyjąć nie chciał, odjęto mu szlacheica prawo, kto się handlem bawił, odjęto, kto szynkował, odjęto, byli jednak wolnymi ludźmi. Królowie także po niemiecku zaczęli nadawać herby i herbownych cudzoziemców naturalizować, przez co ciężka między krajowymi stała się degradacya, bo kto herbu nie pozyskał szlachcicem, teraz nie jest. Komentator Kadłubka ubolewa, że za Mieczysława Starego ze wszystkimi wolnymi ludźmi, po wsiach i miasteczkach mieszkającymi, tak się poczynano obchodzić, jak z chłopami.

„Upłynęło może lat wiele tysięcy, niż Fenikowie litery wynaleźli. Rzymianie rządząc się jak rzeczpospolita, gdy rok mijał, wbijali gwóźdź w ścianę, bo inaczej naznaczyć go nie potrafili. Zdaje się więc, iż niekoniecznie następuje, aby największą część popołstwa trzymać w niewoli dlatego, że pisać nie umieć.

„Srogie wieśniaków wzburzenie się, mianowicie za Renem Bagaudów i la Jaquerie, w Westfalii Jana z Leydy, w Saksonii Tomasza Muntzera (sic), bunt szwajcarski (dziś chwalony przeto, że się udał), bunt Austrii wyższej pod Ferdynandem II i kozacki pod Janem Kaź. nie pochodziły ztąd, że im trochę dano wolności, ale ztąd, że nie dano albo daną odjęto. Więcej krwi kosztowało Rzymianom (sic) uśmierzyć *bellum servile*, niżli Azyę zwalczyć. Tyranowie kilkakrotnie podbili Spartę, ofiarując wolność helotom. Toż prędzej albo później będzie na całej ziemi, gdziekolwiek w bardzo wielkiej liczbie znajdują się uciśnieni niewolnicy i męże odważni, którzy ich prowadzić zechcą. Przez najzupełniejsze wewnętrzne przekonanie jestem główny nieprzyjaciół każdego rządu, każdego prawodawstwa, które się z bardzo wielu składa osób. Nie życzyłbym nigdy wieśnia-

zał własnemu jego synowi aby ojca obiesił, a gdy letko ściśnione mając gardło, spuszczone po tem obieszeniu dał znaki życia, syn wziął trzysta batogów i musiał drugi raz ojca obiesić tak aby się udusił. Jaka kara za to? Żadna. Dopiero Stanisława Augusta prawo pod karą śmierci zabroniło chłopom życie odbierać.

kom do wolności wzdychać politycznej, ale dla powszechnego dobra wolność osób swoich i własność przynajmniej tego, co sobie zarobią, zapewnione mieć powinni. Najważniej podobno w tej mierze sprawują się Wenetowie; wszystko ich szczęśliwym poddanym wolno, ale gdyby który o rządach myśleć i mówić począł, gardło daje. Nie będzie tedy u nich nigdy rewolucyi. Dlaczegoż ich poddani mieliby się porywać? Dlaczego dobry byt i głowę stawiać przeciwko niczemu? Odmiana rządu nie polepszyłaby ich pomyślności. A zaś niewolnik, gdy się porywa, stawia nie albo bardzo mało przeciwko wszystkiemu. Wieśniakom polskim nieby nowego nie potrzeba nadać; dość byłoby to powrócić, co im niesłuszność wydarła.

„4. *Les Franc on traité les Gaulois et les Romains conquis en esclaves.* — Gallowie ¹⁾ i Rzymianie mieli swoich niewolników, którzy za zdobycz dostali się Frankom, a zaś *ingenui, libera capita*, nie poszły w niewolę. Wszelako Frankowie dla swoich biorących tytuł *homines gentiles, id est ex eadem gente (gentils-hommes)*, ustanowili wygodniejsze prawa, niż dla podbitych, zostawiwszy między sobą i niemi nienawistną różnicę. To się ma rozumieć o czasie podboju, bo w dawniejszych najazdach wszystkich zabranych sprzedawano. U starych Gallow takież były *abusus*, o jakich wyżej u siebie wspomnieliśmy. Godny wiary świadek, Cezar, tak o nich mówi: „Dwa tylko ludzie rodzaje poważane są w tym kraju: książę i rycerze, gdyż pospólstwo prawie za niewolników jest miane, nie nie posiada, do żadnej nie wchodzi rady; wielu z nich, gdy są albo podatkami obciążeni, albo długami, albo gdy ich uciskają możniejsi, dla znalezienia ucieczki dobrowolnie zapisują się w niewolą (sie).“

Na tem kończy się pismo Trembeckiego. Jak widzimy, ograniczył on się na skrytykowaniu pierwszych kilku twierdzeń wstępu samego. Treść jakby w środku urwana i brak zwykłego, nieuniknionego gzygzaku na końcu, który podpis

¹⁾ Nie przypominam sobie jasno, czyli się kto wtedy Gallami nazywał, bo Gallowie (brak dwóch wyrazów) *donati* i brali imię Rzymian.

poety charakterystycznie zastępuje, wskazują, że uwagi miały być dalej prowadzone, a tylko nieprzewidziany pospiech skłonił do udzielenia królowi rzeczy niedokończonych.

W każdym razie doprowadzona jest dość daleko, aby okazać nam sposób traktowania kwestyj historycznych i społecznych i rzucić światło na rodzaj erudycyi Trembeckiego.

Sądzę, że ktokolwiek ujrzy tę dziwną mieszaninę prawdy z fantazyą, te bałamutne twierdzenia o wędrownkach narodów i przedhistorycznych dziejach środkowej i północnej Europy, te z naiwną pewnością siebie wypowiedziane herezye etymologiczne i nieprawdopodobieństwa etnograficzne, ten od razu potrafi ocenić i wartość ich i wartość historycznych studyów poety.

Niewdzięczna to robota zdzierać choćby jeden liść z wieńca laurowego jednej z potęg naszych umysłowych; jeżeli mimo to ją podjąłem, jeżeli nadto zamiast cytat kilku przytaczam w całości tak niefortunną elukubrację, czynię to nie tyle dla pocieszenia tych, którzyby ubolewali nad zagubą rękopisemnej 200-arkuszowej owej *Historji* Trembeckiego, ile w imię prawdy, która bądź coby ma swoje prawa i zawsze wkońcu o nie się upomnieć zwykła.

Obejrzyjmy się tedy, jaki wynik całej tej naszej pracy? Jakie ogólne zdanie poweźmiemy o uczoności Trembeckiego?

Historykiem stanowczo nie był. Może na innych polach wiedza jego więcej ma wagi? Jeszcze najbardziej bylibyśmy skłonni uznać jego znajomość literatury łacińskiej, lecz i tu sama pamięć do cytat nie daje jeszcze patentu na filologa, tak, jak odczytanie kilku inskrypcyj nie może służyć za dostateczny dowód biegłości w archeologii. W innych przedmiotach, jak w prawie, lub filozofii, nie mówiąc już o medycynie, jeszcze mniej zostawił śladów swej gruntowności, choć śladów pracy w żadnym podobno nie brak.

Wziąwszy wszystko razem, uczonym w istotnem słowa znaczeniu nazwać go niepodobna. Ale czyż mniej przeto będziemy go cenić? Do gmachu zasłużonej sławy, jaką cieszył się wśród współczesnych, do szacunku, jaki dziś jeszcze mamy dla jego talentu, i który nie ustanie, jak długo język polski istnieć będzie na ziemi, ta jedna cegiełka nie jest konie-

cznie potrzebną. Obejdzie się bez niej, obejdzie bez całego przyboru blichtru i legend ten, który, najsurowiej sądzony i najdokładniej poznany, nigdy nie przestanie być jedną z pierwszorzędnych zdolności poetycznych, jedną z głów najoświecieńszych, jednym z mistrzów słowa w literaturze polskiej.

On więc niewiele stracił; my zaś zyskujemy przekonanie, że szczyząc się nim jako poetą tylko, wymierzamy mu rzetelną sprawiedliwość, że oddajemy nie więcej, ale i nie mniej, jak to, co mu się słusznie należy.

Stanisław Tomkowicz.

LITERATURA POZNAŃSKA

W PIERWSZEJ POŁOWIE BIEŻĄCEGO STULECIA.

(Ciąg dalszy).

V.

Niechaj dowodem tegoż samego spostrzeżenia, niechaj stwierdzeniem prawdy o odzywającej się *wszechstronności* owego życia będzie interes, jaki się odzywa naówczas właśnie, jak nigdy poprzednio, jak nigdy później, pomiędzy uniwersytecką młodzieżą mianowicie i pośród czasopiśmiennictwa poznańskiego dla *nauk filozoficznych*. Zagłębianie się w świat abstrakeyi, Faustowe poszukiwania niedościgniętej, filozoficznej prawdy nie było nigdy właściwością polskiego ducha. Ztąd też to nie może się literatura polska poszczycić imieniem, z któremby się wiązała sława stworzenia osobnego systemu filozoficznego. Grunt polski nie sprzyjał przyjęciu się i wzrostowi filozoficznych nauk. Za *dawnej* Polski przeszkadzał im system jezuickiego wychowania; za *porozbiorowej* Polski nie pozostawiał im czasu gorączkowy stan życia narodowego, codzienna potrzeba liczenia się z jego twardą praktyką. Myśliciele dwóch narodów cywilizowanego świata, które się zdobyły na stworzenie osobnych systemów filozoficznych, Greków

w starożytności, Niemców w czasach nowszych, znajdowali w tradycjach dziejowych swego otoczenia, w okolicznościach zewnętrznych, wśród których żyli, w humanitarnych celach, jakie sobie założyli, owego Sokratesowego, niedostrzegalnego, ale dosłyszanego ducha, który im podszeptował pracę i drogi myśli, darzył zarazem spokojem i równowagą potrzebną do snucia ideałów ogarniających *całą ludzkość*. Inaczej naturalnie działo się i dzieje z narodem wskazanym ciężkimi trudami codziennego położenia na obowiązek ciągłego pamiętania *o sobie*. Gleba polska nie sprzyjała tedy, raz jeszcze, naukom filozoficznym, a literatura polska nie wskazuje osobnego filozoficznego systemu. Uderzającym przecież pozostanie pojawem, pojawem świadczącym dziwnie o rozbudzonej może gorączkowo nieco *w każdej* dziedzinie ducha żywotności polskiej po roku 1831, iż choć na krótko i przemijająco budzi się pośród społeczeństwa polskiego interes dla filozofii i filozoficznych nauk. Dość przypomnieć sobie pod tym względem ówczesną młodzież polską w uniwersytetach niemieckich, owo gorączkowe zajęcie się i przejęcie teoriami Kanta, Fichtego, Schellinga i Hegla, owe dysputy prowadzące często do krwawych zatargów, owo grupowanie się na uniwersytecie berlińskim jednych pod sztandarem wykładającego logikę Arystotelesową Trendelenburga, drugich pod deklamatorskiem przewodnictwem popularyzującego logikę Heglowską Micheleta. Wspominając sobie te czasy, uprzytomniając sobie ich sporyna polu teorii zwodzone, choć dla tego niemniej zacięte, spoglądając na anegdotycznego owej epoki młodzieńca, który w zapale filozoficznym posunął się tak daleko, iż stawiony pod zarzutem zbrodni stanu przed sąd berliński, chciał powagą filozofii Lutra i St. Simona przekonywać trybunał o swej niewinności, przychodzimy wobec *dzisiejszej* dla tego wszystkiego obojętności, do dziwnie Akibowych zastanowień nad znikomością wszelkich spraw i rzeczy ludzkich. Cokolwiekbydz. tedy rodzi się, prawda, iż przez bardzo krótki czas tylko, na podobnym gruncie interes pewnej części przynajmniej społeczeństwa polskiego dla nauk filozoficznych, ale, co dla nas rzeczą główną, zapytajmy sumienia, serca i ducha owej epoki: jakie tenże interes, dostawszy się w *medium* polskie, przybiera kształty? Pojaw

rozzrzuwający i charakterystyczny równocześnie, jak bliżej uzasadnić i wykazać będziemy się starali. Mniejsza, że akademicy berlińscy, wrocławscy czy królewieccy, idąc za chorągwią czy to Gansów, Trendelenburgów i Micheletów, czy Branissów lub Rosenkranzów zwodzą abstrakcyjne spory o pojęcie „*der Ichheit*,” o prawdy czy fałsze skrajnej lewicy czy skrajnej prawicy Hegłowskiej szkoły. Głębsi myśliciele owej epoki, ludzie mający chęć i poczuwający się do zdolności *tworzenia* i *budowania* na tem polu, objawiają siłę i żywotność ducha narodowego przez wyrażającą się w nich wszystkich razem, bez jakiejś zmywy i planu ułożonego z góry, intencją przełómaczenia z natury rzeczy kosmopolitycznej nauki, jaką jest filozofia, na rzecz, cześć i potrzebę *polską*. Systemy filozoficzne znają tylko ludzkość, nie znają narodów. Myśliciele polscy mają przedewszystkiem, a cześć niechaj im za to będzie, na pierwszym planie własny naród; *przezeń* dopiero dążą do rozwiązania wielkich humanitarnych zagadnień. W literaturze polskiej po roku 1831, jeżeli pominiemy ścieśnione i stłumione kleszczami cenzury rosyjskiej próby filozofii katolickiej Eleonory Ziemięckiej *Obraz myśli mojej* lub inne *Studya filozoficzne Floryana Bochorica* pojawiają się naówczas dla swobodnego traktowania przedmiotów treści filozoficznej *dwa* przedewszystkiem ogniska: *emigracya* i *Poznańskie*. Mamy w emigracyi katolickiego filozofa Ludwika Królikowskiego autora *Polski Chrystusowej*, mamy Antoniego Bukatego, mamy wielkiego choć paradoxalnego niekiedy myśliciela w Hoene-Wrońskim, Poznańczyku, nawiasowo powiedziawszy, rodem, obcym Poznańskiemu i miejscowej jego literaturze działalnością naukową. W Poznańskim i jego ówczesnej literaturze streszcza się reprezentacya filozofii i nauk filozoficznych do trzech głównie osobistości: Bronisława Ferdynanda Trentowskiego, Karola Libelta i Augusta Cieszkowskiego. Wiadomy zawód naukowy pierwszego. Wyszedłszy po roku 1831 z kraju, zatrzymał się w Niemczech, oddał się studjom filozoficznym, zyskał następnie, pisząc początkowo po niemiecku, stanowisko docenta w fakultecie filozoficznym uniwersytetu Freiburskiego w Badeńskim. Ruch naukowy i literacki w kraju oddziaływa nań, na obudzenie jego naukowej działalności w kierunku i języku ojczystym

a po roku 1840 widzimy Trentowskiego współpracownikiem czasopism głównie poznańskich, między innemi *Roku* i *Orędownika* razem, tudzież drukującego cały szereg większych dzieł treści filozoficznej w otwierającym naówczas wszystkim objawom ducha i pracy polskiej gościnny przybytek Poznaniu. W *Orędowniku* ogłasza częściowo ustępy swego dzieła *Demonomania czyli Nauka nadziemskiej mądrości*, rzecz, przypominającą raczej treścią i konkluzjami chorobliwą *Jasnovidzącą z Prevostu* Justyna Kernerera, aniżeli studyum będące stwierdzeniem lub wynikiem jakiegobądź problemu filozoficznego. Wdzięczniejszy przedmiot przeznaczył Trentowski dla *Roku*, zamieszczając w nim obszerną rozprawę o Hoene-Wronskim, jako wyrazie polsko-francuzkiego Messyanizmu. Nie zastanawiając się bliżej nad innemi jego, licznemi w czasopismach poznańskich zamieszczonemi pracami, zpośród których studyum w *Roku*: *O stosunku filozofii do religii*, godzące obie, występujące przeciw *hierologii*, jako chorobliwej stronie drugiej, na szczególną zasługuje uwagę, — wspomnijmy i przypomnijmy zapomniane już dzisiaj tak doskonale obszerniejsze jego prace na polu filozoficznym. Rozpoczyna poważny ich szereg wydana w Poznaniu roku 1842 *Chowanna czyli system pedagogiki narodowej*; w tymże samym roku, również w Poznaniu, wychodzi jego *Stosunek filozofii do cybernetyki czyli sztuki rządzenia narodem*; we dwa lata później *Myślini czyli całość sztuki loiki narodowej*, w roku 1845 wreszcie w osobnej książce drukowana poprzednio ustępami w *Orędowniku*, *Demonomania czyli Nauka nadziemskiej mądrości*. Podrzędnej wagi w naszym historycznym szkicu kwestya, o ile Trentowski we wszystkich tych pracach jest samodzielnym, o ile zużytkowuje tylko naukowe zdobytki filozofii niemieckiej, o ile to, co się stara zbudować samodzielnie, wytrzymać może krytykę. Jeżeli *Myślini* otwiera rzeczywiście nowe horyzonty filozoficznej myśli i posuwa naukę dalej, niepodobna nam w *Chowannie* nie widzieć dziwactw i paradoxów, z którychby zapewne ojciec, matka i mąż polski w swojej praktycznej *chowannie* dzieci, w sztuce kierowania domem i rodziną, korzystać nie mogli i nie chcieli. Również schodzi *Stosunek filozofii do cybernetyki* na dość słabą próbę idealizowania monarchiczno-konstytucyjnej formy

rządu, jako Ludwiko-Filipowego *juste-millieu*, pośród niebezpieczeństwa despotyzmu z jednej, anarchii, jaką autor upatruje w republikańskiej formie rządu z drugiej strony. W dodatku zaś, co najlepsza, burzy przecież autor ideał rąk własnych, przypuszczając możność i zastrzegając narodowi prawo wypowiedzenia posłuszeństwa monarsze. Wojujący więc w swej książce zacięcie przeciw republikańskiej anarchii, polemizujący w niej nie bez cierpkości i kwasu z emigracją autor, przychodzi drogą jakiejś dziwacznej konsekwencji do usankcjonowania w swym systemie filozoficzno-politycznym, w rzezypospolitej *Platona swego* autoramentu, czegoś, co z prawem konfederacy i *liberum veto* dawnej Polski w bardzo bliskiem pozostaje pokrewieństwie. Powtarzamy więc raz jeszcze, że system, czyli ściślej powiedziawszy, pomysły filozoficzne Trentowskiego są bardzo różnej a często i bardzo problematycznej wartości. Czego natomiast pozostaną światnem od początku do końca stwierdzeniem, to powyższego spostrzeżenia: o dążności naszych ówczesnych filozofów stworzenia Polsee i narodowi polskiemu osobnego systemu filozoficznego, uczynienia przedmiotu, z natury rzeczy kosmopolitycznego, *narodowym*. Wszystko, czego Trentowski dotknie, wyjąwszy może studyum o *Demomomanii*, nosi, mimo i wśród wszystkich dywagacyj jego często paradoxalnego i niekoniecznie ścisłego w ostatecznych konkluzjach umysłu, wskazaną wyżej cechę. *Myslini*, czyli logika ma być logiką *narodową* w przeciwstawieniu czy uzupełnieniu logiki filozofii greckiej i niemieckiej, z gruntem jakimbądź *narodowym* nie wspólnego nie mającej. Jego *Chowanna* czyli sztukawychowania zwraca się w swych założeniach i konkluzjach do wychowania, do urządzenia domu i rodziny *polskiej*. Jego *Cybernetyka* czyli sztuka rządzenia państwem, jakkolwiek mająca pretensyę być rodzajem kodexu filozoficzno-politycznego dla całej społeczności ucywilizowanego świata, zwraca się mimowolnie, mimowiednie może nawet, tak dalece za każdym krokiem do stosunków i rzeczy narodowych, że nie uważa nawet za rzecz niegodną traktatu tak wysoce filozoficznej treści, wchodzić w polemikę z emigracją, zarzucać jej, że mimo tyle i tak głośnej roboty piórem, ustami i propagandą polityczną, nie zdołała stworzyć Polsee ani znakomitego wodza,

ani wielkiego męża stanu... Tyle o Trentowskim, głośniejszym w epoce, której szkic niniejszem skreślamy i widoczniejszym w czasopiśmiennictwie poznańskim, aniżeli w jakiegobądź innej części kraju, aniżeli pośród jakiegobądź innego odłamu tyle rozrzuconej na wszystkie strony wówczas społeczności polskiej... Tenżesam pojawia uderza nas w drugim z trzech wspomnianych wyżej, reprezentujących naówczas w Poznańskim literaturę i nauki filozoficzne mężów, znanym nam już jako publicyście, obywatelu, profesorze *Karolu Libelcie*. Wolnoż wypowiedzieć tutaj przekonanie, że Libelt publicysta, obywatel i niezrównany popularyzator nauki zdaje nam się przewyższać Libelta jako męża nauki, że Libelt w swej *Dziewicy Orleańskiej*, w swej *Estetyce czyli umnictwie pięknem* nie jest zupełnie oryginalnym, że zaś najważniejsze, najobszerniejsze i najsamodzielniejsze z wszystkich dzieł jego, wydana w Poznaniu r. 1845 *Filozofia i Krytyka*, wychodząc, jak sam powiada, z podstawy zdobytej przez filozofię niemiecką, po jej barkach dopiero, jeżeli tak wolno powiedzieć, sięga do wyższych szczytów rozwoju myśli filozoficznej? „Filozofia rozumu,“ mówi Libelt, „nasamprzód się pojawiła światu i począwszy od filozofii greckiej, przez średnie wieki i nowsze czasy aż do Hegla, uprawiana była sama niwa rozumowa. Nie dziwny się, że dwa tysiące lat było tej pracy. Jak w niezmierzoności światów, światło promienne, ubiegające czterdzieści tysięcy mil na sekundę, potrzebuje tysiąc lat, aby z oddalonych słońce do nas doszło; tak w niezmierzonej mądrości Boga, której odbłask w rozumie ludzkim płonie, nieskończone są granice tego światła i *eoony* lat, ani ludzkość cała wyczerpnąć go nie potrafią. Filozofia kształtów i czynów nie wylania się zatem z objęć rozumu, ani przestaje rozświecać jego okolice, bo tylko o świetle jego pochodni potrafi dalej kroczyć, bezeń nie widziałyby nie przed sobą i nie poznawała nie. Filozofia nowa, nie przestając być filozofią! rozumu, wypiera się tylko jego jednostronności; zaprzecza dotychczasowej filozofii niemieckiej, aby duch był *samą* tylko potęgą rozumu, a *samo* myślenie całą jego wypełniało istotę; twierdzi, że wyobrażenia i wola różnorodnemi i równowładnemi są potęgami duchowymi i że, jak dotąd była filozofia rozumu tak być powinna także filo-

zofia wyobraźni i filozofia woli.“ Owa „*filozofia wyobraźni*“ jest tedy w systemie krytyczno-filozoficznym Libelta nowym szczeblem postępu nauki filozoficznej, nowym jej zdobytkiem, sięgającym po za granice „*filozofii rozumu*“ Hegla, ale, co więcej, a w *tem* właśnie streszcza się główna myśl *polskiego* badacza, jest zdobytkiem *myśli narodowej polskiej*, znamionującej nim obecność swą na polu filozoficznym. Libelt nazwawszy z góry swą *Filozofię i Krytykę* „częścią organicznie, częścią krytycznie opracowanemi pomysłami do filozofii słowiańskiej a w szczególności polskiej“, „przychodzi do następnego zdania, nie pozostawiającego żadnej wątpliwości co do ostatecznych jego filozoficznych konkluzyj: „Formy pierwotne są oczom światem niewidzialnym, który najprzód pracą wyobraźni ludowej staje się widzialnym i przechodzi w formy pochodne. Umiejętne i doskonalsze tego świata kształty rozwinęły się przez oświatę w późniejszych wiekach, ale rozwinęły się z form ludowych i po dziś dzień to życie pracowne młodzieńczej zawsze wyobraźni ludowej, nieustającą jest form pochodną krynicą. Masy ludu są jak gór pokłady, w których się nieustannie czyste źródła tworzą a z nich dopiero nabierają wód strumienie oświaty, zanim się szerokim potokiem po narodach wyleją. Uderzyło niejednego, żeśmy początki filozofii a raczej jej pierwiastki do pojęć i wyobrażeń ludu odnosili. Na tem miejscu pokazuje się tego twierdzenia naszego prawdziwość. Filozofia jest także tylko jedną z form pochodnych a jako taka nie może mieć swego źródła indziej, jak w umysłowości ludu. Kto przyjmuje to źródło filozofii, musi zarazem przyjąć narodowy charakter filozofii. Ale nie dla tego filozofia jest narodową, że raz u tego, drugi raz u innego uprawianą jest narodu, niby rzeka, która wody swoje z jednego kraju w drugi przenosi, nie mająca z narodowością tych krain nie wspólnego, tak podobno pojmowano filozofię grecką, germańską itd., lecz dla tego, że filozofia, przechodząc od narodu do narodu, ujmuje się w pierwiastki pojęć jego ludowych, które właśnie do nowego jej stanowiska przystają. Ideal prawdy (idea Hegłowska), będący formą pierwotną, staje się w tej obłoczy narodowej formą pochodną i nie będzie nigdy samym *absolutem*, samym duchem bezwzględnym, jak u Hegla, ale zawsze względnością, zawsze ludzko-

ścią a nigdy bóstwem. Widzimy tu wyraźnie, że właśnie ta obłocz narodowa przedziela filozofię naszą umniczą od panteizmu Heglowskiego. Powiedziano w ocenieniu pierwszej części *Filozofii i Krytyki*, że wyobrażenia ludowe wszędzie są te same a zatem z nich różnica pierwiastków filozoficznych wypłynąć nie może. Lecz kto przypuszcza różnicę plemienną ludów, musi przypuścić różne narodowości; a że narodowość nadaje charakter, piętno, koloryt wszystkim jednego narodu wyrobom ducha, więc i wyroby myśli i wyobraźni jego muszą nosić na sobie osobne piętno, następnie narodowo się wyróżniać i dawać możność narodowych pierwiastków filozofii. Kto utrzymuje, że wyobrażenia ludowe wszędzie są te same, znosi między ludami narodowość, wyłącza nieumiejętne massy ludu od społeczeństwa, naród stanowiącego, uważa je za jednorodną masę a samą chyba oświatę pewnego kraju bierze za naród i tylko te cząstki oświecone jako różne narody pojmuje. Przed krytyką utrzymywanie takie się nie ostoi. Nasze zdanie jest zupełnie tamtemu przeciwne. Tylko w massach ludowych widzimy rzeczywiste, plemienne, narodowe ich różnice a w oświeconych klasach niejaka już tych narodowości amalgamację i zacieranie się znamion plemiennonarodowych. Narodowość leży naprzód w plemienności a potem dopiero w oświecie. Narodowość plemienna w ludzie jest więc żywsza, płodniejsza, wyrazistsza, niżeli w oświeconiejszych klasach, z czego wypada, że i w pojęciach i wyobrażeniach jego musi być wyraziste, żywe i płodne tejsze narodowości znamię. A gdy tak jest, muszą znajdować się w ludzie pierwiastki narodowe wszystkich form pochodnych a temsamem i narodowej filozofii..." Myśl tę, stanowiącą konkluzję *Filozofii i Krytyki*, rozprowadza Libelt i uzasadnia bliżej w studyum potraconem już przez nas wyżej, noszącem tytuł *Charakterystyka filozofii słowiańskiej*. W rozprawie tej przeoczy autor, aby *filozofia* miała zawsze i wszędzie charakter kosmopolityczny, aby nie mogła być narodową, ponieważ każdy naród odpowiednio do swych dziejowych, klimatycznych, temperamentowych, sercowych i umysłowych warunków, inaczej sobie wyobraża prawdę i rozmaitemi do odkrycia jej i zbadań dąży drogami. Jeżeli u Greków jedną z owych dróg jest rozum połączony z wyobraźnią, jeżeli u Niemców jest nią wy-

łącznie rozum, staje się nią u narodów słowiańskich, przede wszystkim zaś u polskiego, w naczelnym i pierwszym rzędzie *głęboka uczuciowość*. „Mickiewicz twierdzi,“ pisze Libelt, „że co dzisiaj tradycję słowiańską czyni najbardziej szacowną, to, że pozostała nieskażoną, kiedy inne fałszowano ciągle. Słowianie zachowali czystą tradycję pierwotną, prostackie uczucie Boga i świętego składu tego nie roztrwonili na zdróżne roboty imaginacy i rozumu, nie popuścili zbyt cugli tym władzom.“ Nie można nie przyznać słuszności tym spostrzeżeniom, ogłaszanym z katedry paryskiej i oraz nie przekonać się, że wśród ludu naszego najczystsze, pierwotne, narodowe znajduje się pojęcie praw duchowych, na których tle rozwinąć się musi polska filozofia. Dość spojrzeć i nam uczonym w siebie, cośmy zarody tego narodowego pierwiastku zaczerpnęli w młodziuchnych latach niewinności naszej, od piastunek, służebnych i współkolegów, bliżej ludu stojących; dość choć krótkiego pobytu wśród ludu, aby się i o tej prawdzie przekonać, którą także Mickiewicz w drugoletnim kursie rozwinął, że głównym dogmatem, na którym polega narodowość polska szczególnie a w ogólności narodowość słowiańska, jest wiara w ciągle działanie świata niewidomego na widomy. Lud nasz przechowuje u siebie wiarę w bezpośredni stosunek świata ziemskiego ze światem duchów, które go jako opiekuńcze istoty otaczają. I kto tę wiarę wyssał z mlekiem, temu żadna mądrość świata z serca jej nie wytrafi. Sam ją stokroć odpychać będzie jako niezgodną z rozumem, ale stokroć znowu ona się w głębi jego ducha odezwie.“ Choćby wystawiając się na niebezpieczeństwo przedłużenia może nieco naszego szkicu po nad przeznaczone mu początkowo rozmiary, w przeświadczeniu przeciw konieczności przedstawienia postaci Libelta jako filozofa narodowego w całej pełni należnego mu światła, przytoczmy jeszcze jego *de'alogon*, jak go sam nazywa, „przyszłej filozofii słowiańskiej, wypływający z pierwszego głównego przykazania, to jest wiary w bezpośredni związek widomego i niewidomego świata.“

Filozofii słowiańskiej znamiona będą następujące:

1. Pierwiastek jej nie musi zrywać tej jedności świata widocznego ze światem niewidomym, ale i owszem położyć ten związek dwóch światów za zasadę.

2. Musi odrzucić samowładztwo rozumu i na równi z nim położyć wewnętrzne bezpośrednio pochwycenie prawdy, mocą bezpośredniego związku z duchem wiekuistym.
3. Musi duchowym pojawom swoim dać wyobrażalność, to jest pojmnować ducha jako ukształtowaną indywidualność, jako osobę.
4. Istotą ducha musi być żywot — czyn — rzeczywistość.
5. Wszelki *dualizm*, jako taki, zniesiony. Złe ustępuje przed dobrem, ciemność przed światłem. Ród ludzki, wyniesiony do godności i szczęśliwości przez urzeczywisczenie piękna, prawdy i dobra w świecie rzeczywistym. Natura zholdowana i uszlachetniona przez ducha ludzkiego.
6. Wszelkie dobro materyalne pochodzi od Boga, nie od ludzi. W tem leży uszlachetnienie materji oraz przeobrażenie własności prywatnej na lennictwo boskie, które przejął ród ludzki. Zaslugami nie tylko pracy, ale i żywota nabywa człowiek prawa do tej lenności.
7. Braterstwo wszystkich członków narodu polega na jedności myśli Boskiej, którą naród, jako osobna narodowość, reprezentuje; równość społeczna czyli hierarchia, na możności zasług pojedynczych osób w realizowaniu owej myśli.
8. Władza jestto myśl Boża, uosobiona, by mogła być twórczą, wyjść z siebie i urzeczywisczać się. Naród jest wieloną wiedzą Bożą, zatem najwyższą i jedyną władzą i tę władzę przelewa na jednostki wola swoją. Jednostki władzy są czynownicy woli Bożej, najwzszą jednostką, najwyższym czynnikiem. Niema innego charakteru władzy nad wykonawczość myśli Bożej czyli posłannictwa narodowego. Ponieważ ta myśl Boża dysze w każdym członku narodu, ztąd uległość władzy naturalna i oburzenie konieczne, gdy władza nie działa w myśli Bożej.
9. Religia Chrystusa, stawiająca świat widomy w bezpośrednim stosunku ze światem niewidomym a bliżej religia katolicka zniżająca samowładztwo rozumu, przypuszczająca obok niego wewnętrzny, bezpośredni pogląd ducha, jest religią słowiańską. Wszakże będzie to religia

w zgodzie z filozofią a więc religia postępu, temsamem różna od dotychczasowego, na opokę stwardłego katolicyzmu.

10. Umiejętność a w szczególności filozofia była dotąd *scholastyczna*, to jest, że nie wyszła po za szkołę; odtąd powinna być *popularną*, t. j. ludową, kojarząc się myślą Bożą, która jest w ludzie i rozwijając takową przez czyn. Od czynu, od wielkiego czynu zacząć się musi filozofia słowiańska.“

Otóż wyznanie wiary filozoficznej Libelta, otóż warunki istnienia, otóż przyszłościowe zdobytki filozofii polsko-słowiańskiej. Czegóż zaś dowodzi, czegoż jest stwierdzeniem ze względu na tezę postawioną przez nas z początku niniejszego rozdziału? Otóż, że szlachetny ten umysł, że zacne to serce na całym obszarze swych prac i pomysłów filozoficznych, czy to odzywając się z katedry prelekcyjnej, czy to kreśląc *Filozofię i Krytykę*, czy mówiąc o sztuce w *Estetyce czyli Umiejętności pięknej*, czy wznosząc podwaliny przyszłej filozofii słowiańskiej w *Charakterystyce filozofii słowiańskiej*, czy rzucając w r. 1847 z po za krat więzienia na Moabie publiczności polskiej swą *Dziewicę Orleańską*, ma wiecznie przytomnem i obecnem oku, sercu i myśli swojej to, co jest dlań ideałem w pomnikowej rozprawie *O miłości Ojczyzny...*

Wspomnieliśmy jako trzeciego z rzędu w szeregu reprezentantów filozoficznej literatury owej epoki, jedynie z nich wszystkich do dziś dnia żyjącego *Augusta Cieszkowskiego*. Gdyby wartość jakiegobądź pisarza nie zależała od tego, co napisał, lecz ile napisał, zajmowałby August Cieszkowski szczupłe bardzo w annałach *naszej* literatury miejsce. Przed przybyciem w Poznańskie, przed osiedleniem się tamże, stał się głośnym w uczonym świecie jako autor wspomnianego już wyżej przez nas, znakomitego dzieła ekonomiczno-politycznego w języku francuskim *Du crédit et de la circulation*, jako autor dalej historyzoficznych *Prolegomenów* w języku niemieckim. W literaturze ojezystej świeci tylko jako autor fragmentu *Ojczyzna nasza*, wydanego po raz pierwszy w r. 1848, następnie jako autor rozprawy *O drogach ducha* w *Rocznikach Towarzystwa Przyjaciół Nauk Poznańskiego*. A przecież ten fragment właśnie zaręcza mu w literaturze filozofii

czno-narodowej stanowisko niespożytego znaczenia, jak zaręcza niespożytą sławę nieznanemu z imienia mistrzowi wspinały posąg Venus Milo, choćby nawet w swem okaleczeniu. Co zarazem uderza i zastanawia w *Ojcie nasz*, to dziwna jego, chyba mistyczna, nieodgadnioną spójnią pokrewnych duchów dająca się wytłómaczyć harmonia jego z pomysłami i dążnościami obu poprzednich filozofów narodowych. Trentowski stanowi jakoby ich pierwszy szczebel, drugim jest Libelt; kopułą ich i uwieńczeniem Cieszkowski w swoim *Ojcie nasz*. Jak już zauważyliśmy wyżej, wysnuwa autor z codziennej modlitwy całego chrześcijańskiego świata wspaniały system historyozoficzny, który zastanawiając się nad charakterem i znaczeniem przebieżonej dotychczas przez ludzkość w dziejowym jej pochodzie przestrzeni, który rozpatrując się w jej walkach, kłopotach i nędzach a stwierdzając prawdę dotychczasowego *niespełnienia* się jeszcze ostatnich próśb owej modlitwy „o przyjście Królestwa Bożego na ziemię i spełnienie na niej Bożej woli,” ma tę niezmierną w porównaniu z dotychczasowymi systemami historyozoficznymi zasługę, iż nie zatrzymując się na *przeszłości*, wydobywa z niej poglądy daleko sięgające w *przyszłość*. Charakterystyczna ta różnica systemu historyozoficznego naszego Emersona, jak go Mickiewicz nazywał z wysokości katedry paryskiej, uderzyła między innymi świeżo jeszcze teraz jednego z najświetniejszych obecnie publicystów niemieckich Konstantego Frantza, w znakomitem pod wielu względami dziele *O Federalizmie jako przewodniej zasadzie polityki*. Gdzież przecież i w czym, zapytalibyśmy, upatruje autor rozwiązanie problemu przeszłości ludzkiej, gdzie, w czym i w kim szuka rękojmi urzeczywistnienia „*Królestwa Bożego*,” „*woli Twojej*,” owego filozoficznego *bożostanu* na ziemi? W odpowiedzi na to zapytanie sięga autor, jakoby w skromności narodowej sromającej się rzucić światu w oczy własną, apodyktycznie sformułowaną prawdą, po znaczące, charakterystyczne w niemieckim myślicielu orzeczenie Herdera w jego pięknych *Ideen zur Philosophie der Geschichte der Menschheit*, o owej dysharmonii obszaru terytorialnego zajmowanego przez Słowian, z obozem wypełnionym dotąd przez nich w dziejach kultury i rozwoju świata, wraz z przepowiednią, że dzięki spoczywającym na dnie ich

duszy przymiotni, czekają jeszcze na niespełnione przez się
 dziejowe zadanie. Zbrojny w przymierze niemieckiego myśli-
 ciela, przychodzi Cieszkowski pod koniec swojego *Ojciec nasz*
 do szczytnie sformułowanej konkluzji, iż Opatrzność dziejowa
Słowian właśnie obierze sobie za wykonawców swoich przy-
 szłych względem ludzkości zamiarów, że *im* dostanie się
 chwala być pośrednikami owego spełnienia „*Twojej woli*” i
 „*przyjścia Królestwa Twojego*” na ziemię. Na tem urywa się
 i kończy *Ojciec nasz*, pozostawiając żal, iż wielki rzucony
 problem czeka napróżno dotąd uzasadnienia i rozprowadze-
 nia, nie pozbawiając nas przecież nadziei, że autor znajdzie
 jeszcze dość sił, czasu i dobrej woli, by dopowiedzieć osta-
 tnie słowo tak świetnie, tak zaciekawiająco rozpoczętej te-
 zy... W zestawieniu z Trentowskim i Libeltem, jakąż nam,
 pytamy dalej, *Ojciec nasz* przedstawia harmonijną całość?
Trentowski radby tworzyć system filozoficzny dla narodu pol-
 skiego; *Libelt* widzi warunki stworzenia podobnego systemu
 filozofii narodowej w ludzie polskim, jako w bogatej kopalni
 zawierającej nieprzebrane a nietknięte dotąd pokłady dro-
 giego kruszeu; *Cieszkowski* wznosi nowy system historyozo-
 ficzny, w którym się wienącąc i kopułowc, jak powiedzie-
 liśmy wyżej, świetna i szczytna rola ziemskiego zbawienia
 ludzkości ma spełnić przez lud słowiański i polski. Wywią-
 zując się niniejszem wyłącznie z zadania sprawozdawcy hi-
 storycznego, charakteryzujemy tylko i skreślamy w *zewnątrz-
 nych* objawach i dążeniach pomniki ówczesnej działalności
 literackiej na polu filozoficznem, nie zapuszczając się, nie
 mając powodu zapuszczania się w ich wartość ze stanowiska
 filozoficznej krytyki. Systemy filozoficzne są, jeśliby przyszło
 dać ich definicyę, drogociekami wzniesionemi przez ludzi
 wzniosłego umysłu i serea w dążeniu do prawdy, w dzie-
 dzinie sztuki myślenia z jednej, w dziedzinie chęci uszczę-
 śliwienia ludzkości z drugiej strony. Że *prawda* zdo-
 bywana w podobnym pochodzie częściowc, nie będzie nią
 do końca dziejów ludzkości *całkowicie* nigdy, najlepszym
 dowodem ilość i *rozmaitość* systemów filozoficznych. Czy więc
 trzech wspomnianych wyżej, występujących w epoce naszego
 opowiadania na widowni poznańskiej ku niespożytemu jej
 zaszczytowi myślicieli narodowych, zdobyło poszukiwaną

prawdę, czy zdobyło część jej przynajmniej, nie naszą rzeczą rozstrzygać. Co natomiast pozostanie pewnikiem, co pozostanie ich cześcią a zasługą całego usposobienia, całego charakteru ówczesnej chwili, to, że w tak kosmopolitycznej nappozór dziedzinie, jaką przedstawia filozofia, dopatrzyli mimowolnie, mimowiednie może nawet, siłą nieprzewyciężonej moralnej konieczności, obowiązku i sposobności razem oddania czci: własnej *idei narodowej*. Raz jeszcze: cześć im za to! Byli w gronie uczonych i filozofów reszty świata, jak owi żołnierze polscy, którym się Francuzi patrząc na błoto, słomiane chaty, mosty i drogi polskie, wydziwić nie mogli: zkaąd taki kraj kochać, zkaąd zań daleko, aż tam gdzieś nad Renem, Dunajem i Padem, ubijać się i ginać można. Legionista polski odpowiedział Francuzowi po Galileuszowemu: *A przecież ten kraj kocham!* Filozofia polska owej epoki, znajdujaca przybytek w Poznańskim, odpowiada również przez usta Trentowskiego, Libelta, Cieszkowskiego całemu szeregowi swych kosmopolitycznych siostrzyc: *Szukam ideału straconej ojczyzny!*

(Dokończenie nastąpi).

Seweryn Przerowa.

JULIAN KLACZKO.

WIECZORY FLORENCKIE.

III.

Dante i Katolicyzm.

Ksiązę Silvio Canterani nie zawsze był takim zakutym antykwaryuszem i *pedantem*, za jakiego rad się udawał przed ludźmi. Starsi pamiętali go doskonale młodym i świetnym dyplomata przy poselstwie neapolitańskim w Wiedniu — (był bowiem dwukrajowym obywatelem Państwa Kościelnego i Obojga Sycylii) — i pamiętali, jak w różnych stolicach europejskich, gdzie po kolei przebywał, poszukiwanym był i lubionym za swój rozum, dowcip i wytworne obejście. Wysłany do Wiednia około roku 1844 w stopniu sekretarza legacyi, szybko i łatwo zjednał sobie łaski wielkiego świata austriackiej stolicy, a tak umiał podobać się staremu księciu Kancelarzowi, że stał się codziennym poufałym gościem w pałacu na *Ballplatz*. I tam też, w sławnym salonie księżnej Metternich, poznał młody dyplomata piękną Olgę Galajeff, która niebawem została jego żoną. Opinia wielkiego świata uznała ten związek za doskonale dobrany pod względem majątku i to-

warzyskiego położenia; co się zaś tyczy religii, to książęta Gałajeff należeli do małej liczby tych rodzin magnackich w Rosyi, które w początkach naszego wieku, pod wpływem pewnego utajonego, ale dość w Petersburgu znaczącego kółka, przeszły były na wiarę katolicką. Prawda, że rodziny te nie śmiały zbyt otwarcie występować ze swoim wyznaniem, a pod podejrziwym rządem Mikołaja musiały nawet podwajać ostrożność i osłaniać się tajemnicą. Możliwość zaś jawnego i głośnego wyznawania wiary, z którą dotąd tać się musiała, nie była dla Olgi Gałajeff najmniej pożądanym z tych względów, które ją do małżeństwa z rzymskim książęciem skłoniły.

Zamieszkawszy pod koniec roku 1845 w tym wspaniałym pałacu Canterani na *Piazza Santi Martiri*, który w przewodnikach podróży Baedekera i Murraya polecony jest szczególnej uwadze zwiedzających wieczne miasto cudzoziemców, księżna Olga doznała w Rzymie takiego przyjęcia, na jakie zasługiwała swoją pięknoscia, wdziękiem i swoim już podówczas wiadomem przywiązaniem do zasad religijnych, a salon jej stał się niebawem wcale znaczącem centrum ówczesnego kółka *zelantów*. Kardynał Lambruschini w samych zaraz początkach jej pobytu w Rzymie przyczepił młodej księżnie przydomek *matki Kościoła*, a w przydomku było przynajmniej tyle trafnej przenikliwości, ile złośliwości. Z tym skorym popędem i z tym brakiem równowagi, który tak często daje się widzieć w słowiańskich naturach i wyobraźniach, księżna, zaledwo stanęła nogą na poświęconej ziemi Rzymu, zajęła się wielkim, namiętnym, rozpłomienionym zapalem dla wszystkich spraw Kościoła i wiary. Wypadki, które rychło potem nastąpiły, przemiany i wstrząśnienia pierwszych kilku lat pontyfikatu Piusa IX, musiały oczywiście podnieść jeszcze ten zapal i tę zarliwość. Księżna Canterani, tę sprawiedliwość oddać jej należy, mało się zajmowała stroną polityczną tej restauracyi, która się rozpoczęła z powrotem Papieża z Gaety; dyplomatyczne intrygi, walki, jakie o wpływ swój prowadziły na dworze rzymskim różne dwory zagraniczne, tak, jak i wszystkie usiłowania i prace restauracyjne skupione w ręku zręcznego kardynała sekretarza Stanu, to wszystko obchodziło ją bardzo mało. Za to ten ruch teologiczny, który się wówczas poczynił i rozwijał około,

a niebawem i w samym środku Watykanu, i który dążył z roztropną i umiarkowaną ale niezłomną stanowczością do ogłoszenia pewnych dogmatów, do zastąpienia tu i owdzie liturgii miejscowych, odmiennych, jednostajną liturgią rzymską, do przywrócenia dawnej katolickiej hierarchii w krajach protestanckich, ten ruch, te przedsięwzięcia i prace miały ten przywilej, że gorliwość księżnej rozpalaly do najwyższej exaltacyi. Stopniowo i z czasem wyniosły się żywioły światowe i świeckie z salonów na *Piazza Santi Martiri*, a miejsce ich zajęli wyłącznie duchowni, kardynałowie, *monsignori*, generałowie zakonów, legaci, ablegaci, protonotaryusze i missyonarze apostołscy. Monsignor H..., potomek wielkiej a odwieczną gorliwością swoją w katolickiej wierze sławnej angielskiej rodziny, nazywał żartobliwie salon księżnej Cantarani Soborem *ont of session*. W szlachetnym zapale dla sprawy, która z każdym dniem droższą się jej stawała, nie ułękła się piękna zelantka żadnej pracy i przed żadną nie cofnęła: wzięła się do nauki odważnie i wytrwale, zatopiła się w *Summie* Śgo Tomasza, w Ojcach Kościoła i w ważniejszych przynajmniej dziełach kontrowersyjnej treści. Do znajomych sobie, a w Petersburgu wiele znaczących osób, wysyłała od czasu do czasu sążniste korespondencje, pełne niezwykłych argumentów przeciw błędom Focjusza, a niektórzy szczęśliwi, uprzywilejowani i wybrani, w Rzymie czy po za Rzymem, otrzymali nawet z jej rąk po egzemplarzu przesłanie wydawnego, a do księgarskiego handlu nie przeznaczonego dzieła, któremu dała tytuł: „*Stosunek Buddyzmu do Wiary świętej katolickiego Kościoła*.”

Książę Silvio zrazu nie sobie nie robił z przestrogi mniej lub więcej miłosiernej kardynała Lambruschini; zapal młodej żony do teologii wydawał mu się nieznaczącą kobiecą fantazją, przemijającą naturalnie, a lepszą bez porównania od wszystkich błahych zajęć, jakimi zazwyczaj zabijają czas damy rzymskie. A kiedy wreszcie spostrzegł się, że ta fantazya miała swoje złe strony i skutki, przekonał się zarazem, że stała się ona już namiętnością głęboką, wyłączną, głuchą na wszelkie przedstawienia, gotową zawsze do walki i do „męczeństwa.“ Nie chciał wyzywać nieba i ustąpił miejsca teologii: a tymczasem śmierć jedyne, czule kochanego dzie-

eka, zerwała ostatnie węzły wspólnych uczuć między małżonkami i każde odtąd poszło w swoją stronę. Księżę zbyt szanował przekonania żony, o których szczerości przeświadczony był zupełnie, iżby miał prowadzić z niemi walkę głuchą, podjazdową, obojga niegodną; zbyt dbał o swoją własną godność na to, by ludzi miał przypuszczać do tajemnic swoich domowych zmartwień; na szukanie pociechy w pospolitych rozrywkach był za poważny, za stateczny; o tem więc tylko myślał, jak stworzyć sobie zatrudnienie zdolne zająć zupełnie jego umysł, a nie wystawić na szwank jego honoru. W ogromnym pałacu swoich przodków nie miał ani domowego ogniska, ani światowego salonu, ale miał zawsze bibliotekę, „pogańską“ wprawdzie, ale bardzo wyborową i bardzo bogatą, i w tej się więc zamknął. Otworzywszy przypadkiem Eschyla czy Tucydidesa, przekonał się o prawdzie, której przedtem nie był dostrzegł, mianowicie, że Ojcowie Jezuici mieli swoje zalety, i że ich metoda nauczania, choć tak okrzyczana i tak niby przestarzała, zostawiała w głowie ucznia fundament niewzruszony i zapas obfity znajomości literatur klasycznych. Dzięki pierwotnemu wychowaniu, które u Ojców odebrał, księżę bez wielkiego trudu i w czasie stosunkowo bardzo krótkim, przyswoił sobie zupełnie i doskonale język łaciński i grecki, a studia starożytności stały się odtąd jego pociechą w domu i jego osłoną przed ludźmi. Z tem delikatnem uczuciem dusz szlachetnych, które smutki swoje lubią ukrywać przed okiem świata, księżę robił co mógł, żeby tym oczom ciekawym zasłonić prawdę swoich domowych stosunków. On miał swoją manię starożytności, żona miała swoją teologiczną żarliwość, jedno stawalo za drugie i jedno drugie równoważyło, i małżeństwo wydawało się zgodnem i dobranem w dwojakiej, ale równej sobie excentryczności. A świat znowu nie jest tak zły, jak się zdaje, odplaca nam zwykle trudy podjęte dla uniknienia jego obmowy, i wspomniałomyślnie przestaje się nami zajmować. I tak też zachował się względem *casa Canterani*. Pozory dały się zachować najściślej aż do końca; bo kiedy po wejściu wojsk Wiktora Emanuela do Rzymu księżę Silvio postanowił przesiadywać naprzemian w Neapolu i we Florencyi, księżna wprawdzie uznała za swój obowiązek protestować obecnością swoją przeciw uzur-

pacyi i uzurpatorom, i zostać na wylomie, zrobionym koło Porta Pia 20go września 1870, ale przyznawała pierwsza, że mąż nie miał w tej mierze takich samych jak ona zobowiązań, jakoteż i to, że lepiej dla niego usunąć się z góry od wszelkiego zetknięcia z nowym rządem, zetknięcia, które musiało być nieprzyjemnem, a mogłoby być źle rozumianem i tłómaczonem.

W willi Albani, w tem towarzystwie sympatycznem, które go tam otaczało, książę nie wyrzekał się bynajmniej swoich od lat dwudziestu z górą powziętych zwyczajów, i nieraz wystawiał się na przyjacielskie żarty hrabiny swojemi cytacyami z autorów starożytnych, i natarczywością (*dolce mania*, jak sam mawiał), z jaką chciał koniecznie uczyć ją po grecku. Zaręczał jej przy każdej sposobności, że to jedyna perla, której brakło jeszcze w koronie jej doskonałości. Hrabina zresztą wiedziała (tak, jak i jej goście) i nieraz przekonać się miała sposobność, że w swoim długiem odosobnieniu książę nie zamykał się wcale w sferze samych tylko nauk klasycznych; uwagi, które tu i owdzie przy okazji wtrącał, dowodziły aż nadto widocznie, że ani historia, ani filozofia, ani sztuka, obcą mu nie była, i że rozmyślać musiał wiele i głęboko nad niejednem zagadnieniem życia. Do rozmów wieczornych przecież do tej pory mieszał się mało i chyba tylko przypadkiem; ostrożnie zawsze, i jakby niechętnie, z oporem; zdziwienie też było niemałe na widok, że kiedy go *padrona di casa* wezwała, on nie wymawiając się wiele, przyjął pierwszą rolę w zapowiedzianej na wieczór następny dyskusyi. Było też w całym tem gronie niezwykle a niezupełnie ukryte poraszenie ciekawości, kiedy nazajutrz wieczorem, o zwykłej godzinie, Hrabina, ukończywszy zaledwo jaki *prélude* Chopina, odegrany z wykwintnym wdziękiem i uczuciem, odezwiała się do niego głosem, w którym było dużo pieśczołiwej zachęty, ale był i rozkaz.

— Mości książę:

seocca

l'arco del dir, che insino al ferro hai tratto ¹⁾.

¹⁾

Puszczaj łuk mowy,

Coś go już napiął po żeleźce same.

Purgat XXV. 17. 18.

Księżę Silvio. Nie sztuka już teraz dobrze tym „łukiem mowy“ wymierzyć i trafić w sedno, kiedy poprzednie, tyle nauczające rozmowy, oświeciły cel i ze wszech stron zatoczyły obwód około tego punktu środkowego. Przesunęli się dotąd przed naszymi oczyma różni ludzie w tym samym zawsze jednym Alighierim, ale żaden w istocie nie wytłómaczył nam jeszcze zagadki tego tajemniczego a bolesnego pomieszania, tego uczucia dręczącego jakiegoś a przecież przykuwającego uroku, jak się Pani dobrze wyraziłaś, w jakie wprawia nas zawsze to wielkie imię i ta groźna postać Dantego. Jego osobiste cierpienia i jego smutne losy jako obywatela, z pewnością nie dochodzą miary nieszczęść Tassa, Milтона lub Cervantesa. Jego natechnienie było wyjątkowem, szczęśliwem, jak mało które na świecie, pod względem równej zawsze siły i pewności; nie zna on tych zapasów śmiertelnych między *alta fantasia* i *possa*, w których szamotał się geniusz Michała Anioła, u niego myśl nie uderza się nigdy skrzydłami o formę czy o materię twardą i nieużytą. To wszystko wiemy; a do tego jeszcze dyskusya bardzo wyczerpująca, wykazała nam jasno, ile jest prawdy, a ile zmyślenia w cierpieniach miłosnych autora *Boskiej Komedyi*. Mając to wszystko, możemy już poprzestać na jednym tylko, i wziąć pod śledztwo człowieka duchowego w Alighierim, człowieka myśli i wiary, żeby dojść wreszcie, jeżeli to niepodobnem nie jest, do ostatniego słowa tej zagadki, tego przeznaczenia i życia atetycznego, jak żadne może na świecie. Czy słowo to, czy tajemnica tragedyi Dantego, nie znajdzie się czasem w jego religijnym lub politycznym ideale, w pojęciu, jakie miał *de Civitate Dei*, albo o ziemskim ludzkim społeczeństwie? w zaprzeczeniu straszliwem jakiego doznał ten ideał czy to pojęcie, od współczesnego świata, lub od tego, który nastał później? Oto, co z łaskawem pozwoleniem spróbuję teraz roztrząsać.

Śmiało i bez wielkich trudności przystępuję do strony religijnej tego pytania, jakkolwiek zabłąkać się na tym gruncie można, a niejednen z komentatorów Dantego znalazł tu właśnie swoją *salvā selvaggia*. Wiadomo Pani, przez jakie dowody i wywody autorowie tacy jak Foscolo i Rossetti, a szkoła ich za nimi, doszli do tego, że Alighieri wydał się

im jakoby głową wielkiego jakiegoś mularskiego bractwa, które w XIII i XIV wieku pracować miało skrycie nad obaleniem katolickiego Kościoła. Za naszych już czasów, Francuz jeden, pan Aroux, który zaczął od tego, że w prostocie ducha, jak sam wyznaje, tłumaczył *Boską Komedję* w roku 1842, nie widząc w niej żadnych ukrytych myśli i dążeń, dorozumiał się z czasem, że kryje się w niej straszliwa „komedya Albigenów,” a naprowadzony na szczęśliwy domysł wykładem Rossettego, więcej może jeszcze wrażeniem rewolucyi lutowej, ogłosił Dantego za najniebezpieczniejszego z niebezpiecznych i szkodliwych ¹⁾. Protestanci znowu nie omieszkali, ma się rozumieć, wyszukać w nim różnych pierwiastków Reformacyi i witali z zapalem jednego z wielkich poprzedników Lutra w pocie, który tyle razy chłostał bez miłosierdzia zepsucie w Kościele, i rzucał gromy między wieloma innymi rzeczami na owe odpusty, któremi „tuczą się wieprze Śgo Antoniego i wielu innych „gorszych, niżli wieprze“ ²⁾. Żadne jednak z tych różnych a dziwnych przypuszczeń nie wytrzymało próby cokolwiek ściślejszego badania, i dziś żaden krytyk poważny nie będzie już uważał za potrzebne mówić o prawowierności zupełnej „poematu świętego,” tem mniej będzie o niej wątpił. Prawda, że mnogie są i srogie w tym poemacie skargi na politykę dworu rzymskiego i na rozwiązłość duchownych, od tej sceny strasznej w piekielnem kole Symoniaków, gdzie Mikołaj III, głową na dół zakopany w ziemi, z nogami sterczącemi do góry i parzonymi ogniem, myli się i biorąc Dantego za Bonifacego VIII, wola: „Czy już tutaj stoisz? o Bonifacy!“ — od tej sceny tak w inwektywach zuchwalej, że równego niema nie nawet u Aristofanesa, aż do słów Śgo Piotra w Raju o podupadłym Papiestwie, „słów mściwych, na które całe niebo rumieni się ze wstydu“ ³⁾, co za szereg wyrzutów gorzkich, krwawych, nie do zatarcia i nie do zapomnienia! A przecież, kto dostrzeże w nich najłżejszego choćby cienia napaści na Papiestwo jako

¹⁾ E. Aroux. Dante hérétique, révolutionnaire et socialiste. Paris 1854.

²⁾ Parad. XXIX. 118. 126.

³⁾ Inf. XIX. 52—57. Parad. XXVIII. 28. 30.

dogmat, najmniejszej dla niego ujmę, lub wątpliwości najprzelotniejszej o jego Boskim początku? W wiekach średnich — przypomnijmy to sobie — słowa nie bały się śmiałości i otwartości, bo serca były pewne swojej wierności i uległości. Wszakżeż sam Śty Bernard wyrzucał duchownym, że „więcej „myślą o tem, jak wypróżniać kieszenie swoich owieczek, „aniżeli o tem, jak ich wady wykorzeniać“ — a wieley doktorowie tych czasów, jak Gerson, Clémengis, d'Ailly, przemawiają niekiedy tak gwałtownie, że bynajmniej nie ustępują Dantemu. Prawda i to, że sam Kościół w owych wiekach nie był tak obraźliwym, tak na pewne rzeczy drażliwym...

Don Felipe. Za pozwoleniem. Jeżeli w średnich wiekach Kościół był wyrozumiałym i cierpliwym na zarzuty mniej lub więcej słuszne — *in dubiis libertas* — to dlatego, że zasadę wiary widział pewną i niewzruszoną. *In necessariis unitas.*

Hrabia Gerard. Zupełnie to samo, co ten biedny książę Persigny powtarzał zawsze naszym legitymistom i orleanistom: uznajcie naprzód zasadę cesarstwa, a potem bądźcie sobie w opozycyi, ile wam się podoba.

Książę Silvio. *In necessariis unitas*, dobrze, żeś nam książę Pralacie przypomniął zasadę, której Dante w całym ciągu swego życia oddaje hołd najzupełniejszy i najwyraźniejszy. Tensam Bonifacy VIII, którego tak chłoszcze za symonię, i za to że był Guelfem, ten sam przyrównany jest do krzyżowanego Chrystusa, kiedy jest mowa o niegodnym na niego zamachu w Anagni. Nogaret i Colonna nie są wtedy podług Dantego lepsi od „dwóch łotrów,“ Filip Piękny jest nowym okrutnym Pilatem, a na sprawców zbrodni tak ohydnej wzywa on „pomsty“ nieba, którą „słodką“ nazywa.

Marchese Arrigo.

Veggio in Alagna entrar lo fiordaliso
E nel Vicario suo Cristo esser catto.

Veggiolo un altra volta esser deriso:
Veggio rinnovellar l'aceto e il fele
E tra nuovi ladroni esser anciso.

Veggio il nuovo Pilato si crudele
 Che ciò nol sazia, ma senza decreto
 Porta nel tempio le cupido vele.

O signor mio! quando sarò io lieto
 A veder la vendetta, che nascosa
 Fa dolce l'ira tua nel tuo segreto ¹⁾).

Książę Silvio. A pomimo całej znowu gwałtowności swoich przekonań i uczuć gibellińskich, nie waha się umieścić w piekle głowy swego stronnictwa i jego najświetniejszego wyobraziciela, cesarza Fryderyka II, wyklinanego przez Papieża, domniemanego autora książki: *De Tribus Impostoribus*. W jakich zaś znowu gorących słowach sławi Śgo Dominika i jego zakon za to, że zdeptał herezyę Albigenów, „i tam godził w kacerskich błędów niegodziwe ciernie, kędy najcięższy napotykał opór“ ²⁾). Komandor kazał nam już, słusznie bardzo, podziwiać tę spokojną pewność siebie, tę świadomość własnej siły, z jaką Dante brał się do swego dzieła i szedł naprzód, jak krokiem równym i śmiałym, tynsamym zawsze od początku do końca, przenosił się ze strofy do strofy i z jednego koła w drugie, nie wahając się ani na chwilę i nigdy o sobie i o sztuce swojej nie wątpiąc. I w istocie, nie wiem, co w świecie mogłoby zrównać się z tą u Dantego majestatyczną pewnością siebie i świadomością arty-

¹⁾ Purgat. XX. 88—96.

„Widzę — lilie ciągną do Anagni
 I Chrystus więźniem w Namiestniku swoim.

Widzę — powtórnie na pośmiech go dadzą,
 Widzę znów octu i żółci katusze,
 I pośród nowych łotrów go zabiją.

A nowy Pilat w okrucieństwie swoim
 Niesyty jeszcze, bez wyroków prawnych,
 Chciwe swe żądze do Kościoła wnosi.“

„Panie mój! kiedyż pocieszonym będę
 I ujrzę zemstę, co w tajnikach skryta,
 Gniewu Twojego surowość łagodzi.“

²⁾ Parad. XII. 100. 102.

sty — chyba tylko ta sama w nim pewność i świadomość siebie, jako człowieka wierzącego. Te sławne strofy ¹⁾, w których on mówi o swoim geaiuszu, o swojej chwale, o wawrzynie, którym ma być uwieńczony na miejscu, gdzie niegdyś chrzest przyjął, następują zaraz, bezpośrednio i z widocznym zamiarem ²⁾, po tem uroczystem wyznaniu wiary i prawowierności, które mu zjednało taką pochwałę gorącą i uścisk potrójny od samego książęcia ³⁾ Apostołów. Trzebaż dodawać i przypominać, że od sześciu przecież już wieków żaden z następców Śgo Piotra ani o tem pomyślał, żeby założyć protest przeciw temu wspaniałemu twierdzeniu Dantego i zatwierdzeniu jego prawowierności przez Piotra? Od sześciu już wieków świat katolicki potwierdza bez przerwy i wahania to świadectwo, jakie swojemu ziemskiemu kochankowi daje Beatrice w niebie:

La chiesa militante alcun figlinolo
Non ha con più speranza ⁴⁾.

Don Felipe. Doskonale! Przytoczyłeś Książę te same wiersze właśnie, któremi ja zwykłem odpowiadać protestantom, ile razy zdarzy mi się mówić z nimi o Dantem, i widzieć jak oni zaledwo umieją ukryć swoją złość na to, że kongregacya Indexu nigdy nie wytknęła nie największemu katolickiemu poecie.

Polak. Dwóch poetów, pełnych religijnego uczucia także, próbowało dać protestanckiemu światu „poemat święty,“ boską epopeę: Milton o upadku człowieka, Klopstock o jego odkupieniu. Czemuż tymczasem, jak protestanci sami przyznają, natchnienie Dantego i jego pomysł jest większy i zupełniejszy? Bo jest katolicki, bo jako taki mógł objąć nie sam tylko grzech i łaskę, ale i zasługę, i uczynki człowieka, i Czystać.

¹⁾ Ibid. XXV. 1. 9.

²⁾ Ibid. XXV. 10—12.

³⁾ Ibid. XXIV. 122. 154.

⁴⁾ Nie ma nad niego Kościół wojujący
Syna, któryby miał nadzieję większą.

Parad. XXV. 52. 53.

Hrabia Gérard. Jakto? czy *Messiada* ma być poematem łaski? Z wyjątkiem Księcia ja tu zapewne jestem z nas jedynym, który zna *Klopstocka* nie ze słuchu tylko. Czegóż bo człowiek zrobić nie jest zdolny, kiedy przyczepiony do poselstwa przy dworze Meklenbursko-Szweryńskim nudzi się na śmierć na tej śmiesznej posadzie, a za całą pociechę ma tylko jakąkolwiek *Gretchen*, której z nudów chciałby się podobać. *Gretchen* zaś dbała o to wielce, żebym się rozczulał jak ona nad pobożnym „bardem z *Quedlinburga*.“ I z tego wynikło, że czytałem *Messiadę*! czytałem dwie lub trzy pieśni przynajmniej! Ale też błogosławił dekret ministeryalny, który w sam czas przyszedł przerwać mi tę lekturę, i wybawił mnie od *Meklenburga*, od *quedlinburskiego barda*, i od *Gretchen*.

Ksiązę Silvio.

Quel giorno più non vi leggemmo avante ¹⁾.

Nie śmiałbym zapewne zalecać nikomu, żeby dla rozrywki czytał sobie *Messiadę*; a przecież dla myślącego człowieka jest to zjawisko zajmujące wcale. Z łona protestantyzmu wychodzą dwa poematy: *Miltona* i *Klopstocka*, a w jednym i w drugim rozdział wyraźny, zupełny, absolutny, między Sprawiedliwością a Łaską; przyjmuje go i zachowuje ściśle wyobraźnia poetyczna nawet w swojej czynności tworzenia. Angielski purytanin, syn epoki pełnej religijnych nienawiści i politycznych gwałtów, sekretarz Rady Stanu pod *Cromwellem*, nie umie podołać swemu zadaniu, kiedy chce pisać *Raj odzyskany*; zupełnie potężnym, zupełnie sobą, jest tylko, kiedy za przedmiot ma upadek i potępienie. Ten sam umysł niezłomny i zawzięty, który usprawiedliwiał w *Ikonoklaście* stracenie *Karola I*, ukazuje się w poemacie, kiedy na upadłego *Adama* Bóg wydaje wyrok, w którym niema miłosierdzia: „musi umrzeć, on i ród jego, musi zginąć, bo inaczej zginie sprawiedliwość.“

¹⁾ Jużesmy w dniu tym dalej nie czytali.

„But to destruction sacred and devote
 He, with his whole posterity, must die.
 Die he or justice must“ ¹⁾).

W epoce znów spokojniejszej nierównie i rozmiłowanej w tolerancyi, Klopstock bierze sobie za przedmiot *Odkupienie* ²⁾; o Adamie mówi tylko tyle, ile potrzeba, żeby przypomnieć idylliczną niemal cichość i łagodną rezygnacyę jego końca; Abbadona wzbudza w nim współczucie i pożałowanie; ile razy zaś przystąpić chce do smutnych, ponurych stron ludzkiej natury i ludzkich przeznaczeń, zawsze Klopstock zostaje poniżej swego zadania. Dante jeden tylko zdołał nie być, jak Klopstock lub Milton, dzieckiem swego wieku, ale umiał być synem Kościoła wiekuistego, Kościoła wojującego, taksamo, jak cierpiącego i tryumfującego. On jeden objął wielką całość tajemniczego zamiaru i dzieła Bożego, i jeden pojął i objął w dziele swoim sprawiedliwość, łaskę i zasługę, i opisał z tysamym zawsze geniuszem i sztuką, zgrozę piekieł, czyśćca nadzieję, i niewymowne nieba radości. Nie bowiem mylniejszego i fałszywszego, jak to rozpowszechnione mniemanie, jakoby Alighieri był poetą zawsze tylko i niezmiennie ponurym i srogim, a odzywać się umiał samym jedynie patetycznym tonem złowrogiej groźby i skargi. Mniemanie to ztąd, jak rozumiem, poszło, że wszyscy, z małemi wyjątkami, czytelnicy Dantego, zwłaszcza też cudzoziemcy, czytują i znają po największej części samo tylko jego Piekło; kiedy pieśni Czyśćca i Raju tchną taką łagodnością, czułością i słodyczą, że obrazy ich wdzięczne, miłe, spokojne, kreślone miękką, pieszczotliwą ręką, są jakby oświecone „jasnością uśmiechu“ — *col lume d'un sorriso* ³⁾).

A co się zaś tyczy tej kwestyi drażliwej i trudnej, kwestyi potępienia lub zbawienia, nie mogę przemileczeć, że w tym naszym katolickim poecie, w tym synu wieków średnich, okrzyczanych za ciemne i ciasne, widzę taką otwartą szerokość umysłu, a w sercu u niego tyle miłosier-

¹⁾ Paradise Lost. III. 208. 210.

²⁾ Gervinus, d. Litteratur. T. IV, roz. IX. 4^m.

³⁾ Parad XVIII. 19.

dzia i miłości, jak anibym znalazł, ani śmiał szukać u protestanckich śpiewaków *Raju* i *Messyasza*. Kto zechce przeczytać XVIII i XIX pieśń Klopstocka, w których jest mowa o Sądzie Ostatecznym, ten przekona się, ile wyłączności ciasnej, ile oschłości kryć się może pod żarliwością... luterską, w oświeconej nawet i łagodnej epoce. Dante tymczasem przekonany jest, że w dniu Sądu niejeden, który Chrystusa nie znał wcale, znajdzie się bliżej Syna Bożego, aniżeli wielu chrześcijan, którzy go wzywają bezustanku:

„Ma vedi: molti gridan Cristo, Cristo.
Che saranno in giudicio assai men prope
A lui, che tal che non conobbe Cristo“ ¹⁾.

Prawda, że kwestya wiecznego zbawienia tych, którzy żyli cnotliwie, a łaski Chrztu nie otrzymali nigdy, widocznie niepokoi umysł mistycznego pielgrzyma, nasuwa mu się ustawicznie, dręczy go i popycha go niekiedy w dziwne sprzeczności. „Człowiek urodzony na brzegach Indusu“ — taki stawia sobie raz przykład i pytanie ²⁾: „nie słyszał nigdy o „Chrystusie, nikt mu o Nim nie mówił, nikt go nie nauczył. „Wszystkie jego chęci i jego uczynki były tak dobre, jak „tylko za sprawą rozumu samego być mogły. Umarł bez „chrztu, a więc po za Kościołem i wiarą. Jakaż sprawiedli- „wość mogłaby takiego potępić? i cóż on winien, że wiary nie „miał.“ Odpowiada Dante sobie samemu na to pytanie, że nie trzeba badać tego, co niezbadanem pozostać musi, ani wzroku, który „na odległość jednej piędzi sięga“ wyteęzać, żeby przejrzał nieskończoność; co więcej, przypomina sobie otchłań, w którą wpadł dumny archanioł, co nie chciał posłusznie „czekać na światło“ — a przecież, mimo to wszystko, szuka tego światła wciąż i chce je rzucić na to pytanie ciemne,

¹⁾ ...Wielu jest takich,
Co choć wołają ciągle Chryste, Chryste,
Będą w dzień Sądu mniej od niego blizy,
Niżli ten, który nie znał wcale Chrysta.

Parad. XIX. 106. 108.

²⁾ Parad. XIX. XX. passim.

dręczące, aż wreszcie zdobywa się na ten wspaniały komentarz do słów apostoła *v'olenti rapiunt*:

„*Regnum coelorum* violenza pate
Da caldo amore e da viva speranza
Che vince la divina volontate:

Non a guisa che l'uomo a l'uom sovranza,
Ma vince lei, perchè vuol esser vinta,
E vinta vince con sua beninanza“ ¹⁾.

Przez cześć to głównie i zapal dla bohaterów i geniuszów starożytnego świata troszczy się on tyle tą sprawą i daje się niekiedy unosić do wspaniałomyślnych, ale dość samowolnych sądów i wyroków. „Boleść głęboka przejmuję mu serce“ na widok tylu duchów szlachetnych, zatrzymanych w otchłani dlatego jedynie, że Chrystusa nie znali ²⁾, i wielkim majestatem otacza to grono duchów, między którymi danem mu było za-trzymać się na chwilę, żeby pomówić z nimi o rzeczach, „o których teraz zamilezeć przystoi.“ Sława wielkości, jaką zostawił po sobie Cato w pamięci upadającej Rzeczypospolitej, taki ma dla niego urok, że wybacza mu samobójstwo, a co dziwniejsza jeszcze, opór stawiony Cezarowi, i robi go stróżem Czyśca. Powtarza kilka razy tę tradycję, wedle której Chrystus, zstąpiwszy do Piekieł, wyprowadził z otchłani wielką liczbę dusz niechrześcijańskich, i korzysta z tej legendy, żeby Stacyusza zrobić chrześcijaninem, a w niebie umieścić Trajana. Taksamo obchodzi się z Eneaszem przez wzgląd, że z niego wyszedł początek Rzymu, i z jednym z pomniej-

¹⁾ Królestwo Niebios ulega przemocy
Wrzającej miłości i żywej nadziei,
Co wolę Boską przyzwyciężać zwykła,
Nie jako człowiek przemaga człowieka:
Ale że sama chce być zwyciężoną,
A zwyciężona zwycięża dobrocią.

Parad XX. 94. 99.

²⁾ Inf. IV. *passim*.

szych podrzędnych bohaterów Eneidy, któremu na imię Rhipheus, dlatego tylko, że Virgiliusz nazywa go

„justissimus unus,

Qui fuit in Teneris, et servantissimus aequi“ ¹⁾.

A Virgiliusz sam jakąż jest u niego otoczony jasną aureolą! Wszakżeż on jest wyobrazicielem i symbolem wszelkiego dobra, wszelkiej piękności, wszelkiej prawdy, jakie tylko bez wiary najwyższe i najdoskonalsze być mogą. Wiem dobrze, że dla całych wieków średnich ogółem był autor Eneidy przedmiotem prawdziwej, a aż nawet dziwnej czci, że uchodził to za proroka przepowiadającego przyjście Chrystusa, to znów za mędrca lub nawet czarnoksiężnika; ale Dante z wielkiem staraniem usunął na bok od postaci swojego Virgila wszelkie legendowe rysy czarodziejstwa lub demonologii, tak w jego czasach rozpowszechnione, że taki na przykład Cino z Pistoii nie gardził nimi bynajmniej. W obrazie bardzo mądrze wymyślonym, porównywa on swego miłego m. strza do człowieka, który „nocą idzie i światło po za sobą niesie, a choć sam z niego nie korzysta, oświeca innych, którzy za nim idą“ ²⁾. Tego zaś zaprzeczyć nie można, że ze stanowiska moralnego żaden z poetów starczytności nie był w tej mierze godzien tej pochwały, ile ten, co śpiewając *pascua, rura, duces*, przejęty był i natchniony zawsze najczystsza myślą Platona, ten, którego słowa o nowym narodzić się mającym rzeczy porządku, o Pannie, o zbliżającym się Królestwie Bożem, o duszach, które na tamtym świecie „odpłacają cierpieniami różnemi za różne występki, obmywają się ze swoich zmas i oczyszczają się w ogniu,“ — dziś jeszcze dziwią nas swoim mistycznym, prawie chrześcijańskim charakterem.

Hrabina. Jakto? Virgiliusz miałby być mieć jakieś przeżucie Czyśce?

Księżę Silvio. Bezwątpienia, dziwnie nawet, szczególnie, wyraźne i dokładne:

¹⁾ „od którego słuszność święcie była czczona,
Najsprawiedliwszy z Trojan: Ryfej.

En. II. Tłóm. Wężyka.

²⁾ Purgat. XXII. 67. 69.

Quin et supremo quum lumine vita reliquit,
 Non tamen omne malum miseris, nec funditus omnes
 Corporeae excedunt pestes; penitusque necesse est
 Multa diu concreta modis inolescere miris.
 Ergo exercentur poenis, veterumque malorum
 Supplicia expendunt. Aliae panduntur inanes
 Suspensae ad ventos: aliis sub gurgite vasto
 Infectum eluitur scelus, aut exuritur igni.
 Quisque suos patimur Manes: exinde per amplum
 Mittimur Elysium, et pauci laeta arva tenemur:
 Donec longa dies, perfecto temporis orbe
 Concretam exemit labem, purumque reliquit
 Aetherium sensum, atque aurai simplicis ignem.
 Has omnes ubi mille rotam volvere per annos,
 Lethaeum ad fluvium deus evocat agmine magno:
 Scilicet immemores supera ut convexa revisant
 Rursus... ¹⁾).

Sądzę nawet, że w tych wierszach znalazł Dante powód i usprawiedliwienie wyboru Virgilusza na przewodnika nie tylko w swoim *descensus Averno*, ale przez cały ciąg wędrówki przez Czystań, i aż do bram ziemskiego raju.

Później wypadnie mi roztrząsać inny jeszcze cel, utopijny ale szlachetny, jaki miał na oku Alighieri, kiedy tak

¹⁾ Aeneis. VI. 735. 751.

Nie wszystkich przywar ciała doznają pozbycia.
 Lecz tak mus na nie działa przez dziwne przyczyny,
 Że ich długo zebrane trzymają się winy.
 Więc kara dawnych grzechów srodze je uciska:
 Jedne wiszą wydane na wiatrów igrzyska,
 A drugich hydne zbrodnie i zmierzłe przywary
 Zmywa wielkie jezioro, lub czyszcza pożary.
 Każdy ma tu swe chłosty. Nareszcie nas wiodą
 W Elizej, który rzadkim staje się nagrodą,
 Aż gdy czas wszelkiej zmazy zagładę uiści,
 I wzięty z niebios ogień zupełnie oczyści.
 Skoro więc w tych przemianach tysiąc lat upłynie
 Do letejskiej jej wody Bóg przyzywa w gminie;
 By przez to całą przeszłość, grążąc w niepamięci,
 Do ciał i zwrotu na świat powstały w nich chęci.

stale i tak wysoko wynosił Virgiliusza i dawny świat rzymski; na teraz wystarcza mi wskazać, w jakim dziwnym zaiste na jego czasy duchu miłości on mówi o świecie pogańskim, z jaką troskliwością i dobrocią serca myśli zawsze o tem, żeby mu wrota łaski uchylić choć cokolwiek, ile pozwala na to surowa ścisłość dogmatu, a resztę zdać na ten „gwałt, jaki miłość zadać może niebu“ i temu zaufać. Jeżeli, jak mówi Beatrice, „Kościół wojujący nie miał nigdy syna większych nad niego nadziei,“ to nikt znowu w całym chrześcijańskim świecie wieków średnich nie bronił tak, jak on, wielkich dusz starożytności przed Kościołem tryumfującym, i nikt tyle dla tych dusz nie miał miłości ani nadziei.

Są tacy, co widząc i uznając w autorze Boskiej Komedyi „syna Kościoła“ i katolika prawowiernego, pytają jednak, czy on zawsze był takim? czy kiedyś, w latach dawniejszych, przed pisaniem „poematu świętego,“ jego wiara nie miała jakich chwil zaćmienia i nadwątlenia? Jeden ze sławnych uczonych niemieckich i jeden z tych, którym znajomość i krytyka Dantego bardzo wiele zawdzięcza, oparł na tem przypuszczeniu i na tej różnicy całkowity i godzien zastanowienia system, zbudował na tej podstawie jedną z tych „historij psychicznych,“ z którymi nasz przyjaciel, Akademik, obszedł się tak ostro w naszej wczorajszej rozmowie. Słuszność jednak nakazuje przyznać, że ze wszystkich takich „psychicznych historij“ jedyną, prawdziwie rozumną i logiczną, a zarazem niezmiernie zajmującą jest ta, którą ułożył Karl Witte. I ona też jedna zjednała sobie uznanie najpoważniejszych znawców i sędziów we Włoszech, jak w Niemczech. Z tych więc wszystkich powodów zasługuje na baczną i pilną uwagę tych wszystkich, którzy się kwestyą Dantego zajmują ¹⁾.

1) Karl Witte: *über das Missverständniß Dante's*, 1824: przedrukowane w *Dante-Forschungen* tegoż autora, Halle 1869. W młodocianej pracy, ogłoszonej przed wielu laty, pozwoliliśmy sobie zbijać słynną hipotezę pana Wittego obszerniej, aniżeli na tem miejscu zrobić to możemy. Szanowny weteran krytyki Dantejskiej w Niemczech zrobił nam ten zaszczyt, że rozprawce owej poświęcił osobny rozdział w swoich *Dante-Forschungen* (str. 141—182)

Podług pana Wittego tedy, miałyby zachodzić ścisły związek między *Vita Nuova*, *Convito* i *Boską Komedją*; wszystkie razem miałyby one składać rodzaj *trylogii*, a każde z osobna byłoby częścią niejako jednego poematu, w którym Dante miał niby opisywać trzy okresy życia swojego i życia ludzkości: okres naprzód wiary naiwnej i prostej, po nim drugi okres wątpienia i apostazy, a wreszcie po wielu przejściach i doświadczeniach powrót do wiary w uczuciu skruchy i pokuty. *Vita Nuova* miałyby wyobrażać pierwszą epokę w usposobieniu poety, epokę czystych dziecinnych wierzeń, prostodusznej miłości i uległości, wolną od wszelkich pytań i badań, i od dręczących niepewności i walk umysłu w którym obudziła się i rozwinęła reflexya. Kiedy umarła Beatrice, skończyć się miał i ten pierwszy okres życia Dantego. Od tej chwili bowiem, twierdzi pan Witte, smutek i zniechęcenie opanowały jego duszę. Zachwiało się w samych podstawach jego zaufanie w dobroci i miłosierdziu Boga, a pociechę jaką taką dawała mu jedna nauka, wiedza i mądrość ludzka. Wszakże sam wyraźnie mówi w *Convito*, że filozofia była dla niego tą prawdziwą „litościwą damą,” która tak rozpacz jego ukoili, że omal nie sprzeniewierzył się wspomnieniu straconej kochanki. I *Convito* właśnie, dzieło niedokończone, w którym pod pozorem i formą komentarza do swoich *Canzon* dawniejszych, chciał nam dać rodzaj encyklopedyi całej scholastycznej wiedzy, *Convito* miałyby oznaczać tę drugą epokę jego moralnego i umysłowego rozwoju. „Filozofia“ — mówi tam Alighieri — „jest prawdziwem uszczęśliwieniem ludzkiego ducha; wybawia nas od śmierci, od niewiedomości i leczy z namiętności. Ktokolwiek chce zbawienie swoje oglądać, niech patrzy w oczy tej Pani, która jest Oblubienicą Króla Niebieskiego, Jego Siostrą i Jego

i odpowiadał na nasze uwagi z życzliwością i uprzejmością, za którą obowiązani jesteśmy do prawdziwej dla niego wdzięczności. Nie możemy przecież odstąpić od dawnego naszego sposobu widzenia rzeczy, tembardziej, że sam pan Witte uznaje wagę niektórych naszych zarzutów (str. 173). Tychsamych więc zapatrywań trzymamy się i w pracy niniejszej.

(Przyp. Autora).

„Córka ukochana.“ Ale mądrość ludzka jest zawsze ludzką tylko; kołysze nas czas jakiś próżnemi pochlebnemi snami, a potem odstępuje i zostawia nas na pastwę wszystkich niepokojów, wszystkich męczarni niepewności. Tych niepokojów, tych męczarni i bólów doświadczyć miał także, podług pana Wittego zawsze, i autor *Convito*, i to właśnie przejście w swoim duchowem życiu opisać miał w początkowych pieśniach swojego trzeciego dzieła, — *Boskiej Komedyi*. Ów „las gęsty, „dziki i ponury,“ w którym się zablakał „w połowie drogi „naszego żywota,“ miałby oznaczać ten okres zboczeń i błędzeń, a Piekło całe byłoby obrazem i symbolem wszystkich tych złych namiętności, jakich on doznał w swojej duszy skolatanej i zmaczonej, odkąd, wyrzekłszy się wyższego objawienia, został z samym tylko rozumem ludzkim za jedynego przewodnika. Przecież nie pozostał on w obłądzeniu na zawsze: owszem, było mu danem poznać swój błąd i wyjść z niego zwyciężko. Na samym już początku mistycznej pielgrzymki widzimy go skruszonym, żałującym i szukającym w pokucie i upokorzeniu powrotu na „drogę prostą,“ na drogę zbawienia. Tak przygotowany i nie wyglądający już od ziemskiej wiedzy tego światła, jakie łaska Boża sama jedna może dać człowiekowi, dostaje on się niebawem na wierzchołek Czyśćca i odnajduje tam Beatrice — to jest dawną wiarę — a duch jego, oczyszczony z wszelkiej zmazy i wszelkiej wątpliwości, wznosi się wkońcu do Raju i tam wpatruje się w same oblicze prawd najwyższych.

Takie pojęcie, takie przedstawienie Dantego, jakoby Fausta jakiegoś czy Manfreda wieków średnich, Fausta pojednanego zapewne, Manfreda żałującego i skruszonego, ale zawsze jako jednego z tych „demonów wątpienia,“ jak ich nazywał Göthe, jakich tworzyć sama tylko nowsza poezya zdawała się mieć przywilej, takie pojęcie Dantego jest niezawodnie bardzo zajmującym i zaostrza ciekawość. Hypoteza pana Wittego ma dla nas ten wielki powab, że przybliża do nas bardzo Dantego i jego „poemat święty,“ i robi go niejako komentarzem, wykładem naszych własnych losów i przeznaczeń. Bo czyliż wierzyć naprzód poprostu, jak dziecko, i tej wiary dziecinnej żałować później zawsze, wspominać ją rzewnie, tęsknić za nią — jak Faust na odgłos Wielkano-

nych dzwonów, — potem, jak Faust znowu, rzucić się w naukę, chcieć uchwycić i zrozumieć samą istotę tworzenia, zgłębić przyrodzone prawa fizycznego świata i społeczeństwa ludzkiego, badać i uczyć się, *ah! Philosophie!* — poznać potem, zawsze jak Faust, że się nie wie i że wiedza nie wie, ani do prawdy, ani do szczęścia; powiedzieć sobie, jak Manfred, „że drzewo wiadomości nie jest drzewem żywota“ — a wreszcie, zniechęconym, złamanym, poranionym, wycieńczonym w tej walce i „w z wątpienie samo z wątpiałym,“ rzucić się nanowo w wiarę, dawną czy nową jaką, byle ona pozwoliła nam już nie myśleć więcej i nie badać nieszczęsnej zagadki, a zamiast zagadnień i problematów, dawała nam pewność, dogmat — czyliż to nie jest zaiste historią istotną wielu bardzo zpośród nas, czy nie jest co więcej, dokładną beżmała historią powszechną naszego wieku? Ta więc historia znajduje się w zupełności i daje się poznać jaknajdokładniej w mniemanej Trylogii Dantejskiej p. Wittego. *Boska Komedia* zwłaszcza byłaby wedle niego naszą własną współczesną kroniką, rodzajem *palimpsestu* naodwrot, z którego wystarczyłoby zedrzeć zwierzezną powłokę scholastycznego pokostu, żeby odkryć nowoczesne, dzisiejsze pismo, to samo pismo, którego krwawemi głoskami zapisane są poszarpane księgi naszych własnych sere. A w takim razie tragedia Dantego byłaby jasna, odkryta i zrozumiała odrazu.

Hrabina. Prawda! I nie wiem, czemu miałby kto odrzucać to jej wytłomaczenie takie wzniosłe, takie wspaniałe.

Książę Silvio. Temu, że się boję, że raczej jestem najzupełniej pewien, iż tłomacząc ją w ten sposób, przypisywalibyśmy tylko Florentczykowi z XIV wieku takie myśli i uczucia, jakie naprawdę są naszego tylko wieku własnością i ceżą. To my przywykliśmy i nauczyli się pojmować rozum jako przeciwieństwo wiary, filozofię jako otwartą nieprzyjaciółkę religii, a już co najmniej, jako jej przyjaciółkę podejrzaną; ale czy tak było w wiekach średnich? czy tak w wieku Dantego, Śgo Tomasza, Śgo Bonawentury? Utrzymywać, jak utrzymują niektórzy zawzięci obrońcy systemu pana Wittego¹⁾, że filozofia scholastyczna już przez to samo, że usiłowała

¹⁾ Scartazzini, *Dante*, Biel. 1869, str. 241 i nast.

stósować rozumowanie do wiary i z nią je godzić, że przez to już dawała poznać niejako, iż się z nią nie zgadza, że stwierdzała w ten sposób swoją niepodległość, niezależność od wiary, a może nawet stawiała przeciw niej w istotnym, choć nie otwartym buncie, tak utrzymywać, a przez to stawiać autora *Summy* pod sztandarami Spinozy i Hegla, znaczyć to poprostu nie rozróżniać rzeczy, i dowodzi najdziwniejszego pomieszania czasów i zamieszania myśli. Bo nie o to chodzi, czem średniowieczni scholastyczni myśliciele mogą być lub co znaczyć dla nas, podług sposobu, jak my wyobrażamy sobie ogólny bieg rozwoju czy dziejów ludzkiego umysłu; chodzi o to tylko, żeby wiedzieć i stwierdzić poprostu, czem oni byli dla siebie samych, w swojej własnej świadomości i w swoim sumieniu, jak pojmowali się, czem byli w sobie samych i w stosunku do swojego świata, wpośród tego widokregu, który im był właściwy i po za który wzrokiem nie sięgali. Być może istotnie, że gdyby kto spróbował iść wstecz za śladem nowoczesnej spekulacji, doszedłby wkońcu aż do doktorów scholastycznych, i w Śtym Anzelmie naprzykład powitałby ojca późniejszego racjonalizmu, a w tym wstępie, którym on poprzedza swoje ontologiczne dowodzenia, odkryłby zarody czy pierwiastki kartezjańskiej filozofii. Przecież tensam, jeżeliby tylko chciał być sprawiedliwym i rzetelnym, musiałby zaraz dodać, że to on, człowiek dzisiejszy, wyciąga taki wniosek, którego nie przewidywali, nie domyślali się Seraficy czy Anielscy doktorowie, i że jeżeli oni nawet istotnie torowali drogę racjonalizmowi, to robili to zupełnie wbrew swojej wiedzy i woli. Bo wieki średnie, żeby rzecz zamknąć w jednym słowie, nie na to posługiwały się rozumem, żeby Objawieniu przeczyć, ani na to nawet, żeby je śledzić i sprawdzać, ale na to poprostu, żeby je objaśnić, żeby je uczynić jeszcze bardziej widocznym, jasnym, niewątpliwem. Filozofia była w zgodności najzupełniejszej z religią, a Aristoteles uchodził za mistrza rozumu i myśli, bo uchodził za służebnika wiary. Dla Śgo Anzelma, jak dla Śgo Tomasza, jak dla Dantego, nauka była „dusz uszczęśliwieniem, Oblubienicą Boga, Jego Siostrą i Córką ukochaną,” dlatego właśnie, że w ich pojęciu i przekonaniu ona nie była

niezem innym, jak służbą i chwałą Bożą, gloryfikacją Przedwiecznego Słowa, Boskich prawd ludzkim tylko wyrazem.

Nie, żeby spekulacja scholastyczna miała była zgoła nie zaznać niepewności, wątpliwości, wszystkich bolesnych wahań i obaw, nieodłącznych od porodu wielkich myśli. Ale te niepewności i wahania ówczesne były co do istoty swojej i co do zakresu, od naszych zupełnie różne. Nie naruszały one ani podstaw, ani nawet formy objawienia, nie dręczyły sumienia tego człowieka, który myślał i badał. W dogmat wierzył wtedy każdy i stale, a jeżeli kto wątpił, to w rozum tylko, a raczej w swoją własną osobistą zdolność korzystania z niego jak należy. Dziś dzieje się właśnie wprost przeciwnie, na wspak: wierzy się rozumowi, jemu jednemu tylko, a kiedy się wątpi, to o wierze i w nią. Pomiędzy powątpiewaniem wieków średnich, a zwątpieniem, wielkiem ogólnem zwątpieniem naszych czasów, jest przepaść, jest odległość taka właśnie, jak od tego ojca Kościoła, który powiedział *credo quia absurdum*, do tego ojca nowoczesnej spekulacji, który wnosił *cogito ergo sum*. Nie idzie zatem także, żeby wieki średnie, wierząc w zgodność zupełną między rozumem i objawieniem, nie były rozumiały i oznaczały bardzo wyraźnie *hierarchicznej* pomiędzy nimi różnicy. Doktorowie ówczesni przyznawali zupełnie, że rozum ludzki często nie zdolny jest dowieść, a nieraz i zrozumieć prawd Bożych, ale tego nie przypuszczali nigdy, żeby ludzki rozum mógł się odważyć prawdy te wieczne podawać w wątpliwość, a z tego, że my nie możemy wytłómaczyć, dowieść tego lub owego dogmatu, nie wnosili bynajmniej, jakoby ów dogmat nie był pewnym i niewątpliwym, ale wnosili owszem, że on jest nad wszelką wątpliwość wzniesionym.

Marchese Arrigo.

Matto è chi spera che nostra ragione
 Possa trascorrer la infinita via
 Che tiene una sustanzia in tre persone.

State contenti umana gente al *quia*
 Chè se potuto aveste veder tutto
 Mestier non era partorir Maria;

E disiar vedeste senza frutto
 Tai, che sarebbe lor'disio quetato
 Che' ternalmente è dato lor per lutto.

Jo dico d'Aristotile e di Plato
 E di molti altri... ¹⁾.

Księżę Silvio. Dzięki, panie Margrabio, za przypomnienie tych sławnych wierszy, które Dante kładzie w usta Virgilego, a które pan Witte przytacza na dowód, i to najmocniejszy właśnie, prawdziwości swojej hipotezy. Tymczasem cóż one mają znaczyć naprawdę, co mówią, jeżeli nie to samo zupełnie, co mówi każdy katechizm, to jest, że rozum sam może dojść do wielu prawd z naturalnego i moralnego porządku rzeczy, że może wydać wielkość Aristotelesa lub Platona, ale nie może sam przebiegnąć owej przestrzeni nieskończonoj, co trzy osoby łączy w jednej treści. Jakże dziwnie a ciasno pojmują rzecz ci, co w tych słowach każą nam widzieć potępienie filozofii i jakoby wyklęcie rozumu! tak ciasno i dziwnie, jak ci, którzy w sensie podobnym chcą zrozumieć i tłumaczyć ten ustęp z *Convito*, w którym Dante mówi, że „Filozofia nie boi się walk i powątpiewań“ — a zapominają, że on sam objaśnia zaraz znaczenie tych słów kiedy dodaje: „ani trudów nauki“ ²⁾. I taksamo ma się rzecz

¹⁾ Purgat. III. 34. 44.

Głupi, kto marzy, że rozum nasz może
 Przebiegać ową przestrzeń nieskończoną,
 Co trzy osoby łączy w jednej treści.

Rodzaju ludzki! poprzestań na *quia*:
 Gdybyście bowiem wszystko wiedzieć mogli,
 Rodzić nie trzeba byłoby Maryi.

A widzieliśmy bezpłodne pragnienia
 Takich, co godni byli ich spełnienia;
 Dziś to jest dla nich wiekuistą męką.

O Arystocie mówię, i Platonie,
 I innych wielu...

²⁾ Non teme labore di studio e lite di dubitazioni. (*Convito* II. 16).

z wszystkimi innemi ustępami z dzieł Alighierego, któremi podeprzeć chciało wymysł dowcipny, ale dowolny, bezpodstawny i niezdolny ostać się przed jednym argumentem, przed niemożnością zupełną i absolutną przytoczenia choćby jednego najmniejszego z dzieł Danta wyjątku, któryby jasno, wyraźnie wskazywał, że poeta przechodził istotnie przez jakąś epokę apostazy, lub tylko wahania i osłabienia w rzeczach religijnych. Z właściwym sobie symbolizmem głębokim przypomina on (i to w miejscu najbardziej znaczącem, najbardziej w tej mierze rozstrzygającym, tam, gdzie Beatrice tłumaczy mu tajemnicę stworzenia) — przypomina, że słońce i księżyc przelotnie tylko i na krótką chwilę mogą być „objęte jednym horyzontu pasem,” przypomina dalej, że dwie szale wagi rzadko w zupełnej stoją równowadze ¹⁾; wyraża przez to różnicę *hierarchiczną* między wiedzą ludzką a Boskim objawieniem, ale nie wypowiada nigdy i nigdzie, jakoby one między sobą miały być niezgodne lub musiały być rozdzielone. Cześć nauki nigdy u niego nie znaczy odstępstwa od wiary, nigdy nie doznaje on wyrzutu sumienia, a choćby tylko żalu, że się oddał filozofii i spekulacji; nigdzie nie odwołuje, ani nie umniejsza tych pochwał zapachu pełnych, jakie oddaje Filozofii w *Convito*. A nadto jeszcze, tu jest miejsce przypomnieć, że *Convito* pisał Dante co najwcześniej w r. 1308, a więc dużo po „cudownem widzeniu“ ²⁾, z roku jubileuszowego, kiedy pomysł „poematu świętego“ oddawna był już poczęty i dojrzały, a w znacznej części nawet wykonany. Chronologia zatem sprzeciwia się wyraźnie i stanowczo „psychicznej historii“ i zadaje jej fałsz, a proste zestawienie dat dostarcza przeciw tej historii zarzutu niezmiernie silnego, niezwykłego. Jakżeżby Dante mógł w roku 1308 w dziele swoim wracać do stanowiska, z którego dawno już zeszedł,

¹⁾ Parad. XXIX. initio.

²⁾ Dante mówi w *Convito* (I. 1. 3.), że przeszedł już „wiek męski,” to znaczy podług definicyi, jaką sam na innem miejscu (IV. 23.) daje, lat trzydzieści pięć do czterdziestu. Żali się tam prócz tego na swoje wygnanie, tak długie, że w jego ciągu przewędrował już Włochy całe jako „pielgrzym i jako żebrak.” Wygnanie zaś jego nastąpiło, jak wiemy, w roku 1302.

od którego jego myśli i przekonania daleko były odbiegły? Jakżeby mógł wysławiać Filozofię tak wysoko i tak bez zastrzeżeń w *Convito*, gdyby przedtem już był w niej poznał dążności zgubne i skutki dla zbawienia naszego szkodliwe? jakżeby mógł być później w *Convito* taką oddawać cześć tej Filozofii, gdyby wcześniej, na samym zaraz początku *Boskiej Komedyi* był ją opisywał jako „las gęsty, ponury i dziki,“ którego wspomnienie samo jest dla niego tak okropnem, „że śmierć zaledwo okropniejszą będzie.“

Nie mogę się zaś wstrzymać od przytoczenia tu jednego jeszcze względu czysto literackiej i artystycznej natury, ale takiego, który u znawców Dantego więcej może będzie znaczył i ważył, niż wszystkie inne. Ktokolwiek czytał z uwagą *Boską Komedyę*, ten wie, jak misternie, ale i jak stale razem, jak zawsze, Dante wspomina o swoich uczuciach i o swoich własnych przejściach, ile razy widok jakiego potępienia lub jakiego wybranego obudzi w jego duszy pamięć jakiejś radości lub jakiejś boleści, jakiejś sytuacji lub jakiegoś nieszczęścia, któremu podobnego sam w życiu swem doznał. Wczoraj zwrócono słusznie naszą uwagę na jego zachowanie się w kole pysznych, popędliwych i lubieżnych; dodam do tego tylko, że on nie opuszcza nigdy żadnej sposobności, przy której może przypomnieć swoje koleje i swoje cierpienia, swoje nienawiści i swoje miłości, swoje radości i swoje walki, swoje usiłowania i swoje zawody, zasady i przekonania, które podziela, i te, które potępia i odpycha; i przy każdej takiej sposobności muza jego odzywa się z niesłychaną siłą, przechodzi przez wszystkie tony namiętności, łączy się z całą tą melodyą, raz piekielną drugi raz niebiańską, i rozdzierającym krzykiem lub jękiem cichym a smutnym jak ostatnie westchnienie, góruje nad wszystkimi chórami potępionych i nad wszystkich błogosławionych hymnami. A wieleżto razy Dante ma sposobność mówić o zboczeniach ludzkiego rozumu, o jego występnych obłędach i zuchwałych zamachach na prawo Boga lub na przepisy Kościoła; widzi przecież strąconych aniołów, nieugiętych, dumnych i bezczelnych w samym nawet „grodzie strapienia;“ widzi tych, którzy nieśmiertelność duszy zaprzeczali „herezyarchów i ich

zwolenników“¹⁾, palących się w grobach ziejących płomieniem; wreszcie, w ósmym i dziewiątem kole Piekła spotykających, którzy „daru rozumu używali na złe,“ którzy siali niezgodę między wiernymi i wywoływali schizmy²⁾. Gdyby więc hipoteza jego mniemanej trylogii miała jakiekolwiek uzasadnienie, gdyby Alighieri sam był przechodził przez ciężką próbę wątpienia i gdyby w jakiejbądź epoce swego życia był się poddał popędowi zbuntowanego rozumu, to z tego także, z tego przedewszystkiem, byłby się zwierzył w swoim poemacie, to dopiero byłoby wyrwało z jego duszy jeden z tych krzyków boleści, z tych głosów sumienia, które odzywają się zawsze, ile razy myśl jaka lub jaki w krainie duchów spotkany cień człowieka potraci o jedną ze strun, drgających w jego własnem zboląłem sercu. Co więcej, gdyby filozoficzne powątpiewanie było punktem wyjścia, pierwiastkiem głównym, treścią i istotą samą „poematu świętego,“ przyczyną, która go stworzyła, to w tym ustępie, gdzie Dante mówi o rozumie, używającym swoich darów na złe, czy nie czuliśmy tego jakiegoś elektrycznego wstrząśnienia, jakie w każdym dziele wielkiem zapowiada zbliżanie się, nadejście tego, co w dziele tem najważniejsze i stanowcze, czy wszystko nie składałoby się na to, by nas ostrzedz, że przychodzimy do samego kulminacyjnego punktu jego Pieśni? Ta część poematu, ta grupa, w której miałyby się wyobrażać i skupiać główna myśl wielkiej całości, byłaby niezawodnie nakreślona z największą mocą, na nią byłoby rzucone, na niej skupione całe w największym blasku światło geniuszu, ona byłaby wystawała, byłaby jaknajsiłniej oddzielała się od drugich planów, — albo, gdyby tego nie było, to wielki mistrz nie byłby chyba miał ani wyobrażenia o pierwszych podstawnych najprostszych warunkach swojej sztuki.

W ustępach zaś, które tylko co wymieniłem, nadarłoby szukałbym tych wykrzyków prosto z serca, tych wybuchów gwałtownych, jakie widzę zawsze i wszędzie, gdzie tylko poeta ma na myśli coś osobistego, jakieś własne wewnętrzne uczucie czy przejście, ile razy naprzykład mówi o ojczyźnie

¹⁾ Inf. IX. 127. 128.

²⁾ Inf. XXVI. XXVIII.

albo o miłości, o wygnaniu albo o chwale, o Kościele lub o Państwie. Wobec wszystkich tych herezyarchów i sekt założycieli, tych zuchwale wątpiących i zbuntowanych rozumem, zachowuje Dante, rzecz dziwna, spokój zupełny, zimną krew, panowanie nad sobą i nad swoim słowem, zostaje widzem spokojnym i obserwatorem chłodnym, zupełnie tak, jak kiedy patrzy na złodziei, na łakomych lub na skąpych; tak, jakby pomiędzy nim a nimi nie było nigdy nie wspólnego, jakby nie we własnej przeszłości nie przypominało mu podobnych grzechów, a choćby tylko obłądów podobnych! Ani jednego zwrotu myśli na siebie samego, ani jednej z tych żalosnych, lirycznych dygressyj, ani jednej z tych tak częstych w poemacie waryacyj na temat *Quorum pars fui*. A co do sposobu i planu, wedle którego autor *Boskiej Komedyi* uważa, umieszcza, i sądzi grzeszników tej kategorii, co do miejsca, jakie im przeznacza, wystarcza zaiste raz rzucić okiem na całość jego kompozycji, by się przekonać, że nie oni wcale są jej punktem środkowym, czy to pod względem etycznym, czy pod patetycznym. Porównajmy na przykład obraz zdrajców lub nieprzyjaciół Cesarstwa z obrazem tych sekciarzy i „złych doradców,” a zobaczymy, że nie oni wcale, nie ci ostatni, stanowią główną grupę i wyrażają w sobie główną myśl podstawną dzieła. Gdybym zaś musiał wyznaczyć całą prawdę, rzekłbym, że postacie tej grupy zarysowane są tak ogólnie i lekko, tak się mało odznaczają i wystają, że cała tak wielka i ważna strona złego na świecie gubi się nieledwie i rozplywa w mglistem jakimś niewyraźnem przedstawieniu. To zaś nie da się wytłómaczyć żadnym sposobem, tylko jedynie przez ten fakt, że poeta, jak jego wiek, nie znał jeszcze tego straszliwego problemu przeciwieństwa rozumu i wiary, że nie znał ani jego rozciągłości, ani jego doniosłości. Poeta naszych czasów, geniusz jaki naszego wieku, byłby problem ten inaczej pojął i w innym wystawił go świetle; a już ten Klopstock, który żył pośród pokolenia, nad którem panował dneh Leibnitza i Wolffa, już Milton współczesny Spinozy, i sam nawet ten Tasso, który w samo serce pełniący był wstrząsającym prądem reformacyi, kiedy mówią o zbuntowanym rozumie i systematycznej negacyi, znajdują takie słowa i takie obrazy, do jakich ani się zbliżają terziny w których

Dante mówi o herezyarchach, i o tych co siali niezgodę między wiernymi.

Otwórzmy Miliona, gdzie się zdarzy, i weźmy pierwszy lepszy z niego wyjątek, te słowa naprzykład, które mówi Szatan na samym prawie początku:

And thou profoundest hell
Receive thy new possessor: one who brings
A mind not to be changièd by place or time.
The mind is it's own place, and in itself
Can make a Heav'n of Hell, a Hell of Heav'n.
What matter where, if I be still the same
And what I should be, All ¹⁾...

Ten duch, którego zmienić nie może ani czas, ni miejsce, który sam w sobie ma swój przybytek i może w sobie zrobić sobie niebo z piekła, albo piekło niebem, który nie troszczy się o to, gdzie będzie, byleby był zawsze tym samym i zawsze tem, czem być powinien, to jest — wszystkim; to już jest prawie zupełnie ten duch *identyczności* o którym kiedyś mówić będzie filozofia Hegla, to już jest negacya w całej swojej spekulatywnej głębokości... niech mi kto znajdzie, niech pokaże myśl podobną czy podobny ton w całej, jak jest, *Boskiej Komedyi*.

Zatrzymajmy się jeszcze na chwilę w tym ciekawym regionie piekła, w którym Dante pomieścił tych, co grzeszyli rozumem i dali początek herezyom i schizmom. Piękny niezaprzeczenie jest obraz tych, którzy „sumienie swoje obciążyli rozsiewaniem niezgód,“ jak po śmierci „szarpia się wła-

¹⁾ Witaj piekielny świecie! a ty niezmierzona
Głębi, nowego Pana przyjm do twego łona!
Taki umysł przynoszę w twój przestwór ponury,
Co ni czasem, ni miejscem nie zmienia natury.
Duch sam w sobie jest wszystkim, miejsca mu nie trzeba,
Sam sobie z piekła niebo, piekło robi z nieba.
Nie dbam o to, gdzie jestem, byłem był czem jestem
I tem, co mi należy — wszystkim...

Paradix. Lost. I. 251. 257.

(Przekł. Dmochowskiego).

snemi rękami“ i „rozdzierają własne ciała od brody aż do brzucha;“ pełen głębokiej myśli jest ten drugi, w którym duchy grzeszne za to, że źle użyły wyższego płomienia, jaki im z nieba dano, goreją w tym samym płomieniu.

„Dentro da' fuochi son gli spiriti
Ciaseun si fascia di quel ch'egli è inceso ¹⁾).

Ale jeżeli zapuścimy się głębiej w to koło i zbliżka przypatrzymy się potępiencom którzy w niem karę ponoszą, zdziwić się będziemy musieli na widok, jak skromne i mało metafizyczne znaczenie ma tutaj to słowo, w którym dla nas mieści się cały świat i cały chaos myśli, słowo: „rozum używający swoich władz na złe.“ Te duchy bowiem, palone ogniem, który je miał oświecać, to nie są bynajmniej filozofowie, podający zuchwale w wątpliwość prawdy religijne lub moralne, wyzywający Boga w jego skrytościach i naprzeciw objawieniu danemu z nieba, stawiający wiedzę wyszłą z ziemi; to są poprostu ludzie, którzy, obdarzeni wyższym rozumem, rozumu tego użyli na złe, w złych radach... politycznego rodzaju; Ulisses naprzykład, który doradził Trojańskiego konia, Montefeltro, który papieża uczył „obeцcywać wiele a mało dotrzymać“ — Bertrand de Born, który Plantageneta popełnił do buntu przeciw własnemu ojcu, „nie gorzej postąpił Achitofel względem Absalona i Dawida!“ Pomiedzy wszystkimi zaś, którzy rozumu swego nadużyli, nie wymienia Dante, jeszcze raz powtarzam, ani jednego filozofa, ani jednego człowieka myśli. Jedynym z filozofów, którego w *Bo-skiej Komedyi* widzimy skazanym na wieczne męczarnie, jest Epikur; i tego mieści Dante między heretykami, „tam, gdzie niewstrzeżliwość graniczy ze złośliwością,“ razem ze wszystkimi jego adeptami, „co każą duszy umierać wraz z ciałem“ ²⁾. Dowód oczywisty, że w sceptycyzmie widział Dante same tylko zmysłowe pobudki i cel materyalny, a wolne myślenie brał za jedno z wolnym obyczajem.

¹⁾ Inf. XXVI. 47. 48.

Wewnątrz ogni ukryte są duchy,
Każdy spowity tym, który go pali.

²⁾ Inf. X. 14—15.

Ze wszystkiego w istocie, co Dante mówi, a więcej jeszcze *z tego, czego i o czem nie mówi*, łatwo jest poznać, że on nie ma ani wyobrażenia o negacyi filozoficznej w tem znaczeniu metafizycznym i transcendentalnem, które u nas, na nasze nieszczęście czy na naszą chwałę, stało się tak zwykłym i powszednim. Dlatego zaś nalegam tak na te charakterystyczne w *Boskiej Komedyi* opuszczenia, że niemniej jest ciekawem i nauczajacem zdać sobie sprawę z tego, czego w niej niema, jak poznać i zapamiętać jej nieprzebrane bogactwa. Stara naprzykład jak świat jest ta myśl, ta prawda, że Bóg założył wiedzy ludzkiej granice, które przekraczać jest niebezpiecznie, że kto chce wszystko wiedzieć, w tym pod tą żądzą kryje się pycha wielka i grzeszna, i że kto się w zagadkę życia zbyt głęboko zagłębi, ten łatwo w przepaść zapadnie; instynkt wrodzony ludów i sztuka mistrzów wynalazły niejedną już myth lub allegoryę, których moralną nauką była ta nauka trudnego wyrzeczenia się i ograniczenia, stworzyły niejednego typ geniusza czy tytana, którego śmiałość była wielką, ale wielką i kara. Starożytność miała swego Prometeusza, nasz wiek wydał Fausta i Manfreda, a nowoczesny poeta gdyby opisywał Piekło, nie omieszkaby pożyczyć sobie lub wymyśleć takiej postaci, wyrażającej myśl tak głęboką i tak bolesną naukę. Ale pomiędzy tym „ludem zgubionym,” który zamieszkuje piekło Dantego, próżnoby ktoś postaci takiej chciał szukać; ani jeden z tych tragicznych buntowników przeciw przeznaczeniu nie jest stąconym na dno jego otchłani, ani jeden wielki duch z rodzaju Prometeusza nie występuje z tła jego ponurego obrazu jako nieśmiertelny przykład i upomnienie, a nawet samego tego imienia Prometeusza niema ani razu w *Boskiej Komedyi*, choć jej nie zbywa przecie na reminiscencyach klassycznych, ani na mitologicznych postaciach. Rzecz dziwniejsza jeszcze, imię Joba także nie jest wymienione w tem pandemonium tak przestronem, a tak zaludnionem, a między patriarchami, których Dante nazywa i wysławia wszystkich, od pierwszego aż do ostatniego, od Adama do Tobiasza, jednego tylko nie widzę, sprawiedliwego z ziemi Hus, tego Prometeusza Biblii, który także walczył z Bogiem, który chciał przeniknąć zagadkę stworzenia i zbadać wielką tajemnicę *z tego!* Jeden tylko

w całym piekle Florenckiego poety zdaje się zbliżać do tego typu i o tę myśl cokolwiek potrącać: ale dość wymienić tego jednego, dość wymówić imię Ulissesa, żeby dać uczuć i zrozumieć, jak mało właściwą i stosowną jest ta personifikacya i jak niewyraźną, jak niewyrobiałą jest w poemacie Dantego ta myśl tytanicznych walk i duchów, która w pomyśle czy w poemacie podobnej treści, napisanym przez człowieka nasyconych wieków, byłaby górowała nad wszystkimi innemi. Ulisses ukarany za to, że nie oparł się żądzy „poznania świata, i cnót i wad ludzkich,” przebiegły Laertiades, skazany na wieczne płomienie za to, że próbował przebyć „ten wąwóz ciasny, w którym Herkules położył dwa znaki na przestrożę ludziom, żeby dalej nie szli“ ¹⁾, oto jedyny Faust, jedyna Prometejska dusza w całym Piekło Dantego, a ten jeden mały fakt dowodzi więcej, niż dowieszcby mogły tomy argumentów i wykładów. Oznacza on ściśle granice i daje miarę badawczego ducha Dantego, opisuje dokładnie zakres widoków jego, jak i całych wieków średnich. Powiedziałem już, że wieki średnie znały powątpiewanie, ale nie znały wątpienia, wielkiego, powszechnego, uznanego i uprawnionego niejako wątpienia; powiedziałbym podobnie o *Boskiej Komedyi*, że ona zna i opisuje wiele złego, naturze naszej właściwego, ale nie zna i nie obejmuje *złego* w jego pojęciu transcendentalem i absolutnem. Dante zna i rozumie złe w samych tylko jego częściowych, praktycznych objawach i skutkach, w jego moralnych, społecznych i politycznych wynikach, nie zna go i nie pojmuje w jego przyczynie jednej, jednolitej, teoretycznej, w jego pierwiastku filozoficznym i w jego zasadzie oderwanej, samej w sobie. Zna on oczywiście negacyę, przeczenie, bo dla niego, jak dla najprostszego, najprostoduszniej wierzącego z wierzących i prostych, każdy grzech jest już przeciwieństwem, negacyą Boga, a początkiem jego są namiętności lub korzyści ludzkie. Ale przeczenia metafizycznego, absolutnego, negacyi, która przeczy by przeczyć i wali dlatego tylko, by walić — bez powodu w namiętności lub w korzyści człowieka, ale tylko samą mocą konieczności swojej natury i swojej logiki — tej, która wszystko

¹⁾ Inf. XXVI. 107—109.

rozkłada, a dochodzi do niczego, do nicości; która materyalnego nie ma w sobie nic, bo jest duchem, duchem, który zawsze tylko przeczy, jak mówi o sobie Mefistofeles Göthe'go; takiej negacyi Dante nie zna, ani się domyśla. A w długim spisie grzechów, który śpiewak Piekła przed nami roztacza, brak jest jednego grzechu głównego, grzechu nieokreślonego, nieograniczonego wątpienia bez celu i końca, grzechu bezdennego badania, i dochodzenia bez granic i kresu. Niema go w poemacie, bo go nie było w pojęciu i wiedzy poety, jak nie było w sumieniu i samowiedzy współczesnego mu świata...

Żeby wypocząć, czy żeby zebrać myśli, książę Silvio zatrzymał się w tem miejscu, a milczenia jego nie śmiał przerwać żaden ze słuchaczy. Hrabina tylko, która słuchała, siedząc, jak zwykle, przy fortepianie, zaczęła przebierać lewą ręką po klawiszach, a wkońcu wydobyła z nich słodką harmonię, w której obecni poznali zaraz plagalną kadencję ¹⁾ sławnego *Credo* z Palestriny *Missa Papae Marcelli*. Poznali w tem także jeden z tych pomysłów, pełnych rozumu i wdzięku, których pani domu miała szczególny dar i przywilej; poznali, że chciała ona tym sposobem dać najgodniejszy wyraz muzyczny, wtór niejako i dalszy ciąg słowom księcia i jego gorącej obronie niezłomnej i niezmiennej prawowierności Dan-tego. Tą samą myślą przejęty, skoro ucichły ostatnie tony muzyki, zaczął Marchese Arrigo mówić półgłosem tę piękną parafrazę składu apostolskiego, w której Dante wyznaje swoją wiarę przed Śtym Piotrem w Raju:

Credo in uno Dio

Solo ed eterno, che tutto il ciel move

Non moto, con amare e con disio.

E a tal creder non ho io pur prove

Fisice e metafisice, ma dalmi

Anche la verità che quinci piove.

¹⁾ Kadencya plagalna, wyrażenie techniczne, oznaczające zakończenie z akkordu subdominanty na akkord toniki, (naprzykład z *f* na *c* zamiast z *g* na *c*).

Per Moisè, per profeti, e per salmi,
 Per l'Evangelio, e per voi che scriveste
 Poichè l'ardente Spirto vi fece almi.

E credo in tre persone eterne, e queste
 Credo una essenza sì una e sì trina
 Che soffera congiunto *sunt et este*.

Della profonda condizion divina
 Ch'io tocco mo, la mente mi sigilla
 Piu volte l'evangelica dottrina.

Quest' è il principio, quest' è la favilla
 Che sì dilata in fiamma poi vivace
 E come stella in cielo, in me scintilla ¹⁾).

¹⁾ Parad. XXIV. 130. 147.

Wierzę w jednego
 Wiecznego Boga, który niewzruszony
 Porusza niebo miłością i wolą.
 A dla tej wiary nietylko dowody
 Mam ja fizyczne i metafizyczne,
 Lecz mi je daje prawda, która płynie
 Ztąd, przez Mojżesza, Proroki, i Psalmy,
 Przez Ewangelię, przez Was Apostoły.
 Którzyście pisać naonczas poczęli,
 Kiedy Was ogniem natchnął duch gorący.
 I wierzę we Trzy Osoby przedwieczne,
 Wierzę w ich istność jedną i troistą
 Tak, że im razem *sunt* i *est* przystoi.
 Tę to głęboką tajemnicę Boską,
 Com ja tu wspomniał, w umysł mi wraziła
 Ewangieliczna nauka oddawna.
 Owoż jest źródło, owo iskra święta,
 Która wciąż w płomień rozrasta się żywszy,
 I błyszczy we mnie jako gwiazda w niebie.

(Dokończenie nastąpi).

Tłóm. St. Tarnowski.

PODRÓŻE NORDENSKJÖLDA

w okolicach biegunowych.

Prawie dziesiątą część naszej kuli ziemskiej zajmują strefy biegunowe. Są to już najdalsze kończyny ziemi, sięgające od kół biegunowych aż po bieguny, ponura kraina wiecznych śniegów i lodów, gdzie dzień i noc trwają naprzemian miesiące całe, a słońce, jakkolwiek tak długo świeci na widokregu, za słabe jest przecież, ażeby pustą ziemię przyodziać bujnem życiem organicznem.

Północna strefa biegunowa, o niej bowiem tylko jako o widowni działania Nordenskjölda zamierzamy powiedzieć kilka słów wstępnych, obejmuje w Europie całą Laponią skandynawską, Laponią rosyjską od zatoki Botnickiej aż do półwyspu Kola nad Morzem Białem i północne kończyny Uralu. Z Azyi należy tutaj półwysep Samojedzki, między Morzem Karskiem a zatoką Obską, czyli północna kończyzna gubernii Tobolskiej; północna połowa gubernii Jenisejskiej, zamieszкана przez Samojedów, dorzecze dolnej Leny zamieszkane przez Jakutów, kraina Czukezów i Kamczatka. Azyą okalają prócz tego liczne wyspy, leżące także w obrębie tej strefy, jak n. p. Nowa Ziemia, archipelag Nowej Syberyi, Wyspy Niedźwiedzie, Ziemia Wrangla, które jakkolwiek nie są stale zamieszkane, służą nieraz koczującym Azyatom jako miejsce chwilowego pobytu. W Ameryce należy do strefy

biegunowej północna kończyła lądu stałego, rozległy archipelag północno-amerykański, sięgający aż po za 80° półn. szer., a zamieszkany stale lub chwilowo przez Eskimosów i Grenlandy z wyjątkiem południowej kończyny.

Obszar ziemi, okolony północnymi wybrzeżami Europy, Azji i Ameryki, tworzy wielką kotlinę morską, właściwie Morze Lodowate północne, złączone tylko z Oceanem Atlantyckim na szerszej przestrzeni, a z Oceanem Spokojnym wąską jedynie cieśniną Behringa. O środkowej części tej wielkiej kotliny, obszarem równej prawie Europie, nie wiemy. Znane są tylko mniej lub więcej dokładnie jej części nadbrzeżne i niektóre wyspy aż po za 83° północnej szerokości.

Okolice biegunowe możnaby pod niejednym względem porównać z obszarami lodowców w wysokich górach, n. p. w Alpach. Główną charakterystyczną cechą okolic biegunowych i wysokich regionów alpejskich, są lody. Wznosząc się z nizin na coraz wyższe pasma alpejskie, zauważymy, że ciepła pora roku staje się coraz krótszą, a w wysokości 2600 m. są nawet w późnem lecie wszystkie płaszczyzny pokryte śniegiem i lodami, ponad które sterczą tylko wierzchołki gór, jakby wyspy z pośród morza. Tak samo jest w strefie biegunowej. Już w Islandyi dochodzą niektóre lodowce aż do morza; północną Grenlandyą pokrywają one na niezmiernej przestrzeni, a pod 70° półn. szer. są tylko w późniejszym lecie niektóre pasma nadbrzeżne wolne od śniegów i lodów, i tworzą jakby oazy w ogromnej lodowatej pustyni. Lodowce posuwają się bez przerwy do morza, tutaj odłamują się od nich wielkie bryły lodu, a niesione prądami morskimi, płyną, zwłaszcza w czerwcu i lipcu, z zatoki Baffina, aż do Nowej Fundlandyi i daleko na południe. Są to tak zwane „*góry lodowe*“, tak niebezpieczne dla żeglugi. Prócz tego zamarza morze, a mianowicie w późnej jesieni i zimie, przy wysokim stopniu zimna, w miejscach spokojniejszych i płytszych. Wówczas tworzą się znowu „*poła lodowe*“, tamujące także żeglugę.

Stosunki temperatury tej strefy są dotychczas mało zbadane. Wogólności tylko powiedzieć można, że termometr opada często poniżej 40° C. i że ostateczności temperatury

są daleko jaskrawsze w okolicach biegunowych niż w Alpach. Lata są tam stosunkowo cieplejsze, a zimy o wiele zimniejsze.

Jeśli już skutkiem tych stosunków temperatury życie człowieka w strefie biegunowej ma ciężkie warunki, to jeszcze bardziej utrudnia je długa noc zimowa. Pod 70° półn. szer., wynosi najdłuższa noc dni 60, pod 75° dni 97, pod 80° 127; pod 85° 153; a pod 90° dni 179. Wśród długiej nocy zimowej zapada przyroda w sen głęboki.

Po długiej nocy nastaje długi dzień, a wówczas budzi się i rozwija życie organiczne, podobne także, szczególnie w świecie roślinnym, do alpejskich tworów organicznych. Flora północnej Grenlandyi, archipelagu północno-amerykańskiego i Szpicbergu, ma tesame cechy co i flora alpejska. Jak w wyższych regionach Alp nikną drzewa i rosną już tylko zioła odznaczające się pięknem kwieciami, mchy i porosty, taksamo jest i w strefie biegunowej. Lasy się gają gdzieś tylko do 70° półn. szer., drzewa szpilkowe jedynie, topole i brzozy przekraczają miejscami granice strefy arktycznej, dalej znajdziemy rosną już tylko rośliny podobne do alpejskich.

Mniej podobieństwa dopatrzyć można w świecie zwierzęcym. Są wprawdzie nieliczne rodzaje owadów wspólne strefie biegunowej i regionom alpejskim, ale jest ich mniej daleko niż roślin. Pochodzi to ztąd niezawodnie, że fauna łądu stałego ubożeje w ogóle daleko prędzej w kierunku ku północy niż flora, i że liczba zwierząt łądowych w strefie biegunowej w ogóle bardzo jest mała. Najważniejsze z nich są: renifer, niedźwiedź biały, który się jawi często na brzegach Szpicbergu, a z lodami zapuszcza się daleko na północ, niedźwiedź brunatny, rzadki i trzymający się łądu stałego, lis niebieski, pewien gatunek zająca i mysz (*mus decumanus*), zawieziona ztąd w okrętach handlowych do Tromsø.

Ale podczas gdy śniegi i lód nie pozwala na znacznej przestrzeni łądu stałego rozwijać się życiu zwierzęcemu, znajdują zwierzęta morskie bardzo obfitą żywność i żyją też tutaj w takiej ilości, że mogą współzawodniczyć z krajami południowymi. Jest tu wielkie mnóstwo oceanicznych zwierząt świecących. Morza biegunowe są ojczyzną przeważnej liczby

ssawców morskich, a mianowicie olbrzymich wielorybów, narwałów, delfinów i innych. Do tego dodać jeszcze należy mnóstwo ryb i roje ptactwa ciągnące latem ku północy aż po za 80° północnej szerokości, by się tam gnieździć i młode wylęgiwać.

W miarę jak ku północy szybko ubożeje świat roślinny i zwierzęcy, zmniejsza się też gęstość zaludnienia w sposób bardzo widoczny, a co więcej, występują rasy różne od mieszkańców stref szczęśliwszych fizycznie i intelektualnie zastosowane do twardych warunków, wśród jakich żyć muszą. W Europie mieszkają na krańcu północnym Lapończycy, w pustyniach Ameryki podbiegunowej nieliczni Eskimosowie prawdziwy lud biegunowy. Pod 77° północnej szerokości oznaczają nasze mapy na zachodnim wybrzeżu Grenlandyi *Iteplik* jako ich osadę najdalej na północ wysuniętą. Po za tą granicą, a w innych okolicach biegunowych już wcześniej nawet, giną wszelkie ślady trwałych ludzkich osad. Czasem tylko zjawia się tam przelotnie łowcy chciwi zdobyczy, albo przezimuje jaka wyprawa naukowa dobrowolnie lub przymusowo.

Na wyobraźnię człowieka wywierają te okolice biegunowe tajemniczy, niepojęty urok. Nam, dla których zima jest obrazem śmierci, lub co najmniej zupełnej ciszy i zastoju, trudno wyobrazić sobie okolice puste, pokryte wiecznie śnieżnym całunem, rzeki skrzepłe od zimna i nieruchome, jako coś powabnego. Ale wyobraźmy sobie dziko poszarpane skały sterczące tu i owdzie po nad morze niebieskozielone i pokryte miejscami zielonym kobiercem, wyobraźmy sobie owe olbrzymie góry lodowe, pływające jakby jakieś bajeczne góry szklane, lśniące od promieni słonecznych, dodajmy do tego zjawisko wspaniałej zorzy północnej, i inne zjawiska świetlne, którychbyśmy gdzieindziej napróżno szukali, a zrozumiemy zachwyty niektórych podróżników, z jakim nam te okolice opisują.

Dla człowieka są okolice biegunowe od wieków widownią jego działania. Oddawna już usiłuje on rozmaitemi drogami i z rozmaitych stron dotrzeć w tę pustą krainę śniegów i lodów. I jakież to bodziec, jaka nadzieja wabi go na te podróże pełne trudów i niebezpieczeństw? Czego się tam

spodziewać? co tam można znaleźć? Może obszar morza lodowatego nieróżniący się niczem od innych obszarów mórz podobnych? Ludzie praktyczni, szukający wszędzie korzyści materialnych, mówili już nieraz, że po tych wyprawach nie ma się czego spodziewać, że podróże w okolice biegunowe są najniewdzięczniejszym polem. na jakie kiedykolwiek badanie umiejętnie wstąpiło.

Otóż tak nie jest bynajmniej. Przeciwnie, zbadanie tych okolic, ważne jest niesłychanie nie tylko pod względem umiejętnym, ale także materialnym i handlowym.. Jakieżto korzyści przynosi n. p. sam połów wieloryba. Słusznie ktoś powiedział, że połów wieloryba jest połowem złota pływającego w morzu w kształcie olbrzymich tych zwierząt. Amerykanie n. p. miewali przez długie lata po 8 milionów dolarów rocznego czystego dochodu z połowu wieloryba w Morzu Lodowatym koło cieśniny Behringa. Taki połów jak wogóle podróże po Oceanie Lodowatym, wykształcają także, jak uznano powszechnie, dzielnych żeglarzy, i doprowadziły na liczne odkrycia geograficzne. „Kto otworzył ludziom wielkie drogi morskie“ — mówi Michelet — „i całą kulę ziemską, jeśli nie wieloryb i ścigający go żeglarz. A działo się to na długo przed Kolumbem i osławionymi szperaczami złota, którzy wśród wielkiego rozgłosu to znowu znaleźli, co rybakom dawno już było znane. Podróż przez Ocean, tak wysoko czczoną w wieku XV, odbyto już nieraz przez morską cieśninę między Islandyą a Grenlandyą, zmierzono nawet całą szerokość oceanu, bo Baskowie dotarli aż do Nowej Fundlandyi. Wieloryb zaprowadził człowieka do mórz północnych, aż na kraniec świata. A kto na to się ważył, ten już był zimny i obojętny na zwykłe niebezpieczeństwa morza. Połów wieloryba nie był też naówczas łatwy. Trzeba było natrzeć zbliżka na zdobycz i stawić życie za życie. Zyskano więc dużo na odwadze, zręczności, cierpliwości, jednym słowem, kształcono się na dzielnych żeglarzy. A chociaż zdobycz nie zawsze była obfita, chociaż niekiedy mało przywieziono tranu, to sławy było zawsze dużo. Wielorybom przeto zawdzięczamy bardzo wiele; bez nich trzymaliby się byli rybacy ciągle brzegów, bo wszystkie prawie ryby

żyją przy brzegach. Wieloryb powiódł rybaka wszędzie za sobą.“

Ażeby ocenić korzyści, jakie te podróże dla handlu przynieść mogą, dość będzie uprzytomnić sobie na chwilę mapę naszej ziemi. Zauważymy natychmiast, ileby handel skorzystał, gdyby możliwą było rzeczą dostać się z Europy wzdłuż północnych brzegów Ameryki lub Azji do cieśniny Behringa. Jakże znacznie skróciłaby się przez to droga morska do wschodniej Azji lub zachodniej Ameryki, wiodąca dzisiaj dokoła całej Europy i Azji z jednej, a dokoła całej Ameryki z drugiej strony! Wyszukanie takiej drogi było w ostatnich wiekach głównym celem podróży, podejmowanych w okolicie biegunowe.

Największych jednakże korzyści może się spodziewać umiejętność geograficzna po tych podróżach w okolicie biegunowe. Zadaniem tych wypraw jest dokładne określenie głównych zarysów naszego planety, ustalenie granic między morzem a lądem stałym. „Jak długo są jeszcze wielkie obszary na ziemi,“ mówi Petermann, „w których odkryć można nowe wyspy lub kontynenty, pozostanie ich odkrycie zawsze głównem zadaniem badań geograficznych. Rozdział lądu i mórz jest bowiem podstawą nauki o ziemi, a każda nowa wyspa ma pod tym względem ogromne znaczenie.“ Fizyczna geografia morza wzbogaca się także przez badanie okolic biegunowych. Niemniej ważne jest badanie tych okolic dla geologii. Pod tym względem mało jeszcze poczyniono odkryć, ale i te nieliczne znane nam już szczegóły o geologicznych formacjach w ogólności, o pokładach węgla kamiennego na Szpicbergu, o pokładach kości a nawet dobrze zachowanych ciał mamuta i innych olbrzymich zwierząt przedpotopowych na brzegach Syberyi i wyspach pobliskich, bardzo są ważne i ciekawe rzucają światło na historią naszej ziemi. Poznanie stosunków meteorologicznych, których ważność i pożytek wzrasta z dniem każdym, pozbawione jest mimo wszelkich usiłowań i prac swej podstawy tak długo, jak długo okolic biegunowych nie poznamy pod tym względem lepiej niż dotąd. Również przyczyniają się te wyprawy do poznania stosunków magnetyzmu ziemskiego, tak ważnego dla żeglugi.

Świat zwierzęcy jeśli nie różnorodnością, to wielkością i osobliwością form swoich nie ustępuje faunie stref innych. Znajdzie tu przeto zoolog i botanik obfity materiał dla swych poszukiwań umiejętnych. Etnografia nawet i historia rodu ludzkiego mogą ztąd odnieść pewne korzyści. Narzędzia n. p. używane dziś jeszcze przez niektóre szczepy Eskimosów w Grenlandyi północnej, podobne są zupełnie do sprzętów i narzędzi z okresu budowli nadwodnych (*Pfahlbauten*), mogłyby więc rzucić nowe światło na ten przedmiot, rozbierany dziś tak gorliwie.

W jakim zaś stopniu i rozległości geograficzne zjawiska na biegunach ziemskich i w okolicach biegunowych pozostają w związku ze zjawiskami stref innych, jak one wzajemnie oddziałują na siebie, możnaby wykazać na licznych przykładach, z których wystarczy tutaj wzmianka o prądach powietrznych i morskich. Dopóki przeto nie poznamy okolice biegunowych dokładniej niż dotąd, pozostanie cały system naszej wiedzy geograficznej, a zwłaszcza nasze wyobrażenie o zjawiskach fizyczno-geograficznych niezupełnem i niedość jasnem. W okolicach biegunowych leży klucz do rozwiązania najważniejszych zagadnień.

Oceniając te rozliczne korzyści, nie szczędziły oddawna narody i poszczególne jednostki, ani ofiar, ani trudów i poświęcenia dla zbadania tych krain. Między zasłużonym i w tej sprawie, zajmują naturalnie pierwsze miejsce ludy północne. Zahartowane w swojej ojczyźnie, przywykłe do ciągłej walki z przyrodą wobec ubóstwa swej ziemi, były przewodnikami w tem dziele. Anglia, Holandya, Rosya, Szwecya i Norwegia, Ameryka północna, brały z dawien dawna gorliwy udział w tych wyprawach; w nowszych czasach wystąpiły także Niemcy i Austria.

Ostatnimi jednakże czasy położyli na tem polu najwięcej zasług Szwedzi. Ich wyprawy, podejmowane z wielką wytrwałością i jasno wytkniętym celem, wspierane hojnie przez rząd, a jeszcze hojniej przez ludzi prywatnych, przyniosły w ostatnim dziesiętku lat znaczne korzyści umiejętności i handlowi a okryły sławą naród szwedzki. Największa znowu część tych zasług i sławy przypada na Nordenskjölda, który od 22 lat przeszło pracuje bez przerwy prawie na tem polu. Najświe-

tniejszym był rezultat ostatniej podróży, podjętej w r. 1878, z której dopiero 24 kwietnia 1880 wrócił do ojczyzny. Wiemy już jednak z listów jego i innych uczestników podróży tyle o niej szczegółów, że możemy zestawić ogólny jej obraz. Ale zanim przystąpimy do niej, podamy pokrótce kilka szczegółów z życia Nordenskjölda i jego poprzednich wypraw odbytych w okolicie biegunowe. W podróżach tych chodziło zawsze o jakieś umiejętne lub praktyczne cele, dla Nordenskjölda zaś były one prócz tego wyborną szkołą praktyczną, w której się wykształcił na jednego z najdzielniejszych dziś podróżników i badaczy.

Adolf Eryk Nordenskjöld pochodzi ze starożytnej rodziny szwedzkiej, wyniesionej w r. 1751 do godności szlacheckiej. Urodził się d. 18 listopada r. 1832 w Helsingfors, w Finlandyi. Ojciec jego, znany mineralog, był dyrektorem finlandzkiego górnictwa. Przeważną część wieku dziecięcego przepędzał Nordenskjöld w posiadłości ojcowskiej Frugård w Nylandyi. Szczególny zwyczaj panował w tej rodzinie. W domu zbudowanym przez jednego z przodków sławnego dziś podróżnika, znajdowała się w środku obszerna wysoka sala zawierająca zbiory przyrodnicze. Każda generacya uzupełniała ten zbiór, a wszyscy synowie tej rodziny odznaczali się zamiłowaniem w tej mierze. Zbiory i księgi nagromadzone w tym domu wpłynęły korzystnie na rozwój duchowy młodego chłopca, i wytknęły mu kierunek, którym postępując rozwiązał jako mąż dojrzały to, czego inni przed nim dokonać nie zdołali, to jest odkrył „przeprawę północno-wschodnią.“

Młody Nordenskjöld towarzyszył już wcześniej ojcu swemu w jego górniczych podróżach, a tak zaprawiał się w rozpoznawaniu geologicznych właściwości kraju. W celu ukończenia studyów gimnazyalnych, posłano chłopca do Borgo, zostawiono mu jednak dość wielką swobodę w naukowej pracy, a przy końcu roku szkolnego zapewniał rektor, że chłopiec nie odznaczał się wcale pilnością. Lecz ojciec był dobrym psychologiem, poznał właściwości charakteru swego syna, a w dalszych latach nauki zostawił mu jeszcze większą swobodę. Przedtem bawiła z nim w Borgo matka i miał guwernera; teraz umieszczono go u jakiejś ubogiej ro-

dziny, a co do nauk, pozostawiono go zupełnie własnym siłom. Ta okoliczność obudziła w młodzieńcu ambycją i od-tąd uczył się pilnie. Z Borgo udał się w r. 1849 na studia uniwersyteckie do Helsingfors. Po skończeniu tychże, ogło-sił rozprawę o „krystalicznych kształtach grafitu i chondo-drytu,“ „o finlandzkich minerałach“ i inne treści chemicznej lub mineralogicznej i spodziewał się, że otrzyma stypendyum rządowe na podróż geologiczną w Syberyi i Kameczatce. Ale zawiodła go nadzieja. Otrzymał tylko stypendyum Aleksandra na podróż naukową po Europie. Zwlekał jednak wyjazd, bo chciał być obecnym na uroczystości uniwersyteckiej w r. 1857 i odbyć równocześnie promocją doktorską. Promocya ta dała nadspodziewanie całkiem inny obrót jego życiu. W uroczy-stości wzięły udział dwie deputacye szwedzkich studentów z Upsali i Lund, a podczas bankietu na cześć tych depu-tacyj wyprawionego, gdzie nawet starsi mężowie nie bardzo byli oględni w dobieraniu wyrazów, którymi witali swych gości z ukochanej, dawnej ojczyzny, wniósł Nordenskjöld, jako pierwszy z nowo promowowanych doktorów toast słowami szwedzkiego poety, w których się mieściło wspomnienie prze-szłości i nadzieja lepszej przyszłości. Wystąpienie to poczy-tał gubernator hr. Berg prawie za zdradę stanu, a Norden-skjöld otrzymał od pewnego przyjaciela gubernatora wska-zówkę, że najlepiejby zrobił, gdyby się wybrał w podróż dobrowolną. Opuścił więc państwo rosyjskie i udał się do Szwecyi.

Tutaj otrzymał już w roku następnym (1858) posadę profesora i kustosza oddziału mineralogicznego przy pań-stwowem muzeum w Sztokholmie, a tak Szwed z pochodze-nia został obywatelem szwedzkim. W pierwszych latach po przesiedleniu się do Szwecyi, aż do r. 1862, dopóki Berg był gubernatorem, nie dozwolił mu rząd rosyjski odwiedzić Finlandyi. Nawet wówczas wzbroniono mu wstępu, gdy chciał otrzymać ostatnie błogosławieństwo z rąk konającej matki. Później był mu przystęp do kraju dozwolony, ale gdy się starał w r. 1867 o katedrę geologii w Helsingfors, nie mia-nowano go profesorem, chociaż kolegium uniwersyteckie po-leciło go jednomyślnie. W następnych latach dopiero miał

on pośrednio także i Rosyi wyświadczyć tak ważne usługi, że i tam witano go wszędzie z wielką życzliwością.

Jako profesor mineralogii podejmował Nordenskjöld liczne podróże naukowe po Szwecyi, Norwegii, Finlandyi i Uralu, a energiczne jego usiłowania wzbogaciły znacznie muzeum Sztokholmskie. Głównem wszakże jego życzeniem było zbadanie okolic biegunowych i na tem polu miał sobie zdobyć największą sławę i największe położyć zasługi.

Już w latach 1858 i 1861 wziął Nordenskjöld udział w wyprawach Torella do Szpiebergu. Celem wyprawy z r. 1858, czysto naukowej, było badanie lodowców biegunowych i mięczaków arktycznych, by przez to otrzymać pewne dane co do pochodzenia erratycznych głazów skandynawskich. Nordenskjöld miał w tej podróży zajmować się geognozą. Wyprawa dotarła daleko na północ, dalej niż Kane w swej sławnej drugiej podróży. Na zachodnim wybrzeżu Szpiebergu przepędzono więcej niż dwa miesiące, zwidzono większą część fiordów, a Nordenskjöld zbadał wybrzeże pod względem geologicznym.

Wyprawa z r. 1861 jest naprzód z tego względu ciekawą, że od czasów wyprawy Antoniego Rolandsona Martina z r. 1758, wykonanej na koszt szwedzkiej akademii umiejętności w okolicy biegunowej, która dotarła 28 czerwca do 80° półn. szer., była ona pierwszą dopiero wyprawą szwedzką zorganizowaną na większe rozmiary.

W maju wybrano się w podróż dwoma okrętami: *Aeolus* i *Magdalena*. Na północ od Szpiebergu nie zdołano się dostać, lody stanęły na przeszkodzie. Natomiast badanie Szpiebergu powiodło się znakomicie. Na północnych i zachodnich brzegach oznaczono astronomicznie prawie 60 punktów, w czym Nordenskjöld gorliwy brał udział. Nad magnetyzmem ziemskim poczyniono ciekawe spostrzeżenia, oznaczano temperaturę powietrza i wody, badano prądy morskie, i dowiedziono, że prąd zatokowy (golfowy) dochodzi aż do północnych brzegów Szpiebergu. Zoologiczne i botaniczne zbiory były świetne; zebrano wiele ciekawych szczegółów do życia roślin i zwierząt w znacznej głębokości a Nordenskjöld badał prócz tego geologiczne stosunki i nagromadził dużo ciekawych okazów.

W r. 1864 powierzono już Nordenskjöldowi kierownictwo nowej wyprawy, której głównym celem były znowu przygotowawcze badania do geograficznych pomiarów Szpiebergu.

W cztery lata później przyszła do skutku nowa wyprawa za staraniem Nordenskjölda, przy pomocy rządu i licznych osób prywatnych, a zwłaszcza obywateli Gothenburga. Dnia 7 lipca 1868 r. wypłynęła ona na parowcu *Sophia* pod dowództwem Nordenskjölda z Gothenburga. Stosownie do swego zwyczaju, wziął Nordenskjöld nieliczną załogę — 14 tylko osób, — ale za to oprócz lekarza, trzech zoologów, dwóch botaników, jednego fizyka i jednego geologa. Głównym celem wyprawy, było wprawdzie dotrzeć do najdalszej możliwej szerokości geograficznej, ale obok tego położono zaraz z początku wielki nacisk na badania przyrodnicze, któreby w danym razie powetowały nieudanie się celu głównego. I tak postanowiono badać florę i faunę wyspy Niedźwiedziej, trzeciorzędne pokłady tej wyspy a zarazem Szpiebergu, morską florę, niemniej też czynić spostrzeżenia meteorologiczne, magnetyczne i inne.

Pięciodniowy pobyt na wyspie Niedźwiedziej (od 22 do 27 lipca) okazał zaraz, co mogą zdziałać takie złączone siły umiejętne, jakie Nordenskjöld miał ze sobą. Przekonano się, że wyspa jest 10 razy większą (12:35 niemiec. mil kwadrat.), niż dotąd mniemano, i że całkiem inny kształt posiada, a pod względem przyrodniczym dość ciekawe przedstawia stosunki.

„Wyspa Niedźwiedzia“ — mówi Nordenskjöld w swem sprawozdaniu — „jest to, jak wiadomo, mała wysepka, położona między Norwegią a Szpiebergiem. Tworzy ona pustą płaszczyznę, 50 do 100 stóp wysoką. Na południu i wschodzie wznoszą się dwie góry do wysokości 1000 lub 1200 stóp. Ku morzu opada stromo. Na str. mej tej ścianie gnieźdzą się ogromne roje ptactwa. Płaszczyznę pokrywają liczne, małe jeziora, to znowu twarde, gładkie i nagie piaskowce, lub niskie a długie wały ostrokątnych kamieni, wyglądające na pierwszy rzut oka jakby moreny, ślady dawniejszych lodowców, których tutaj jednakże nie ma wcale.“

„Życie roślinne nie ma na wyspie odpowiednich warunków. Botanicy znaleźli małą tylko ilość okazów ciekawych

jednak zawsze dla geografii roślin. Tożsamo powiedzieć można o lądowej faunie. Ptactwo gnieźdzące się na stromych ścianach było już dawniej znane, a ornitologia wzbogaciła się jednym tylko nowym rodzajem. Rodzina owadów, tak bogata co do form w strefach południowszych, dostarczyła tutaj tylko 12 małych, ale za to całkiem nowych gatunków. Ślimaków lądowych nie znaleziono taksamo, jak i na Szpicbergu.“

Morska fauna natomiast i geologia odniosły bardzo ciekawe i obfite korzyści. Szczęśliwym trafem odkryto wcale znaczne pokłady węgla kamiennego a zarazem odciski roślin, które okazują, jaka tu niegdyś rozwijała się flora.

Z wyspy Niedźwiedziej usiłował parowiec dotrzeć do wschodniego wybrzeża Szpicbergu; nie mogąc jednakże przełamać zapory lodowej, zawinął do Lodowatego Fjordu na brzegu zachodnim, gdzie pierwsza połowa sierpnia zeszła na badaniu tej zatoki pod względem przyrodniczym. Następstwo warstw geologicznych, roślinność bujniejsza niż gdzieindziej w grupie tych wysp, mnóstwo zwierząt morskich, sprawiają, że Fjord Lodowaty jest głównem ogniskiem dla badania biegunowej fauny i flory teraźniejszej i dawniejszej. To też okręt zabrał dużo ciekawych okazów i ruszył w dalszą drogę do wyspy Amsterdam. Tutaj pozostało pięciu członków wyprawy w celu czynienia spostrzeżeń meteorologicznych i innych badań naukowych, parowiec zaś popłynął z resztą na zachód, aż do południka Greenwich w celu sondowania głębokości morza. Powstrzymany lodami, skrzył okręt następnie na północ, dotarł do 81° 16' pół. szer. i cofnął się potem do zatoki Liefde.

W początkach września napróżno próbowano przedrzeć się na wschód koło Siedmiu Wysp, lub przez cieśninę Hinlopen. Zaopatrzwszy się przeto na wyspie Amsterdam w nowe zapasy węgla, wybrano się 16 września znowu ku biegunowi, podczas gdy pięciu uczestników ze zbiorami wróciło do Norwegii na okręcie węglarskim. Dnia 19 września dotarł parowiec do 81° 42' pół. szer. Zbite masy lodu, dłuższe noce, świeżo tworzące się lody, stawiały coraz większe trudności. Mimo to zaopatrzono się znowu w zapasy węgla i usiłowano raz jeszcze dostać się na północ. Lecz pod 81°

porwała okręt szalona burza i uderzyła nim tak gwałtownie o krę lodową, że go uszkodziła. Z trudnością tylko zdołano wrócić do wyspy Amsterdam, a ztamtąd 20 października 1868 r. do portu Tromsø.

Do najważniejszych rezultatów tej wyprawy należą pomiary głębokości morskich. Na północy od Szpicbergu i między Szpicbergiem a wybrzeżem Grenlandyi, wykazały one głębie dochodzące 15.900 stóp angielskich. „Pomiary te“ — mówi Nordenskjöld — „rzuciły ciekawe światło nie tylko na głębokość morza, ale także na życie zwierząt w największych głębiach morza biegunowego. Wykazały one między innemi, że Szpicberg można uważać pod pewnym względem jako dalszy ciąg półwyspu Skandynawskiego, tej grupy wysp nie oddzielają bowiem od Norwegii znaczniejsze głębie (co najwięcej 1.800 stóp), podczas gdy w pewnym oddaleniu na zachód i północ od Szpicbergu, znajdują się głębokości dochodzące 12.000 stóp i wyżej. Przy pomiarach głębokości wydobywano także z dna morskiego próbki ziemi, które zawierały nie tylko różne mikroskopijne, ale nawet i większe zwierzęta, jak n. p. różne rodzaje skorupiaków.“

Prócz tego znaleziono skamieniałości, dowodzące, że niegdyś istniała tutaj nierównie wyższa temperatura, i zbadaano dokładniej topografią Szpicbergu. Słusznie przeto powiedział Heer, „że wyprawa ta bardziej rozszerzyła zakres naszej wiedzy, aniżeli gdyby była wróciła z wiadomością, że dotarła do tego punktu na ziemi, który nazywamy biegunem północnym.“

Rezultaty umiejętne tych pierwszych wypraw Nordenskjölda były tak znaczne, że geograficzne towarzystwa w Londynie i Paryżu przyznały mu w uznaniu załug złote medale.

Dnia 16 maja 1870 r. wybrał się znowu Nordenskjöld do Grenlandyi w celu badania wnętrza tej wyspy, przy czem miał się oraz przekonać, o ile pies eskimoski nada się jako pociągowe zwierzę do sani. Podróż w głąb wyspy rozpoczął on od strony zachodniej, ale nie dotarł daleko, co najwięcej 6 do 7 mil geograficznych, i to z niesłychanem wytężeniem. Wnętrze wyspy pokrywa bowiem gruba powłoka lodowa, a w niej znajduje się mnóstwo rozpadlin tak głębokich, szerokich i blisko siebie położonych, że nie było pra-

wie gdzie nogi postawić a tem mniej wypocząć. Grunt wznosi się stopniowo, a Nordenskjöld doszedł ostatecznie do wysokości 600 m. nad poziom morza. Ztąd ujrzał także nieprzerwane masy lodowe wznoszące się coraz wyżej, i wrócił utwierdzony w przekonaniu swych poprzedników, że całą wyspę pokrywa płaszcz lodowy. Oprócz bogatych zbiorów przyrodniczych, odkrył Nordenkjöld w tej wyprawie dwa ogromne kamienie meteoryczne, leżące tak blisko na brzegu morza, że już w następnym roku mogły je zabrać okręty szwedzkie, umyślnie w tym celu wysłane.

Po długich i starannych przygotowaniach, podjął Nordenskjöld nową podróż w r. 1872. Tym razem chciał dotrzeć do Szpicbergu, a ztamtąd saniami do bieguna północnego. Przy pomocy rządu, a jeszcze bardziej mieszkańców Gothenburga, przedewszystkiem zaś kupca *Oskara Dicksona*, który odtąd jest głównym mecenasem wszystkich następnych wypraw Nordenskjölda, zaopatrzono wyprawę we wszystkie potrzebne przyrządy i zapasy. Dnia 21 lipca 1872 r. opuściła wyprawa Tromsö. Składała się ona z czterech okrętów a 67 osób. Dwa z tych okrętów miały tylko zawieść węgle, zapasy żywności na półtora roku, 40 reniferów, żywność dla nich i t. p. do Szpicbergu, a następnie wrócić do Szwecyi. Zamierzano przezimować na wyspie Parry (80° 40' półn. szer.), należącej do grupy „Siedmiu Wysp“, położonej na północ od Szpicbergu. Z wiosną postanowiono wybrać się saniami ku biegunowi. Wielkie, ciężkie łodzie i sanie mieli ciągnąć ludzie, renifery zaś tylko lekkie sanki z żywnością dla siebie, wzięto je bowiem jako zapasy żywności.

Dnia 7 sierpnia dotarła wyprawa do wysp norweskich, w pobliżu północno-zachodniej kończyny Szpicbergu. Usiłowano dostać się ztąd do grupy „Siedmiu Wysp“, ale bezskutecznie. Trzeba było w końcu obrać leże zimowe w zatoce Mossel (pod 79° 53' półn. szer., 16° 15' wschod. dług. od Greenwich). Chociaż przezimowanie na wyspie Parry byłoby w interesie meteorologii bardzo pożądanem, to jednakże i zatoka Mossel jest z wyjątkiem zatoki Polards (81° 37', półn. szer.), gdzie Harbour w r. 1871—1872 przezimował, z miejsc, gdzie w ciągu zimy robiono umiejętne spostrzeżenia, punktem najbardziej na północ wysuniętym.

Do połowy września zajmowano się budową domu i wyładowaniem zapasów. Okręty transportowe miały już właśnie wracać do ojczyzny, gdy je burza powstrzymała i tyle lodu naniosiła, że z portu nie można było wypłynąć. Według planu miało tu przezimować tylko 21 osób; stosownie do tego obliczono zapasy żywności. Skoro teraz lody zamknęły całą załogę, było położenie bardzo kłopotliwe. A gdy następnie wszystkie renifery się rozbiegły i przepadły, a w dodatku doszła 30 września wiadomość, że w pobliżu zamknęły lody sześć norweskich okrętów rybackich z 57 ludźmi, którzy ledwie do grudnia mieli żywności, zwiększyła się trudność położenia. Wzywających pomocy nie można było opuścić. Przyrzeczono im więc udzielać żywności od 1 grudnia, pod warunkiem, że się poddadzą ustawom karności szwedzkiej i pilnie będą polować, by się w pewnej mierze przynajmniej sami wyżywić mogli. Uwiadomiono ich zarazem, że koło przylądka Thordsen w Lodowatym Fjordzie, jest dom, przygotowany dla zamierzonej osady szwedzkiej wraz z zapasami żywności. Za tą wskazówką udało się 7 października 17 osób na łodziach, 4 listopada uwolniła burza dwa okręty norweskiskie z 38 osobami, zostały już tylko cztery norweskiskie okręty z dwoma ludźmi, których później znaleziono nieżywych. Z uwolnionych okrętów norweskiskich dostał się jeden szczęśliwie do Hammerfest a drugi do Tromsø. Drużyna 17 stanęła szczęśliwie 7 października w Lodowatym Fjordzie i zamieszkała dom wskazany. Z początku trudniła się polowaniem, ale 7 listopada „ustały polowania z powodu panującej ciemności“, jak zapisano w prowadzonym dzienniku. Bezczytność i nieświadomość zachowywania się spowodowała skorbut, który pomału porywał jedną ofiarę po drugiej. Zamiast korzystać z obszernego miejsca, mieszkali wszyscy w jednym pokoju, nie przestrzegali czystości, nie korzystając z licznych zapasów jarzyn, ziemniaków i t. p. żywili się tylko mięsem solonem, a tak już 24 grudnia ulegli wszyscy chorobie. Dziennik zapisuje 19 stycznia 1873 r. dwie pierwsze ofiary, potem już same wypadki śmierci, a 19 kwietnia urywa się zupełnie — śnać umarł ostatni z drużyny.

W przeciwieństwie do smutnego losu tych 17 norweskiskich rybaków, których zwłoki znalazł norweskiskie kapitan

Mack, szwedzka wyprawa przezimowała szczęśliwie. Surowa karność, wyteżona praca i odpowiednia żywność, zachowała ją w bardzo dobrym zdrowiu. Z 67 ludzi umarło tylko 2: jeden umarł na zapalenie płuc, a drugi zginął wskutek własnej nieogłędności. Z wiosną dopiero i z początkiem lata wywarły skąpe porceje żywności i klimat zły wpływ na stan zdrowia załogi. Na jednym okręcie mianowicie zapadli wszyscy na szkorbut, ale wypadku śmierci nie było.

Spostrzeżenia meteorologiczne, pierwsze czynione w ciągu zimy na Szpiebergu, a skutkiem tego bardzo pożądane, wskazują nagłą zmianę powietrza, wielkie skoki temperatury i częste burze. Temperatura dochodziła we wrześniu w przecięciu do -14° C., w listopadzie tylko do -8° , w grudniu do -14° , w styczniu tylko do -9° , w kwietniu zaś do -18° ; maximum wynosiło w grudniu -3° , w styczniu $+3^{\circ}$ C. Największe dostrzeżone zimno wynosiło 38° (w lutym i marcu). W ogóle jest zima na północnem wybrzeżu bardzo łagodna, jeśli zważymy, że kraj leży pod 80° półn. szer.

Północna Grenlandya i Nowa Ziemia mają znacznie ostrzejsze zimy. W zatoce Mossel była temperatura w przecięciu o jeden tylko stopień niższa, niż w Fjordzie Lodowatym, gdzie Norwegczycy z polecenia Nordenskjölda prowadzili także dziennik meteorologiczny. Łagodna ta temperatura zimowa, nadająca izochimenom Oceanu Lodowatego kształt języka, skierowanego kończyną ku północnej części Szpiebergu, jest prawdopodobnie wynikiem panujących tutaj wiatrów południowych i prądu zatokowego. Burze nadciągały zwyczajnie od strony południowej i częstokroć wśród zimy uwalniały zatokę Mossel od lodów tak, że tutaj i daleko naokół nie utworzyła się nigdy powłoka lodowa, która kilka przetrwała miesięcy.

Oprócz spostrzeżeń meteorologicznych czyniono także spostrzeżenia magnetyczne, oznaczano elektryczność powietrza i temperaturę, notowano przyływ i odpływ, zwracano pilną uwagę na zorzę północną i studyowano florę i faunę. Nadzwyczajnie ciekawe były spostrzeżenia, czynione nad pomyslnym rozwojem życia roślinnego i zwierzęcego w wodzie jak lód zimnej i w zimniejszym jeszcze śniegu, wśród cie-

mnej zimy. Z dna zamarzniętego morza, z warstwy wodnej ochłodzonej do -2° C., gdzie zanurzone płyty fotograficzne najmniejszego wpływu światła nie okazywały, wydobywano bujne wodorosty z owocami, a pola śnieżne były miejscami na wielkich przestrzeniach czerwono, zielono lub brunatno zabarwione, co było wynikiem niezliczonego mnóstwa mikroskopijnych wodorostów. Ale nie tak bardzo zastanawia dobry stan wodorostów w tych niskich temperaturach. Dziwniejsza jest, że w tych niskich temperaturach żyć mogą liczne zwierzęta bezkręgowce. „Idąc zimą wzdłuż brzegów morskich” — opowiada Nordenskjöld — „możemy widzieć na każdym kroku silną smugę świetlaną, niebiesko-białą, na śniegu zwilżonym w czasie przypływu, a suchym w czasie odpływu. Światło to pochodzi od milionów mikroskopijnych skorupiaków, przebywających głównie w śniegu nad brzegach morskich. Śnieg zwilżony słoną wodą jest prawdopodobnie właściwym żywiołem tych zwierzątek, a sam przekonałem się, że świecą one nawet w temperaturze śniegu dochodzącej do -10° C.; temperatura powietrza wynosiła równocześnie -33° . Szczególny wpływ i wrażenie wywiera przechadzka taka w zimnym dniu zimowym w tej mieszaninie śniegu i płomieni pryskających za każdym stąpieniem na wszystkie strony, a świecących tak silnie, iż obawia się prawie człowiek, by sobie obuwia i sukni nie popalił.“ Z dna morskiego wydobywano wraz z wodorostami bogate zbiory zwierząt morskich (robaki, raki a nawet lepiej rozwinięty gatunek ryby). Prócz tego zbadano dokładniej topografią kraju północno-wschodniego.

W ciągu zimy zezwalały burze i ciemności na małe tylko wycieczki z portu. Dnia 24 kwietnia 1873 r. dopiero podjęli Nordenskjöld i Palander, z pewną częścią załogi, samiami, wielką podróż ku północy. Zaraz w początkach nie wiodło się, i przykre trzeba było czynić doświadczenia. Dnia 16 maja dostała się wyprawa do wyspy Parry. Tam założono skład żywności, 6 ludzi odesłano do portu zimowego, a z 11 i prowiantem na dni 45, podróżowano dalej aż do wyspy Filipa ($80^{\circ} 42'$ półn. szer.) w tejżesamej grupie Siedmiu Wysp. O dalszem posuwaniu się ku północy, nie można było i my-

śleć; postanowiono przeto zwrócić się na południowy wschód, ku północnemu wybrzeżu kraju północno-wschodniego.

Po pięciu dniach mozolnej drogi, dotarli podróżnicy do przylądka Platen na wybrzeżu południowym, a idąc dalej w kierunku wschodnim, zdejmowali plan topograficzny. — Stwierdzono, że wybrzeże to wydłuża się daleko na wschód, co już Smith i Ulve zauważyli z okrętu, w swej podróży r. 1871. Zdjęcie tej części wybrzeża było najważniejszym topograficznym rezultatem wyprawy, a żałować tylko, że zabrakło czasu na zdjęcie całego wybrzeża wschodniego. Wobec pośpiechu, z jakim Nordenskjöld zdążył do zatoki Mossel, by saniami nową podjąć wyprawę ku północy, obrał on drogę przez wnętrze kraju północno-wschodniego. Niebezpieczna ta podróż od północnego wybrzeża aż do zatoki Wahlenberg, trwała od 1 do 15 czerwca. Wyspę pokrywa, podobnie jak Grenlandyą i Szpieberg, zwarta masa lodu, nieprzerwana nigdzie grzbietem skalistym lub górskim, wzniesiona 600 do 900 metrów nad poziom morza. Na lodzie leży warstwa śniegu, 2 do 3 łokci głęboka. Wierzchni, drobny śnieg, przykry jest dla podróżnika podobnie jak piasek pustyń. Gładką tę, równą przestrzeń, przerywają jednakże rozpadliny i przepaście tak szczelnie śniegiem pokryte, że podróżni dowiadują się o nich wówczas dopiero, gdy się załamia lub zapadną. Cała ta podróż przeto, której towarzyszyły częste zawieje śnieżne lub mgły, była, mimo całej ostrożności, z niebezpieczeństwem życia połączoną. Szczęśliwie jednakże wrócili podróżni do zatoki Mossel. Tutaj ożywiło się już tymczasem. Jeszcze 7 czerwca przybył pierwszy okręt z Hammerfest, a 12go przybył Anglik Smith z parowcem i żaglowcem, obdarzył załogę szwedzką znacznymi zapasami świeżych ziemniaków, soku cytrynowego, rumu, tytoniu i ocalił ją w ten sposób od najgorszych skutków szkorbutu. Wkrótce potem zabrano się do powrotu, a do dnia 6 sierpnia 1873 r. były już wszystkie okręty w Tromsö.

Powróciwszy z tej wyprawy, upatrzył sobie Norden-skjöld nowe pole badań, i następnym podróżom swoim inny wytknął cel i inny nadał kierunek. Postanowił on podjąć usiłowania w celu odkrycia tak zwanej „północno-wschodniej przeprawy“, to jest szukać drogi do Oceanu Spokoj-

nego przez północne Morze Lodowate i cieśninę Behringa. Od trzystu lat przeszło usiłowano odkryć tę najkrótszą drogę z Chin i Japonii do Europy, ważną i tem jeszcze, że płynąc tą drogą, wymija się wszystkie niebezpieczeństwa, jakie są połączone z żeglugą na morzu zwrotnikowem. Chęć odkrycia tej drogi, wywołała w Anglii w r. 1551 założenie towarzystwa handlowego, tak zwanej moskiewskiej kompanii, a już r. 1553 wyprawili się Willoughby i Chancellor na odkrycia do dalekiej północy. Lecz szczęście nie sprzyjało. Willoughby dotarł do Nowej Ziemi; tu zmusiły go lody do odwrotu. Na półwyspie Kola chciał on przezimować, lecz w ciągu zimy padł wraz z swoimi ludźmi ofiarą mrozów. Chancellor tylko, zagnany burzą, osiągnął ujścia Dźwiny, ztąd udał się do Moskwy i nawiązał z Rosyą stosunki handlowe.

W trzy lata później, r. 1556, popłynął w tesame stroiny, z polecenia kompanii, kapitan Burrough, ale po odkryciu wyspy Wajgacz i cieśniny Karskiej, musiał także wrócić. Po 24-letniej przerwie podjęli to samo usiłowanie Pet i Jakmann, odkryli cieśninę Jugorską i także wrócili. Przykład Anglii zachęcił kupców holenderskich do naśladownictwa. W r. 1594 wysłali oni Wilhelma Barentsa z dwoma okrętami. W instrukcyi polecono mu wyraźnie szukać drogi do Chin i Japonii. Barents dotarł do Nowej Ziemi, a płynąc wzdłuż zachodnich jej brzegów, dostał się na północne jej wybrzeże, i dalej nie zdążył. W drugiej wyprawie, r. 1596, dostał się on na wschodnie brzegi Nowej Ziemi i umarł.

Po założeniu tak zwanej północnej kompanii w r. 1614, obrano inny zupełnie kierunek. W miarę jak połów wieloryba na wybrzeżach Szpiebergu i Grenlandyi przynosił zyski obfite i na mniejsze narażał niebezpieczeństwa, ostygł zapał do szukania północno-wschodniej przeprawy. Bezskuteczne usiłowania podejmował jeszcze Hudson w r. 1609, van Hoorn w r. 1612 i Bosman w r. 1614. W r. 1664 natrafił Vlamingh na bardzo pomyślne warunki. Na dalekiej przestrzeni dokoła Nowej Ziemi, znalazł on morze wolne od lodów, ale nie mógł korzystać z tej szczęśliwej okoliczności, wybrał się bowiem tylko na połów wielorybów i nie miał ze sobą odpowiednich zapasów żywności. Działanie kom-

panii moskiewskiej i północnej, ustaje zupełnie pod koniec wieku XVII. Dalsze próby w tym kierunku były już tylko dziełem poszczególnych, przedsięwziętych mężów, i żadnego nie przyniosły rezultatu. I nie dziwnego. Towarzystwa handlowe, mające przedewszystkiem nie cele naukowe, lecz korzyści materialne na oku, musiały ostygnąć w zapale po tylu bezowocnych próbach.

W w. XVIII dopiero wystąpiła Rosya na tem polu. Urządziła ona cały szereg wypraw, znanych pod nazwą „wielkich północnych wypraw“, a celem ich głównym było wyszukanie najkrótszej drogi morskiej do wschodnich posiadłości w Kamezatce. Chodziło także o dokładne określenie granic północnych, które już poniekąd od ujścia Leny do ujścia Anadyru, między r. 1630 a 1724 poznano. Dieszniew mianowicie dostał się od ujść Kołymy, dokoła Przylądka Wschodniego, do ujścia Anadyru. Zachęcony odkryciami Behringa, który r. 1728 przepłynął cieśninę noszącą jego nazwisko, postanowił rząd rosyjski wykonać plan Behringa i zbadać północne granice Rosyi.

Z pięciu rozmaitych miejsc wysyłano okręty, najczęściej po dwa, by się w danym razie wzajemnie wspierać mogły, a cała generacya odważnych, niezmordowanych oficerów marynarki rosyjskiej, poświęciła się rozwiązaniu tego jednego zadania. Z Archangelska wypłynęli 1734 r. Murawiew i Pawłow, 1736 r. Małygin i Skurатов na wschód ku ujściom Obi i Jeniseju. Z Obi i Jeniseju płynęli Gołowin na zachód, Minin, Koszelew i Sterlegow na wschód. Z Leny wybrali się: Proncziszczew (1735—1736), Łaptiew, Czeluskin i Czekin (1739—1743) na zachód, Lasinius i Łaptiew na wschód, nakoniec wypłynęli 1741: Behring i Czirikow z Ochocka. Wszystkie te wyprawy pozostały bez skutku, nie odkryły przeprawy północno-wschodniej. Na wielkiej przestrzeni od cieśniny Jugorskiej, po za ujście Kołymy zbadano wprawdzie niektóre części wybrzeża, ale żadnemu z wymienionych żeglarzy nie udało się odbyć bez przerwy choćby jednej trzeciej całej tej drogi. Najszcześliwszy był jeszcze Proncziszczew. W czasie od 16 sierpnia do 1 września 1736 roku dotarł on od ujścia Oleneka aż w pobliże przylądka Czeluskińskiego, ale nie opłynął północnej kończyny Azyi. Bu-

rza północna zagnała łódź jego na południe, a zanim zdążył do portu zimowego, padł ofiarą szkorbutu. W kilka dni po nim umarła także jego żona, która z nim mężnie dzieliła trudy i niebezpieczeństwa podróży. W sześć lat później, 21 maja 1742 r., opłynął towarzysz Proncziszczewa, Czeluskin, najbardziej na północ wysunięty punkt Azji, który też później na cześć jego nazwano przylądkiem Czeluskina.

Tak się skończył drugi okres historii odkrycia przeprawy północno-wschodniej. Wszystkie późniejsze usiłowania (od r. 1743 do 1872) nie zdążyły już do wynalezienia tej przeprawy, lecz raczej do zbadania wysp leżących naprzeciw lądu stałego, a mianowicie Nowej Ziemi, Nowej Syberyi, wyspy Niedźwiedziej i innych. Rezultaty tych badań jednakże, a zwłaszcza doświadczenia poczynione w Morzu Karskiem, przyczyniły się znacznie do rozwiązania kwestyi „północno-wschodniej przeprawy“, na nich bowiem oparł Nordenskjöld swoje wywody i przypuszczenia.

Morze Karskie nazwał Baer „lodownią“, w której lód nigdy nie taje. Przykre doświadczenia Burrougha (1556 r.) i Krusensterna (1862 r.) potwierdzały zdanie Baera. A jednak okazało się to zdanie mylnem, jak wykazały liczne doświadczenia czynione od r. 1869. Trzeba bowiem pamiętać, że od 15 lipca począwszy, wysyłają obie sybirskie rzeki: Ob i Jenisej do Morza Karskiego ogromne masy wody ciepłej. Skutkiem tego taje lód w Morzu Karskiem, ale dopiero w sierpniu i wrześniu. Norwegscy łowcy stwierdzili tę okoliczność w latach 1869—1871. I tak Johannsen zastał 1869 r. między cieśniną Matoczkina, wyspą Wajgacz i Białą Wyspą, bardzo mało lodu, a w powrocie aż do brzegów wschodnich Nowej Ziemi morze wolne prawie od lodów. W roku 1870 nie znalazł Johannsen lodu w całym prawie Morzu Karskiem, tożsamo Ulve, Maćk i Quale. W r. 1871 dotarł Maćk w sierpniu do północnej kończyny Nowej Ziemi, a jeszcze 12 września znalazł pod 75° 25' półn. szer., a 82° wsch. dług. morze wolne od lodów. Payer i Weyprecht dotarli w sierpniu 1871 r. do 78° 45', i znaleźli morze wolne od lodów między 29 a 59° wsch. dług.

Na podstawie tych doświadczeń usunął Nordenskjöld swój plan, i postanowił 1875 r. dostać się z Norwegii do

Morza Karskiego i ujść Jeniseju, a w ten sposób wypróbować, o ile pierwsza część „północno-wschodniej przeprawy“ może być w praktyce wykonaną. Na norweskim jachcie *Pröven*, urządzonym znowu głównie kosztem Dicksona, opuścił Nordenskjöld 8 czerwca 1875 r. port Tromsø w towarzystwie dwóch botaników (Kjellmanna i Lundströma), dwóch zoologów (Théela i Stuxberga) z kapitanem Isaksen i z 12 norweskimi rybakami. Wstrzymany przeciwnym wiatrem, dotarł okręt dopiero 22 czerwca do zachodniego wybrzeża Nowej Ziemi, płynął następnie wzdłuż tego wybrzeża na północ aż do cieśniny Matoczkina, a znalazłszy tutaj nagromadzone lody, zwrócił się znowu na południe i dostał się 2 sierpnia przez cieśninę Jugorską na Morze Karskie. Morze było wolne od lodów, więc okręt popłynął w kierunku północno-wschodnim i dotarł do 75° 30' półn. szer., a 82° 30' wsch. dług. od Greenwich. Tu dopiero stanęły w drodze wielkie, zwarte masy lodowe, wzdłuż których płynął okręt czas jakiś na wschód, a potem skręcił na południe, ku ujściu Jeniseju, gdzie też stanął d. 15 sierpnia. Ztąd popłynął Nordenskjöld z Lundströmem, Stuxbergiem i trzema ludźmi na łodzi norweskiej w górę Jeniseju i zdążył przez Krasnojarsk, Tomsk, Jekaterinburg i t. d. w listopadzie do Petersburga, podczas gdy *Pröven* z resztą uczestników wyprawy wrócił drogą morską i 26 września stanął w Hammerfest.

*Geografii przyniosła ta wyprawa znaczną korzyść, Nordenskjöld oznaczył bowiem astronomicznie położenie i rozległość ujść Obi i Jeniseju, i usunął wszelkie wątpliwości, jakie w tym względzie przedtem istniały. Topograficzna ta korzyść jest jednakże podrzędną w porównaniu z inną, o której Nordenskjöld słusznie powiedział, że się o nią od wieków ubiegały bezskutecznie narody żeglarskie. Istotnie bowiem nie dotarł przedtem, o ile wiemy, żaden okręt przez Morze Karskie do ujść Jeniseju. To też w Syberyi i Rosyi zwróciła ta podróż powszechną na siebie uwagę, żywy obudziła interes i wielką wywołała radość. Członkowie „towarzystwa ku podniesieniu handlu i żeglugi“ wysłali telegram powitalny do Tomska, a Nordenskjöld odpowiedział im natychmiast, wyrażając przekonanie, że niebawem stanie otwo-

rem wielka droga handlowa z Sybiru przez ujście Jeniseju i Morze Lodowate do Europy. Jakie zaś znaczenie i doniosłość ma taka droga, przekona jeden rzut oka na mapę. Olbrzymie rzeki Ob i Jenisej sięgają w głąb Azji aż do granic państwa chińskiego. Dorzecze tych rzek obejmuje 103.950 niem. mil kwadr., podczas gdy Europa bez Rosji liczy tylko 81.632 mil kwadr. Na obu rzekach odbywa się już regularna żegluga parowa. Jakże wielkich korzyści może się przeto handel spodziewać, jeśli cenne towary tak znacznej obszaru Azji środkowej i Chin, będzie można parowcami sprowadzać do Europy. Ile to zyska się przez to na czasie i kosztach!

Ale jak każda rzecz nowa, tak też i te świetne nadzieje Nordenskjölda spotkały się z pewnem powątpiewaniem. Trzeba więc było ponownych dowodów, by okazać możliwość i praktyczność tej drogi. I znowu Nordenskjöld pierwszy złożył ten dowód zaraz w następnym roku. Dnia 25 lipca 1876 r. opuścił on Tromsø na parowcu *Ymer*, w dwóch dniach dostał się do Przylądka Północnego, a ztąd do Nowej Ziemi w trzech dniach, tak, że już 30 lipca zawinął okręt do cieśniny Matoczki. Przez tę cieśninę przedarł się w dniu jednym do Morza Karskiego, a chociaż natrafił na lody, płynął niezrażony wzdłuż brzegów, między lądem a lodami, i dostał się do Karskiej Bramy. W dalszej podróży do półwyspu Samojedzkiego, powstrzymały go lody przez dni kilka, ale płynąc w kierunku północnym, doznawał przeszkód coraz mniejszych, aż nareszcie pod 72° półn. szer. pokazało się morze otwarte, wolne od lodów. To też daleką drogę ztąd, dokoła półwyspu Samojedzkiego, koło Wyspy Białej, poprzec ujęcie Obi aż do ujść Jeniseju i daleko w górę tej rzeki, odbyto w trzech dniach. Na Jeniseju zatrzymał się Nordenskjöld przez dni 18, a z powrotem przepłynął całe Morze Karskie w północnej jego części, wolnej od lodów, w sześciu tylko dniach, przebył szczęśliwie cieśninę Matoczki i d. 18 września był już znowu w Hammerfest.

Tak więc stwierdził Nordenskjöld ponownie, że drogi tej można użyć w celach handlowych. Prócz tego wzbogacił się także znowu materiały naukowe. Jak bowiem w r.

1875, tak też i teraz czyniono spostrzeżenia barometryczne, notowano kierunek i siłę wiatru, temperaturę powietrza i wody morskiej. Niemniej także badano prądy morskie, gęstość i słoność wody na powierzchni i w rozmaitych głębokościach aż do dna, a w stósownych miejscach głębokości morza. Nareszcie nagromadzono obfite zbiory zwierząt żywych z głębi Morza Karskiego i resztek zwierzęcych z tundry nadjenisejskiej.

Praktyczność tej nowej drogi handlowej sprawdzili prócz tego inni jeszcze żeglarze. Kapitan Wiggins wypłynął 8 lipca 1876 r. z Sunderlandy, 3 sierpnia przepłynął Bramę Karską a 11 września stanął w porcie Dicksona, koło ujścia Jeniseju. W r. 1877 widzimy już na tej drodze trzech kapitanów. Dahl wypłynął z Hull (w Anglii) 18 lipca, między 9 a 11 sierpnia przepłynął cieśninę Jugorską, a 14 sierpnia dotarł do ujścia Obi. Dallmann opuścił 24 lipca Bremerhaven, 16 sierpnia przepłynął Bramę Karską, 21 sierpnia stanął u ujścia Jeniseju. Tu zabawił do 14 września, a w powrocie obrał drogę przez cieśninę Matoczkina, i 24 września zdążył do Hammerfest. Swaneberg nakoniec wypłynął 21 sierpnia z ujścia Jeniseju, a 11 września był już w Vardö. Obecnie zamierza rząd rosyjski urządzić stację meteorologiczną na wyspie Wajgacz, ażeby przy pomocy telegrafu zawiadamiać Europę o stanie lodów na Morzu Karskiem.

(Dokończenie nastąpi).

Ludwik Dziedzicki.

SZKICE Z PODRÓŻY DO POŁUDNIOWEJ AFRYKI

odbytej w latach 1875—1877

przez

Dra Antoniego Rehmana ¹⁾.

IX.

Chłopska Rzeczpospolita czyli kraj Oranje.

Przed zagrodą boera. — Gromadne pochody antylop. — Czarne gnu. — Żnowu rzeka Mudriver. — Myśliwy wracający z głębi Afryki. — Niebieskie gnu. — Przeprawa przez rzekę Bloemfontein i jego mieszkańcy. — Boerowie i ich sposób życia. — Ex-prezydent republiki Venter. — Historya kraju Oranje. — Jego roślinność i klimat. — Przymusowy pobyt w mieście i zawody autora.

Ponieważ dwutygodniowy pobyt w Kimberley, wystarczał do dość dokładnego obznajomienia się z miejscowymi stosunkami, postanowiłem ruszyć w dalszą drogę. Z kolei zamierzałem odwiedzić niepodległe osady holenderskie, na wschód od pól dyamentowych położone, a przede-

¹⁾ Patrz *Przegląd Polski*. Marzec 1880.

wszystkiem kraj Oranje. Sposobność do odbycia dalszej podróży nadarzyła mi się z łatwością w osobie pana L., Anglika, który z dwoma próżnemi wozami udawał się do Bloemfontain, stolicy tegoż kraju, i za umówione wynagrodzenie oddał mi jeden z wozów do użytku. Tym razem podróż odbywała się wołami. Osadnicy tutejsi, podróżując wołami, jadą zazwyczaj przez całą noc, a odpoczywają w dzień, bo woły znużone całodzienną pracą, gdy zostaną wieczorem uwolnione z jarzma, kładą się na ziemię i odpoczywają, wskutek czego nie mają czasu do zaspokojenia głodu. Z tego powodu pan L. podróżował również wyłącznie w nocy i ruszał z miejsc przed zachodem słońca, około północy pozwalał wołom odetchnąć przez pół godziny, jechał dalej aż do wschodu słońca, a wyprężone woły puszczał natychmiast na paszę. Pasły się one zazwyczaj trzy do czterech godzin, a w czasie skwaru południowego odpoczywały. Taki porządek rzeczy zdaje się rzeczywiście najlepiej odpowiadać warunkom miejscowym, ponieważ woły pana L., pomimo to, że już od sześciu tygodni były w podróży i zrobiły przeszło 600 mil angielskich drogi, w bardzo dobrym znajdowały się stanie. Nie mogę zaprzeczyć, że i ja sam znalazłem ten sposób podróżowania bardzo wygodnym, bo do ruchu wozu przyzwyczaiłem się i spałem przez noc całą spokojnie, a w dzień mogłem się zajmować badaniem miejscowości i zbieraniem roślin. Zachodziła tylko jedna nieprzyjemna okoliczność, że obszary przebyto w nocy były dla mnie stracone, a mogły właśnie należeć do najważniejszych, lecz na to złe nie było rady.

Wyruszyliśmy z Kimberley wieczorem w piątek dnia 4 lutego 1876 r.; minawszy Du Toits-Pan, skierowaliśmy ku wschodowi, i w godzinę potem znaleźliśmy się już na terytorium należącym do kraju Oranje. Wieczór był pogodny i chłodny, na niebie ukazał się jasny rożek księżyca, a noc była prawdziwie tropikowa. Spędziłem większą część wieczora na poufnej pogadance z panem L., który należał do wykształcenijszej klasy Anglików, żył od dwudziestu lat w kolonii, przechodził różne złe i dobre losy i znał doskonale kraj i jego stosunki. Nad ranem czułem przez sen, że mijamy okolicę pagórkowatą i porośłą drzewami, bo wóz

robił od czasu do czasu gwałtowne ruchy, a gałęzie drzew uderzały po płótnie nakrywającem wóz. Przed wschodem słońca znaleźliśmy się na obszernej dolinie, zamkniętej dookoła malowniczymi pasmami skalistych pagórków i wyprzęgliśmy niedaleko maleńkiego farmu, jedyne, jaki znajdował się w tej miejscowości.

Deszcze letnie panowały w tych stronach już od pięciu tygodni i wywarły dobroczynny swój wpływ na roślinność. Płaszczyna, na której odpoczywaliśmy, była pokryta najbujniejszą zielonością i zaciekała mnie w wysokim stopniu; jakoż spożywszy naprędce przyrządzone śniadanie, puściłem się natychmiast ku najbliższej grupie pagórków.

Roślinność, pokrywająca dolinę, składała się z wielkiej liczby roślin zielnych, obfitujących w kwiaty w najpiękniejszym rozwoju, wpośród których podłużne smugi popielatej barwy oznaczały miejsca zajęte przez trawy stepowe. Znalazłem tutaj przeszło czterdzieści gatunków nowych dla moich zbiorów. U stóp pagórków znajdował się gęsty zarost drobnych akacyj, sumaka i wzmiankowanego już krzewu z rodziny główkozrosłych, t. z. *Tarchonanthus Camphoratus*. Trawa na skalistych pagórkach była spasiona przez owce, ale w miejscach niedostępnych pomiędzy kamieniami rosła obficie wielka *Crassula* i kilka innych roślin soczystych. W zaroślach kryły się gromady drobnych ptaszków, których przyjemny śpiew przenosił myśl moją w ojczyste strony, a nieco dalej zerwały się z pod drzewa dwie antylopy nieznanego mi gatunku i znikły w zaroślach. Gdym stanął na szczycie pagórków, powitała mnie wrzaskliwemi krzykami gromada pawianów, uganiających po skałach, a po za pagórkiem widać było w zaroślach kraal zamieszkały przez Kafrów.

Wyruszyliśmy przed wieczorem, minawszy dwa małe jeziora, wypełnione w połowie wodą, z po nad których wzbily się w powietrze za naszym przybyciem gromady wodnych ptaków, a nad ranem wyprzęgliśmy przy farmie nazwanym Kanonfontein, złożonym z trzech budynków muryowanych i ogrodu owocowego, do którego przytykał znaczny obszar ziemi zasianej zbożami, otoczony starannie murem z darniny. W ogrodzie znalazłem tylko brzoskwinie i morele, a ziemia była zasypana dojrzałemi owocami, o które nikt

się nie troszczył. Drzewa te mnożą się tutaj z nasienia i chociaż nie szczepione, wydają bardzo dobre owoce. Przy farmie wydobywało się z lekkiego zagłębienia obfite źródło zimnej i smacznej wody i zasilalo tamę, po za którą znajdował się moczar pokryty bardzo bujną roślinnością. Ponieważ pan L. chciał pozbyć się jednego wozu, przeto odwiedził farmera, ale powrócił bez skutku. Za chwilę przybył i sam farmer, Holender, gładkich rysów twarzy, ale rubasznych ruchów. Pozdrowił mię po holendersku, ale spostrzegłszy, że jestem cudzoziemcem, zrobił minę pogardliwą i odwrócił się odemnie. Rozmawiał przez chwilę z panem L. o rzeczach obojętnych, a potem zapytał, czy nie mamy wódki i tytoniu, które otrzymawszy oddalił się. W godzinę potem posłał nam kilka tuzinów moreli.

Gdyśmy pod wieczór zabierali się do odjazdu, pan L. rozglądając się po okolicy, zatrzymał wzrok swój na odległych zielonych pagórkach, a wskazawszy ręką w tamtą stronę, zapytał mnie:

— Czy widzisz pan te białe smugi po wierzchołkach pagórków?

— Widzę, odrzekłem.

— Wiesz pan, co to jest?

— Zdaje mi się, że smugi zeschłej trawy.

— Nie, panie, to antylopy, szpringboki!

Odległość wzmiankowanych pagórków mogła wynosić trzy do czterech mil angielskich, a ponieważ droga nasza prowadziła w tamtą stronę, przeto poszedłem naprzód. Uszedłszy milę drogi, mogłem rozróżnić białe smugi po pagórkach i zdawało mi się, że zmieniają swoje położenie, a w godzinę przekonałem się, że to były rzeczywiście wielkie gromady zwierząt, posuwające się zwolna ku zachodowi. W promieniu jednej mili angielskiej naliczyłem trzynaście gromad szpringboków, z których każda mogła obejmować od 20 do 50 sztuk; podsunąłem się do jednej z nich tak blisko, że mogłem rozróżnić jak najdokładniej każde zwierzątko i podziwiać kształtną ich postać i zwinne ruchy. Przystawały one na chwilę skubiąc trawę, a potem puszczały się kłusem albo galopem i tak znikła jedna gromadka po drugiej, a świeże na ich miejsce nadciągały. Pomiędzy gromadami

szpringboków pasły się i inne antylopy ciemnej barwy w nie-licznych okazach, należące, o ile sędzę po różnicy w rozmiarach, do dwóch gatunków. Ale zdaje się, że ta wędrówka zwierząt była ogólną, bo o kilkadziesiąt kroków przedemną przebiegły przez drogę dwa zajaczki afrykańskie, chociaż tym razem zła wróżba żadnych złych następstw nie sprowadziła. Nie znajdowałem nigdy przyjemności w myśliwskim rzemiośle i dlatego uzbrojony jedynie w niewinny rewolwer, szedłem zwolna drogą, napawając się widokiem, jakiego tylko stepy południowej Afryki dostarczyć są w stanie. Warto zaiste zrobić 6,000 mil drogi, ażeby być choć na chwilę świadkiem takiego objawu życia zwierzęcego.

Droga była w jednym miejscu zalana wodą, a na wilgotnej ziemi znajdowały się niezliczone ślady kopytek. Były one zupełnie świeże; rozróżniłem pomiędzy nimi trzy rodzaje odcisków niewielkich rozmiarów i podłużnej postaci, należące oczywiście do antylop, pomiędzy którymi znajdowały się i inne wielkie, półkulistej postaci, należące do jakiegoś większego zwierzęcia dwukopytnego. Jakoż uszedłszy jeszcze milę drogi, spostrzegłem na stepie trzy zwierzęta ciemnej barwy, wielkości małej krowy, a po rogach zakrzywionych ku dołowi i wygiętych w kształcie litery S, domysliłem się, że mam przed sobą zwierzę nazwane gnu, którego skórę wypchaną widziałem w muzeum w Cape-Town. Kiedy zbliżyłem się do tych zwierząt na 400 kroków, spostrzegły i obróciły się ku mnie ze wzniesionymi w górę głowami. Ponieważ wiedziałem, że gnu nie jest niebezpieczne, bo jedynie samica rzuca się na człowieka w obronie swego cielątka, a tych tutaj nie było, przeto zacząłem zbliżać się zwolna ku nim, ażeby je zbliska dokładniej obejrzeć. Zaledwie uszedłem kilkadziesiąt kroków, gdy jedno z nich wydało silne chrapliwe parsknięcie nozdrzami i wszystkie trzy, zmieniwszy front, zaczęły uciekać, a ubiegłszy kilkadziesiąt kroków, stanęły, odwróciły się i patrzyły znowu na mnie z widocznym niepokojem. Za chwilę nastąpiło znowu silne parskanie i ucieczka, aż spostrzegłszy, że zbytecznie oddalam się od drogi, zaniechałem dalszego prześladowania.

Wkrótce potem połączyłem się z panem L. Kiedy przebyłem rzekę Garip, było pierwszy dzień, który obszedł

się bez nawalnicy. Wieczór był uroczy, księżyc jaśniał na niebie i oblewał srebrzystem światłem okoliczne pagórki, a powietrze było tak czyste, że można było odróżnić gołym okiem ciemną część tarczy księżyca. Droga podnosiła się zlekka ku górze; okolica była pusta i niezamieszkała, a ciszę nocną przerywał tylko od czasu do czasu krzyk ciągących w powietrzu ptaków przelotnych. Gdyśmy się zbliżyli do wierchołka pagórków, ukazał się rzadki zarost drzew akacyowych, a po niedługiej chwili dał się słyszeć silny szum, jak gdyby spadającej po kamieniach wody, i pozwolił się domyślać, że znajdujemy się niedaleko rzeki Mudriver, którą mieliśmy przebyć dnia następnego. Zatrzymawszy wozy na chwilę, puściliśmy się ścieżką pomiędzy drzewa i stanęliśmy niebawem nad rzeką. Brzegi jej były w tem miejscu wysokie i porośłe drzewami, koryto przerwane skalistym progiem i zawałone olbrzymiemi odłamami skał, pomiędzy które przedzierała się z szumem woda. Nasyciwszy się tym widokiem, powróciliśmy do wozów i udaliśmy się na spoczynek.

Nad ranem znajdowaliśmy się nad brzegiem tejżesamej rzeki, w miejscu, gdzie przebycie jej jest możebnem. Nazywają to miejsce zazwyczaj Ortelsfarm od farmu, znajdującego się na przeciwnym jej brzegu. Zastaliśmy tutaj kilkanaście innych wozów, czekających już od kilku dni na spadek wody, ponieważ przejazd przez rzekę był z powodu wysokiego jej stanu ciągle niemożliwym. Przy farmie, na przeciwległym brzegu rzeki, znajdowała się pralnia wełny. Koryto rzeki jest tutaj przerwane jednostajnym progiem skalistym, wysokim na półtora sążnia, po którym woda spada z szumem. Właściciel farmu urządził pralnię, korzystając z odpowiedniego terenu, ponieważ odprowadzenie potrzebnej wody z powodu silnego jej spadku nie przedstawiało żadnej trudności. Przejazd przez rzekę znajduje się tuż pod wodospadem; widać było po śladach zostawionych na liściach i trawie, że woda w ciągu ostatniej doby opadła przynajmniej o ośm stóp, ale pomimo to o przejeździe jeszcze nie można było myśleć.

Równocześnie prawie z nami przybyło nad rzekę kilkunastu osadników powracających z Kimberley; jechali oni

odmienną od naszej drogą, prowadzącą po północnej stronie pagórków, któreśmy mieli po lewej ręce. Opowiadali nam, że napotkali po drodze niezliczone gromady szpringboków, których liczbę oznaczali w przybliżeniu na 12,000 sztuk, a kilkanaście zastrzelonych ofiar, spoczywających na ich wozach, przekonywało o prawdziwości ich twierdzenia. Pan L. oceniał liczbę zwierząt, które przesunęły się przed naszymi oczyma na 4 do 5 tysięcy sztuk, a chociaż liczba podawana przez kolonistów wydawała nam się przesadną, to jednakowoż nabiera ona wiele prawdopodobieństwa, gdy zważymy, że oddzielała nas od nich przestrzeń kilkumilowa, po której mogły się przesunąć gromady zwierząt, niewidzialne dla nich ani dla nas. Członek berlińskiej misji ks. Mereński, mieszkający od lat kilkunastu w republice Transwaalskiej, widział na granicy kraju Oranje nad rzeką Vaal podobny gromadny pochód blesboków, których liczbę towarzyszący mu świadkowie na 50,000 sztuk oceniali. Ile razy tutejsze antylopy ukażą się w tak wielkich gromadach, nie pozostają nigdy na miejscu, ale posuwają się wszystkie w tymże samym kierunku. Trudno powiedzieć, jaki jest powód tych pochodów; nie może nim być brak pożywienia, bo gromady widziane przez nas posuwały się o 1 wschodu ku zachodowi, a zatem ku pustyni Kalihari, a właśnie w tej porze cała tutejsza okolica najbujniejszą pokryta była roślinnością, gdy przeciwnie w kilka miesięcy potem, w porze zimowej, napotykałem liczne gromady antylop, które pomimo to, że trawa była zeschła, a poczęści wypalona, uparcie trzymały się tejżesamej miejscowości. Trudno przypuścić, ażeby uchodziły przed prześladowaniem, bo w tym przypadku właśnie posuwały się z okolic odludnych ku więcej zamieszkałym, nie zważając zupełnie na przechodzących. Możliwą jest rzeczą, że ruch tych zwierząt jest poprostu następstwem spotkania się kilkunastu gromad, postępujących bezwiednie w jednym i tym samym kierunku.

Mieszkańcy tutejszych okolic używają nieograniczonej swobody w polowaniu; biją co chcą i kiedy im się podoba, i jeżeli na północ od rzeki Garipu nie zrzadzają wielkich szkód pomiędzy zwierzętami, to śmiało można twierdzić, że zwierzyna w południowej części kolonii wskutek samowoli

mieszkańców wytępioną została. Większe gatunki zwierząt dwukopytnych znikły tam prawie zupełnie, a drobniejsze należą już do rzadkości. Liczba szpringboków, zabitych tym razem przez siedmiu kolonistów, mogła wynosić szesnaście sztuk; kupiliśmy jednego z nich i zaleźliśmy smak mięsa wybornym.

Ale na jednym wozie znajdowała się i grubsza sztuka zwierzyny. Po rogach, sterzających z pod słomy, poznałem natychmiast, że to było gnu. Właściciel zdobyczy opowiadał mi, że napotkał wczoraj po drodze dziesięć czy dwanaście sztuk tych zwierząt i ubił jedno. Głowa tego zwierzęcia, widziana zbliżona, ma nadzwyczaj dziką powierzchowność: nozdrza są bardzo szerokie i zamknięte półkoliastymi klapami, za pomocą których zwierzę wydaje charakterystyczne parsknięcie. Nad nosem znajduje się podłużny pęk włosów szczecinowatych, wzniesionych ku górze, a około oczu pojedynczo rozrzucone włosy, długie na półtora cala, białej barwy. Na grzbiecie ma zwierzę krótką grzywę, białej barwy, a ogon jest kiciasty również biały; włosy na całym ciele ciemno-brunatne. Wielkość dorosłego zwierzęcia równa się rozmiarom rośląj jałówki. Koloniści nazywają to zwierzę Wildebeest, dodając niekiedy przymiotnik „czarny“ dla odróżnienia od „niebieskiego“ gatunku, który żyje dalej na północy. Próbowalem i tej zwierzyny, ale mięso było twarde i jałowe.

Korzystając z wolnej chwili, wybrałem się w zarośla nadbrzeżne. Rzeka płynie w tym miejscu po wierchołku obszernego wzniesienia, przynajmniej poziom farmu Kanonfontein jest o kilkanaście sążni niższy od jej koryta; spadek prawego brzegu rzeki jest w tym kierunku widocznym, a wszystkie miejscowości przyległe dałyby się z największą łatwością nawodnić. Lewy brzeg jest znacznie wyższy, a za wodą widać kilka kamienistych pagórków. Roślinność po miejscach otwartych była tutaj bardzo uboga; liczne okazy Mesembryanthemów przypomnially mi znowu na chwilę podróż przez Karroo, a to tem więcej, że po zagłębieniach rosła obficie i akacya z białymi cierniami, tażsama, która nam towarzyszyła bezustannie w pustyni. Na gałęziach tego drzewa znajdowało się tutaj dużo wielkich gniazd ptasich, a każde z nich było, jak się zdaje zamieszkałe przez kilka rodzin

małej zielonej papużki. Błądząc w zaroślach, napotkałem wielkiego węża żywo-zielonej barwy, długiego na 8 do 10 stóp; było trzeci wąż, jakiego widziałem dotąd w kolonii. Brzegi rzeki są pokryte gęstym zarostem akacyj i sumaka w dwóch gatunkach, a gałęzie drzew były gdzieniegdzie poplątane roślinami wiciowatemi, pomiędzy którymi odróżniłem jeden gatunek w rodzaju Clematis i trzy inne z rodziny trojeściowatych, obfitujące w kwiaty białej i czerwonej barwy.

Błądząc w zaroślach nadbrzeżnych, ujrzałem wznoszący się w odległości słup dymu, a gdy się przybliżyłem do miejsca, skąd wychodził, znalazłem się niespodziewanie przed siedzibą czarnych. Było kraal, złożony z trzech maleńkich chatek, otoczonych żywym płotem z koleczastych krzewów. Chatki półkulistej postaci, wysokie, plecione z chrustu i powiązane łykiem, są tak niskie, że mężczyzna średniego wzrostu z trudnością może się we wnętrzu wyprostować, a otwór jest tak niski, że tylko na czworakach można się dostać do wnętrza. Około kraala pasło się kilka kóz pod opieką młodej dziewczyny; miała ona rysy twarzy łagodne i dość przyjemne, na głowie włos krótki i kędzierzawy; ciało jej barwy ciemno-brunatnej, przechodzącej w czarną, było, z wyjątkiem maleńkiego kawałka skórki, trójkątnej postaci, przepasanego na sznurku przez biodra, zupełnie nagie. Równocześnie ukazał się przy wejściu do kraala maleńki, skureczony, czarny mężczyzna podeszłego wieku, z czołem silnie pomarszczonem i króciutkim szpakowatym zarostem na brodzie; cały strój jego składał się z podobnego, lecz nieco większego kawałka skóry i sznurka korali na szyi. Uszy miał priedziurawione; przez jeden otwór było przetknięte długie czarne pióro, a w drugim umieszczona brązowa puszkawatej postaci, długa na trzy cale. Przybliżył się do mnie z uśmiechem na twarzy i przemówił kilka słów niezrozumiałych. Próbowałem zawiązać z nim rozmowę w języku angielskim, a potem holenderskim, lecz bezskutecznie. Za chwilę poszedł do chaty; powrócił z maleńką fajeczką w rękę i zrobił ruch, jak gdyby chciał pokazać, że jest próżną. Obdarzyłem go odrobiną tytoniu, którą przyjął z podziękowaniem. Napełniłem i swoją fajkę, a udając, że chcę ją zapalić, wsunąłem się do wnętrza kraala. Przed jedną chatką żarzyło się kilka

gałęzi, a przy ognisku stało naczynie gliniane, w którem widać było resztki papki kukurużanej, kilka naczyń z tykwy napełnionych wodą i flaszka pełna mleka. Gdym się rozglądał w kraalu, staruszek patrzył na mnie z uśmiechem, potem zapaliliśmy obydwaj fajki i usiedliśmy przy ognisku. Mój gospodarz próbował kilka razy zawiązać ze mną rozmowę, ale bezskutecznie, bo po dźwięku jego mowy poznałem zaledwie, że nie jest Buszmanem ani Hottentotem, lecz Kafrem. Gdym opuszczał kraal, podniósł rękę w górę i wybełkotał kilka słów. Widziałem go i nazajutrz, bo przyszedł do wozów z butelką mleka, które chciał zamienić na tytoń; poganiacze pana L., Krafrowie z rodu Tambuki, m. wy jego nie rozumieli. Po drodze spotkałem i innych mieszkańców tegoż kraalu. Byłyto trzy młode dziewczyny niskiego wzrostu, ale atletycznej budowy i dość regularnych rysów twarzy. Górna część ich ciał była zupełnie obnażoną, a cały ich strój składał się z kolorowych zużytych spódnic, przymocowanych do pasa. W uszach miały brązowe kolczyki, na szyi korale, a na rękach i na nogach pod kolanami brązowe obrączki. Ujrawszy mnie zdaleka, zboczyły z drogi i przeszły, nie zważając na mnie zupełnie.

W ciągu dnia przybyło jeszcze kilka wozów należących do holenderskich osadników, powracających z Kimberley; opowiadali oni, że spotkali po drodze jakiegoś Anglika, powracającego z dalekich stron z północy, dokąd jeździł na polowanie i że prowadzi ze sobą jakieś dziwne i nieznane w tych stronach zwierzę. Jakoż przed wieczorem nadciągnął rzeczywiście wóz prowadzony przez dwóch czarnych, a po steranej jego powierzchowności widać było, że daleką odbył podróż. Za wozem szedł piechotą jego właściciel, młody mężczyzna nieco zaniedbanej powierzchowności, ale bardzo miłych rysów twarzy. Powitał nas uprzejmie i rozpoczął natychmiast pogadankę, a gdy pokazało się, że w tęsamą jeździmy stronę, kazał wóz swój ustawić obok naszych, posłał woły na paszę i pozostał odtąd w naszym towarzystwie.

Pan M. powracał z kraju Matabili, dokąd jeździł na polowanie. Matabili należą do rodu Kafrów, ale barwa ich skóry jest daleko ciemniejsza; zamieszkują oni ogromne obszary południowej Afryki, na południe od rzeki Zambezi położone,

i należą do najliczniejszych i najpotężniejszych plemion tej części ziemi. Okolice tamtejsze są przeważnie górzyste; obfitują w wodę, lasy i bardzo urodzajną ziemię. Matabili są przeważnie ludem rolniczym, uprawiają prawie wyłącznie kukurudzę i sorgum; ta ostatnia roślina odznacza się nadzwyczajną plennością, bo wydaje 300 ziarn za jedno i zaspakaja dostatecznie wszystkie potrzeby mieszkańców. Oprócz tego chowają wiele bydła. Dobrobyt materyalny przyczynił się do szybkiego rozwoju tego narodu, jakoż Matabili pod względem wykształcenia pomiędzy wszystkimi plemionami Kafrów najpierwsze zajmują miejsce. Znają oni sposób wyrabiania żelaza, a pan M. pokazał mi kilka nożów, assagai i strzał, odznaczających się doskonałym zahartowaniem, a drzewce ich były ozdobione bardzo ładnymi rysunkami. Oprócz tego miał kilka wielkich naczyń glinianych, bardzo kształtnych, i przyrząd muzyczny, dowodzący pewnego poczucia muzycznego. Przyrząd ten składa się z cienkich blaszek stalowych różnej długości, przymocowanych do deszczułki, którą umieszcza się we wnętrzu doskonale wysuszonej tykwy, a blaszki wprawiane za pomocą palców w drgania, wydają bardzo przyjemne tony.

Matabili są narodem wojennym, a w ostatnich czasach zostawali pod panowaniem słynnego naczelnika Mozilikace, który połączył rozrzucone gromady tego ludu. Na czele doskonale wyćwiczonej bandy wojowników, przebiegł on po kilkakroć całą południową Afrykę, znacząc mordem i pożogą swoje pochody i podbił wszystkie plemiona Kafrów, a nazwisko jego przejmowało przez długie lata postrachem holenderskich osadników. W czasie wojny był srogim i okrutnym tak dla swoich, jak i obcych, ale w pokoju odznaczał się dobrocią charakteru i umiał nawet pozyskać sobie przywiązanie podwładnych. Obecnie panował tam syn jego, jeśli się nie mylę, nazwiskiem Kuruman. Sam wojen nie prowadził, ale wysyłał często oddziały dla poskromienia zbuntowanych podwładnych. Nienawidził i on Holendrów, ale sprzyjał Anglikom, szczególnie przybywającym na polowanie; znosił handlarzy, ale nie pozwalał szukać złota, w które okolica obfituje. Pan M. bawił przez kilka tygodni w jego wiosce i chwalił jego gościnność.

Okolice tamtejsze obfitują jeszcze w liczne gromady słońców, które przyciągają co roku kogoś z myśliwych, ale polowanie na te zwierzęta jest bardzo trudne i niezawsze się opłaca. Krajowcy łowią słońca w doły, a obecnie polują także na niego za pomocą broni palnej, za którą przepadają, a w rękach ich znajduje się zawsze prawie wielka ilość kości słoniowej, którą oddają w zamian za wyroby europejskie. Ażeby pokryć kosztą wyprawy, pan M. zaopatrzył się w kilkanaście tuzinów koszul bawełnianych, odpowiedni zasób prochu i łowiu, a w zamian za te przedmioty otrzymał przeszło 2,000 funtów kości słoniowej, które nakład z zyskiem wróciły, bo za funt tego produktu płacono w Cape-Town siedm szyllingów. Oprócz kości słoniowej oddają w zamian za wyroby europejskie bydło, skóry dzikich zwierząt, strusie pióra, a czasami i brylki złota. Bydło tamtejsze, o ile mogę wnosić z czternastu sztuk prowadzonych przez p. M., jest pochodzenia holenderskiego. W lecie panują tam dość niebezpieczne febry, ale w zimie klimat jest bardzo przyjemny i zdrowy i dlatego myśliwi i podróżni korzystają wyłącznie z tej pory. Wyprawa pana M. zabrała sześć miesięcy czasu.

Zwierzęciem, o którym opowiadali osadnicy, było niebieskie gnu. Jestto nadzwyczaj ładne stworzenie. Odznacza się kształtną postacią ciała i smukłemi nogami, rogi cienkie, ostre i gładkie są wzniesione w górę, pod oczami znajdują się dwa ruchome, koliste lecz z wierzchu płaskie, nagie gruczoły, a pod pyskiem długa czarna broda. Skóra jest pokryta krótkim, gładkim i połyskującym włosem stalowo-niebieskiej barwy, na grzbiecie znajduje się krótka czarna grzywa, ogon jest kiściasty tejżesamej barwy, a u starszych zwierząt występują po bokach poprzeczne czarne pręgi, wskutek czego Anglicy nazywają to zwierzę *brindled-gnu*; Matabili zowią je *impatumo*. Okaz, znajdujący się w posiadaniu pana M., był ośmiomiesięcznym byczkiem. Był on zupełnie oswojony, nie oddalał się od wozu, igrał z psami i kozami, jadł z ręki chleb i ziarno i zaczepiał ludzi. Obrońić się od napaści można było tylko przez złożenie daniny. Gdy nie nie dostał, spuszczał łeb na dół i gotował się do zadania razu, a ten mógł być bardzo niebezpiecznym, bo rożki jego były ostro zakończone.

Po dniu pełnym wrażeń nastąpiła uroczą noc księżycowa, a wieczór, spędzony przy ognisku w towarzystwie pana M., należał do najmielszych w czasie całej podróży. Liczba wozów urosła w ciągu całego dnia do czterdziestu; na płaszczyźnie paliło się kilka większych ognisk, około których kupiły się oryginalne grupy, złożone z boerów i czarnej służby, a wrzaski i śmiechy rozlegały się do późnej nocy i przerywały co chwila jednostajny szum spadającej po kamieniach wody.

Na drugi dzień rano stan wody w rzece okazał się znacznie niższym, zaczęto myśleć o przeprawie na drugą stronę, ale nikt nie chciał zrobić początku. Po południu najśmielszy z osadników założył do próżnego swego wozu pięć par wołów i ruszył w rzekę. Gdy pierwsza para znajdowała się w środku, gdzie prąd był najsilniejszy, zaczęła zbaczać cokolwiek z wytkniętej kolei i straciwszy nagle grunt pod nogami, porwana prądem, zaczęła płynąć i pociągnęła za sobą cały zaprzęg. Średnia para wołów, szarpnięta zbyt silnie, znikła nagle pod wodą, wóz się przechylił i padł na bok, woły się poplątały i cały zaprzęg poszedł z wodą w największym nieładzie. Biedne zwierzęta, walczące ze śmiercią, przedstawiały okropny widok. Woda była w tem miejscu głęboka, a prąd bardzo silny; od czasu do czasu ukazywały się tylko nad wodą głowy z parą wielkich rogów i słychać było stłumiony ryk albo ciężkie westchnienie. Nieco niżej zaprzęg dostał się na miejsce płytsze, kilka zwierząt podniosło się i pociągnęło za sobą inne, które, poplątane w jarzma i łańcuchy, powstać nie mogły. Przedzierająca się przez zarośla gromada osadników przybiegła na pomoc, odcięła zwierzęta i pomogła im wydobyć się na brzeg, ale wóz pozostał przez całą noc w rzece. Jeden tylko wół zginął.

Smutna próba nie znalazła już tego wieczora nasładowców; ale następnego dnia rano stan wody był tak niski, że niebezpieczeństwo zdawało się nie grozić wcale. Około południa farmer, mieszkający na drugiej stronie rzeki, przejechał ją na koniu i zawiadomił nas, że za skromne wynagrodzenie przeprowadzi wszystkie wozy na drugą stronę rzeki. Znaleźli się ochotnicy; próba z pierwszym wozem

udała się, bo pierwsza para wołów, prowadzona na rzemie-
niu przez farmera jadącego przodem na koniu, wytrzymała
siłę prądu i wóz dostał się szczęśliwie na drugą stronę. Gdy
kilka innych przebyło rzekę bez przypadku, wyruszyliśmy
i my, a za nami i pan M. — Byczek jego musiał być z podo-
bnemi przeprawami dobrze oswojonym, bo ruszył śmiało
w wodę, płynął obok wozu gdzie było głębiej, wyprzedził
cały zaprząg, i stanąwszy na brzegu, dał nam jeszcze bez-
płatne widowisko. Na drugiej stronie rzeki czekało również
kilkunastu boerów na spadek wody; widząc od dwóch dni
nieznane sobie zwierzę, pałali oni żądzą ujrzenia go zbliżka
i zaspokojenia swojej ciekawości, a w tej chwili liczna ich
gromadka czekała na spadzistym brzegu rzeki na jego przy-
jęcie. Gdy byczek wyszedł z wody, pootwierali usta z po-
dziwu, a jeden z nich, junak, jakich tu nie mało, chcąc dać
dowód odwagi, wyciągnął ku zwierzęciu rękę. Byczek ob-
wachał ją, a nie znalazłszy kąska, do którego był przyzwy-
czajonym, uderzył osadnika tak silnie rogiem w bok, że ten
rzucił się nagle w tył, potracił kilku innych i wszyscy ra-
zem z okrzykiem: „Allermachten“ stoczyli się po spadzi-
stym brzegu, pokrytym wilgotnym iłem, wpadli w rzekę i
zanurzyli się w wodzie po szyję. Wydobyli się z wody
jeszcze prędzej, niż w nią wpadli, nie poniosłszy wielkiego
szwanku, ale przypadek ich napełniał niewysłowioną rado-
ścią ich przyjaciół i towarzyszy i dał powód do niewyzer-
panych konceptów. Opowiadano mi o tem zajściu jeszcze
w kilka tygodni potem w Bloemfontein.

Droga za rzeką zbacza znowu ku wschodowi; w nie-
wielkiej odległości od przejazdu minęliśmy dwa kraale; je-
den z nich był prawdopodobnie opuszczonym, a około dru-
giego uwijało się kilka czarnych postaci. Nazajutrz rano
zatrzymaliśmy się przy farmie Draaifontein. Ponieważ wła-
ściciel farmu chciał nabyć jeden z wozów pana L., a ukła-
dy szły bardzo powoli, pozostaliśmy tutaj przez dzień cały.
Następnego poranka znajdowaliśmy się przy farmie Riet-
fontein.

Ponieważ odległość ztąd do Bloemfontein nie mogła
wynosić więcej nad sześć mil angielskich, ruszyliśmy w dro-
gę zaraz po południu, i minąwszy podłużny grzbiet z dwo-

ma kopułowatemi pagórkami, zaczęliśmy spuszczać się ku obszernej płaskiej dolinie, w środku której ukazała się stolica kraju. Stanęliśmy pod miastem przed zachodem słońca, wyprześliśmy w polu i przepędziliśmy jeszcze ostatnią noc przy wspólnem ognisku. Nazajutrz rano pożegnałem uprzejmych towarzyszy i przeniosłem się do miasta, nie przewidyując, że stanie się ono dla mnie miejscem kilkomiesięcznej niewoli.

Bloemfontein, widziane zdaleka, robi bardzo dobre wrażenie, bo białe i schludne jego domki są ocienione wysokim zarostem rozdrębów. Jestto małe miasto, zupełnie nowe, ponieważ przed czterdziestu laty był w tem miejscu nagi i pusty step; zbudowane regularnie, ma ulice proste, domy niewielkie, ale dość gustowne, trzy ładne kościoły dla białej, a jeden maleńki dla kolorowej ludności. W środku miasta znajduje się obszerny czworoboczny plac, na którym codziennie rano odbywa się sprzedaż wszystkich produktów krajowych, zwyczajem kolonialnym przez licytację, od nawozu służącego za opał do gotowego pieczywa, i od żywych wołów i nierogacizny do szynek i kiełbasy.

Czarni i kolorowi mają osobną dzielnicę, nazwaną Whyhoek. Domki ich, zbudowane na sposób europejski, są drobne i niezgrabne, niekiedy bez okien, albo z płaskim dachem, a obok dzielnicy znajdują się i zwyczajne półkuliaste budy zamieszkałe przez kilkanaście rodzin Kafrów.

Miasto obfituje w ogrody, dość niedbale utrzymywane; w dzielnicy czarnych tylko dwa domostwa posiadają małe obszarki ziemi uprawnej, obsadzonej drzewami. Środkiem miasta płynie potok zaopatrujący je w wodę; cztery drewniane zgrabne mostki łączą oba jego brzegi, porośłe wyniosłemi okazami rozdrębów i wierzby afrykańskiej. Potok ten, aczkolwiek zasilany przeważnie deszczami, ma i stałe źródło swoje o dwie mile za miastem; znajduje się tutaj moczar, otoczony zarostem drzew wierzbowych, z widocznym odpływem, a woda jego gromadzi się przed miastem na tamie i pokrywa w porze letniej obszar kilkumorgowy.

Miasto Bloemfontein jest siedliskiem rządu krajowego. Prezydent Brand mieszka w skromnym pałacyku, otoczonym ogrodem przypierającym do tamy, a reprezentacya kraju,

tak zwany „Volksraad,” była właśnie zajęta budową gmachu dla swego pomieszczenia.

Ludność miasta składa się z Holendrów, Anglików, Niemców i kolorowych. Żywiol holenderski był w roku 1876 liczebnie przeważającym, ale obejmował przeważnie niezamożną klasę ludności. Trudnią się oni tutaj rzemiosłami i drobniejszym handlem, ale ponieważ wszystkie wady, właściwe tej narodowości, o których mówiliśmy w drugim ustępie tej pracy, i tutaj się powtarzają, przeto i stan ich materialny jest bardzo miernym, a moralność i inteligencya na bardzo niskim stoją stopniu. Holendrzy, zajmujący wyższe stanowisko w mieście, jak na przykład tutejsi adwokaci i urzędnicy, byli prawie bez wyjątku przybyszami z za morza. Przybywało ich dość wielu, ale mało zostawało na miejscu, bo przywozili ze sobą zbyt wiele narowów europejskich: pijaństwo, rozrzutność i nieuczciwość były na porządku dziennym. Ażeby zapobiedz pijaństwu, władza miejscowa chwyciła się bardzo mądrego napozór środka. Spisała wszystkich nałogowych pijaków miejskich i wręczyła tę listę każdemu miejscowemu handlarzowi napojów wysokokowych z tem zawiadomieniem, że jeżeli się poważy sprzedać komu z proskrybowanych cokolwiek z napojów, ulegnie karze dwudziestu pięciu funtów. Ustawa była piękną na papierze, ale w praktyce bezpożyteczną, bo pijacy otrzymywali przez drugie i trzecie osoby wszystko, co chcieli. Znałem jednego, który ustawę omijał w ten sposób, że kupował codziennie w handlu galanteryjnym butelkę wódki kolońskiej i wypijał ją z wodą.

Wszyscy zamożniejsi mieszkańcy miasteczka byli albo Anglikami albo zangliczonymi Niemcami, wskutek czego i miasto robiło wrażenie kolonii angielskiej. Cały ruch handlowy i większy przemysł skupiony był w angielsko-niemieckich rękach. Ponieważ miasto jest środkowym punktem, z którego wyroby europejskie rozechodzą się na całą okolicę, przeto handel popłacał bardzo dobrze, bez względu na to, że liczba handlarzy była wielką; mógłbym wymienić nazwiska kupców, których składy przedstawiały kapitały trzydziestu do sześćdziesięciu tysięcy funtów szterlingów. Ale złote czasy kupiectwa stanęły i tutaj przedwcześnie u kresu,

bo konkurencya poczęła rósć w ciągu ostatnich pięciu lat w sposób zastraszający, a upadek kopalni w Kimberley stał się powodem bankructwa firm pierwszorzędnych.

Niemców było w Bloemfoontein bardzo wiele. Starsi należeli prawie bez wyjątku do niedobitków legii krymskiej, a młodzi przybywali w wielkiej liczbie z Kimberley. Ci, którzy znali jakiegokolwiek rzemiosło, znaleźli tutaj byt zapewnionym, bo miasto budowało się, potrzeba robotnika była wielka, ruch znaczny, a ceny wysokie. Zwyczajny pomocnik stolarski brał po czternaście szylingów dziennie, subjekt handlowy po trzydzieści funtów, a uzdolniony buchhalter po pięćdziesiąt i więcej. Przybywa' a także i inteligencya i umiała wyzyskiwać swoje stanowisko. Okoliczni misyonarze byli przeważnie Niemcami; przybyli oni tutaj bezwątpienia ożywieni duchem poświęcenia i współczuciem dla upośledzonych i uciemiężonych krajowców, ale że powodzenie drugich budzi w ludziach niekiedy zazdrość, a chleb misyonarski nie tuczy, przeto i odstępstwo zdarzało się dość często. Poznałem trzech niemieckich exmisyonarzy w Bloemfoontein, z których jeden był lekarzem, drugi adwokatem, trzeci gospodarzem, a wszyscy dziękowali Panu, że dał im poznać własną nieudolność i poprowadził ich umysły na praktyczniejsze drogi.

Ludność kolorowa mieszkająca w mieście jest prawie bez wyjątku potomstwem byłych niewolników, a ślady rasy murzyńskiej przechowały się dotąd bardzo wyraźnie w barwie ciała, kędzierzawych włosach i nabrzmiałych wargach. Zajmuje ona tutaj to samo stanowisko, jak i w starej kolonii, ale ponieważ wspomnienie niewoli w świeższej u nich przechowuje się pamięci, a ustawy krajowe są dla nich bardzo twarde, przeto są w ogóle potulniejsi i mniej wyuzdani. Po zachodzie słońca niewolno kolorowemu pokazywać się na ulicy, a za najmniejszą krnąbrność okazaną swemu chlebodawcy, rozdzielają tutaj sowite plagi na ratuszu. Straż policyjna w mieście składa się wyłącznie z czarnych i kolorowych, a ci są dla swych współplemiennych nieubłagani.

W dzielnicy zajętej przez kolorowych mieszkało i kilkuset kafrów, a znaczne ich gromady przybywały codziennie do miasta z okolicy, gdzie żyją i po małych osadach, zwa-

nych Kraalami. Kraale te składają się z kilkunastu chat, półkolistych, plecionych dość starannie z trawy, rozrzuconych na płaszczyźnie. Kafrowie ci należą do rzędu Basuto; odznaczają się piękną budową ciała, rysami twarzy dość regularnymi i barwą skóry ciemno-brunatną. W swych rodzinach kraalach chodzą mężczyźni i kobiety, z wyjątkiem kawałka skóry przepasanego przez biodra, zupełnie nago, a w mieście ukazywali się zazwyczaj odziani w kołdry. W domu trudnią się rolnictwem i uprawiają prawie wyłącznie kukurudzę i sorgum; w mieście najmowali się jako robotnicy do kopania ziemi, jako pomocnicy przy budowach i po magazynach; pracują dość dobrze, ale odznaczają się brakiem wytrwałości. Cywilizacya europejska nie przyciąga ich ku sobie. Mieszkający w mieście ubierają się po europejsku, bo przymusza ich do tego policya, ale gdy przybywający z odleglejszych okolic, odwiedzali tutejsze magazyny, najpierwszym przedmiotem, o jaki się dopytywali, były zawsze korale i ozdoby metalowe, potem małe zwierciadła, a następnie kołdry. Bardzo rzadko starali się nabyć koszulę, buty, lub jaką inną część ubrania. Przyjmowali oni niekiedy służbę u białych, ale chlebobdawcy ich skarżyli się wogóle, że obok dobroduszości, odznaczają się kapryśnem i zmiennem usposobieniem, a niekiedy i nieposzanowaniem cudzej własności.

Ludność kraju Oranje wynosiła w tę porę tylko pięćdziesiąt sześć tysięcy dusz, z czego połowa przypadała na białych, a połowa na czarnych i kolorowych. Biali mieszkający na prowincyi są bez wyjątku Holendrami, którzy przybyli tutaj ze starej kolonii w pierwszej połowie bieżącego stulecia, albo ich potomkami. Nazywają oni sami siebie boerami czyli poprostu chłopami, ponieważ stara kolonia w siedemnastem i ośmnastem stuleciu przez wieśniaków holenderskich kilkakrotnie zasilaną bywała. Prawie wszyscy podróżni, którzy zwiedzali te strony przedemną, wyrażają się o charakterze boerów bardzo niekorzystnie a niekiedy nawet z oburzeniem i nie bez słuszności. Lenistwo, wygórowana zarozumiałość obok głupoty, duma, opryskliwość, nienawiść do obcych, a skłonność do okrucieństwa względem czarnych są ogólnymi ich wadami. Nienawidzą oni każdego, kto nie mówi

ich językiem, a są nieubłaganyimi wrogami Anglików. Uprawa ziemi i hodowla owiec są podstawą ich dobrobytu, ale ziemię uprawiają tylko o tyle, ile wymaga tego utrzymanie ich życia, a ich owce chodzą przez całe lata po stepie, oddane w opiekę kilku Hottentotom; odwiedzają je dwa razy na rok, ażeby być obecnymi przy stryżeniu wełny.

Życie całe schodzi im na gnusności i włóczędze. W lecie mieszkają na farmach nie dlatego, iżby gospodarstwo wymagało ich obecności, lecz poprostu, że wczasie upału najwygodniej jest siedzieć w domu. W zimie siadają z całemi rodzinami na wozy i zabrawszy ze sobą nieco zapasów ciągną na polowanie, oddalają się dość znacznie od swoich domów i przepędzają po kilka miesięcy pod gołym niebem. W czasie takich wypraw mordują bez litości tutejsze antilopy, nie tyle z potrzeby, ile dla dzikiej igraszki, bo pożytek z polowania bardzo mały. Mięso krają na kawałki i suszą na słońcu bez soli; w ten sposób przyrządzone, znane jest w całej południowej Afryce pod nazwą beltongu; na targach w Bloemfentein można było dostać za szylinga cały worek takiego beltongu, przynajmniej dwadzieścia funtów ważący. Skóry antylop wysuszone na słońcu sprzedawano po pół szylinga sztukę, a piękny karos (kilka skór zeszytych w jedną całość, służącą do nakrycia) złożony z dziewięciu doborowych skórek po 7 szylingów.

Jedzą oni ogromnie wiele, a zamięrowanie do słodyczy (lekers) wyradza się u nich niekiedy w manię. Żaden boer nie opuści miasta, nie napełniwszy wprzód swych kieszeni łakociami. Pokazywano mi młodego boera, który przyjeżdżał co trzeci dzień do miasta konno z tłumoczkim wełny na ramieniu, sprzedawał ją u jednego z drobniejszych handlarzy, a za pieniądze kupował natychmiast cukierki. Farm jego był oddalonym o dwadzieścia mil angielskich od miasta i dla tego powracał zazwyczaj z próżnemi kieszeniami do domu. Z tych powodów chorują prawie wszyscy na katar żołądka, a obaj lekarze miejscy, utrzymujący zarazem i apteki, robili znakomite interesa. Lekarstwa wydawano tutaj w butelkach, jakich u nas używają do wód mineralnych, a jeden z lekarzy upewniał mnie, że dzieci i niedorostki

zmyślają częstokroć choroby, dla przyjemności picia lekarstwa, ponieważ wszystkie muszą być przyrządzone na słodko.

Nieuctwo jest pomiędzy nimi ogólnem, mało który z nich umie czytać a tem mniej pisać. Są jednak bardzo religijni, starsi umieją zazwyczaj na pamięć biblię i spory zapas hymnów i przestrzegają ściśle praktyk religijnych.

Dwa razy do roku zjeżdżają z rodzinami do iniasta, z powodu komunii i bierzmowania, a zjazdy takie przypominają charakterem swoim kontrakty berdyczowskie i doroczne jarmarki po naszych miasteczkach prowincjonalnych. Załatwiają przy tej sposobności wszystkie interesa i zaopatrują się w potrzebne przedmioty, wskutek czego handle i magazyny są nimi w tej porze przepełnione. Są to ważne chwile dla tutejszych kupców, robią oni wszystko co mogą, ażeby boerów przyciągnąć. Odstępują im swych mieszkań, stajni, wozowni, strychów, a nawet żywią ich przez te kilka dni. Wódka i wino stoją cały dzień w sklepie *à discretion*. Podczas gdy starsi są zajęci targowaniem potrzebnych przedmiotów, co nie przeszkadza im bynajmniej w zaglądaniu od czasu do czasu do butelek, ich nadziei pełna dziatwa uwija się po sklepach i magazynach, zajęta ściąganiem fig, daktyli, pierników, cukierków i wszystkich innych lekersów, nie gardząc przytem portmonetkami, szelkami, nożykami i innemi drobiazgami, które jej przypadkiem wpadną pod ręce. Kupiec udaje, że tego nie widzi, chociaż ma na wszystko baczne oko, a gdy przyjdzie potem do rachunku, dopisuje zazwyczaj po funcie na każdego niedorostka towarzyszącego rodzicom.

Gdy nadejdzie dzień uroczysty, ciągną o wyznaczonej godzinie do kościoła panny piechotą, w strojach świątecznych, jasnych i wykwintnych (krynoliny były tutaj w roku 1876 uważane za najnowszy wynalazek mody europejskiej) a epuzery popisują się konno, obrzucając tumanami pyłu swoje ideały i prawiąc im bezustannie komplementa. Ten pochód do kościoła ma wysokie społeczne znaczenie dla tutejszej ludności, ponieważ służy głównie do robienia znajomości i zawierania małżeństw.

Kraj Oranje jest czysto chłopską republiką. Ustawy wydaje tak zwany Volksraad czyli sejm krajowy, złożony

z członków obieralnych przez ogół boerów, a władza wykonawcza spoczywa w ręku prezydenta i kilku urzędników. Ówczesny prezydent Henryk Brand, znajdował się w tę porę w Anglii w sprawie pól dyamentowych, ale poznałem jego poprzednika; był nim niejaki Jakobus Venter, boer należący do sekty, nazwanej tutaj dopperami, której członkowie nie używają surdutów, lecz chodzą w krótkich, chłopskich kaftanach i przedstawiają najzacofańszy element w całym kraju. Stary Venter zrobił na mnie rzeczywiście wrażenie prostego chłopca, powiedzmy na przykład z górnej Bawaryi, do czego przyczyniła się niemało jego zimna krew i powolna mowa. U swoich współobywateli doznawał on wielkiego poważania, ponieważ nie tylko że umiał czytać i pisać, lecz nawet wydrukował książeczkę treści religijnej, pod tytułem: „W co mamy wierzyć.“ Znajdowałem się raz na obiedzie u jednego z tutejszych kupców, na którym był i exprezydent; opowiadał on o poselstwie swoim do Moszesza, naczelnika Kafirów Basuto, które zostało mu poruczone w czasie ostatniej wojny z czarnymi, przyczem wyrażał się jasno i zwięźle, z wielką prostotą. Gdy za chwilę wywiązała się dysputa, czy ziemia krąży około słońca, czy słońce około ziemi, Venter stanął ku niemałemu zdziwieniu zgromadzonych w obronie pierwszego poglądu, przyczem nie brakło mu na argumentach. Ale gdy później jeden z obecnych zapytał go, ile ma dzieci, starowina zawikłał się w odpowiedzi i nie wiedział napewne, czy ich ma dwadzieścioro i dwoje, czy też dwadzieścioro i troje; wybawiła go z kłopotu prezydencina, przekonawszy go, że było wszystkiego dwadzieścioro i dwoje. Venter twierdził, że ojciec jego, który umarł w bardzo podeszłym wieku, liczył przed śmiercią sześćset (!?) osób potomstwa w prostej linii.

Znajdował się na tym obiedzie i teraźniejszy prezydent volksraadu niejaki Fiszer. Był to spokojna, a z tem wszystkim arrogantka i uszczypliwa postać, a chociaż ubierał się bardzo starannie po europejsku, nie dorównywał rozsądkiem staremu Venterowi w krótkim spencerze. Zabawiał on w czasie obiadu zgromadzonych zagadkami, które wychodzą na nasze polskie „pod jakim krzakiem siedzi zając, gdy deszcz pada“ i „dlaczego kogut oczy zamyka, gdy pieje,“ a złośli-

wy uśmiech igrał zawsze na jego gładko-ogolonej twarzy, ile razy udało mu się nabawić kogoś kłopotu.

Do charakterystyki starego Ventera i jego rodziny muszę dodać jeszcze tyle, że exprezydent, wyjeżdżając z miasta, szedł sam z batem za wołami, pani prezydencina zamiała codziennie własnoręcznie dziedziniec, a najmłodszy syn prezydenta, pełen nadziei czternastoletni młodzieniec, zbierał po ulicach miasta porzucone butelki i sprzedawał je po handlach, a zbieranych w ten sposób pieniędzy używał na zakupno lekersów.

Kraj Oranje był pierwotnie zaludniony przez plemiona Hottentotów, których nieliczne niedobitki jeszcze gdzieś się przechowały. Zdaje się, że poczęści zbiegli niewolnicy, a poczęści przestępcy, ścigani przez władze, szukali tutaj przytułku, a znalazłszy się wśród krajowców, łączyli się z nimi, wskutek czego wytworzyło się plemię mieszkańców, nazwanych Grykwa, w posiadaniu których znajdowała ta okolica z początkiem bieżącego stulecia, gdy Anglicy zajęli starą kolonię. W tymże czasie znaczna liczba boerów, powodowana nienawiścią do Anglików, wyruszyła na północ, a przebywszy rzekę Garip, postanowiła osiedlić się na tutejszych stepach. Nowi przybysze wypowiedzieli srogą wojnę krajowcom, tępiłi zarówno Hottentotów, jak i Grykwów, ale pewną jest rzeczą, że zawarli także kilka układów z potężniejszymi naczelnikami, na mocy których znaczne obszary ziemi przeszły w ich posiadanie. Główna siła boerów przybyła jednakowoż dopiero po roku 1838, po zniesieniu przez Anglików niewolnictwa w kolonii. Utworzyli oni tutaj samodzielne i niezawisłe państewko i przybrali tę samą formę rządu, jaka istniała w starej kolonii.

Rząd kolonialny niechętnem patrzył okiem na rozwój samodzielnego państwa holenderskiego za plecyma swojemi i dlatego, gdy Holendrzy bezustannem prześladowaniem doprowadzili do tego sąsiednich Grykwów, że chwycili za broń i ruszyli w pole, rząd kolonialny ujął się za tymi ostatnimi i posłał im w pomoc oddział wojska, który zgromadzonych boerów pobił pod Zwart Koppies i wyznaczył osobnego komisarza, który mieszkał w Bloemfontain i miał czuwać nad sprawami krajowców.

Gdy w roku 1848 zdecydowała się Anglia na stanowcze przyłączenie kraju Oranje do starej kolonii i odpowiednia proklamacja została ogłoszona, powstał ogromny rozruch pomiędzy boerami; chwycili za broń, wypędzili angielskich urzędników wraz z załogą z miasta i przegnali ich za rzekę Garip. Ale niezadługo potem wypędzeni powrócili ze znaczną siłą zbrojną. Boerowie, zgromadzeni pod wodzą starego Pretoriusa pod Boomplats, stawili opór i bili się dość dobrze, ale za nadejściem głównego angielskiego oddziału poszli w rozsypkę, a kraj Oranje dostał się w ręce Anglikom. Gdy się jednakowoż pokazało, że utrzymanie kraju przewyższa jego dochody, gdy nadto z powodu ciągłych zatargów z wojowniczymi Kaframi Basuto, mieszkającymi na wschód za rzeką Caledonem, okazała się potrzeba utrzymywania dość znacznej siły zbrojnej, rząd angielski postanowił porzucić ten kraj i pozostawić go własnemu losowi, co nastąpiło w roku 1854.

Po ustąpieniu Anglików boerowie powrócili do dawnej formy rządu i pomyśleli o odwecie na kafrach Basuto, których uważali za sprzymierzeńców Anglii. Zarządzono natychmiast kilka wypraw, ale pojedyncze oddziały, przebywszy rzekę Caledon, natrafiły na silny opór. Ruchy wojenne trwały z pojedynczemi przerwami, ale bez stanowczego rezultatu aż do roku 1858. W tym czasie szczęście wojenne przechyliło się stanowczo na stronę boerów; wyparli oni czarnych ze wszystkich ważniejszych stanowisk, zajęli cały kraj Basuto i zamknęli naczelnika kafrów Moszesza wraz z jego zbrojnym ludem w Taba Bosigo. Tak nazywała się rezydencya Moszesza; byłato pozycya niezdobyta i dlatego boerowie postanowili zmusić czarnych głodem do poddania się. Ale stary Moszesz był nie tylko dzielnym wojownikiem, lecz zarazem i chytrym politykiem i prowadził już oddawna układy z Anglikami o interwencyą; przybyła w samą porę. Ówczesny gubernator starej kolonii, Sir Philip Wodehouse, ogłosił w marcu tegoż roku proklamacyę, na mocy której kraj Basuto stał się kolonią angielską, a mieszkańcy jego przyjęli poddaństwo angielskie. Boerowie odstąpili od oblężenia i zawarli z czarnymi pokój w Aliwal North, zyskawszy przy tej sposobności znaczny kawał kraju po prawym brze-

gu rzeki Caledonu, z którego czarni prawie zupełnie się wynieśli.

W roku 1861 bohater z pod Boomplats, stary Pretorius, został obrany prezydentem, a równocześnie nabyto od naczelnika Grykwów, Adama Koka, prawa do jego posiadłości, na prawym brzegu rzeki Vaal położonych, z kąd wywiązała się później sprawa z Anglią o posiadanie pół dyamentowych, której ostateczne zakończenie jest nam znane z poprzedzającego rozdziału.

W Bloemfontein zastałem sporą paczkę listów z Europy, ale ponieważ treść niektórych nie odpowiedziała moim oczekiwaniom, przeto zmuszony byłem przeprowadzić umyślną korespondencję, co naraziło mnie na kilkomiesięczną stratę czasu. Dlatego urządziłem się tutaj, jak można było, najwygodniej i poświęciłem cały ten przeciąg czasu poznawaniu kraju i jego roślinności. Najbliższa okolica w Bloemfontein przedstawia płaszczyznę dość silnie powyginaną, najeżoną gdzieniegdzie skalistemi pagórkami i niezbyt wyniosłymi kopułami. Wyżyna ta podnosi się zwolna ku wschodowi; jakoż w odległości kilkunastu mil od miasta widać z tej strony wyniosły i równo ucięty wierzchołek góry Taba Nezu, zamieszkałej przez Kafrów Barolong, którzy tutaj pod naczelnikiem Marokko żyją dość swobodnie, nie troszcząc się zupełnie ani o boerów, ani o ich republikę.

Cały kraj Oranje jest okolicą bezdrzewną, stepową; po bokach wyższych pagórków, szczególnie, gdzie lita skała występuje na jaw, można, co prawda, napotkać dość bujny zarost Rojeny, sumaków, dzikich oliw i innych krzewów krajowych, a nad rzeką Mudriver rosną nawet dość bujne akacje, ale wszystkie miejsca otwarte są zupełnie огоłocone z drzew, pokryte roślinnością zielną lub trawami. Stary Venter upewniał mnie, że niegdyś drzew tutaj było daleko więcej, ale na równinach zostały wyniszczone przez corocznie powtarzające się pożary, a po pagórkach nikną jeszcze ciągle, tępione siekierami boerów, którzy drzewa potrzebują poczęści na budowle, a poczęści przywożą je do miasta na opał. Widywałem rzeczywiście na targu całe wozy, naładowane kłodami starych oliw i akacyj, i przekonałem się, że

im gęściej miejscowość jaka była zaludnioną, tem bardziej krzewy i zarośla były przetrzebione.

Wszystkie rośliny krzewiaste, jakie tutaj znalazłem, należą do zawsze zielonych i odznaczają się liściem drobnym, ciemnozielonym, niekiedy połyskującym, łodygi mają karłowate, a gałęzie częstokroć uzbrojone cierniami. Ale na pagórkach, po nad miastem, znalazłem pewien rodzaj drzewiastej kussonii o liściach złożonych, wachlarzowatej postaci, mierzących przeszło dwie stopy średnicy, a zjawienie się wielkolistnego drzewa przypomniało mi, że znajduję się pod 29tym stopniem południowej szerokości, w bliskości okolic tropikowych.

Stepy tutejsze były o tej porze pokryte bardzo bujnym i kwiecistym trawnikiem. Po miejscach równych, na glebie ilastej, przeważają tutaj trawy, wytwarzając płowe smugi, dostrzegalne już z odległości; ale gdzie ziemia była pomieszana z piaskiem, a zasób wilgoci nieco większy, tam bogactwo roślin kwiatowych było zadziwiającem. Z typów roślinnych, jakie przeważają nad brzegami morza na Przyładku Dobrej Nadziei, napotykałem tutaj tylko cebulkowate, nieśmiertelniki i kilka traw, ale wszystkie tutejsze formy należały do odmiennych, tej okolicy właściwych gatunków.

Rozwój roślinności jest tutaj także przywiązany do odmiennych pór roku, bo i stosunki klimatyczne odmienne. Na południu zima jest mokrą, największa liczba roślin kwitnie na wiosnę, t. j. w październiku i listopadzie, a suche upały lata (styczeń, luty) zabijają wiele roślin. Tutaj przeciwnie, zima jest suchą, a lato mokre i dlatego największa liczba roślin kwitnie w lutym i marcu. Od końca grudnia do połowy maja padają tutaj deszcze bezustannie i łagodzą znacznie upały. Noce bywają o tej porze pogodne; około dziesiątej godziny przed południem ukazują się na niebie białe wilgotne chmury, po południu pada deszcz ulewny z grzmotami i piorunami, a pod wieczór niebo znowu się wypogadza. Po ustaniu deszczów ciepłota jest łagodną, a powietrze bardzo przyjemne. Ale już w miesiącu czerwcu noce zaczynają być chłodne, ziemia pokrywa się nad ranem szronem, w lipcu i sierpniu woda zamarza na pół cala. Zima jest tutaj bezwarunkowo suchą i nadzwyczaj zdrową. Zja-

wienie się chmury na niebie albo deszcz, należą o tej porze do zjawisk niezwykłych.

A jednak zjawisko takie zdarzyło się właśnie w czasie mojego tutaj pobytu. Około piętnastego czerwca zaczął wiać nadzwyczaj silny wiatr północno-zachodni i trwał z rosnącą siłą przez dni pięć; szóstego dnia pod wieczór ukazały się na zachodnim horyzoncie ciemne masy chmur, a wkrótce potem zaczął padać deszcz przy odgłosie nielicznych eksplozji elektrycznych. W godzinę potem deszcz zamienił się w śnieg i padał przez noc całą. Na drugi dzień jasno-wschodzące słońce zastało całą okolicę pokrytą białym całunem śniegu, a około południa wychodzący z posiedzenia volks-raadu ojcowie kraju objawili zdziwienie swoje głośnym okrzykiem „Allermachten“ i zaczęli bić się kulami, ku jeszcze większemu zdziwieniu różnobarwnego tłumu. Dostało się przy tej sposobności i staremu Venterowi za swoje. Śnieg znikł w mieście zupełnie na trzeci dzień, ale w górach, nad rzeką Caledonem, widziałem go jeszcze w dwa miesiące później.

Jak długo okoliczne pagórki i równiny świeżę były pokryte roślinnością, a wycieczki dostarczały nowych zdobyczy, pobyt mój w tem mieście był dość przyjemnym. Ale gdy posucha jesienna wypaliła stepy i wycieczki za miasto żadnych już nie przynosiły korzyści, położenie moje stało się nieznośnem i liczyłem z niecierpliwością dnie i godziny mojej niewoli. Nadeszły nakoniec z Europy z niecierpliwością wyczekiwane listy, ale nie zadowolili moich nadziei. Właściwym celem mojej podróży miała być pustynia Kalihari i jezioro Ngami, ale że potrzebne do takiej ekspedycji fundusze nie nadeszły, przeto nie pozostało nic innego do czynienia, jak rozstać się z żalem z ulubionemi planami i ograniczyć się do tego, co nie przechodziło granic możliwości. Postanowiłem zwiedzić jeszcze kraje Basuto i Natal i powrócić do Europy.

(Ciąg dalszy nastąpi).

JUBILEUSZ DŁUGOSZA.

(Odezwa Akademii Umiejętności).

Dnia 19 maja b. r. odbędzie się przeniesienie popiołów **Jana Długosza** z urny w krypcie kościoła św. Stanisława na Skalce, do sarkofagu, ustawionego tamże staraniem pana Józefa Łepkowskiego, konserwatora zabytków, a kosztem funduszu krajowego.

Kościół katedralny krakowski uświęci dzień ten, rocznicę śmierci jednego z najznakomitszych i najenotliwszych sług swoich, uroczystem pamiątkowem nabożeństwem.

Akademia Umiejętności w Krakowie, pragnąc i ze swej także strony złożyć hołd pamięci męża, który życie i siły swoje głównie pracy naukowej poświęcił, a potomności tak bogatą wiedzy historycznej pozostawił spuściznę, postanowiła doroczne swoje posiedzenie odbyć w willi tej uroczystości kościelnej, dnia 18 maj^u, na którym jeden z jej członków: „Rzecz o Długoszu na tle dziejopisarstwa ówczesnego europejskiego,“ mieć będzie.

Wydawnictwo dzieł wszystkich Długosza, przez ś. p. Aleksandra hr. Przeddzieckiego rozpoczęte, przez synów jego hr. Konstantego i Gustawa Przeddzieckich dalej prowadzone, gotuje na rocznicę tom ostatni, zamykający piękną tę i cenną naukową publikację.

Ażeby ta chwila pamiętna mogła i pod umiejętnym względem godnie, o ile możność pozwala, odpowiedzieć wielkiemu i niespracowanemu umysłowi, ogarniającemu całość dziejów narodu w jego najświetniejszej epoce, grono podpisanych członków Akademii Umiejętności w Krakowie, powzięło w porozumieniu z Zarządem tejże, myśl połączenia z uroczystością pamiątkową pożytecznego dla nauki o przeszłości Polski w najszerszem tego słowa znaczeniu, przedsięwzięcia.

Jestto zjazd historyczny imienia Długosza, mający na celu omówienie umieszczonych obok w osobnym programie kwestyj naukowych, zdążających przedewszystkiem do porozumienia się w sprawach poszukiwania, gromadzenia, obrabiania i wydawania materiałów historycznych, tak do dziejów politycznych, jak do dziejów oświaty, literatury i sztuki w Polsce.

Uczestnikami zjazdu będą przedewszystkiem członkowie Akademii Umiejętności w Krakowie: krajowi, zakrajowi i zagraniczni wszelkiej kategorii, którzy w nim udział wziąć zechcą; członkowie akademicznych komisyj: historycznej, archeologicznej, historii sztuki, historii oświaty i literatury, prawniczej, językowej i bibliograficznej, niemniej ci wszyscy uczeni i miłośnicy rzeczy polskich, którzy zawiadomieni osobiście o zjeździe, w jego obradach uczestniczyć raczą.

Znaczenie Długosza jako dziejopisa, nieobojętne i dla historii krajów ościennych, również jak i ściśle i pełne ważności związki dawnej Polski i temież krajami, czyniłyby pożądaną obecność i sąsiednich, na polu badań naszych zasłużonych pracowników, w zamierzonych obradach. W skromnem poczuciu niedawnego a w miarę tego i niezbyt bogatym jeszcze plonem wydawnictw historycznych, niemniej przez wzgląd na ogólne, z położenia naszego narodowego wynikające trudności, niechcielibyśmy jednakże rzeczy zbytńm rozgłosem podnosić. Pozostawić przeto wolimy własnej chęci i dobrej woli tych postronnych uczonych, o ile odpowiednio do uczutej potrzeby udziałem swoim zechcą uświetnić ten zjazd, wskutek otrzymanego zawiadomienia.

Umocnić się w obowiązku skrzętnej opieki nad spuścizną dziejów, rozbudzić w szerszych kołach jak najgorętsze tejże zamięłowanie, objąć zapomocą wspólnego porozumienia zadania najbliższe naukowej pracy około tej spuścizny, poruszyć strony jej zaniedbane a przecież pierwszorzędnej ważności, ogrzać się wspólnie przy tem ognisku domowem, którem jest dla każdego narodu miłość jego przeszłości, połączona z sumienną służbą prawdzie — oto czego się spodziewamy po zjeździe zamierzonym. W taki sposób stać się on może jednym więcej czynnem uczeniem Męża, którego pamięć święci w tym roku Katedra krakowska, Akademia i kraj, a który wobec najostrzejszej krytyki pozostanie zawsze chlubą Polski XV wieku, a jednym z najznakomitszych zjawisk tego wieku na polu historyografii europejskiej.

Posiedzenia zjazdu odbywać się będą w najbliższych dniach po uroczystem posiedzeniu Akademii dnia 19, 20 i 21 maja, w salach akademickich przy ulicy Sławkowskiej, dostępnemi zaś będą publiczności za biletami bezpłatnemi wstępu, których liczba do objętości lokalu zastosowaną będzie. Z zjazdem

połączoną będzie wystawa materiału historycznego, od roku 1830, do dziejów Polskich się odnoszącego, dostępna uczestnikom zjazdu.

Listy adresować należy do Komitetu gospodarczego zjazdu historycznego Imienia Długosza w Krakowie, na ręce Dra Józefa Szujskiego, Sekretarza generalnego Akademii Umiejętności.

W Krakowie dnia 15 marca 1880 r.

(następują podpisy).

PORZĄDEK DZIENNY ZJAZDU HISTORYCZNEGO

IMIENIA

JANA DŁUGOSZA

odbyć się mającego dnia 19, 20 i 21 maja 1880

W GMACHU AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.

POSIEDZENIE PEŁNE

dnia 19 maja o godzinie 4 po południu.

Zagajenie do wyboru Prezesa zjazdu, przez przewodniczącego Komitetu gospodarczego.

Wybór Prezesa i dwóch Sekretarzy zjazdu.

Ukonstytuowanie się dwóch sekcji zjazdu: historycznej i historyczno-literackiej, oraz sekcji archeologii i historii sztuki— ewentualnie postanowienie, czy posiedzenia obu sekcji razem odbywać się mają.

Odczyt z zakresu metodyki historycznej i dyskusya nad nim.

Ogłoszenie porządku dziennego zgromadzeń sekcji, a ewentualnie posiedzeń sekcji połączonych.

Dnia 20 maja rano i po południu, jak niemniej 21 rano

POSIEDZENIA SEKCYJNE.

Zapowiedziano na nie w sekcji I.

A. *Z zakresu materiału historycznego.*

1. O zakresie i niektórych potrzebach wydawnictwa „*Monumenta Poloniae historica*,” ref. Fr. Xaw. Liske, czł. Akademii.

2. Kwestya wydawnictwa dyplomatów XV wieku, ref. F. Piekosiński, czł. Akademii.
3. O wydawnictwie historyków XVI wieku, ref. Dr. W. Zakrzewski, czł. Kom. hist.
4. Zapiski sądowe i ich wydawnictwo, ref. M. Bobrzyński, czł. kor. Akad.
5. O przygotowawczych robotach do geografii historycznej Polski wraz z podniesieniem potrzeb uprawy historii lokalnej, ref. Dr. St. Smolka, czł. Kom. hist.
6. O ile do poznania ustawodawstwa Kościoła w Polsce potrzebnem jest zupełne wydanie statutów synodalnych, tak prowincjonalnych, jak dycezyalnych, i jakie warunki rzeczonemu wydawnictwu ustanowićby należało?, ref. X. Polkowski, czł. kor. Akad.
7. Jakie są *desiderata* pod względem wydawnictwa ustaw polskich?, ref. M. Bobrzyński.
8. O wyzyskaniu manuskryptów średniowiecznych dla historii, historii oświaty, języka i literatury, ref. Władysław Wisłocki, czł. kor. Akad.
9. Jakie przedruki dzieł XVI wieku byłyby pożądane dla historii oświaty i literatury? Tenże.
10. Drogi poszukiwań zabytków starego języka polskiego, ref. Lucyan Malinowski, czł. Kom. jęz.
11. Stan materyału historycznego i *desiderata* tegoż do dziejów Uniwersytetu krakowskiego, ref. Józef Szujski, czł. Akad.
12. Jak uczcić rocznicę śmierci Jana Kochanowskiego?, ref. St. Tarnowski, czł. Akad.

B. Z zakresu kwestyj historycznych.

1. O Kazimierzu Mnichu, ref. Dr. Tad. Wojciechowski.
2. Kilka kwestyj o źródłach Długosza, ref. Dr. A. Semkowicz.
3. Długosz w historii swej wobec Witolda, ref. Dr. Prochaska.
4. Jaka jest geneza ustawy. „*De non praestanda obedientia?*” ref. Józef Szujski.
5. Czy stronnictwo poselskie za Zygmunta Augusta dążyło do wzmocnienia władzy rządowej?, ref. Dr. Michał Bobrzyński.
6. Stanowisko Jana Sobieskiego w armii sprzymierzonych r. 1683, ref. Franciszek Kluczycki.

W sekcji II.

1. Czyli można konstrukcyę kościołów gotyckich krakowskich XIV wieku uważać za cechę specjalną ostroluku w Polsce?, ref. Wł. Łuszczkiewicz, czł. Akad.

2. Jakie badania nad zabytkami sztuki są konieczne dla związania ich z historią właściwą narodu?, ref. M. Sokołowski, czł. Kom. hist. szt.
3. Jaki szereg badań wypada przedsięwziąć, aby zyskać podstawę do wyjaśnienia wędrówek różnych plemion słowiańskich w epoce poprzedzającej pierwszy zawiązek Polski?, ref. J. N. Sadowski, czł. kor. Akad.
4. Czy wpływ bizantyński na sztukę średniowieczną w Polsce był jaki i na czym polegał, ref. M. Sokołowski.
5. Warunki naukowego wydawnictwa zabytków malarstwa w Polsce, ref. Wł. Łuszczkiewicz.
6. Warunki wydawnicze pomników architektury w Polsce, ref. M. Sokołowski.

POSIEDZENIE PEŁNE

dnia 19 maja po południu.

Zagajenie przez Prezesa zjazdu.

Sprawozdanie i wnioski dotyczące się materiału średniowiecznego do historii polskiej, przedstawione wskutek obrad sekcyjnych przez ustanowionego tamże referenta.

Sprawozdanie podobnież dotyczące się materiału nowożytnego — przedstawione jak wyżej.

Sprawozdanie co do materiału z zakresu archeologii i historii sztuki, podobnież.

Odczyt treści historyczno-filozoficznej.

Zamknięcie zjazdu przez Prezesa.

UWAGI REGULAMINOWE.

Nad każdą kwestyą toczyć się będzie dyskusya, wśród której każdy uczestnik dwa razy głos zabierać może. Referent ma ostatni głos. Referaty i dyskusya, ze względu na czas, muszą być ściśle i treściwe.

Wotowanie dopuszczonem jest tylko w wątpliwościach regulaminowych, oraz nad trzema sprawozdaniami na ostatniem posiedzeniu.

Układanie porządku dziennego w sekcjach i rozporządzenie kwestyami, ewentualnie usunięcie jednej lub drugiej wskutek braku czasu, należy za porozumieniem z przewodniczącymi sekcyj, do Prezesa zjazdu.

NOWE KSIĄŻKI.

Association des anciens élèves de l'école polonaise. *Procès-verbal de l'Assemblée semestrielle du 1er février 1880.* Bulletin de l'association. Seizième année. Nr 29. Prix 1 fr. Paris. Imprim. A. Reiff. 1880 str. 28. Z zajmującego tego sprawozdania o towarzystwie b. uczniów szkoły polskiej, które pomyślnie się rozwija, wyjmujemy następujące daty: Liczba członków 267. Fundusz rezerwowy 4,808 fr. Stan czynny 1199 fr. wydatki 509 fr. W kasie 689 fr. (centyny opuszczamy). Na posiedzeniach czytano następujące rzeczy: 1) C. Godebski opisywał wrażenia z podróży do Polski; 2) W. Gasztowt o Jubileuszu Kraszewskiego; 3) C. Stryjeński o Poetach angielskich w stosunku do Polski; 4) S. Kurnatowski o Z. Krasińskim; 5) J. Jasiewicz o moralnych wpływach na rozwój i leczenie chorób.

Dnia 27 listopada obchodzono rocznicę śmierci Mickiewicza, pod przewodnictwem p. Duchńskiego. Pan Gasztowt mówił o „Panu Tadeuszu,” pp. Broniec i Nagórski czytali wiersze. Na pomnik Mickiewicza zebrano 124 fr. Zawiązała się sekcya austr.-polska, której sekretarzem jest p. T. Stryjeński w Krakowie. — Dodany do powyższego sprawozdania przegląd ruchu literackiego i nakowego w Polsce, rozdział o poezyi czeskiej, i nekrologia.

W dalszym ciągu wydawnictwa Dzieł Juliana Bartoszewicza ukazały się po raz pierwszy wydane „Szkice z czasów Saskich.” Są to po większej części opowiadania na tle wewnętrznego życia narodu, będące przyczynkiem do historyi obyczaju i prawa polskiego. Do takich należy szkic „Kropińscy” obrazek sejmikowego życia, osnuty na papierach rodzinnych po-

zostałych po autorze Ludgardy. W „*sprawie Karwickiego*” kreśli autor sławną za Augusta III walkę między kanclerzem Małachowskim, a marszałkiem nadwornym Mniszchem, do której dał powód drobny spór o wioskę Rokitno; walka ta poruszyła namiętności stronnictw, ze sprawy prywatnej stała się publiczną walką o zasady, o interpretacyą prawa. Ciekawy typ jurysty i statysty, przedstawiony jest w szkicu *Ignacy Bohusz*; Bohusz ten to znany później sekretarz konfederacyi barskiej, prawa ręka księcia Panie Kochanku. Obrazek szlacheckich sporów, skreślony jest w *Panu Bystrym*. Takie obrazki równie jak *Kropińscy* jak *Bohusz*, to wyborny materiał do historycznej powieści. *Dzieje niewiasty polskiej* podają nam typ staropolskiej matrony (Heleny z Połockich Morsztynowej), która tem więcej obchodzić nas może, że była córką czy wnuczką autora „*Wojny Chocimskiej*.” *Koronacye obrazów świętych* odkrywają nową charakterystyczną cechę epoki. Artykuły *Warszawa i Karol XII w Warszawie* są przyczynkiem do politycznych dziejów narodu, tak jak znowu artykuł *Ks. Wincenty Santini* jest ważnym przyczynkiem do naszych dyplomatycznych stosunków ze Stolicą Apostolską. *Grand muskietierowie i Kampeunt* opisują rycerskie zabawy Augusta Mocnego. Najważniejszym jednak, zwłaszcza dla badacza politycznych przeobrażeń narodu, jest *Systemat Karwickiego reformy Rzeczypospolitej*. Karwicki, stronnik Leszczyńskiego, był pierwszym co plan reformy całkowicie nakreślił, uprzedzając Konarskiego i jego następców. Słowem rozmaitość w „*Szkicach*” jest wielka, a nazwisko autora odpowiada za treść w nich zawartą. Największe uznanie należy się także wydawcy panu Kazimierzowi Bartoszewiczowi, że nie zrażony trudnościami, ogłosił już siedm sporych tomów nieznanych, a cennych dzieł czcigodnego swe-
go ojca.

P. Karol Berchard, notaryusz w Szczereu, ogłosił w osobnej broszurze szereg artykułów p. t. **Reforma Zakładu kredytowego włościańskiego** (Lwów, str. 32). Autor z werwą i znajomością rzeczy upomina się o prawa członków powyższego zakładu, zupełnie niejako zapomniane, i podaje sposób odzyskania praw pokrzywdzonych i ukrócenia nadużyć Administracyi, bez narażenia Zakładu na zupełny upadek, co byłoby nową klęską finansową dla kraju.

Wyszedł IV zeszyt **Biblioteki Uniwersalnej**, wydawanej w Tarnowie od d. 1 stycznia (p. *Przegląd Polski*, Marzec 1880). Odtąd każde dzieło mieć będzie osobną paginacyę. Zeszyt ten zawiera: 1) *Ifigenia* Goethego (dokończ.); *Hetman Ukrainy* Czajkowskiego (ciąg dalszy); *Marya* Maleczewskiego.

P. Teodor Jeske-Choiński wydał powieść p. t. *Straceniec*. (Lwów. Nakładem i drukiem K. Pillera 1880, str. 198). Jestto obrazek z ostatniego powstania. Wątek powieściowy jest wąty. Niektóre sceny kreślone z życiem. Zapatrywania autora zawierają się w następujących słowach: „Zapaleńcem jest każdy, co nie liczy, nie pyta o własne niebezpieczeństwo, tylko naosłep za jakąś ideą (!) biegnie. Gruby (sic) kupiec, porządny rzemieślnik, lojalny urzędnik, wzdrygnął ramionami i powiedział: Waryat! — ale historyk” — wie, że takie waryaty są kamieniami przydrożnymi w pochodzie ludzkości. Bez nich nie ma życia, nie ma postępu, bo każda idea niepowszednia łąknie krwi, *wiele krwi*, a „lojalni” stoją zawsze *z kiejem za płotem*. (Co to znaczy? P. R.). . . „Kiedy Rząd Narodowy powstanie ogłosił, stanęło odrazu kilka tysięcy bohaterów, z których każdy sytuacji dorósł (!). Szkoda, *za mało ich było, tych straceniów!* Później przybywali do obozu włóczęgi różne, karyerowicze . . . (str. 77 i 78).

Pan Karol Estreicher, ogłosił biografią **Aleksandra Kremera** (Lwów. Druk. Wł. Łozińskiego str. 15). Ponieważ trudno o dokładniejsze a zwięźliwsze zebranie szczegółów życia i ocenienie prac zasłużonego męża, przeto odsyłamy czytelników naszych do powyższej pracy szanownego autora „Bibliografii polskiej.”

Głos szlachcica polskiego (J. I. Kraszewski a *Zakon szlachecki*). We Lwowie. Nakładem Drukarni Ludowej 1880, str. 232. Jako autor tej bardzo ładnie wydanej książki, podpisany: *Szlachcic na zagrodzie*. Napisał ją (zapewne skończył) dnia 13 września 1878 roku. Przeglądającemu tę pracę przyjdą na myśl różne pożyteczne przysłowia, których nie przytaczamy, nie chcąc Czytelnika uprzedzać.

Obrona własności literackiej księgarni „*Gubrynowicz i Schmidt*” przeciw *Księgarni Polskiej* we Lwowie (Drukowano jako manuskrypt) Lwów, Nakładem księgarni Gubrynowicza i Schmidta 1880 str. 60. Jestto stenograficzne sprawozdanie z procesu przeprowadzonego w Sądzie lwowskim z następującego powodu: Księgarnia Polska wydawała zeszytami zbiór różnych piosenek p. t. *Spiewnik Polski*, o którym w swoim czasie donosiliśmy. Były tam oczywiście i pieśni Zaleskiego. Otóż księgarnia pp. Gubrynowicza i Schmidta nabywszy dzieła Zaleskiego na własność, wytoczyła Księgarni Polskiej proces o nieprawny przedruk przeszło czterech arkuszy z dzieł Zaleskiego przez siebie wydanych. Po długiej, niezbyt ciekawej rozprawie, zapadł wyrok skazujący Księgarnię Polską na zapłacenie 10 złr. kary, egzemplarze *Spiewnika* uzna-

jący za *przepadłe*, a z pretensją odszkodowania w kwocie 1060 (tysiąc sześćdziesiąt!) złr. w. odsyłający skarżących na drogę prawa cywilnego. Skazani zgłosili zażalenie nieważności. Zastępca skarżących dowodził, że zbiór różnych piosenek jest *dziełem* p. Bartoszewicza. Tym sposobem nie autorowie, lecz wydawcy byłiby właściwie autorami. Zaslugą procesu tego bardzo zresztą przykrego, co obie strony uznawały, będzie może zatomowanie prawdziwej powodzi nieprawnych przedruków, o których z własnego doświadczenia mógłby bardzo wiele powiedzieć *Przegląd Polski* i jego redaktor.

Instytucja czei i chleba w Paryżu ogłosiła sprawozdanie z czynności zarządu i z obrotu funduszków w r. 1879. Prezesem stowarzyszenia jest Bohdan Zaleski. Z założycieli stowarzyszenia podatkowego, t. j. takich osób, które skapitalizowały swój podatek lub też ofiarowały pewną kwotę na fundusz wieczysty — zmarło 65, żyje dotąd 57.

Obrót pieniężny w roku 1879 był następujący: Przychód:

1. Wpływy, od których $\frac{1}{4}$ potrąca się na fundusz żelazny:
 - a) Walory będące własnością stowarzyszenia przyniosły 8,470 złr. 24., b) Podatek 4.479 złr. 70 ct., razem 12.949 złr. 94 ct.
2. Wpływy nieulegające powyższemu potrąceniu:
 - a) Przychód od gotówki składanej w Crédit Foncier i Société Générale 41 złr. 19 ct., b) Od pani hrabiny Izy Działyńskiej, dożywocie z zapisu ś. p. Aleksandra hr. Potockiego 400 złr., c) Z ofiar jednorazowych 5.151 złr., razem 5 592 złr. 19 ct. Ogół przychodów 18.542 złr. 13 ct.
3. Pozostałość z r. 1878 2.137 złr. 91 ct. Ogólny dochód w r. 1879 wynosi 20.680 złr. 4 ct.

Wydatki: a) $\frac{1}{4}$ przychodu wniesiona do funduszu żelaznego 3 300 złr., b) Emerytury 8.640 złr. c) Pensye od krzyżów srebr. 400 złr., d) Wsparcia jednorazowe z ofiar 5.486 złr. 70 ct., e) Koszta biurowe i administracyjne 616 złr. 30 ct. Razem 18.443 złr. Pozostaje w kasie na rok 1880 2.237 złr. 4 centów

W ciągu r. 1879 następujący veterani zostali przyjęci do emerytury: Łabęcki Julian (ur 1807), Iwaszkiewicz Ignacy (1791), Malinowski Tomasz (1802), Brzostowski Stanisław (1808), Dymkowski Jan (1808), Moszyński Nikodem (1803). Członków w r. 1879 przybyło 46.

Katalog rękopisów Biblioteki Zakładu Nar. Im. Ossolińskich wydał Dr *Wojciech Kętrzyński*, dyrektor t. zakł. Zeszyt I. Lwów. Nakładem Zakł. Ossolińskich. 1880, str. 320. Wydawnictwo ogłasza: „Aby ułatwić korzystanie z zasobów rękopiśmiennych, postanowiła Kuratoria Zakł. Ossol. wydawać *Katalog rękopisów* (jest ich w bibliotece Zakładu 2770) i to co rok w zeszytach 20-arkuszowych. Dwa zeszyty stanowią

mają tom, a do każdego tomu dodany będzie indeks abecedowy osób i miejscowości. Cały Katalog obejmie 4 do 5 tomów. (Cena zeszytu 2 zlr.). Mówić o pożyteczności tego wydawnictwa zupełnie zbyteczna. Jestto poprostu dobrodziejstwo dla wszystkich uczonych wszelkich kategorii. Za umiejętne wykonanie rzeczy nazwisko wydawcy. W Krakowie wydaje także katalog rękopisów krak. p. Wł. Wisłocki. Właśnie wyszedł zeszyt piąty.

Pan Henryk Kieszkowski, Dyrektor i główny założyciel krakowskiego „Towarzystwa wzajemnych Ubezpieczeń,” ogłosił broszurę, w której bardzo poważnie i z wielkim zasobem doświadczenia zastanawia się nad upadkiem większych własności i postępującem co raz raźniej wywłaszczeniem szlachty, i proponuje założenie **Towarzystw wzajemnej opieki nad własnością ziemską** czyli *Towarzystw obrony przeciw wywłaszczeniu*. Projekt ten był już przedmiotem rozpraw w dziennikach krajowych i zasługuje na to, żeby ludzie szczerze kraj miłujący zastanowili się nad nim wszechstronie i sumiennie, i przyczynili się do jego urzeczywistnienia.

Utwory Zygmunta Krasińskiego (nieobjęte lwowskim wydaniem), zebrał i życiorysem opatrzył B. T. Poznań, Księgarnia Nowa (Fr. Błażek) 1880, str. LXXIX i 80. Książka ta, poświęcona hr. z Krasińskich Raczyńskiej, córce Zygmunta, zawiera oprócz przedmowy (Młodość Z. Krasińskiego) następujące rzeczy: 1) Gastold; 2) Teodoro, król borów; 3) Ułamek z dawnego rękopisu; 4) Zamek Wilezki; 5) O literaturze polskiej; 6) Opisanie jeziora Leman.

Doszła nas z Genewy **Mowa Zygmunta Miłkowskiego**, wypowiedziana podczas obchodu rocznicy powstania 1830 d. 29 listopada 1879. Mowa ta wymierzona głównie przeciw partyi, którą autor „szkołą krakowską” nazywa i na której rachunek różne grzechy z oburzeniem zapisuje. Między innemi głównym jej celem jest (według autora) *narażenie przyszłego powstania polskiego na niepowodzenie*. „Słowa „Jeszcze nie zginęła” nie oznaczają tego, co szkoła krakowska myśli, a co Moskale tłómaczą, lecz odnoszą się do ojczyzny naszej w sensie politycznym — do całej, wolnej i niepodległej.”

Moskwa a Polska. Rozpamiętywanie ugodowe. Pod tym tytułem wyszła we Lwowie, nakładem Drukarni związkowej, broszura o 28 stronicach. W odpowiedzi na głosy prasy rosyjskiej wzywające do zgody i „obiecujące pozostawić nam znamię *polskości*,” wątpi autor, żeby Polacy przystali na taką ugodę, której hasłem byłoby Dantego: „*Lasciate ogni speranza*,”

voi ch'entrate. „Uczą nas dzieje, że narody podbite wynajdywały *modum vivendi* ze zwycięzcami, ale że ujarzmieni z czasem zlewali się z zaborcą. Czy jest to możliwe między Polakami a Moskalami, oto pytanie, na które odpowiada bezimienny autor — a zastanowiwszy się nad stosunkami w Rosyi (między innemi powiada, że tam wbrew zasadzie „la propriété c'est le vol“ „każdy złodziej staje się właścicielem“) i powołując się na *Przegląd Polski*, „którego przecież o nienawistną stronnictwość względem Moskwy posądzać nie można“ (dosłownie na str. 19) powiada, że nie tylko z rządem, ale i z narodem moskiewskim wytrzymać nie można — przychodzi do konkluzyi, „że między socjalizmem rządu a nihilizmem społeczeństwa rosyjskiego — społeczeństwo polskie jako negacya socjalizmu i nihilizmu — jest w położeniu strasznem, bo ani z tem państwem, ani z tem społeczeństwem pojednać się nie może. Autor nie spodziewa się, żeby dyplomacya, która żyje z dnia na dzień, której robota jest tylko nędznem łataniem terazniejszości, poznała niebezpieczeństwo, które jej grozi, w razie, gdyby Polska uległa; przestrzega więc tylko społeczeństwo i narody, ale dodaje, że „Polacy nie wzywają pomocy, nie błagają o wsparcie.“ Widzimy z tego, że broszura ta ani do praktycznych ani do politycznych wniosków nie dochodzi — a kończy smutnem i rozpaczliwem „Memento mori.“

Czytamy w Nr. 65 rzymskiego dziennika *l'Aurora* z d. 19 marca b. r. pod rubryką *Scienze e lettere*.

„Akademia Niepokalanego Poczęcia zgromadziła się wczoraj w oddziale nauk filozoficznych.

Wielebny Ojciec Stefan Pawlicki czytał pierwszą część swych uwag krytycznych nad *filozofią Bakona*. Zaznaczywszy doniosłość przedmiotu i duchowe wykształcenie angielskiego kanclerza, prelegent wykazał, iż jego wymarzone odrodzenie (*istaurazione*) nauk udać się nie mogło, ponieważ Bakon wcale nie był biegły w naukach ścisłych. Przechodząc dalej do analizy jego: *Novum Organum*, prelegent wyjaśnił, że indukcyja Bakońska nie różni się w gruncie od indukcyi Arystotelesa i Scholastyków, przeto niesłusznie przypisywano Anglikowi chwałę jej wynalezienia. Co zaś do jego pretensyi, aby znieść metodę syllogistyczną, działał chyba pod wpływem szczególnego złudzenia, skoro tenże *Novum Organum* zawdzięcza nierównie więcej dedukcyi aniżeli indukcyi. Ostatecznie za pomocą mnogich przytoczeń wykazał Ojciec Pawlicki, że Bakon, słaby badacz i lichy matematyk, nie umiał zastosować indukcyi do wymagań nauk ścisłych, i że przeto nie pchnął nauki ani o jeden szczebel postępu. Wielki ruch naukowy, który od Kopernika i Leonarda da Vinci aż do Galileusza i Keplera trwał już od przeszło lat stu, nie zgola nie zawdzięczał Bakonowi, jak mu też

nie nie zawdzięcza potomność. Prelegent udowodnił swe twierdzenie obfitości dokumentami. W końcu zauważył, iż nierównie więcej Kopernikowi i Galileuszowi, aczkolwiek byli oni głębokimi znawcami nauk ścisłych i wślawili się wielkimi odkryciami, przypada chwała wytworzenia metody indukcyjnej. Ks. Pawlicki wykazał długimi ustępami z dzieł Mistrzów Scholastyki, że Albertus Magnus, Święty Tomasz, Duns Skot, Rogier Bakon, dokonali pogodzenia dwóch głównych elementów metody doświadczalnej, to jest obserwacją i obrachunek. Tym sposobem oni to otworzyli nowe tory naukom ścisłym i zagaili w XIII wieku epokę doświadczeń naukowych i wielkich odkryć, trwającą aż po dni nasze. Ztąd bez przesady twierdzić można, iż filozofia wielkich mistrzów z XIII stulecia jest stałym i niewzruszonym filarem, na którym spoczywa sklepienie nowoczesnej nauki. — Wszyscy obecni temu odczytowi Ojca Pawlickiego, przyklasnęli prawdziwości sądów, ścisłości erudycji, oraz umiarkowaniu krytyki znakomitego prelegenta. W dyskusji, która się po odczycie wywiązała, brali udział profesor Talamo, hrabia Capogrossi i profesor Cavagnis.“ (Przekład „Kuryera Poznańskiego”).“

P. Paweł Popiel ogłosił rzecz o socyalizmie, napisaną z właściwym mu talentem, a odznaczającą się głębokością poglądów, p. t. **Choroba wieku** (str. 31). *Czas* podał o niej sprawozdanie w szeregu artykułów.

W roku 1881, przypada 300-letnia rocznica wydania dzieła polskiego lekarskiego z XV stulecia p. n. „**Przymiot**.“ Dzieło to które wyszło w Krakowie w drukarni Łazarzowej 1581 in 4to (664 stronnic), będzie przedrukowane kosztem krakowskiego Towarzystwa lekarskiego. Dodany będzie przedruk dzieła Oczki: „O cieplicach,“ facsimile własnoręcznego listu Oczki, znalezionej przez profesora Adolfa Pawińskiego w archiwum głównem Królestwa i wizerunek autora podług pomnika znajdującego się w kościele XX. Bernardynów w Lublinie, gdzie Oczko życie zakończył w r. 1608.

Niestrudzona *Księgarnia J. K. Żupańskiego*, obok bardzo pożytecznych, pozwala sobie od czasu do czasu na niezwykle szczerodrobiwością wydawnictw prawdziwie zbytkownych. Świeżo ogłosił p. Żupański **Podania i Legendy polskie, ruskie i litewskie**, zebrane przez *Lucyana Siemieńskiego* z ilustracyami *Władysława Mottego*. Zeszyt I obejmuje: 1) Legendę o Madeju; 2) Rusalki; 3) Widmo w zamku Rydzyńskim; 4) Świadeetwo nieboszczyka. Text *polski i francuski*. Do każdego numeru dodana jest fotografia rysunku p. Mottego w ogromnym formacie, ażeby zdobić mogła nie tylko album ale i ściany. Życzy-

my temu wydawnictwu jak najlepszego powodzenia i uważamy je za dowód *pietatis* dla niezapomnianego tłumacza „*Odysei*“; — ze względu na stósunki nasze wolelibyśmy chyba, żeby wydanie mniej było wspaniałe, a format cokolwiek mniejszy. Ale to już rzecz hojności wydawcy. Na razie wyjdą trzy zeszyty, a w miarę poparcia i dalsze. Do każdej legendy dodana będzie fotografia. Odbicie tekstu jest prześliczne, fotografie bardzo dobre, rysunki świadczą przychylnie o talencie autora.

Alfred Szczepański. Pogadanki o powszednim chlebie. Kraków 1880. Nakładem autora str. 64. Wyznajemy, że nie znamy praktyczniejszej i zręczniejszej napisanej książki dla ludu, niż powyższa. W szeregu obrazków, które się jednak w całość ze sobą łączą, bardzo zajmujących i napisanych językiem nadzwyczaj przystępnym a wolnym od wszelkiej trywialności (uważanej przez pewnych pseudo-pisarzy za alfę i omegę, a obrzydłych najbardziej samemu ludowi) rozbiera autor z siłą przekonywującą, najpilniejsze potrzeby ludu naszego, którym *sam*, bez kapitału i bez trudu, byle chciał się zdobyć *dobrą wolę* zaradzić może. Przemysł drobny, reorganizacya karczem, podniesienie gospodarstwa, chowu bydła, sadownictwa (tak zaniedbanego a mogącego być źródłem wielkich dochodów), pożytki ubezpieczeń i t. d., oto przedmiot tej wdzięcznej książeczki. Autor obiecuje pisać więcej, jeśli znajdzie uznanie i nakładcę. Każdy uzna jego pracę za odpowiadającą celowi — talentu nikt nie zaprzeczy — czyż się nie znajdzie nakładca? Nam się zdaje, że Kasa Oszczędności albo Towarzystwo Ubezpieczeń, mogą i powinny na ten cel poświęcić *częsteczkę* zysków swoich — a agenci Towarzystwa mogliby się zająć rozpowszechnieniem książeczek w jak najszerzych kołach ludu.

Słownika geograficznego. wydawanego w Warszawie pod redakcyą pp. *Sulimirskiego, Chlebowskiego i Walewskiego*, o którym pisaliśmy z gorącym uznaniem w zeszycie marcowym, wyszedł już zeszyt *czwarty*, doprowadzony alfabetycznie do *Borowicy*.

W styczniu b. r. w Milanowie (na Podlasiu) napisane i dopiero wydane dzieło **Hr. Seweryna Uruskiego p. t. Gospodarstwo łąkowe.** (Warszawa. W drukarni Jana Noskowskiego 1880. str. 110) zawiera następująco rozdziały I. L. Goetz. II. Utworzenie łąki na każdym gruncie bez irygacyi. III. Rzut oka na dzieje rolnictwa w Europie. IV. Przeobrażenie gospodarstwa prowadzonego dawnym trybem na gospodarstwo łąkowe. Co warto gnoić pól nawozem. Stat. obliczenie folwarku Waldon. — Przepisy pana Ville dla mieszania nawozów sztucznych. — Nazwy tablic stat. — W naszym kraju

rolniczym, wszelka praca poważna na tem polu powinna być pilnie czytana i przyjmowaną z wdzięcznością.

Nadesłano nam Sprawozdanie Czytelni akademickiej w Pradze p. t. **Wyroczni zprawa o czynności akademického ctenarského spolku** w Pradze za sprawni rok 1878—79 przednesena ve valné hromadě dne 30 listopada 1879, str. 43. Sprawozdanie zawiera bardzo sympatyczną wzmiankę o przyjęciu, jakiego doznała deputacya studentów czeskich podczas Jubileuszu Kraszewskiego w Krakowie. Czytelnia rozwija się świetnie. Fundusz żelazny wynosi 12,288 złr. (wydatki 412), bieżący 5341 (wydatki 4912). Fundusz na zakupienie własnego domu 2058. Czasopism miała czytelnia 210. Biblioteka liczy przeszło 12,000 dzieł (20,000 tomów). Czynnych członków było 1040 (z tego tylko 2 Polaków).

Ks. Władysław Wierciszewski, znany chlubnie kandydatem katedry krak., autor *Kazań* wydanych w czterech tomach i *Nauki wiary katolickiej*, wydaje obecnie zeszytami **Żywoty Świętych**. Dotychczas wyszedł tom pierwszy w trzech zeszytach, obejmujący *Wieki prześladowania* i pierwszy zeszyt tomu drugiego „*Czasy średniowieczne*.” (Cena bardzo niska — zeszyt po 25 ct. Wszystkich zeszytów będzie 12). Autor odstąpił od systemu kalendarzowego, a przyjął podział historyczny, pragnąc uczynić przystępnem dzieło swoje „tym szczególnie, którzy sześć dni w tygodniu do pług ciężkiej a krwawej pracy przykuci, siódmego dnia przy odpoczynku ciała, ducha swego pokrzepić pragną.” Przy końcu każdego *Żywota* streszcza autor to, co się w nim zawiera do naśladowania lub do zbudowania i pouczenia czytelnika.

Najgłówniejszem źródłem były *Acta Sanctorum* Bollandystów. Na początku tomu Igo jest historyczny pogląd na wieki prześladowania. Pracę swą poświęcił X. Wierciszewski X. Biskupowi Dunajewskiemu.

Jeśli zważymy, że nieśmiertelne *Żywoty Świętych Piotra Skargi* są dziś już przystępne tylko duchownym i uczonym — ze względu na archaizmy językowe i właściwości stylu (co spowodowało wydanie ich obcięte i przerobione w Warszawie), jeśli zważymy dalej, że pełne zalet *Żywoty O. Prokopa* już ze względu na objętość dzieła, do klas mało czytających nie łatwy znajdują przystęp, to powitać będziemy musieli dzieło X. Wierciszewskiego z radością i żywym uznaniem — tem bardziej, że autor będąc zawsze poważnym, umie być zarazem zajmującym, a styl jego jasny i szlachetny, wykład pouczający a zrozumiały każdemu, bez różnicy wieku i stanu. Ponieważ pragniemy, żeby ta książka, którą każde dziecko kupić sobie może, była powszechnie i istotnie czytana, przeto prosimy, żeby

autor, wbrew przyjętemu u nas zwyczajowi, który czytanie ksiąg religijnych w gronie rodzinnem tak często utrudnia, unikał zawsze (przyznajemy, że najczęściej unika) wszelkich wyrazów i zdań, które koniecznie wywołują ze strony dzieci interpelacye, wprowadzające w kłopot. Np. szczegóły takie, że apostołowie opuszczali żony i dzieci, powinny być wytłómaczone. Uważanie śmierci za *karę boską* (str. 41), jest rzeczą drażliwą, bo przecież nie zawsze najlepsi żyją najdłużej. Nawiasowa uwaga, „że przyjaciele uśmiechają się raczej do naszych pieniędzy“ (str. 48), może obudzić w młodych umysłach przedwczesny pesymizm — a mamy go i tak za wiele. Jakże znaleźć przyjaciół, jeśli człowiek już zgóry nikomu nie wierzy, a przynajmniej za młodu *podejrzynwać* się nauczy. Wyraz *nałożnica* (str. 44) sam przez się szkaradny, zmusi każde dziecko do zapytania: co to jest? — a cóż mu odpowiedzieć? Czy nie lepiej napisać „grzeszna niewiasta“ albo coś podobnego. Duchowny poradzi sobie, ale co zrobi człowiek świecki? — a piszemy to ze stanowiska czysto świeckiego, i pragniemy, żeby piękną pracę Ks. Wierciszewskiego właśnie świeccy w gronie rodzinnem jak najpilniej czytali.

Przegląd polityczny.

Kraków 30 kwietnia.

Pisząc przegląd polityczny w Krakowie w kwietniu, nie można pominąć procesu socyalistów, tu w kwietniu zakończonego uznaniem socyalistów za niewinnych. Proces ten i długością swego trwania i wygłaszaniem doktryn rozmaitych szkół socyalistycznych, „komunistycznych i nihilistycznych, przybrał rozmiary przechodzące granice lokalnej sprawy, a nietylko zajmował się oskarżonymi, ale oraz ich mistrzami żyjącymi lub umarłymi. Kodeks karny austriacki nie zna teoryj politycznych i społecznych, zna tylko czyny, które dążą do obalenia ustroju państwa i naruszenia spokojności publicznej. W Prusach wprowadzono już socyalizm do nowelli karnej, uznawszy go za szkodliwy dla państwa i społeczeństwa, a więc za karygodny. W Austrii próbowano dopiero wprowadzać karygodność socyalistycznych doktryn z pism jego wyznawców lub kierowników. Zachodziła tu więc trudność jurydyczna, a przecież nie dała się ona spostrzedz, dopiero podczas ostatniej rozprawy publicznej, bo znano ją już podczas śledztwa. Wszyscy oskarżeni przyznali się bowiem do zasad socyalistycznych, a wypierali się tylko, aby zasady swoje tu rozpowszechniali lub w życie wprowadzić usiłowali. Czy śledztwo dostarczyło na to dowodów? Różniły się pod tym względem zdania między oskarżeniem a obroną.

Nie dopiero jednak wynik procesu nadał mu wagę wypadku politycznego, lecz już sam fakt, iż młodzież polska oskarżoną jest i sama się przyznaje do zasad zmierzających wyraźnie do podkopania podstaw społecznych, że sama wypiera się wiary ojców swoich, swoich tradycyj rodzinnych, swojej ojczyzny, że z całą świadomością daje się powodować adami nieprzyjaciół swojej ojczyzny, że słucha ich rozkazów: objaw to straszny i przerażający, a jakkolwiek zapadł wyrok sądu przysięgłych, sąd narodu potępi knowania oskarżonych na jego zgubę. Lubo więc wyrok sądu uznał niewinnymi, wina ich ciężka, bo opuścili szeregi narodowe, aby się zapisać do obozu, którego hasłem: „Niema Boga! niema ojczyzny! niema rodziny!“ Cóż mogło tak zależeć na tem krajowi, narodowi, państwu, czy kilku odszczepieńców, wychowañców pozytywizmu zachodniego albo moskiewskiego nihilizmu i garstka uwiedzionych lub zbłąkanych wyrostków, których całą nauką trochę frazesów spamietanych z broszur, zostanie skazanych, i że będzie mogło w murach więziennych propagować dalej doktryny między tymi, którzy już bez nich praktyczne złożyli dowody nieuznawania prawa własności?

Dotychczas była na tem miejscu nieraz mowa o socyalizmie francuskim i niemieckim, lub o nihilizmie rosyjskim. Z procesu krakowskiego dowiedzieliśmy się pierwszy raz, że istnieją w Polsce adepci jednych i drugich, wychowañcy genewscy i petersbursey. Bywały w krajach polskich spiski i procesa polityczne, niejedni przypłacili wolnością i życiem swoje poświęcenie dla ojczyzny, i lubo nieraz szkodliwe dla niej spłynęły ztąd skutki, chociaż poryweczy zapal, brak rozważagi, przecenianie sił własnych wiele przyniosły złego, choćby historia surowo ich osądziła, sąd narodu składać zawsze będzie na ich mogiłach wieńce żałobne i pamięć ich będzie czczoną. Ale nie znano dotąd w Polsce zmów i propagandy dla negowania Boga, zmateryalizowania przeznaczeń ludzkich, rozbicia rodziny i społeczności, wyparcia się ojczyzny i zniweczenia prawa własności: proces krakowski był pierwszą na ziemi polskiej manifestacją tego rodzaju.

Są w społeczeństwie naszym rozmaite kwestye socyalne, ale nie było dotąd socyalizmu, i mnóstwo tych kwestyj zostało już dobrze lub wadliwie ostatnimi czasy rozwiąza-

nych, wiele ich czeka jeszcze swego rozwiązania; ale żebyście stworzyć całkiem inny ustrój społeczny, na zasadach idealnie powstałych, zrobiwszy oczywiście *tabula rasa* z tego wszystkiego, co jest, byłoby to mrzonką, gdyby nie rozpoczęto działania w tym celu, mającego zadanie dokonania rewolucyi socyalnej, używając za czynniki ciemnych, nieokrzesanych tłumów oraz namiętności i żądz ludzkich. Nadreński „Bauernkrieg,” francuska „Jacquerie,” rzezie humańska i galicyjska, miały także zakrój socyalny, lecz nie polegały na żadnym systemie, ani rewolucyi społecznej nie miały na celu, ale były zawsze praktycznem i doraźnem zastosowaniem tej samej doktryny, która nie uznaje prawa własności i obalić usiłuje społeczną hierarchię. Wolno sobie stwarzać idealny organizm społeczny, jak Plato w swojej republice, ale każdy taki organizm nie da się długo utrzymać w praktyce, choćby miał po sobie dobrą wolę członków lub na dyktaturze naczelnika opierał się. Nie powiodły się gmina „ojca” Infantina, Falanstery St. Simona i Fourniera, Ikaria Cabeta, nawet Ludwika Blanc „Warsztaty narodowe,” a despotycznie rządzona przez Brigham Younga kolonia Mormonów, wprzód się zachwiała, zanim ją rząd amerykański rozpedził u Jeziora Słonego.

Żaden z oskarżonych w procesie krakowskim nie wiedział, czy nie chciał powiedzieć, jaką chciałby mieć organizację społeczną: czy według urządzenia likurgowego cała społeczność ma być chowaną w koszarach i spożywać przepisane regulaminem jadło, ale mimo tego mieć dwóch bazyleów czyli królów, jakich jednym był Likurg, coby jednak nie zgadzało się z nazwą republiki; czy być rządzonymi przez włodarzy lub coś podobnego; wiemy jednak z korespondencyi mistrza ich Lassala, który nie był przecież nieprzyjacielem związków małżeńskich, ani wyznawcą „wolnej miłości,” skoro się miał ożenić i dla panny Döniges pojedynkował się, wiemy zatem z jego korespondencyi z tą panną, która potem poszła za zabójcę swego kochanka, że miewał Lassale bardzo hierarchiczne popędy. „Ty sam chciałbyś zostać królem” — pisała do niego narzeczona, a on jej przyznał, że czuje się być powołanym do czegoś wyższego, niż siedzieć u jednego stołu z towarzyszami republiki socyalnej i zajądać szarą polewkę Li-

kurga. Rzeczywiście, nie był on nieczułym na wygody życia, a nawet na idealne rozkosze. Największem nieszczęściem Lassala było, że go zwolennicy jego wzięli zbyt realistycznie, zbyt dosłownie, a szczególnie, że takie surowe natury, jak Marx, podjęły się zastosować konspiracyjnie jego tezy. Lassale zostawał w stosunkach tak z cesarzem Napoleonem, jak z Bismarkiem oraz z jednym z książąt pruskich, kiedy jeszcze socjalizm występował jako szereg kwestyj ekonomicznych, a nie jako mina, mająca rozsadzić społeczność; kiedy zmierzał do sprowadzenia reform, a nie do przewrotu i wywrotu posad społecznych i cywilizacji chrześcijańskiej. Dziś jednak, gdy rewolucya wzięła go za narzędzie i zorganizowana w International, nie o ekonomiczne jego rezultaty stara się, lecz o stworzenie anarchii, po nad którą onby mógł królować jako jedyny samowładzca, nie słysząc już o kwestiach społecznych, bo są tylko działania spisków socjalistycznych, pracujących świadomie czy bezwiednie w interesie Internationala, jego rozkazom posłuszne. Z procesu krakowskiego można było przekonać się, że w różnych krajach i miejscach uwzględniane są do czasu usposobienia i przekonania tam panujące. Ajenci zaś socjalistyczni w Polsce mieli działać głównie na włościan, a przedewszystkiem na przyszłych nauczycieli wiejskich, najmniej targać się na religię chrześcijańską, tak iż zaledwie ośmielono się w pierwszym stopniu propagandy antireligijnej myśleć o przekładzie polskim Rénana, jak również nie kazano występować przeciw uczuciu patryotyzmu polskiego, owszem, posługiwać się tym patryotyzmem, wmawiając w łatwowiernych adeptów, iż droga socjalnej rewolucyi jest jedyną, która prowadzi do odbudowania Polski. Warszawska szkoła pozytywistów, która u rządu rosyjskiego znajdowała poparcie, jako antipolska, jako materyalistyczna, zaledwie zaczęła działać tutaj rozkładowo, a nihilizm rosyjski jako zbyt brutalny, nie pozostawiający żadnych złudzeń, nie mógł tu znaleźć przyjęcia.

Były to więc pierwsze zawiązki socjalistycznych spisków, jakie wykrył proces krakowski, a lubo pozornie naukowe wywody, a nawet paradoksa w formie sentencji wypowiedziane, nie będąc doraźnie odparte, mogły znaleźć ucho przychylne u niektórych słuchaczy, nie stojących wyżej naukowem,

politycznem i ekonomicznem wykształceniem od obwinionych, wszelako można było wykazać, że mianowicie tutejsi obwinieni nie dalej zaszli w swoich studyach, jak że nauczyli się na pamięć pewnej ilości frazesów utartych; natomiast między obcymi oskarżonymi byli tacy, których trzeba było uważać, że w afliacyi spiskowej zajmują wyższe stopnie i że nie ze wszystkim zwierzyli się swoim krakowskim uczniom, żeby ich nie zrażać, a prym między nimi niekoniecznie ci trzymali, którzy najwięcej mówili.

Dziwne urosło po tym procesie mniemanie, jakoby werdykt ławy przysięgłych usuwał się od rozbioru. Jest on nie-naruszalnym, bo od niego odwołać się nie można, ale chociaż na sumiennem przekonaniu oparty, może być błędnym według innych przekonań i zapatrywań. Bywa bowiem, że jeśli uchybienie form pociągnie za sobą unieważnienie wyroku i ostateczna rozprawa oddaną jest nowemu sądowi z innym składem ławy przysięgłych, choćby żadna szczególna okoliczność nie zaszła, inna ława przysięgłych inny wyda werdykt. Sądy przysięgłych dostały się z Anglii na stały ład Europy, w Anglii przeto szukać należy wzorów dla tej instytucyi i przykładów praktyki. Po pamiętnym procesie fałszywego Tichborna, który się zakończył uznaniem samozwańca winnym, odbywały się meetingi publiczne przeciw wyrokowi, które aż interwencyę parlamentu sprowadzić usiłowały, a obrońca skazanego Kennely wybrany był do Izby gmin na to jedynie, aby mógł w parlamencie nalegać na rewizyę procesu. Cała ta agitacya przeciw wyrokowi nie zachwiała nieodwołalnego werdyktu, chociaż niesłuszność jego starała się udowodnić.

Rząd niemiecki z pomocą parlamentu dwojaką obrabł drogę do położenia tamy szerzeniu knowań socyalistycznych, naprzód uznawszy nauki socyalistyczne za szkodliwe dla społeczności i państwa, a przeto podlegające ustawie karnej, uzupełnionej osobną w tym celu nowellą; powtóre, a co ważniejsza, podjąwszy reformę stowarzyszeń rzemieślniczych, czyli odnawiając dawne cechy ze zmianami, jakich wymagają odmienne stosunki teraźniejsze. Nowella karna zabrania zgromadzeń i pism socyalistycznych, oraz propagandy socyalistycznej; reforma cechów jest dopiero w sferze studyów przygotowawczych. Obejmuje ona zarówno warstaty, jak fabryki,

zakłady kopaliń, przedsiębiorstwa budownicze, słowem wszystkie stosunki, o ile można, odnoszące się do pracy wobec kapitału i kierownictwa tą pracą. Nierychło można się jeszcze spodziewać takiej ustawy, więc trudno już dziś mówić o zasadach, na jakich określone będą powyższe stosunki, ale dawne cechy tyle mają gotowego już materiału, że byle zastosowano go do zmian zaszytych a określonych bądź ustawami cywilną, zarobkową, przemysłową, bądź wreszcie obyczajem, nowe instytucje cechowe dałyby się zorganizować na razie, zastawiając praktyce dalsze poprawki i uzupełnienia.

Okrzyczano dawne cechy jako przestarzałe instytucje średniowieczne, ścieśniające wolność osobistą, tworzące służebność, tamujące rozwój pracy i wolność zarobku. Ale jak organizacya polityczna wraca do gmin, owszem poczytuje je za podstawę ustroju społecznego i państwa — tak przekonała praktyka, iż po za obrębem politycznego życia potrzebuje także życie społeczne pewnych ram i organicznych urządzeń, jeśli społeczność nie ma istnieć rozbita na atomy, których każda jednostka zostawiona samej sobie, ma chyba iść za teorią Darwina, że każda istota chcąc żyć, musi pochłaniać inne istoty albo być pochłoniętą. Wolność bezwzględna przesiedlania się zaludniła w ostatnich dziesiątkach lat wszystkie większe miasta europejskie w nadzwyczajnych rozmiarach, ale nawzajem pomnożyła w stosunku rosnącym proletaryat i ubóstwo. Cechy były instytucjami organizującymi pracę i zarobek, a zarazem instytucjami dobroczynnymi, a przez kontrolę swych członków nie dopuszczały ich zupełnego zubożenia. Dzisiejsze spółki, towarzystwa akcyjne, wspólne warstaty, związki robotnicze nie są zdolne zastąpić cechów, jako dobrowolne a nie obowiązkowe, jako oparte na wzajemności pracy i korzyści, ale nie zdolne powstrzymać wolnej konkurencyi, czyli przewagi kapitału nad pracą i wyzyskiwania tej ostatniej bez litości. Nikt nie zaprzeczy, iż wiele wyrodziło się w cechach nadużyć, wiele utrudzeń dla rozwoju indywidualnego, że wiele praw przerodziło się w wyłączny przywilej ze szkodą osób trzecich; ale wobec tych usterek, które dałyby się naprawić, zniknęły naturalne związki stowarzyszonych, związanych nie samą wspólnością interesów, lecz oraz organicznie ze sobą złączonych, a two-

rzających poważne koła społeczne, wzajemną kontrolę trzymających w ryzach, strzegących nie tylko funduszy swoich, ale i cześci swojej, a działalnością swoją miłosierną wstrzymujących pauperyzm.

Mimo wolności przemysłu w Anglii i wielkiej ruchliwości kapitału a wszechstronności pracy, utrzymały się tam jeszcze cechy, wprawdzie więcej jako zabytki uświęcone obyczajem, niż jako instytucje funkcjonujące stale, bo nigdzie tyle, co w Anglii, tradycja nie jest szanowana, ale cechom to głównie zawdzięcza Anglia rzetelność swych rękodzielników i zaufanie ztąd rosnące. Co więcej, instytucje cechowe dały tam pierwszy popęd do zbiorowych przedsięwzięć, do spółek, w których połączonymi siłami rozszerzyć można było działalność; wreszcie cechom zawdzięcza Anglia początek bogactwa miast swoich.

Zamiary ks. Bismarka przywrócenia organizacji cechowej i ściśnięcia wolności przesiedlania się, która stworzyła tłumy proletariatu ambulansowego, co szukając zarobku, nieraz połowę życia, a zwykle większą część czasu i zarobionego grosza trwoni na uganianiu się za szczęśliwym eldorado; jeśli zostaną uwiecznione pomyślnym skutkiem, mogą dać wzór dla całej Europy zorganizowania indywidualnej pracy, a obok tego staną się silną tamą przeciw szerzeniu się socjalizmu, który najwięcej werbuje się w Niemczech w tych luźnych robotnikach, niemal stojących po za obrębem towarzystwa ludzkiego i usposobionych dłał nieprzychylnie, a trawionych ciągłą gorączką przyjsia do stałej siedziby i pozyskania mienia. Jakkolwiek więc plan kanclerza niemieckiego nie przybrał jeszcze form projektu ustawodawczego i przez wielu uważany jest za marzenie, nie dające się urzeczywistnić, albo za środek do spętania bardziej jeszcze społeczeństwa, wszakże, gdy przedmiot ten zaczyna już zwracać uwagę publiczną, nie można go pominąć milezeniem, zwłaszcza, że wiąże się z kwestyami socyalnymi, stojącymi na porządku dziennym w wielu krajach Europy.

Plany reformacyjne rządu niemieckiego dalej jeszcze sięgają, bo niemal obejmują wszystkie stosunki ekonomiczne i handlowe, a przytem dotyczą obyczajów, jak np. reforma przedsiębiorstw teatrów i widowisk, aby położyć tamę zepsu-

ciu moralnemu i rozpuszcie. Wszelako zachodzi w Niemczech ta okoliczność, że policya, która łączy w sobie wszystkie gałęzie służby bezpieczeństwa, jest jedyną władzą, mającą sprawować kontrolę, czy to idzie o socyalistów, czy o przepisy ceehowe, czy o teatru i widowiska, czy o bezpieczeństwo mienia i życia, a rozległa jej władza przyznana jej w jednym zakresie, bywa rozciągana do całego obszaru jej czynności. Podział policji na polityczną i lokalną byłby jedynym środkiem zapobieżenia jej wszechwładztwu, które szkodzi rozwojowi samorządu.

Drobne zajście w Radzie Rzeszy niemieckiej, reprezentującej rządu wszystkich krajów Rzeszy pod przewodem kanclerza, o mało nie dało powodu do usunięcia się ks. Bismarka, który podał się o dymisyę. Ponieważ ten krok kanclerza zaszedł nieprzewidzianie, przeto w pierwszej chwili mniemano, że zajście w Radzie związkowej było tylko pozorem dla zasłonięcia właściwej przyczyny, tkwiącej głębiej, bo odnoszącej się do stosunków dworu pruskiego z Rosyą, na które ta dymisyja miała być odpowiedzią. Rzeczywiście jednak zajście w Radzie związkowej było bezpośrednim powodem podania się kanclerza do dymisji. W drobnej sprawie podatku od przekazów pocztowych pieniężnych, zdarzyło się, że Prusy znalazły się w mniejszości w Radzie związkowej. Kanclerz, który podpisem swoim uchwali tej Rady aprobuje i z urzędu, jeśli one są prawodawczej natury, winien je wносить w parlamencie, postawiony był w alternatywie nieuznania większości uchwały Rady związkowej, a w takim razie musiałby ustąpić z miejsca wobec przeciwnej wnioskom swoim większości, albo też podpis swój położyć na uchwale, z którą się nie zgadza, a tem samem zamiast być kanclerzem, stałby się tylko wykonawcą woli Rady związkowej. Gdy Cesarz dymisji oczywiście nie przyjął, Rada związkowa cofnęła swoją uchwałę, a zarazem, aby zapobiedz nadal takim kolizyom, zmieniła regulamin obrad swoich i obostrzyła kontrolę nad udziałem swych członków na posiedzeniach Rady. Mimo to przez kilkanaście dni dymisyja Bismarka uważaną była za akt donioślejszego znaczenia, tak wobec upadku gabinetu angielskiego, jak wobec korespondencyi! bardzo czulej między cesarzem Wilhelmem a siostrzeńcem jego Carem. Takie zroz-

mienie rzeczy wykazywało, że opinia publiczna uważa ks. Bismarka za nieorzeczynego zmianie gabinetu w Anglii i odnowieniu zażyłości między dworami pruskim a rosyjskim.

Uzyskał także kanclerz niemiecki od parlamentu podwyższenie na lat siedm etatu służby wojskowej; odmówił mu zaś parlament kredytu na zapomogę dla towarzystwa handlowego dla handlu na oceanie Południowym, a szczególnie z archipelagiem Samoa. Dom hamburski Godeffroy usiłował na tych wyspach założyć faktoryę i rozciągnąć następnie handel do dalszych wysp tego morza, ale upadł wobec tego zadania. Chce go podźwignąć rząd przez zawarcie traktatu handlowego z Samoa i nabycie praw Godeffroy; głosowano nawet, że rząd niemiecki pragnie opanować te wyspy, a jedną z nich urządzić dla skazańców jako kolonię. Lubo rząd wypiera się tego zamiaru, wszelako nasuwa on się na myśl, jako następstwo założenia tam faktoryi, tą drogą bowiem zyskiwały inne państwa kolonie zamorskie, że zaczęły od zawiązania stosunków handlowych i zakładania stacyj morskich, poczem rozciągano zwierzchność nad osadami i siłą dokonywano zupełnego podbicia. Właściwie rząd żądał jedynie zabezpieczenia wypłaty 300,000 marek rocznie przez lat 20; ale przeciwnicy tej operacyi obawiają się, aby raz wciągnięte Niemcy w tę sprawę, nie były obowiązane nadal ponosić większych ciężarów z kolonizacyi wypływających.

W sprawie tej centrum zawiodło kanclerza, ono, które głosowało dotąd we wszystkich kwestyach ekonomicznych za rządem i nie miało powodu łączyć się z liberałami. Głosowaniem tem chciała ta partya widocznie dać poznać, że nie można jej mieć za narzędzie, że nie należy stawiać jej przed oczyma złudnych nadziei zakończenia *Kulturkampfu*, a nie uczynić żadnego kroku ku temu, mimo znanego listu Papieża do arcybiskupa Kolońskiego. Nie na polu ekonomicznem i finansowem poniósł w tej sprawie porażkę ks. Bismark, lecz na polu kościelnem.

W Anglii zaszedł fakt wielkiej wagi. Lord Beaconsfield chcąc mieć pewność, jak dalece może liczyć na parlament, jeśliby w swojej akcyi politycznej zamierzył zrobić krok stanowczy, a przypuszczając, że będzie nim ściślejsze związanie się z Niemcami i Austryą, rozwiązał parlament, któremu już

niedługi pozostawał żywot do zakończenia okresu prawodawczego. Skutek był ztąd taki, że koalicya różnych liberalnych odcieni, poczynawszy od starych whigów, a skończywszy na radykalistach i irlandzkich separatystach, odniosła zwycięstwo nad dotychczasową większością parlamentarną. Wiele złożyło się na to przyczyn, a mianowicie: agitacya wyborcza, dawno przygotowana wobec zupełnego zaniedbania się konserwatystów; obawa wejścia Anglii na rozleglejszą arenę działalności politycznej; chęć zakończenia bądź cobydź zatargów z Rosyą; zły stan handlu i przemysłu ostatniego roku, a ztąd uszczerbek w dochodach państwa; wreszcie zwykle niezadowolenie ze stanu obecnego, a nadzieja lepszego za zmianą rządu. Po każdym też kilkoletnim okresie rządów liberalnych przychodzili zawsze torysi do władzy, jak nawzajem po kilku latach ustępowali torysi miejsca whigom. Tyle zaś Gladstone przyrzekał wyborcom, że chciano doczekać się, jak się też wywiąże z obietnic swoich. A przyrzekał on żyć w zgodzie ze wszystkimi, nawet z Rosyą, rozwiązać ostatecznie sprawę wschodnią bez dobycia oręża i bez wysłania floty, wyrzucić nieroztropność w podniesieniu bez potrzeby wojny z Żulami i Afganami, zapowiadał lepsze gospodarstwo finansowe, a przy tem wszystkim utrzymanie wpływu Anglii na zewnątrz, ożywienie handlu i przemysłu, że wielu wyborców uwierzyło. Wobec przewagi partyi liberalnej, jaką wykazały wybory, gabinet lorda Beaconsfielda ustąpił, a królowa, wróciwszy z wycieczki do Niemiec, musiała przywołać kilku członków dawnego gabinetu whigów, jak Granvillę i Hartingtona i powierzyć im złożenie nowego gabinetu w duchu większości parlamentarnej. Nie chciała zaś bezpośrednio znosić się z Gladstonem, który osobiście nie jest jej miłym, ale przekonała się, że bez niego nie można złożyć gabinetu, bo on właśnie musi dać nowemu gabinetowi cechę i stanowić rdzenną siłę jego. Uwzględnił też Gladstone to swoje wobec królowej stanowisko i ofiarował prezydenecję tajnej rady czyli tej rady, która zbiera się pod przewodem królowej, a która jednak nie stanowi właściwego gabinetu, lordowi Spencerowi; został zaś sam głową rządu jako minister skarbu. Skład nowego gabinetu jest następujący: Gladstone, kanclerz skarbu; lord Selborne, lord kanclerz; prezes tajnej rady, hr. Spencer;

tajny pieczętarz, książę Argyll (będący właściwie tytularnym ministrem bez teki); sekretarz stanu spraw wewnętrznych, Harcourt; spraw zagranicznych, lord Granville; kolonij. lord Kimberley; wojny, Childers; spraw indyjskich, margr. Hartington; pierwszy lord admiralicyi, lord Northbrook; kanclerz księstwa Lancaster (również tytuł bez urzędu), Bright; naczelny sekretarz Irlandyi, Forster; naczelnik poczt, Fawcett; prezes rady handlowej, Chamberlain; wiceprezes rady, Mundella; wicekról Indyj, margrabia Ripon. Nadto należą po części do gabinetu podsekretarze spraw zagranicznych i wewnętrznych, dyrektor budowli, sekretarz admiralicyi itd.

Zmiana gabinetu angielskiego wywarła już z góry wpływ wielki na wszystkie stosunki europejskie, a szczególnie na stanowisko Rosyi i Austrii. Lubo nie objawił się ten skutek faktycznie, wszelako nakazuje nietylko ostrożność w dalszym przebiegu spraw politycznych, ale oraz zmusza do pewnych odmiennych kombinacyj i obliczeń na przyszłość. W Rosyi przyjęto upadek Beaconsfielda z wielką radością; sądzono bowiem, że z Granvillem, a właściwie z Gladstonem będzie można wejść w porozumienie się, choćby tylko dla zyskania czasu i wypoczynku, który pozwoli zająć się sprawami wewnętrznymi, zawieszając akcyę zewnętrzną do sposobniejszej chwili. Pierwszem zadaniem rządu rosyjskiego wobec nowego rządu angielskiego będzie odzyskać zaufanie i starać się o porozumienie się co do przyszłych losów Turcyi. Z tej samej właśnie przyczyny wyrodziła się nieufność w Wiedniu. Gladstone w mowach swoich wybornych szczególnie przeciw Austrii występował, obwiniając ją o przeszkodzenie zajęciem Bośni i Hercegowiny, naturalnemu powstawaniu niepodległych małych państw na ruinach panowania tureckiego. Nikt zapewne nie wierzy w trwałość rządów tureckich na półwyspie Bałkańskim, ale różnice zachodzą pod względem zapatrywania się na przyszłe ukształtowanie się tego obszaru ziemi. Gabinet torysów miał głównie na oku, aby nie dopuścić Rosyi do ustalenia się na półwyspie, a nadewszystko do opanowania Konstantynopola. Dlatego chętnie widział posuwanie się Austrii na półwyspie, która przez to samo stawia się w przeciwieństwie do Rosyi, a zatem jest naturalnym sprzymierzeńcem Anglii. Polityka ks. Bismarka też same żywiła dążności

nietylko ze względu na pamiętną jego doktrynę, iż przeznaczeniem Austrii jest panować na Wschodzie, przez co Prusy mogą mieć wolne ręce w Niemczech, ale również ze względu na Rosyę, której obawia się przewagi. Anglia przeto mogła łatwo przystąpić do przymierza niemiecko-austriackiego, dopóki szła drogą obroną przez lorda Beaconsfielda; Gladstone odmiennie zapatruje się na przeznaczenie Turcyi europejskiej, nie dlatego, aby chciał ją odstąpić Rosyi, lecz mniema, iż drobne państwa półwyspu Bałkańskiego: greckie, słowiańskie i rumuńskie, znajdują dość siły, aby się oprzeć naciskowi Rosyi, zwłaszcza, jeśliby Anglia ofiarowała im protekcyę swoją w zamian za przyznanie sobie korzyści handlowych. Znane sympatyje Gladstone dla Włoch czynią go również niebezpiecznym dla Austrii. Widzi on we Włoszech nietylko współzawodnika Austrii na Wschodzie, ale oraz przeciwnika handlowo-politycznych planów Niemiec, które przez związek handlowy z Austryą miałyby na celu osiągnąć Adryatyku.

Mimo zupełnej sprzeczności Gladstone z polityką jego poprzednika, jeśli nie on, to jego przyjaciele zapewniają, że nie wypuści on z rąk zdobyczy, które Anglia zyskała na Wschodzie, lubo natomiast nie podziela planów poprzedniego gabinetu co do rozpościerania wpływu angielskiego w Azji mniejszej. Bo też kto myśli o wypędzeniu Turków z Europy, ten nie może kusić się o wprowadzenie europejskich urzędzeń w Azji.

Stosunki, jakie wiązały gabinet Beaconsfielda z Austryą i Niemcami, nie mogły być pomocne w rozwiązaniu czyli przywróceniu dawnych związków Anglii z Francją. Gladstone zaś w mowach swoich ważny kładł nacisk na przyjaźń Francyi i w tym duchu nieomieszka on działać, a znajdzie pod tym względem poparcie u radykalistów angielskich. Potrzebuje on Francyi jako sprzymierzeńca na kontynencie; jeśli więc pod wieloma względami przypomina Gladstone politykę Palmerstona już jako whig, to wobec Francyi jest również doń podobny. Oczekujemy na pierwszy objaw urzędowy nowego gabinetu angielskiego, jakim będzie mowa tronowa po otwarciu parlamentu, które nastąpiło właśnie w przedostatnim dniu kwietnia.

Jakby w odpowiedzi na odrzucenie przez Senat fran-

cuski artykułu 7go projektu ustawy o wychowaniu wyższem, wydał rząd francuski pod d. 29 marca dwa dekreta, z których pierwszy nakazuje zamknięcie zakonów Jezuitów, drugi poleca tym zakonom, które w ostatnich kilkudziesięciu latach otworzyły domy swoje we Francyi, aby postarały się o potwierdzenie statutów, bez czego zostaną zamknięte. Wreszcie zakłady naukowe, utrzymywane lub prowadzone przez duchowieństwo zakonne, mają być z końcem roku szkolnego zwinięte. Dekreta te opierają się na dawniejszych postanowieniach, wyszłych z użycia i nie mogących być stosowanemi wobec zapewnionej konstytucją wolności stowarzyszania się, jak znów zakaz utrzymywania szkół przez duchowieństwo sprzeciwia się wolności nauczania. Gdyby każda ustawa, każdy rozkaz, kiedykolwiek wydany, mógł być w potrzebie powoływany i ponawiany na tej zasadzie, że nie był zniesiony, naówczas możnaby opierać każdej chwili postanowienia na edyktach już dawno zapomnianych, a to wbrew istniejącym ustawom. Niedorzeczność takiego postępowania nie odstraszyła rządu, który opiera się na przewadze większości Izby deputowanych. Protestowali przeciw tym aktom samowoli biskupi francuscy, a zakony, dotknięte takimi edyktami, zamierzają odwołać się do sądów, ażeby te orzekły o nielegalności kroków rządu; w obu zaś Izbach postawione być mają interpelacye. Nie idzie tu już zapewne o skłonienie rządu do odwołania wydanych dekretów, jak raczej o manifestacyę i protestacyę, zastrzegającą sobie dochodzenie kiedyś praw naruszonych. Tymczasem w dalszym ciągu rozpoczętych zmian na polu wychowania, ma przyjść w Izbie do rozpraw nad ustawą wychowania elementarnego, która zasadza się na przymusie szkolnym, bezpłatności szkoły i bezwyznaniowości jej. Nie pożądańszem nie może być dla rządu niemieckiego, jak pewność, że wewnętrzne zatargi we Francyi, że walka, na polu religijnem prowadzona, absorbuje tam tak dalece całą działalność państwa i tak zaprzęta umysły, że nie może być mowy ani o odwiecie, ani o odzyskaniu straconego w Europie przeważnego stanowiska, ani o wiązaniu się z innemi państwami, gdyż i pod tym względem nie daje Francya dziśiejsza żadnej rękojmi trwałości. W miarę jeszcze, jak radykalizm bierze górę w rządzie francuskim, związki Francyi z ob-

ceni państwami uledez musiały zmianie i właśnie ostatniemi czasy odwołano dawnych posłów za granicą, a przeznaczono w miejsce ich innych ludzi, choćby nie wszystkich z obozu radykalnego, ale wszystkich zależnych od dzisiejszego gabinetu; sam tylko margr. St. Vallier utrzymał się na posadzie swojej w Berlinie, tak dalece nie miano w Paryżu odwagi, odwołaniem go okazania choćby pozornie, że stanowisko Francyi wobec Niemiec w czemkolwiek może uledez zmianie.

Ażeby jednak nie zdawało się, że Freyeinet zbezwładnił Francję w jej politycznej działalności w Europie, rozesał on obszerny okólnik do posłów francuskich za granicą, który jest prostem stwierdzeniem faktów zaszłych i traktatów obowiązujących. Zdawałoby się, że Francya radykalizmem przeziąknięta, zechce polityce swej zewnętrznej nadać charakter propagandy wyzywającej. Zastrzega się w tym okólniku minister przeciw wszelkiemu przypuszczeniu, aby Francya zamierzyła działać wbrew woli Europy, a jedyna sprawa, w której chce niejako okazać swoją powagę, jest sprawa granicy grecko-tureckiej, w której jeszcze Waddington wystąpił był jako stronnik Grecyi. Nie będzie temu Europa przeszkadzać, że Grecya uzyska wąski skrawek ziemi na Turcyi, zwłaszcza, że Porta po długich przewłokach przystała na nowe rozgraniczenie, gdy poznała, iż dłuższe odwlekание mogłoby ją narazić na większe straty, skoroby Grecya znalazła poparcie w nowym gabinecie angielskim, który już był zapowiedziany samym wynikiem wyborów w chwili, gdy układy o granicę grecko-tureką były na ukończeniu.

We Włoszech ministerium liberalne Cairolego i Depretisa było zmuszonem poczynić oświadczenia, uspakajające nieufność Austrii, i wyparło się zarówno agitacyi w myśl *Italia irredenta*, jak wszelkich dążeń anti-monarchicznych. Za to przy pierwszej nadarzonej sposobności opozycya radykalistów podkopala byt gabinetu i przyprawiła go o dotychczasową większość w parlamencie. Komisya budżetowa uchwalila bowiem wnieść do Izby rezolucję, wyrażającą ubolewanie, iż rząd nie zdołał dotąd uporać się z budżetem a tymczasowemi, od miesiąca do miesiąca udzielanemi sobie upoważnieniami opatrzone, pobiera podatki i czyni wydatki. Rząd nie mógł zgodzić się na taką rezolucję, jakoby okoli-

cznościową, ale żądał prostego wotum zaufania albo nieufności. Parlament uchwalił jednak wniesioną rezolucję; lubo więc nie dał rządowi bezpośrednio wotum nieufności, objawił mu jednak większością 26 głosów swoje niezadowolenie. Ministerjum odpowiedziało na tę uchwałę podaniem się do dymisyi, której jednak udzielenie król wstrzymał aż do decyzji, czy uzna za właściwe rozwiązać Izbę lub też powołać inny gabinet, powierzając tymczasowo załatwienie spraw publicznych gabinetowi urzędniczemu, czysto administracyjnemu.

Wszystkie od lat sześciu, odkąd lewica jest u władzy, przesilenia ministeryalne we Włoszech, mają, jeśli nie jedyne, to przynajmniej główne źródło w gospodarstwie finansowem. Jeżeli Bismark powiedział był niegdyś, że zbyt wielką jest zbroja na małe Prusy, musi przeto wypełnić, czego Prusom niedostaje; możnaby Włochom powiedzieć, że zbyt jeszcze są szczupłe, aby udźwignąć ciężką zbroję mocarstwa. Osobliwa rzecz, że Włochy rozdzielone wystarczały na wszystko: i na armię i na flotę i na administracyę i na utrzymanie kilku dworów panujących. Dziś armia ich mniej liczna, niż wszystkie razem wzięte wojska dawniejsze, flota słabsza, niż ją posiadał sam Neapol, koszta kilku dworów wykreślone z budżetu, a podatki urosły znacznie, dobra skonfiskowane klasztorów sprzedane i dawno zjedzone, a budżet każdy kończy się niedoborem, chociaż corocznie zapowiada równowagę cyfr. Partya liberalna oddawna stara się o zniesienie podatku od mlewa, a tylko senat stawia temu opór dla tej prostej przyczyny, że niema czem pokryć ubytku ztąd powstałego w dochodach.

Niema we Włoszech właściwych stronnictw politycznych, różniących się zasadami i wiarą polityczną, są tylko ogólne pojęcia liberalne i konserwatywne, a jedne i drugie luźnie wyznawane, bez pozytywnych granic, bez programów stale określonych. Wypływa to poniekąd z historycznego rozwoju narodu, jak również z opartych na tym rozwoju interesów prowincjonalnych. Kwestye religijne również wpływają we Włoszech na polityczny rozdział raczej indywidualów, niż stronnictw. Gdy zaś żadne stronnictwo nie tworzy stałej organizmnej całości, lecz jest tylko zbiorem ludzi połączonych chwilowo, czy to dla utrzymania się przy władzy, czy dla obalenia

jej, przeto niema mowy o jednolitym gabinecie, ani też o partiach parlamentarnych. Interes lub namiętności tak dalece przeważają w działaniu politycznem, że ludzie bardzo wątpliwej działalności mogą odgrywać rolę polityczną, byle posiadali zręczność, jak posiadają zuchwałość. Nie wiele też zmieni się z upadkiem gabinetu Cairoli-Depretis, bo do nowego gabinetu albo wejdą ci sami ludzie, zamieniwszy między sobą role swoje, albo niektórzy ich przeciwnicy, przynosząc z sobą po kilkanaście głosów, tak, aby zamiast dzisiejszej cyfry mniejszości 26, zrobiła się mniej więcej tyleż wynosząca większość, pozwalająca żyć gabinetowi czas jakiś, dopóki znów nie zmówi się inna koalicja na jego obalenie. O powołaniu prawicy do rządów trudno dziś wróżyć, ale w takim razie wypadłoby Izbę rozwiązać i nowe wybory rozpiścić. Cała społeczność jednak we Włoszech przedstawia taki sam stan rozstroju, jakiego obraz daje Izba, a nawet konserwatyści nie tworzą obozu jednego. Ta część ich opiera konserwatyzm wyłącznie na Kościele, tamta na zasadzie ogólnie monarchicznej, inna jest dynastyczną, tu sabaudzka, tam burbońska lub tokańska, inna nawet republikańskie żywi tradycje w duchu oligarchicznym, a wszystkie te odłamy razem wzięte nie tworzą jednej partii. W zjednoczonych Włoszech wieje jeszcze dawny duch karbonaryzmu, który przeszkadza ukonsolidowaniu się państwa, i tu sięga dalej po za jego granice w działaniu *Italia irredenta*, owdzie wyraża się w *camorra*, nadając rozbójnictwu charakter polityczny. Ta burzliwa strona politycznej działalności Włoch znajduje nową otuchę w przyszłości do władzy Gladstona, który gotów szukać we Włoszech nanowo działacza przeciw Austrii.

Powołanie gabinetu Gladstona najsilniej odbiło się w Wiedniu. Austria jest w tem położeniu, że samodzielnej polityki zagranicznej prowadzić niezdolna. Nie winna to jej ministrów, lecz stosunków i sąsiedztw. W przymierzu z Niemcami znalazła w ostatnich czasach punkt oparcia, ale gdy przybył jej w osobie Gladstona nowy przeciwnik, stanowisko jej na Wschodzie stało się mniej zabezpieczonem. Dyplomacya rosyjska, która mniej liczy na Gladstona politykę przeciw Turcji i Austrii, niż na wydobyte się z odosobnienia, skorzystała z chwili dogodnej i dała uczuć w Berlinie i Wie-

dnia, że chętnie powróci do dawnych stosunków trójcesarskiego przymierza. Wyśłanie do Petersburga generałów, pruskiego Treskowa i austriackiego Ramberga, zostało w tym kierunku zarządzone, i lubo nie można jeszcze powiedzieć, aby już odnowionem zostało dawne przymierze, ale pierwsze ku temu kroki są zrobione. Rosya chętnie wyrzecze się panslawizmu, który nietylko na teraz nieprzydatny, ale o tyle niebezpieczny, że zaczynał rząd prześięgać, byle odzyskać przyjaźń Niemiec i Austrii. Oprzeć się temu Austriya nie może, bo niema innego wyboru.

W wewnętrznej polityce austriackiej znać wielki postęp na drodze równouprawnienia narodowego. Jest to pierwszy praktyczny skutek udziału Czechów w Radzie państwa, że partya liberalna czyli tak zwana wiernokonstytucyjna, straciła przewagę wobec żywiołów konserwatywnych, które w Izbie i w rządzie silnie są reprezentowane. Nie mała w tem zasługa polskich posłów, że wspierali gabinet hr. Taaffego i nie dali się ująć nawet znacznemi obietnicami jego przeciwników. Jeśli bezpośrednio dla Galicyi nie nie zyskali, zyskali wiele dla podniesienia lekceważonych przez lewicę praw narodowych. Nie szło tu o majoryzowanie Niemców, lecz o uznanie równości praw. W obradach nad budżetem oświaty uchwalone zostały rezolucye na korzyść języków narodowych w szkole i urzędzie. Galicya ma sobie prawa te przyznane przez Koronę; uznanie ich przez parlament dla Czech jest nadaniem im sankcyi prawodawczej, a przeto utwierdzeniem. Przyznanie praw narodowości czeskiej jest nietylko aktem sprawiedliwości, ale oraz krokiem roztropnej polityki, tak wobec Prus, jak wobec Rosyi. Wzmocnienia ono Austryę od północy, a zaspakajając potrzeby wewnętrzne, odsuwa pokusy szukania w panslawizmie broni przeciw germanizacyjnemu naciskowi. Więcej też zyskali Czesi w wiedeńskiej Radzie państwa, niż mogli oczekiwać ze zjazdu etnograficznego w Moskwie.

Aleksander Szukiewicz.

WSPOMNIENIA POŚMIERTNE.

Dnia 2 kwietnia zmarł *Bronisław Dąbrowski*, syn Jenerała, jedyny a bezpotomny, a więc ostatni jego po mieczu potomek, ostatni, który sławną pieśń narodową miał prawo brać za rodową pamiątkę, i kiedy śpiewano „marsz, marsz,“ podnosić głowę do góry. Wyrażenie „potomek po mieczu“ przystaje też do niego dobrze, bo syn Jenerała na żołnierza był stworzony, miał naturę wojskową, a gdyby okoliczności inne, byłby niezawodnie całą duszą wziął się do ojcowskiego zawodu. Czy byłby w nim wyszedł tak wysoko jak ojciec? Są wyjątkowe stopnie zasługi i sławy, na jakie nie każdemu, mało komu, dostać się jest danem. Ale że byłby, jeżeli nie naczelnym wodzem, to doskonałym, świetnym wojskowym, to pewna. Czas, w którym żył, nie dał mu miecza w ręce; on go przecież szukał zawsze, jakby koniecznego dopełnienia swojej istoty, jak ten stary weteran Mickiewicza, który się machinalnie ręką chwyta, dziwiąc się, że przy boku szabli nie ma. Przywiązany do chlubnej tradycyi ojca, na niej wychowany — choć świecić nią i popisywać się nie lubił — zdawał się pytać sam siebie: co ja mam robić i po co jestem, kiedy nie jestem żołnierzem; a dzieckiem do snu kołysany owym śpiewem, który w jego domu był rodzinnym, cały swój patryotyzm, całe swoje uczucie obowiązku, cały popęd swojej duszy, miał skierowany przez całe życie do tej jednej rzeczy, do wojny, w której „co nam obca przemoc wzięła, mocą odbierzemy“ i we wszystkich wypadkach, we

wszystkich nadziejach, słyszał hasło, jakby na niego wołające: „Marsz, marsz Dąbrowski.“

Stawał też do apelu zawsze i odrazu, jeden z pierwszych, a z placu schodził ostatni. Lata jego młodości, lata wiary w zgótowane przez emisaryuszów powstanie, wypadki wielkopolskie roku 1846 i 1848, to świetna chwila jego życia, ta, w której i spodziewał się wiele i najwięcej odznaczyć. Po doświadczeniu ówczesnem rok 1863 nie budził w nim już takiej wiary i nie tak wesoło, nie z taką fantazją, choć z taką samą zawsze gotowością i odwagą rzucił się w wir zdarzeń.

Z wielkiego zasobu życia, wesołości i tęgości zostało mu zawsze tyle, że nawet w późniejszym wieku zadziwiał temi przymiotami, a powierzchowność tak odpowiadała naturze otwartej, żywej, całej na zewnątrz, że wyglądał jak pułkownik bez munduru. Tego tytułu (jeżeli już nie jeneralskiego) brakowało jego osobistości, jak tego zawodu brakowało jego naturze do zupełnego rozwinięcia zawartych w niej przymiotów.

Kiedy w Warszawie zbierano składki na posąg księcia Józefa, jenerał Dąbrowski mówił: „on będzie miał pomnik, a ja mojego mazurka.“ Prawda, że mazurek wart pomników i posągów, a chlubniejszego rodzinnego znaku trudno. To też kiedy na pogrzebie innych łamiał tarcze herbowe, jemu należało zagrać nad grobem tę piosnkę, której po nim już nikt za rodzinną uważać nie może; zagrać ostatni raz „marsz, marsz Dąbrowski“ — smutne, że z ziemi polskiej, ale marsz tam, gdzie powiesz, komu należy, od ojca począwszy, że „Jeszcze Polska nie zginęła.“

Po życiu, pełnem uczynków miłosierdzia, umarła pani *Anna z Treuttlarów Ludwikowa Helclowa*, zostawiając testamentem cały swój wielki majątek na miłosierne cele i instytucye. Cnotliwe, ale ciche bardzo i od świata oddalone jej życie, choć zostawia po sobie żal i cześć, nie należało do tych, o których dzienniki opowiadają w nekrologach. Wszelako ten jej akt ostatni, ten koniec, którym uwieńczyła długoletnie

dzieło swego miłosierdzia, tak wchodzi w zakres publicznych spraw, że zapisać go czujemy potrzebę, żeby choć tym najskromniejszym sposobem wyrazić podziwienie i wdzięczność dla zmarłej. Nie widzi się już dziś takich uczynków, nie słyszy się o takich testamentach, o ogromnych majątkach, idących w całości na pobożne i miłosierne fundacye. Musiała też i dusza być niezwykłej miary i rodzaju, nie naszych dzisiejszych uczuć i aspiracyi. Nie potrzebowała wprawdzie, bezdzietna, na nie się oglądać, ale i z bezdzietnych nawet wielu zrobiłoby to, co ona? Wielu oddałoby Bogu i nieszczęśliwym to, co rodzice i dziadowie przez pokolenia może w ciężkiej pracy zbierali? Wspaniałe to zejście ze świata, wspaniałe sposób uwiecznienia pamięci tych dziadów, i ojców, i męża, którzy w tem mieście żyli, a przez nią zostaną w niem otoczeni piękniejszą może i trwalszą pamięcią, niż gdyby ich tu długie pokolenia wnuków i prawnuków przypominały. Ale też i wejście na tamten świat musiało być wspaniałe, tryumfalne.

St. Tarnowski.

LITERATURA POZNAŃSKA

W PIERWSZEJ POŁOWIE BIEŻĄCEGO STULECIA.

(Dokończenie).

VI.

Poezya i beletrystyka uchodzą w powszechnem, utrwalonem ogólnie przekonaniu za działy literatury, które nigdy, od niepamiętnych czasów, nie prosperowały na wielkopolskiej niwie. Czy słusznie, możnaby wątpić. Wszakże Klonowicz jest dzieckiem tej ziemi, wszak bogobojny Kasper Miaskowski urodził się i spoczywa zaledwie o kilka mil od samejże stolicy, wszakże Elżbieta Drużbacka pochodzi ze szlacheckiej rodziny zagnieżdżonej od niepamiętnych czasów na poznańskim gruncie; wszakże wspomniany wyżej przez nas Marcin Molski jest Poznańczykiem, krew z krwi, kość z kości. Prawda, że Poznańskie nie szczyci się *wielkimi* postaciami na polu poezyi, że nie ma swego Mickiewicza, swego Słowackiego czy Krasińskiego, że nie ma choćby nawet swego Pola i Zaleskiego. Pozostało mu przecież dość miejsca dla mniej głośniejszych a przecież godnych wspomnienia i zaszczytnie w dziejach poezyi narodowej zapisanych imion. Zbierzmy tedy i streśmy, co w epoce będącej przedmiotem naszego

opowiadania na tem polu zebrać i streścić jest zadaniem i obowiązkiem historycznego sprawozdawcy. Rzecz naszą możemy od r. 1831 dopiero z tem lepszym rozpocząć prawem, że próby poezyi Molskich czy Szumskich, że podobne próby pojawiające się ze strony bezimiennych lub nie zasługujących na ocalenie od niepamięci w *Mrówce* czy *Weteranie Poznańskim*, potraciliśmy już wyżej.... Początek podobny tem naturalniejszy, że jeżeli w której dziedzinie literatury, to z pewnością na polu poezyi wrażenie wypadków roku 1831 donosiłem i charakterystycznym, a zarazem i użyźniającem odbiło się echem. Wstrząśnienie roku 1831 staje się nową erą i nowem natchnieniem poezyi polskiej: Mickiewicz *Pana Tadeusza*, czwartej części *Dziadów*, *Matki Polki* i *Reduty Ordona*; Słowacki, Krasiński, Pol są jego niezaprzeczenie bezpośredniemi dziećmi z ducha. Poznańskie dostarcza również do tej plejady po r. 1831 młodzieńczy, zbyt rychło zgasły talent. Mówimy tu o *Stefanie Garczyńskim*. Urodzony z zamożnej, zacnej rodziny dawnego województwa Poznańskiego w roku 1806, uczeń szkół poznańskich, później uniwersytetu berlińskiego, później jeszcze żołnierz powstania r. 1831, następnie związany jako wychodźca do Szwajcaryi i Francyi, stosunkiem najściślejszej przyjaźni z Mickiewiczem, zmarły w skutek piersiowej choroby w Awinionie r. 1833, jest w swoim głównym poemacie, jaki po nim pozostał, *Wacława Dziejach*, poetą nowej, porewolucyjnej szkoły, natchnionym wrażeniami katastrofy, jaka Polskę co dopiero dotknęła. Utwór jego znamionujący gorące, patryotyczne serce, odsłania zarazem poetę myśliciela sięgającego do najwyższych zagadnień narodowego bytu. Jeżeli *Wacława Dzieje* stanowią z jednej strony jakoby jasnowidzące przeczucie nie istniejącej naówczas jeszcze *Nieboskiej Komedyi*, ale ograniczającej się na grunt polski, jeżeli z jednej strony przedstawiają uwodziciela, rodzaj Pankracego niekosmopolitycznego, jakim jest Pankracy Krasińskiego, lecz Pankracego polskiego zwyciężonego siłą idei narodowej, przemieszkującej bezwiednie a przecież, by się za daną chwilę obudzić, w sercu polskiego ludu, przedstawiają z drugiej młodego, czującego próżnię w życiu, istnieje Bajronowego Manfreda, ale znów Manfreda polskiej gleby, odżyskującego równowagę, odnajdującego samego siebie, dzięki

moralnej interwencji zbawczej myśli narodowej w wewnętrzne walki i niepokoje jego duchowej istoty:

Uczuł, że ma ojczyznę, wspomniał że Polakiem....

Tak słowo w dobrej ludziorz powiekieane chwili,

Jak trąba archanioła, stworzy ieh, ezez byli.

Wyniesienie idei narodowej do wysokości wielkiego, umoralniającego i uszlachetniającego ducha ludzkiego a przede wszystkim *polskiego* pierwiastku, postawienie jej w ten sposób na stanowisku jakoby równouprawnienia obok idei religijnej, otóż zasadnicza, podstawna myśl *Wacława Dzierżów*.... Cokolwiekbaż, przecieź i przy wszelkiem uznaniu, do jakiego wobec wiosennej, tyle zapowiadającej na przyszłość postaci Garczyńskiego więcej może, niż wobec kogobaż innego skłonni jesteźmy, niepodobna przecieź zaprzeczyć, że był to świetny meteor tylko, co wystrzeliwszy z wielkopolskiej gleby, zgasnął w obczyźnie, nie zyskawszy, nie poszukawszy nawet prawa obywatelstwa w literaturze miejscowej poznańskiej. Z innej strony przedstawia nam się pod kaźdym względem postać tak znanego w literaturze naszej, tak sympatycznego i popularnego razem *drugiego* z rzędu owej epoki poety, generała *Franciszka Morawskiego*. Choć starszy znacznie wiekiem, jest przecieź generał Morawski datą zamieszkania swego w Poznańskim, datą wystąpienia w *miejscowej* jego literaturze młodszym od pojawienia się imienia Garczyńskiego na widokręgu zbiorowej naszej literatury. Generałem wojsk polskich garnizonującym aż do wybuchu listopadowego w Lublinie, nie całkiem odpowiednio zdolnościom i skłonnościom swoim ministrem wojny w czasie powstania, wygnańcem w Wołogdzie aż do roku 1834, przybywa w tym roku dopiero Franciszek Morawski w Poznańskie strony, osiada nad granicą szlaską we wsi Luboni, nie omieszkuje wkrótce zaznaczyć faktu swej obecności w *miejscowej* literaturze, jak go poprzednio znaczył w Warszawie tak wdzięcznemi, tyle bezstronnego, olimpijskiego spokoju przy pewnej dozie niewinnej ironii znamionującemi *Klasykami i Romantykami polskimi*. Mówiąc o generale Morawskim jako o pociu, mówiąc o jego stanowisku w miejscowym piśmiennictwie poznańskim, poczuwamy się poprzednio do obowiązku natchnio-

nego przekonaniem zastrzeżenia, a to z powodu odzywającej się od niejakiego czasu ze strony niektórych krytyków i pisarzy (n. p. Lucyana Siemieńskiego w jego *Portretach literackich*) tendencyi zwiększania roli i znaczenia generała Morawskiego w ówczesnej literaturze polskiej wogóle, poznańskiej w szczególności, nieco po nad rozmiary tego, *co i jak* w rzeczywistości było. Jako obywatel pozostaje i trzyma się generał Morawski na zupełnem uboczu ówczesnego życia publicznego w Poznańskim. Nie dziwić mu się. Złamane katastrofą polityczną nadzieje, dotknięte do głębi wstrząśnieniami moralnemi dusze szukają wypoczynku i wytchnienia w zamknięciu własnego wnętrza, nie czując się często ani skłonnemi, ani zdolnemi do uczestniczenia w nowych życia narodowego i publicznego formach, które im są obce a w których się znaleźć nie umieją. Nie szukając dalej, mamy pod tym względem najlepszy przykład na osobie Kościuszki, a wspomnienie samo choćby tylko *tego* imienia niechaj będzie dowodem, że zapisując co do osoby generała Morawskiego powyższe spostrzeżenie, nie myślimy mu zeń czynić jakiegobądź zarzutu. Potrochę jak z życiem obywatelskiem ma się rzecz *mutatis mutandis* z wpływowością i znaczeniem jego literacko-poetyckiej działalności na współczesną literaturę własnego zakątka. Nie dziwmy się i temu, a samo odświeżenie pamięci chwili wystąpienia w *Poznańskim* generała Morawskiego, prawdę naszego spostrzeżenia bez trudu wytłumaczy. W jakąż to chwilę, zapytajmy, trafia fakt wstąpienia Morawskiego na widownię literatury poznańskiej? W chwilę najszczytniejszego, najwznioślejszego rozbudzenia polskiego ducha, w chwilę nadnaturalnego poezyi polskiej nastroju, wywołanego sprzecznie uderzającemi po sobie wrażeniami najwyższej rozkołysanych nadziei, kwawo raniących, ale i magnetycznie rozdrażniających serce i umysł klęsk, męczeństw i prześladowań narodowych. W epoce, kiedy Mickiewicz już był rzucił narodowi problem rozwiązania jego losów w *Konradzie Walenrodzie*, a Krasiński odpowiedział w *Irydionie*, że krzywdy narodów nie mszczą ludzie, lecz Nemezis dziejowa; w epoce kiedy inny Konrad, Konrad Mickiewiczowych *Dziadów*, zanosí przed tron Przedwiecznego skargę o krzywdy Polski, kiedy ksiądz Piotr ma apokaliptyczne widze-

nie jej przyszłych kolei a *Komedia Nieboska* przedstawia w zachwycie podobnego jasnowidzenia obraz walk społecznych, jakie ludzkość czeka; a które zagodzić i ukoić może tylko chrześcijańska idea! w epoce, w której poezya polska sięga tak niebotycznych szczytów, *wzniosłości* tego rodzaju, nie wystawiając się na niebezpieczeństwo upadku w sąsiadującą z nią tak blisko *śmieszność*: — w takiej, mówimy epoce, jakże trudno dotrzymać z nią w orlim locie talentowi, którego główną zasługą, którego naczelnym przymiotem pozostanie tylko pewien wdzięk treści obok niezaprzeczonej piękności formy. Prosta ta prawda stanowi odpowiedź na pytanie o stopień i możność *wpływowości* generała Morawskiego na ówczesną społeczność i ówczesną literaturę poznańską. Gdzież ówczesna społeczność, a nadewszystko młodzież krajowa wogóle, poznańska wszechogólności, drżąca z gniewu i entuzjazmu pod wpływem czwartej części *Dziadów*, deklamująca *Wiersz do Matki Polki*, marząca messyanicznie z Kraśnińskim, miała w swem duchowem wnętrzu miejsce do dania przystępu wrażeniom skromnej, po ziemi stąpającej poezyi Morawskiego. Czy to niezrównane jego *Bajki*, czy to jego uroczyste ballady, legendy, gawędy, czy to wyborne przekłady arcydzieł literatury zagranicznej, potrzebowały *czasu*, potrzebowały *historji*, by im ze stanowiska zdrowo zastanawiającej się krytyki, dobrego smaku i uczucia sprawiedliwości, przeznaczyć w hierarchii Parnasu polskiego należne miejsce, by zastosować do nich prawdę *suum cuique*, oddać, co im się rzeczywiście należy. We *współczesnej* natomiast literaturze poznańskiej pozostają równie na uboczu, jak stoi na niem w życiu publicznem sam autor a pod względem wpływowości nie mogą się naturalnie mierzyć *Giermek* czy *Święty Izidor Oracz* z *Matką Polką* lub *Zgonem Sowińskiego*, ani *Wizyta w Sąsiedztwo* lub *Brzoza Gryżyńska* z *Pieśniami Janusza*. Czyż jednakże podobna prawda przeszkadzałyby miała zasłudze i uznaniu wartości Morawskiego w dziedzinie naszej poetyckiej literatury? Z pewnością *nie* a w głębokiem przeświadczeniu tej drugiej prawdy, pospieszmy z całym dlań uznaniem w obręb granic jakie mu się według naszego uważania rzeczy należą a jakie słuszność historyczna i krytyczna wspólnie zakreślają. Pominąwszy nawet poetyczną i estetyczną war-

tość utworów Morawskiego, należy mu się ze stanowiska *dziejowego* ocenienia literatury poznańskiej owej epoki, wdzięczność i uznanie za istnie obywatelską na *tem* polu gotowość przychodzenia jej w pomoc pięknem swem piórem. Miejsce jego pobytu, piękna posiadłość Lubonia, znajduje się jeżeli nie w pobliżu, to przynajmniej w niewielkiej odległości od Leszna miejsca wydawnictwa *Przyjaciela Ludu*. Otoż wybiera sobie Morawski *to* właśnie pismo za rodzaj jakby organu dla *swojej* czynności literackiej i tutaj to zamieszcza od czasu do czasu a weale nie rzadko, swe wdzięczne, rzewne i pociągające treścią, piękne formą i językiem utwory. Wspomniana przez nas co dopiero wyżej, przystrojona w szatę legendy ludowa gadka o *Gryżyńskiej Brzozie*, *Izydor św. Oracz*, ballada *Giermek*, mająca za przedmiot uczczenie młodzieńca, co odcięciem własnej nogi uwolnił z więzów tatarskich skutego razem z sobą hetmana; owa uroczą gawędą *Wizyta w sąsiedztwo*, rozpoczynająca się rzewną invokacją wieku ojców, by się skończyć humorystycznym, z życia wiernie zdjętym obrazem dwóch wąsali-stangretów wynoszących się chyłkiem do kareczmy po za plecami uczującego swoją drogą we dworze państwa; prześliczny przekład Bajronowego *Więźnia Chillonu*, nie wymieniając wielu, bardzo wielu innych utworów pióra Morawskiego, wszystko to pojawiało się w leszczyńskim *Przyjacielu Ludu*, stanowiło ozdobę i okrasę poetyckiej części zacnego tego czasopisma. Otoż scharakteryzowana kilku słowy, bo w pobieżnym szkicu naszym być inaczej nie może, owa *obywatelska*, jeżeli tak wolno powiedzieć, skrzętność Morawskiego na polu literatury miejscowej. Co się zaś tyczy poetyckiej wartości jego utworów, wystarczy je nazwać, by je przypomnieć a przypomniawszy, ocenić. Forma tu prześliczna, treść stroni od prądów i namiętności czasowych, nie ma z nimi nic wspólnego, trzyma się pola bardzo od niej odległego, szuka przedmiotowo piękna dla piękna a w tem jeden z głównych powodów, dla czego o *wpływie* Morawskiego poezji na żyjącą gorączkowo społeczność a żywiącą się nie mniej gorączkowo i namiętnie Mickiewiczem, Krasińskim, Słowackim, *Pieśniami Janusza*, mowy być nie może; dla czego trzeba było pewnego upływu czasu i reflexyjnego zastanowienia historyczno-krytycznego sądu, aby w zupełnym,

zbiorowym obrazie literatury poetycznej polskiej w ciągu pierwszej połowy XIX wieku, późniejszemu autorowi *Domu mojego Dziadku* przeznaczyć stanowisko, jakie mu się bez względu na wrażenia i namiętności chwili należy. Mimo zasadniczo przestrzeganej abstynencji w dotykaniu swą muzę burz i dolegliwości chwili, przemówił zeń *raz* przecież wyjątkowo weteran wojsk narodowych, oburzony widokiem znęcającego się nad zwyciężonym a bezbronnym narodem wroga, przemówił zaś z pewnością bez ubliżenia treści *w formie*, w której był mistrzem, w *bajce*. Już zamieszkały w Poznańskim (w r. 1841) zdołał generał Morawski, dzięki łepocie cenzury rosyjskiej, w zмовie z zacnym redaktorem *Gazety Warszawskiej*, Antonim Lesznowskim, w *jej* łamach właśnie, pod samemże okiem Paszkiewicza, przemycić swój słynny, zadziwiający i elektryzujący publiczność Królestwa wiersz *Wista i Zima*, który godny stokrotnego przypomnienia, niechaj i w naszym szkicu znajdzie miejsce:

Sarmackiej Wisły zbożopławne wody
 W twarde ścianawszy lody,
 Cieszyła się sroga zima,
 Że je w swoich więzach trzyma.
 Patrzcie, wołała, patrzcie dumne wały,
 Coście w tej śmiesznej wolności bujały,
 W jakich jesteście okowach!
 Oto was każdy przychodziień
 Depce, rąbie codzień.
 I byle Kałmuk jeździ wam po głowach;
 A wy cóż na to? ani mruknąć śmiecie;
 Takie to was jarzmo gniecie,
 Tak to zima włada!
 Prawda, że jesteś niezmiernie zażarta,
 Tak jej z pod Tatrów, na swej urnie wsparta,
 Stara Wisła odpowiada:
 Nie wszędzie przecież cięży twa potęga,
 Zawsze tam, zawsze pod tym twardym lodem,
 Śmiały i wolny nurt mój płynie spodem,
 Tam twoja władza nie sięga.

Niech tylko moje słońce mi zabłyśnie,
Wkrótce ta cała przestrzeń lodów pryśnie
Te śniegi nawet, któreś tu zuchwała
W przepaść gór tych nawiała,
Same mi kiedyś pomogą
Zrzucić twoję przemoc srogą.
Dmij więc, dmij groźny z twemi Akwilony,
Ścinaj, krępuj nurt ściśniony;
Spieszącej wiosny nie zatrzymasz w pędzie,
I'ójdziesz, zkąd przyszłaś, Wisła Wisłą będzie!

Teraz wypada nam zatrzymać się nieco w naszym opowiadaniu a rozpocząć dalszy ciąg od następnego, objaśniającego nawiasu.

Wspomniani przez nas co dopiero obaj wielkopolscy poeci, Garczyński i Morański, odznaczają się i wyróżniają tą właściwością, iż *pierwszy*, powierzając się prądom chwili w najszczytniejszym i najdodatniejším ich kierunku, nie należał, ściśle biorąc, do literatury poznańskiej; że zaś *drugi*, należąc do niej, pozostał obcym jej moralnym i politycznym czynnikiem. Dzięki tej prawdzie, zajmują obaj poeci wyjątkowe stanowisko a zasługują tem więcej na podobne wyróżnienie, że, jak będzie naszym staraniem wykazać niżej, ówczesna poezya poznańska czyli lepiej powiedziawszy, ówczesna poezya w *Poznańskim*, przedstawia wiernie ten sam obraz, co inne gałęzie literatury współczesnej. Jeśli publicystyka, jeśli historia, jeśli filozofia nawet staje się mimowolnie może nieuniknionem odzwierciedleniem ówczesnych cierpień, nadziei i dążeń społeczno-politycznych duszy i serca narodowego, cóż naturalniejszego, jak że i *poezya*, jak że i ten najbezpośredniejszy wyraz uczucia i wyobraźni narodowej, zbiorowo nie innemi na zewnątrz wytryskuje objawami? *Polska i postęp*, *Polska*, przedmiot nieutulonego żalu i bólu w przeszłości, przedmiot żywych, nie zamierających nadziei na przyszłość, przedmiot kultu religijno-narodowego w terażniejszości; *postęp* i jego idee, jako najskuteczniejsza dźwignia użyznienia mas ludowych dla idei narodowej, otóż podstawna melodia ogromnej większości ówczesnej poezyi polskiej wogóle, poezyi w *Poznańskim* w szczególności, co naturalnie nie przeszką-

dza, że melodia owa, przerabiana na najrozmaitsze wariacje, mogła odpowiednio do talentu, uzdolnienia i usposobienia osobistego kompozytorów wydawać raz arcydzieła w rodzaju *Pieśni o Ziemi naszej* Wincentego Pola, inny raz dziwolagi w rodzaju *Mutki Bohaterki* Norberta Bredkrajca lub dywagacyi Piotra Dahlmanna w *Tygodniku Literackim*; co nie przeszkadza dalej jeszcze, że podstawny ten akkord milknął niekiedy, by ustępować miejsca powszedniemu liryzmowi, opiewającemu kochanki, naturę, własne rozkosze i cierpienia. Chwilowe te wytelnienia i wypoczynkowe uprawianie innego pola, nie odbiera przecież ówczesnej poezyi polskiej podstawnego jej, przeważnie politycznego charakteru a rozpatrując się w ówczesnych jej objawach w Poznańskim, znajdziemy się podobnie, jak we wszystkich innych gałęziach literatury, w konieczności rozklasyfikowania jej według różnicy ówczesnych odcieni politycznych, na odcień *zachowawczy* z jednej, na odcień *postępowy* z drugiej strony. W klasyfikacyi podobnej na polu *poezyi* ta tylko w porównaniu z innemi gałęziami literatury przedstawi się z natury rzeczy wypływająca różnica, że kiedy kierunek *ruchu* i *postępu* przemawia i w dziedzinie poezyi temież samemi prawie co w publicystyce dźwiękami, wyrazami i pojęciami, *konserwatyzm* nie charakteryzuje się tu może jako idea polityczna a tem mniej jako dążność polemiczna, ale raczej jako idea bezwzględnego, poetycznego piękna stroniącego od prądów i namiętności chwili. Na wielkiej swej widowni przedstawia poezya polska charakterystyczny pod tym względem wyjątek w owej wspaniałej zamianie słów między Słowackim a Krasieńskim, wyzywając pierwszego znajdującym odpowiedź w *Psalmach Przyszłości* drugiego. Skromna widownia ubocza poznańskiego nie dostarcza podobnego widowiska. Morawski, po za nim w pewnym odstępie wspomnieni przez nas wyżej Jaśkowski i Konstanty Zakrzewski jako współpracownicy *Przyjaciela Ludu* lub *Tygodnika Literackiego*, reprezentują, zamykając się, jak co dopiero powiedziano, w dziedzinie piękna, element zachowawczy poezyi poznańskiej, nie wypowiadając, nie myśląc wypowiadać wojny swej koleżance obozu postępowego. Morawskiego muzę scharakteryzowaliśmy już wyżej. Rozjemezy, przedmiotowy, niewinnie ironiczny autor *Klasy-*

ków i *Romantyków* z epoki przedrewolucyjnej, nie miał ani chęci, ani myśli zabierać ponownie głosu i wystąpić z aktem poetyckiej interwencji wśród ówczesnej walki między *konserwatyzmem* a *postępem*. Równie mało znany i zapomniany dzisiaj, jak wysoko uzdolniony i na ocalenie od niepamięci zasługujący, mało płodny, co prawda, jako pisarz Jaśkowski, wołał w pięknej swej *Balladzie jakich wiele* lub *Pajazzo*, kreślić zbrocenia, bóle, walki wewnętrzne duszy i serca ludzkiego, aniżeli zstępować na arenę poezji politycznej. Zamieszczony jego w *Tygodniku Literackim* z r. 1839 wiersz *Do Poetów*, rodzaj wezwania, aby młodzi poeci nasi, rzuciwszy sztuczne rozpaczę, śpiewali raczej wiarę, nadzieję i miłość, wiersz upamiętniony gromką odprawą Edmunda Wasilewskiego, dotyczył raczej dziedziny estetycznej, aniżeli politycznej. *Konserwatywny* tedy, jak nazwać go sobie w niedostatku odpowiedniejszego może wyrazu pozwoliliśmy, odcień ówczesnej poezji poznańskiej, nie przedstawia żadnego pierwiastku politycznego, żadnego śladu jakiegś intencji polemicznej. Inaczej ma się rzecz z poezją i reprezentantami jej kierunku *postępowego*. Tutaj to spotykamy się w pierwszym rzędzie i na samym wstępie z imieniem pełnego nadziei i prawdziwego talentu młodzieńca, uznanego w swym talencie, wydobytego na jaw z ukrycia, rzecz szczególna, właśnie przez generała Morawskiego, właśnie przez wyznawcę kierunku i zasad wręcz przeciwnych tak w literaturze, jak w życiu publicznym dążnościom, jakim zahodziwał jego młodzieńczy klient. Mówimy tu o *Ryszardzie Berwińskim*, wówczas, około roku 1840, uczniu szkół leszczyńskich, później nieco uniwersytetu Wrocławskiego. Zasługą, powtarzamy, generała Morawskiego było poznanie się na tym młodym talencie, było wydobyć go z ukrycia, wprowadzenie w związek z publicystyką. Czyż obok tej zasługi przypisać mu winę, że równocześnie nie zdołał weń wpoić przekonania, jak dalece warunkami prawdziwego, choćby nawet na polu poezji powodzenia, są wytrwałość w pracy i prozaiczny porządek codziennego życia? Nie zapuszczając się w rozbiór tej ważniejszej może dla osoby młodego poety, aniżeli dla ocenienia tego, co napisał kwestyi, poświęćmy kilka słów wartości, stanowisku i dążności jego utworów. Młody, liczący około dwu-

dziestu lat (urodzony w roku 1819) zaledwie Ryszard Berwiński wstępuje w zawód literacki po raz pierwszy przez wydane r. 1840 we Wrocławiu *Powieści Wielkopolskie*, zawierające fantastyczne opowiadanie pod tytułem *Bogunka na Gople*, gadkę ludową *O dwunastu rozbójnikach*, wreszcie pomniejsze, liryczne utwory autora. W cztery lata później wydaje w dwóch tomikach *Poezye*, pierwszy w Poznaniu, drugi z powodów cenzuralnych w Brukselli. *Catość* dopiero, powiedzielibyśmy, tych trzech publikacyj daje pojęcie o talencie, ale i o dążności Berwińskiego, jako wyznawcy wskazanego przez nas wyżej kierunku. *Powieści Wielkopolskie* wraz z wszystkim, co ich niekoniecznie odpowiadający treści tytuł pokrywa, stanowią, wierszem czy prozą, udatną próbę językową, w której wśród polysków rzeczywistej iskry poetycznej niekiedy, jakiejbądź *tendencji* dopatrzyćby się trudno. To samo, z małemi, nie dość wyraźnie sformułowanemi wyjątkami, dałoby się powiedzieć o wydany w Poznaniu, pierwszym tomie *Poezyj*. Jestto zbiór pięknych pod względem formy, dziwnie jednostajnych pod względem treści, erotycznych poezyj, w których ciągle powtarzającą się, nużącą zwrotkę stanowią skarga na zdradę kochanki, uderzające w dwudziestokilkuletnim poecie zwątpienie o świecie i ludziach, jakaś nieutulona rozpacz, Wertherowski „*Weltschmerz*,” którego, powiedzmy raz jeszcze, monotonię wynagrodza piękny język i niezaprzeczona zdolność poetycznego obrazowania. Pod koniec tegoż samego tomiku *Poezyj* figuruje pamiętny w zawodzie literackim autora, dwupieśniowy poemat pod tytułem *Don Juan Poznański*, który tak wady, jak przymioty lirycznych utworów Berwińskiego, w mocno spotęgowanym obejmuje stopniu. Forma jest tu rzutką, śmiałą, wykończoną i poprawną mimo swej śmiałości. Trudno zapewnie, wyrывая na chybi-trafi ze stron *Don Juana Poznańskiego*, tuż niżej przytoczonym zarzucić cośkolwiek bądź pod względem formy, jak zdolności komicznego obrazowania.

„Juan chce pisać; łokieć na stole
A czoło oparł na dłoni,
I oko w niebie utkwil sokole
I za natchnieniem w lot goni;

Goni, a goniąc przygryza pióra,
 A przygryzając pierś nadyma,
 Nakoniec zacznie: *O ty, która* —
 Zacznie i nagle się wstrzymał, duma i myśli,
 A gdy się dobrze namyślił,
 Spojrzał, raz jeszcze rozważył ściślej,
 I co napisał, przekreślił!“

Co przecież, obok tego spotęgowanego przymiotu *formy*, nazwalibyśmy z przeciwnej strony spotęgowaną wadą, jeśli nie zdrożnością tego niedokończonego, zrozumiałego tylko znawcom osobistych przygód i kolei autora poematu, to zważenie przeradzające się w przykry po upływie lat tylu dziś jeszcze dla czytelnika cynizm. Mniejsza już, że młody naówczas bardzo jeszcze poeta nie zawahał się przed ośmieszeniem i wyszydzeniem miłosnego stosunku, który kodeks pewnej rycerskości męskiej zawsze dyskrecją osłaniać nakazuje. Cóż za to powiemy, gdy pod widocznym wrażeniem *Grobu Agamemnona* Słowackiego odzywa się nie o grzesznych i błędnych wodzach może, ale o ofiarnych i walecznych żołnierzach roku 1831:

„Brawo ci, brawo,
 O narodowy nasz wieszczu!
 Krzykną rycerze, co pod Warszawą
 Przez dni trzy stali na deszczu
 Bomb i granatów, a dnia czwartego
 Skończyli według zwyczaju
 Szlachecko-polsko-narodowego,
 Bo nie skończyli dla kraju!
 A było ich tam sto razy tyle,
 Co owych synów Hellady,
 Którzy... lecz o tem niech Termopile
 Świadczą, kto poszedł w ich ślady?
 Kto? z naszych żaden! Rzecz oczywista,
 Że *wszystkich* szkoda, lecz gdyby
 W tylu tysiącach choć tylko trzysta
 Było walecznych, mogliby...

Prawda, lecz choćby polegli wreszcie
 I wszyscy poszli do gazet,
 Byłoby w Polsce najmniej wsi dwieście
 I dusz bez panów kilkaset.
 A brzydko umierać, gdy pięknie żyjem
 Z cudzych darmochów i danin.
 Żyj więc motłochu! Lecz *carpe diem!*
 Nauczał pewien Rzymianin!“

Otóż wybryk historycznego fałszu i moralnego cynizmu razem, bo Poznańskie na wszystkich polach bitew roku 1831 z pewnością hojną daninę krwi ojczyźnie spłacało a jego, jak całej Polski *ówczesna* szlachta, „darmochy i daniny chłopskie“ chętnie na ołtarzu ojczyzny złożyć była gotową. Owe „*darmochy i daniny*“ Don Juana Poznańskiego trącają przecież w nie dość pożałowania godny dla talentu i wartości utworów autora sposób o fałszywy akkord brzmiący dopiero doniosłe i z całą zrozumiałością w drugim, bez cenzury wydany tomiku jego poezyj. Fałszywym tym akkordem i to całej ówczesnej *postępowej* poezyi, pojawiającym się nie tylko w samym Berwińskim, odnajdującym się nie tylko dalej w tak skromnie w parnasowej hierarchii figurujących osobistościach, jakimi byli np. *Tygodnikowi* poeci: Piotr Dahlmann i Julia Wojkowska, lecz, co więcej zastanowienia godne, pokutującym niekiedy i w ówczesnych utworach Lucyana Siemieńskiego nawet, jest niewczesna *ludomania*. Któż z ludzi rozsądku i serca polskiego chciałby zaprzeczać ludowi Polski jego praw osobistego równouprawnienia i swobodnej własności, ale byłoby słusznie i sprawiedliwie wytaczać z powodu niewoli ludu proces *ówczesnej* właśnie generacji szlacheckiej, która spętana sama, miała sobie przez rządy obce poczytywaną za czyn zbrodni stanu niemal każdą próbę, każde prawodawcze usiłowanie zdjęcia niewoli z ludu? A przecież, czy to demokratyczna publicystyka emigracyi, czy to poezya postępową, przedstawiają wiernie i konsekwentnie w najrozmaitszych odmianach owego szlacheica ciemieżcą i wyzyskiwaczem uciśnionego „*chama*.“ Berwiński jest pod tym względem wiernym uczniem i wyznawcą owej szkoły, a pesymista wogóle, zwraca swe nadzieje przyszłości do chłopca polskiego,

„chłopa“ wyraźnie, deptanego dzisiaj i gniecionego przez szlachtę. Podstawna myśl ta wraca u niego i powtarza się w tysiącznych, jak powiedziano, odmianach. Czy to w *Myszej Wieży*, czy w *Mogile Kościuszki*, czy w *Częstochowie*, czy w *Marszu w Przyszłość*, czy w *Ostatniej Spowiedzi*, brzmi ciągle różnemi waryacjami. Poeta kocha Polskę i tęskni za nią, ale kocha ją nienawością do strupieszałego według siebie żywiołu szlachty, widzi zbawienie w spontaniczności i samodzielności ludu, zapominając, że choćby pod Racławicami nawet przykładu abdykującego z herbów i przywilejów szlachcica, ale *szlachcica* przecież Kościuszki było trzeba, by pociągnąć za sobą walecznych Bartoszków! W przepomnieniu powtarzającej się tej wiernie w dziejach naszych porozbiorowych prawdy, woła Berwiński:

„Jak tu straszno, tu nas dręcą,

Pełno łez i skarg!

Pod żelazną kark obręczą

Purpurową zaszedł tęczę

Niegdyś wolny kark;

A tam ziemia obiecana

Bez tyrana i bez pana,

Pod zarządem Bożym,

Czeka nas za morzem

Krwi!

Za czerwonym morzem!

Jak tu straszno! Nagi, bosy

Gromadzi się lud,

W polach świecą białe stopy

Naszych kości. Dzikie głosy

Krzyczą zewsząd: *głód!*

A tam ziemia obiecana,

Z burzanami po kolana,

Z chlebem, solą, zbożem,

Czeka nas za morzem

Krwi!

Za czerwonym morzem!

Tu chce zniszczyć ród człowieczy
Faraonów moc;
A aniołów, ani mieczy
Bóg nie zsyła ku odsieczy,
Choć prosim dzień, noc!
Więc gdy stary Bóg nie słucha,
Pomódlmy się do obucha,
Uściśnijmy noże,
I dalej za morze
Krwi!
Za czerwone morze!

Podobnie w innym miejscu:

Znam was, o znam was, was dumnych i świetnych
Synów przeszłości po ojcach bezdzietnych;
Znam Cyncynnatów, w dwumiesięcznej wojnie
Okrytych głośną sławą bohaterów,
A od pół wieku zajętych spokojnie
Pędzeniem wódki i robieniem serów.
Znam wojowników pożądlivych boju,
Co posiwiawszy na zbytkach pokoju,
Z bliznami wieku i marsem na czole
Trupem pijackie zaścielają pole.
Znam ich, ach, znam ich, znam obywateli
Prawych ojczyzny synów — po kądzieli,
Co ku nauce zdumionemu światu
Gotowi rzec się dla przyszłego państwa
Nietylko herbów, lecz nawet poddaństwa. —
Znam wielkich ludzi małego powiatu!
Znam i te wreszcie ostatnie filary
Tej słynnej w dziejach staropolskiej wiary;
Znam was Fenixów wzrosłych na popiele
Zgliszczów ojczystych; znam was przyjaciele
Młodości mojej, was, w których się chowa
Godność i duma nasza narodowa;
Znam was pełniących trudny obowiązek,
Mistrzów balowych, rycerzy podwiązek!

Znam was i gardzę, lecz tak wami gardzę,
 Że każde słowo i wszystkie gorycze,
 Któremi plunąć mógłbym wam w oblicze,
 Że wołą raczej przymrzeć na mej wardze!

Otóż to anatemy rzucane na wyższe warstwy społeczności polskiej, otóż to Pankracowe idealizowanie ludu, fałszywy akkord poezji postępowej płynący ze źródła źle pojętej miłości ojczyzny z jednej, ogólnych prądów czasu z drugiej strony. Zbłąkanie tem więcej pożałowania godne, że, jak powyżej a bardziej może jeszcze poniżej przytoczone próby przekonywają, Berwiński miał prawdziwą iskrę talentu poetycznego obok formy pełnej siły i wykończenia. Dość pod tym względem przypomnieć sobie wspinały wiersz *Mysza Wieża* będący także oskarżeniem ciemniwców ludu, winowajców upadku ojczyzny, kończący się zaklęciem Piasta „o zdrową radę prostego rozumu kmieciego.“ Poeta zaczyna:

O ziemio moja! Ty, coś dawniej była
 Kolebką wolnych, dziś wolnych mogiła.
 Ja syn pośmiertnej twej grobowej chwały,
 Pytam się ciebie, i gdzież się podział
 Dni twoje wielkie, gdzie ręka, co wskaże
 Świetności twojej zwalone ołtarze?

Obrazując następnie *Myszą Wieżę* jako pozostały szczątek Popielowych zbrodni tronu, ciągnie dalej:

Próżno szukałem skromnej Piasta chatki,
 I szczątku niema! A wieża Popiela
 Dziś jeszcze dumą pod obłoki strzela,
 I zapłakałem, że na grobie matki
 Win tylko starych pozostały świadki!
 Jedna nam przecież jest jeszcze pociecha:
 Patrzaj, tu stara pochyłona strzecha....
 Kto wie, czy nie tam jest Piasta przybytek?
 A owa chata, którą mech porasta,
 Nędzny przytułek dzisiejszego Piasta,

O czemże mówi? Oto czas oskarża
 Jako tyrana, starego zbrodniarza,
 A ulegając twardej losów fali,
 Na dni dzisiejsze i przeszłe się żali!
 Żali się biedna! A przecież w tej chatce
 Bóg wielką radość starej zdarzy matce,
 Że znowu wyjdzie z niej zbawienie nasze,
 I biodra mieczem Chrobrego opasze!

Niemniej pełnym siły i piękności jest ustęp, jakoby tęsknym pesymizmem tęnącego wiersza *Wawel i Kraków*:

Dawniej, gdyś była panią miast tysiąca,
 Nad wszystkie wzniosła, wszystkim królująca,
 Gdy liczne ludy i wielkie dwa morza
 Hold swój składały u twego podnóża;
 Wtedy niejeden z dumnych władców świata
 O twoją rękę zuchwał się kusić,
 Zdolny do ślubów zwycięstwa przymusić;
 Miecz doświadczony brał sobie za swata
 I tak przychodził w miłosne zaloty,
 Przez krew i ogień i miecze i groty!

Kto był zdolny wznieść się do wysokości podobnego nastroju, kto umiał odzywać się podobnym językiem, miał zapewne prawo liczyć na stanowisko i przyszłość w literaturze ojczystej, zasługuje na uznanie swego talentu *mimo* jego obłądów a choćby *w nich* nawet. Nie jesteśmy zbyt skłonni wierzyć w rzeczywistość wszelkich pesymizmów, rozpacz, tęsknot a nadewszystko skrajnych politycznych teorii młodych poetów. Są to nocne widziadła i zmory pierzchające z nastaniem dziennej światłości. Prawdziwy talent poetyczny, dojrzewając, byłby się z nimi bez żalu i trudu pożegnał. Nie mamy obawy, ani wątpliwości, że doza i rodzaj talentu Berwińskiego starczyły aż nadto, by w późniejszym jego zawodzie pisarskim podobny wywołać pojaw a autora namaszczyć na prawdziwie znakomitego, narodowego poetę. Na nie-szczęście przecież stał się Berwiński *wieszczem* samemu sobie i swojemu zawodowi literackiemu, mówiąc w *Don Juanie*:

Skończyłem jednak patryotycznie,
Skończyłem czysto po polsku, •
Bo nie skończyłem!

Istotnie, urywa się i kończy autorski zawód Berwińskiego na powyżej wspomnianych, tyle obiecujących próbach. Muza młodego poety milknie od roku 1844, odzywa się raz po raz, zaledwie dostrzegalnie, sporadycznie w odcinkach tego i owego z czasopism. Później ukazuje się dwutomowe, niesmacznej a niewyczerpującej uczoności dzieło pod tytułem: *Studia o literaturze ludowej*, płód jakoby innego człowieka i innego pióra. Później jeszcze — ale o tem *później* przemilczmy lepiej, jako nie należącemu do literatury. Gdy zapytamy o przyczyny złamania i zwichnienia tego niezaprzeczenie wielkiego talentu w samych nieledwie tak świetnych początkach jego występu na widok publiczny, znajdziemy je częścią w dotykającej go krytyce, częścią, i to przeważną częścią, w usposobieniu osobistem młodego poety. Łukaszewicz, którego oko nie mogło przy żdźbale uczucia sprawiedliwości i zdrowego sądu literackiego, nie dostrzedz, obok i mimo tylu zboczeń, w Berwińskim warunków i przymiotów prawdziwego poety, poszedł za głosem ciasnej profesorskiej zawiści i polemicznej namiętności. Zamiast dojrzałe, wyrozumiałe, z miłością starszego i wytrawnego w zawodzie literackim człowieka skarcić w Berwińskim, co w nim uczeiwie do skarcenia było, jego sztuczne pesymizmy i zwątpienia, jego cynizmy obyczajowe i narodowe, wyniósł wszystkie te wady i obłądy do spotęgowanego nad słuszość i wartość stopnia, nie zostawił ani jednego słowa dla przymiotów i stron dodatnich, rzucił się wreszcie z istnie Ugolinowym głodem na osobę młodego pisarza, znęcając się w *Orędowniku*, jak już powiedziano, nad jego frakiem, rękawiczkami, sposobem noszenia włosów. Poważne, surowe choćby, ale bratnią czy ojcowską miłością natchnione słowo krytyki, byłoby może Berwińskiego sprowadziło na zdrowsze tory a co najważniejsza, obdarzyło ochotą i energią *pracy*. Czyż mylimy się, przypuszczając, że obelżywe i szydercze inwektywy Łukaszewicza, wywołujące, jak zwykle w takich razach, śmiech spektatorów, śmiech bolesny dla chłostanego, mogły zrazić i zniechęcić młodego pisarza? Nie

myślmy dla tego uniewinniać całkiem jego samego. Podobny talent powinien był we własnej swej świadomości i poczuciu zaczerpnąć siły, odwagi i energii do pracy w zawodzie, jaki mu łaska Opatrzności tak niewątpliwie wskazała. Nieszczęściem przecież daru talentu *poezji* właśnie pozostanie, że z *nim* łączy się pretensya nadzwyczajności i wyjątkowości. *Inne* zdolności zaostwiają zmysł pracy; uzdolnienie poetyczne wymaga kontroli troskliwszego wychowania i zdrowej podstawy prozaicznego przy wrażliwem sercu i bujnej wyobraźni charakteru, by zbiegający się Pegaz nie strzaskał wozu życia, jaki każdemu ze śmiertelników ciągnąć przychodzi, by razem z nim nie strzaskał i nie złamał siebie samego. Sens moralny tego obrazu niechaj tłumaczy owo zerwanie poetycznej struny tak wiele zapowiadającego pisarza, jakim był Berwiński, niechaj dalej tłumaczy późniejsze jego, nie mające już nic wspólnego z literaturą narodową koleje ¹⁾...

Po imionach Garczyńskiego, Morawskiego, Berwińskiego, nakazuje nam dokładność historyczna udzielić miejsca w naszym szkicu dwom imionom wielkopolskim, wstępującym wówczas także w szranki poetyczne a wstępującym w nie pod sztandarem falangi postępowej. Mówimy tu o dwóch współpracownikach epoki upadku *Tygodnika Literackiego*: Julii Wojkowskiej i Piotrze Dahlmannie. Julia Wojkowska, żona redaktora *Tygodnika Literackiego*, autorka nie bez pewnego uzdolnienia, ale za to bez owego nie tylko koniecznego „korabiowi na rozbijałych fluktach“ niezbędnego ballastu, ballastu tyle potrzebnego w każdym położeniu życia, zdrowego zastanowienia i równowagi, odzywa się raz po raz naówczas w łamach swego pisma z mniej lub więcej udatną skargą ubóstwa na bogactwo, udręczonego zawsze chłopca na dręczącego wiecznie szlacheica. Piotr Dahlmann wyższy może nieco talentem, — choć nie bierzmy tego uznania w *zbyt* wysokim i *zbyt* korzystnem dla autora znaczeniu, — należy politycznie i społecznie do tej samej szkoły a jest jednym z poetyckich filarów tegoż samego pisma. Za młodych bardzo

¹⁾ Berwiński umarł w r. z. w Konstantynopolu, zapomniany. Ostatnie jego prace (Obrazki z Turcyi) drukowała *Gazeta Lwowska*.
(Przyp. Red.).

lat żołnierz powstania roku 1831, niedokończony uczeń filologii Wrocławskiego uniwersytetu, długi czas „*bemoostes Haupt*“ (omszała głowa), jak Niemcy nazywają, tegoż uniwersytetu, następnie nauczyciel prywatny po różnych domach W. Księstwa Poznańskiego, wystąpił po raz pierwszy na pole literackie, wydając roku 1841 we Wrocławiu pięcioaktową tragedję *Marynę Mniszchównę* i poezye pomniejszych. W *Marynie Mniszchównie* złożył dowód najzupełniejszej nieudolności na poetę dramatycznego a czytając jego utwór, mamy wszelkie prawo dziwić się, jak pisarz, któremu się udawały niekiedy próby poezji lirycznej, nie posiadał dość zmysłu własnej krytyki, by *Marynę Mniszchównę* napisać, by, co gorsza, napisawszy ją, w świat puszczać. Język trzynasto-zgłoskowym wierszem wlokącego się dramatu, niewyrobiony i niepoprawny do wysokiego stopnia. O jakiejbądź postępującej akcji niema żadnej mowy; czece, długie, deklamacyjne dyalogi, dramat stworzony prawdą historyczną, zmarnowany i popsuty doszczętnie fantazyą poety. Maryna, przedmiot licytacyjnego targu dwóch miłości, Pożarskiego, wodza wojsk carskich i Zaruckiego, hetmana Kozaków, ginie, wzgardziwszy pierwszym, z rąk drugiego, który zabijając ją a potem siebie samego, chroni obojga od hańby i katuszy śmierci, przeznaczonej im przez Pożarskiego. Jakimże jednak cudem Zarucki, zabity już poprzednio przez udającego popa Jezuitę Bazylego, zmartwychwstaje po śmierci, by po podobnem zmartwychpowstaniu zabijać Marynę a w dodatku sam skończyć samobójstwem, *tego* nie tłumaczy nam już Dahlmannowy dramat... Rzecz szczególna, że autorowi podobnego dziwolażu dramatycznego, niezdolnego wytrzymać sądu najpobłażliwszej choćby krytyki, udawały się niekiedy, jak już zauważyliśmy wyżej, próby liryczne. Cechowała je pewna rzewność i prostota płynąca widocznie z serca i uczucia. Do takich zaliczylibyśmy *Wspomnienie domu rodzicielskiego*, do takich dalej rzewny wiersz *Sierota*, zaczynający się od słów:

Nie mam ojca, nie mam matki,
Już lat siedm, jak śpią w grobie,
Nie mam nigdzie własnej chatki,
Wszędzie smutno w każdej dobie.

Dawniej, gdym się obudziła,
 Droga mama mnie pieściła,
 Czułe Kasię swą ścisłała,
 Drżąc, do piersi przytulała!

Również nie jest bez pewnej świeżości i siły jego *Pieśń Osadników* witających wolną ziemię Ameryki:

Witaj ziemio obiecana,
 Gdzie nieznane imię pana,
 Gdzie wolności zagrzmi głos;
 A ty kraju, zkąd płyniemy,
 Zkąd łzy same wywozimy,
 Czemuż znosisz srogi los?
 Tu, wśród dębów i jaworów,
 Wśród nietkniętych jeszcze borów,
 Pierwszą cześć odbierze Bóg,
 Nikt tu jeszcze się nie modlił,
 Nikt tu jeszcze się nie spodlił,
 Grzech nie przeszedł za ten próg!

Po wydaniu *Maryny Mnischówny* i *poezycji pomniejszych* wychodzi Dahlmann, jak już wyżej nadmieniliśmy, na współpracownika *Tygodnika Literackiego*, upadając od dnia do dnia niżej jako talent i człowiek, popadając coraz więcej w fałszywą ludomanię i religijne obrazoburstwo, wśród czego giną i nikną wszelkie ślady zdolności, jaką do pewnego stopnia był z natury obdarzony. Umiera zapomniany, w upadku moralnym, w nędzy materyalnej, w Poznaniu, z jesienią roku 1847.... Nie nadarmo powiedział Napoleon prawdę o bliskiem sąsiedowaniu wzniosłości ze śmieszością, tragiki z komiką. Pamiętni z jednej strony tej prawdy, z drugiej trojskliwi, ile się da, o dokładność i zupełność historyczną naszego szkicu, wspomnijmy obok owych poważniejszych objawów rodzimej poezyi poznańskiej, tuż obok wzmianki o tragice prześladowającej jej reprezentantów, dziwactwa i śmieszości nadarzające się w tej samej dziedzinie. Wszakżeż i Tersites doczekał się nieśmiertelności, choćby przez razy odbierane z rąk Iliadowych bohaterów. Zapiszmy tedy w pocz-

cie owej *dziwolężnej* poezyi poznańskiej, nazwisko Antoniego Krzyżanowskiego i jego pięcioaktowej tragedyi *Dagiskan* z godłem, odpowiadajacem dziwnie prawdziwie treści: *Tragedya powinna wzbudzać trwogę i politowanie*, owego słynnego *Dagiskana*, który, wyśmiany przez krytykę za pierwszym ukazaniem się swoim w roku 1842, zmartwychwstał następnie roku 1850 w drugim wydaniu jako *Zawida*. Zapiszmy dalej w podobnym poezcie ultrapostępowy dramat *Matkę Bohaterkę* i ultrapostępowe poezye Norberta Bredkrajca z tą ocalającą przecieź dla pocziwego zkądinąd autora pamięci wzmianką, że przed śmiercią poznał się sam abnegacyjnie na wartości swoich utworów a znaczną część majątku przeznaczył testamentowo na konkursową nagrodę dla najlepszego utworu dramatycznego polskiego. Na tym zapisku zamykając cykl większych, mniejszych i najmniejszych poezyi poznańskiej reprezentantów, zrodzonych na wielkopolskiej ziemi, moglibyśmy rzecz samą o poznańskiej poezyi owej epoki zakończyć, gdyby nie wzgląd i pamięć na fakt, iż w gościnę jakoby do literatury *poznańskiej* zajeżdżają naówczas pisarze z innych stron kraju o znanych dobrze, świetnych nierzadko w annałach jego duchowego i literackiego życia imionach. Nie można dość często przypominać, że *dwa* tylko naówczas istnieją centralne ogniska, około których myśl narodowa przytulić i rozgrzać, z pod których z jakąkolwiek swobodą odezwać się może: *emigracya* i *Poznańskie*. Poeeci ówczesni polscy, jak ów Mickiewiczowy słowik, co „wylata z ogniem zajętego gmachu, by przysiąść na dachu, a gdy dachy runą, uciec w lasy i brzmiać pieśnią nad zgłiszcza i groby nucić podróznym piosenkę żaloby,“ chronią się z utworami swemi w *Poznańskie* i z tutejszego w świat je puszczają przytuliska. Belwederczyk Seweryn Goszczyński drukuje po raz pierwszy w roku 1842 w Poznaniu fantastyczną swą powieść *Król Zameczyska*. Wincenty Pol wydaje również tutaj po raz pierwszy r. 1843 swoją sławną *Pieśń o Ziemi naszej*, owo arcydzieło czy to spoetyzowanej geografii naszego kraju, czy też jego zgeografizowanej poezyi. Nie wspominając o ulotnych poezjach, zamieszczanych przez pisarzy *nie* poznańskiego rodowodu, w licznych naówczas poznańskich czasopismach, niepodobna natomiast pominąć milczeniem

trzech z pośród nich, co przez żywszy i regularny udział zyskali prawo obywatelstwa w ówczesnej literaturze poznańskiej. Mamy tu na myśli Lucyana Siemieńskiego, Edmunda Wasilewskiego i Franciszka Żyglińskiego, wszystkich trzech, jeżeli się mamy trzymać powyższej naszej klasyfikacyi, wyznawców *naóbczas* postępowej w dziedzinie poezyi szkoły. O Lucyanie Siemieńskim wspomnieliśmy już wyżej; mówiliśmy o jego dwuletnim pobycie w gościnnym domu Miłosławskim Seweryna Mielżyńskiego, o jego żywym udziale w literaturze, mianowicie czasopiśmiennictwie poznańskim. Jako poeta występuje Siemieński, jak już także wspomniano wyżej, z zamieszczonym w *Orędowniku* przekładem dziewiątej księgi Odysei, nadto z wydany w Poznaniu roku 1844 tomikiem *Poezycji* i fantazyą dramatyczną *Świtezianką*. Poezye owe były zbiorem różnych wierszy, pozamieszczanych poprzednio w najrozmaitszych czasopismach poznańskich, mianowicie w *Dzienniku Domowym* i *Orędowniku*. Popelnimyż zbyt ciężki występek przeciw pamięci autora, jeżeli wypowiedzieć pozwolimy sobie zdanie, iż Siemieński jako tłumacz Odysei, iż Siemieński jako prozaik, jako autor *Wieczorów pod Lipą*, udatnych mniejszych powieści, później wydanych *Portretów Literackich*, góruje bardzo znacznie nad Siemieńskim jako oryginalnym poetą? Argumentu do wyrażenia podobnego zdania dostarczają nam właśnie owe wydane roku 1844 w Poznaniu poezye, które, choćby nawet *Trąby w Dnieprze*, choćby *Samuel Zhorowski*, choćby przyjęty gościnnie przez różne nasze chrestomatie *Napierski*, choćby wszystkie owe dumy i tęsknoty Czarnomorsko-Kozackie, nie wynoszą po nad poziom mierności. Nadarmo szukać w nich wyższego nastroju poetycznego; myśl poety, zkadłinał przecież ani mistyka, ani Ossyanowej mglistości marzyciela, ginie i gubi się często w zagadce, w zagadce pod względem treści, mętności pod względem formy. Formę i język jego *prozy* wolimy również. Szukajmy np. w wierszu *Przystuga*, mającym za przedmiot wojskową egzekucyę skazańca, choćby i w poezyi przecież niezbędnego umotywowania, zkadł się bierze, jak się dzieje, że komuś, co się z delinkwentem „znał dzieckiem w domu, potem w szkole w związku bratnim“

„Teraz każą mu dla sromu
Jego *katem* być ostatnim “

a że

„Osiem strzałów poszło stroną,
Mój dziewiąty skończył męki.“

Wiersze, jak np. *Czy już wiosna?* lub *Zima i lato*, by nie wyliczać innych, zostawiają czytelnika pod wrażeniem takiejsze samej enigmatyczności. Gdy poeta pierwszy wiersz kończy strofą:

Jest wiosna, bo jest miłość;
Rozpowiecie, bo zawilość.
Pierwej krąży sok pod korą,
Nim wystrzeli maju wiankiem;
Zgaduj czuciem, a przed porą
Staniesz się wiosny kochankiem,

czujemy się pod ciężarem nierozwiązanego pytania, czy owa wiosna nastąpiła istotnie i co autor chce mieć „*ową swoją wiosną*.“ Posłuchajmy w całości innego wiersza *Zima i lato*:

I.

Styczeń rozpostarł śnieżne całuny,
Posępno, głucho, jakby wśród truny;
Ponocne mary wyją w zamieci,
Matka ukradkiem do boru leci.
Samotna chatka stoi tam w borze;
Puka: Otwórzcie! Oj, nie otworzę.
Ofukła wróżka, niedobra jędma.
A matka: Syna los mię przypędza!
Losów nie zmienisz, jakiebądź padną
Nie siłą woli, nie sztuką żadną;
Już policzone lata, dni, mgnienia,
Wiem, co go czeka, z ksiąg przeznaczenia,
Cóż tajemnica słów wróżki znaczy?
Matka dłoń łamie... Krzyk sów, puhaczy,

Ze starych zwalisk coś złego wróży...
I mary jęczą w śnieżystej burzy...

II.

Słoneczkiem letniem gorą niebiosy,
Z błoni wesołe wstają odgłosy;
Skacze, co żywie, muszki, motyle,
I cyprys wesół, choć na mogile;
Jeden tam młodzian chmurne miał czoło,
Jakby w zakłęte wpisany koło...
Unikał słońca, biegał w puszczy ciemnie
Starca o rady pytać tajemnie.
Starzec miał długą po sam pas brodę,
W oku gwiazd blaski, w czole pogodę.
Niech cię zła wróżba, synu, nie trwoży;
Idź — drogę życia wskaże duch Boży;
A z wzorem prostym i wolą silną
Zyszczesz szczęśliwość tutaj niemylną.
I po tych słowach rozwiął się w parę,
Lecz słowa starca natchnęły wiarę.
— Niech los nasyla męki, łzy, bole,
Znam drogi pańskie, w piersi mam wolę.
Odtąd polubił jasne niebiosy,
Świat mu się wdzięczzył i w kropli rosy.

Pozwolimy sobie z wszelką prostotą i pokorą ducha wyrazić przekonanie i pretensję razem, że nie ma i nie powinno być dość szczytnej, dość niebotycznej poezji, w którejby nie należało *szukać* a nie pragnęło się ostatecznie *zna-leść* zdrowego jądra zwyczajnej, zdolnej do przetłómaczenia na zrozumiały zwykłym śmiertelnikom język prozy. Niechaj, komu wola, zechce w obecnym przypadku powiedzieć, co tytuł wiersza *Zima i lato* ma wspólnego z jego treścią, co za zrozumiała i jasną treść czeza owa gra słów zawiera, jaki z niej sens moralny, czy to poetyczny, czy pospolicie ludzki za pomocą choćby najdłuższego ślęczenia wyprowadzić właściwie? Takich enigmatów znajdujemy w owym zbiorze poe-

zyj dużo więcej... Wspomnieliśmy o *ówczesnym* Siemieńskim jako pisarzu i poecie panujących prądów chwili. W dowód naszego spostrzeżenia powołujemy się na wiersz mający, czego zaprzeczyć nie można, zasługę jasności pod względem treści i tendencji, przymiot nadto piękności języka i formy, wiersz pod tytułem: *Dwa Obrazy*.

Pani powiła syna w białym dworze;
Syna powiła w chacie komornica;
A ból był równy, choć tam z puchu łoże,
A tu garść słomy.

Chrzest panicza odbył się świetnie, hucznie i obficie w pałacu
Bo ksiądz uprzejmy, a czas taki chłodny;

Więc ciepłą wodą zmył grzech pierworodny,
Kiedy chrzest małego Bartka odprawia się na mrozie.
„Coś księdzu na nos siadło, bąknął stary,
Że nas tu mrozi; przecież jałowicę
Wziął od nas za chrzest? Ostatniąc! westchnęła,
Ale ksiądz dobry, spuścił dwa talary...
I znów od zimna rozmowa się ścięła.“

Potem uniera chłopskiemu dziecku ojciec.

„Wszystkę też sprzężaj, i wozy, i pługi,
Jedno ksiądz zabrał, drugie żyd za długi,
Resztę do dworu zajęto grabieżą!

Nie dość na tem, trzeba paniczowi mamki. Porywają więc małemu Bartkowi matkę, by mamczyła we dworze; chłopskiemu dziecięciu przeznaczają przez podstarościego „dojną krowę za mamkę.“ Matka wybiega nocami, by własne karmić dziecię,

„Ale mię dworscy wypatrzyli w nocy:
Przed Jejmość sprawa poszła na języku,
Że gacha chowam. Co biedy! Co krzyku!
Różgi zrobiono, miano siec, lecz przecie
Przyszędł im rozum, że ja karmię dziecię,
Że mój ból w dziecko z mlekiem się przeleje;
I darowali...“

Wiersz ten ma przynajmniej zasługę jasności; pod względem dążności nie pozostawia nic do pozazdroszczenia najpessymistyczniejszym wylewom Berwińskiego i Dahlmanna; ze stanowiska *formy* z pewnością nie mu do zarzucenia niema.

Jest wówczas inne jeszcze pocziwego krakowskiego bruku dziecko okupujące sobie prawo obywatelstwaw literaturze poetycznej Poznańskiego, żywym i wytrwałym udziałem współpracowniczym w jego czasopiśmiennictwie. Jakże, mówiąc o ówczesnej poezyi poznańskiej, zapomnieć pełnego talentu i ognia poetycznego, zbyt rychło zgasłego piewcy *Katedry na Wawelu*, uroczych *Krakowiaków*, pieśni, dumań, *Edmunda Wasilewskiego*? Zapomnieć go tem mniej wolno, że większa część jego poezyj, które z r. 1873 doczekały się świadczącej o ich popularności i wartości liczby *pięciu* wydań, oglądała po raz pierwszy światło dzienne w czasopismach poznańskich, mianowicie w *Tygodniku Literackim* a w *Poznańskim* przedewszystkiem nieporównaną ciężyła się popularnością. Wszystkie te utwory przenika święty ogień wysoko rozbudzonego poetycznego uczucia; forma i język, jakżeż wiernie dotrzymują równego kroku treści! Co zaś dla nas pozostanie *najdodatkniejszą* stroną poezyj Wasilewskiego, to, że same znają także *dodatkni* tylko stronę ówczesnej poezyi *postępowej*, że śpiewają w każdym wierszu, w każdym niemal słowie, gorącą miłość ojczyzny wraz z pragnieniem czynu dla niej, nie znając ujemnej jej strony, nienawiści i zawiści społecznej. Tam:

Kmita na widok wroga
Skamieniał znowu u proga.

Tam:

Na widok krzywych szabli, co zdobią grobowiec,
Wnuk ich szdycha, drży najejdznik, ukłeka wędrowiec.

Tam wzywają się

„bracia orły do śmiałego lotu,”

a

Niech każdy z nas
Wierzy, że wzrośnie ten liść;
Niech się nie wzdryga, gdy przyjdzie czas
Z życiem i szabłą iść!

Tam, odpowiadając Jaskowskiemu na jego wiersz *Do poetów* w *Tygodniku literackim* poznańskim, woła Wasilewski:

Ja lubię was, poeci! chociaż wasze lutnie
 Tracone łzami, brzęczą ponuro i smutnie...
 ...Choć łza pada z powieki, jako ukrop wrząca,
 Targa się dusza z bólu swobody pragnąca;
 Ale z łez, jak z popiołów może iskra błysnąć,
 Możem zabrznieć weselem i świat ten ucisnąć.
 Lecz dziś jak serce stroić na weselne tony,
 Kiedy w około bez końca, brzmiały pogrzebne dzwony?

Otóż, co znajdujemy w poezjach Wasilewskiego, jako ówczesnego współobywatela-poety Poznańskiego. Nadarmo za to szukalibyśmy w nich owej zbląkanego postępu struny, któraby brzmiała fałszywym akordem sztucznie wywoływanej waśni między rozmaitemi warstwami społeczeństwa narodowego. Nagrodą Wasilewskiego starzeczącą mu za najpiękniejszy wieńiec na zbyt rychłym, niestety, grobie, pozostanie, iż był swego czasu ulubionym, ukochanym, najpopularniejszym poetą młodzieży poznańskiej. Ileż to z jego ognistych a rzewnych razem utworów pojawia się dziś jeszcze w pamiątkowo po domach polskich w Poznańskim przechowywanych, ręką dziewięć polskich spisanych zbiorach poezyj! Jakaż majówka, jakież liczniejsze zebranie młodzieży szkolnej polskiej w Poznańskim, byłoby się mogło odbyć, by na niem nie była miała zabrznieć dziarska pieśń:

Wesoło żeglujmy, wesoło!
 Po życia burzliwym potoku;
 Jak orły w gradowym obłoku,
 Choć wichry, pioruny wokoło,
 Wesoło żeglujmy, wesoło!

lub rzewna, tęskna nuta:

Łódka moja, łódka! suwaj po głębinie,
 Moja ty kolebko, w tobie życie płynie!
 W tobie życie płynie, tak miło i prędko,
 Jak ta złota rybka, co goni za wędką!

Edmund Wasilewski pozostanie ze swemi poezjami, ze swym elektryzującym szlachetnie i dodatnio wpływem jednym z najpiękniejszych wspomnień młodości starszej już także dzisiaj generacyi społeczeństwa poznańskiego, które nie chcąc go zabierać rodzinnemu Krakowowi, ma przecież powód szczyścić się, iż wśród niego rozpoczynał tak piękny, tak wiele zapowiadający, tak prędko wśród jesieni zwiędłych nadziei narodowych kończący się zawód.... Obok Wasilewskiego pozostawmy miejsce zacnemu jego, skromniejszemu talentem i obfitością działalności literackiej przyjacielowi, również Krakowianinowi, *Franciszkowi Żyglińskiemu*. I on, podobnie jak Wasilewski, uczestniczy żywo i często w czasopiśmiennictwie poznańskim z owej epoki, mianowicie spotykamy się z jego imieniem co chwila w łamach *Tygodnika Literackiego* i *Dziennika Domowego*. Zebrał on porozrzucane utwory swe poetyczne w całość i wydał je w Poznaniu roku 1844, pod tytułem: *Dumki i Fantazye*. Żygliński nie jest poetą ani zbyt śmiałego polotu, ani zbyt szerokiego widokręgu. Cechuje przecież jego monotonnie, prawda, nieco brzmiącą muzę, niezaprzeczony akcent głębokości uczucia, miłości ojezyny i polskiego ludu, podobnie jak we Wasilewskim bez owego pan-kracowo-herostrackiego zamachu odzywającego się w innych zwolennikach tegoż samego zkaǳinąd, co on, kierunku. Miłość ojezyny, miłość natury, rzewność uczucia, piękność języka, otóż krótko streszczoną cecha poezyi Żyglińskiego, z których, kto poznał jedną, zna wszystkie. Czy to *Życzenie*, czy *Polot do Braci*, czy *Dumka*, czy *Biedny i Błogi*, jakże to wszystko podobne sobie, jak wyraża tęsknotę „za znikłymi w obczyźnie braciszkami,” jak pragnie i spodziewa się ich powrotu, jakże czci tego, co

Za dobro ludu ciężkie poniósł trudy,
I cały żywot oddał mu w posługę.

Posłuchajmy jego *Wróżby Topolki o Bratkach*:

Ojczyste drzewo moje, duch mój cię rozumie,
Tyle rzewnych podźwięków słyszę w twoim szumie,
Czy wietrzyk od zachodu naszeptał ci wieści,
Bo każdy listek tęskno w mem uchu szeleści!

Tęskno! bo porodzinne wiatr uniósł gdzieś kwiatki
 Z świętego łona ziemi oderwane Bratki,
 Ze złotych niw ojczystych rozwiane po świecie,
 O kiedyż nam wietrzyku bratnie zwiejesz kwiecie?
 Wiatr ucichł, z listków tylko spadła kropla rosy,
 Topolce łzę spólczucia zesłały niebiosy,
 Drzewko lube! wietrzyku, pytałeś o kwiatki
 Ojczyste srogą burzą w dal porwane bratki,
 A on ci smutne wieści szeptał o ich doli.
 To jakbyś serce miało, płaczesz mimowoli,
 Opowiedz mi Topolko, czy ujrzym przywiane
 Z dalekich stron ojczystych Bratki ukochane.
 Błogosławię ci drzewko! twój liść szepnął mile,
 Że z bratkami z zachodu wróca swobód chwile!

Otóż nuta, na którą brzmiały wszystkie prawie liryczne utwory Franciszka Żyglińskiego a brzmiały długo i harmonijnie do społeczności poznańskiej z łamów ówczesnego jej czasopiśmiennictwa, aż biedny poeta poszedł złożyć młodą głowę obok starszego przyjaciela Wasilewskiego.... Cykl ten poetów z innych stron Polski, uczestniczących w literaturze poznańskiej owej epoki, zakończmy wzmianką nazwiska *Romana Zmorskiego*, później autora poematu *Wieża siedmiu wodzów* i znakomitego tłumacza pieśni serbskich, naówczas preten-sjonalnego nieco, rozpoczynającego w *Tygodniku literackim* zawód literacki młodzieńca, rozpoczynającego go wiernie w polemiczno-ludowym duchu *Tygodnikowej* redakcyi.

Stanęliśmy u krańców naszego dziejowego szkicu poezyi poznańskiej z epoki poprzedzającej wypadki roku 1848. Stanąwszy u nich, nie możemy bez uczucia serdecznego bólu spojrzeć na przebieżoną naszym opowiadaniem przestrzeń, rzucić okiem bez żalu i ściśnienia serca na hekatombę kry-jącą we wspólnej gościnie wszystkie niemal wyliczone przez nas co dopiero imiona. Wasilewski kończy żywot ubogo, w kłopotcie o chleb powszedni, w ponurej owej, smutnej jesieni 1846 roku, na granicznym jakoby kopcu między zgrozą rzezi galicyjskiej a faktem zagłady ostatniego szczątka nie-podległości Polski w Rzeczypospolitej Krakowskiej. Wkrótce przedtem, czy wkrótce potem, mniejsza o to, pojawiło się

w gazetach poznańskich lakoniczne doniesienie, „że znany i z poezyi malarz Franciszek Żygliński, zakończył życie w jednym ze szpitali krakowskich....“ W jesieni 1847 roku umarł podobnie, także „w jednym z lazaretów,“ ale poznańskich, Piotr Dahlmann, w nędzy materyalnej, w upadku moralnym, przyjęty z istnie samarytańskim miłosierdziem przez gminę grecką miasta Poznania na jej ementarz, ponieważ żaden z miejscowych ementarzy katolickich schronienia ciała jego dać nie chciał.... Berwiński jest naówczas mieszkańcem więzień austriackich i pruskich, później znika w dalekiej, przepadłej tułaczce.... Otóż to dziwna fatalność prześladowająca reprezentantów *poezyi poznańskiej*, burza zmiatająca ich tragicznie jednego po drugim, wśród rozpoczętego, wśród niedokońzonego, niespełnionego w niczem i nigdy zawodu.... Czyż zabrakło im samym może zbawczego owego pierwiastku, co ocala z toni jako człowieka i Polaka, Garczyńskiego *Wacława*, czy też, co podobniejsza do prawdy, odzwierciadla się w tragice tych rozbitków ojczystej nawy ogrom tragiki dotykającej cały naród? Wśród zwyczajnych stosunków, wśród społeczeństwa cieszącego się normalnością bytu, byłyby niejeden z nich ku chwale i czi własnej, ku zaszczytowi narodowemu, wyrósł na ozdobę literatury swego kraju. W nieszczęsnych warunkach *naszego* narodowego istnienia, przedstawiają tylko daremne zapasy rwącego się do pieśni i czynu talentu z nieubłaganą, wrogą fatalnością. Grom druzgocący gmach ojczystej budowy, nie okazał się łaskawszym dla jego mieszkańców....

VII.

Powieść obszerniejszych rozmiarów najszczuplejsze w ówczesnej literaturze poznańskiej zajmuje miejsce. Kiedy Litwa i Ruś mają swego Kraszewskiego, Henryka Rzewuskiego, Michała Grabowskiego; kiedy Królestwo cieszy się najobficiej wtedy właśnie płodami powieściopisarskiego talentu, jakim był Korzeniowski; kiedy emigracya szczyli się, nie przeczuwając naturalnie renegata, powieściopisarzem w rodzaju Michała Czajkowskiego, — nie wydaje, zabsorbowana powa-

źniejszych rzeczami, *miejskowa* literatura poznańska, żadnego większego, powieściopisarskiego talentu. Wielkopolanka rodem, Paulina z Lauczów Wilkońska, poczeiwa chęć i zacna dążność pisarska wogóle, powieściopisarska w szczególności, przebywa naówczas w Warszawie i zasila zaledwie od czasu do czasu jaką mniejszych rozmiarów pracą czasopiśmiennictwo rodzinnego zakątka. Powieść *poważniejszej* objętości, jest naówczas w Poznaniu i w Poznańskim niepraktykowaną, prawie rzadkością. Czasem pojawi się wprawdzie podobny utwór, ale czyż ma rzeczywiście powieściową wartość? — Michał Czajkowski, ognisty autor *Wernyhory* i *Kirdżalego*, udarował w r. 1841 Poznań najślabszą i najbledszą z wszystkich prac swoich, jakie kiedykolwiek napisał, obyczajową, współczesną powieścią *Anną*. Wyższą, choć nie powieściową, ale raczej opisową wartość mają wydane w Poznaniu 1844 r. pięciotomowe wrażenia wędrowek po różnych krajach Europy, Łucyi z książąt Gedroyców Rautenstrauchowej, pod tytułem *Miasta, Góry i Doliny*. Równocześnie nadesłał bezimienny autor z emigracji tendencyjną powieść *Dwa Światy*, by ją wydać w osobnej książce a w niej skarżyć się w duchu owej chwili na ucisk ludu przez niechęcą się ciągle jeszcze poprawić szlachtę.... Podjęte o wiele rychlej, bo już w roku 1836 przez poznańską księgarnię Scherka, podtrzymywane przez niejaki czas wydawnictwo *Magazynu powieści dla dzieci*, nie ocali Poznania i Poznańskiego od zarzutu beotyzmu w dziedzinie powieściopisarskiej, jak go odeń nie uwalnia ani wydana tu w roku 1843 Dominika Magnuszewskiego *Niewiasta polska w trzech wiekach*, ani historyczno-powieściowe próby wspomnianego już wyżej młodego wychodźcy z Królestwa Polskiego, Radeckiego, piszącego pod pseudonimem *Ja... Ka... Ra...*. Co natomiast, jak to już także wyżej we właściwem pozwoliliśmy sobie nadmienić miejscu, kwitnie naówczas w Poznańskim bardzo bujnie, żyźnie i barwnie, to owa mniejsza, powieściowa literatura i to we wszystkich wspomnianych wyżej przez nas czasopismach, z wyjątkiem jedyne go, poważnego *Roku* i *Przeglądu Poznańskiego*. Pierwszeństwo pod tym względem należy się pięknym powieściowym utworom Lucyana Siemieńskiego drukowanym głównie w *Dzienniku Domowym*, po części w *Tygodniku Literackim*,

zebranych następnie, jak już powiedziano wyżej, w całość i wydanych w dwutomowym zbiorze pod tytułem *Muzameritu* czyli *Powieści przy świetle księżycy*. Obok Siemieńskiego widać także w czasopiśmienniczej powieści poznańskiej Seweryna Goszczyńskiego, którego utwór *Oda* między innymi przedstawia w jaskrawych, właściwych autorowi *Zamku Kaniowskiego* barwach walkę łamiącego się w Polsce za pierwszych Piastów chrześcijaństwa ze starem pogaństwem. Mniejsze te utwory Seweryna Goszczyńskiego zostały podobnie zebrane w całość i wydane w 1844 roku w Poznaniu pod tytułem *Pięciu Powieści*. Spotykamy się nadto w *Dzienniku Domowym* z powieściowemi utworami znanego swego czasu w literaturze warszawskiej Bohdana Dziekońskiego i Bibianny Moraczewskiej. Wspomniana co dopiero autorka, której talent nie wyrównał później pierwszym owym próbom na polu powieści obyczajowej *większych* rozmiarów, zamieściła w *Dzienniku Domowym* kilka mniejszych powiastek historycznej treści, jak np. *Ojciec Cyryll professem* lub *Przygoda z życia generała Madalińskiego*, odznaczających się prawdziwie powieściopisarską wartością. I te powieści wyszły w r. 1844 w Poznaniu w osobnym zbiorze, pod tytułem *Czterech Powieści*. Jeżeli zapytamy o charakterystyczną cechę ubogiej owej stosunkowo literatury ówczesnej powieściowej w Poznańskim, przyjdzie nam odpowiedzieć, że i ona poszła się ukłasyfikować według panujących naówczas różnic, namiętności i prądów partyjnych. *Tygodnik Literacki* i *Dziennik Domowy* ściągnął żywioły postępowe; *Orędownik* pozyskał dla siebie piszącego pod pseudonimem Edwarda Tarszy, Michała Grabowskiego i Michała Czajkowskiego, który rozpoczynając swój udział powieściopisarski w czasopiśmiennictwie poznańskim od zamieszczonej i podziwianej w *Tygodniku Literackim*, *Czerwonej Sukienki*, przeniósł następnie jako zwolennik księcia Adama Czartoryskiego a poróżniony z Wojkowskim, penaty swe do czasopisma Łukaszewicza.... Podobnie, jak mówiąc o *poezyi* poznańskiej, wspomnieliśmy o jej śmiesznościach i dziwolagach, tak i tu wypadnie nam uczynić wzmiankę o powieściowo-obyczajowej dywagaeyi, której sam *pomysł* nie był może nietrafnym wśród okoliczności, w jakich się Poznańskie naówczas znajdowało, gdyby tylko *wykonanie* było lepiej

autorowi dopisało. Mamy tu na myśli satyryczno-powieściowy obrazek znanego niestety później z mniej niewinnych publikacji Eugeniusza Brezy, pod charakteryzującym dostatecznie treść tytułem *Babie lato Panny Dziubińskiej*. Była to wydana w samejże chwili najgorętszego żaru wrzących namiętności politycznych, r. 1841, satyra na stosunki i ludzi w Poznańskim. W charakterystyce stronnictw, w uchwyceniu podobieństwa ówczesnych wpływowych postaci, było tam nieco dowcipu i trafnego oka. Aby z podobnej próby uczynić Arystofanową satyrę w powieściowej formie, nie starczyło autorowi przecież pisarskiego talentu.... Zgrzeszylibyśmy niedokładnością, gdybyśmy poświęcając tych kilka słów wzmianki tak ubogiemu, jak widzimy, naówczas powieściopisarstwu poznańskiemu, mieli zapomnieć o pięknym, pamięci i uwagi godnym utworze, który ukazuje się w ostatnim właśnie roku pierwszej połowy bieżącego stulecia, w Lesznie 1849 roku, umyślnie jakoby ku ocaleniu czei *powieści* poznańskiej w epoce, która na wszystkich innych polach literatury o tak wiele była bogatszą. Utworem owym jest piękna, nie darmo *narodową* nazwana na tytule, powieść *Wczoraj* Karoliny z Wodzickich Mycielskiej. Powieściowy utwór *tego* rodzaju i *tej* dążności mogła pomyśleć tylko szlachetna wyobraźnia, wykonać tylko zaiste i patriotycznie bijące serce. Widownią jej kraj i emigracya po katastrofie 1831 roku, tłem nieustająca mimo klęsk, narażająca na Sybir i stryżek moskiewski praca dla kraju, wszystko, dodajmy, z miarą prawdziwego artyzmu nie dopuszczającą ani niesmacznej jaskrawości pod względem rzeczy, ani popadania w czczą deklamacyjność pod względem formy. Ów stryj bohaterki powieści pokutujący na Sybirze za udział w powstaniu 1831 roku; owi dwaj bracia, ubiegający się o jej rękę, pierwszy, by zakończyć życie w więzieniu moskiewskim, drugi, by w chwili otrzymania ręki oddawna ukochanej, posłuchać tajemniczego rozkazu dalszej dla kraju, katakumbowej roboty, rozkazu, który go od pozyskanego co dopiero szczęścia dzieli na długo może, jeśli nie na zawsze, otóż to tło, otóż postacie, których wprowadzenie w życie i akcyja daje owemu *Wczoraj* słuszne prawo nosić miano powieści *polskiej* a zarazem zaręcza jej bez względu na szlachetną dążność, wysoką estetyczną wartość. Ostatnia

to na krańcu traktowanej przez nas epoki literatury *powieść*, *ostatni* dalej literacki utwór, jaki na *ostatniej* stronie opowiadania naszego *O literaturze poznańskiej w pierwszej połowie bieżącego stulecia* zapisujemy.

Stanęliśmy u końca naszego zadania.

Stanąwszy u niego, spoczniјmy na chwilę i obróćmy się na przebieżoną drogę.

Jakże daleka przestrzeń lat, jakże ogromny przestwór politycznych i wojennych wypadków, moralnych przemian i duchowych wstrząśnień od wkroczenia feldmarszałka Möllendorfa na ziemię wielkopolską aż do ponurych dni lutowych 1846 roku, aż do wiosennych pogodą i nadzieją dni marcowych 1848 roku, których mety opowiadanie nasze dobiega!

Cóż, pytamy, po bezmyśli Prus Południowych, po elektrycznem wstrząśnieniu wojen napoleońskich, po wypoczynku pierwszych piętnastu lat istnienia W. Księztwa Poznańskiego, nadaje w następnych kilkunastu latach tej krańcowej naszego kraju piędzi ziemi, tyle wyższe nad terytoryalny jej obszar znaczenie, cóż stanowi sens moralny umysłowego życia i literatury?

Praca i myśl za resztę skazanej na ponurą niewolę i grobowe milczenie Polski.

Wyjątkowe to, trudne, ale nieporównanie zaszczytne stanowisko Poznańskiego trwa do roku 1846. Chronologiczna okolica tej pamiętnej daty, ona sama znaczy chwilę stanowczej przemiany w owem moralno-duchowem naczelnictwie Poznańskiego nad resztą Polski.

Powoli, jeden po drugim, znikają wielcy i mali aktorowie ówczesnej poznańskiej sceny rzeczywistości.

Edward Raczyński kończy samobójstwem w styczniu 1845 roku.

Karol Marcinkowski umiera w listopadzie 1846 r.

Karol Libelt więźniem od lutego 1846 r.

Edward Dembowski. legł równocześnie na Podgórzu krakowskiem.

Ryszard Berwiński równocześnie pokutnikiem w Wiśniczu.

Piotr Dahlmann umiera 1847 r. w lazarecie poznańskim.

Franciszek Żygliński 1846 r. w szpitalu krakowskim.
Edmund Wasilewski pospiesza za nim w listopadzie 1846 roku.

Lucyan Siemieński równocześnie chwilowo tułaczem bez dachu, po uwięzieniu Seweryna Mielżyńskiego.

Ogromna większość obywatelstwa, ogromna większość inteligencji poznańskiej zaludnia od lutego 1846 więzienia Poznania, Sonnenburga, Berlina, by w rok później stanąć przed szrankami sądowymi w roli oskarżonych.

Widownia życia i ruchu poznańskiego znajduje się gruntownie i czysto uprzątnioną a jak widzimy z przytoczonych co dopiero nazwisk, nie rozróżniała bezceremonialna miotła fatalności między ówczesną *zachowawczością* a ówczesnym *postępem*. Widownia poznańska była, powtarzamy raz jeszcze, *uprzątnioną*, stała się gotową na przyjęcie nowych aktorów, na odegranie dramatu życia innego, skromniejszego charakteru, o miejscowych barwach, o zamkniętej w obrębie domowych potrzeb dążności. Dawne, świetne z przed roku 1846 życie nie miało już na niej zmartwychwstać, przeciwnie, poczęło gasnąć w znikających powoli, jednym po drugim, czasopismach owej epoki.

Rok, Orędownik, Tygodnik Literacki zamierają w roku 1846; *Przyjaciel Ludu* w roku 1849; *Dziennik Domowy* w r. 1848; *Szkółka Niezłomna*, najwytrwalsza w swej ubogiej skromności, 1852 r.

I *tu*, jak widzimy, miała fatalność, czy to dla ówczesnej *zachowawczości*, czy dla ówczesnego *postępu*, równą kolejnej zagłady miarę.

Zasnąć ze znużenia, uschnąć suchotniczo, zwiędnąć w więziennej kaźni, nie byłoby przecież, czuje się to mimo-wolnie, finałem godnym *takiego* niegdyś ruchu, *podobnie* pulsującego życia. Opatrzność, jakoby świadoma tej dziejowo-artystycznej prawdy, postarała się *przeszłości poznańskiej* o stosowniejszą, ostatnią jej piątego aktu scenę.

Po smutnej, ponurej więzień i Szeli zimie roku 1846, zwiastuje się niezwykle wypogodzona, niezwykle rychła wiosna pamiętnego roku 1848...

Czyn dla Polski i w imię Polski odbywa się na *poznańskiej* tylko ziemi. Dotychczasowe życie poznańskie znajduje

godny siebie, zaokrąglający harmonijnie cel i dążność swą koniec na trzech cmentarzach: *Książa, Miłostawia, Wrześni*, gdzie krew polska płynie bez ujmy czci polskiej, gdzie *poznański* syn chaty, niemniej ofiarny, ani mniej waleczny od *Raławickiego*, świeci w obliczu dziejów i Ojczyzny czynem odkupienia winy swego galicyjskiego brata.

„*Z szlachtą polską polski lud*,“ — w krwią okupionem zdobyciu *tej* prawdy na *poznańskiej* widowni, streszcza się i zamyka ostateczny rezultat, sens moralny prac, myśli i dążeń epoki, której umysłowa i duchowa strona była przedmiotem naszego opowiadania.

Niechaj prawda ta jaśniej dziejowo, jako jej godło i nagroda razem, jako jej w daleką przyszłość niezmiennie powtarzające się: *et hoc quondam meminisse juvabit!*

Seweryn Przerowa.

JULIAN KLACZKO.

WIECZORY FLORENCKIE.

(Dokończenie).

IV.

Tragedya Dantego.

Przez chwilę zostawali otaczający w milczeniu, pod wrażeniem tego, co słyszeli, a po krótkiej przerwie Księżę tak mówił dalej:

— Przypominacie sobie, panowie, dwóch synów Japeta — *audax Japeti genus* — tych dwóch bohaterskich a nieszcęśliwych braci, których wyobraźnia Greków postawiła w samym brzasku wieków, w tej chwili przejścia, kiedy Olimp zatrzęsł się walką bogów nowych z dawnymi? Prometeusz, ten który *przemyśliwa, który myśli przed siebie, naprzód*, wykrađa ogień niebieski, staje się dobroczyńcą ludzkiego rodu, a za poświęcenie swoje odnosi nagrodę w straszliwej męczarni. Epimeteusz, ten który *myśli wstecz, po za siebie*, nie poszedł za bratem w jego śmiałym przedsięwzięciu, pozostał wiernym dawnym bogom i przeszłości, a przecież i on także,

niemniej ponosi srogą karę, i klęski same wysypały się z tajemniczej skarboxy, którą dostał z rąk dawczyni „wszystkich darów,” Pandory. Nieraz przychodziło mi na myśl, czy ten myśli ciemny a przecież pociągający, nie odnosi się czasem do wszystkich tych bohaterów myśli, których zawistny los zsyła na świat w chwilach jego brzasku lub zmierzchu, w tych epokach przejścia, kiedy dawni bogowie — dawne zasady i pojęcia — mają ustąpić się nowym, w tych epokach, które Saint Simon jednym słowem nazywa *krytycznemi*, w przeciwieństwie do innych zwanych *organicznemi*? Powszedni ludzie umieją jakoś zgodzić się z takimi epokami zatarceni, zamazanemi, bez stylu i charakteru: dają sobie radę w nich i z niemi, i nie patrząc dalej żyją w nich z dnia na dzień swoim życiem powszedniem, z swojemi niskiemi, jednodniowemi pragnieniami i potrzebami. Ale geniusze śmiałego lotu, ale wielkie dusze nie godzą się na taki nieporządek pojęć, zjawisk, i wydarzeń; tacy potrzebują, pragną, żądają syntezy, ładu, harmonii, w naszym świecie; tej syntezy i harmonii szukają zawsze, gonią za nią bez wytchnienia, nie oglądając się na nic, choćby mieli stawić czoło przeznaczeniu samemu. A czy to wdzierając się w przyszłość wyprzedzają pokolenia w dążeniu ku rzeczom nowym i nieznanym, czyli, *myśląc wstecz*, chcą rzucić się napowrót w przeszłość i wskrzesić stan rzeczy nicodwołalnie skazany i zatracony, zawsze uderzyć i rozbić się muszą niechybnie o niewzruszone, nieprzełamane, nieubłagane szranki czasu, i giną z krzykiem rozpaczony na ustach, z krzykiem, że świat wyszedł ze swojej kolei. Ich ostatniem słowem bywa prawie zawsze to smutne słowo Hamleta:

The time is out of joint: O cursed spite
That ever I was born to set it right ¹⁾.

Dante przyszedł na świat w jednej z takich epok przejścia i zwrotu; w tym wieku XIII, w którym tkwi początek stanowczego przeobrażenia europejskich społeczeństw. Nikt nie zaprzeczy, że wieki średnie miały ideał zakreślony na

¹⁾ Akt I. sc. V. Świat wyszedł ze stawu;
Biada mi, że mnie przyszło go nastawiać!

wielkie rozmiary, ideał jedności całej chrześcijańskiej rodziny, pod najwyższym zwierzchnictwem Papieża w duchownym, a Cesarza w świeckim rzeczy porządku. System ten, co prawda, nigdy w zupełności rzeczywistością się nie stał, zdołał jednak wydać skutki wielkie, zjednoczył wszystkie narody katolickie w wielkim popędzie i dziele Wojen krzyżowych, nadał ich rozwojowi jednostajność, a czynności ich religijne, polityczne, naukowe, same nawet utwory ich wyobraźni, połączył jednością uczuć i wspólnością interesów; na rozmaitości plemion i ludów, wyszłych z różnych początków i różnego barbarzyństwa, system ten wycisnął piętno jednostajnej, jednolitej, ogólnej cywilizacji. W XIII wieku ideał ten zaczyna błędnąć i znikać; po upadku Ptolomaidy nie powtarza się już wspaniały popęd Wojen krzyżowych; a te węzły solidarności, które łączyły w jeden związek różne grupy chrześcijańskiego zachodu w Europie, zaczynają się zwalniać i puszczać. We wszystkich kierunkach, we wszystkich objawach życia moralnego, społecznego i umysłowego, występuje różnorodność i indywidualność obok, jeżeli nie zamiast dotychczasowej powszechności i jednostajności: analiza, obok, jeżeli nie zamiast dotychczasowej syntezy. Obok architektury, tej najbardziej syntetycznej ze sztuk, zaczyna się pojawiać nierównie bardziej osobista sztuka malarska i rzeźba; ta lub owa gałąź nauki nie trzyma się już tak silnie, jak niegdyś, wspólnego pnia teologii, nieśmiało zaczynają się odzywać i pospolite *gminne* narzecza, *linguae vulgares*, wobec jedynej dotąd powszechnej mowy łacińskiej; narodowe literatury wschodzą tu i owdzie, historyczna proza pojawia się po raz pierwszy. Aż dotąd była to dążność i praca uogólnienia, ujednostajnienia, rozszerzenia: teraz nastaje dążność i praca więcej podzielona, a skierowana nawewnątrz, wгłąb. Kościół nie szuka już nowych rozległych zdobyczy, ale skupia się w sobie, ujmując się w karby surowszej karności, reformuje się zapomocą zebrzących Zakonów, i Soborów następujących po sobie w liczbie tak znacznej, a w tak małych odstępach czasu. Podobna dążność, podobna praca zwrócona nawewnątrz, w politycznym porządku rzeczy. Zasada jednej i najwyższej zwierzchności, wyrażającej się w Świętem Państwie, ustępuje z wolna przed autonomicznym dążeniem i ruchem krajów i państw poszczególnych: mie-

szczaństwo przychodzi do poznania swoich praw i swojej siły. Nieznacznie, niewidzialnie prawie, ale nieustannie, zakładają się w ten sposób fundamenta, na których stanie gmach nowoczesnej Europy, Europy narodów i państw. Wieki średnie nie znały, nie pojmowały naprawdę narodu ani ojczyzny; człowiek każdy był w owych czasach z jakiegoś zamku, z jakiegoś klasztoru, z jakiegoś miasta, a wreszcie był z jakiegoś wielkiego kosmopolitycznego stanu; był rycerzem albo biskupem, mnichem albo trubadurem, i na tem przestawał, nie czuł się, nie był niczem innem, ani niczem więcej. Dante przecież przechodzi wszerek i wzdłuż całe Włochy, a zawsze i ciągle z tem uczuciem, że jest *wygnaneem*, że się tuła po *obcej ziemi*. Na to, żeby się czuł u siebie, potrzebuje być w swoim rodzinnem mieście, patrzeć na wieżę kościoła Śgo Jana, w którym go ochrzczono...

Hrabia Gérard. Chateaubriand potrzebował rynsztoków ulicy *du Bac*.

Książę Silvio. I tak samo z opowiadań Froissarta i Monstreleta jeszcze, każdy może się przekonać, że rycerz francuski tych czasów czuje się daleko bardziej towarzyszem, bratem, współplemiennikiem rycerza angielskiego, hiszpańskiego lub niemieckiego, aniżeli francuskiego mieszczanina lub kmiecia. Pierwiastki społeczne w wiekach średnich łączyły się z sobą i układały się w warstwy horyzontalnie, jeżeli się tak wyrazić wolno, podług wspólnych pojęć i ich mocą. Od tego czasu łączenie to i ten układ stał się wertykalnym, zwróconym wgląd gruntu, zawartym w pewnych terytoryalnych granicach i trzymanym w kupie siłą pewnych wspólnych spraw i korzyści.

Don Felipe. Czy się Księciu nie wydaje, że znowu wyraźnie zbliżamy się do tego horyzontalnego układu warstw, i że pchają nas do niego właśnie korzyści i interesa? Nigdy nie mówiło się tak wiele i tak głośno o narodowościach, a tymczasem nigdy narodowe uczucie, nigdy patryotyzm nie był tak słabym w massach ludu; Komuna paryska dowiodła tego w sposób przerażający. Związki i stowarzyszenia rzemieślnicze nie zważają już wcale na narodowość, oderwały się od niej zupełnie, a kosmopolityczny radykalizm, kto wie, czy nie zmusi konserwatyzmu, że i ten także rad nie rad

kosmopolitycznym się stanie? Kiedy pewien żelazny kanclerz mówił, że jest jakiś *Internacyonal czarny*, przeciwieństwo i para *czzerwonego*, myślał wtedy i chciał jedynie powiedzieć coś złego i nienawistnego: kto wie czy niechęący nie powiedział nieszczęściem czegoś głębokiego...

Ksiązę Silvio: „*Corsi, ricorsi*“ powiedziałby nasz Vico, a widząc je, powinniśmy nabrać przynajmniej wyrozumiałości i pobłażania dla tych, którzy patrząc własnymi oczyma na tajemnicze przeobrażenie świata, poczęte w XIII wieku, nie mogli ani się do niego zapalić, ani go nawet zrozumieć. Guizot mówi, że „ten wiek przeznaczony był na to, żeby „z Europy pierwotnej wykształcić Europę nowoczesną; w tem „jego ważność i jego historyczne znaczenie. Kto nie patrzy „nań z tego stanowiska, kto zwłaszcza nie patrzy na to, co „z niego wynikło, temu nie tylko będzie on niezrozumiałym, „ale mu się i prędko sprzykrzy. Uważany bowiem sam w sobie, w oderwaniu od swoich następstw, wiek ten przedstawia „się jako pozbawiony charakteru własnego, jako wzrost wszelkiego zamieszania, którego przyczyn dojrzeć i dojść nie „można: ruch bez kierunku, szamotanie się bez skutku, oto „cecha tej epoki. Królowie i szlachta, duchowieństwo i miasta, „wszystkie żywioły społecznego składu obracają się i kręcą „w tem samem zawsze kole, niezdolne zarówno postąpić jak „spocząć“ ¹⁾.

Czyż można się więc dziwić, że czas, tak napozór zamieszany i bezładny, raził i męczył poetę, który się zachwycał wzniosłą harmonią sfer, myśliciela, który wielbił wspaniały ład całości stworzenia, człowieka nauki, który wszędzie, nawet w swoich scholastycznych traktatach, nawet w komentarzach, którymi swoje canzony objaśniał, szukał koniecznie symetrii, regularnego rozłożenia i ładu i ścisłego logicznego związku?... Dante miał zaledwo trzy lata, kiedy w Neapolu zginął na rusztowaniu nieszczęśliwy młody Konradyn, ostatnia latorośl szczepu Hohenstaufów, ostatni potomek wielkiego rodu cesarzów. Zaledwo zaś doszedł dojrzałego wieku, ujrzał znów Dante „lilie wchodzące do Anagni“ i papieństwo coraz bliższe Babilońskiej niewoli w Awinionie. I to tak zaraz po swoim

¹⁾ Histoire de la civilisation en Europe 8e leçon.

„cudownem widzeniu.“ zaraz po owym jubileuszowym roku 1300, który był niejako rachunkiem sumienia i spowiedzią powszechną wieków średnich na skonaniu! Te nowe podwaliny społeczeństwa, które pod ziemią układały się pomалу, dla współczesnych widzialne nie były: oni widzieli tylko zwaliska, tylko wstrząśnienie i rozwiedzenie się wielkiego gmachu przeszłości; organizm, który miał się objawić, był cały jeszcze zamknięty w swojej poczwarcie, a ta, niedziw, że mogła wydawać się ohydą. „Ten nowy świat“ — mówi, przystępując do czasów Filipa Pięknego historyk, który, jak żaden inny może, posiadał intuicyę wieków i epok ¹⁾ — „ten „nowy świat jest brzydki. Wykrętny i cheiwy przychodzi na „świat z charakterem adwokata i lichwiarza Papiestwo, ry „cerstwo, feudalność, giną pod ręką prokuratora, bankruta, „oszusta. A jeżeli mimo to, ten czas przynosi z sobą rzeczy, „mocą których jest uprawnionym może i więcej nawet niż poprzedni, to jakież oko mogłoby to przejrzeć i odkryć w samym „początku? Żadne, ani samo nawet oko Dantego.“ A kiedy od widoku tego dziwaczego, bezkształtnego jeszcze świata, chciał wzrok oderwać i spocząć nim na swojej tokańskiej ojczyźnie, to i tam znowu nie widział, nie spotykał nic, tylko skutki konieczne i nieuniknione powszechnej anarchii, bezład moralny i nieporządek społeczny, pomięszanie pojęć, pomięszanie języków, zamieszanie samych nawet stronnictw. On sam, porwany tym wirem, nie byłże guelfem i gibellinem naprzemian, dziś po tej stronie gdzie *neri*, jutro po tej gdzie *bianchi*, raz z *popolo grasso*, drugi raz z *popolo minuto*? Z tej odległości, w jakiej jesteśmy, łatwo nam dziś i koniecznie podziwiać tych burzliwych mieszczan florenckich, którzy w całym warze nienawiści i walk domowych zdolni byli nałożyć sobie i wykonać szlachetny zachód zbudowania „*Panny Maryi del Fiore*,“ i umieli „budowle miejskie odpowiedniami uczynić tej wielkiej „duszy, która się składa z dusz wszystkich obywateli, połączonych jedną wolą i jednym uczuciem“ ²⁾. My nawet pytać

¹⁾ Michelet. Histoire de France, tom III, ch. II.

²⁾ Wspaniałe te słowa mieszczą się w uchwale ludu florenckiego z roku 1294, mocą której Arnolfo (del Cambio) miał sobie poleconą budowę katedry.

i przypuszczać musimy, czy nie te niepokoje i burze właśnie, czy nie to życie podniesione i gorączkowe, były powodem, że tokańskie miasto powtórzyć zdołało w dziejach świata Ateny, i wydać tyle nieśmiertelnych geniuszów od Dantego i Giotto, aż do Michała Anioła i Macchiavela. Ale ten, co w tym wichrze żył, kto czuł wszystkie wstrząśnienia tego codziennego trzęsienia ziemi, temu dziwić się nie można, jeżeli widział i myślał inaczej. Ten miał wymówkę, kiedy sądził, że Ateny i Sparta to były republiki dobroduszne i fle-gmatyczne w porównaniu z tą, która „tak subtelnie tworzy „ustawy, że co w październiku sprzedzie, nie starczy do pół listopada.“

Marchese Arrigo.

Atene e Lacedemona che fenno
L'antiche leggi, e furon si civili,
Fecero al viver bene un picciol cenno.

Verso di te, che fai tanto sottili
Provvedimenti, ch'a mezzo novembre
Non giugne quel che tu d'ottobre fili.

Quante volte del tempo che rimembre
Legge, moneta, e ufici, e costume
Hai tu mutato, e rinnovata membre!

E se ben ti ricorda e vedi lume,
Vedrai te somigliante a quella inferma,
Che non può trovar posa in su le piumi.

Ma con dar volta suo dolore scherma ¹⁾.

¹⁾ Purgat. VI. 139. 151.

Ateny, Sparta, co w starożytności
Skladały prawa i tak były rządne,
Próbkę dobrego życia ledwie dały
Względnie do ciebie, która tak subtelne
Tworzysz ustawy, że co w październiku
Sprzędiesz, nie starczy do pół listopada!
Ileżto razy, wspomnij, w krótkim czasie

Książę Silvio. Wygnany z Florencyi niesprawiedliwym dekretem w pierwszych dniach roku 1302, wcześniej przez to wyrwany z czynnego życia, ale wyrwany też zarazem z odmętu walk nieustających i absorbujących, Alighieri nauczył się z czasem wznosić się po nad stronnictwa i przemiany swego rodzinnego miasta i z tej wysokości je sądzić. I wtedy, w tej ciszy wygnania i w tem skupieniu myśli, złożył całkowity system polityki uniwersalnej, od którego ratunku świata spodziewał się i wyglądał. Oczekiwać Królestwa Bożego na ziemi, przewidywać jego przyjsie, wszakże to, niestety, rzecz właściwa wszystkim na świecie emigracyom! Z wyjątkiem jednej *Vita Nuova* (która była skończona jeszcze we Florencyi), system ten wyraźnie będzie się odtąd przebiegał we wszystkich dziełach Dantego, *Convito*, *de Vulgari Eloquentia*, pamflety z roku 1310 i 1311, wszystko to wyraża tę myśl, która staje się wreszcie wątkiem samym i tłem *Boskiej Komedyi*. W całości jednak, i w ścisłym uporządkowanym związku, złożył Dante swoje pojęcia polityczne dopiero w swoim dziele o *Monarchii*, tam je połączył w systematyczny skład, w całość doktryny, z której dokładnie zdać sobie sprawę musi każdy, zanim przystąpi do badania „poematu świętego,“ jeżeli ten poemat chce zbadać poważnie i poznać gruntownie.

Rzecz szczególna! Komentatorowie Dantego sadzą się na to, by w jego życiu religijnem koniecznie odkryć jakieś przemiany i przesilenia, jakiś dualizm, albo jakąś „trylogię,“ którą sami dowolnie wymyślili, a pod wszystkimi innemi względami za to przypisują mu znowu jakąś niezmiennosc i jednostajność przekonań, natchnień i postępowania, która z historyczną rzeczywistością nie zgadza się wcale. Nie chcą żadną miarą pozwolić na to, by w miłości był się dopuścił choćby najlżejszej niestałości czy zmiany, i wbrew jego własnym wyznaniom zaręczają śmiało i uroczyście, że nigdy na

Zmieniałś prawa, monetę, urzędy,
Zwyczaję nawet! odnawiałś członki!...
Gdy widzisz jasno i dobrze pamiętasz,
Uznasz, że jesteś jak niewiasta chora,
Co nie znajdując spoczynku w pierzynie,
By ulżyć męce, przewraca się ciągle.

chwilę wiernym być nie przestał, że Beatrice, żywa czy umarła, była panią jego serca i jego niezmiennej nigdy niezłamanej wiary. W poecie znowu nie chcą rozróżnić — jak nam to wczoraj dostatecznie wyjaśniono — między autorem Sonetów z *Vita Nuova*, współzawodnikiem takich, jak Guinicelli Cavalcanti albo Cino, a wieszczem wzniosłym i nawskróś oryginalnym *Boskiej Komedy*. I tak samo też usiłują zasłonić, zatrzeć wszystkie niezaprzeczone przemiany i zwroty człowieka politycznego, a każą nam wierzyć w jakiegoś Dantego jednolitego, z jednej sztuki czy jednego odlew, który całe życie unosił się niby gdzieś wysoko nad stronnictwami i namiętnościami i był „sam przez się stronnictwem dla siebie“

... si ch'a te fia bello

Averti fatta parte per te stesso ¹⁾.

Ktoby chciał wierzyć większej części tych krytyków, ten musiałby przypuścić, że Dante nie podzielał nigdy namiętności stronnictw, że nie troszczył się o to, co myśleli czy robili *Bianchi* albo *Neri*, że od początku do końca trzymał się niezłomie tych samych zawsze zasad, tych mianowicie, które w swoim czasie rozwinąć miał i wyłożyć tak obszernie w dziele o *Monarchii*. Niektórzy gotowiby nawet przypuścić, że dzieło to było napisane przed wygnaniem, przed *Vita Nuova*, nawet przed jego urzędowaniem. A przecież jeżeli jest fakt w jego życiu pewny, dowiedziony, niezbity, to ten, że w politycznem zawichrzeniu swego czasu, on także miotany był burzą w tę i ową stronę, pchany do tego i znów do innego stronnictwa; że guelf z rodu pomału tylko doszedł do tego, że przystał do gibellinów; jeżeli jest twierdzenie, któremu nie brak ani jednego najmniejszego materialnego dowodu, tedy jest takiem to, że dzieło o *Monarchii* pisane było już na wygnaniu, zdała od Florencyi i od stronnicych zatargów i zaburzeń. W takich niespokojnych zamąconych okresach historyi, na wygnaniu jedynie, w oddaleniu, po-

¹⁾ Parad. XVII. 68. 69.

... więc chlubą ci będzie,
Żeś był sam przez się stronnictwem dla siebie.

wstawać mogą dzieła takie, jak Dantego *Monarchia*, jak *Wieczory* Józefa de Maistre, jak Bonalda *Teorya Władzy*.

W istocie niczem nie można tak dokładnie i zrozumiale określić, uprzytomnić sobie stosunku Dantego do różnych dążeń jego wieku, jak przypomnieniem stanowiska, jakie w bliższych nam czasach zajął de Maistre lub Bonald względem rewolucyi. On tak samo jak tamci przeczy zupełnie, absolutnie; tak samo nie przypuszcza żadnej koncesyi ani kompromisu, tak samo trzyma się niewzruszenie ściśle określonej surowej doktryny i na włos z niej ustąpić nie chce, tak samo w przeszłość tylko wierzy i nie cofa się przed najdalszemi wynikłościami raz przyjętych zasad. W jego systemie politycznym, co przedewszystkiem zwraca uwagę i zadziwia, to brak zupełny względu na to, co było siłą poruszającą pierwiastkiem fermentu w chrześcijańskim społeczeństwie jego wieku, na pierwiastek i zasadę narodowości. „*Dante jest kosmopolitą w całym najobszerniejszym znaczeniu tego wyrazu*,” oto jak formuluje swoje w tej mierze badania ten z biografów Alighierego, który mojem zdaniem najlepiej zrozumiał i przedstawił najjaśniej historyczną stronę tej sprawy, który najbystrzej, najszczęśliwiej uchwycił i wytłómaczył stosunek dzieła o *Monarchii* do całego ruchu umysłowego w wiekach średnich ¹⁾. „Dla mnie” — mówi Dante w książce *de Vulgari Eloquentia* — „ojczyzną jest cały „świat, jak morze dla ryby” ²⁾. Wszystkie nieszczęścia, wszystkie klęski wieku, z tego jednego tylko zdaniem jego pochodzą, że świat począł rozdzielać się w swoich usiłowaniach — *in diversa conari* ³⁾, i stał się „potworem o wielu głowach” — „*bellua multorum capitum*.” Nie trzeba mniemać, jakoby on nie widział i nie uznawał różnie leżących w naturze, jakoby chciał wszystkim mieszkańcom naszej ziemi nałożyć jeden jednolity sposób życia czy rządzenia. „Inaczej” — mówi on — „muszą być rządzeni Scytowie, którzy żyją w wielkiej

¹⁾ F. X. Wegele, Dante Alighieri's Leben und Werke. Jena 1865, str. 308.

²⁾ Nos autem, cui mundus est patria, velut piscibus aequor. (de Vulg. Eloq. lib. I. cap. 6).

³⁾ De Monarchia I. in fine.

„dni i nocy nierówności i trapieni są zimnem nieznośnem; „inaczej znowu Garamanci, którzy się cieszą jednostajną „zawsze równością dnia i nocy, a dla wielkich upałów nago „chodzić muszą.“ Tylko, po nad tą różnorością praw czy zwyczajów, i po nad książętami czy królami, którzy ją wszędzie roztropnie stosować mają, powinna być jedna wola najwyższa, zwierzchnia, która jedność celu wyobraża i wyraża. Jedność ta konieczna jest jego zdaniem tak samo w świeckim jak w duchownym porządku rzeczy; jeżeli chrześcijaństwo potrzebuje papieża dla swego wiecznego zbawienia, to niemniej potrzebuje cesarza dla swego doczesnego dobra i zdrowia. Obie te instytucje są zarówno boskiego początku, a kto nie widzi ścisłego, nierozrwalnego, koniecznego związku między jednością w Kościele a jednością w Cesarstwie, ten „rozdziara nieszytą całodzianą suknią Chrystusa Pana.“

Zarazem mistyk zatopiony w widzeniach i logik ścisły — bo te dwie rzeczy nie zawsze się wykluczają — Dante odwołuje się na poparcie swego założenia do Ewangelii i do Aristotelesa, do biblijnych proroków i do poetów starożytnych, świadczy się historią świętą i historią świecką. Z głębokiem przekonaniem i przejęciem, z wiarą niezachwianą i z powagą aż przestraszającą, przyjmuje Dante tę kolosalną fikcję średnich wieków, wedle której cesarstwo Karola Wgo miało być dalszym, niby nieprzerwanym ciągiem panowania Konstantyna i Augusta; owszem, fikcję tę podnosi on dopiero do nowych rozmiarów przesadnych, urojonych, fantastycznych! Podług niego, nie jeden Konstantyn tylko i nie sam August, ale lud rzymski cały, jak był, od samych swoich początków był naczyniem wybranem, przeznaczonem na to, by przez nie zjednoczył się rodzaj ludzki pod prawem Chrystusa. Palec Boży tak samo widoczny jest w dziejach ludu rzymskiego, jak w dziejach wybranego żydowskiego¹⁾. Miasto na siedmiu wzgórzach zbudowane było w tym samym czasie co i dom Jessego, z którego wyszła Marya Panna; jak Hebrajczycy od wieków z przejrzenia Bożego przeznaczeni byli na to, by z nich wyszła jedna prawdziwa powszechna wiara, tak Rzy-

¹⁾ To i wszystko, co następuje, porównaj z *Monarchia*. Lib. II. *passim*.

mianie znów na to, by wydali z siebie jedno prawdziwe uniwersalne Państwo. Wielkim ich przodkiem był Eneas, w którym połączyły się trzy części świata; dziadami jego byli: Assaracus Frygijczyk, Dardanus z Eoropy, babką Elektra córka afrykańskiego Atlasa; z trzech jego żon jedna, Creusa, była z córek Pryama Azyaty; druga, Dido, była Afrykanką, a trzecia, Lavinia, była matką italskich Albańczyków. Tarcza, spadająca z nieba, podczas kiedy Numa ofiarował bogom, ucieczka Klelii, gęsi ratujące Kapitol, grad, który powstrzymał zwycięski pochód Hannibala, wszystkie te cuda wylicza Dante jako tyleż dowodów, że Bóg miał zawsze tajemnicze wielkie zamiary na *urbs*; od początku przeznaczał jej powszechne panowanie, uniwersalną monarchię, którą też wkońcu istotnie posiadała. Czyż Śty Łukasz nie mówi wyraźnie w swojej Ewangelii, że cesarz August kazał „zliczyć mieszkańców całej ziemi?” Narodzeniem swoim, jak i śmiercią swoją chciał Chrystus Pan uświęcić, zatwierdzić panowanie Rzymian nad światem i dać mu sankcję; przy narodzeniu powolnym był edyktowi Augusta, a przy śmierci uznał władzę sadowniczą Tyberyusza, wyobrażoną w Pilacie; bo tylko prawowity sędzia może dać wyrok prawny, a Chrystus chciał w osobie swojej ponieść za grzech Adama *prawną* karę z ramienia *prawowitego* sądu.

Jeżeli zaś Bóg wyszczególnił tak bardzo to plemię, jeżeli mu dał założyć tę uniwersalną monarchię, o którą naderemnie kusili się Assyryjczycy i Egipcjanie, Persowie i Macedonia, to zrobił to dlatego, że Synowie Cincinnata i Decyusza, Fabrycyusza i Camilla, Scaevoli, Brutusa starszego i starszego Catona i tylu innych — od początku okazali się godnymi łaski tak wielkiej, missyi tak chwalebnej, przez swoją pobożność, swój duch publiczny, swoją uległość dla rządu, poświęcenie i tam dalej... bo rozumić się samo z siebie, że potomkowie Romulusa dlatego tylko dążyli do podbicia świata, że go uszczęśliwić chcieli! Nie trzeba się śmiać z tej wzniosłej filantropii, którą Dante wspaniałomyślnie przypisuje twardym quiritom i żołnierzom; wszakże sam pan Mommsen, ten Darwin historyi, zarzuca Flaminiuszowi i jego pokoleniu, że dla Grecyi mieli jakąś sentymentalność wcale niewczesną? Dante cytuje z największą skwapliwością, z uczuciem tryumfu sławne słowo Cicerona, że Rzym sprawuje nad światem

opiekę raczej, niż rządy ¹⁾. A jeżeli za pogańskich już czasów taki był duch i charakter rzymskiego panowania, jakież dopiero enoty przypisze autor *Monarchii* cesarstwu, odkąd się stało chrześcijańskim i świętem? Cesarz — nie przestaje on powtarzać — tak nam jest potrzebnym do naszego doczesnego dobra, jak Papiestwo do zbawienia; on jeden może dać ludzkości sprawiedliwość, pokój i wolność.

Dziwny jest widok tego byłego Guelfa, który Gibellinom przynosi ich *Deklaracyę Praw*, który im wymyśla teorię ich prawowitości, który ich powód bytu filozoficznie uzasadnia; który — co więcej — dla całych wieków średnich i za nie, określa, formuluje ich wiarę polityczną, którą te wieki przeczuwały, miarkowały, poczęści nawet wprowadzały w życie oddawna, ale której nigdy tak jasno, tak ściśle, nie wypowiedziały, nie określiły, nie wywiodły z samego gruntu zasad? I to wszystko dzieje się w chwili kiedy ta wiara straciła już wiele ze swojej dawnej władzy nad umysłami i sumieniami, gdzie te przekonania zaczynają wychodzić ze świadomości świata, a ten ideał oddawna już przestaje działać na na wyobraźnię. Pokolenia przeszły od czasu jak upadł dom Hohenstaufów i zawaliła się ich dumna budowa; pod koniec XIII wieku i w początkach XIV, to jest w chwili Dantego właśnie, książęta z Habsburskiego domu, kiedy chcą żeby we Frankfurcie wybrano ich na cesarzy, muszą za każdym razem uroczyście odrzekać się i wypierać wszelkiego zamiaru wyprawy za Alpy ²⁾. Elektorowie i wielcy lennicy niemieccy o tem dziś tylko myślą, jak założyć księstwa udzielne i jak się da najbardziej niezależne, jak rozbić jedną swoją wielką ojczyznę na *Rzeszę*, Germanią na *różne Niemcy* jak nazywają ich charakterystycznie współcześni kronikarze francuscy. A tak samo, jak w Niemczech dzieje się i w reszcie Europy: wszystko dąży do rozszczepienia, do objawiania się w indywidualności odrębnej, do wyrobienia się na organizm osobny, oddzielny, w sobie skończony. Pod następcami św. Ludwika

¹⁾ Itaque illud patrociniū orbis terrae verius, quam imperiū poteat nominari (de Officiis. Lib. II. Cap. 8).

²⁾ Deklaracye Rudolfa I. Adolfa I, Alberta I, przy wstąpieniu na tron. *Pertz Monumenta* IV, *Legum* T. II. passim.

zbiera się w sobie, skupia się, centralizuje się Francya; Włochy rozkwitują w mnogość odrębnych silnych, żywotnych republik i księstw: synowie Tella kładą podwaliny swojej niepodległości i swojej organizacyi federacyjnej w kantonach; we Flandryi miasta rozwijają swój przemysł, swoje swobody, i swoje *przyjacielstwa* ¹⁾. Współrodak Dantego, współczesny jemu, Villani, wstrząśnięty także jak on jubileuszem roku 1300 i pod jego wpływem, dochodzi z tego samego punktu wyjścia do wniosków wprost przeciwnych: widzi w tem upadek Rzymu i całego dawnego porządku rzeczy, początek wielkości Florencyi i nowych składów politycznych i społecznych, i wtedy, w narodowym języku pisać zaczyna historią swojego miasta ²⁾. Ale w oczach Dantego ten cały pęd powszechny i niewstrzymany jest tylko występem i nieszczęsnem zboczeniem i zbłądzeniem, nowym „upadkiem Adama“ próbą niegodziwą rozdarcia nieszytej sukni Chrystusa; on w takiej chwili chce uniwersalnej monarchii, powrotu do świętego Państwa Rzymskiego, i woła na ludzkość żeby się zwróciła wstecz, na czas, żeby stanął w biegu: „*Sol contra Gabaon ne movearis.*“ Co zaś podnosi tragiczność dziwną tej sprawy, co jej dodaje nowego, wzruszającego, patetycznego zajęcia, to, że przychodzi istotnie chwila w której zda się słowo marzyciela ma się naprawdę stać ciałem, gdzie sny wygnania już już zamienić się mają w wielkie historyczne fakta. To dzieło restauracyi i odrodzenia Cesarstwa, którego gieniusz samotny i sam jeden od lat całych pragnie i wzywa, o którym marzy biedny wygnaniec, to dzieło zaczyna samo z siebie nęcić i kusić niespokojną wyobraźnię i awanturniczego ducha małego jakiegoś Hrabiatka na Lützelburgu, wasala przez czas długi korony francuskiej, który ani marzył może, że nóż ojcobójczy niespodzianie otworzy mu w roku 1308 drogę na tron niemiecki. Zaledwo siadł na tym tronie, obwieścił Henryk VII swój pochód na Rzym, swój *Römerzug*, i swój zamiar, nie przewidywany przez nikogo wzniesienia w górę na nowo upadłego sztandaru Hohenstaufów.

¹⁾ *Amicitiae*: tak nazywały się gminy flamandzkie, Ducange s. z.

²⁾ Porównaj zajmujący ustęp z Villaniego, *Historia Florencyi*, VIII, 36.

Łatwo pojąć że w Alighierim zadrżało serce na widok tego zjawiska tak nagłego, tak niespodzianego, a dla niego tak jaśniejącego nadziejami i obietnicami. Ale trzeba czytać jego *Listy*, i te pisma ulotne, które rozsiewał po całej drodze Henryka VII od Alp aż do Florencyi, trzeba się przyjrzeć zbliska tym powtarzaniom rozwlekłym, a rozplomienionym, czytać tę łacinę napuszystą razem i biblijną, żeby mieć dokładne wyobrażenie o człowieku, i zmierzyć całą wzniosłość jego umiesienia, i całą głębokość jego zaślepienia. W pierwszym z tych pism kwapi się Dante z obwieszczeniem światu „dobrej wieści bożego poselstwa i posłania,“ Bóg ulitował się wreszcie nędz i wieków niezdolnych ludzkiego rodu: podniósł się Lew z pokolenia Judy, idzie już drugi Mojżesz i wywiedzie lud z plag egipskiej niewoli: oto „Olbrzym Pokoju,“ w którego ręku sprawiedliwość zakwitnie na nowo. Niech więc Italia wstanie w radości i weselu i niech wyjdzie naprzeciw swego oblubieńca, pocieszyciela świata, chluby narodów, Henryka łaski pełnego, on boski, on *Augustus* on *Cesar!* I dalej zaklina poeta, „wszystką krew longobardzką“ „żeby coperędzej wyzula się z dziedzicznego“ wiekami nagromadzonego barbarzyństwa. A jeżeli w dzisiejszem pokoleniu zostało jeszcze co z dawnej krwi „Trojan i Latynów,“ niech ono spieszy powitać „cesarskiego orla“ który zleci na ziemię pędem błyskawicy!... W istocie, Luksemburezyk spuszcza się z Alp w październiku 1310, z siłą pięciu tysięcy najemnego żołnierza, mieszaniny wszelkich plemion i języków; niedobitki gibellińskiego stronnictwa, garstka wywołańców i tulaczy, ciągną do niego z różnych stron, a między nimi jest i Dante. „Dano mu oglądać Majestat Cesarza, slyszyć Jego słowa,“ a wtedy mówi on sam do siebie: *Ecce Agnus Dei, ecce qui abstulit peccata mundi* ¹⁾! Ale nie prosi o żadne urzędy, o żadne godności, o żadne nagrody. Jego rodak i brat w Apollinie Cino z Pistoji, przybiegł aż z głębi Francyi, wstąpił w służbę cesarza, został jednym z jego dyplomatycznych agentów: Dantemu — dowodzi to jego zupełnej dobrej wiary i czystości jego zamiarów — dość było „oglądać Mesyasza“ poczem wrócił do Toskanii, nad „źródła Arnu,“

¹⁾ List z 16 kwietnia 1311. (op. min. III. str. 466.

zkał datował swoje następne pamflety, przeznaczone, jak pierwsze, na to, by „gotowały drogi Pańskie i czyniły proste ścieżki jego.“

A trzeba było równać i gładzić te drogi, bo pochód oswobodziciela świata nie był wcale tryumfalnym. „Tytan Pokoju“ jeżeli zdoła posunąć się naprzód, to tylko wśród pożogi i rzezi. Lodi, Cremona, Brescia, a za nimi inne miasta Lombardzkie podnoszą się przeciw niemu i zamykają mu bramy: Florencyja staje się punktem środkowym ogniskiem odporu. Alighieri zdumiony i oburzony tem zuchwalstwem, tem występkiem szaleństwem wysyła jedne za drugimi coraz nowe upomnienia i przestrogi. Szaleni, obłąkani, ci co nie poznają wysłańca bożego i „myślą, że w *prawie publicznem* może być przedawnienie!“ Jeżeli się buntują przeciw jedności w Cesarstwie, czemuż wtedy nie buntują się tak samo przeciw jedności w Kościele? W ten sposób argumentując, namawiając, prosząc i zaklinając dochodzi w końcu do gróźb. Wszystkie uciski, jakie niegdyś dla sprawy wolności znieść musiał sławny i chwalebny Sagunt w swojej niezłomnej wierności, wy je zniesiecie w sromocie i w zdradzie dla sprawy niewoli ¹⁾...“ A tę chłostę straszliwą ukazuje nie zdaleka, nie na to by umysły przerazić i strachem do swoich widoków skłonić, nie; on ją wywołuje, on jej pragnie, on jej z całego serca życzy i wzywa na swoje miasto rodzinne. W sławnym liście z 16 kwietnia 1311 odzywa się wprost do Henryka VII, i prosi go, żeby śmiało i odrazu zadał cios stanowczy, cios w samo serce. Żle robi cesarz że traci czas na poskromieniu miast lombardzkich; napróżno spodziewałby się zabić hydrę, kto po kolei chciałby jej liczne głowy ucinąć. Poskromić Cremonę to zbuntuje się Vercelli, Bergamo, Pavia, i tak dalej jedno po drugim. Tu trzeba przyłożyć siekiere do korzenia jadowitej rośliny: zatrute źródło znajduje się w dolinie Arnu, nie Padu ani Tybru, a samo jądro złego nazywa się Florencyą. To jest żmija, co kąsa wewnętrzności własnych rodziców, to zwierz nieczysty co wyziewem swoim zaraża całą trzodę, to bezbożna Myrrha palona kazirodnemi zapalą, to rozwiozła Amata co od powroza zginać powinna.

¹⁾ List z 30 marca 1311. (op. min. III. 450).

„Powstań więc i połącz raz koniec ociąganiom twoim, o różczko ze szczepu Jessego, połącz ufność w Panu twoim, w Bogu Sabaoth, przed ktorego oblicznością stąpasz; pracą mądrości twojej i kamieniem twojej potęgi powal na ziemię Goliatha: bo kiedy on legnie, noc i ciemność i strach padnie na Filistynów, a Izrael wyzwolony będzie.“ Zapewne, kto nie zechce być niesprawiedliwym względem człowieka jednego z największych jakich ludzkość wydała, ten czytając te pamflety wściekle, przypomni sobie, że to są ostatnie konwulsyjne krzyki konającego stronnictwa, stronnictwa upokorzonego, prześladowanego przez drugie nie mniej od niego gwałtowne i zaciekle; przypomni sobie, że patriotyzm, jak my go dziś rozumiemy, nie był rozumianym ani znanym w owym wieku; że Dante zwłaszcza był kosmopolitą z przekonania, teoretykiem opętanym przez swoją doktrynę, zaślepionym przez swój ideał, że jego zasada, jego *Fiat justitia* poniosła go jak koń co wziął na kiel. Ale najsprawiedliwszy i najwzględniejszy nawet niebędzie mógł się dziwić ówczesnej Florencyi, że synowi swemu nie przebaczyła nigdy jego Listów z roku 1310 i 1311, i że pocie, któremu wedle pięknego wyrażenia Michała Anioła, bramy niebios stały zawsze otworem, bramy rodzinnego miasta zamknęła bez pardonu i na zawsze, aż do śmierci

Co się zaś tyczy wyprawy włoskiej Luxemburskiego Henryka, parę słów wystarczy, by ją opisać: była ona od początku do końca i w całym znaczeniu słowa mizerną. Oswobodzielel mniemany napotykał wszędzie ten sam opór, który podnosił się na jego tyłach w miarę, jak się z wojskiem naprzód posuwał. Nie mógł dostać w ręce żelaznej korony z Monza, a przy koronacyjnej ceremonii musiał poprzestać na jakiejś kopii tego symbolicznego dyademu, a w Rzymie na obrzędzie w bazylice Laterańskiej, bo Śgo Piotra z całą *città Leonina* trzymali Guelfowie i wyprzeć ich ztamtąd było trudno. Wracając z Rzymu, dopiero wziął się do oblegania Florencyi i w ciągu tego oblężenia umarł 24 sierpnia 1313 r. z choroby, która go oddawna już, bo od pobytu w Brescii, niszczyła. Wiadomość o tej śmierci przyjęły całe Włochy z radosnem uczuciem oswobodzenia. Nie było to już to, co za Hohenstaufów; i tego właśnie nie zmiarkował Dante, kiedy

przez długie lata budował swój system kosmopolitycznej jedności w Cesarstwie, kiedy następnie śpiewał „hosanna“ na cześć „laski pełnego Henryka“, który miał urzeczywistnić jego marzenia. Tego uporeczywie nie chciał widzieć i przyznać i teraz nawet, po sromotnym końcu szalonej imprezy. A upadek jej tłumaczył sobie i wymawiał tem samem zawsze złudnem, a wiecznie się powtarzającym rozumowaniem emigracyjnych polityk; publicysta, który niedawno żalił się, że jego messyasza przyjsie swoje opóźnia, poeta, który pierwszym Habsburgom nie przestawał wyrzucać ich grzesznej opieszałości, który w gwałtownej śmierci Albrechta widział karę Bożą za jego i ojca bezczynność ¹⁾, ten sam po katastrofie roku 1313 znajduje pociechę w myśli, że zbawca przyszedł... *zaurzędnie!*

L'alto Arrigo: ch'a drizzare Italia
Verrà in prima ch'ella sia disposta,

mówi Beatrice, ukazując Dantemu tron przeznaczony dla Luxembureczyka, stolicę jedną z najpierwszych w samej płomienistej róży ²⁾. Do końca życia pozostał Dante wiernym tej myśli monarchii uniwersalnej, ideałowi świętego rzymskiego Cesarstwa, a po zawodzie r. 1313, jak przed nim wysławiał ten ideał i przepowiadał jego spełnienie w swoim „poemacie świętym“, którego myśl główną, cel i natchnienie łatwiej już teraz będzie nam uchwycić i wyrozumieć.

Niech mi wybaczy nasz kochany Kommandor i pan Akademik także, ale muszę powiedzieć, że jeden i drugi niewłaściwie nazywają *Boską Komedję* epopeją, a co więcej *par excellence* epopeją wieków średnich. Wyrażenie to przyjęło się i rozpowszechniło wprawdzie, ale nie dość że uzasadnieniem nie jest, może, co gorsza, prowadzić do różnych nieporozumień i złych zrozumień. Osobliwsza to jakaś musiałaby być epopeja, która zostawiałaby w cieniu lub pomijała

¹⁾ Purgat. VI. 97. 105. O cesarzu Rudolfe. Purg. VII. 94. 95.

²⁾ „Dusza Wielkiego Henryka,
Który w Italii ład sprawować przyjdzie
Weześniej niż ona, będzie doń gotowa.
Parad. XXX. 137. 138.

strony najbardziej charakterystyczne, rysy najbardziej wystające i wybitne epoki, której niby to ma być obrazem, jak feudalność na przykład, jak rycerstwo, jak długie i pracowite wewnętrzne wyrabianie się miast, jak wspaniałe popęd wojen krzyżowych. Czy nie wpadło to panom w oczy, że bohaterowie, wypadki i wspomnienia tych wojen tak małe zajmują miejsce w poemacie Dantego, że hasło *Dieu le veut*, które wstrząsało do głębi i zapalało serca długiego szeregu pokoleń, które za dni Dantego nie straciło jeszcze swojej siły i rozgłosu, w jego terzinach odbija się echem tak słabem? Przez całe wieki po nim jeszcze walka z niewiernym bisurmanem miała być wielką pokusą, lub, jeżeli kto, chce wielką uludą, dla królów i ludów, a aż do dnia Lepantu opuszczenie Wschodu nie przestało nigdy ciężać jak zmora, jak wyrzut, na sumieniu chrześcijaństwa, na sumieniu papieży zwłaszcza, niezmordowanych w nawoływaniu, w staraniach i pracach około tej sprawy. Wszakżeż i sam Messyasze naszego poety, Luxemburski Henryk, niezem innem, aż dopiero obietnicą wyprawy do Ziemi Świętej wyjednał sobie poparcie Klemensa V dla swoich zaalpejskich widoków. Dante tymczasem w wielkiej liczbie zarzutów, jakie czyni Bonifacemu VIII, kładzie wprawdzie i ten, że on „wołał wojować koło Lateranu, aniżeli z Żydami i z Saracenami“ ¹⁾, ale klęska pod St. Jean d'Acre — (klęska, która wypadła równocześnie ze śmiercią Beatrice) — ale utrata Ziemi Świętej nie wyrывa mu z piersi ani jednego z tych krzyków boleści i gniewu, których wydaje tyle na widok upadku Świętego Państwa. A ileżto jeszcze trzebaby wyliczać opuszczeń podobnych, ile wskazywać braków, które byłyby ważne bardzo i nie do darrowania nawet, gdyby miało być prawdą (co niektórzy mówią), że Dante miał myśl i zamiar wielkiej jakoby epopei katolicyzmu, że chciał stworzyć taką poetyczną *Summę* średnich wieków, jak Śty Tomasz złożył ich *Summę* teologiczną! Gdyby tak było, czy nie miałbym prawa upominać się o opuszczenie tylu pamiętnych zdarzeń, tylu wielkich postaci z katolickich aktów męczeńskich i żywotów Świętych? Czy nie mógłbym z równą słusnością dziwić się przemilezeniu

¹⁾ Inf. XXVII. 85—90.

Abelarda naprzykład, albo Arnolda z Brescii, albo Tomasza Becketa, albo Śgo Ludwika? i tylu tylu innych, którzy oznaczali epoki w historyi i zostawili w niej jaśniejące dotąd ślady swojej drogi? Dlaczego zwłaszcza, w tym mniemanym Panteonie epickim, gdzie co krok spotykam tłumy nazwisk nieznanych, o których wzmianki napróżnoby kto szukał w miejscowych nawet kronikach lub aktach, czemu w tym tłumie nie świecą imiona Pierwszego, Trzeciego ani Dziewiątego Leona? czemu niema ani Mikołaja I, ani Grzegorzów, Siódmego i Dziewiątego, ani Urbana II, ani Alexandra III, ani dwóch Innocencyuszów IIIgo i IVgo, czyli ani jednego z tych papieży, którzy byli najwięksi właśnie i najwięcej w historyi świata znaczyli? Czy nie jest to dziwne, że w całej, jak jest, *Boskiej Komedyi*, niema ani jednej wzmianki o Henryku IV, ani o Hildebrandzie, to jest o dwóch najświetniejszych, najzupełniejszych wyobraźcielałach, o tych najdoskonalszych uosobieniach, w których wcielona i wyrażona była walka, tocząca się przez wieki między berłem a pastorałem.

Hrabina. Prawda, że tak jest i że to dziwne.

Ksiązę Silvio. Ależbo dlaczego upierać się i chcieć koniecznie zrobić z Dantego Homera czy Hesioda gotyckiego świata? *Boska Komedia* nie jest *Iliadą* średnich wieków ani *Theogonią* katolicyzmu; ona jest poematem moralnym i politycznym, grzmiącym Izaiaszowem prawie napomnieniem, wymierzonym do współczesnych pokoleń, do tego pokolenia, które patrzyło na Wielki Jubileusz 1300 roku! Teraźniejszość, obecność, świat w pierwszej chwili XIV wieku, oto przedmiot, oto jedyny cel poematu wielkiego Florentczyka. Wszelka inna epoka, jeżeli w nim występuje, to mimochodem tylko jako przypadkowe wspomnienie; wszelkie wypadki dawniejsze, poprzednie, jeżeli są wymienione, to epizodycznie dla przykładu tylko, albo dla ozdoby, czasem nawet dla fantazyi lub kaprysu. Sam ten zrąb wspaniały, czy rusztowanie Bożego gmachu wszechświata, sama nawet mistyczna pielgrzymka po trzech zagrobowych królestwach, wszystko, aż do pokornych i rzewnych wyznań i spowiedzi grzesznej duszy, wszystko jest przyborem tylko i pozorem, a nie istotą, treścią samą i prawdziwą główną myślą dzieła; wszystko to, to ramy dopiero,

— ramy wspaniałe prawda — tego obrazu lub raczej tego zwierciadła, które poeta chce stawić przed oczy żywemu i widzialnemu światu, światu współczesnemu, chrześcijaństwu swego wieku. „Odłożywszy na bok subtelne dochodzenia“ — mówi wyraźnie i w sposób bardzo charakterystyczny sam Dante w liście dedykacyjnym do Can Grande della Scala — „można powiedzieć krótko, że celem tego dzieła, w jego całości, jak w jego szczegółach, jest: żyjących tem życiem „wyrwać z tego nędznego stanu, a prowadzić ich do innego, „szczęśliwszego“¹⁾. Dla żyjących zaś w tem życiu, znamy już pod tym względem wyobrażenia Dantego, stan nędzny pochodzi podług niego z braku jedności, z braku zwierzchniej władzy i kierunku w doczesnym i świeckim porządku rzeczy; a stan szczęśliwszy da się osiągnąć jedynie przez odbudowanie tej jedności, przez powrót do Świętego Państwa Rzymskiego, przez utworzenie Monarchii uniwersalnej. To przekonanie, ta wiara, jest natchnieniem wieszczki *Boskiej Komedyi* w każdej strofie jego poematu, jak była natchnieniem filozofa, rozmyślającego nad traktatem o ogólnej polityce i jej zasadach, i publicysty rzucającego w świat pamflety z roku 1310 i 1311. To jest myśl jego życia całego, to dusza całego jego dzieła, to jego *hoc opus, hic labor!*...

Dla nas zapewne, dla nas, którzyśmy od czasów Dantego i od jego pojęć tak dalecy, oddzieleni od nich przeobrażeniami i rewolucjami bez liku i bez miary, dla nas oczywiście forma jego dzieła, jego pierwiastki dodatkowe i zewnętrzne znaczą więcej niż treść, niż sama istotna podstawna myśl, i biorą nad nim górę. My widzimy i cenimy w *Boskiej Komedyi* właśnie epizody tylko, właśnie jej wspaniałe przybory i dodatki, my chcielibyśmy właśnie, żeby były same tylko ramy, i nie tylko ramy: chcielibyśmy mózgi o niej powiedzieć, jak Zeuxis: „obraz, to ta zasłona“ właśnie, a innego niema. Ale, nie mówiąc już o tem, że chodzi tu o to, by wielkiego człowieka pokazać i poznać w jego naturalnej wielkości,

¹⁾ „Sed ommissa subtili investigatione, dicendum est breviter, quod finis totius et partis est removere viventes in hac vita de statu miseriae, et perducere ad statum felicitatis.“

by go postawić wśród jego właściwego otoczenia i w jego prawdziwym świetle, trzeba jeszcze prócz tego oddać mu sprawiedliwość i przyznać, że rzadko kiedy poeta umiał tak, jak on, tehnąć w rzecz treści moralnej i politycznej tyle życia, tyle ruchu, tyle różnaitości, tak przez namiętność swoją roznamiętnić dla niej drugich. Ten „stan nędzny“ chrześcijańskiego świata, pokazany jest w *Boskiej Komedyi* w nieskończonej różnaitości zjawisk i przykładów, w kształtach najbardziej zadziwiających i niespodziewanych, w swoich wpływach najbardziej zatruwających i skutkach najbardziej rozkładających wszystko, co tylko jest dobrego, pięknego, szlachetnego pod słońcem. A cały ten obraz zmierza do jednej konkluzyi, do tej samej zawsze nauki: że nasz świat wydany jest na łup anarchii, a ród ludzki wyrzucony ze swojej kolei

Pensa che in terra non è chi governi:

Onde si svia l'umana famiglia ¹⁾.

Przypomnieć sobie tylko te wiersze niezliczone a piętnujące jak rozpalonem żelazem, nienawiść i chciwość, które zawładły sercami, te piorunujące wyrzekania na wojny bezbożne między ludami jednego Chrystusa, na zatargi i rozterki, które „żrą siebie wzajem ci, których więzi jeden mur i fossa“ ²⁾. Czasem nawet poeta tak się zapędzi w gniewie i rozpacz, że daje chrześcijańską niby wersyę złowrogich Tacytowych słów *non curae deis* i pyta, czy ten, co za nas ukrzyżować się dał na ziemi, „na zawsze już i na dobre odwrócił od nas sprawiedliwe swoje oblicze“? a przez to wszystko dochodzi zawsze i niezmiennie do tego samego *porro unum necessarium*, do nieodbitej dla Cezara konieczności, by usiadł na łęku i ostrogą swoją poskromił „krnąbrne, znarowione zwierzę“ ³⁾. Bez tego niema ratunku, ni zbawienia: ale z tem są niewątpliwe, niechybne i bezpośrednie, bliskie. Czytając,

¹⁾ Pomyśl, że niema, ktoby rządził ziemią:

Dlatego z drogi zbacza rodzaj ludzki.

Parad. XXVII. 140. 141.

²⁾ Purgat. VI. 82. 84.

³⁾ Purgat. VI. passim.

mogłoby się czasem zdawać doprawdy, że Cezar, gdyby tylko chciał, mógłby raz na zawsze zamknąć bramy piekieł, wypłenić z ziemi wszystko złe i zmienić do gruntu biedną naturę ludzką. Rzecz ciekawa, ten wielbiciel i chwalec przeszłości, ten, jakbyśmy dziś powiedzieli, „człowiek reakcyi i restauracyi“, wpada niekiedy, porwany swoim zapalem, w naukę prawowierności wcale podejrzaney, a u nowoczesnej demagogii w wielkiem poszanowaniu i modzie, naukę, którą niegdyś głosił Rousseau, że natura ludzka dobra jest sama w sobie, a tylko przez złe rządy zepsuta:

Ben puoi veder che la mala condotta
 È la cagion che il mond ha fatto reo
 E non natura che in voi sia corrotta ¹⁾.

Miedzy temi zaś złemi rządami, które zepsuły ludzką naturę, oskarża Dante naprzód rządy papieskie. Posłuszny Stolicy Apostolskiej, z niezachwianą wiernością w rzeczach wiary, dbały niezmiernie o to, by przy każdej sposobności jaknajwyraźniej przyznawać i wyznawać głośno Boski początek Papiestwa, tem gwałtowniej powstaje na politykę, jakiej dwór rzymski trzyma się względem tej drugiej, niemniej Boskiej instytucyi, jaką według niego jest Cesarstwo. Ta to polityka — mówi — przez to, że wdala się w walkę z cesarzami, zasiała i rozkrzewiła po świecie ducha buntu, ośmieliła panów chrześcijańskich do oporu przeciw ich prawemu zwierzchnikowi, pomazańcowi Bożemu, rozzuchwalała te wszystkie miasta, tych mieszczan hardych swoim bogactwem i swoją swawolą, którzy nie chcą teraz krnąbrnych karków ugiąć pod zbawienne jarzmo. Tym sposobem rozdarła się nieszyta suknia Chrystusa, a ród ludzki stal się potworem o wielu głowach. Tak dalece doszła bezbożność i sromota, że zamiast jedną miłością kochać wszystkie swoje owieczki, papieże sami uszykowali je, jedno po prawej, drugie po lewej stronie, do-

¹⁾ Widzisz więc dobrze, że złe przewodnictwo
 Przyczyną temu, że świat jest występny,
 Nie zaś natura zepsowana wasza.

puścili, że tiara stała się godłem stronnictw, że klucze, które im książę Apostolów przekazał, błyszczały jako znaki na chorągwiach, niesionych w bój przeciw chrześcijanom!...

Marchese Arrigo.

Non fu nostra intenzion ch'a destra mano
De' nostri successor parte sedesse,
Parte dall' altra, del popol cristiano :

Ne che le chiavi, che mi fur concesse
Divenisser segnacolo in vessill
Che contra i battezzati combatesse... ¹⁾.

Don Felipe. W tych samych prawie słowach oświadczył Pius IX w roku 1848, że jako ojciec wszystkich wier-nych, nie może wysyłać swoich poddanych przeciw Austryakom, chrześcianom jak oni; a jakiejże z tego nie robiono zbrodni! Ile udawania, ile fałszu i komedyi w polityce!

Książę Silvio. Początek tego w świecie zamieszania i przewrotu sięga, zdaniem naszego poety, czwartego jeszcze wieku, a mianowicie przeniesienia stolicy cesarstwa do Bizancyum. Krok ten przypisuje on, w sposób dość dziwny, powolności źle zrozumianej Konstantyna Wgo względem papieży. „W dobrym zamiarze, co zły owoc wydał, chcąc pa-sterzowi miejsce swe ustąpić, Grekiem się zrobił“ ²⁾. Tym złym owocem było mięszanie się Stolicy Świętej w sprawy państw świeckich, zwierzchność, którą ona w sprawach świeckich mieć chciała, wreszcie namiętność rozkazywania, posiadania i bogacenia się, która opanowała Kościół. O to Ali-gghieri nie pyta wcale, czy ten wzrost wpływu i potęgi pa-

¹⁾ Nie było myślą naszą, by połowa
Chrześcijańskiego ludu po prawicy
Następców naszych, druga po lewicy
Sadzoną była; — aby klucze święte,
Które mym dłoniom poruczone były,
Znakiem bojowej chorągwi się stały,
Co przeciw ludom ochrzczonym wojuje.

Parad. XXVII. 46. 51.

²⁾ Parad. XX. 55. 60.

pieży nie był też może historyczną koniecznością, i czy nie był, ogółem wzięwszy, niezmiernem dla ludzkości dobrodziejstwem? czy doprawdy nie było nic dobrego, nic zbawionego, nie opatrnościowego prawdziwie w tem, że pośród Europy, zalanej przez ludy dzikie i oddane dotąd jedynie swoim popędom używania i niszczenia, a znające jedynie poszanowanie siły materyjalnej, podniosła się jedna potęga, że ta, czysto moralna, czysto duchowa, wpływ swój nad nimi rozpostarła. O to nie pyta, czy dzieło pokoju na ziemi nie trzymało się przez długie wieki sprawą i pracą papieży raczej, niżli następców Karola Wgo; czy w jego własnych oczach jeszcze w roku 1307, pomimo babilońskiej niewoli Kościoła, nie zdołał Klemens V uspokoić długich zawziętych walk między panami z Foix i z Armagnac, albo spraw od dawna wiszących i spornych między Francją i Anglią, między Francją a Flandryą; czy nie rozwiązał w zgodny sposób, na jakiś czas przynajmniej, sprawy o sukcesyę węgierską? Dante ma swoją teorię gotową i ma swoją historię powszechną, wymyśloną na poparcie tej teorii i do niej zastosowaną. „Niegdyś“ — mówi on — „kiedy Rzym był szczęściem i błogosławieństwem świata, miewał dwa słońca, co „świeciły równo i drodze świata i drodze do Boga. Ale „z nich jedno zgasiło drugie; miecz z pastorałem przemocą „złączony — i odtąd wszystko zaczęło iść źle i coraz gorzej. „A Kościół rzymski, dwoiste rządy połączywszy w sobie, „wpadł w błoto, siebie i swe brzemię skalał.“

Marchese Arrigo

Soleva Roma, che il buon mondo feo,
Duo Soli aver, che l'una e l'altra strada
Facén vedere, e del mondo e di Deo.

L'un l'altro ha spento: 'ed è giunta la spada
Col pasturale: e l'uno e l'altro insieme
Per viva forza mal convien che vada...

Di oggimai che la chiesa di Roma
Per confondere in sè duo reggimenti
Cade nel fango, e sè brutta e la soma“ ¹⁾.

¹⁾ Purgat XVI. 106—111 i 127. 129.

Książę Silvio. Ale skargi swoje najcięższe, narzekiana najbardziej gorzkie, chłosty najsroźsze i najbardziej krwawe zachowuje Alighieri na królów francuskich, potomków tego Capeta, który podług niego był „synem rzeźnika.“ Mamy zapewne wszyscy przytomną w pamięci dwudziestą pieśń Czyśca, w której Dante podaje niby historykę tych królów z trzeciej dynastyi. „Dopóki Prowancyi wiano w rodzie tym „nie zniszczyło wstydu, mało on był wart, lecz też źle nie „czynił.“ Ale od tej chwili dom ten „rozpoczął kłamstwem „i przemocą grabieże swoje. Potem, gładząc winę, zabrał „Gaskonii i Normandyi kraje.“ Te słowa „gładząc winę,“ „za pokutę,“ *per ammenda*, powracają trzy razy w tych strofach jako rym niezmienny, a srogo szydereczy. „Za pokutę“ Karol Andegaweński zgładził Konradyna; „za pokutę“ także wyprawił do nieba Śgo Tomasza — (poeta bowiem skwapliwie przyjmuje niedorzeczne podanie, według którego Andegaweńczyk miał niby otruć autora *Summy*). — Inny znów Karol, z francuskiego domu, wszedł do Florencyi „bez broni, „z włócznią Judasza tylko“ i przebił nią bok miasta; jeszcze inny Karol, jeńcem wzięty na morzu, robi z własnej córki cenę okupu; „korsarze sprzedają także, ale przynajmniej obcych, nie krew własną“. .. i tak dalej coraz gwałtowniejsza ciągnie się ta diatryba, aż dochodzi do szczytu namiętności, kiedy przychodzi do zbrodniczego zamachu w Anagni i do świętokradzkiego morderstwa Templaryszów.

Marchese Arrigo.

I' fui radice della mala pianta,
Che la terra cristiana tutta aduggia
Sì, che buon frutto rado se ne schianta...

Chiamato fui di là Ugo Ciappetta:
Di me son nati i Filippi e i Luigi
Per cui novellamente è Francia retta...

Mentre che la gran dote provenzale
Al sangue mio non tolse la vergogna
Poco valea, ma pur non facea male.

Si cominciò con forza e con menzogna
La sua rapina: e poscia, per ammenda
Ponti e Normandia prese, e Guascogna.

Carlo venne in Italia, e per ammenda
Vittima fè di Corradino: e poi
Ripinse al ciel Tommaso, per ammenda.

Tempo vegg'io non molto dopo ancoi
Che tragge un altro Carlo fuor di Francia
Per far conoscer meglio e sè e i suoi.

Senz 'arme n'esce, e solo con la lancia
Con la qual giostrò Giuda: e quella ponta
Si, ch'a Fiorenza fa scoppiar la pancia...

L'altro, cha già uscì preso di nave,
Veggio vender sua figlia, e patteggiarne
Come fan li corsar' dell' altre schiave...¹⁾.

¹⁾ Purgat. XX. 43. 81.

„Byłem korzeniem niegodnej rośliny,
Co chrześcijański świat zagłusza cały,
Co się zeń rzadko dobry owoc zbiera...
Hugo Kapetem na świecie mnie zwano;
Ze mnie się rodzą Filipy, Ludwiki,
Którzy niedawno Francji królują...
Dopóki wielkie Prowancyi wiano
Rodu mojego nie zniszczyło wstydu,
Mało on znaczył, lecz też źle nie czynił.
Tu on rozpoczął kłamstwem i przemocą
Grabieże swoje. Potem, gładząc winę,
Zabrał Gaskonii i Normandyi kraje.
Wszedł do Włoch Karol. — I ten, gładząc winę,
Ofiarę sobie z Konradyna zrobił.
W końcu, do nieba, również gładząc winę,
Wysłał on duszę Tomasza z Akwinu.
Widzę, jak znowu w niedalekim czasie
Inny już Karol z Francji przyciąga,
By lepiej poznać dał siebie i swoich.
Bez broni, z jedną włócznią, którą Judasz
Umiał szermować, a tak nią napiera

Księżę Silvio. Słusznie powiedział Michelet, że te terziny to jest „skarga kończącego się świata na nowy brzydki świat, który po nim nastaje“ ¹⁾. Z jasnowidzeniem, właściwem nienawiści, odgadł fantastyczny teoretyk kosmopolityzmu, że tam, na brzegach Sekwany, był „korzeń tego chwastu, co miał całą ziemię zagłuszyć,“ poznał, że tam poczęła się pierwsza próba organizmu niepodległego, skupionego silnie, mającego w sobie swój środek ciężkości i w sobie zjednoczonego; przykład bijący w oczy a niebezpieczny nowego porządku rzeczy z uniwersalną monarchią niezgodnego i jej wprost przeciwnego. Tego bowiem nikt zaprzeczyć nie zdoła, że dzieło, nad którem pracowali francuscy Kapetyngowie, było od początku przeciwieństwem, negacją, raz mniej drugi raz więcej wyraźną, silną i siebie świadomą, ale negacją ciągłą i nieprzerwaną Świętego Państwa Rzymskiego. Dzieło takie nie mogło podobać się Dantemu, nawet kiedy widział, że kierowała niem ręka takiego jak Śty Ludwik króla i człowieka; w ręku zaś Filipa Pięknego ono wydało mu się dziełem wprost szatańskim. I cóż mu się dziwić, kiedy my sami przecież, pomimo wszystkich naszych rezygnacyj na to, co nazywamy historyczną koniecznością, pomimo całej naszej uległości przed nieodmiennym i nieubłagany pochodem postępu, przecież nie bez pewnego przymusu i wstrętu przyzwyczaić się możemy do widoku tego wykrętnego prawnika w pancerzu, tego prokuratora z rycerskim pozorem, tego chciwego i krwawego fiskalnego rachmistrza, do jego drapieżnych, srogich towarzyszy; do tych „rycerzy prawa,“ *chevaliers ès lois* ²⁾, jak Marigni, Plaisian lub Nogaret, i do myśli, że on był wnukiem Śgo Ludwika. A jeżeli prawdą jest, że

Że brzuch Florencyi pęka pod jej ciosem...
 Inny, co jeńcem z okrętu uchodzi,
 Sprzedaje córkę i targ o nią czyni,
 Jako korsarze o swe niewolnice...”

¹⁾ Michelet. Hist. de France t. III. chap. 2. initio.

²⁾ Legiści Filipa Pięknego, zamiast się tytułować doktorami lub magistrami prawa, woleli się pisać rycerzami, *chevaliers ès lois*, łącząc w sposób dość śmieszny i przez współczesnych wyśmiewany, charakter epoki feudalnej i nowo nadchodzącej prawniczej i fiskalnej.

Filip Piękny „pierwszy dał początek Państwu w jego późniejszem pojęciu, że na zwaliskach dawnego prawa założył „podwaliny absolutnej władzy panującego i zasadniczej niemoralności w polityce“ ¹⁾, to w takim razie nie można nie podziwiać geniuszu gibellińskiego poety, który tak wcześnie poznał zasadę dla jego ideału zabójczą, śmiertelną, który tak rychło wyczytać umiał w gwiazdach wyrok, że „jedno drugie zabije“ ²⁾.

I cały ten akt oskarżenia przeciw „Filipom i Ludwikom, od niedawna władzcom Francji,“ kładzie Dante w usta ich protoplasty Hugona Capeta, tak samo jak wszystkie swoje skargi i żale na niegodnych następców Piotra, uzurpatorów Świętej Stolicy, streszcza w sławnych słowach księcia Apostołów samego ³⁾. Ale papież, którzy przez symonię posiadli stolicę, i Kapetyngi hypokryci, niech jak chcą, zaręcza poeta, łączą się z sobą i wchodzą w związki wstydlive (*puttaneg-giar*) ⁴⁾, nie poradzą nic przeciw cesarskiemu orłu, „którego „szpony zdarły grzywę niejednemu już lwu mocniejszemu od „nich“ ⁵⁾. „Bóg nie zamieni klejnotu swego na lilie;“ takimi słowy kończy się ten wspaniały panegiryk rzymskiego Cesarstwa, nie bez zamiaru włożony w usta Justyniana ⁶⁾, twórcy tego kodexu, który przypieczętował wielką pracę — *alto lavoro* — wiekową pracę Senatu i Ludu: wykształcenie prawa!

Te same pojęcia o Cesarstwie rzymskiem, o jego cudownym początku, o jego wielkich przeznaczeniach i o jego prawowitej nieprzerwalności od Eneasza aż do Hohenstaufów, które znamy z Alighierego książki o *Monarchii*, powtórzone są i streszczone wiele razy w „poemacie świętym,“ a osta-

¹⁾ Vide: *Renan*, o *Nogarecie*, *Revue des deux mondes* 15 marca 1872.

²⁾ „*Ceci tuera cela*,“ frazes powtarzany bez końca, znajdujący się pierwotnie w *Notre Dame de Paris* Wiktora Hugo. Jedną z osób tej powieści, wskazując na drukowaną książkę (nowość podówczas) i na katedrę przed sobą, powiada: *ceci* (druk) *tuera cela* (architekturę).

³⁾ *Parad.* XXVII. *passim.*, a zwłaszcza 22. 27.

⁴⁾ *Inf.* XIX. 108. i *Purgat.* XXXII. 148—160.

⁵⁾ *Parad.* VI. 107. 108.

⁶⁾ *Parad.* VI. *passim.*

tecnie w owej przemowie Justyniana. Tylko w *Boskiej Komedy* poezya nadaje tym ideom okazałość i świetność, jakiej dać im nie mogły scholastyczne wywody prozaicznego traktatu. Ta nieustająca równoległość, to ciągle zestawienie z sobą starożytnego i chrześcijańskiego świata, ten synkretyzm, ta zgodność we wszystkim i przypadanie do jednej miary między historią świętą a historią świecką, narzuca się wkońcu umysłowi, owładną nim i każe mu nieledwie uwierzyć w tę fikcję tak niepojęcie dowolną. Przekonania bowiem polityczne naszego mistycznego pielgrzyma mają tak samo, jak jego religijne wierzenia, swój Stary i Nowy Testament. Rzymianie są podług niego tem samym w doczesnym i świeckim porządku rzeczy, czem są Żydzi w porządku duchownym, są narodem wybranym, są ludem Pańskim. Ztąd ta jego surowość względem wszystkich, którzy byli przeciwni Rzymowi, nawet Rzymowi bajecznemu, względem Ulissa i Diomeda naprzykład za to, że zburzyli Troję, ojczyznę Eneasza; ztąd jego gniew srogi na Annibala i jego „Arabów“ — na Brutusa i Cassiusza zwłaszcza, zabójców Cezara, zdrajców najgorszych między zdrajcami, których zbrodnię i karę równa on ze zbrodnią i karą Judasza. Ztąd wreszcie jego zapal i cześć dla Virgilego, wzniosłego piewcy chwały i wielkości królewskiego ludu i cesarstwa, natehnionego wieszczą, który wydobył z siebie to słowo prorocze:

Tu regere imperio populos Romane memento!

Gdyby zaś teraz do tych trzech przemów, o których już była mowa, to jest Capeta, Justyniana i Śgo Piotra, dodać jeszcze wkońcu to, co mówi Cacciagnida, wtedy mielibyśmy, jak sędzę, cały system polityczny i społeczny Dantego, ujęty w zasadniczych najistotniejszych swoich pierwiastkach i rysach, a wyrażony w najwspanialszych słowach. Cacciagnida, jeden z przodków Dantego, rycerz dzielny, poległy gdzieś w Ziemi Świętej około roku 1147, zapelnia postacią swoją cztery aż pieśni Raju ¹⁾, a same te tak niezwykle rozmiary, epizodowi temu nadane, powinnyby naprowadzić nas na myśl, że należy z niego wyciągnąć i zapamiętać coś

¹⁾ Pieśń XV—XVIII.

więcej jeszcze prócz sławnych wierszy o „uciskach wygnania“ lub prócz rozkazu danego poecie, żeby nie zamilezał nie ze swego cudownego widzenia, a na tych nie zważał, „co się drapia, bo ich świerzb swędzi.“

Tutta tua vision fa manifesta

E lascia pur gratar dov' è la rogn¹⁾).

Cały ten epizod jest w istocie przedewszystkiem apoteozą przeszłości, apoteozą zupełną i bez zastrzeżeń. Wieszczy Gibelin na to wywołuje świadka i wyobraziciela dawnych wieków, żeby użyć go za pretext i przez niego niby wymierzyć pociski co najostrejsze, co najdotkliwsze szyderstwa, w demokratyczny charakter rozwoju następnych pokoleń. Dante jest bowiem arystokratą w najściślejszem znaczeniu tego słowa, a słowa, któremi wita pradziada swego, kiedy go ujrzał w Raju, są pod tym względem niezmiernie charakterystyczne. „Cóż dziwnego“ — mówi — „że tam na ziemi ludzie dumni są ze szlachetności krwi swojej, jeżeli ja aż tu w samem Niebie doznaję z niej chluby.“ Dodaje wprawdzie, czego dodać nie omieszkałby żaden arystokrata rozumny — „że to płaszcz, który łatwo się ścieśnia i kureczy, a czas obcina go zaraz swemi nożycami, kiedy kto nie dba o to, „żeby dzień w dzień sukna mu przyczyniać“ — niemniej jednak wszelkie przymieszanie krwi obcej, wszelki związek nieprawy i związek nierówny, wydaje nam się jednym z powodów upadku i zguby, nie domów tylko, ale miast i pospolitych rzeczy:

Sempre la confusion delle persone

Principio fu del mal della cittade,

Come del corpo il cibo che s'appone²⁾).

¹⁾ „Masz im objawić całe twe widzenie;
A niech się drapie, kogo krosta gryzie.“

Parad. XVII. 127. 128.

²⁾ Parad. XVI. 67. 69.

Zawsze, niestety, ludzi mięszanina

Bywała nieszczęść początkiem dla grodów,

Jak pokarm zbyt włożony do ciała.

Poprzednio już, w jednym ustępie Piekła, podawał jako przyczynę nieszczęść Florencyi to, że jej ludność pierwotna, dawna ludność rzymskiego pochodzenia ¹⁾ zmniejszała się „z ludem „przebiegłym a niewdzięcznym, który napłynął od Fiesole, a „zawsze zachował coś dzikiego, coś z gór i skał przyniósł; „tak niszczeje pomału słodka figa, kiedy ją zagłuszają dzikie „jarzębiny.“ Tutaj, Cacciaguida powtarza w swojej przemowie skargi na złe i zgubne skutki takiej mieszanej ludności, *citta dinanza mista* ²⁾). Miasto, które niegdyś miało „krew czystą w najostatniejszym swoim wyrobniku, znosi teraz smrodliwych gburów ze wsi, z oczyma na zysk tylko bystremi.“ Gdyby mógł, z jakim pośpiechem i z jaką rozkoszą wyprawiłby tych „przekupniów i wekslarzy“ napowrót do Montemurlo, do Valdigrieve, do Simifonti, gdzie „ich dziadowie byli żebrakami!“ Jak gniew jego namiętnie piorunuje na rody dorobkowe, „nikczemne plemię, z tchórzami odważne i srogie „jak smok, ale potulne jak baranek, kiedy mu kto pokaże „zęby... a choćby tylko pieniądze.“ Z upodobaniem, z rozkoszą, wymienia liczne stare domy szlacheckie, które już były wielkie i możne w mieście za czasów jego przodka, za tych czasów szczęśliwych i błogosławionych, kiedy miasto całe zamykało się w małym obrębie między *Ponte Vecchio* a *Baptisterium*, a liczyło zaledwo piątą część swojej dzisiejszej ludności. Widok z Ucellatojo, prawda, nie mógł wtedy „okazałością równać się z widokiem Rzymu z Montemario, nie widziało się pałaców tak wielkich że się zawsze puste wydają, ani Baltazarów, gotowych zawsze pokazywać i opowiadać wszystko, co się w tak wielkich salach robić może; majątki były mierne, skromne posagi dziewcząt, a stroje kobiet proste. Naczelnik wielkiego domu nie wstydził się często chodzić w skórzanem odzieniu, ale też kobieta płocha, mąż podstępny a w zyskach swych nierzetelny, byli tak rzadkiem w owym czasie zjawiskiem, jak dziś byłaby Cornelia albo Cincinnatus...“ Warto przeczytać te cztery pieśni niezrównanego natchnienia, w których mienia się ton Izaiasza z tonem

¹⁾ Inf. XV. 61. 78.

²⁾ To i wszystko, co następuje do końca ustępu, Parad. XV. XVII. passim.

Juvenala, a jeden obok drugiego nie razi; ale warto przeczytać także jako przydatny a nawet konieczny do nich komentarz, to, co rodak i współczesny Dantemu Villani mówi o Florencyi owych czasów. „Florencya posiadała wtedy ośm-
„dziesiąt banków ¹⁾, w których wszystkie państwa europej-
„skie zaciągały pożyczki; wyrób sukna sam jeden zatrudniał
„tam dwieście fabryk i trzydzieści tysięcy robotników, a ro-
„czny dochód Rzeczypospolitej wynosił 300.000 czerwonych
„złotych.“ Macaulay robi gdzieś uwagę, że dochód ten prze-
nosił o wiele to, co przynosiła Anglia i Irlandya razem o
trzy wieki później do skarbu Elżbiety ²⁾. I od takieho kup-
ców książąt, od takich wekslarzy królów chciał Dante, żeby
wrócili do dawnych obyczajów, żeby nosili skórzane odzie-
nie, jak niegdyś stare domy Bertich, de Nerlich albo del
Vecchio!

Wszędzie i we wszystkim powrót do zasad, do insty-
tucyj, do obyczajów przeszłości: arystokracya, oparta na sil-
nej organizacyi i górująca nad miastami; miasta, wystrzega-
jące się wielkiego napływu ludności, a zwłaszcza zetknięcia
się i pomięszania się z wiejskimi gburami; republiki i księ-
stwa, szanujące swoje prawowite władze i swoje granice: —
nadewszystko żadnych połączeń różnych krajów w jedno
wielkie scentralizowane państwa; żadnych, jakbyśmy dziś
powiedzieli, „agglomeracyj szczepowych.“ — Świat chrze-
scijański, broń Boże, nie zamieniony w potwór o wielu gło-
wach, ale poddany w rzeczach świeckich jednemu zwierzchni-
kowi, jednemu Cesarzowi, rozeznawcy i wykonawcy sprawie-
dliwości „tem pewniejszemu i sprawiedliwsiemu, że mając
wszystko, niezegoby już nie pożałował“ ³⁾ — oto polityczny i
społeczny ideał, o jakim marzył Alighieri na samym schyłku
wieków średnich, a na progu nowszych! Nigdy może nie było
człowieka wielkiego w większej, zupełniejszej niezgodzie
z dążeniem, z prądem, z całą pracą współczesnego świata;
nigdy może nie było Epimeteusza, któryby tak, jak ten, „*my-
ślał wstecz, po za siebie*.“ Ale jakże znowu błądziłby ten

¹⁾ Historia Florencyi, XI. 91 i passim.

²⁾ *Essays-Macchiavelli*

³⁾ De Monarchia I. cap. 1.

kto zapatrzony jedynie w stronę utopijną, niemożliwą, wsteczną, jego systemu, nie oddałby sprawiedliwości i hołdu pięknym, wzniosłym uczuciom, które go natchnęły! W takim uczuciu — zapominać się nie godzi — miała swoje źródło utopia Dantego, a jego sny i marzenia wyszły z dobrej bramy, by użyć wyrażenia Homera, z bramy naścież otwartej na ludzkość, z tej, która na nią otwiera widok, do niej drogę i przystęp. Zjednoczenie ludzkiego rodu, w wielkiej chrześcijańskiej rodzinie związek i wzajemność, na ziemi „pokój, sprawiedliwość i wolność,” oto, co widział, czego chciał Alighieri, kiedy dążył do odbudowania rzymskiego Cesarstwa. W środku zapewne pomylił się i wziął go za inny niż był; ale cel był wielki, wiecznie prawdziwy i godzien wielką duszę natchnąć i przejąć zapalem... W dwa wieki po Dancem, w tej samej Florencyi, tak płodnej w ludzi nadzwyczajnych, zjawi się geniusz, który do dziś dnia jest dla świata przerażającą zagadką:

Colui ch' a tutto il mondo fa paura ¹⁾.

I ten także przyniesie światu swój polityczny ideał, ideał, który wieki będą sobie podawały w spuściznie. I ten także wzniesie, ubóstwi ideę państwa; tylko od tego państwa nie będzie żądała ni enoty, ani honoru, uzna je nad to wszystko wyższem. I ten także będzie wychwalał starych Rzymian, tylko już nie za urojony brak samolubstwa i za mniemaną dobrą wolę i ojcowską opiekę nad światem; będzie podziwiał i chwalił ich drapieżność, ich chciwość, ich twardość, nieubłaganego ich ducha podboju i panowania. Jedność ludzkiego rodu, wzajemność i miłość w chrześcijańskiej rodzinie, to dla niego puste słowa, bez znaczenia i treści; wojna wszystkich przeciw wszystkim to jedyna prawda i jedyny fakt. I on także wzywać będzie przyjscia, ale nie cesarskiego orla, tylko lwa i lisa zarazem (*volpe e leone*), połączonych w osobie szczęśliwego tyrana; i on wygląda Messyasza, ale od swego Messyasza nie wygląda ani pokoju, ani sprawiedliwości, ani wolności, jednego tylko żąda od niego..... *sukcesu*. I on ma także swojego Cezara, ale tym Cezarem jest..... Cezar

¹⁾ Parad XI. 69. „Który postrachem był całego świata.“

Borgia! Dla honoru ludzkości, dla godności ludzkiej duszy i ludzkiego umysłu, dla czci i dobrej sławy włoskiego imienia dziękujmy Bogu i cieszymy się, że możemy wspomnieć *Monarchię* Dantego, kiedy nam wypominają Macchivellowego *Książęcia*.

Marchese Arrigo.

Che dove l' argomente della mente
S' aggiugne al mal volere ed alla possa
Nessun riparo vi può far la gente ¹⁾.

Książę Silvio. Niemniej jednak wyznać trzeba, że ten polityczny ideał Dantego był ułudą najbardziej może ułudną ze wszystkich, jakie kiedykolwiek wielkiego ducha opanowały; i że to złudzenie ciążyło i ciąży dotąd swoim ponurym cieniem na jego „poemacie świętym;“ onoto wybija na nim to piętno niewypowiedzianego smutku i rozdzierającej boleści. Przywiązanie do przeszłości znikłej i niepowrotnej nie jest wcale Dante'mu jednemu wyłącznie właściwem między poetami świata, raczej rzeczy można, że z takiego uczucia płynęło natchnienie największej liczby tych, co zostawili po sobie dzieła nieśmiertelne. W naszychto dopiero czasach zarozumiałości prawie potwornej, zaczęli synowie Apollina głosić się za proroków, za Janów Chrzcicieli, opowiadających przyjście jakichś nowych królestw bożych... czy szatańskich. Z dawniejszych żaden, ani Homer, ani Eschyl, ani Sofokles, ani Wirgiliusz, ani Tasso, ani Szekspir, ani Göthe nie rościł sobie takiego prawa, ani takiego powołania nie roił; każdy był raczej *laudator temporis acti*. Ale Dante jest jeszcze inny. Jemu nie dość słać jakiś dawny i przeszły porządek rzeczy, nie dość żałować że już zniknął, nie dość wynosić go pod niebiosa w swojej pieśni i otaczać go całym czarem swojej sztuki, on nadto jeszcze wierzy w ciągłość i nieprzerwalność, w rzeczywistą obecność swego systemu, w jego wie-

¹⁾ Inf. XXXI. 55. 57.

Bo gdzie się myśli połączy potęgą
Z wolą zbrodniczą i przemocy siłą,
Nie masz tam żadnej dla człowieka rady.

kuistość. System ten, to podług niego jedyna droga i prawda i życie; wszystko inne jest marnością tylko i fałszem, występkiem zboczeniem z prawdziwej drogi, „nowym upadkiem Adama.“ On się opiera, nie daje się, natęża się, wależy, bije się i krwawi; on nie jest śpiewakiem tylko pięknej bohater-skiej przeszłości, on jest jej ostatnim rycerzem, umierającym gladiatorem tej sprawy bez jutra. Samson nawspak — i Samson niemniej od tamtego ślepy — chce wbrew przeznaczeniu podeprzeć i utrzymać zachwiany gmach średnich wieków, i konwulsyjnym, rozpaczliwym wysileniem obejmuje ramieniem ten filar cesarstwa, najbardziej podkopany, najbardziej trzęsący się ze wszystkich, jakie tę budowę trzymały.

Hrabina. Kochany książę:

„tu lasci tal vestiggio,
Per quel ch' i' odo, in me, e tanto chiaro,
Che Lete nol può torre nè far bigio ¹⁾).

Nie zapomnę nigdy tego Dantego, który dziś po raz pierwszy tak mi się ukazuje czy objawia. Co za życie, co za przeznaczenie i co za dzieło!

Książę Silvio. Ażeby zmierzyć wszystkie ponure głębokie tego przeznaczenia, tak dziwnego, potrzeba nam jeszcze przypomnieć sobie wkońcu, że ten namiętny obrońca, ten niezłomny rycerz przeszłości, był przecież zarazem, pomimo tego — i pomimo swej woli zwłaszcza — robotnikiem najdzielniejszym, siewcą niespracowanym, budowniczym najpotężniejszym naszej nowszej cywilizacyi; że Jeremiasz wieków średnich był zarazem pierwszym geniuszem *Odrodzenia*! Epimeteusz XIV wieku odebrał także z rąk Pandory — z rąk swojej muzy — tajemniczą skarbony, a z tej skarboney wysypały się te siły, te idee, co miały podkopać i zwalić ów stary świat, któremu on chciał bądź co bądź wiernym pozostać, w którym położył całą swoją wiarę i całą swoją miłość!

¹⁾ Purgat. XXVI. 106. 108.

„Com od ciebie słyżał,
Tak mi się mocno i jasno wraziło,
Że tego Lete nie zaćmi ni schłonie.“

A więc przedewszystkiem zwróćmy uwagę na to, że ten kosmopolita, ten przeciwnik i nieprzyjaciel wszelkiej osobistości i indywidualności, wszystkich odrębnych, w sobie zamkniętych i skończonych narodowych jednostek i jedności, dziwnem zrządzeniem pracuje z największym zapalem, z troskliwością i gorliwością prawdziwie rozrzewniającą, nad tem, żeby krajowi swojemu wykształcić, wyrobić jeden narodowy język, żeby czternaście włoskich dyalektów przerobić i przełać na jeden typ szlachetny i piękny! W *Convito* jeszcze on wchodzi w kompromis z uprzedzeniami swego czasu i nie przeczy wyższości łaciny nad wszystkimi językami *pospolitemi*, które mają się do niej tak, „jak owies do pszenicy“¹⁾; w dziele *de Vulgari Eloquentia* już mówi, że mowa ojczysta, przyrodzona jest „piękniejsza,“ bo jest „naturalniejsza,“ a łacina już wydaje mu się cokolwiek „sztuczną“²⁾. Odłożywszy na bok wiele błędów i scholastycznych dziwactw, dzieło to *de Vulgari Eloquentia* okaże się pierwszą próbą nowej i dotąd nieznanej nauki, co autor sam czuje i zaraz na wstępie wyraźnie oznajmia³⁾; zawiera zaś niejedną myśl bardzo prawdziwą i trafną, a na owe czasy zadziwiającą. Choćby tę naprzykład, że już podówczas widzi Dante w języku francuskim szczególną przydatność do *prozy*, że się domaga rozdziału różnych narzeczy, tak zwanych *oc, oïl i si*, że chce, iżby język francuski, włoski, i hiszpański, rozwijały się odrębnie, każdy w swoim kierunku i w swojej właściwej osobnej indywidualności. Chrześcijaństwa „o wielu głowach“ nie chce i nie przypuszcza, ale pozwala na chrześcijaństwo o wielu językach!

Nigdy też nie zdołam zmusić się do wiary, jakoby Alighieri był zrazu myślał pisać *Boską Komedję* po łacinie. Wiem, że Boccaccio jest poręczycielem tej anegdoty i że nawet podaje trzy pierwsze wiersze tej mniemanej próby⁴⁾. Ale

¹⁾ Convito. I. cap. V.

²⁾ De Vulgari Eloq. I. cap. 1.

³⁾ Cum neminem ante nos de Vulgaris Eloquentiae doctrina, quisquam inveniamus tractasse... (de Vulg. Eloq. I. cap. 1.

⁴⁾ Ultima regna canam fluido contermina mundo
Spiritibus quae lata patent, quae praemia solvunt
Pro meritis cuique suis data lege tonantis.

jeżeli nawet Dante miał przez chwilę taką myśl, czy taką chętkę, to porzucił ją prędko, a wszystkie błagania i zakłęcia pedantów, żeby „muzie swojej dał godniejszą szatę“¹⁾, nie zdołały odwieść go od postanowienia, żeby „poemat święty“ napisać w ojczystym języku. Postanowienie błogosławione, które Włochom dało język, poezję, możnaby prawie rzec, narodowość, *nobis hanc patriam peperit!* I dlatego to każda włoska dusza do dziś dnia zadrży zawsze na wspomnienie Dantego i mówi do niego to, co Sordello mówi do Virgiliusza:

O gloria de' Latin..... pro cui
Mostrò ciò che potea la lingua nostra²⁾.

Niezgodność to zapewne z sobą samym, ale niezgodność wzniosła, geniusza, który chciał odbudowania uniwersalnej monarchii, a w tej samej chwili nie wahał się kruszyć najsilniejszego, najkonieczniejszego takiej jedności środka i narzędzia, uniwersalnego języka! Bo nie samym tylko natchnieniem poetycznem chciał Dante dawać wyraz w *pospolitym* języku, naukę samą chciał oddać w jego posiadanie. Wszakżeż on to śmiał rozebrać Scholastykę z jej uroczystej łacińskiej togi, i Oblubienicę Niebieskiego Króla, Jego Siostrę i Córkę ukochaną, Filozofię, oblec w prostą *pospolitą* odzież; on poważył się odsłonić tajemnice Seraficznej i Anielskiej Szkoły i przypuścić niuenczonych do tego, co było aż dotąd wyłączną własnością i chlubą, skarbem zazdrośnie strzeżonym doktorów i księży. Pod formą komentarza do swoich wierszy umyślił ułożyć, w *Convito*, całkowitą encyklopedyę wiedzy swego czasu, a o tem już przecie i wspominać nie trzeba, ile filozoficznej nauki i nauk rozsypał hojnie w *Boskiej Komedyi*. Że te nauki mają wartość względną tylko, że ta wiedza może nie być bardzo pewną i niewątpliwą, to prawda, ale to nie spra-

¹⁾ Jana de Virgilio oda (carmen) do Dantego:

Nec margaritas profliga prodigus apris,
Nec preme Castalias indigna veste sorores.

Op. min. I. p. 421.

²⁾ Chwało Latynów..... ty przez kogo
Potęgę swoją język nasz objawił.

Purgat VII. 16. 17.

wia, żeby nie był wspaniałym i wielkim zamiar, który śmiałego nowatora do tego przedsięwzięcia natchnął i nakłonił; nie daje nam prawa prześlepienia lub lekceważenia tego ducha wolności i prawdziwego liberalizmu (tej, jak on się sam wyraża, *pronta liberalità*), który go ożywiał ¹⁾). Proszę zobaczyć, jakie on w *Convito* robi gniewne i gorzkie wyrzuty tym uczonym i pedantom, co chowają światło pod korzec i dla siebie samych konfiskują prawdy najwyższe, co strzegą i boją się dotknięcia prostych ludzi i ich języka. W tej potrzebie jawności, w tem uwzględnieniu publiczności, w tym popędzie do rozszerzania, do propagandy, w tej *pronta liberalità*, czuć już pierwszy ożywczy powiew Odrodzenia.

A czyż nie on także, czy nie Dante, — jak to już kiedyś mimochodem trafnie wskazał Kommandor — dał początek i popęd temu połączeniu świata chrześcijańskiego z klasycznym, które później, w wieku XVI zwłaszcza, stało się główną Odrodzenia myślą i cechą? Kommentatorowie naszego poety byli niezmordowani w robieniu najściślejszego obračunku jego erudycyi klasycznej, długo i marnie rozprawiali nad pytaniem, czy Dante umiał czy nie umiał po grecku, albo czy tego lub owego łacińskiego autora znał z pierwszej lub tylko z drugiej ręki; robili bystre i subtelne rozróżnienia między jego łaciną w prozie a w eklogach; wszyscy na wysciigi odwoływali się do Boccaccia, który Dantego nazwa swoim „przewodnikiem i swoim światłem pierwszym,“ bo mu wskazał i rozjaśnił „humaniora“ i ich naukę. Na drobności takie możemy szczęściem nie zważać, ani się o nie troszczyć. Dość nam spojrzeć i przypomnieć sobie, jakie miejsce ogromne zajmuje starożytność w *Boskiej Komedyi*, w systemie politycznym Dantego, nawet w jego pojęciach i przekonaniach religijnych, nie dalej, jak w jego wyobrażeniach o zbawieniu i o łasce ²⁾), żeby poznać i uznać odrazu, iż od naszego wielkiego Florentczyka z XIV wieku poczęła się ta palingenezya klasyczna w naszej poezyi, w naszej sztuce, w naszej cywilizacyi całej, i we wszystkich jej kierunkach.

Niemniejszym zaś jest jego znaczenie i wpływ w in-

¹⁾ *Convito*. I. cap. VIII. initio.

²⁾ Zob. Część trzecią niniejszej pracy.

nym jeszcze a niemniej ważnym porządku rzeczy i spraw zakresie, w tym właśnie, który stał się zwykłym, tradycyjnym niejako polem bitwy dla naszych nowoczesnych europejskich społeczeństw; chcę mówić o wielkiej kwestyi stosunku Kościoła do Państwa. Gdyby oddzielić od politycznego systemu autora *Monarchii* to, co w nim jest ułudnego i utopijnego, pokazałoby się wtedy, że na dnie leży tam jasne i ściśle określone pojęcie atrybucyi władzy świeckiej i jej niezależności od władzy duchownej, obrona energiczna i stanowcza i śmiało domaganie się wobec Kościoła samego, praw zwierzchniczych Państwa w jego właściwym zakresie. Najgorszem dla człowieka byłoby — mówi nasz poeta — „jeśliby nie był on obywatelem“ ¹⁾, słowo znaczące, któremu podobne nie łatwo, sądzę, znalazłoby się u pisarzy wieków poprzednich. Jak również nie znalazłoby się u nich takiej wyrobionej, takiej całkowitej teoryi o Papiestwie i Cesarstwie, z tą zasadą tak stanowczo postawioną zupełnej, absolutnej tych dwóch władz równości, teoryi, wedle której one pochodzą, wypływają, rozszczepiają się i rozchodzą w dwa kierunki z jednego i tego samego punktu, z jednego wspólnego początku, którym jest Bóg ²⁾. Nie utrzymuję bynajmniej, jakoby ta teorya była bez zarzutu, grzeszy ona nieraz zbyt widoczną stronniczością i przesadą; ale co jest ciekawe, to, że w przedmiocie praw i prerogatyw władzy świeckiej ten gibelliński publicysta i poeta rozumuje zupełnie tak, jak legiści Filipa Pięknego, jak ci *chevaliers ès lois*, których z ich panem pospołu miał w takiej pogardzie i nienawiści. W tej kwestyi jest on takim nowatorem, tak rzekłbym nieledwie rewolucyjnym, jak Plaisian albo Nogaret.

Co w nim zaś nadewszystko nowe i rewolucyjne, to człowiek sam, to ta osobistość potężna, dumna, samotna, która występuje i o wszystkich sprawach wieku słowo swoje wyrzeka, która ze swojej wysokości naucza wszystkie narody chrześcijańskie, że zabłądziły w swojej drodze, która obwieszcza własne nauki i teorye, ogłasza w obliczu całego

¹⁾ Parad. VIII. 115.

²⁾ A quo (Deo) velut a puncto bifurcatur Petri Cesarisque potestas. Epist. V. op. min., III. p. 444.

świata swoje upodobania i swoje niechęci, stawia się jako sędzia żywych i umarłych, ludów i królów, cesarzy i papieży; rozdaje pochwałę lub nagane, piętno hańby albo wieńce chwały, skazuje do piekła jednych, a drugich powołuje do nieba — i to wszystko własną mocą tylko, prawem i powagą własnego geniuszu! Bo i to jeszcze zważać i pamiętać trzeba, że on swojej missyi nie odebrał od nikogo, tylko od siebie samego jedynie. On nie przemawia ani w imię króla, ani w imię prawa, ani w imię Kościoła, nie jest żadnego z nich myśli czy woli sługą ani stróżem: on jest poetą — i niczem więcej. Nie należy do żadnej znaczącej potężnej korporacyi, do żadnego zakonu, do żadnej uznanej i uprzywilejowanej szkoły; nie ma mandatu, nie ma nigdzie oparcia ni poparcia, nie ma nawet ojczyzny: jest wygnanym, jest tułaczem — i niczem więcej! W całych wiekach średnich, jak są, niema drugiego przykładu podobnego wyzwolenia się duszy ludzkiej od wszystkich związków i więzów społecznej, towarzyskiej, zawodowej czy hierarchicznej zależności, takiej potężnej afirmacyi siebie samego, wystąpienia i stwierdzenia siebie jako jednostki jako osobistości; nikt drugi przez cały ten ciąg wieków nie zdołał tak, jak on

aversi fatto parte per se stesso ¹⁾.

„Może zapytacie: któż on jest, ten, co nie lękając się kary „jaką poniósł Oza, śmie przykładąć rękę do Arki świętej i „wtym zachwianiu podpierać ją próbuje? Jestem z najmniejszych w owczarni Chrystusa; ale *czem jestem, jestem z łaski Bożej*, i jestem zapalony wielką o dom Pański żarliwością.“ Tak pisze Dante w roku 1314 do kardynałów, zebranych w Carpentras na *conclave* po śmierci Klemensa V: bo przy elekcji Papieża musi tak samo zabrać głos, jak go zabierał przy koronacyi Cesarza, tu, jak tam, odzywa się jego *vox privata* ²⁾. On otwiera szereg tych poetów i pisarzy głośnych, którzy odtąd będą się sądzili w prawie i obowiązku wyrokowania o wszystkich sprawach bieżących, przewodni-

¹⁾ Zob. wyżej.

²⁾ Jego własne wyrażenie w Liście do kardynałów. (Op. min. III. str. 486 i następne).

czenia ludom i nauczania królów. Szereg dziwny zaiste, w którym obok takich jak Dante i Milton, widzi się takich, jak Aretino lub Arouet; mieszanina osobliwsza najróżnorodniejszych talentów i charakterów, z których każdy przecież mniema i rości, że i jemu także godzi się i przystoi odezwać się ze swoim *homo sum, humani nihil a me alienum*.

Dziwne, bolesne przeznaczenie tego „jasnowidzącego“ z XIV wieku, który całą swoją wiarą i całą siłą swoich przekonań trzyma się przeszłości, a całym swoim życiem, całym swoim dziełem przygotowuje przyszłość! Konserwator zasadami, geniuszem nowator, on wywoływał właśnie te duchy które zażegnywać chciał i mniemał, i przyspieszał tylko przyjście tego stanu rzeczy, który wszystkimi instynktami odpychał, który wszystkimi siłami chciałby był odwrócić i odeprzeć. Ze wszystkich utopistów najnieszczęśliwsi, najbardziej do pożałowania są podobno ci, których utopią przeszłość, którzy ideał swój po za sobą mieszcząc, chcieliby wskrzesić wieki upłynione. Najbardziej do pożałowania, bo nie mają tej nawet pociechy i tej nadziei, jaką innym marzycielom daje przyszłość niepewna i nieokreślona; oni nie mogą na przyszłość liczyć i do niej się odwoływać, nie mogą mówić, że z postępem, że z biegiem czasu który tyle zmienia i tyle sprowadza, może kiedyś sprawdzić się i ich marzenie, ich ideał stać się rzeczywistością; a każde nowe pokolenie, następując po dawnym, zadaje tylko nowy fałsz, nowe zaprzeczenie wszystkiemu, czego się spodziewali, wszystkiemu, w co wierzyli. Ze wszystkich zaś takich utopistów przeszłości najwznioślejszym i najtragiczniejszym był Dante; własnymi rękami pracował całe życie nad obaleniem stanu rzeczy, który miał i głosił za jedyny prawdziwy, za jedyny dobry, za wiekuisty, a wszystko dzisiaj, wszystko, i sama nawet nieśmiertelność jego arecydiele, świadczy, że jego ideał był tylko marzeniem i marnością...

Kiedy książe Canterani przestał mówić, nie dał się słyszeć żaden głośny okrzyk, ani żaden nawet cichy szmer pochwał i powinszowań; ale gdyby mowca powiódł był okiem po swoich słuchaczach, byłby mógł dostatecznie przekonać się

o wrażeniu, jakie na nich zrobił. Słuchacze pozostali w milczeniu, każdy na swoim miejscu, każdy zamyślony i jakby przygnieciony ciężarem smutnych uwag i myśli. A kiedy wreszcie hrabia Gérard przerwał powszechną ciszę, to i on sam nawet odezwał się z powagą smutną, która u niego zwykłą nie była:

— Utopista przeszłości! A czyż my wszyscy, w różnych rodzajach i stopniach, nie jesteśmy tem samem co on! czy ten tragiczny przykład Dantego nie rozstrzyga sprawy na korzyść naszych przeciwników dnia dzisiejszego? Oni przecież także powtarzają nam zawsze i na wszystkie tony, że walczyć z przeznaczeniem, to głupstwo, a opierać się duchowi czasu, daremno!

Polak. Na to odpowiedzmy im, jak Göthe: „to, co nazywacie duchem czasu, jest może tylko waszym własnym „duchem“¹⁾. Że, jak pięknie wyraził się de Maistre, ściąga się czasem i skraca łańcuch na którym uwiązani jesteśmy do tronu Bożego, że nasza kula ziemską i nasza ludzkość odbiera czasem tajemnicze pełnienie i wstrząśnienie z ręki „Przedwiecznego Geometry“ — czyż mamy już dlatego lada zawieruchę nazywać potopem lub trzęsieniem ziemi? czy to powód, żeby w każdym zaburzeniu widzieć zaraz i uznawać rewolucyę, albo może rewelacyę jeszcze, jak niektórzy robić gotowi? Że taki wielki duch, taki geniusz, jak Dante, mógł pomylić się i zabląkać, w tem jest dla nas wielka nauka pokory; ale niema, nie powinno być pozoru i usprawiedliwienia niby dla zaparcia się siebie, dla odstępstwa, dla apostazji. W epoce takiego, jak nasze, obniżenia charakterów i pomięszania umysłów, najpewniej jeszcze, najbezpieczniej trzymać się wiernie tego, co przeszłość kochała i ceniła. Bo wtedy jedno przynajmniej ocalonem i całem zostaje: godność, honor. I lepiej jest zawsze z takimi jak Dante, mylić się, a choćby i upaść, niżeli z takimi, jak Nogaret, tryumfować:

¹⁾ Was ihr den Geist der Zeiten heisst,
Das ist in Grund der Herren eigener Geist.

cader tra buoni è pur di lode degno ¹⁾!

Komandor. A zresztą, czyż nie jesteśmy już zupełnie „utopistami przeszłości“, choćby przez to samo tylko, że myślimy o tem, co piękne, co dobre, co prawda? — że mówimy o Dantem, o Rafaelu, o Michale Aniele w tych czasach „żelaza i krwi.“

Mentre che l' danno e la vergogna dura ²⁾).

Księżę Silvio. Masz słusność, przyjacielu! W takich czasach, jak nasze, dopiero, i bardziej niż kiedykolwiek, potrzeba ze wszystkich sił trzymać i kochać swoje utopie, większe czy mniejsze...

Ale kiedy o utopiach mowa... pani Hrabino! kiedyż zacznieś Pani uczyć się po grecku?

¹⁾ Dante: Canzone XIX. op. min. I. str. 215.

wśród dobrych poledz także jest chwalebnie.

²⁾ Dopóki u nas podłość, bezwstyd grzechu.

(Michał Anioł, epigram na posąg *Nocy*, przekład Luc. Siemieńskiego, Kraków-Cieszyn 1861).

Tłóm. *St. Tarnowski.*

ODRODZENIE I REFORMACYA W POLSCE.

Pięć prelekcij publicznych *Józefa Szujskiego*
w zimie r. 1880.

Nie byłbym się nigdy podjął zadania tak trudnego, tak zupełnie nowego, jak to, które dzisiaj na mnie włożono, gdyby nie okoliczność, że studia w tym kierunku są zapewne nie przypadkowo na porządku dziennym zachodniej nauki w Niemczech, Francyi, Włoszech i Anglii, że więc do paralel z tej strony jest pomoc, i że się niemi sam przynajmniej częściowo zajmuję, trudniąc się od lat kilku, na podstawie własnych poszukiwań i bogatego materiału, który mi p. Stefan Muczkowski ze spuścizny znakomitego uczonego ś. p. Józefa Muczkowskiego powierzył, dziejami naszego Uniwersytetu w XV i XVI wieku. Materiał ten tyczy się wyłącznie organizacyi, uposażenia i karności Uniwersytetu; jest on wyborny, bo mozolnie z pierwszych źródeł czerpany; oprócz sprawdzenia go, moim obowiązkiem było przede wszystkim badanie historyi nauki, jako rzeczy najważniejszej a pominiętej, bo śmierć przerwała żelazną pracę uczonego badacza. To, co dzisiaj daję, ułatwione też zostało pracą Akademii. Bez katalogu druków XVI wieku p. K. Estreichera, bez katalogu manuskryptów Biblioteki Jagiellońskiej

p. Wiśłockiego, bez wielu innych prac, które wydała, nie powiedziałbym nawet tego, co dzisiaj i w następnych lekcjach powiedzieć będę mógł; to zaś, co powiem, będzie dopiero pierwszą próbą odpowiedzi na wielkie zagadnienie, które stoi na tytule.

Kolebki humanizmu szukać należy tam, gdzie kolebka i ognisko naszej zachodniej cywilizacji. Z Włoch poszedł humanizm na cały świat, a jaka była jego doniosłość, na to nie wystarczyłyby frazes choćby najlepiej utoczony, wypowiedziany dzisiaj, to w całości wykładów, z przykładu na Polsce będę chciał szanownym słuchaczom unaocznić. Do mego zadania należy przedstawić wpływ wielkiego kierunku, gdzieś indziej powstałego, na kraj daleki, do zachodniej cywilizacji należący, najdalszy od wielkiego zachodniego ogniska. Tutaj koniecznością się staje prawie już dla tego, aby upatrzeć moment właściwego chwycenia rzeczy, powiedzieć słowo o teorii, opartej na doświadczeniu wieków, wpływów takiego rodzaju.

Otóż niepodlega wątpliwości, że każdy wielki kierunek, który działa na umysłowość ludzką, działa na całego człowieka, na jego rozum, uczucie, wolę, fantazyę, na wszystko, co z człowiekiem w związku, od najwyższych jego aspiracyj aż do codziennych jego funkeyj, od stosunku do najwyższych zagadnień jego natury, aż do stroju i sposobu życia. Co się z takich nowych wielkich kierunków umysłowych oddalonym i o wieki całe co do przeszłości rozwoju różnym udziela, oto to, co najzewnętrniejsze, to co najjaskrawsze, a nawet najczęściej to, co najgorsze. Gdzie się udziela? Tam, gdzie się udzielić może, wyżynom społeczeństwa, które z owym oddalonym wpływem mogą być w stosunku, gdy masa jeszcze niezmiernie od niego daleka. Jeżeliby mnie zapytano o najdawniejsze wpływy pierwotnego odrodzenia włoskiego na Polskę, odpowiedziałbym, że są i są wedle tej miary. Są w wpływie Andegaweńskiego dworu Karola Roberta na Elżbietę Łokietkównę i Kazimierza Wgo, są w tych cienistych rysach, które nam o miękkiej tej zresztą i dobrej kobiecie, i o tym wielkim i mądrym królu historya przekazuje; są w rysach, jakie nam przekazuje Janko o dygnita-

rzach polskich za czasów Elżbiety, np. o owym świetnym, od złota kapiącym dworze Zawiszy z Kurozwąk, są nawet w sprawie królowej Jadwigi, która sama jedna, czysta i święta prawie, wychodzi z ruiny Andegaweńskiego domu. Z tym wpływem obyczajowym i moralnym łączy się pierwsze wprowadzenie z zagranicy tych rzeczy, które się genialnemu człowiekowi, jak Kazimierz W., wydają koniecznymi w kraju, gdzie rządzi, więc wprowadzenie rzymskiego prawa na Uniwersytet krakowski, podówczas założony, któremu poświęca wraz z kanonicznym wszystkie katedry Uniwersytetu najlepiej uposażone, prócz dwóch dla medycyny, jednej dla sztuk wyzwolonych. Gdy też Karol IV stoi w posuniętych naprzód Czechach w stosunkach z Petrarką, u nas Petrarca i Dante zawczesny, u nas trzeba praw! u nas Kazimierz tylko legistów szuka.

Zaznaczamy tu pierwsze technienia humanizmu w Polsce. Wymagałyby one osobnej lekcji... a dzisiaj obyć się bez nich może, bo od nich do pełnego rozwoju humanizmu, do znajomości Petrarki, do pierwszego wspomnienia o Dantem, jakże daleko! Jako reakcja po nich przyszła pełna średniowieczyzna czasów Zbigniewa Oleśnickiego i Długosza. Ale potęga takich kierunków, jak humanizm, nie da się wstrzymać — i oto w sto przeszło lat po założeniu pierwszym Uniwersytetu w Krakowie, posłuchajmy, co mówi Długosz. Poprowadzi nas to *in medias res* naszego przedmiotu.

Pod r. 1466, tuż przed wyrażeniem patryotycznej radości swojej z odzyskania Prus t. z. królewskich, traktatem toruńskim, poświęca podeszły już w lecach Długosz wymowny ustęp zepsutym obyczajom Polaków. Jest tam wiele zrządzenia starości, bo zaczyna od narzekania na odwrócone w długich kędziorach włosy i upstrzone wstążkami tuniki męskie, na niewieścią mężczyzn strojność i miękkość, która nam przesuwą przed oczy, jakby jeden z obrazów umbryjskiego mistrza Pinturicchio: kreślącego zręcznym i powabnym pędzlem młodego Eneasza Sylwiusza strojne, opięte, pstrokate i pretensjonalne otoczenie. Ale od stroju idzie Długosz dalej, do zbytku, rozrzutności i łakomstwa, od łakomstwa, do grabie-

ży, a ztąd do buntu przeciw najsprawiedliwшему porządkowi spraw ludzkich, oczywiście duchownemu, bo zaraz dodaje, że zepsute to pokolenie źle myśli o prawach bożych i kościelnych a zamiast siebie poprawiać, poprawia zwierzchników. Zły język Polaków, który im już raz na początku dzieła, przy charakterystyce szlacheckiego narodu wyrzucał, wyśmiewa wieczne porządki, niewierzy już groźbom pism świętych, na zbawienie duszy i rzeczy ostatnie się nieogląda. Nie po rozumie też, godności i zasłudze, ale po arrogancyi idzie dzisiaj zajmowanie stanowisk w społeczeństwie. Żle się dzieje, oto ostatni sens tego ustępu, a kara boska niechybnie ludzi spotka.

Cóżbyśmy dali za to, żeby Długosz nie był tak lakonicznym w tym ustępie, żeby nas wprowadził głębiej w tajniki tego poczynającego się złego, które w ogólnikach, jakie nam podaje, wygląda jak narzekanie sługi katolickiego kościoła na wiek reformacyi, na wiek prawie przed reformacją pisane. Skoro tego nieuczynił, wejść nam przyjdzie samym, o ile nas stać na to w badanie tego ustępu, wytlómaczenie, co sobie poważny kanonik krakowski, uczeń pierwszych dziesiątków lat Uniwersytetu krakowskiego, przyjaciel, wielbiciel i sekretarz Zbigniewa Oleśnickiego, myśleć musiał, co rozważać, gdy przychodził do tego złamania laski sądu historycznego nad pokoleniem, którego politycznemi powodzeniami tak się cieszył.

W pierwszej linii stawia się też zwykle fakt, że pisanem to było po śmierci Zbigniewa, którego wielka i potężna rola w kościele i państwie była dla Długosza najwyższym ideałem, nec plus ultra doskonałości ludzkiej, kierującej się wskazówkami doskonałości Bożej; że pisanem było po odbiegnięciu jego chorągwi przez wielu z tych samych, którzy jako duchowni stać byli przy niej powinni, jak Oporowski, Gruszczyński, Lutek z Brzezia; że pisanem było po zaciętej zasadniczej walce króla z ostatnim reprezentantem kierunku Zbigniewowego, Jakubem z Sienna i samymże Długoszem, ukrywającym się przed mściwą ręką królewską na melsztyńskim zamku; że pisanem było po głoszeniu już wielokrotnem zasady: *salus reipublice suprema lex*; po gwałceniu wolności i nietykalności kościelnej przez króla i doradców

jego podczas wojny pruskiej, zabieraniu srebra i złota z skarbców kościelnych, wśród krzyków, że duchowieństwo do różnych z świeckimi prestacyi pociąganiem być winno. Człowiek zasad statutu Mikołaja Trąby 1420, głoszącego zupełną Kościoła od świeckiego społeczeństwa niezależność, absolutną jego wolność i nietykalność, człowiek praktyki episkopalnej Zbigniewa, pociągającej Senatorów do odpowiedzialności za nieodbyłą w czasie spowiedź a książe szlaskie za złe pożycie małżeńskie, nie mógł inaczej patrzeć się na nowy wiek i czas, na czas, gdzie w obliczu królewskim toczono religijne dysputy wobec ulubionego żyda królewskiego Zula i Mirzy tatarskiego, gdzie ten król sprzeciwiającemu się w sprawie elekcji biskupiej Sędziwojowi Czechelowi groził gniewnie: Obnażę cię ze wszystkiego, jak ten palec mój; gdzie głoszone zasady, że Polska Stolicy Apostolskiej żadnej właściwie niewinna obedyencyi, gdzie pod najostrzejszymi karami wzbraniano głosić klątwy kościelnej przez nuncyusza papieskiego rzuconej; gdzie na dworze królewskim obok reprezentanta średniowieczyzny, Jana Długosza, w łaskach i względach był Filip Kalimach, wywołaniec z Włoch o zamachy przeciwko papieżowi knowane.

Znajdują więc słowa Długosza łatwe na razie wytłomaczenie za pomocą kilku nawet rysów współczesnych. Pojmuje się, że gdzie tak zaczynało być na górze, tam i na dole języki rozpuszczonemi być zaczynały. Pojmuje się, że człowiek innego wieku i innych zasad człowiek głęboki i czysty, nie tylko coraz bardziej na świat narzekał, nie tylko się w nim coraz bardziej czuł obcym, ale skłopotaną myślą szedł do początku złego, chociaż tych początków nie wypowiedział, owszem tendencyjnie, aby niedawać zgorszenia, aby niedawać pobłogi psującemu się pokoleniu, zamilczał je. Oto wykluczył z swojej historii najstarszemu to wszystko, co mu się wydało początkiem kierunku, tak bolesne na jego starość wydającym owoce, wykluczył ile mógł spór w Kościele, państwach i uniwersytetach (także krakowskim) w kwestyi stanowiska papieża do koncyliów toczony, przemilczał, ile mógł, objawy husyckie w Polsce; przemilczał kwestyę prezentowania na beneficya; przemilczał kardynałat Zbigniewa od Feliksa i deklarację jego za

neutralnością wśród dwóch papieży; przemilczał świetne legistów polskich na koncyliach wystąpienia, przemilczał, uniknął starannie wszelkiego wspomnienia stosunków, które jego i Zbigniewa łączyły z kierunkiem humanistycznym, tak wpływowym już i potężnym wśród owych pamiętnych walk kościelnych. Przemilczał, jak w następnej opowiadaniu, gdy się z królem pogodził, gdy do rodziny jego pocziwem sercem się przywiązał, starał się osłonić wiele rzeczy jaskrawych, przesunąć między niezmiernymi trudnościami swego stanowiska, często z oczywistą szkodą swojej wartości historycznej, z schodzeniem prawie na dawnych annalistów stanowisko, które z takim talentem, z takimi dowodami uzdolnienia historycznego opuścił.

Dzisiejsza historia przemilczeć nie może. Zaczepiając właśnie o te charakterystyczne umyślne przemilczenia, musi ona stwierdzić, że Długosz przemilczając na swoim stanowisku myślał trafnie i głęboko. Tak jest: Polska wychodząc z XIV wieku z tym zasobem europejskiej cywilizacji, jaki jej napędzała przez potężną swoją działalność umiała dać Kazimierz Wielki, powołana do wielkich przeznaczeń przez ludzi jego szkoły przyzwaniem W. ks. litewskiego na tron polski, weszła z właściwą młodym i świeżym narodom energią w koncert spraw i kwestyi europejskich, chłonąc w siebie z łakomstwem takim młodym narodom właściwą, wszystko, co jej podawała Europa. Ztąd za przewodnictwem Uniwersytetu krakowskiego, założonego przez Kazimierza W. wyłącznie prawie dla nauk prawnych, trwającego zaś tutaj na zamku krakowskim, prawdopodobnie bez przerwy aż do 1400, zastęp przedewszystkiem legistów w kanonicznym i rzymskim prawie biegłych, ztąd za reformą jego w r. 1400 na przeważnie teologiczny, zastęp teologów i kanonistów, z energią młodości przejmujących się kierunkiem wyłącznie teologicznym, ztąd wczesny i świetny udział naszych legistów w obradach synodu konstancyeńskiego, udział stający po stronie radykalnej tak w sprawie Husa, jak w sprawie Krzyżaków z Polską, ztąd takiż udział naszych kanonistów i teologów w koncylium Bazylejskiem, oświadczających się znowu za skrajną *zasadą*: wyższości koncylium nad papieża. Młode narody, w skrajnościach się obracają, zawsze chwy-

tają, co najświeższe i najjaskrawsze. Ztąd nareszcie bardzo wczesne, zadziwiające prawie wcześnością sympatye dla humanizmu italskiego, poddawanie się jego wpływowi, rozbijanie się za jego płodami, właściwe inteligencji najwyższej środka XV wieku.

Jeżeli więc Długosz doczekał się przewrotu wyobrażeń i pojęć w drugiej połowie XV w., ten przewrót był przygotowany zasadniczymi kwestyami toczącymi się w jego pierwszej połowie i udziałem w nich jego najbliższych, którzy wprowadzili cofnęli się i okopali w fortecę zasad średniowiecznych, wywiesili na tym ostatnim krańcu katolickiego Chrześcijaństwa za przewodem Marcina V i Eugeniusza IV sztandar Grzegorza VII i Innocentego III, ale sami nosili piętno przebytych rewolucyj kościelnych na sobie, sami też rzucili w szerokie koła całą garść nowych wyobrażeń i pojęć, które się następnie przeciwko nim obróciły. Znaczącem też, pełnym interesu jest stósunek, jaki wiązał najwybitniejszego człowieka pierwszej połowy XV wieku w Polsce, Zbigniewa Oleśnickiego, Kardynała Eugeniusza IV, Antypapy Felixa i Mikołaja V, filar średniowiecznego w Polsce porządku z jednym z najwybitniejszych ludzi na zachodzie, stronnikiem zasady wyższości koncyliów nad papieża, potem odwołującego tę zasadę w słynnej *Retractacio*, w końcu pierwszego papieża humanisty Piusa II, Eneasza Sylwiusza Piccolomini. Wiążą u nas początek odrodzenia z Grzegorzem z Sanoka, daleko słuszniej, sprawiedliwiej, bo donośniej, w skutkach wiązać go należy z wpływami pierwszymi bazylijskiego koncylium na Polskę i stósunkiem Eneasza z Zbigniewem. Z targowicy to książkowej bazylejskiej, słynnej niestety także z towaru zepsucia wszelkiego rodzaju, płyną pierwsze kodexa humanistów do Polski, kodexa uprzedzające rozbięcie konstantynopolitańskie i ucieczkę greckich uczonych do Włoch, płyną łacińskie pisma Petrarki i Boccaccia, kodexy Ciceroua i Lukana znaczone imionami polskich gości bazylejskich, tuż obok kodexów mieszczących protokoły tego pamiętnego, a smutnej w dziejach pamięci zjazdu, tuż obok dzieł Gersona, Piotra d'Ailly, Clémangisa. Dla Polski, a dla Zbigniewa Oleśnickiego w szczególności przygotowuje Eneaszy Sylwiusz w r. 1450, podówczas

jeszcze biskup seneński pierwszy najdawniejszy zbiór swoich jako cudo humanistycznej sztuki pisania sławionych listów, a okoliczności towarzyszące tej skwapliwości, prowadzą nas głęboko do zrozumienia, jakie już podówczas na wyżynach społecznych Polski wobec humanizmu zajmowano stanowisko.

Oto co pisze Eneasza na prośbę Zbigniewa o zbiór jego listów, prośbę osłodzoną przesyłką kosztownego sobolowego futra. Powinszowawszy kapelusza kardynalskiego właśnie w r. 1449 do Polski przywiezionego, woła, chwając tekst listu Zbigniewowego: Niemniejszym zaiste jest, od wysłownienia Włochów, Polaków wysłownienie. Pod niebiosami mi wynosić ten naród, co odgraniczony od Włoch Niemcami i Węgrami, uprzedził tamtych i dostał się do źródła. Niechętnie tylko przygotowuję mój zbiór listów, bo niedosyć utoczony i na twój sposób wygładzony się wydaje. Ujrzysz, że większa moja reputacja niż istota, zapytasz może, czego piszę. Choruję na wspólny grzech. Wszyscy, uczeni i nieuczeni piszemy! Pochwały owe Polaków trzeba brać *cum grano salis*, z krytyką; pochodzą one od Eneasza, który o ile wówczas politycznie do Zbigniewa chciał się zbliżyć, o tyle ze względów polityki nie lubił Czechów i Polaków.

Kodeks przybył dopiero następnego roku do Polski, odpisywany tu wielokrotnie, rozrzucony po licznych manuskryptach. Przyszedł z słynną rozprawą: O nędzy dworaków, z sławnym romansem humanistycznym: O Euryalu i Lukrecyi, z listem niejednym, dosyć w wyrażeniach hazardownym. Towarzyszył mu list podówczas już biskupa Seneńskiego. „Szłę je (listy) nie w celu otrzymania pochwał, ale w celu poddania ich twemu surowemu sądowi. Nie tam nieznajdziesz godnego twoich obyczajów i stanowiska, są to listy świeckie a nie biskupie, gra oto! młodzieńców niewtajemniczonych jeszcze w świętości kościelne, rzeczy pisane wtedy, gdy byliśmy aż zanadto świeccymi.“ Ma rację najzupełniejszą, są to listy owego gładkiego i pełnego nadziei młodzieńca, którego oglądamy na Pinturicchia obrazach, owego genialnego Włocha, który wśród mniej wykształconych Niemców dobija się kariery. Odpisuje też na przesyłkę Zbigniew Oleśnicki dopiero w r. 1453, przeczytawszy kodex dorywczo, wśród prac niezmiernych politycznych i kościel-

nych, jakie miał na barkach, często, jak opowiada, późną nocą ślęcząc nad ciekawą księgą. — „Wielka twoja zdolność Eneaszu, pisze, i niezmierna swada wysłowienia. Masz słowa w mocy, więcej u ciebie myśli, niż słów. Odkąd na piśmienictwie znać się począłem, nienawidziłem zawsze tych, co traktując rzecz, starają się o *dwuznaczność* i *niejasność*, że ich zaledwie najbaczniejszy umysł zrozumie. Ale przyznaję, że wtedy uważam cel pisarza i mówcy za dopięty, gdy *powaga* towarzyszy mowie, gdyż bez powagi nie ma ani wiary słowu, ani jego dłuższego wpływu.“ W dalszym ciągu mowa o właściwym poetów stanowisku, jako przyprowadzających moralny cel obrazami fantazji i pięknoscią słowa, oraz polemika o Władysława Warneńczyku, tutaj nienależąca. A więc coś jakby delikatna krytyka całego humanistycznego kierunku, coś jakby szukanie i wskazywanie drogi między niejasnością i subtelnością scholastycznej erudycji, a tą zbytnią wolnością słowa, którą od pierwszej chwili odznaczyli się humaniści; wszystko to zaś w liście starannej cycerońskiej konstrukcji. Jakoż w odpowiedzi na to następuje nie list, ale rozprawa cała Eneasza, która sama jedna weszła do jego zbiorów listów i wydań, *obrona poetów* starożytnych i humanizmu, obrona poparta cytataми autorów klasycznych i Ojców Kościoła, obrona wymierzona przeciw powstającemu w szeregach średniowieczyzny krzykowi na zepsucie obyczajów, na pojęcia niechrześcijańskie szerzone przez humanizm. „Co dziwnego, że mądrość świecką dla piękności jej wysłowienia, dla nadobności jej kształtów, z niewolnicy i poganki, chcę uczynić Chrześcianką, a co w niej śmierci, bałwochwalstwa, błędu, namiętności zmysłowej, odcinam i ścięram, że z niej staram się wydobyć plód nowy, czysty Panu Zastępów, aby wyszedł na pożytek rodzinie Chrystusa!“

Tak rozumowali dwaj wielcy i znakomici ludzie w środku wieku XV, godząc się prawie na jedno, mniemając, że należy usunąć z nauki i słowa ową szkolną i kastową tajemniczość, która rozwinęła się w średnich wiekach; należy użyć autorów łacińskich i opartego na nich swobodnego, płynącego strumieniem pełnym słowa wykształconych na nich humanistów, byle zachować wiarę, byle pamiętać zawsze, że to ma się dziać w służbie Chrystusa i Kościoła, służyć

jednemu i drugiemu. Tak rozumowali, przeczuwając owoce bujne, nadzwyczajne tego małżeństwa chrześcijańskiego ducha pełnego średniowiecznej siły i głębokości, pełnego rdzennej namiętności i uniesień, z wykopanym posągiem pogaństwa takich pięknych i godnych miłości kształtów. W zakresie nauki w istocie niesłychane, od uczoności Walli i Marsyliusza Ficina do odkrycia Kopernika; podróży Vasco de Gamy i Kolumba; niesłychane w zakresie sztuki od prób Giotto, Masaccia i Mantegni, przez okres Peruginów i Franciszów do Michała Anioła, Rafaela, Leonarda da Vinci, Tycyana i Correggia, od la d'oro do kopuły św. Piotra; ale tam wśród narodów nowych, młodszych, gdzie nie było tyle duchowej równowagi, gdzie bezpośredniem było uczucie a mniej głęboką wiedza, gdzie to, co nowe a piękne, chwyta człowieka gwałtownie, jednostronnie, pędzi do ostatnich swoich konsekwencji, każe wyciągać wnioski niedojrzałe ale skrajne i zuchwałe, gdzie się jest albo bezwzględnie posłusznym powadze, albo ściska na nią pięść i zrzuca, jak młody lew wydobywający się z więzienia; gdzie się nie odróżnia idei od ludzi, gdzie nieprzypuszcza się, aby spółcześnie można być wytwornym miłośnikiem pogaństwa i Chrześcijaninem z zasady, gdzie wielkie ruchy o jednej myśli stają się tem łatwiej epidemicznymi, im mniejszy w ogóle kapitał tych myśli, tej wiedzy, tego wszechstronnego, wielkimi napiętrzonego rozwoju, jakie tam co najmniej różne miały być owoce Chrześcijaństwa, biorącego w gorącej miłości ślub z wytworną, zasypaną przez wieków dziewięć, piękną zaiste jak Wenus Medycejska umysłowością pogańską, ślub o którym mówi Eneas Sylwusz, a z którego dobrych skutków się spodziewa!

Po badaniach ostatnich protestantów i katolików, Niemców i Francuzów, odpowiedź dzisiaj prawie nie ulega wątpliwości. Owocem tego ślubu, owocem humanizmu była reformacja, było odpadnięcie od Rzymu połowy Niemiec, Anglii i Szwecyi, zachwianie się nadzwyczajne Francyi i Polski, gdy pozostały przy katolicyzmie kraje Romańskie, Włochy i Hiszpania, gdzie pomimo inicjatywy walki, pomimo najsroźszych jej w samym duchowieństwie objawów, pomimo

najgwałtowniejszych antytez summa prawowierności zwyciężyła, humanizm ostatecznie pozostał w służbie Chrystusa.

Nie przeczuwał tego nawet tak głęboki i mądry człowiek, jak Eneasz Sylwiusz, nie przeczuwał oczywiście i Zbigniew. Wszakże w zapasach z bezpośredniem niebezpieczeństwem, hussytyzmem i idącym w ślad za nim narodowym kościołem Rokiczany, humanizm najlepsze oddawał zasługi. Wszakże głównym ich pogromcą był humanista umiarkowany, Eneasz Sylwiusz, nieprzyjaciel Czechów, a mimo pięknych słów do Zbigniewa, nieprzyjaciel Jagiellonów i Polski, podejrzanych o sympatyę do Czech, a rywalizujących z świętem rzymskiem Cesarstwem. Wszakże humanistami byli Mikołaj Lasocki i Jakób z Sienna, najwięksi ówcześni ultramontanie polscy, wszakże i Długosz, piszący za granicę do Stefana Hohenberga i Kwiryna Baldo do Wenecyi, przywdziewa odświętną humanizmu szatę, mówi o Junonie i Lucynie, rozczytuje się w sprowadzonym z Węgier Liwiuszu. Wszak Andrzej Gałka z Dobczyna, chociaż mistrz sztuk wyzwolonych, i przyjaciele ukryci hussytyzmu w Uniwersytecie krakowskim, humanistami nie byli, byli przekręcaczami Pisma świętego dla doktryny Wikliffa i mistrzów praskich, gwałtownymi reformatorami Kościoła, gotowymi żagiew buntu rzucić w społeczeństwo, gotowymi nie obwijać zdania swego w pięknie ustawioną łacinę, ale miotać wiersze na papieża i hierarchię kościelną w języku polskim, w języku ludu, aby się dostały w sfery szerokie i niosły ów bunt i pozołę. W ludziach tych logika Averroizmu, tendencye Gersona, D'Ailly'ego, Clemangisa, uderzały taranem w misterną budowę średniowieczną; humanizm niósł z sobą niechęć głęboką do tych przesad sekiarskich, niósł podówczas ideę monarchii do Kościoła; aliantem, sojusznikiem wydał się Kościołowi i Zbigniewowi Oleśnickiemu, byle wytworności, jak mówił, towarzyszyła powaga, byle bajki poetów nie kłóciły się z rygoryzmem kościelnym.

Nie spostrzegli wielu mężowie, nie spostrzegli, bo sami byli pod wpływem jego czaru, że humanizm niósł z sobą to, czego Averroizm arystotelesowski nie niósł, niósł odwrócenie myśli, uczuć, wyobraźni od Chrześcijaństwa, napełnienie jej myślami, uczuciami, obrazami pogańskimi. Filozofia

scholastyczna, arabskim Arystotelesem potracona, działała na rozum; rozum, kierowany sercem pełnem chrześcijańskiego uczucia, zwrócił się cały do pogodzenia myślenia z wiarą i to mu się udawało nawet tam, gdzie się z Kościołem pokłócił. Humanizm, jako taki, nie zaczepiał wiary, owszem, wywoływał najcudowniejsze kombinacye myśli chrześcijańskiej z myślą pogańską, platonizmu z chrystyanizmem, mitologii greckiej i rzymskiej z chrześcijańskimi wierzeniami, że tu wspomnę płody jego poetyczne, wiążące Apolla z Chrystusem, lub stwarzające nad bohaterami epopei mieszany świat pogańsko-chrześcijański, że wspomnę owo *capo di opera* sztuki włoskiej, Sąd ostateczny Michała Anioła, pełen posagowej nagości starożytnej. Nie zaczepiał on też i średnio-wiecznej budowy świata, jak mógł ją argumentacją zaczepiać legizm rzymski od Tadeusza di Suessa do naszego Pawła Włodkowica, owszem, mógł walczyć nawet w jej obronie przeciw wywodom legistów z tą obrotnością i świętnością, którą mu dawała jego wymowa. Ale humanizm, chwytając potężnie cały umysł ludzki w podziemną, pełną czarów pielgrzymkę po dziedzinie starożytności, drażniąc jego naiwną podówczas, młodą, nienasyconą ciekawość obrazami jej życia w każdym kierunku, rozbudzając krewkość i zmysłowość tych potężnych fizycznie organizmów średnio-wiecznych, wyzywając do naśladowania i stosowania natychmiast tego wszystkiego, co się na pierwszy rzut oka nasuwało, bo o głębokiem zbadaniu starożytności mowy być podówczas nie mogło, wiódł w życie codzienne, społeczne, polityczne, literackie, religijne, z nadzwyczajną szybkością, tem większą, im świeższą była rola, na której był zasiewany, mnóstwo w oryginalny sposób często do niepoznania przetworzonych pojęć, zapatrywań, obyczajów starożytnych, niósł zaś przedewszystkiem gwałtownie się szerzące, po walkach religijnych pierwszej połowy XV wieku, tem łatwiej się tłómaczące, osłabnięcie gorącego tętna religijnego, ciepła chrześcijańskiego, żarliwości w nabożeństwie i praktykach kościelnych. Jeżeli nie brakło wypadków, gdzie się kierunek ten do zupełnej harmonii z chrześcijańskim zapatrywaniem na świat układał, gdzie wziętym był pod rząd zasad chrześcijańskich, albo jak w umyśle Eneasza po długich walkach do

takiej harmonii powrócił, to przeważały coraz bardziej te, gdzie się działo przeciwnie, gdzie się ta chrześcijańska harmonia naruszała, narażając człowieka na sprzeczność z jego stanowiskiem, gdy np. był duchownym i wysokim dygnitarzem kościelnym, gdzie ten humanista duchowny stawał przy świeckiej władzy przeciwko kościelnej, jak Lutek z Brzezia przeciw humaniście Jakóbowi z Sienna; radził zabór sreber kościelnych, jak Jan Gruszczyński, lub jak Grzegorz z Sanoka, będąc arcybiskupem lwowskim, wyglądał na sentencyonalnego starożytnego mędrca, na filozofa raczej, niż na pasterza dusz rozległej i ważnej dyecezyi.

Ale powie ktoś, gdzie ślady tego humanizmu w nauce? Będziemy o nich mówić niżej, tutaj dążymy tylko do wykazania, jak humanistyczne wyobrażenia dostawały do Polski, jak się mogło stać i co spowodowało, iż Długosz pod r. 1466 notuje upadek religii, powagi i zasad kościelnych, upadek obyczajów, lekceważenie zbawienia. Upadku tego i lekceważenia nikt nigdy podówczas nie uczył i nie mógł uczyć umyślnie, wyraźnie, *ex cathedra*, nie uczył go i humanizm. Ale jeżeli pewien wielki zwrot w wyobrażeniach pójdzie od góry, objawi się w najwybitniejszych ludziach, to niepotrzeba nawet, aby tłumy to wiedziały i z tego wychodziły, co ci ludzie wiedzą i z czego wychodzą, wiedza o tem może przyjść później; zwrot się z szybkością błyskawicy rozszerzy i ogarnie szerokie koła społeczeństwa. Na tem polega wielka teoria chrześcijańska o zgorszeniu. W Polsce tajemnemi, całą siłą tłumionemi wpływami husyckimi grunt był przygotowany, zamęt koncyliów dolał oliwy do ognia, śmierć Zbigniewa Oleśnickiego dała hasło do wywrócenia wolnej elekcji biskupów, całą falangą weszli do rządu Kościołem ludzie nowi, noszący najwybitniejsze humanistów piętno: małą dla spraw religii gorliwość, pragnienie świetnej i szybkiej kariery i służbistość wobec władzy. Z drugiej strony zanotować należy nadzwyczajną Polaków XV wieku ruchliwość, ich prawdziwą podróżomanję, jaką się zwyczajnie w rozbudzonych, młodych, świeżych spotyka społeczeństwach. Podróżomania ta, obok osobistych spraw kościelnych, pędziła całe zastępy duchownych do Włoch, trapiąc Polskę chmarą t. z. kortezanów, dobijają-

cych się w Rzymie o rezerwowane dla Stolicy Apostolskiej beneficya, pędziła studentów celem dalszego wykształcenia na Uniwersytety obce, pędziła rycerzy w służbę dworską lub szeregi austriackie, czeskie, węgierskie, ubożące często własne polskie zaciągi, lub przeciwko nim, jak w r. 1458 pod Wrocławiem stojące, co wszystko przemawia za nadzwyczaj żywą wymianą myśli z ościennymi i dalszemi wpływami europejskimi.

W końcu jedno jeszcze. Za poddaniem beneficyów wyższych pod wybór władzy świeckiej, co stało się kryterium wyboru? Oczywiście, w pierwszej linii służba interesowi królewskiemu, z drugiej linii wykształcenie i dworskość, w ostatniej kwalifikacya teologiczna. Na tej ostatniej nierozumiano się na dworze, dwie więc inne stanowiły o wszystkim. Jeden i drugi warunek posiadali humaniści, oni też obsadzili niebawem najwyższe dygnitarstwa kościelne.

Jak zaś humanizm przetapiał człowieka w nowy typ, zupełnie różny od dawnych średniowiecznych, czas nam pokazać na człowieku, który uchodzi w Polsce za pierwszego jego reprezentanta, Grzegorza z Sanoka. Żywot jego pisze głośny humanista Włoch, Filip Kalimach dla arcybiskupa gnieźnieńskiego Zbigniewa Oleśnickiego, pisze tendencyjnie, jak tendencyjną jest jego historia Władysława Warneńczyka, cała poświęcona tezie, że Polakom z Turcyą bić się nie należy, ale niema przyczyny, aby faktom przytoczonym nie wierzyć, zwłaszcza, że się wiernie z innemi schodzą wskazówkami. Szlacheckich ale ubogich rodziców, w 12tym roku ucieka od zbyt surowego ojca i powierza się fortunie. W r. 1428 jest na Uniwersytecie krakowskim, pięć lat bawi w Niemczech, wraca do kraju, gdzie utrzymuje się z uczenia dzieci i przepisywania manuskryptów, potem ze śpiewu choralnego. W r. 1433 w Uniwersytecie krakowskim, nawskróś teologicznym, wyklada Bukoliki jako bakałarz i sprawia nowością rzeczy wrażenie ogromne. Pan na Tarnowie bierze go na guwernera. Nagrobek, napisany na grób Władysława Jagiełły, poleca go młodemu królewicom, dyskusya o Kadłubku jedna mu względy głośnego profesora i komentatora Jana Dąbrowki. Jako magister już jedzie do Włoch 1439 roku i wyjednywa probostwo wielickie, gdzie żyje

muzom, a wśród przyjaciół natrząsa się z tych, co poetów starożytnych nie biorą za podstawę edukacji. Władysław bierze go z sobą do Węgier, tam to ma on stawać wbrew Cezariniemu, przemawiając za zachowaniem pokoju z Turkami pod Warną, zaś nad trupem kardynała odezwać się: Słuszny cię los spotkał, ale ciebie tylko powinien był spotkać ten los, skoroś Stolicę Apostolską sprawczynią przeniewierstwa uczynił! Wątpliwa anegdota, zostająca zanadto w stosunku z tem wszystkim, co Kalimach czynił dla wstrzymania Polski od udziału w wojnie powszechnej z Turcją. Zginął król i Cezarini, Grzegorz wyszedł cało, Hunyady, może winniejszy w klęsce warneńskiej niż Cezarini, bierze go na swój dwór, czyni jednym z nauczycieli swych synów, arcybiskup Gara kanonikat mu daje. Jako poseł węgierski staje w Polsce, gdzie niebawem, nie bardzo chętny mu i protestujący zrazu Zbigniew Oleśnicki, wyświęca go na arcybiskupa lwowskiego 1451 r. Odtąd daleki od spraw publicznych, z królem tylko często tajemnie korespondujący, doradzający mu już wtedy, rzecz ciekawa, ściągnięcie dóbr królewskich, cały oddany gospodarstwu w dobrach duchownych, nauce i muzom, jest dla biografa Kallimacha wzorem biskupa, senatora, mędrca, człowieka. Biograf kreśli każdym rysem swój ideał, każde słowo, które Grzegorzowi w usta kładzie, jest nowem na świat zapatrywaniem. Czy wszystko z natury, mniejsza, to pewna, że chwalił swój swego. A więc skrupulatność w dopełnianiu kościelnych obowiązków, a więc staranność, aby księża byli wykształceni i przyzwoici, a więc opieka nad dobrobytem włościan wsi biskupich, a więc skromność w życiu z wygodą połączona, a więc unikanie t. z. nepotyzmu, t. j. wynoszenia i bogacenia własnej familii, a więc gościnność dla obcych, szczególnie Włochów, gościnność i dla Kalimacha, uciekającego przed gniewem Papieża. To ostatnie już trochę podejrzanie wygląda wobec kryterium prawowierności biskupiej, a cóż dopiero powiedzieć o reszcie. „Niema takiej tajemnicy świętej i religijnej z natury swojej, aby mogła się bez osłony ceremonii obronić od pewnego sponiewierania.“ Cała siła zatem w ceremoniach, w zewnętrznem wystąpieniu, w cudowności. „Cudowniejszem zaś wyganiać siedmiu djabłów, niż siedm grze-

chów.“ A więc cudowność, a więc świąt jak najwięcej, aby, jak mawiać miał Grzegorz, mnożył się dochód kościelny. „Religia jest najskuteczniejszym środkiem rządzenia tłumem, jest to panowanie duchem nad ciałami, zjednywanie uczuciem i wymową serc ludzkich, dlatego najdzielniejszy jej środek wymowa, posługująca się nie rozumowaniem, ale wzruszaniem. Więc od poetów się jej uczyć, a nie opierać na rozumowaniach, na niezrozumianym Arystotelesie. Rzeczy pod zmysły podpadające, nie potrzebują argumentów; rzeczy, w zakresie intelligencji położonych, nie można oprzeć na argumentach, bo ich nie mają. Etyka, to jedyny grunt filozofii, etyka stoicka, w fizyce jeden Epikur ma rację.“ To nie zasady średniowieczne! Cóż dziwnego, że przy takich zasadach narzeka na trudności w rozwodach, chwając luźniejsze przepisy kanoniczne Greków, że mniej waży posty, że stół jadalny nazywa miejscem godnem najwyższego szacunku, że się nie rusza bez książki medycznej, mieszczącej wiadomość o siłach roślin! Wierzyć się prawie nie chce, że to o biskupie XV wieku mowa, ochota zbiera, aby go uczynić tylko ofiarą pochwał Kalimacha, wszakże bądź cobądź, rzecz, jaką przedstawiłem, dedykowana biskupowi także, Zbigniewowi Oleśnickiemu II, schodząca się najdokładniej z skrajnemi tendencjami humanistów włoskich drugiej połowy XV wieku, przykryta tem samem zręcznem, wszelkie pozory prawowierności zachowującym okryciem, a schodząca się zarazem z tym krótkim sądem Długosza o Grzegorzu z Sannoka, gdzie mu nie szczędzi pochwał za poezję i dobre w dobrach biskupich gospodarstwo, ale milcząc o wszelkich zaletach duchownych, stwierdzając charakterystykę Kalimacha, śmierć jego (bez Sakramentów) truciznie kobiecą ręką zadanej, przypisuje. Wszakże samo autorstwo Kalimachowe pozwala przenieść najbardziej zasadnicze rzeczy biografii na Kalimacha samego. Onto właśnie jest typem tej nagłej potwornej, prawie satanicznej degeneracji humanizmu, która we Włoszech pod koniec XV wieku się piętrzy, zamienia dwory książąt na sympozyony platońskie, napęśnia umysły frenezijnym dla starożytności entuzjazmem, oddziaływa potężnie na zepsute już i tak obyczaje, a zapatrzonego w postacie nieba średniowiecznego, które dla każdego brata za-

konnika w celkach Dominikańskiego klasztoru św. Marka namalował anielską sztuką stary Angelico da Fiesole, brata Hieronima, znanego pod nazwiskiem Savonaroli, tego, który sam uczył się na Cyceronie, wypędza z klasztornej celi na ambonę, aby piorunami słów uderzył w to bałwochwalstwo starożytności, a zapaliwszy lud wierny, zapaliwszy nawet samych wielbicieli starożytności chrześcijańskim ogniem, powiódł ich na plac przed Barghello i na stosie wielkim, który i jego niebawem czeka, spalił niezliczone egzemplarze Petrarki i Boccaccia; Owidyusza, Persyusza i innych starożytnych autorów. Kalimach pozostaje w najściślejszym związku z tym właśnie humanizmem, z Marsyliuszem Ficinem koresponduje o daimonach platońskich, przecząc możn ści ich istnienia, a przecząc równocześnie mniemaniom teologów o wpływie nadnaturalnych potęg na człowieka; z Janem Pikiem z Miranduli, podnosząc wątpliwość, czyli ciało, jako takie, może być karane za grzechy, czyli odpowiedzialne jest za grzechy duszy; z Wawrzyńcem Medyceuszem o naturze snów, zdając sprawę z fizyologicznej rozmowy między nieznanym bliżej Miriką, Pietrem z Bnina b. Kujawskim i Maciejem Drzewickim, sekretarzem królewskim. Uczeń Pomponiusza Laetusa, przyjaciel Platiny, który miał przeciw papieżowi Pawłowi II uknuć sprzysiężenie celem wyniesienia się na *Pontifex maximus* Rzymu, uciekł Kalimach z Włoch 1468 r. na wyspy Archipelagu, zkąd na Konstantynopol dostał się 1470 r. do Lwowa do Grzegorza z Sanoka. Tam przetrzymał burzę, którą wzniecił przeciw niemu Alexander forlicenski, nuncyusz papieski w Polsce, zyskał protekcję Dersława z Rytwan, marszałka, i tej opinii polskiej, coraz silniejszej, która z Ostrorogiem szła przeciwko zbytnej dla Rzymu uległości, ba! dostał się na dwór króla jako współnauczyciel jego synów z Długoszem. Prawdziwie! Spotkanie się dwóch światów, pełne skutków dla elewów królewskich. Wysoko ceniony przez humanistów w senacie i na dworze, Piotra z Bnina, Zbigniewa z Oleśnicy, Dobiesława Lubeczyka z Kurozwaków, Dersława z Rytwan, Macieja Drzewickiego, odpowiadający wybornie trzeźwej, despotycznej a politycznej Kazimierza Jagiellończyka naturze, odegrał on w ostatnich 18-tu latach jego panowania rolę odpo-

wiednią wysokim zdolnościom swoim i intelligencji, wycisnął na polityce królewskiej względem Papieża, Czech, Węgier i Turcyi piętno swoje, piętno głębokiej ku Rzymowi niechęci. Iść na Turka! było hasłem humanistów od Piusa II czasów; nie iść na Turka było hasłem, które podnosił Kalimach przeciw obu nieprzyjaciołom humanizmu, Pawłowi II i Innocentemu VIII. Do ostatniego to, on, wygnaniec papieski, udał się w roku 1490 jako ambasador potężnego króla polskiego, aby krytykować w śmiałej mowie politykę papieża jako bezpodstawną i marzycielską, aby podnieść w niej zarzuty przeciw nieprzyjaznemu usposobieniu Kuryi dla Polski, a zasługi Polski w boju z Turkami i Tatarami i żądać kapelusza kardynalskiego dla młodego Fryderyka królewicza. „Najświętszy Ojcze, państwo moje tak przez Świętobliwość Waszą zostało zamęczone i poszkodowane, że musi naprzód starać się o wyjście z tego stanu. Słuszna jest, aby każdy pilnował swoich interesów, nim cudzych interesów pilnować zechce.“ W tym tonie zapowiadał król poselstwo Kalimachowe, w tym tonie wypadło poselstwo. Skutek go nie uwieczył, Fryderyk dopiero 1495 r. został kardynałem. Kalimach, służąc zawsze dynastycznej ambicji królewskiej, poszedł z J. Olbrachtem do Węgier w ową niefortunną sprawę stawiania brata przeciw bratu. Ale miarą wpływu zwycięskiego Kalimacha jest nienawiść, jaką budził. Ta nienawiść każe mu po śmierci Kazimierza Jagiellończyka szukać bezpiecznego ukrycia, dopóki nie udał się zamach zbrojny na tron Jana Olbrachta, jego ucznia, przyjaciela i protektora wynoszący. Odtąd jest on rzeczywistym, jest niezawodnym doradcą króla. W rzeczach małych i wielkich panuje jego myśl, nie ta w całości, którą spotykamy w późniejszym fabrykacie przypisywanych Kalimachowi rad, ale ta, która się złożyła daje przez mozolne studjum wszystkiego, co pod względem politycznym Kalimach zostawił z pierwszymi krokami królewskimi. Więc alians dynastyczny w Lewoczy, więc przerzucenie się do zadosyćuczynienia szlachcie na sejmie 1496 roku, więc i owa myśl, którą J. Olbracht już po śmierci Kalimacha wykonał, wykonał wbrew bratu Fryderykowi i Senatowi, którą ukrywał skrzętnie, aby wyprawę, na Turka rzekomo podniesioną, obrócić przeciw Stefanowi

mołdawskiemu i przeciw roszczeniom Węgier do Mołdawy. Wpływa on i na Alexandra, rządzącego na Litwie, jak o tem swego czasu powiemy. Już w r. 1495 był Kalimach w złych z Fryderykiem stosunkach, w sporze niedosyć znanym żydów krakowskich z mieszczanami, poddmuchiwanej fanatyzmem ówczesnym przeciwko żydom, a skończonej potem wypędzeniem ich z miasta, stał J. Olbracht po stronie żydów przeciw mieszczanom, kapitule i bratu, a Fryderyk skarżył się gorzko: Więcej znaczy u WKMc*i jednego człowieka cudzoziemskiego upór* i instancya za żydami, jak tyłu mężów powaga i wiara, jak moja godność! Tu przepowiadając karę boską, grozi kardynał spełnieniem proroctwa Kapistranowego i Turkami pod Krakowem. Rzecz ciekawa, nie dająca się jeszcze wyjaśnić bliżej, w każdym razie świadcząca o wyjątkowem na dworze króla, Kalimacha stanowisku.

D. 1 listopada 1496 umarł Kalimach, pochowany przez króla z przepychem, który spotyka tylko najwyższych dygnitarzy i faworytów, uczczony tą piękną tablicą spiżową, przedstawiającą nam go z twarzą pełną wykwintnej finezyi, odznaczającej humanistów oblicza, od Piusa II do Erazma Roterdamczyka, zawsze podobnych znowu do arcytypu innego, późniejszego, groźniejszego Chrześcijaństwu kierunku, do arcytypu twarzy Woltera. Chudsze czy otylsze twarze te porzeźbił w bruzdy pełne myśli, duch bystry i bezwzględny, szczęki i brodę wysunęła zmysłowość, usta zwęził uśmiech sardoniczny, pewny siebie, ale panujący nad ostrem dowcipu żądłem, uśmiech dyplomaty i egoisty. Gdyby dobry fizyonomista nie szedł za inną skazówką, jak za skazówką tego typu, gdyby z pamięcią jego przeziierał nagrobki renesansowe Polski tego ładu w Krakowie, w Gnieźnie, Poznaniu i gdziekolwiek one są, złagodzony wszystkimi swojskimi, chrześcijańskimi wpływami, znalazłby był ten typ coraz częściej, coraz wszechwładniej panujący. Wnieśoby mógł, że jak te pomniki do renesansu należą, tak i ci ludzie do renesansu. Historykowi nie wolno czynić tak śmiałych przypuszczeń, on musi nawrócić do samego źródła, do stanu nauk humanistycznych w Polsce, do Uniwersytetu, który się tak licznie zebrał na pogrzebie Kalimachowym, do tych drobnych a rozbitych szczegółów, z których składać wypada

fakta do najważniejszej może, zaniedbanej dotąd połowy historii, historii cywilizacji. Jeżeli też w stosunkach w dwóch typach: Eneasza Sylwiusza i Zbigniewa Oleśnickiego, przyszło mu przedstawić pojawy myśli humanistycznej na wyżynach społeczeństwa polskiego, jeżeli w Grzegorzcu i Kalimachu przyszło mu przedstawić najdalej sięgające dążenia humanizmu także na tych wyżynach, to obecnie wśród całego tłumu postaci mniej wybitnych, nieskończenie rozmaitych, przyjdzie mu szukać wątku wielkiego dziejowego kierunku, niezmiernie rozbudzającego umysłowe życie, wstępnym bojem obalającego pojęcie o świecie, społeczeństwie, państwie i Kościele, zwycięsko depreczującego dawne metody rozumowania i nauczania, w walce z dawnymi zapatrywaniami, szkołami, metodami, na poziomie umysłowym społeczeństwa samego, na ławie szkolnej i na pułkach handlów manuskryptami i rozpoczynającymi się właśnie drukami, w kolegiach i bursach, w oficynach Hallera, Unglera i Szarffenbergera, w objawach życia ludzkiego nareszcie i wpływie tego zwrotu myśli na moralność. Rzecz dająca się oczywiście tylko rzucić największemi rysami lub charakterystycznemi szczegółami, które będą przedmiotem drugiej lekcji.

KWESTYA POLSKA W LITERATURZE ROSYJSKIEJ.

Sprawozdanie z artykułu profesora Uniwersytetu petersburskiego

A. PYPINA.

W marcowym zeszycie bardzo poważnego i popularnego czasopisma rosyjskiego »*Wiestnik Jewropy*,« znajduje się artykuł profesora petersburskiego Uniwersytetu A. Pypina p. n. *Kwestya polska w rosyjskiej literaturze*.« Samo imię autora tego artykułu, uchodzącego w Rosyi za jednego z »obrońców sprawy polskiej,« jest już rękojmią uczciwej jego tendencji. Ponieważ zaś nadto mieści on w sobie rzeczy wcale nam nieznane a niezmiernie ciekawe, mianowicie opowiada o publikacjach poetów, historyków i uczonych rosyjskich, dotyczących w jakikolwiek sposób sprawy polskiej w Rosyi, od początków panowania Mikołaja I i przedtem, aż do czasów obecnych, przeplatając to opowiadanie krytycznemi uwagami, bardzo, jak na pisarza rosyjskiego, bezstronnemi i nieraz nawet śmiałemi, powzięliśmy przeto zamiar podanie jej treści i wybitniejszych ustępów, wraz z naszemi uwagami, gdzie tego wymagała potrzeba. Jesteśmy pewni, że rzecz ta, stanowiąca bez zaprzeczenia jedną z najbardziej ciekawych aktualności chwili bieżącej, powszechne obudzi zajęcie.

Kwestya polska, według słów p. Pypina, umieszczonych we wstępie, jest jednym z najtrudniejszych i najniewdzięczniejszych tematów dla pisarza rosyjskiego, a to pod wielu względami. Naprzód czyni go takim położenie rosyjskiej literatury, w której o pewnych rzeczach nie mówiono dotychczas otwarcie i bezstronnie, przez obawę, obłudę lub godną pogardy chęć przypodobania się pewnym sferom, gdy tymczasem, zdaniem autora, literatura każda, a w szczególności rosyjska, wyrabiająca sobie dopiero stanowisko w świecie cywilizowanym, brzydzić się powinna obwijaniem rzeczy w bawełnę, gdzie idzie o wypowiedzenie prawdy jasno i bezstronnie, chociażby z narażeniem się na gorzkie zarzuty ze strony ludzi, dyszących bezwzględną i namiętą nienawiścią. Powtóre — pisarz, zamierzający mówić o drażliwych, większej doniosłości kwestiach, jest i dziś w Rosyi w tem samym prawie położeniu, w jakim się znajdował przed stu laty, mianowicie wtenczas, gdy jeden z poetów zalecał

»Gorzkie prawdy wygłaszać z uśmiechem na ustach,«

nie wiedząc wcale, że ów »uśmiech« nietylko maskował prawdę, ale nadto dowodził nicości i służalczości tego, który ją wygłaszał.

Był niedawno wypadek w literaturze rosyjskiej, że kwestya polska stała się powodem zamknięcia jednego z czasopism (*Wremia*, Dostojewskiego), które umieściło artykuł ani szkodliwy, ani zbyt śmiały, ani nacechowany szczególnym talentem, lecz tylko różniący się nieco od powszechnej nanczas opinii gazeciarskiej. Od czasu owego zamknięcia nie zaszło nic nowego, nie wydano żadnych rozporządzeń, nadających większą swobodę mówienia o kwestyi polskiej, dotykania jej z innej, mniej banalnej i mniej »urzędowej« strony. Każdy więc, chcący tę kwestyę podnieść ze stanowiska mniej więcej niezawisłego, ryzykuje, że nie będzie mógł swej pracy ogłosić drukiem.

I jeszcze jedna istnieje trudność mówienia o tym przedmiocie, jak jego ważność wymaga, *sine ira et studio*. Trudność tę stanowi dziwna niedojrzałość opinii publicznej w Rosyi i zepsucie jej społeczeństwa.

»Do roku 1861 tj. do czasu zaburzeń w Polsce i osta-

tniego w niej powstania, kwestya polska niezmiernie mało zajmowała Rosyan, tembardziej, że pisać o niej prawie wcale nie było wolno. Od czasów powstania pisano o niej dużo i hałaśliwie, ale zawsze tylko w jednym tonie, tonie donośw i insynuacyi. Ta literatura insynuacyjna, siłająca się na wykrywanie zawsze i wszędzie »polskiej piekielnej intrygi,« wzrosła była nareszcie do słupów herkulesowych... niedorzeczności; a przecież z dzienników i romansów, w przedpokojowym guście kleconych, potrafiła się dostać do urzędowo-uczonych publikacyj. Wprawdzie powstanie, rozpoczęte przez polską partyę skrajną, podobno bez żadnej wiary w powodzenie, odznaczyło się faktami okrucieństw, które musiały wywołać oburzenie. Ale oburzenie to, sztucznie potem podniecane, nie miało końca i granic uczciwych, bo dla pewnej części prasy rosyjskiej służyło za sposób obudzenia nienawiści plemiennej. Doszło było do tego, że sam przymiotnik »polski« stawał się oskarżeniem o zbrodnię, że »polskim intrygom« nadawano rozmiary olbrzymie aż do śmieszności, i że nareszcie, kto, trzymając się na uboczu, nie chciał należeć do chóru insynuatorów polskości i zbawców Rosyi od »polskich intryg,« ten już był *ipso facto* pomawiany głośno, »że należy do szajki polskiej.«

Oczywiście, że przy takim położeniu rzeczy, bezstronna i spokojna analiza kwestyi polskiej nietylko w owym czasie, ale i długo potem, była niepodobieństwem zupełnem, tak, że kwestya ta, chociaż, jak uznaje p. Pypin, »niezmiernie ważna w stosunku do wewnętrznej i zewnętrznej polityki rosyjskiej, a zwłaszcza w stosunku do kwestyi wszechsłowiańskiej,« pozbawiona jest dotychczas wszelkich wyczerpujących studyów w literaturze rosyjskiej.

Pobieżnie jednak — (są dalsze słowa wstępu) — kwestya polska podnoszoną jest bez przerwy w literaturze, a zwłaszcza w publicystyce rosyjskiej. Skoro przebrzmiały głosy o »uśmierzeniu buntowniczego ducha« i o »obrussinju« Polaków, zaczęto mówić o kwestyi polskiej z powodu reform w Królestwie, z powodu jubileuszu Kraszewskiego itd., aż nareszcie doszło do t. z. »pojednania.« Temat »pojednania,« podnoszony przez wszystkie organa prasy i obrabiany nawet w osobnych broszurach, zyskał i przychylnych, i nieprzyjaciół,

najwięcej zaś takich, którzy utrzymują, że pojednanie jest *jeszcze* niemożliwym. »Do jakiegożto czasu? — pytamy, i co może być piękniejszym i świętszym nad przejednanie zwaśnionych, z jednej strony przez zapomnienie, z drugiej przez możebne wynagrodzenie krzywd? Jeżeli pojednanie jest *niemożliwym do pewnego czasu*, jak utrzymują pesymiści nasi, to cóż pozostaje czynić? Czy utrzymywać ciągle kilkomilionowy naród w stanie wyjątkowym i jakgdyby wyjętym z pod prawa? Czy toczyć ciągle pod górę Syzyfowy kamień »obruszenia«? lub może wytępić ten naród ogniem i mieczem, jak czyniono w wiekach barbarzyńskich?

»Równie lub nawet mniej tragiczne kwestye zaprzatają nas bardzo gdzieindziej. Zatargi Irlandczyków z Anglikami (przyczem wyraźnie sympatye nasze są za pierwszymi), los Francuzów w Alzacy i Lotaryngii, nawet walka czerwono-skórych Indyan z Amerykanami w ostatnich czasach, — wszystko to zajmuje nas niezmiernie. A przecież myślimy, że nierównie więcej istnieje powodów, abyśmy się interesowali losem narodu polskiego, związanego z nami politycznie, pokrewnego nam i najbliższego sąsiada w świecie słowiańskim. Czuje to z nas każdy, ale milczy, lub mówi mało, może dlatego, że, według przekonania dość u nas upowszechnionego, lepiej milczeć tam, gdzie nie można mówić z zupełną swobodą, gdy tylko szeroka i niczem niekrępowana dyskusya zdolną jest doprowadzić do jakiegokolwiek rezultatu dodatniego.«

»Są znowu tacy — powiada dalej p. Pypin — co utrzymują, że o kwestyi polskiej dyskusya niepożyteczną jest i bezowocną, bądź dlatego, że jest to kwestya polityczna, wchodząca nawet w sfery polityki zewnętrznej, a takie rzeczy nie należą u nas do kompetencji prasy, bądź też, że wyjaśnienie i rozstrzygnięcie tej kwestyi stanie się możebnem dopiero po wprowadzeniu i rozwinięciu naszego własnego, rosyjskiego życia politycznego; w obecnym zaś stanie rzeczy społeczeństwa rosyjskie i polskie, pozbawione należytych organów dyskusyi, tak dalece są sobie obcemi, że rozprawianie próżne nie może tu doprowadzić do niczego. Tak myślą nietylko Rosyanie, ale i znaczna część Polaków, dla których rozpra-

wy o pojednaniu są gadaniną, może uczciwą i pełną dobrych chęci, ale zawsze gadaniną tylko.»

Autor utrzymuje, że powyższy pogląd na kwestję polską jest dość rozpowszechnionym w Rosyi, i to nie między ludźmi obojętnymi lub leniwego umysłu, którzy poprostu nie chcą myśleć o niczem, lecz wśród takich, co gorąco przyjmują do serca wszystkie ważniejsze kwestye, dotyczące w jakikolwiek sposób ich ojczyzny. Przeczyć też takiemu zapatrywaniu się na rzeczy i p. Pypin nie myśli, uznając, że jest w niem dużo słuszności przy obecnych stosunkach w Rosyi. Ale natomiast, mają, zdaniem jego, niemałe znaczenie historyczne studia nad tak ważnym przedmiotem, chociażby dlatego, aby dla przyszłości sprawy stanowiły materiał.

»Nie utrzymujemy wcale — powiada — aby literatura była w stanie rozstrzygać podobnej miary kwestye, ale może ona wyjaśnić społeczeństwu rzeczywiste położenie sprawy i dać mu wskazówki do jej oceny, aby mogło potem, gdy uderzy właściwa godzina, wydać o niej sąd bezstronny, wolny od przesady i uprzedzeń, i uzasadniony na faktach rzeczywistych. Dziś bowiem społeczeństwo nasze, gdyby chciało i mogło przystąpić do sądu o rzeczy, musiałoby iść omackiem, albo, co gorzej, drogą tendencyjnie fałszywą, wytkniętą przez ludzi namiętnych lub złej woli.«

Tym sposobem, jak widzimy, niniejszy artykuł p. Pypina, według postawionego programu, nie będzie się zajmował wcale bezowocną pracą *rozstrzygania* kwestyi polskiej, lecz tylko będzie rodzajem przeglądu wszelkich opinii, jakie kiedykolwiek w tej kwestyi wydane były w literaturze roskiej.

W literaturze tej kwestya polska pojawiła się bardzo niedawno jako przedmiot, o którym można prowadzić dyskusję i dwa różne, *pro* i *contra*, wypowiadać zdania. Dawniejszy punkt zapatrywania się na nią był bardzo prostym, bo go wskazywały rozporządzenia i ukazy rządu. Publiczności nie pozostawało nic innego, jak wydawać okrzyki naksztalt Dierżawina w „odzie na zdobycie Warszawy.«

»On skinął i znikła hydra buntownicza.«

I to już wystarczało ludziom ówczesnym. Badania, zkąd się brały owe »hydry buntownicze,« i czy były rzeczywiście »buntowniczymi«? uważano za zbyteczne i »niedozwolone.»

Spółczeństwo rosyjskie XVIII wieku »nie śmiało« zajmować się polityką, jako rzeczą wzbronioną. Śmiałość, i to bardzo względna, znalazła się dopiero w wieku XIX. Literatura polska i rosyjska nie znały się wzajem zupełnie, chociaż i dziś jeszcze znają się mało. Ale za to rozbiór Polski, powstanie Kościuszki, udział Polaków w wojnach napoleońskich i w pochodzie do Rosyi, tudzież późniejsze powstania, przypominały ustawicznie Rosyanom o Polsce, lecz ze strony najbardziej wrogiej. Nadto tendencyjne częstokroć nauczanie w szkołach historyi, uprzytomniało młodemu pokoleniu rosyjskiemu wspomnienia o Batorym, o Połocku, o wojnach kozackich, słowem, o epizodach przeszłości, nie mogących również usposobić przyjaźnie Rosyan dla Polaków. Po powstaniu 1831 roku, mnóstwo Polaków wysłano do różnych, bliższych i dalszych, gubernij rosyjskich, a źli ludzie obecnością ich tam usiłowali tłómaczyć czerni liczne wypadki pożarów, w owym czasie grasujących w Rosyi. Wszystko to sprawiało, że podejrzliwość, nieufność, nieprzyjaźń, nienawiść, coraz bardziej zakorzeniały się w sercach Rosyan, stając się wyłączną prawie dźwignią wzajemnych między Polakami a Rosyanami stosunków. W poezyi popularnej rosyjskiej, począwszy od Dzierżawina aż do Puszkina, i niemal do naszych czasów włącznie, Polska zawsze była »hydrą,« dla poskromienia której wzywano do nieba o »gromy i deszcze ogniste...«

Przy małym rozwinięciu jednak zmysłu politycznego w społeczeństwie rosyjskiem, można sądzić, że owa nienawiść nie była ani głęboką, ani wyrozumowaną. Rząd chciał, poeci chcieli, wzbudzono więc nienawiść sztuczną, może dla usprawiedliwienia zbyt surowych środków, które rząd ku ku uśmierzeniu »hydry« przedsiębrał, niechcąc zrozumieć, że byłoby i polityczniej i pożyteczniej działać środkami moralnemi i wyszukać *modus vivendi* między dwiema zwaśnionemi narodowościami. Z drugiej jednak strony Rosyanie, których los postawił w warunkach bezpośredniego zetknięcia się z Polakami, z dziwną łatwością, ulegając wrodzonej so-

bie dobroduszości, poddawali się więcej niż teraz wpływom polskiego życia towarzyskiego, znajdowali w niem szczególny urok, i nawet bardzo często polonizowali się do pewnego stopnia.

»Nie ma wątpliwości (przypominamy tu słowa p. Pypina) że pomimo nastrajanych z umysłu nieprzyjaźnie stosunków między Rosyanami a Polakami, pokrewieństwo plemienne nieraz wykazywało swe prawa. Na nieszczęście, ani jedna, ani druga strona nie starała się wcale podnieść tę korzystną okoliczność, wyjaśnić lepiej wzajemne stosunki, spokojniej i bezstronniej ocenić przeszłość i znaleźć nareszcie sposób znośnego wzajem pożycia. Skoro tylko dotykano rachunków historycznych, zawsze i niezmiennie obiedwie strony znajdowały w nich tylko przedmiot do zarzutów i skarg wzajemnych, nowy powód do rozdrażnienia, tak, że sprawa coraz bardziej wikłała się, nie mogąc wyjść z zaczarowanego koła. A jakież to były zarzuty ze strony naszej? Polacy winni, że nie mogą zapomnieć swej przeszłości... Ależ to jest właśnie ten rys charakteru, który w nas samych uważalibyśmy za najpiękniejszą cnotę narodową. Polacy nie rozumieją życia społecznego inaczej, jak z punktu widzenia szlachetczyzny... A czyż dawno zaginęła w naszym własnem życiu takąż sama, szlachecka forma poglądu na rzeczy i czy stanowczo zaginęła? Przytem dawniejszemi czasy owa szlachetczyzna nie stanowiła wcale strony ujemnej w społeczeństwie, tak dalece, że Katarzyna rozszerzyła prawa szlachty polskiej, poddając pod jej nieograniczone panowanie miliony ludu w teraźniejszych zachodnich guberniach, który za rosyjski uważać chcemy. Dalej Polakom czyniono zarzut z ich katolickiej wyłączności, zidentyfikowania religii z polityką i używania pierwszej za narzędzie drugiej. Ależ w zasadzie i przeciw temu trudno jest powstawać, jeżeli my sami, w tym samym czasie, za część nierozdzielną naszej narodowości uważamy prawosławie, głębokim doń przywiązaniem narodu naszego chlubimy się jako jego cnotą najwyższą i odwołujemy się często z historią w ręku na owe smutne lecz sławne czasy, kiedy poczucie religijne stawało się potężną bronią polityczną dla naszego ludu.«

»Polacy ze swej strony — powiada dalej p. Pypin —

nie ustępowali nam w inkryminacjach wzajemnych, nie tylko przeciw rządowi, lecz nawet przeciw narodowi rosyjskiemu, a uczeni polscy zaszli w tej drodze tak daleko, iż utrzymywali, na podstawie niby historycznej, żeśmy nie Słowianie, lecz plemię mongolskie, które przywłaszczyło sobie tylko zepsuty język słowiański od sąsiednich Słowian — Rusinów, pokrewnych Polakom i połączonych z nimi politycznie.

W epokach zatargów czynnych, walk z bronią w rękę, argumenty abstrakcyjne są bezsilne. Żaden najsilniejszy dowód książkowy niezagłuszy strzałów nie tylko armatnich, ale i karabinowych, ani je przeargumentować zdoła. Ale skoro kryzys minie, skoro strzały ucichną, a krew się nie leje, — potrzeba, aby rozsądna ocena faktów znalazła miejsce z tej i z owej strony, bo u obu zanadto jest wiele interesów wspólnych, które nie powinny nie być uwzględnianiami, jeśli się nie pragnie krzywdy obustronnej.

Tu znów przytoczyć musimy własne słowa autora:

»Co do nas — powiada on — byliśmy i jesteśmy zawsze przekonani, że jest możebność politycznego złagodzenia stosunków z uwzględnieniem interesów stron obu, i, — co za tém idzie, wzajemnego ich do siebie zbliżenia, krótreby mogło dla obu społeczeństw utworzyć punkta styczne, wraz z perspektywą szczerego i trwałego sojuszu. W danym wypadku przeszłość stron zwaśnionych pełna jest nieprzyjaźni i jej dotykalnych, bardzo smutnych dowodów. Ale czemżeby był postęp ludzkości, czém cywilizacya i myśl chrześcijańska, gdybyśmy wierzyli uparcie, że i w przyszłości taż sama nienawiść będzie panowała zawsze; że pewne społeczeństwa ludzkie, jak pewne gatunki zwierząt, skazane są fatalnie na posłuszeństwo instynktom, popychającym do walki bez końca; że nareszcie niczem są dla owych społeczeństw wpływy nauki, religii, poezyi, postępu, rozsądnego nareszcie zrozumienia własnych korzyści, mogącego koniec końców łatwiej zbliżyć do siebie i połączyć plemiona pokrewne, niż zupełnie obce sobie«.

Dalej powiada prof. Pypin, że na dawną historję stosunków rosyjsko-polskich przywykło dzisiejsze społeczeństwo rosyjskie zapatrywać się wyłącznie z punktu narodowej, politycznej i religijnej niezgody, współzawodnictwa i zatargów

ciągłych, pochodzących jakoby z przyrodzonej sprzeczności usposobień. Lecz był czas, zdaniem autora — kiedy cywilizacja polska wywierała bezpośredni a dobroczynny wpływ na społeczeństwo rosyjskie, służąc z korzyścią rosyjskiej właśnie sprawie. Tak było w wiekach XVI i XVII, gdy Ruś zachodnia i południowa stanowiła jeszcze część integralną Polski. Ówczesne wcielenie ziem ruskich do Polski było, co prawda, powodem wielu wrogich, znanych z historyi kolizyj i zatargów wzajemnych, wielu klęsk dla ludu miejscowego. O tem pamiętamy. Lecz nikt nie wspomina, że taż sama przynależność Rusi do Polski była dla pierwszej pożyteczną z tej strony, że dała jej możebność obrony własnych interesów narodowych i religijnych, których świadomość dlatego właśnie po dziś się zachowała. Na sejmach i sejmikach polskich można było mówić, wypowiadano też nieraz gorące, pełne zapału mowy w obronie narodowości ruskiej. Drukiem również ogłaszać można było dzieła, w których broniono interesów religijnych i narodowościowych ruskich. Mogła nareszcie istnieć i istniała szkoła ruska, poświęcona wyłącznie straży tradycji narodowych. Nie gdzieindziej bowiem, jeno w ruskiej ziemi, pod polskiem będącej panowaniem, mianowicie w Kijowie, powstała w XVI stuleciu pierwsza prawidłowa wyższa szkoła ruska, na której modłę dopiero później otwartą została podobno szkoła w Moskwie. Wychowańcy kijowskiej szkoły, urządzonej według wzorów polskich, bo rosyjskich wówczas nie było, — kształceni na zasadzie szerokich praw wolności polskiej i pod tym rządem polskim, który »bezrządem« później przezwano, — nie tylko mieli prawo pozostać (kto chciał) najgorętszymi rzecznikami prawosławia i praw narodowości ruskiej, lecz częstokroć stawali na świeczniku, jako pierwszorzędni, mający wpływ i znaczenie w całej Rosyi, teologowie (Piotr Mogiła np.), którzy byli w stanie dyskutować skutecznie i w formie najwykwintniejszej ówczesnej nauki, z teologami katolickimi, a następnie (jak Epifaniusz Sławiniecki i inni) pracować w samej Moskwie na korzyść cywilizacji już czysto rosyjskiej.

Cokolwiek później wychowańcy tej samej szkoły stają w szeregach najczynniejszych współpracowników Piotra Wielkiego. W ciągu kilku dziesięcioleci w. XVIII, uczniowie szkoły

kijowskiej zajmują prawie wyłącznie najwyższe stanowiska w hierarchii kościelnej rosyjskiej. Taż sama szkoła kijowska, pod polskim rządem powstała i kwitnąca, była jedynym wzorem, według którego tworzyły się i organizowały wszystkie duchowne zakłady naukowe rosyjskie aż do ostatnich czasów.

Tak długo przechowywał się sposób kształcenia młodzieży prawosławnej, wynikły w peryodzie od XVI do XVIII wieku w ówczesnej Polsce i w warunkach życia politycznego polskiego, które o wiele przerosły były warunki bytu w Rosyi. Nauczanie w takich szkołach było, co prawda, jednostronnem, przeważnie scholastycznym, ale do czasów otwarcia uniwersytetu w Moskwie nie było wcale w Rosyi szkoły prawidłowej na innych podstawach urządzonej i — należy już zapytać się o to chyba samych Rosyan, dlaczego nie prowadzono dalej dzieła, odwzorowanego z Polski w XVI w., i nie rozwijano jego form z postępem czasu?

W drugiej połowie XVIII stulecia nauka i literatura rosyjska zaczęły czerpać wzory bezpośrednio ze źródeł europejskich, i szkoła, utworzona według modły polskiej, zeszła na plan dalszy.

Ale i w nowych warunkach cywilizacji rosyjskiej można było, — zdaniem prof. Pypina — znaleźć liczne punkta zetknięć między rosyjską a polską kulturą, które, przy dobrych chęciach i świadomości rzeczy, musiałyby były utworzyć silną moralną łączność między dwiema narodowościami. A za takie punkta autor uważa prace polskich uczonych, jednocześnie z epoką odrodzenia się ducha słowiańskiego w Rosyi, tudzież osobistą przyjaźń dwóch największych poetów słowiańskich, Mickiewicza i Puszkina, z której jednak społeczeństwo owych czasów nie umiało, czy nie chciało wyciągnąć należytych korzyści

W drugim i trzecim dziesiątku lat bieżącego wieku, t. z. »słowiańskie odrodzenie« znajdowało się w fazie romantyzmu idealistycznego, który szukał ideałów narodowych w prastarych tradycjach, w pierwotnej poezyi ludowej, przy czem dotykał nieraz źródeł słowiaństwa, u których z bratnim uczuciem spotykał się z plemionami pokrewnymi.

Literatura polska w ogólności — jak mniema p. Pypin —

była dość obcą ruchowi słowiańskiemu, trzymając się odeń na uboczu. Ale w czasach romantyzmu ruch ten i w niej znalazł był pewien odgłos, chociaż mniej wybitny, niż w literaturze ówczesnej rosyjskiej, która się stała matką terazniejszej słowianofilskiej szkoły. Polskie nazwiska zajmują też niepoślednie miejsce w rocznikach ruchu słowiańskiego, który, czyniąc przegląd ówczesnych sił swoich, do imion Dobrowsky'ego, Kollara, Karadzicza, Szafarzyka i t. d., musi koniecznie dodać nazwiska takich pisarzy i uczonych polskich, jak Linde, Maciejowski, Kucharski, Chodakowski, a później: Wójcicki, Wacław z Oleska, etc., w których świat oglądał pracowników solidarnych z dążnościami plemiennymi reszty słowian-czyzny. W tej wielkiej całości, którą stanowiło słowianstwo, literatura polska spotykała się oko w oko i na jednej drodze z rosyjską literaturą. Wymienione powyżej nazwiska były w Rosyi znane powszechnie, nawet popularnie, szczególnie w tych kołach, gdzie roztrząsano kwestye o narodowościach słowiańskich, o badaniu życia ludu i jego poezyi.

Tym sposobem stosunki polityczne Rosyi i Polski po wojnach napoleońskich znajdowały się, jak się wyraża p. Pypin, »w miodowym swoim miesiącu,« na drodze pojednania i zapomnienia jątrzących wspomnień przeszłości. W gronie polskich mężów politycznych możnaby wskazać niejednego, który dążył wyraźnie i otwarcie do ścisłej łączności z Rosyą, a że dążności ich były szczere, nie ma najmniejszej wątpliwości.

Zdaniem p. Pypina jest rzeczą ubolewania godną, że początki łączności literackiej między Polską a Rosyą zaginęły bezpowrotnie w wybuchłej wkrótce potem zacieklej walce politycznej.

»Niewynagrodzona to szkoda — powiada autor — z nich bowiem (t. j. z owych zaczątków) wrosć mogły wspólne interesa historyczne, wspólna krytyka przeszłości plemiennej, wspólne narodowo-cywilizacyjne zadania i usunęłoby się niezawodnie wiele z tych smutnych nieporozumień i skarg wzajemnych, których taką mnogość gromadziliśmy i gromadzimy dziś jeszcze, a których część znaczna upaśćby musiała, jako pozbawiona racyi bytu przez skalpel krytyki bezstronnej. Dla przykładu powiemy tu tylko, że gdyby w nauce polskiej utrzymał się

był ten kierunek, który dla niej wytknął w swych pracach znakomity Linde, to niezawodnie stałoby się niemożliwym późniejsze pojawienie się teoty Duchinińskiego o różności pochodzenia Rosyan i Polaków, gdzie rzekome podstawy naukowe z filologii były tylko wyrazem rozfanatyzowanej nienawiści politycznej, którą rzeczona teoria niejednem podsycała zarzewiem.

W tym samym mniej więcej czasie — opowiada dalej autor — wynikła możność zawarcia bardzo sympatycznych stosunków między rosyjskiem a polskiem społeczeństwem. W ostatnich latach panowania Aleksandra I uderzył grom w stary uniwersytet wileński, jak wiadomo z rąk Nowosilcowa. Wykryto tam stowarzyszenie patryotyczne polskiej młodzieży uniwersyteckiej, którą oczywiście rozproszono zaraz po rozmaitych miastach wielko-rosyjskich. W liczbie wysłanych znajdował się Mickiewicz, który naówczas tylko co był wydał pierwsze swoje poezye, kwalifikujące go już na znakomitego poetę. Około lat czterech przeniósł Mickiewicz w Moskwie i w Petersburgu, a wiadomo z jakimi oznakami sympaty i uwielbienia prawie przyjęło go najwykwintniejsze i najwykształcone towarzystwo rosyjskie w obu stolicach. Dawano mu tyle dowodów szacunku, przyjaźni, współczucia, utwory jego, wydane w czasie pobytu w stolicach rosyjskich, rozchwytywane były i czytane przez Rosyan, z tak szczerem uznaniem wysokiej zdolności i geniuszu poety, że z pewnością można twierdzić, wywarło to wszystko bardzo silne i błogie wrażenie na wielkim poecie polskim. To też wszystkie późniejsze przejścia i burze polityczne, które porwały w swój wir Mickiewicza później i pogrążyły go w nim nazawsze, nie mogły wygładzić z jego pamięci »przypięcia Moskali«, którym w kilkanaście lat potem poświęcił on, jak wiadomo, jeden z najpiękniejszych swych poematów.

Powstanie 1831 przerwało nieszczęściem te stosunki. Między dwoma plemionami otworzyła się przepaść głęboka; zaczątki wzajemnego porozumienia się zgłuszone zostały na długo; stosunki między Mickiewiczem a »przypiętymi Moskalami« skończyły się. Puszkina wypowiedział opinie własne, tudzież myśl i nastrój swojego kółka towarzyskiego, a bodaj

czy nie całego społeczeństwa, w znanych poezjach okolicznościowych z r. 1831. W r. 1834 wspomniał był on wprawdzie o przyjaźni »niegdyś« z Mickiewiczem, lecz ten ostatni był już naonczas w oczach Puszkina.

»Poetą złości, narzędziem zgrai butnej«...

W tem miejscu p. Pypin powiada:

»Na powstanie zbrojne nie mogło być oczywiście innej odpowiedzi, jak uśmierzenie go siłą. Nastąpiło potem zniesienie wszystkich pozostałości autonomii Królestwa Polskiego, zastrzeżonej na kongresie wiedeńskim. Tej smutnej strony sprawy podnosić tu nie będziemy, lecz musimy wyrazić żal, że większość społeczeństwa rosyjskiego nie umiała, czy nie chciała zrozumieć faktu powstania polskiego w jego szerokim, narodowym, i powiedzmy prawdę, pięknym znaczeniu. Według myśli Puszkina wyrażonej w jego utworach okolicznościowych po r. 1831, które uzyskały były naonczas powszechną popularność, a i dziś jeszcze stanowią dla wielu Rosyan, jak gdyby dogmat wiary, — powstanie 1831 i jego uśmierzenie były tylko

»... domowym sporem ludów spółplemiennych«...

»O którym wyrok już wydały losy«...

»Europa, zdaniem Puszkina i jego adeptów, nie powinna się mięszać do tego »domowego sporu« i na interwencyę jej Rosya nie może mieć innej odpowiedzi nad

».... szczerć zjeżoną stalowych bagnetów«....

»Wszystko to odpowiadało najzupełniej ówczesnemu nastrojowi większości. Głos więc Puszkina musiał być poczytany za prawdziwy wyraz przekonań narodu. Trudno częstokroć współczesnym ocenić należycie zjawiska chwili bieżącej, zwłaszcza gdy społeczeństwo nie przywykło do poważnej analizy kwestyj politycznych, bo wobec niedostępności ich dla ogółu, rzeczywisty materiał i podstawa tych kwestyj zakrytemi dlań były. Znacznie też później dopiero w społeczeństwie rosyjskiem zaczęła kiełkować wątpliwość, że spór rosyjsko polski niekoniecznie jest »sporem domowym« w tem znaczeniu, jak to rozumiał Puszkina, tudzież zdanie, że dla

Rosyi daleko pożyteczniejszem byłoby może załatwienie rzezczonego sporu inne od tego, które się praktykuje u nas z małą przerwą pół wieku już z górą. Spór ów nie jest wyłącznie domowym już dlatego, że naród polski nietylko pod rosyjskim przebywa rządem, że znaczna jego część należy do Prus i Austrii, i że zatem, cokolwiek zajdzie w Polsce rosyjskiej, odbija się echem w austriackiej i pruskiej, bo niepodobna zniszczyć naturalnej łączności i oddziaływania wzajemnego pomiędzy częściami jednego narodu. A więc zaburzenia Polaków pod rządem rosyjskim mogą zawsze dać powód rządowi sąsiednim do interwencji niby słusznej, i to nie rządowi francuskiemu, na co w dziwnym obłędzie liczyli zawsze Polacy, lecz austriackiemu i pruskiemu, jako zainteresowanym bezpośrednio w kwestyi. Jeżeli tej interwencji nie było, to tylko dlatego, że okoliczności jej nie wymagały.

»W czasie obecnym wynika zawikłanie bardzo poważne, możnaby nawet powiedzieć tragiczne, w którym kwestya polska staje się rzeczywiście naszą »domową kwestyą«, ale w znaczeniu zgoła innem. W ciągu ostatnich lat kilkudziesięciu coraz jaśniej i wybitniej uderza upadek polskiego żywiołu pod naporem germańskiego, w krajach, pod pruskim zostających rządem. Pruski »*Drang nach Osten*«, już dzisiaj podkopuje nasze »domowe« granice polskie, a można się spodziewać, że będzie w stanie zachwiać niemi faktycznie, przynajmniej pragną tego gorąco berlińscy publicyści i mężowie stanu. Jako odpowiedź na interwencyę obcą, Puszkina doradzał jedynie:

».... szczerć zjeżoną stalowych bagnetów«....

»Że ten argument już dziś jest za słabym i niezdolnym odstraszyć nikogo, liczne fakta w ostatnich latach trzydziestu niejednokrotnie dowiodły. Nasza »szczerć stalowa« okazała się niewystarczającą już w czasie wojny krymskiej, w ostatnich zaś latach nasi sąsiedzi Niemcy sporządzili sobie »szczerć stalową« takiej siły, że nie nam podobno z nią się mierzyć, jak tego dowiodły przynajmniej eksperymenta jej twardości i mocy na innem, zachodniem wykazane polu.«

»W jednej z poezyj Puszkina — powiada w innym miejscu p. Pypin — figuruje bardzo ważne pytanie:

»Czy w morze Rosyi wpadną i z niem się połączą Rzeki słowiańskie? Czy też owo morze wyschnie?»

Pytanie to — zdaniem p. Pypina — nie jest dość jasnym. Zrozumiałszem się staję dopiero w zestawieniu z innym, wyżej postawionem pytaniem:

»Kto się ostoï w sporze *nierównym*:

»Czy hardy Lach, czy mężny Rus?..

»Domyślają się powszechnie, że w obu tych dylematach, przed wyobraźnią Puszkina stawała kwestya o przyszłych losach całego słowiaństwa. Ostatnie z dwóch powyższych pytań Puszkina widocznie uważał za łatwe do rozstrzygnięcia, nawet poniekąd rozstrzygnął je *a priori*, bo mówi o sporze *nierównym* hardego z mężnym... Ale co się tyczy pytania pierwszego, nie przewidział poeta, że rzeki słowiańskie nietylko w »morze rosyjskie« wpaść mogą i z niem się połączyć, — bo dziś widzimy, że »morze germanizmu« gotowe pochłonać je... Szląsk, Pomorze, a po części Poznańskie niech posłużą za dowód i ostrzeżenie...

»Myśl o zlaniu się »rzek słowiańskich w morzu rosyjskiem«, jak myśl o »stalowej szczeci bagnetów« nabyła wogóle dość popularności i proces zamiany tej myśli w czyn wydaje się wielu osobom bardzo nietrudnym. Ale ci ludzie zapominają o jednym, mianowicie: czy, w jakich celach i w jakieś mierze »rzeki słowiańskie« zechcą zlać się z morzem rosyjskiem? Zapatrywano się na rzecz jedynie z militarno-politycznego punktu widzenia, a nie myślano zupełnie o stronie kwestyi wewnętrznej, narodowościowej, która jest podobno ważniejszą... Przynajmniej w stosunku do Polski nikt sobie nie zadawał trudu rozważyć, czy ona zechce owego »złania«?

»Warszawa znów *odbyła* rokosz?...

mówi Puszkina w jednej ze swych poezyi z r. 1831, jak gdyby

»odbywanie rokoshu« było specjalnem dla Warszawy zajęciem, rodzajem rzemiosła jakiegoś...

»A dla czegoż to Warszawa« odbywa rozkosze?

Na to pytanie p. Pypin tak odpowiada:

»Rozumiemy, że można było uważać powstanie Polaków za błąd polityczny, czem też po części i było; — można oburzać się na morderstwa zdradzieckie, jeżeli takowe miały miejsce, lecz należało bądź co bądź uwzględnić, że pobudki, które pchnęły naród do walki nierównej bez żadnych prawie widoków zwycięstwa, były szlachetne, bo składały się na nie — wielka miłość ojczyzny i nieograniczone, namiętne przywiązanie do swej narodowości... To pokolenie, które walczyło w szeregach powstańczych 1831 r., albo pamiętało jeszcze Polskę wolną i niezawisłą, albo wzrosło na jej świeżych gruzach... Smutnym udziałem tego pokolenia było ponosić ekspiacyę za tysiącletnią przeszłość narodu, cierpieć za błędy swych przodków, dźwigać na sobie ciężkie brzemie wszystkich złych skutków, wynikających z ich omyłek lub przywar... To pokolenie miało przytem w świeżej pamięci *znakomitą* konstytucyę 3 maja, dowodzącą, że ojcowie przyszli już byli do świadomości błędów, omyłek i przywar swoich i zapragnęli dążyć nowemi drogami do nowego zupełnie ustroju społecznego, tylko.... tylko, że już było zapóźno.

»Położenie społeczeństwa polskiego w końcu zeszłego i początku bieżącego stulecia było rzeczywiście i bez przesady — tragicznem... To rozczłonkowywano kraj i dzielono się nim jakby jakim spadkiem bez właściciela, to podniecano nadzieje, które się nigdy ziścić nie miały, to tworzone z Polski coś połowicznego, ułomnego, w części niezawisłego niby, w części poszarpanego jak stara, zbutwiała szmata, to znów rozpoczynano na nowo dzielić się krajem, jakgdyby fantem bezdusznym, nie pytając wcale narodu, jakby on nie istniał wcale... Nie trudno było stracić głowę wśród tego odmętu politycznych przewrotów i burz, zwłaszcza przy żywym, wrażliwym, skłonnym do uniesień i obdarzonym bogatą wyobraźnią charakterze Polaków... Cóż dziwnego, że witano z entuzjazmem każdą nadzieję, że łudzono

się łatwo, odczarowywano i pomimo tego nie tracono znów nadziei?...

»Co do nas — nie dziwimy się zgoła, że Polacy np. uwierzyli w Napoleona, dali się tej wierze porwać, posuwając ją do mistycyzmu, do jakiejś religii fanatycznej, do wierzenia w »napoleońską gwiazdę«... Była to owa słomka, której się chwytą w rozpacz każdy kto tonie, a żyć chce i ma zasoby życia!...

»Dość było, aby owoczesni Rosyanie zastanowili się bezstronnie nad położeniem Polaków i rozważyli, jak okropne miotają nimi uczucia, — aby nienawiść, którą wypadki wzbudziły a podżegali źli ludzie, ustąpiła w ich sercach miejsca bardziej ludzkiemu sentymentowi współczucia dla bezprzykładnie ciężkich losów historycznych, które przebywali Polacy, będący przecież dla nich narodem pokrewnym, bo Słowiańskim!«...

Po tym ustępie, niemal zadziwiającym, jeśli zważymy, że tak przemawia i tak myśli pisarz spółczesnej Rosyi pod cenzurą rosyjską, — p. Pypin ubolewa, że Puszkina nie był ożywiony wcale owem ludzkim uczuciem dla upadających pod ciężarem cierpienia Polaków...

Rzeczywiście, u Puszkina daremnieby szukać »ludzkiego« zapatrywania się na sprawę polską. Przeciwnie, poglądy jego są niemal też same, co Dierżawina, który Polskę uważał za »hydrę buntowniczą...«

W głównej swojej »odzie« Puszkina odpycha wzgardliwie europejskich »obrońców Polski,« bo ci nie czytali »kroniki przeszłości, pisanej krwią rosyjską,« bo obce im są

..... »odwieczne zatargi

I obce Kremlu starych murów skargi...«

A więc Puszkina nawiązuje bez przerwy nić tradycji historycznych, obowiązujących do »pomsty,« chociaż byli ludzie (szkoda, że ich niewielu), którzy rozumieli jeszcze przed r. 1830, że »skargi starych murów Kremlu,« ze sfery życia powinny już przejść do martwych kart historii jedynie, i że inicjatywa »zapomnienia uraz« od strony *silniejszej* za-

wisła. Tak ks. Wiaziemski w swojej »*Spowiedzi*,« wydanej w r. 1829, między innemi napisał: »Mieszkając w Polsce, nie rdzewiałem ja wcale w starych, przeżytych wspomnieniach o Polakach w Kremlu i Rosyanach w Pradze, lecz czułem się pomiędzy współplemieńcami, pełnymi rozumu i wzniosłych uczuć, z sercem otwartem dla postępu i najpodnioslejszych myśli bieżącej epoki.«

(Ciąg dalszy nastąpi).

Ludwik Kozłowski.

OBCHÓD
W ROCZNICĘ ŚMIERCI DŁUGOSZA
I ZJAZD HISTORYCZNY
W KRAKOWIE.

Rzadko niezawodnie przychodzi nam zapisać wśród kroniki naszego ruchu i życia umysłowego podobny szereg dni, pełnych uroczystości dla serca i ducha, jakimi nas koniec przeszłego miesiąca obdarzył — rzadko, mówimy, żeby nie powiedzieć, iż właściwie tego rodzaju ścisło-naukowe wspólne festyny u nas w Polsce pierwszy raz naprawdę miały miejsce. Choć to tak niedawno, jak one minęły, choć mówiono o nich i mówi się jeszcze bardzo wiele, a pisano już dużo i zwłaszcza dużo jeszcze pisać się będzie, choć się prawie zdaje, że ci wszyscy dobrzy znajomi, których się poznało, albo z którymi się odnowiło dawne stosunki, nawiązując je w nowe i ściślejsze, są jeszcze między nami, i choć się wierzyć nie chce, że to tylko złudzenie i że już koło Sukiennic nie spotkasz twoich sąsiadów z przed trybuny akademickiej, mimo to jednak, a raczej dlatego właśnie, nie sposób w kilku uwagach chociaż nie wspomnieć nam o tym „dni szeregu,” który minął szybko, jak wszystko, co dobre, ale który też właśnie dlatego, że dobry duchowo i jako taki, w bogate

skutki, da Bóg, obfity, na poważną wzmiankę w tem piśmie zasługuje i nawet się takowej domaga.

Pół roku temu właśnie cała prawie Polska obchodziła w Krakowie 50-letni jubileusz pracy literackiej zasłużonego i wysoko cenionego pisarza. Uroczystości październikowe jako mające uczcić człowieka żyjącego, a zarazem dać choć skromny wyraz życia narodu we wszystkich jego dzielnicach na zewnątrz, nosiły na sobie piętno wesołości przedewszystkiem, której powagi wielkiej i podniosłości nie brakło, cecha jednak świąteczna była ich głównem znamięniem i taką też być była powinna. Wiosna r. 1880 przyniosła nam w darze rocznicę, pamiątkę i wspomnienie z lat dawno minionych, a z nią obchód pogrzebowy i oddanie winnej i zasłużonej czci znakomitemu człowiekowi, który przed laty 400 pisał nasze dzieje, i czyniąc to, już przez to samo i o nas myślał: obchód sam przez się żałobny, którego znowu stroną pięknie i niemal wesoło nastrojającą i, że tak powiemy, żywotną był zjazd naukowy z nim połączony. Tyleśmy się wśród tych tygodni ostatnich i nasłuchali i naczytali o Długoszu, tyleśmy się o nim już nauczyli, a tyle się dopiero jeszcze od najpoważniejszych piór o nim dowiemy, tyleśmy się niemal, rzec można, nań napatrzyli, na jego kości pogrzebane na Skalce, na portrety i pamiątki po nim, że, doprawdy, o nim samym pisać się nam już nie godzi — byłoby to i wygórowaniem rozumieniem o sobie i wobec tylu o nim poważnych głosów stałoby się tylko kroplą w morzu nagromadzonych i przestudyowanych wiadomości o wielkim historyku naszym. Niech nam więc tylko tutaj wolno będzie uczcić na wstępie nie za usługi Długosza samego, znane, i całej już dziś Polsce wraz z całą niezawodnie naukową Europą wiadome, ale pochwalić i wysunąć naprzód myśl pierwszą i dalsze pomysły aż do samegoż wykonania i doprowadzenia do skutku całego tego pięknego obchodu. Czy myśl ta pierwsza powstała w głowie czcigodnego, poważnego Prezesa Akademii naszej, czy w jej niezmordowanym, najzasłużeńszym i najpracowitszym Sekretarzu, na którego oczy wszystkich przez te dni się zwracały, a którego duch, choć on sam siedział między uczestnikami zjazdu, unosił się, że tak powiemy, nad całym zgromadzeniem — czy może w p. Konserwatorze zabytków sztuki, który

tyle już u nas z niczego zrobił i tyle z niczego robi, że doprawdy, i ta myśl z jego rzeczywiście, z niczego tworzącemi zdolnościami w parze iśćby mogła, — czy wreszcie w Akademii całej lub tylko może w Komisji jej historycznej — nie wiemy, ale w każdym razie czujemy wdzięczność i potrzebę głośnego jej wypowiedzenia wszystkim razem i każdemu z osobna, kto tę myśl pierwszy poruszył, kto ją poparł i dopomagał do jej urzeczywistnienia, — kto wreszcie „słowo w ciało“ zmienić potrafił i zmienił. Pod firmą dorocznego posiedzenia naszej najwyższej naukowej instytucji rozpoczęty, imieniem największego z dawnych, a bodaj czy i nie o wiele późniejszych historyków naszych ochrzczony, wspaniałym religijnym i zasługom człowieka tego hołd oddającym obrzędem otwarty, pierwszy ten zjazd naukowy historyków polskich jest już i będzie niezatartą i prawdziwą zasługą tych, którzy myśl jego podjęli, tych, którzy ją wykonywali, i tych nareszcie, którzy przybywając z zagranicy i z najdalszych nawet stron i zakątków kraju, chcieli w nim wziąć czynny udział i przyczynić się do jego uświetnienia przez zabieranie głosu w dyskusjach i wyświecanie lub objaśnianie spornych kwestyj.

Sędziwy i czcigodny gość nasz z zagranicy, pisząc temu lat 40 blisko Historję polską, dał za motto książce swej ewangeliczne zdanie: *Et veritas liberabit vos*, a dziś, kiedy nas po pełnem zasług i doświadczenia długim żywocie swym, odwiedził, nie znów ani prawdziwszego, ani nowszego powiedzieć nam nie zdołał, jak to samo: „Prawda was wyzwoli.“ Mówiąc nam to dziś jednak, powiedział, że wówczas, przed laty, mówił to prawie wśród ciemności na polu nauk historycznych w Polsce, wśród ciemności, w których zaledwie tu i owdzie dnieć poczynano, że zaś dziś, kiedy światło już weszło, a z nią i droga do prawdy łatwiejsza, mówi to z tem większą nadzieją, że kiedyś sprawdzić się to musi doreszty. Pracą dochodzi się do rozświecenia prawdy, my z naszej strony dodajmy, — a na prawdziwie tylko, począwszy od dziejowej, stać i stanąć mogą zwłaszcza narody, które o tej prawdzie właśnie w dziejach swych zapomniały i nią kierować się nie chciały. Przyczynkiem zaś do odkrywania tej prawdy, która wyzwala, znacznym szczeblem posunięcia naprzód prac na polu bada-

nia dziejów i przeszłości naszej, był kongres historyczny imienia Długosza, zjazd, który właśnie dlatego wraz z wszystkimi towarzyszącymi mu uroczystościami i obchodami, tak ważną kartę w rocznikach naszego naukowego życia stanowi i niezawodnie w przyszłości stanowić będzie.

I.

W dawne wieki czuł się przeniesionym niezawodnie każdy, chwilami przynajmniej, kto uczestniczył w całym obrządku uroczystym na Skałce w dniu 19 maja przed południem. Pogrzeb Długosza, tego, który opisywał nasze dzieje najdawniejsze, a potem czasy, w których żył, czasy niezawodnie najświetniejsze w naszej historii, kiedyśmy byli i najsilniejsi i najbogatsi, i gdyśmy w Europie najwięcej znaczyli, człowieka świątobliwego, nauczyciela pięciu Jagiellończyków, który wszechwładnemu ich ojcu nie ustraszyl się stawić czoła i był przezeń prześladowany, ukrywając się na Melsztyńskim zamku; odnalezienie kości tego, dotąd godnie nie uczzonego człowieka i oddanie im wreszcie tego, co im się daleko wcześniej należało, wszystko to w obecnych wywoływać musiało i nastrój poważny i miłe uczucie, że się nareszcie winnego obowiązku dopełniło. Kiedy wśród półcenia podziemnej krypty, tak pięknie i z tak wielkim a surowym smakiem przez p. Konserwatora odnowionej, tej samej krypty, którą wraz z kościołem Śgo Stanisława sam Długosz fundował i na grób sobie przeznaczył, grono duchownych, uczonych i ludzi poważnych wiekiem i stanowiskiem w kraju, z prawdziwą *pietas* dla zmarłego przed wiekami, kości jego do nowej składało trumny, każdy tam obecny czuł i widział, że wszystko to i lepiej, i piękniej, i poważniej odbywać się nie może, i cieszył się tylko, że nareszcie do tego przyszło. Zwłoki Długosza, które do r. 1792 spokojnie w grobowcu swym leżały, a w końcu wieku przeszłego przez obozujących w kościele na Skałce i w krypcie Moskali wyrzucone ztamtąd, przez nich rozsypane zostały, (w urnie zaś metalowej, jak podobno któryś z współczesnych pamiętników mówi, żołnierze przybysze krupnik sobie gotowali) zebrane nie w całości

(czaszki naprzykład, jak wiadomo, brakuje) przez pobożnych mnichów i w garnku do dziś dnia przechowane, doczekały się nareszcie i nowego godnego pogrzebu i sarkofagu poważnego, jakie im się od tak dawna należały. Nie było wprawdzie pogrzeb taki, jak ów z roku 1480, opisany przez Macieja z Miechowa, ale z zasobami i środkami, na jakie nas stać dzisiaj, był pięknym o tyle, o ile nim być powinien. Przewielebny ksiądz Biskup Krakowski sam celebrował pogrzebowi dawnego Kanonika swej Kapituły, sam go odprowadził na powtórne miejsce spoczynku i oddał zwłoki jego pod straż przełożonego Zgromadzenia OO. Paulinów. Kolega w urzędzie i w pracy historycznej, ks. kanonik Polkowski, uczył go długą i wyczerpującą przemową, w której podniósł wszystkie czyny i zasługi przez długie wieki nie dosyć cennego u nas dziejopisarza i kapłana. Kapituła krakowska w osobie seniora swego, ks. kanonika Scypiona, niosącego całun na trumnie z krypty do kościoła, dała przez to dowód czci dla swego członka z przed wieków, który imię jej wślawił i niemałego mu dodał znaczenia. Profesorowie Uniwersytetu nareszcie ze wszystkich czterech wydziałów oddali należny hołd temu, który fundował bursy dla ich słuchaczy i który rozpoczynawszy swe pomnikowe dzieło, żądał od nich, by je dalej prowadzili, odnosząc z kościoła zwłoki dawnego swego dobrodzieja na nowe miejsce spoczynku. Wszyscy goście, którzy przyjechali dla uczenia wielkiego w dziejach umysłowości narodu człowieka, ta młodzież akademicka, która wiedziała, że i jej miejsce tam było naznaczone, cała nareszcie polska publiczność, obecna obchodowi temu, wszyscy czuli potrzebę znalezienia się tam i rozpoczęcia tej uroczystości w sposób godny takiego duchownego i uczonego.

Obok tego religijno-kościelnego wstępu, miał zjazd historyczny także i wstęp swój publiczny, naukowy, Akademia bowiem dla niego o 2 tygodnie opóźniła w tym roku swoje coroczne pełne posiedzenie, łącząc je z Kongresem i otwierając go niejako pod swoją egidą. Na posiedzeniu tem zaś wspomniałem odczytem swoim o stanowisku Długosza, jako historyografa wobec zagranicznych dziejopisarzy średniowiecznych, poprzedzających go i jemu współczesnych, połączył je już widocznie Sekretarz Akademii z mającym nazajutrz

rozpocząć się Kongresem. Walne to posiedzenie, tak liczne i świetne, jakiego Akademia od chwili swego otwarcia podobno jeszcze nie miała, odbyte w pięknie przystrojonej i na Kongres już przygotowanej wielkiej sali Sukiennic, u stóp kolosalnego popiersia Długosza, uwieńczonego wawrzynem, nosiło na sobie wybitną cechę niezwykłości. Wszyscy niemal członkowie zasiadali swe kurulne krzesła, kilku nawet po raz pierwszy, przemówienie zaś prof. Roepella, którego echo w słowach: „Umiejętność nie dzieli, ale łączy narody,“ brzmiało przez wszystkie te dni w uszach wszystkich i nad wszystkimi uroczystościami i pracami zjazdu się rozlegało, wywołało wśród wszystkich obecnych nietajony zapal i serdeczne podziękowanie dla sędziwego naszego gościa.

Takiemi dwoma zebraniem i obchodami inaugurowany zjazd, trwający właściwie przez dni cztery, miał przez ten przeciąg czasu różne, bardzo liczne swoje dodatkowe uroczystości, dekoracyjne, że się tak wyrazimy, i uświetniające go chwile, o których pora nam teraz choć w kilku słowach wspomnieć, nim do samegoż Kongresu przystąpimy. Nie będziemy mówić o wielkiej uczcie czwartkowej, wesołej i poważnej zarazem, wśród której szereg wspaniałych i do głębi sere i rozumów przemawiających toastów, był koniecznym wyrazem wdzięczności i uznania nie tylko gospodarzy Krakowian, ale wszystkich uczestników bankietu, — nie wspomnimy o licznych codziennych zebraniach wieczornych, jakich Kraków nie pamięta, a wśród których piękny i miły wieczór u pp. Szujskich długo w pamięci wszystkich gości pozostanie, — tem mniej mówić się nam godzi o nielicznych mniejszych zebraniach i rozmowach, które jednak wielu tak bardzo zbliżyły i powiązały, że wspomnienie ich i skutki nie zatrą się zapewne nigdy; — o jednej jednak części takiej dekoracyjnej nie wspomnieć w kilku choć słowach nie sposób, a to o przedstawieniu amatorskiem, urządzone przez młodzież akademicką dla uczczenia pamięci Długosza dnia 19 maja.

Jak uczeni Jezuici niegdyś dla uczniów swoich, którzy ich szkoły i zakłady przepełniali, w czasie pewnych większych uroczystości komponowali sztuki do grania, zastósowane treścią do uroczystego zdarzenia, uczyli ich jej i całe przedstawienie urządzali, tak i prof. Szujski na prośby chcą-

cych i w ten sposób uczcić rocznicę Długosza słuchaczy Uniwersytetu, zabrał się do dzieła z tą niezmordowaną fantazją i tym zasobem sił twórczych na każdym niemal polu, które czynią, że czego się dotknie i co przedsięwzięmie, tego i dokona, a dokona i pięknie, i wzniosłe, i doskonale pod względem artystycznym — i w krótkim czasie napisał utwór dramatyczny w 3 aktach, zastósowany treścią i osobami działającymi do obchodzonych uroczystości. Żeby z poważnego, świątobliwego historyka Długosza zrobić główną osobę dramatu i zrobić go interesującym, trzeba było mieć i talent dramatyczny bardzo niepospolity, który zresztą oddawna już w szan. Autorze podziwiamy, i posiadać niezrównaną siłę inwencji, która zdolną była w suchy fakt dziejowy, jak wyprawa Śgo Kazimierza na Węgry, wlać tyle akcyi i życia dramatycznego. *Długosz i Kallimach*, to tytuł i to główne dwie osoby i sprężyny utworu; walka między nimi, a raczej walka idei, które oni reprezentują, to treść jego i akcyi. Sędziwy historyk i nauczyciel synów królewskich, zwolennik i kontynuator wielkiej myśli Oleśnickiego, uosabia w sobie wszystkie idee szlachetne i piękne kończących się wieków średnich — jego przeciwnik Kallimach, to humanista pełen myśli nowych i pełen ironii, pełen może i złudzeń żołnierz w sprawie wolności jednostki i tej wolności indywidualnej, która wiekiem później miała poświęcić sobie polską zbiorowość, polskie państwo i społeczeństwo. Jest to więc jakby walka pomiędzy nową ideą, która, czując się uprawnioną, idzie naprzód w dobrej wierze, nie przewidując, jaki za sobą wlec może ogon złych skutków, a dawnym porządkiem rzeczy, który się nowego boi, bo skutki owe przeczuwa. Chcąc wyprowadzić na scenę Długosza i widzom pokazać naocznie zbiór jego przekonań, jego w społecznej Polsce stanowisko, ducha wreszcie, w jakim pisał swoją historję, nie można było wymyśleć nic właściwszego, a zarazem dramatyczniejszego, jak te w samym brzasku nowych wieków obawy i złe przeczucia zmian, jakie zmieniony stan świata może przynieść Polsce.

Rozumie się, że w sztuce, napisanej do okoliczności dlatego, żeby Długosz mógł w niej wystąpić, fabuła dramatyczna musi być rzeczą mniej ważną; rozumie się także, że

historyczna ścisłość i chronologia sama musiały ustąpić pierwszeństwa koniecznościom dramatycznej akcji. Postaramy się zdać z niej sprawę w krótkości.

Przy podniesieniu kortyny dwóch małych chłopców chodzą po scenie, repetując lekcję: to Aleksander i Zygmunt (później stary, a teraz ośmioletni), uczą się na pamięć mów, któremi za chwilę powitać mają przyjeżdżającego do Krakowa papieskiego Legata kardynała San Marco. Ale kiedy dzieci uczą się swoich oracyj, a nie wiedzą, co się dzieje, ich starsi bracia, Olbracht i Kazimierz, rozumieją, że między ich ojcem a Stolicą Apostolską zachodzą spory ważne i do usunięcia trudne. Olbracht, z natury mały dyplomata, do tego opanowany zupełnie wpływem Kallimacha, pewien jest z góry, że gdzie spór między Kościołem a Państwem, tam słuszość musi mieć Państwo. Kazimierz nie może zrozumieć ani uwierzyć, żeby jego ojciec, żeby jego anielska matka, mogli byli słusznie ściągnąć na siebie gniew Rzymu, ale sporem tym dręczony jest boleśnie i zaniepokojony w sumieniu. I oni mają powitalne mowy: Olbracht dyplomatyczną, giętką i suchą; Kazimierz w swojej wyrzuca z boleścią Kardynałowi, że Rzym popiera w Węgrzech Korwina, a nie pamięni o przelanej za wiarę krwi Warneńczyka. Napomniany przez Długosza, że decyduje śmiało o sprawach, których nie zna, Kazimierz gotówby mowę swoją zmienić, ale król, który wchodzi tymczasem i mowy sobie recytować każe, uradowany rodzinnem i dynastycznem uczuciem, które z mowy młodzieńca bije, sprawą węgierską na Rzym rozdrażniony, każe mowę zostawić jak jest, a za słowa syna, jeżeli są zbyt ostre, sam odpowie. Z tem odchodzi; królewicze odchodzą także przyjmować Legata u bram miasta; akt kończy się rozmową Długosza z Kallimachem, w której odsłania się dopiero właściwa gra sprzecznych usiłowań. Kallimach przygotował w cichości plan wyprawy na Węgry, popierają go panowie polscy, król pragnie tej korony: Długosz staje im wbrew. Przejrzał ten zamiar, odgadł marność pozornych układów z Legatem, widzi, że wyprawa nie ma dobrych widoków, a od ważniejszych spraw siły polskie odwróci, że pomimo wszystkich pozornych prac króla i obietnic węgierskich malkontentów, jest:

„niegodna, bo król Korwin obran i namaszczone;
niepewna: bo zdradzają ci, którzy się płaszcą!“

bo jest jednym słowem:

„przeciw sprawie Chrześcijaństwa domu królów sprawa.“

Po jednej stronie stanowisko czysto moralne i ściśle kościelne, po drugiej przymierze sił korzystających z siebie i wyzyskujących się wzajem a dążących do wyzwolenia się z pod rygoru i zwierzchności Kościoła, przymierze absolutnego rozumu, reprezentowanego przez uczonych, i absolutnej władzy, reprezentowanej przez królów XV wieku:

„mija wiek Długosza, wstaje Kallimacha.“

Ceremonialne przyjęcie przybyłego Kardynała, rozpoczyna akt drugi. Król wita go mową, w której umyślnie przebijają się gorycz i wyrzut; spokojnie ale stanowczo bardzo odpiera Legat zarzuty i ze swego stanowiska robi inne królowi; w naszym wieku rozmowy tak otwartej pozwolono by sobie chyba w wilię zerwania stosunków dyplomatycznych. Ale też i na dworze Kazimierza dochowują się one tylko na pozór. Zaledwo oddalił się Kardynał, król, wyrzutami jego podrażniony, a namową Kallimacha i Dersława z Rytwan, marszałka, utwierdzony w dawnym zamiśle, oznajmuje, że postanowił wyprawę na Węgry i że z wojskiem swoim wysła tam syna Kazimierza, żeby sobie zdobył tron, który mu się spadkiem po stryju i po krwi matki należy.

I teraz między królem a Długoszem rozmowa — scena jedna z najpiękniejszych w dramacie — w której Długosz wyrzuca królowi, że usiłowania swoje wyteżył na zachód, zamiast pilnować tego, co jest jego i Polski pierwszym obowiązkiem, Litwy i Rusi. Król do żywego tknięty w swoim sercu litewskim, wstrząśnięty wzmianką o Nowogrodzie, zagrożonym przez Wielkiego Kniazia Moskwy, ma chwilę wahania. Ale zwycięża przywiązanie do własnej myśli, zwycięża Kallimach, i przywołany królewicz Kazimierz słyszy z ust ojca, że ma iść na Węgry zdobywać koronę. Wbrew Papieżowi? Wbrew zdaniu Długosza? serce młodzieńca nie może w tych warunkach mieć zaufania do wyprawy, na którą idzie

z posłuszeństwa, i z jedną nadzieją, że przez Węgry droga do Turcyi, że ztamtąd potrafi może wyprzeć niewiernych z Europy. To biorąc sobie za cel i posłannictwo, prosi ojca, żeby mu dał miecz Władysława z pod Warny: a powtórna, ostrzejsza rozmowa między Kallimachem a Długoszem, określająca coraz wyraźniej stanowisko obu, zamyka akt.

W trzecim rozbitki polskie, ścigane przez wojsko Korwina, wracają w rozsypce za Karpaty. Wieść o smutnym końcu wyprawy doszła znać do Krakowa, skoro król sam jest już w drodze, by syna podeprzeć, a w pośpiechu wyprzedził go Długosz niespokojny o wychowanka. Wycieńczony, schorzały królewicz, na noszach wraca do ojczyzny, a przez sen tylko widzi to, o czem marzył wychodząc, krzyż na kościele Śtej Zofii, sztandar proroka posłany w darze Papieżowi, poddanie się Carogrodzkiego patriarchy, misę swoją spełnioną. Na jawie inaczej: widzi on, że miźnie skończyła się sprawa, do której sercem i przekonaniem przylgnąć jakoś nie mógł, i złamany na duchu gorzko skarży się przed Długoszem, że w tej sprawie swego domu przeciw sprawie Chrześcijaństwa nie odniósł ani sławy, ani korzyści, nie, prócz wyrzutu i upokorzenia. Raz tylko zrywa się z energią, to kiedy Węgrzy w pogoni na polskiej stronie Karpat zatknęli swój sztandar. Z mieczem Warneńczyka uderza, wydiera sztandar; tyle przynajmniej zrobił, że noga nieprzyjacielska na polskiej ziemi nie została.

Król nie tak łatwo, jak syn, odstępuje od zamiaru. Teraz on sam pójdzie, z większymi siłami, a do Korwina chce wysłać gońca, wyznaczając mu spotkanie w Budzie, gdzieby królowi swemu miał złożyć hołd z Kroacyi lub Wołoszczyzny, ale w tych dumnych zamysłach zaskoczony jest złemi wieściami. Tatarzy na Podolu, Krzyżacy próbują burzyć miasto pruskie, to małe rzeczy. Ale Nowogród wzięty — stracony! Król tylko jeden i Długosz, rozumie, co to znaczy, jakie to może mieć skutki. I teraz Kazimierz widzi, po niewczasie, że „z zachodu trzeba na wschód, nie ze wschodu na zachód,” że po upadku Nowogrodu już mu myśleć trzeba nie o utrzymaniu wschodniego sąsiada na wodzy, ale o ratowaniu i utrzymaniu Litwy. Posyła więc do Korwina z propozycjami pokoju, a sam wybiera się na Litwę. Młody zaś Kazimierz

prosi, żeby i jego wziął z sobą: „jeśli tam z sere i duchów wał uczynić mamy“ — to niechże on broni i strzeże tych granic. A myśli, czego nie mówi, że będzie ich strzegł i bronił póki życia, a po śmierci jeszcze chciałby, żeby duch jego był dla Litwy, dla Polski, dla Europy wałem i tamą przed Wschodem i Schizmą. To oderwanie się od ziemskich widoków, to poświęcenie się na walkę i obronę duchem, to ukazuje zlekka i zdaleka Kazimierza przyszłość: królewicz zamieniać się zaczyna w patrona.

I ten akt, jak poprzednie, zamyka się znowu rozmową Długosza z Kallimachem, dłuższą jeszcze, bardziej wyczerpującą od innych. Rozmowy te, jak już wspomniano, to, co najbardziej znaczącego w okolicznościowej sztuce. W nich złożył autor swoje pojęcia nie o postaci Długosza tylko, ale o polityce Kazimierza, o charakterze i skutkach wieku kończącego się i tego, który miał nastąpić. Żałujemy, że rozpraw tych nie możemy tu przytoczyć. Niektórzy utrzymują, że jak na dramat są one zbyt teoretyczne; nie na dramat okolicznościowy jednak, nie na taki, którego celem i powodem bytu było wytłómaczenie jednej postaci, wypowiedzenie sądu o epoce. A w każdym razie nie wydawały się one zbyt ogólnikowymi, ani teoretycznymi na scenie, w ustach tych improwizowanych aktorów, którzy je mówili. Owszem, robiły tam bardzo żywe i miłe wrażenie, i nie teoretycznie lub abstrakcyjnie, ale praktycznie pięknie było słyszeć te piękne i mądre rzeczy, mówione z prawdziwem zrozumieniem i przejęciem przez ludzi dziś bardzo młodych, którzy, skoro teraz czują i rozumieją je dobrze, to w swoich latach dojrzałych da Bóg trzymać się ich będą. Co też tego wieczora szczególnie było miłym do widzenia, to pewien sympatyczny związek, jaki od pierwszych scen czuć się dawał między widzami a młodymi aktorami, między widzami i aktorami a autorem, któremu jedni i drudzy tak radzi byli okazać ten stopień uczucia, na którym szacunek publiczny i przywiązanie przechodzą już w coś lepszego i większego.

Wiersz w tym utworze bardzo piękny, miejscami nawet, jak w przemowie króla po odejściu Kardynała, jak w wielkiej tyradzie Długosza w akcie drugim, nadewszystko zaś, jak w końcowym dyalogu między dwoma przeciwnikami, prześliczny.

Przedstawienie całe udało się zupełnie; wszystkie role oddane były z miarą i zrozumieniem rzeczy.

Chwilą i częścią najpiękniejszą całego przedstawienia był wiersz, wygłoszony w czasie żywego obrazu, wiersz, który tyle głębokich myśli i tyle poetycznych mieści w sobie piękności, że go tutaj wskutek łaskawego pozwolenia autora w całości podajemy, kończąc nim tę pierwszą część uwag naszych nad obchodem w rocznicę śmierci Długosza:

Pamięcią wielkich w Ojczyźnie ludzi
 Dźwiga się naród, krzepi się duch,
 Orle się skrzydło do lotu budzi,
 W orli przeszłości porasta puch.
 Wszystkie ma strzały w swoim kolezanie
 Na codzienności walkę i trud,
 Komu dzisiaj wczorajsza stanie
 Się dni osnowa:
 W kim grają ojców czyny i słowa,
 W kim krew stuleci potężnie krąży,
 Szczęśliwy lud!
 Bo wié, z kąd wyszedł, więc wié, gdzie dąży.

Naród, jak rzeźbiarz, by z ziemskiej gliny
 Na chwałę Panu postacie snuł:
 Ducha i woli potężne czyny.
 A więc kto myślał, czynił i czuł,
 W krew ten pokoleń winien przechodzić,
 Ściągien ich siłą winien się stać;
 Kto się z przeszłości umie odrodzić,
 Ten będzie wieńce przyszłości brać!
 Niechaj od dziejów nicość odcina
 Tego, co krzywdy w dziejów ma wątku.
 Większa jest krzywda nasza, jak wina.
 Więc od zbożnego dziejów początku,
 Od dni Chrobrego, przez Piastów dzieje,
 Przez Jagiellońskie pogodne dni,
 Niech płynie ogień, co siłę leje,
 Płynie krew dziadów w potomków krwi.

Twardo, surowo, Długosza okiem,
Niech winy wnuków strofuje dziad:
W wyżyny patrzy namiętnem okiem,
Kto winą własną z wyżyny spadł,
W sobie sił szuka, by zdobyć szczyty,
Ciężkich, nie miękkich szuka on dróg,
Męża ma ducha, a nie kobiety,
Pięść zaciśnioną, a nie wzrok ławy:
Na zbożnych, czystych, twardych łaskawy
Ojców był Bóg!

II.

Blisko 200 członków, zaproszonych do brania w nim czynnego udziału, liczył Kongres historyczny imienia Długosza, między nimi wielu Krakowian, największa liczba jednak przyjezdnych ze wszystkich krańców Polski, gdzie tylko się na polu dziejów narodowych pracuje. Z niewielu wyjątkami widzieliśmy tam wszystkich i najznakomitszych, najstarszych optymatów, dziś już rzec można, w historycznej u nas pracy, i tych mniejszych, mniej sławnych i znanych, ale wielce także zasłużonych, którzy, oddając się pewnej gałęzi tej nauki, pewnej epoce lub pewnym tylko faktom, do wielkich i ciekawych w tym małym nawet zakresie doszli rezultatów. Kiedy człowiek patrzył jednak na to tak poważne i jakością i ilością zebranie, i kiedy się cieszył, widząc te wszystkie zasługi i dobre chęci na jednym zgromadzone miejscu, mimowoli stawał mu na myśli jakiś Kongres historyczny nie rzeczywisty, zjazd, któryby się był odbył przed laty n. p. 25ciu, w roku dajmy na to 1855. Tam byłby zasiadał jeszcze i stary Lelewel, patryarcha badania dziejowego u nas, widzielibyśmy tam Wiszniewskiego, Józefa Muczkowskiego, Łukaszewicza Zygma. Ant. Helcel przodowałby badaniom na polu prawa i ustawodawstwa. I mimowoli myśląc o tym jakimś niedoszłym, minionym Kongresie, czuł człowiek z pewnym rodzajem pokory, że ludzie tamci, mimo manowców i zboczeń, na jakie chwilami schodzili, splacając dług naturze ułomnej ludzkiej, że oni byli jednak według jakiejś innej miary, niż generacya

dzisiejsza, że dziś choć nauka wzrasta, praca się wzmaga, a talentów i chęci dobrych dzięki Bogu dużo, że jednak niedostaje tego czegoś prostego a wyższego, co tamtą odznaczało generację. Po stwierdzeniu tego dziwnego uczucia, które jednak niejeden z całego Kongresu odnieść musiał, po oddaniu winnej czei zmarłym i ich wielkim zasługom, z chlubą jednak mimo to i z dumą pewną zapisać może każdy, że Zjazd ten historyków polskich dzisiejszy i bardzo poważne mieścił wśród siebie osobistości, i nauki, i zasług już wiele, że zaś nade wszystko na przyszłość dużo dobrego i pięknego wróżyć pozwalał.

Wszystkie ogólne przemówienia wstępne na pierwszym walnem zebraniu, powitanie przez prezydenta miasta p. Zyblikiewicza, serdeczne słowa gospodarza prof. Szujskiego, w których mieściły się szczere i przyjazne wyrazy dla każdego: dla najstarszych, jak dla najmłodszych, dla przyjezdnych i dla tych, którzy z różnych powodów mimo zaproszenia przybyć nie mogli; mowa nareszcie generalnego prezesa Zjazdu, p. Małeckiego, dziękującego za aklamacyjny wybór jego na ten zaszczytny urząd: wszystko odznaczało się serdecznem ciepłem, radością i poważnym zarazem nastrojem, który najlepiej obradom Kongresu wróżyć dozwalał. Wybory na przewodniczących sekcij obydwóch i na ich sekretarzy odbyły się także jednoznacznie i szczerze, każdy czuł bowiem, że oddawano przez to winne hołdy uczczeniu zasługom X. Kalinki i pp. Jarochońskiego i Kraszewskiego, stanowisku hr. Włodzimierza Dzieduszyckiego, uprzejmości wreszcie przybyłych gości, prof. Roepella i prof. Tomka, że umiano uznać prace pp. Bobrzyńskiego, Maryana Sokołowskiego, Wojciechowskiego i Celichowskiego. Zakończył ten pierwszy dzień odczyt prof. Smolki „O monarchizmie w pierwszych wiekach dziejów Polski,” odczyt, którym profesor z Krakowa powitał w naukowy sposób przybyłych gości i kolegów. Rozwinał w nim autor wiele nowych poglądów na wewnętrzne dzieje epoki Piastów w Polsce i na rozwój władzy książęcej; przedstawił jej zawiązki, jej punkt kulminujący i jej ostatni odbłyśk na wielką skalę w osobie bohatera swoich najświeższych badań Mieszka III.

Nazajutrz rano 20go maja rozpoczęły się z udziałem wszystkich czynnych członków obrady obydwóch sekcij: hi-

historycznej i archeologiczno-artystycznej, z osobna jednej po drugiej, pod przewodnictwem wybranych prezesów. O obydwóch tyleby się już powiedzieć dziś dało, o ich ogólnych cechach i znaczeniu, o niedogodnościach niektórych i brakach, o wielkich wreszcie dodatnich skutkach i rezultatach, że na wszystko to szczupłe ramy sprawozdania naszego nam nie dostarczają miejsca. Podniesiemy więc cechy, momenta i rezultaty najważniejsze, nie wdając się ani w rozbiór poszczególnych referatów i dyskusyj nad nimi, ani zastanawiając się nad wszystkim tem, co by nieliczne ujemne strony zjazdu pod pióro podsuwały.

Jedną z cech charakterystycznych pod względem przedmiotów, jakie pod postacią referatów pod obrady zjazdu przyszły, cech, które już pan Sekretarz sekcji historycznej w ogólnem swem wymownem sprawozdaniu tak słusznie stwierdził, jest ta okoliczność, że chodziło tu tylko i jedynie o rękopisy i pracę wydawniczą, o ogrom materiałów, który na każdym kroku, na każdym polu i do każdej epoki pcha się gwałtem do druku, wołając każdy w niebogłosy: ja najważniejszy, ja najpotrzebniejszy, nademną naprzód pracować trzeba i mnie pierwszego w świat wypuścić. I to nietylko odnosi się do niezliczonych desideratów wydawniczych, przedmiotów ściśle historycznych, ale tak samo mają się rzeczy z historią prawa i ustawodawstwa polskiego, taksamo z historią literatury i oświaty, taksamo i to tu już prawie jedynie, z historią sztuki w Polsce. Dowodami tej kardynalnej właściwości kongresu, nietylko referaty, nad jakimi dyskutowano, ale ta okoliczność także, że wszelkie inne pragmatyczne już kwestye, wszelkie odczyty i sporne lub nowemi badaniami poparte fakta dziejowe, odpadały same przez się z programu zjazdu dla braku czasu, i ustępowały miejsca tamtym widocznie najważniejszym; — dowodem np. okoliczność taka, że p. Marian Sokołowski mający mieć 3 nadzwyczaj ciekawe referaty z dziedziny historii sztuki, wybrał z nich trzeci, ostatni i czytał: „O warunkach wydawniczych pomników architektury w Polsce.“ Ale też i nie dziwnego, że to było główną pierwszorzędną cechą tego pierwszego zjazdu badaczy dziejów Polski, do których takie mnóstwo materiałów jeszcze nieużytkowanych leży, tak, iż nie wiedzieć prawie którego pierwwej się chwytać. Każdy tu czuł potrzebę uskarże-

nia się przed swoimi kolegami w pracy nad tém, co go w jego badaniach najwięcej dręczyło, czego mu nie dostawało, w czem na ciągle napotykał trudności. Począwszy od wydawcy najdawniejszych Monumentów dziejów Polski, przez wszystkie epoki i działy, przez nietkniętą prawie geografję średniowieczną kraju, przez nie wystarczające zbiory ustaw z wieków późniejszych i brak zupełny wydanych zapisków sądowych, przez niezmierzone luki do dziejów wieku XVI, aż do historyków epok najpóźniejszych, czasów saskich i epoki Stanisława Augusta, uskarżających się na brak niewydanych najważniejszych sejmowych dyaryuszów i Laudów, wszyscy przedstawiali swoje desiderata i niezliczone braki, na jakie natrafiali. Nad tem wszystkim wywiązywały się dyskusye, a narady te były, śmiało rzec można, rozszerzeniem tylko do coraz to większych rozmiarów, często nawet w najdalsze czasy, w jakie my dziś spojrzeć w przyszłości zdołamy, sięgających przedsięwzięć wydawniczych, objaśnianiem, dopełnianiem, nadzwyczaj często cennem, i komentowaniem tego, co w sobie referaty i tak już niezmiernie przepełnione mieściły. Przy małych rzeczywiście wobec tego ogromu pracy środkach pieniężnych Akademii i nielicznych jej siłach, — mimo to, że ona robi co może, i że więcej nad to co robi, robić nie może, — po najsluszniejszym w świecie i kilka razy powtarzanem zdaniu wśród zgromadzenia: *Et haec facienda et illa non omittenda*, a prawie całkowitym braku środków skądinąd na zadośćuczynienie tym wszystkim naprzód wysuniętym wydawniczym desideratom, powiedzieć w tej chwili chyba wypadnie każdemu wraz z czeigodnym ks. Kalinką, „że myśli dziś turzuczone są jak wiatr jesienny, wiatr, który je zanieśie do sere ludzi dobrej woli, i przyjmą się tam i wydadzą kłos.“ Mimo to więc, że niezawodnie ani wszystkiego odrazu, ani nawet małej cząstki wszystkiego w jaknajbliższym czasie wydać się nie da, to mimo to jednak narady te toczące się tylko około takich wydawniczych, a chwilami nawet czysto praktycznych kwestyj, i wielce nauczającemi i pożytecznemi i niezawodnie w liczne najzbawienniejsze skutki obfitemi będą, — a już dziś przez odkrycie i odnalezienie wielu cennych materyałów, o których większa część bada-

czów dotąd nie wiedziała, wielką swą wagą dla historii za-
ważyły.

Wszystkich niemal poszczególnych referatów, których uprzednie drukowanie i rozdanie wraz z 1szym rozbiorem między czynnych członków zjazdu na przyszłość najśluszniej i najtrafniej w świecie podniósł p. rektor Liske, — podjęli się gościnni gospodarze krakowscy, chcąc przez to ułatwić zaproszonym uczonym pracę i dyskusyę, a samemu w niej jak najmniej głosu zabierać. Referaty te odznaczały się wszystkie każdy w swoim rodzaju wielką gruntownością i zwięzłością i wysuwaniem jaknajjaśniej i najjaskrawiej na pierwszy plan tego, co przedmiotowi referowanemu dolega najwięcej. Tak rektor Liske podniósł niepewności swoje co do zamieszczenia w dalszym ciągu Monumentów niewydanych pism Kallimacha, kroniki Jana z Komorowa i kronik ruskich i czeskich, czego na własną odpowiedzialność wziąć nie chciał. Tak prof. Bobrzyński przedstawił ogrom materyałów do dziejów sądownictwa, skarbowości, administracyi w Polsce, pod postacią zapisków sądowych, nie wydanych dotąd wcale, i niezmiernie braki do dziejów ustawodawstwa w Polsce w trzech wiekach ostatnich, ze względu na znaczną niedokładność co do ustaw zamieszczonych w Voluminach Legum. Prof. Smolka wykazał, że prawie żadnych dotąd nie były badań w zakresie geografii historycznej Polski, i że to pole, wyjąwszy kilku wstępnych prac Prof. Caro i nowiej wielkiej mapy dyecezyi krakowskiej w wiekach średnich, opracowanej przez p. Piekosińskiego, dotąd prawie całkiem leży odłogiem. Prof. Zakrzewski ogrom cały koniecznych materyałów do dziejów wieku XVI przedstawił, wykazał konieczność wydania niezbędnych aktów, korespondencyj, relacyj zagranicznych, niewydanych lub nie krytycznie wydanych historyków, i konieczność robienia nowych bibliotecznych i archiwalnych poszukiwań w tych wszystkich działach. P. Wiśłocki żądał koniecznych i niezbędnych rzeczywiście przedruków rzadkich książek z wieku XVI, w dyskusyi zaś nad referatem jego ujęto się przedewszystkiem za postulatem koniecznego krytycznego wydania wszystkich poetów polskich łacińskich, aż do Kochanowskiego i za przedrukiem mnóstwa najrzadszych rzecz można białych kruków, do dziejów Unii niezbędnych, a pierwszorzędną nawet

i językową wartość mających. P. J. N. Sadowski, w pełnym nowych i głęboko naukowych spostrzeżeń odczucie swoim o śladach wędrówek słowiańskich w epoce przedhistorycznej ze względu na badania archeologiczne, uczynił wielki krok naprzód w połączeniu dotąd nie mogących się zejść u nas jeszcze prac na polu historyi i archeologii.

Wszystkich referatów i dyskusyj nad nimi wyliczać tu i streszczać, jako znanych i nie warto i nie sposób; — nie od rzeczy jednak będzie może choć w krótkości podać nazwiska najczęściej głos w dyskusji zabierających członków zjazdu i ogólne rezultaty ich przemówień i uwag. „Z wieku i z urzędu“ i jako od najpoważniejszego z gości naszych, należy nam zacząć ten szereg od Prof. Roepella, który w ogóle niezbyt często głos zabierał a wszystkim dyskusjom z natężoną uwagą się przysłuchiwał. Bezstronny i przychylny dla nas autor przed 40 już laty wydanej Historii Polskiej, którą wówczas pierwszy raz niezawodnie uctzonej Europie w sposób naukowy opracowaną przedkładał w zbiorze Heerena i Uckerta, w rozprawach dziś swoich na kongresie szedł on przede wszystkim za stronę, że tak powiemy praktyczną, do niej w każdej kwestyi dążył i starał się dawać swe światłe rady z tyloletniego płynące doświadczenia, w celu umożliwienia wszystkich tych licznych i pięknych przedsięwzięć i desideratów, których tak wiele wyliczonych słyszał, a którym chciałby był jak najprędzej dać realną podstawę. Choć może owa z takim naciskiem wypowiedziana rada, co do konieczności tanich wydań historyków polskich, zwłaszcza z XVI w., na wzór książek tego rodzaju w Niemczech, nie całkiem jeszcze dzisiaj u nas desideratom odpowiada, gdyż my najżywniejszych innych materyałów jeszcze nie mając o tego rodzaju dobrodziejstwowych zbytkach marzyć jeszcze nie możemy, mimo to jednak wiele z cennych wskazówek łaskawego gościa w praktykę i wykonanie wziąć winniśmy z wdzięcznością. Dzięki także od wszystkich badaczy polskich dziejów prof. Caro, za jego tak liczne, ciekawe i prawdziwie drogocenne wskazówki, jakich nam tyle podał i jakimi w każdej niemal kwestyi jak z rękawa sypał. Znany autor *Geschichte Polens*, nie zawsze w niej na nas łaskawy, na kongresie okazał nam tyle uprzejmości w przemówieniach swoich, bystrych, jędrnych, zawsze

w samo centrum przedmiotu mierzących, a tak zarazem chwilami pięknie obracanych, tyle wiadomości i ciekawych szczegółów nieznanych do dziejów naszych nam podał, że rzeczywiście jak to już wielu z referentów czyniło i za to wszystko i za przyjazd podziękować mu tylko należy. Nieznane wskazówki materiałów archiwalnych do mających się kiedyś wydać zbiorowych pism i korespondencji Kallimacha, znajdujących się w Luce i Pistoii, przedstawienie zupełnie nieznanej dotąd kroniki *De obitu Vitoldi* znajdującej się w manuskrypcie w jednej z bibliotek florenckich, a teraz mającej wejść w skład nowych tomów Monumentów, udzielenie wiadomości o znacznej części korespondencji ks. pruskiego Albrechta I. z jego rezydentami na dworze polskim, znajdujących się w Archiwum Sztabu Generalnego w Petersburgu, zwrócenie uwagi na cenne materyały do geografii historycznej, znajdujące się w relacyach obcych podróżujących przez Polskę w wiekach od XIII do XV i w dziele niedrukowanym dotąd trubadura francuskiego Wilhelma de Machault, wskazanie zaś nadewszystko wszystkich niemal aktów polskiego ministerstwa spraw zagranicznych i części aktów ministerstwa skarbu i policyi, znajdujących się w archiwum państwowem w Moskwie — oto kilka z najważniejszych wskazówek szan. gościa.

Sympatyczny, niezwykle skromny, prof. Tomek z Pragi, znany autor znakomitej Historji pragskiego uniwersytetu, w jednym przemówieniu swem dał żądane odeń przez prof. Szujskiego objaśnienia co do burs polskich i litewskich w Pradze, i co do ksiąg matrykularnych tamtejszych, z dziejami uniwersytetu krakowskiego będących w związku. — X. Wal. Kalinka prezydujący tak doskonale sekcji historycznej, kruszył kopie zwłaszcza za tak szczupłym i mało znanym dotąd materyałem do dziejów Unii, którego braki wielkie tak gorąco i trafnie podnosił, i kładł nacisk na jak najspieszniesze rozpoczęcie druku Landów sejmowych. — Pan Jarochowski, prawdziwy typ uczonego szlachcica polskiego, ze swoim serdecznym i wszystkie serea zyskującym sobie charakterem, popierał wnioski prawie wszystkie i dorzucał do nich mnóstwo ciekawych i ważnych argumentów i skazówek, z doświadczenia w pracy historycznej płynących. — P. Małecki

spokojnie i wytrawnie i także często ze względów praktycznych podawał swe rady i wnioski, zwłaszcza w sprawie wydawnictwa poetów przed Reyem i Kochanowskim, a takie zdanie i poparcie wychodzące od pierwszej dziś u nas powagi na polu literatury polskiej niemałego było znaczenia. — Nerwowy i nieco gwałtowny, a wszystko do serca biorący, tyle zasług co do historii polskiej wobec zagranicy posiadający rektor Liske, rozsiewał w przemówieniach swoich prawdziwe mnóstwo cennych spostrzeżeń, dawał wiele skazówek ciekawych i nowych w dyskusyi nad referatem prof. Zakrzewskiego, na każdy zarzut znajdował odrazu bystrą odpowiedź, przemawiając zaś kilka razy w wielu materyach, dał dowody prawdziwie pięknego zapachu dla sprawy kongresu i wielkie przez to okolo niego położył zasługi. — Uczony ks. prałat Likowski, znany autor znakomitego dzieła „Dzieje Kościoła unickiego na Litwie i Rusi w XVIII i XIX wieku,“ czynił zwłaszcza nader słuszne uwagi nad referatem ks. kanonika Polkowskiego, obstając za więcej wagi mającem wydaniem aktów synodalnych, nie dycecyalnych, ale prowincjonalnych, i podał do publicznej wiadomości odkrycie dokonane świeżo przez ks. Korytkowskiego w archiwum kapituły gnieźnieńskiej, mnóstwa listów wieśniaków polskich do tejże kapituły, zwłaszcza ze skargami na uciskającego ich literackiego obrońcę Frycza Modrzewskiego, które niezmiernie są ciekawe jako pomnik językowy i jako przyczynek do poznania osobistości wielkiego statysty naszego z XVI wieku. — Prof. Bobrzyńskiego oprócz w dwóch jego cennych referatach, słyszeliśmy także i w innych materyach kilka razy przemawiającego, jędrnie, praktycznie, nieco sucho i zimno, ale jasno i uczenie, a przytem z tym zapalem do nauki, której się oddał, i z tą ciętością w bronieniu swych spraw, jaką się od dawna odznacza. — P. Parczewski, znany badacz dziejowy ziemi Kaliskiej, zabierał również głos kilka razy, zawsze bardzo rozumnie i korzystnie dla omawianego przedmiotu, podając zaś zarazem dosyć liczne szczegóły do przedmiotów dotyczących pola jego badań, z których dosyć wspomnieć choćby tylko ową wiadomość o Liber Beneficiorum dycecyi Kujawskiej.

Wszystkich przemawiających i dodających swe rady

i uwagi do tego tak bardzo czynnego i liczego zjazdu wyliczać, ani przemówień ich oceniać niesposób. Wspomnieliśmy najważniejsze i najczęściej się powtarzające, resztę niech nam choć wyliczyć tylko imiennie będzie wolno, jak n. p. cenny projekt o wydawnictwie kronik ruskich, odczytany przez p. Szaraniewicza; jak ciekawe i uczone dyskusye panów Łuszczkiewicza i Maryana Sokołowskiego; jak żywe i słuszne propozycye prof. Œwiklińskiego, względem zajęcia się wydrukowaniem wszystkich tekstów autorów starożytnych, odnoszących się do Słowiańszczyzny; jak przemówienia pp. Nehringa, Pilata, Piekosińskiego, Malinowskiego, Kluczyckiego, ks. Chotkowskiego, p. Czernego i wielu innych, pomiędzy którymi, żalujemy, że słyszeliśmy tak mało uczonego kanonika Korytkowskiego z Gniezna. — Więcej członków biorących czynny udział w rozprawach kongresów już nie wymieniamy, ale nie sposób nie wspomnieć także niektórych innych uczestników. Tu na pierwszym miejscu stoi hr. Konstanty Przezdziecki, kontynuator wraz z bratem swoim wielkich pomnikowych wydawnictw ojca, przybyły na obchód tego Długosza, którego imię z nazwiskiem jego rodziny nazawsze złączone pozostanie, a przyjmowany z wdzięcznością i z zapalem przez cały zjazd historyczny. Widzieliśmy także badacza hussytyzmu, pana Prochaskę — pana Kanteckiego — tak sympatycznego i takiego z krwi i kości, z wyglądu i serca Polaka, jakim jest pan baron Gustaw Manteuffel, autor pięknego dzieła o Polskich Infantach; spostrzegliśmy także warszawskich literatów panów Adama Pługa i W. Szymanowskiego; słowem byli przedstawiciele polskiej nauki, polskiej pracy na polu historyi i polskich zasług dzisiejszych ze wszystkich krańców kraju zebrani, zgromadzeni, jak to pięknie we wstępnem swem przemówieniu prof. Szujski powiedział, w imię „wspólnej miłości dziejowej przeszłości i w imię gorliwości w badaniu rzeczy polskich.“ — A skoro wspominamy już z rodzajem wdzięczności tych wszystkich, którzy trudów i kosztów nie szczędzili, ażeby przybyć na zjazd i obecnością swą i czynnym udziałem go uświetnić, jakże nie powiedzieć z rodzajem pewnego żalu i pewnej także wymówki słów kilku o tych, których tak bardzo nam brakowało. Tu na pierwszym

miejsu wymienić należy prof. Dr. Zeissberga, którego ciągle na obchodzie imienia Długosza, głównego bohatera jego pomnikowego dzieła na każdym miejscu się szukało, i którego nieobecność i brak każdemu niezawodnie tak się dotkliwie dawały uczuć. Ale gdy przeciw chorobom walczyć nawet największe naukowe uroczystości nie mogą, to czemuż przypisać nieobecność kilku innych zasłużonych badaczy i pisarzy? Nie widzieliśmy np. Dr. Semkowicza, który od lat już wielu nad Długoszem siedzi, jego studyuje i do znacznych już, jak wieść niesie, doszedł nad nim rezultatów. Nie było (z powodów, których tłómaczyć nie trzeba) p. Pawińskiego, tyle zasłużonego historyka z Warszawy; nie było p. Kalickiego ze Lwowa, pp. Kubali i Kętrzyńskiego, ani pp. hr. Augusta Cieszkowskiego i Stanisława Koźmiana z Poznania, obydwóch wiekiem i złem zdrowiem zatrzymanych.

Na zakończenie zaś dzięki jeszcze Dr Wojciechowskiemu za jego taki piękny, taki ciekawy, tak misternie i przystępnie napisany, a tak głęboko pomyślany odezyt pożegnalny „O Kazimierzu Mnichu.“ Zawsze sprawa tasama, tyle razy już traktowana, w ostatnich czasach tak nawet wyczerpująco przez prof. Smolkę, czy Kazimierz syn Mieszka II był w klasztorze w Kluniaku i czy tam przyjął wyższe święcenia zakonne? — Prof. Wojciechowski bystro i nadzwyczaj pięknie dowiódł nam prawie, że tak było rzeczywiście, a co najważniejsza, dowiódł poprostu, bez silenia się na wielkie kombinacye tekstów i źródeł, ale opierając się na prawie kanonicznem i na znaczeniu jego wyrażen technicznych, taką pierwszorzędną wagę dla badaczy, zawyłych kwestyj z wieków średnich mających. Potrafił autor do przedmiotu napozór suchego i czysto-naukowego przykuć całe audytoryum, które też równie wdzięczne było żegnającemu zjazd gościowi ze Lwowa, jak witającemu kongres w podobny sposób o dwa dni pierwój krakowskiemu profesorowi.

Zamykając wreszcie uwagi nasze tak szczupłe nad tym całym pięknym obchodem i nad tym tyle ważnym historycznym kongresem, niech nam wolno będzie dodać słów parę

w celu podniesienia jego wielkiego niezawodnie znaczenia pod jednym względem jeszcze. Wszyscy obecni temu zgromadzeniu i wszyscy urządzający zjazd czuli potrzebę od największych do najmniejszych dodania mu świetności, powagi i znaczenia. Hrabia Włodzimierz Dzieduszycki przywiózł swój nieoceniony złoty skarb Michałkowski. Urządzenie wspólnie wystawy Długossianów w kapitułarzu katedralnym i zgromadzenie w sali Akademii wszystkich źródeł historycznych w naszym wieku w Polsce wydanych, niemało też były znaczenia i niemało się pod względem i naukowym i artystycznym do uświetnienia zjazdu przyczyniły. Piękne wreszcie album Długosza wydane przez ks. kanonika Polkowskiego, medale pamiątkowe i t. d. wszystkie te najmniejsze nawet dodatki, każdy w swoim zakresie i pożądanym odniósł skutek i zapomnianym nigdy nie będzie. — A co przedewszystkiem z pamięci wszystkich obecnych na kongresie nie wyjdzie niezawodnie nigdy i co obfite najbogatsze owoce przynieść ze sobą niebawem już powinno, to, to poznanie i zbliżenie się wszystkich niemal pracujących na jednym wielkim polu dziejów polskich. Te stosunki odnowione lub nawiązane poraz pierwszy, powinny zostać wiecznymi i nierozzerwalnymi, a wtedy przyniosą ze sobą to wszystko, co wróżyły i co między główne, najważniejsze momenta i zasługi zjazdu policzonem wówczas będzie. Poznali się wszyscy i zaprzyjaźnili; niech więc nam wolno będzie zakończyć i te uwagi nasze wierszem Mickiewicza, którym prof. Dr Caro przesyłając żadaną fotografię swoją do albumu pamiątkowego dla prof. Szujskiego takową podpisał:

Znali się z sobą niedługo, lecz wiele:
I od dni kilku już są przyjaciele.

Dr ski.

Przegląd literacki.

Przyjaciele Hioba. Komedia w dwóch aktach przez *Adama Asnyka* (El...y). Warszawa. Nakładem Michała Glücksberga, księgarza. 1879, 12^o. str. 100.

(Przedstawiona na scenie krakowskiej pierwszy raz dnia 25 maja 1880).

Tak rzadko zdarza się spotkać wśród powodzi miernych robót, najczęściej fars, utwór sceniczny prawdziwie wyższej wartości, że z przyjemnością zapisać się godzi każdy wyjątkowy objaw talentu i natchnienia. Pan Asnyk występując na tem polu trudne ma zadanie, bo nauczyliśmy się i mamy prawo wymagać wiele, i spodziewamy się zawsze czegoś nie „według miary krawca“. Wyznajemy z góry, że to, co znaleźliśmy w „Przyjaciółach Hioba“, nietylko dorosło naszym wymaganiom, ale przewyższyło je znacznie i świetnie. Jestto utwór poważny, choć krótki, wnikający nieznacznie i bez używania efektów i sztuczek w samą głąb duszy ludzkiej, życia artysty i społeczeństwa. Choć przedmiot stary jak świat, żadnych wspomnień, ani naśladownictwa, ani maniery w „Przyjaciółach“ nie znajdziesz: owszem, żywy obraz wprost z życia wzięty, a przedstawiony z tą świeżością, która zachwycą, i z tą prawdą, która się nie starzeje i zapewnia dziełu trwałe znaczenie i stanowisko w literaturze i w teatrze.

Trzech artystów wprowadza poeta (malarzy wprowadzie, ale wszystko da się odnieść i do innych synów Muz). Dwaj z nich zmarnowani zupełnie — trzeci w walce z losem i z sobą stoi na pochyłości, z której w szczęśliwym razie wzniesie się może pod niebo — albo spaść w otchłań, z której niema wyścia. Obraz posepny, ale jakże prawdziwy! Nigdzie może niema tyle zmarnowanych talentów, tyle nieskończonych, zwieczniętych indywidualności, co u nas. W młodości zapowiadają wiele; ich talent, ich bystrość podziwiają ludzie; geniuszów w pieluszkach co nie miara! A potem — a potem? Stają się albo spokojnymi „zjadaczami pieczeni i chleba“, albo nieszczęśliwymi gladiatorami, którzy walczą i giną na cierniach usłanej arenie — bez imienia i bez chwały. Mamy tu właśnie takich dwóch. Tomasz Wieloradzki był artystą zdolnym, kochał sztukę, dla niej naraził się nawet na rozterkę z rodziną, ale to wszystko trwało tak długo, dopóki nie odziedziczył krociowej fortuny. Wtedy skończyło się wszystko — miłość mamony wypełnęła, zabiła miłość dla sztuki — jakby na stwierdzenie zdania, że bogacze nie wejdą, czy wejść nie chcą do Królestwa Niebieskiego — a tak rzadko wchodzą do królestwa sztuki. Sam powiada o sobie (str. 30). „To zwiechnęło moją samodzielność. A przytem — co to za ciężar obowiązków i kłopotów — jaka odpowiedzialność — być posiadaczem wielkiego mienia!“

Nie ciekaważ to postać, nie zwykłyż to objaw?! Dlaczego, pytam się, dlaczego potomkowie tych co wykrzesali niegdyś dla nich mieczem dobre imię i dobrą sławę, tak rzadko utrzymują ją i podnoszą, tem, czem można: orężem, pługiem, piórem, dłu-tem czy jakimkolwiek godziwem narzędziem pracy, przemysłu, natchnienia? Czy tylko *fruges consumere nati*? czy pole sławy otwarte dziś tylko dla parweniuszów i holyszów? Jeszcze stary a mądry *Frycz Modrzejewski* (w IV księdze swego nieśmiertelnego dzieła „O naprawie Rzeczypospolitej“) pisał: „Przeto wiele na tem Rzeczypospolitej zależy, aby byli niektórzy, coby o urzędy nie stali, coby się około panów nie bawili, a przeto się też *żądżom ich, słowy i pisaniem, przeciwić śmieli...* A to o zacności ich dlatego powiadam, abychmy tak rozumieli, że ten stan wszelakim sposobem ma być bronion przeciwko przewrotności i rozpustności ludzi naszego wieku, którzy *nie inszego nie pragną*, oprócz świetności ży-

wota a mnóstwa bogactw i możności, których tylko rzeczy dziś wszędy pilnują, zaś nauki i *ten wszystek uczenia się i nauczania warstat ludziom podłym zostawują*“.

Asnyk ze zmysłem najdelikatniejszym, prawdziwie artystycznym zaznaczył tylko ten problem, ale ani nie gorszy się, ani moralizuje. Talent mierny byłby nie uniknął pokusy włożenia w usta *Cyganka* długiej tyrady i moralnego obroku, zapominając, że scena nie jest kazalnica, ani sztukmistrz pedagogiem. Widzimy więc, że w sztuce jest czasem zashugą, czegoś *nie zrobić*, a ta uwaga oby przypadła do przekonania naszym panom artystom wszelkich kategorii, którzy robią zwykle *za wiele*.

Drugim zmarnowanym artystą jest wspomniany dopiero Hipolit Cyganek. Wieloradzkiego zabiło bogactwo — tego nędza i rozpacz, że siły nie dopisały zdolnościom, a wykonanie natchnieniu: szuka zapomnienia w kieliszku. Ze zwykłą zręcznością i zwięzłością wkłada poeta w usta Hipolita jego dzieje i charakterystykę (str. 16). „Chcesz mię spytać poprostu, dlaczego piję? Powiem ci, boś był dobrym dla mnie. Nie wiem, czyś się zastanawiał kiedy, jakich udręczeń doznawać może człowiek, któremu Bóg dał nawskroś artystyczną duszę, który czuje i kocha prawdziwe piękno, i w myślach swoich tworzy areydziała, a który, gdy je chce wydobyć z siebie, płodzi tylko szpetne dziwolagi urągające się jego wszystkim wysileniom.... Być tak jak ja, skazanym na próżne posiadanie; nosić w duszy ideał, którego dotknąć się niewolno pod klątwą zrobienia zeń karykatury; być poetą w marzeniu, a nędznym partaczem w rzeczywistości: to męka nad wszelkie wyrazy, dla której w całym świecie nie znajdziesz współczucia.... Buntujesz się przeciw wyrokowi tłumu, nie nie pomaga.... Przychodzi chwila, w której idziesz szukać zapomnienia w kieliszku“.... I wszyscy odwrócili się od niego (str. 78).! „Wszyscy, którzy dojrzą pierwszy objaw jego słabości, napiętnują go odrazu pogardą, rozgłaszając i powiększając jego winę; rzucają mu obelgę w oczy, pod którą zakamienieje w swym upadku, zbrojąc się tylko w cynizm i szyderstwo. Pytam się: czy jest-to miłość chrześcijańska? Czy ludzie otaczający zwycięzców, nie powinni raczej zwrócić się do upadających? A jednak najszlachetniejsi z pomiędzy was bezwzględnem potępieniem popychają chwiejącą

się nad brzegiem przepaści istotę — dumni, że sami na twar-
dym gruncie stoją. Takie jest powszechne prawo świata: *nie
ma litości dla słabych!*“

Takich upadłych artystów i ludzi znajdziemy wszędzie. Któż nie znał poetów, co z hymnu zstępowali do trywialnej powieści, któż nie widział malarzy, którzy malowali naprzód obrazy, potem szyldy, potem pokoje? — Czy i Hipolit tak skończy, jak prosty pijaczyna? Nie! Poeta — artysta tak skończyć mu nie da, bo w tym człowieku oprócz objawów głębokiej myśli, gdy trzeźwy, jest także *serce głębokie*. Miej serce i patrzaj w serce! Nikt lepiej nie zastosował się do tego wezwania Mickiewicza, niż autor „Przyjaciół Hioba.“ Hipolit przyszedł do Gwidona — jak zwykle — po pożyczkę. Ale gdy się dowiedział, że przyjaciel pogrążony sam w nędzy, w błyszczącej wprawdzie, ale tem dotkliwszej — zapomina o sobie — zaczyna częściej przychodzić, czuwa nad Gwidonem, podnosi go na duchu, on sam jeden ożywia w nim wiarę w samego siebie, którą wszyscy, nawet własna żona, zachwiać usiłują — a co więcej, gdy widzi, że nikt z bogatych przyjaciół, z fałszywych pocziwców, nie spieszy mu na ratunek przed lichwiarską egzekucją, sprzedaje ostatni swój skarb, ostatni przedmiot miłości, z którym dotychczas rozstać się nie mógł, obraz starego włoskiego mistrza. Taki człowiek nie powinien, nie mógł zginać: mogłaby na to pozwolić niesprawiedliwość ludzka, ale nie mogła sprawiedliwość poetycka! Zbliżenie się do szlachetnych ludzi, poruszenie serca, zapomnienie o sobie — podnoszą go moralnie przy końcu sztuki do tego przynajmniej stopnia, że z głębi serca choć nieśmiało i skromnie, powiedzieć może: „Ja sam czuję się tak szczęśliwym (waszem szczęściem) że gotów jestem się odmienić. Zrobiłem nawet postanowienie.... (str. 95).

O trzecim już krócej powiem, chociaż on jest głównym obok Hipolita bohaterem. Opowiadanie dokładniejsze wkroczyłoby już w samą ośnowę sztuki, a tej nie radbym dotykać, bo nie chcę przedwcześnie zaspakajać ciekawości czytelników, i pragnę, żeby każdy poznał osobiście! „Przyjaciół Hioba.“

Gwido Renicki, artysta wyższych zdolności doświadcza także losu, który tylu znakomitych ludzi bywa udziałem. Z początku szczęśliwy — podoba się — *wchodzi w modę*.

Poznał osobę ładną, wyższego umysłu, z bogatego domu. Leonia ulega gwałtownej miłości dla młodego, pięknego, sławnego już artysty; wychodzi za mąż wbrew woli rodziców — zrywa z nimi. Czy jest większe szczęście, niż tak być ukochanym! A jednak tu koniec, tu przerwa przynajmniej i to bardzo niebezpieczna. Słońce zaszło, Gwido *wychodzi z mody*, obrazów jego nie kupują, nie ma żyć o czem, żona przyzwyczajona do bogactw i wygod, zarabiać musi na życie *lekcyami*! Wprawdzie chodzą swobodnie po świecie i nawet nos do góry noszą, i coraz się mnożą ludzie, których utrzymują żony — ale Gwido Renicki? On cierpi z tego powodu straszliwie — a zarobić nie może. Przychodzą bogate panie (Estetyńska), które niegdyś protegowały go nie tyle w celach sztuki, co w celach Putyfarowej, wyludzają obrazy, jeden na loteryą fantową, drugi dla siebie, w miłym upominku, i przynoszą w zamian *fliżankę*, z której Napoleon pijał herbatę *w domu babki* (gryząca to ironia, ale czy nie słuszną?) — ale obrazu nie kupuje nikt — a jutro koniecznie dług czy procent zapłacić potrzeba! Gwido postawił ostatnią stawkę. W ukryciu malował obraz, dziś jego losy na wystawie się rozstrzygną. I talent *prawdziwy* nie zawiodł go! Ocalony, szczęśliwy znowu, odzyskał wiarę i siły — i dochody — już teraz nie zaginie! I zasłużył na to, bo nie był to bazgracz bez serca i duszy, lecz łączył w sobie wszystkie przymioty prawdziwego mistrza i prawdziwie zacnego człowieka, któremu miła jest sztuka, lecz jeszcze miłszą niezachwiana prawość charakteru. Nie była to jednak zupełna doskonałość, bo o taką bardzo trudno — oto nasz Gwido, podobnie jak tylu innych najszlachetniejszych u nas talentów, był kwiatem egzotycznym, któremu do życia i pracy koniecznie światła i ciepła potrzeba! A w tem właśnie sztuka, żeby się ostać, i pracować, i żyć, nawet bez zachęty świata i bez nagrody.

Obok tych postaci, jest jeszcze jedna, także stara jak świat, i nieznośna, jak on, duch opiekuńczy lub cień, jeśli chcecie, towarzyszący wszystkim niezrozumianym, smutnym lub pracującym — niewiastom, nie wdowom broń Boże, bo z temi możnaby zająć — do ołtarza, lecz cudzym żonom — słowem — pan Oskar Platonowicz. Kończy się z nim tym ra-

zem trochę inaczej, niż najczęściej bywa: wypraszają go za drzwi, naprzód mąż, a potem i żona.

Ta żona, choć może mniej sympatycznie traktowana, niż Hipolit, to wielone *poczucie obowiązku i godności*; która to dwoje posiada, ta nie upadnie i nie poniży się. Ale to jeszcze za mało. Obowiązek i godność wielkie to cnoty — ale większa jest miłość. Owszem największa! Powiedział to jeszcze Paweł św. — ale powtarzać tego nigdy nie można za często. Zaznaczył to i nasz miły poeta — a słowa jego piękne godzi się powtórzyć: *Kobieta powinna otoczyć męża jasną miłością!* Niech to będzie odpowiedzią dla tych, którzy posądziłyby chcieli autora „Przyjaciół” o przesadny pesymizm.

Oto są postacie Asnyka. Jeśli was zajmują, to jeszcze dodam, że akcja w komedyi, która z nowszych utworów naszych najwięcej zbliża się do wyższej komedyi francuskiej (są tam prawdziwie wzruszające sceny i treść sama pełna wzniosłego nastroju), rozwija się szybko i żwawo, dyalog płynie zręcznie i gładko, a nad wszystkim świeci głębokość filozoficznego wykształcenia, tak rzadkiego u naszych autorów, i filozoficznego na świat poglądu — a wszystko ozlaca blask prawdziwej poezyi, której nie można nie dostrzedz. Zarzucicie mi może to, co Hipolit szezęściu Renickich, że nie ma cienia w moim obrazie. Zostawiam to recenzentom z urzędu, którzy żyją z tego i na to, żeby z muchy robić wołu — a z komara lwa; ale jeśli chcecie koniecznie zarzutu, to powiem: wołałbym, żeby komedia napisana była wierszem, żeby Hipolit nie powtarzał niektórych szczegółów o sobie dwa razy i żeby nie pożywał guldena.

Hugo Zathej.

31 maja 1880.

Przegląd polityczny.

Kraków 31 maja.

Objęcie rządów Anglii przez Gladstona zmieniło całe położenie polityczne Europy i stosunki międzynarodowe. Polityka gabinetu lorda Beaconsfielda znajdując jeśli nie pomoc, to przynajmniej punkt oparcia w przymierzu niemiecko-austriackim, zmierzała ku temu, aby nie mogąc regenerować Turcyi, zapobiedz nagłemu jej upadkowi, z któregoby przedewszystkiem korzystać nie omieszkala Rosya, czy to robiąc nowy zamach na Konstantynopol, czy też rozsadzając Turcyę przez agitacye bułgarskie, zagony serbskie i czarnogórskie. W Austrii znalazła polityka angielska najpewniejszego współzawodnika Rosyi, który mógł przeszkodzić utworzeniu się ligi ludów słowiańskich przeciw Porcie pod zwierzchnictwem Rosyi i sięgnąć z czasem aż do Saloniki. Ztąd ta niechęć gorąca Gladstona ku Austrii, ztąd mowy jego wyborecze tchnące przeciw niej zawzięcia. Gladstone wyraźnie oświadczył, że chce rozbić Turcyę, wyswobodzić jej ludy słowiańskie i podźwignąć Grecyę, dając jej Konstantynopol napowrót za stolicę. Nie myśli on wcale zbogacić Rosyi, owszem mniema, że Grecya tak wzmocniona, oparta o Anglię, będzie dość potężną, aby powstrzymać zapędy Rosyi. Nie obcym temu planowi jest interes handlowy Anglii, która mogłaby zyskać dla swego przemysłu monopol na Wschodzie. Wszakże Austria sama jedna sprzeciwiała się niegdyś utworzeniu królestwa Greckiego, jak zamierzyły sprzymierzone Rosya, Anglia i Francya; Gladstone marzy o powrocie do tej samej polityki na Wschodzie; mówiąc też o Austrii ciągle miał na pamięci Metternicha, a myśląc o Rosyi, miał na pamięci owe liberalne uczucia Aleksandra I, który marząc o oswobodzeniu ojczyzny Aristides i Temistoklesa, chciał widzieć na tronie greckim brata swego Konstantego, nie przeczuwając, że skończy się na księciu bawarskim Ottonie.

Gladstone zostawszy ministrem, znalazł się w fałszywym położeniu bo mowa wyborecza w Midlothian zostawiła wrażenia, które utrudniały jego stanowisko wobec nie tylko rządu, ale oraz dworu austriackiego. To co wolno było powiedzieć kandydatowi na deputowanego, nie wolno było powtórzyć ministrowi,

naczelnikowi gabinetu. Poddal się więc operacyi odwołania słów swoich powiedzianych o Austrii i napisał do ministra spraw zagranicznych lorda Granvilla list nietyle odwołujący, ile raczej tłumaczący swój brak rozważli i taktu politycznego. List ten został udzielony posłowi austriackiemu hr. Karolemu jako zadośćuczynienie. Nie pozostawało gabinetowi wiedeńskiemu nic innego, jak przyjąć takie tłumaczenie się, inaczej bowiem musiałby zerwać stosunki dyplomatyczne z Anglią, bo nie można było myśleć o obaleniu ministra świeżo wyszłego z łona większości parlamentarnej, bez którego udziału nikt z jego partyi nie był w stanie złożyć gabinetu. Takie załatwienie tego nie milego zajścia nie wystarcza, aby przywrócić stosunki zażyłe między obu rządami. Umiano z tego wypadku skorzystać w Petersburgu i naraz umilkły w tamiecznych dziennikach hymny pochwalne dla Gladstona i jego gabinetu a powzięto plan odnowienia dawnych związków przyjaźni z Prusami i Austrią. Cesarz Wilhelm był zawsze do tego gotów ks. Bismark poznał też, że przymierze austro-niemieckie nie ostoi się bez wsparcia Anglii, bo straconą jest dlań podstawa jako siły odpornej przeciw Rosyi, w Wiedniu nie można było odrzucić żądania Rosyi. Nie stanął jeszcze formalny nowy sojusz trójcesarski, ale wszystko utorowane dla jego przyjścia do skutku, i lubo, jak na teraz, Rosya nie stanowi głównego ogniwa tego związku, lecz raczej przyłączyć się chce do przymierza obu mocarstw, wszelako w ten tylko sposób Rosya usunie się od ścisłych związków z Francją i Włochami i nie dopuści, aby polityka Gladstona na Wschodzie zwracała się głównie przeciw Austrii Gabinet petersburski oświadcza też, iż pragnie wespół z innemi mocarstwami dopilnować wykonania niewykonanych jeszcze warunków traktatu berlińskiego, i rad, że ma się teraz kim wyręczyć, aby ten traktat obrócił się na największą jak można szkodę Porty. Rosya czuła się za Beaconsfielda odosobnioną; teraz za objęciem rządów Anglii przez Gladstona znalazła się ze wszystkiemi państwami w najlepszych stosunkach, a nadto zbliżyła się bezpośrednio do Niemiec i Austrii.

Wszystkiego tego dokonał Gladstone. Wymówili mu to jego przeciwnicy w Izbach, ale w prasie angielskiej znalazł on nieprzewidywaną dla swego systemu politycznego

popłaźliwość i najlepsze chęci. Czem się to dzieje? Na stałym łądzie posądzanoby prasę o hołdowanie władzy; w Anglii inaczej to zjawisko daje się tłómaczyć: przedewszystkiem panuje tam przekonanie, iż każdy gabinet jakiegokolwiek byłby barwy, pragnie robić jak najlepiej i działa tak, jak to uważa za najkorzystniejsze dla swego kraju. Nie o zwycięstwo partii tam głównie chodzi, ale o korzyści polityczne, które partya stojąca u steru mniema osiągnąć w wyższym stopniu, niżby przeciwne stronnictwo osiągnąć zdołało. Jaki-bądź system rządowy bierze górę, trzeba mu dopomagać a nie utrudniać i przeszkadzać jego stosowaniu. Opozycja przez to nie skazuje się na milezenie, ale nie stara się szkodzić rządowi, zatruwać mu, że tak powiemy, życie, podejrzywać i szkalować każdy jego zamiar go, każdy akt jego nicować i w parlamentarnej polemice znużyć. Cóż łatwiejszego, jak w obradach nad adresem lub nad budżetem stawieć po kilkudziesięciu mowców z każdej strony, aby nie innego nie osiągnąć nad to, co dało się osiągnąć pierwszego dnia, jak aby większość liczebna odniosła górę i uchwaliła to, co projektowanem było z jej wiedzą i za jej zgodą. W żadnym parlamencie tak mało nie mówią, jak w angielskim, w żadnym tak szybko nie załatwiają spraw, jak w angielskim, chociaż zwyczaj nie zaprowadził tam mowców jeneralnych, jakich znają regulamina innych ciał prawodawczych, żeby można łatwiej położyć koniec niewyczerpanym popisom krasomówczym. A że niema w Anglii takiego przepisu pozwalającego zamykać obrady, więc też chcieli i tam spróbować raz Irlandczycy nie dopuścić do uchwalenia adresu, dopóki ich poprawka nie zostanie uwzględniona. Ale była to tylko próba. Wogóle bowiem praktyczny zmysł Anglików nie widzi korzyści w prowadzeniu wojny z gabinetem, który ma za sobą chwilową większość, i pozwala mu iść drogą przez siebie obroną, dopóki nie pokaże się, że droga była niewłaściwa i dopóki nie nastąpi zwrot w opinii kraju.

Zupełnie też odmienną drogę w polityce zagranicznej obrał Gladstone, niż ta, którą szedł jego poprzednik, a w skutku tego zmieniły się wszystkie stosunki międzynarodowe w Europie, przedewszystkiem zaś ze względu na kwestyę wschodnią. Wysłał terazniejszy rząd nadzwyczajnego posła

do Konstantynopola Goeschena, który nie tylko jest członkiem partji liberalnej, ale z zawodu finansistą. Ma on nie tylko dać poznać Porcie, iż ta nie może liczyć na pobłażliwość Anglii, ale zarazem przyjrzeć się zbliżka finansom Turcji, jej administracyi, zbadać handlową ważność Konstantynopola, wejść w bliższe związki z bogatymi kupcami greckimi w tem mieście, z którymi łączyły go stosunki domu handlowego, ktorego dzisiejszy poseł a za dawnego gabinetu whigów minister, był niegdyś szefem. Polityka Anglii na Wschodzie ma być przedewszystkiem polityką handlową.

Mowa tronowa angielska po otwarciu nowego parlamentu d. 20 maja nie odstępuje na pozór od zasad poprzedniego gabinetu pod względem spraw wewnętrznych, lubo zapowiada niejakie reformy w Irlandyi i nie przedłuża tam stanu wyjątkowego, ale nie obiecuje tego, czego oczekiwali reformiści irlandzcy, którzy walczyli z poprzednim gabinetem i domagali się zmiany urzędzeń agraryjnych, a między innemi prawa nabywania własności ziemskiej przez dzierżawców czyli właściwych rolników; teraz zaś zawiedzionymi się widząc, zwracają się przeciw temu również rządowi. Co do polityki zewnętrznej, mowa tronowa postawiła jako alfę i omegę ścisłe wykonanie postanowień traktatu berlińskiego dotąd jeszcze niewprowadzonych w życie, a to za zgodą i udziałem wszystkich mocarstw, zakończenie wojny afgańskiej, porzucając myśl zatrzymania wawozów prowadzących na Kabul i ukonsolidowanie kolonii u Przylądka Dobrej Nadziei, jak to było już zamiarem gabinetu Beaconsfielda. Rosya przeto czuje się być uspokojoną o Afganistan i nie potrzebuje się obawiać, aby Anglia z Persją podały sobie w Azyi ręce przez Herat dla powstrzymania zagonów rosyjskich w Turkiestanie.

Z wyjaśnień ogólnych danych w parlamencie przez lorda Granville, dowiadujemy się, że Göschén czeka tylko przyjazdu nowego posła francuskiego, przeniesionego z Aten, Tissota aby poczynić Porcie przedstawienia co do żądań podwzględem granic greckiej i czarnogórskiej. Wysłanie Tissota w misyi do Konstantynopola zdaje się odpowiadać duchowi polityki angielskiej pod względem przyszłości Grecyi, z którą zresztą zgadza się polityka francuska na Wschodzie, głównie odnosząca się do podźwignienia Grecyi, a Tissot jak był tej po-

lityki tłómaczem w Atenach, tak dla niej pracować będzie w Stambule. Wątpić trzeba, aby Porta, która ociagała uregulowanie granicy greekiej, odmawiając nawet poręczenia bezpieczeństwa delegatów europejskich, którzy mieli na miejscu zbadać przyszlą granicę, dzielić mającą Grecyę od Turcyi, zgodziła się dziś nagle na żądania greekie, woli, więc raczej oddać sprawę pod sąd konferencyi berlińskiej, tem zaś mniej podejmie się wyparcia Albańczyków z posiadłości przyznanych Czarnogórze a przez nich zajętych.

W Berlinie ma przeto zebrtć się konferencya państw podpisanych na traktacie berlińskim w celu porozumienia się co do tych warunków traktatu, które były pozostawione Turcyi do załatwienia na drodze polubownej, szczególnie zaś co do nowej granicy greekiej. Pod naciskiem gabinetu Gladstona Turcyja nie ma widoku przewlekania tej sprawy, jak to dotąd czyniła, ale chyba na to jeszcze liczy, że wykonanie tego warunku może sprowadzić zawikłania między mocarstwami. Poruszono pierwotnie myśl, aby działalność konferencyi rozciągnąć do innych także spraw na Wschodzie, wszelako od tej myśli odstąpiono w obawie wyciągnięcia na widownię polityczną kwestyj dotąd nieuprawnionych, jak np. albańskiej. Skoro jednak powiódł się stowarzyszeniu *Aliance israelite* wprowadzić na kongres sprawę obywatelstwa żydów w Rumunii, może znajdzie się ktoś również potężny, jak owo stowarzyszenie, i wprowadzić zechce sprawę albańską na stół konferencyi berlińskiej. Liga albańska gotuje już w tym celu memoryał, przedstawiając w nim prawa swoje do terytorjum odstąpionego przez Portę Czarnogórze, a które Albańczycy obsadzili i trzymają w posiadaniu, oraz domaga się równych praw autonomii dla Albanii, jaką posiadają inne ziemie półwyspu Bałkańskiego.

Książę Bismark znajdzie może w nowej konferencyi berlińskiej sposobność ocknienia się po długiej ciszy politycznej, jaka go otacza pod względem wielkiej polityki zagranicznej. Objęcie rządów przez Gladstona pozwoliło o nim zapomnieć i jemu samemu zapomnieć, że jest dyplomata i że dotychczas zbierał same tryumfy na polu polityki zewnętrznej. Zwrócił on się też cały ku sprawom wewnętrznym a oddawna nie napotkał tu tyle przeciwnieństw, jak obecnie. Wprawdzie

w małej sprawie dotyczącej się regulaminu obrad Rady związkowej odniósł zwycięstwo nad innemi państwami Rzeszy niemieckiej, ale było to tylko formalnem stwierdzeniem przewagi Prus nad całą Rzeszą, jaka faktycznie istnieje i żadne ztąd polityczne nie wynika następstwo. Po przegranej kanclerza w parlamencie niemieckim w sprawie nabycia plantacji upadłego domu hamburskiego Godeffroy na wyspach Samoa na morzu Południowem i w sprawie zapomożenia ze skarbu publicznego Towarzystwa handlu morskiego, druga spotkała go porażka w kwestyi cel na Elbie, a mianowicie szło tu o wcielenie Altony i hamburskiego przedmieścia St. Pauli do obrębu cłowego niemieckiego. Rzecz osobliwa, że w sprawie tej partya narodowa liberalna, która ciągle ma jedność Niemiec na ustach, sprzyja wyłączeniu miast wolnych z obrębu cłowego, a szczególnie Hamburga, które tak jak Brema i Lubeka leżą jakby po za granicami Niemiec i mają cechę raczej miast międzynarodowych niż ojczystych. Doświadczylśmy poniekąd, ile to było krzyków, gdy szło o zniesienie wyłączności cłowej Brodów, które też miały charakter obcej krajowi kolonii i interesami swemi domowemi wyłączały się od reszty kraju. Rozleglejsze i donioślejsze, bo aż po całej Europie rozchodziły się krzyki liberałów niemieckich z powodu Altony i St. Pauli, tak iż kanclerz nie miał odwagi podnieść projektu wcielenia także Hamburga, zostawiając to do pory dogodniejszej. Nigdy, nawet w czasach rządów bezbudżetowych Bismarka, nie podniosła opozycja tak głośnego chóru potępienia polityki wewnętrznej kanclerza, jak w tym wypadku. Oskarżano go formalnie o targnięcie się na konstytucję niemiecką, która przecież ogarnia terytorium polityczne, a nie cłowe, do terytorium zaś politycznego należy tak Hamburg z przedmieściem swoim, jak każde miasto i każde państwo Rzeszy. W sporze tym obrano wyjście pośrednie: nie odrzucono wniosku rządowego, lecz zwrócono go komisji, zostawiając rządowi możność podniesienia go na następnej sesyi parlamentu, faktycznie jednak wniosek upadł.

Zapisać tu jeszcze godzi się uchwalenie przez parlament ustawy przeciw lichwie, co wskazuje znaczną zmianę w zapatrywaniu się reprezentacyi na dawniejszą wolność nieścienioną wyzyskiwania ubóstwa lub lekkożytności.

O wiele ważniejsze zadanie ma sobie dane do rozwiązania sejm pruski, który się zebrał po zamknięciu sesji parlamentu. Po ukazaniu się pamiętnego *breve* Leona XIII do arcybiskupa kolońskiego Melchersa, które pozwala biskupom zawiadamiać rząd o mianowaniu na urzędy duchowne, toczyła się korespondencya dyplomatyczna między kanclerzem i jego zastępcami, a posłem niemieckim w Wiedniu, księciem Reuss, który prowadził układy z pronuncyuszem kardynałem Jacobinim, w celu położenia kresu zatargom państwa z Kościołem katolickim i złagodzenie twardej egzekucyi tak zwanych ustaw majowych. Myśl przywrócenia pokoju kościelnego od lat paru zajmowała ks. Bismarka, który poznał zbyt późno, że przez walkę utorował szerokie pole liberalizmowi i bezwyznaniowości. Ks. Bismark nie jest człowiekiem religijnym, więc w rachubę brał Kościół tylko jako narzędzie władzy, a na stosunki obustronne Kościoła i państwa zapatrywał się jedynie ze stanowiska siły. Podziwiał on hierarchię kościelną i zazdrościł, że państwo nie posiada tak doskonałej, ale też sądził, że uczyniwszy Kościół podległym państwu, wszystkie jego organa staną się interesowi państwa powolne. Bizantyńskie te pojęcia tak mu przypadły do jego planów, że próbował to przez sektę tak zwaną niemiecko-katolicką, to przez stowarzyszenie katolików rządowych zaciągnąć wielu katolików pod sztandar rządowy. Jedno i drugie nie powiodło się. Trzeba więc było nałożyć na Kościół katolicki kajdany, biskupów rozpędzić, kapłanów więzić, jednych i drugich przywieść grzywnami do nędzy, osierocić dyecezye i parafie, oddać majątek kościelny w administracyę państwa, ustanowić sądy świeckie dla spraw kościelnych, poddać ambonę cenzurze i wreszcie uchwalić ustawy, w którychby nadano jakiś pozór legalności gwałtom wszelkiego rodzaju. Ustawy te od siedmiu lat wiele wyrządziły krzywd Kościołowi i wiernym: minister wyznań i oświaty, Falk, wypędził religię ze szkół, zniósł zakony, takie nawet, które poświęcały się powołaniom miłosierdnym, demoralizował lud. I jakież ztąd był skutek? Kościół katolicki i wyznawcy jego wielki cierpieli ucisk, ale pierwszy nie zachwiał się, a drudzy nie zaparli się. Natomiast wojna, prowadzona przeciw Kościołowi katolickiemu, wyrodziła się w wojnę przeciw religii w ogóle; więc

ci, co byli słabej wiary a racjonalizmowi przystępni, pozbyli się jej resztek. A byli to właśnie protestanci. Bezreligijność wdarła się w ich szeregi, zdzieczenie obyczajów, egoizm i materializm utorowały drogę socyalistycznym i nihilistycznym maksymom, i trzeba było dopiero zamachów na życie cesarza Wilhelma, aby go opamiętać i podyktować mu pamiętne słowa: „nie trzeba ludu pozbawiać religii.“ Słowa te stały się rozkazem, który jednak, zamiast wejść zaraz w wykonanie, przepuszczony przez alembik polityki, zostawił w nim wszystko złoto, a do zbiornika ściekla tylko czysta woda, zaledwie wonią dobrych chęci przejęta. Ciągnęło się to od zjazdu w Kissingen aż do dzisiejszych dni. Dopiero ostatnimi czasy, kiedy kanclerz uczuł nad sobą wiszącą groźbę liberalizmu, otrząsł się i zwrócił napowrót do konserwatystów, a obliczwszy siły partyi katolickiej, tak zwanego centrum, wynoszące sto głosów, postanowił partyę tę do siebie przyciągnąć, i wsparty na niej i na konserwatystach, uczynić stanowczy rozbrat z liberałami. Ofiarą tego zwrotu padł minister Falk.

Zmiana w stosunkach kościelno-politycznych była więc uznana jako konieczność, ale kanclerz chciał przy tej sposobności pozyskać centrum dla innych planów; doznawszy zaś pod tym względem zawodu podczas obrad nad sprawą Samoa, nad sprawą żeglugi na Elbie i nad kwestyą przedłużenia ustawy przeciw socyalistom, stanąwszy w parlamencie pierwszy raz tej sesyi d. 8 maja, po żwawem wystąpieniu przeciw Delbrückowi, którego uważał nie tylko za głowę opozycyi, ale także za osobistego swego nieprzyjaciela i współzawodnika, rzucił się potem na centrum i wyliczył cały szereg spraw, w których partya ta stawiała przeciw niemu. Przyznał ks. Bismark przy tej sposobności, że liczył na poparcie ze strony centrum, a zachowanie się tej partyi służy mu za miarę tego, czego ma z Rzymu oczekiwać. Rzeczywiście, kanclerz mniemał, że jedno jego słowo obietnicy łagodniejszego wykonywania ustaw kościelnych, odda w jego ręce całą egzekutywę w sprawach Kościoła i uczyni centrum zupełnie zależanym jego powolnem we wszystkich sprawach, tak kościelnych, jak ekonomicznych i administracyjnych.

Lubo przekonał się, że tak nie jest, nie ociągał się z wniesieniem na nowo otwartą sesyę sejmu pruskiego projektu

ustawy, zaprowadzającej niejaki zmiany w ustawach majowych, a między niemi najważniejszą tę, że sejm ma przyznać rządowi moc stosowania ustaw kościelnych; następnie, że król może na drodze łaski przywrócić biskupów skazanych na wygnanie; że niektóre czynności duchowne mogą być pełnione przez kapłanów z najbliższej parafii, i wreszcie, że pociąganie do odpowiedzialności sądowej księży za czynności ustawami majowymi uznane jako karygodne, nastąpić może dopiero za zezwoleniem naczelnego prezydenta prowincyi. Aby przygotować sejm do obrad nad tym przedmiotem, ogłosił rząd pruski 12 aktów dyplomatycznych, dotyczących się układów prowadzonych przez posła niemieckiego w Wiedniu z kardynałem Jacobinim. Są to po większej części wyciągi z raportów posła, oraz instrukcje przesyłane mu z kancelaryi księcia Bismarka. Akta te nie są jednak zupełne, bo brak tam raportu o naradach z kardynałem Jacobinim, brak dalej depesz kardynała sekretarza stanu o warunkach, pod jakimi rząd ma być zawiadamiany o nominacjach duchownych; brak raportu ks. Reuss o odmowie Papieża wpływania na zachowanie się centrum, z innych zaś pism poczynione są tylko wyjątki, a zatem opuszczone to wszystko, coby mogło obrócić się na niekorzyść rządu pruskiego.

Wniosek rządowy o władzy dyskrecyonalnej napotkał w sejmie więcej przeciwników, niż zwolenników. Do pierwszych należał były minister Falk, liberalni postępowcy, centrum i Polacy; za wnioskiem zaś oświadczyli się konserwatyści różnych odcieni i ściśle rządowi deputowani. Inne atoli były pobudki opozycyi liberalnej, a inne katolickiej; w pierwszych przemawiała chęć trzymania Kościoła katolickiego w więzach, a po części zamiar obalenia ministra wyznań Puttkamera i wreszcie konsekwencya w stawianiu kancelarzowi przeszkód na każdym kroku; opozycja zaś ze strony centrum i Polaków pozostała na tem samem zasadniczem stanowisku, jakie zajmowała pod względem ustaw majowych, odmawiając państwu prawa orzekania i stanowienia w sprawach Kościoła, przecząc kompetencji sądów świeckich w rzeczach wiary i kultu i odmawiając rządowi prawa stosowania dowolnie ustaw. Po dwudniowych rozprawach odesłała Izba wniosek do komisji, która rozbierze go i zda zeń sejmowi sprawę. Wstę-

pne te obrady sémowe mogą służyć za miarę późniejszych obrad szczegółowych; mimo to nie można z góry twierdzić, iż projekt rządowy zostanie odrzucony, gdyż pewne jego części przyjąć mogą deputowani katolicy, do innych stawiać poprawki; partye zaś liberalna i postępową dążyć będą do tego, aby przez odrzucenie głównych punktów zmusić rząd do cofnięcia całego projektu. Zachowanie się Stolicy Apostolskiej jest w tej sprawie bardzo przezorne. Nie może ona bowiem wchodzić w kompromisa w rzeczach dotyczących wiary, kultu, hierarchii, ani przeciwnie zasadniczych stawiać warunków, gdy idzie o zyskanie niejakiej ulgi w urządzeniach od siedmiu lat zaprowadzonych.

Kiedy w walce religijnej rząd pruski trąbi już do odwrotu i pragnie tylko jeszcze uratować, prócz honoru, nieco zapasów wojennych, rząd republikański we Francyi działa ciągle zaczepnie na polu walki kościelnej, pracując mimo woli i wiedzy dla przyszłych swych następców radykalistów. Uciechła wprawdzie polemika o ustawę z d. 29 marca względem zniesienia zakonów nieuprawnionych przez rząd i zwinięcia szkół utrzymywanych przez zakony obojej płci, gdyż jeszcze nie nadszedł czas wykonania tej ustawy, ale coraz więcej przybywa świadectw antireligijnego działania rządu i reprezentacyi. Zniosły też obie Izby zakaz pracy ręcznej w niedziele na widoku publicznym i w warunkach przymuszających robotnika do pracowania w dni odpoczynku, przez Kościół uświęcone. Dziwne zaiste pomieszanie pojęć! Robotnicy domagają się różnych praw i różnych ulg, zmniejszenia godzin pracy, nawet zmawiają się między sobą, aby utrzymywać bezrobocie, a poddają się bez sarkania zniesieniu wolności świąt, która zapewniała im przynajmniej raz w tygodniu wypoczynek! Kiedy zaprowadzono we Francyi kalendarz rewolucyjny, przestrzegano szanowania *dekad*; ale szanowanie niedzieli, choć przywrócony kalendarz kościelny i astronomiczny, zostało wykreślone z rzędu ustaw publicznych. Rząd republikański i reprezentacye republikańskie dają sankcyę wyzyskiwaniu pracy przez kapitał, któremu spieszenie realizować korzyści, jakie opaźniać musi wytehnienie od pracy przez 52 dni w roku. Kto np. stawia dom, woli o liczbę dni świątecznych przyspieszyć jego ukończenie, aby kapitał wło-

żony w budowę, rychlej mógł nieść dochód. Uchwała znosząca wolność od pracy w niedziele, nie poruszyła ani ekonomistów, ani higienistów, którzy przepisują wypoczynek co dni kilka, ani radykalistów, którzy mienią się być przyjaciółmi ludu roboczego, albowiem szło tu o podkopanie przepisu kościelnego i o odciągnięcie ludu od Kościoła. Natomiast zacięte spory sprowadziła w Izbie deputowanych nową ustawą o stowarzyszeniach, w której radykaliści pobili rząd z pomocą wprawdzie prawicy, chcąc wagnać republikę na tory anarchii.

W Anglii nie potrzebne są żadne przepisy, ścieśniające wolność zgromadzeń i wolność obrad na takowych, choćby też zgromadzenia odbywały się pod gołym niebem, na placach publicznych, skwerach i parkach miejskich: ale pierwszy lepszy *policeman* żąda rozejścia się zgromadzonych, jeśli tamują wolny ruch w mieście. Ale kiedy dawniej *chartyści*, a niedawno socjaliści zebrali się na *meetingu*, pierwszych rozpedzili mieszczanie, a drugich robotnicy. Francya nie może znieść wolności stowarzyszeń, znosząc stowarzyszenia zakonne, ani wolności zgromadzeń, ścieśniając ją kontrolą policyjną. W projekcie ustawy wniesionej w Izbie deputowanych, zastrzegał rząd dla komisarza prefektury prawo rozwiązywania zgromadzeń, jeśliby mowy tam miane poczytał ten urzędnik za szkodliwe. Większość Izby zmieniła ten ustęp ustawy, idąc za głosem skrajnej lewicy, w ten sposób, iż komisarz ma prawo spisać tylko protokół i wezwać przewodniczącego zgromadzenia do jego zamknięcia, a w razie nie uczynienia temu zadosyć, złożyć ma raport dla pociągnięcia winnych przed sąd policyi poprawczej. W skutku takiej uchwały minister spraw wewnętrznych Lepère podał się do dymisji, a miejsce po nim zajął jego podsekretarz stanu Constans. Nie na tem jednak poprzestali radykaliści pod wodzą deputowanego Clemenceau. Zwolennicy Komuny postanowili obchodzić dzień 23 maja jako rocznicę stracenia jej naczelników po wejściu wojsk wersalskich do Paryża w r. 1871. Na placu Bastylii, gdzie mieli się zebrać uczestnicy obchodu, policya rozganiała gromadzących się, a na cmentarzu Père Lachaise, gdzie chciało uwieńczyć groby straconych, przyszło do bitki z policyą. Prefekt policyi Andrieux, którego socjaliści nienawidzą już z powodu aresztowania Hartmanna, obwinionego

o zamach na życie Cara podczas powrotu z Liwadyi do Moskwy, oskarżony jest o nadużycie władzy urzędowej i obsypyany obelgami. Clemenceau ma interpelować rząd o nieuprawnione stawianie przeszkód obchodowi. Gdyby jednak nie środki ostrożności użyte przez rząd, demonstracya 23go maja mogła była przybrać groźne rozmiary, przypominające, że Komuna, chociaż nie rządzi w Paryżu, władza w nim, jak przed kilkoma laty, i posiada siły, których w danej sposobności użyćby nie wahała się. Język organów publicystycznych tej partii przypomina cynizmem swoim najwyuzdańsze pismka z roku 1792, ale mniej one dziś budzą wstrętu, skoro niektóre gazety, przeznaczone dla oświeconej publiczności, jak *Voltaire*, dorównywały rewolucyjnemu pismu *Père Duchesne*, lub owym paszkwilom i pismkom becznym w końcu zeszłego wieku, które nie mogły być nawet drukowane we Francyi i obrały sobie Amsterdam za główną siedzibę, by ztamtąd demoralizować społeczność francuską.

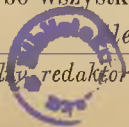
Doniesiono na tem miejscu przed miesiącem, że gabinet Cairolego pod wrażeniem nagany ze strony Izby Reprezentantów, za ociąganie się z przedłożeniem budżetu i za zniewalanie Izby do uchwalania tymczasowo z jednego miesiąca na drugi upoważnienia dla rządu do wybierania podatków i cel i do czynienia wydatków, podał się do dymisyi. Król Humbert nie przyjął dymisyi, rozwiązał Izbę i odwołał się do nowych wyborów. W nowej Izbie, oprócz konserwatystów nielicznych różnej barwy, istnieją stronnictwa ministerjalne, konstytucyjne, dyssydenckie, to jest odszczepieńców lewicy rządowej, nie ze względów na różnice zasad, ale ze względów na skład gabinetu i w nadziei zajęcia jego miejsca, wreszcie radykalne, w którem się mieszczą także różne frakcje: republikańska, socjalistyczna, partya czynu czyli rewolucyjna itd. Rząd trzyma się w tej nowej Izbie, jak trzymał się w poprzedniej, za pomocą równowagi stronnictw sobie przeciwnych, a stan taki nieokreślony nie pierwszy raz pozwala ministerstwu włoskiemu żyć czas jakiś, póki nie wytworzy się koalicja przeciw niemu. Dyssydenci obiecują mu pomoc pod warunkiem wejścia do gabinetu, ale Cairoli lęka się Crispiego, Nicotery i Zanardello, którzy dostawszy się do rządu, wnet wysadziliby jego i Depretisa. W tej chwili targ

między nimi jeszcze nie stanął; więc lada dzień albo przyjdzie do kompromisu, albo do otwartej wojny. Rząd chcąc zatem zjednać sobie popularność, postawił na pierwszym miejscu w programie swoim tylokrotnie przygotowaną i już braną pod obrady ustawę o zniesieniu podatku od mlewa, czyli właściwie podatku konsumcyjnego od chleba, który ciąży najbardziej na uboższych klasach mieszkańców, jako przeważnie żywiących się chlebem i wszelkiego rodzaju mącznymi potrawami. Zawsze jednak zniesienie tego podatku znajdowało dotąd, szczególnie w senacie, opór, ze względu na potrzebę zastąpienia go innemi dochodami, co tem trudniej przychodzi, iż program rządowy obejmuje także znaczny kredyt na potrzeby wojska i marynarki, aby ulepszyć uzbrojenie i powiększyć flotę. Zanim jednak przedmiot ten dostanie się pod obrady, wniósł rząd reformę wyborczą, która prawo wyborcze rozciąga na szersze zakresy obywateli.

W Austrii rozgorzała na nowo walka stronnictw, centralistycznego i autonomicznego na właściwem dla siebie polu, bo narodowem. Nie jest ona bowiem czem innem, jak tylko walką o przewagę niemiecką z jednej strony, a z drugiej o równe prawa innych ludów, w skład monarchii wchodzących. Galicya na szczęście stoi po za obrębem tych zatargów, mając sobie przez Koronę przyznane prawo używania własnego języka; w innych jednak prowincjach, szczególnie słowiańskich, z ludnością mieszaną, wolność używania zarówno języka niemieckiego i języka krajowego, dopiero teraz zaczyna przybierać formy legalne i określone. Do zwycięstwa nad niemieckim centralizmem i wszechwładztwem przyczyni się wielce podróż Cesarza do Pragi, która uświęci równouprawnienie języka i narodowości czeskiej. Niechęć partyi centralistycznej, czyli tak zwanej wiernokonstytucyjnej, objawiała się szczególnie w Radzie państwa. Na czele tej partyi stoi zawsze Schmerling, twórca dualizmu, który podzielił kraje Korony między Niemców i Węgrów, obu tym narodom dając moc i władzę panowania. Pod jego to egidą odmówiła Izba deputowanych gabinetowi hr. Taaffe funduszu dyspozycyjnego, co znaczy dała wotum niezaufania. Rada państwa jednak odroczone; hr. Taaffe może jeszcze podać się do dymisyi i zostać wezwanym ponownie do utworzenia gabinetu, a wśród tego rozpoczną działalność

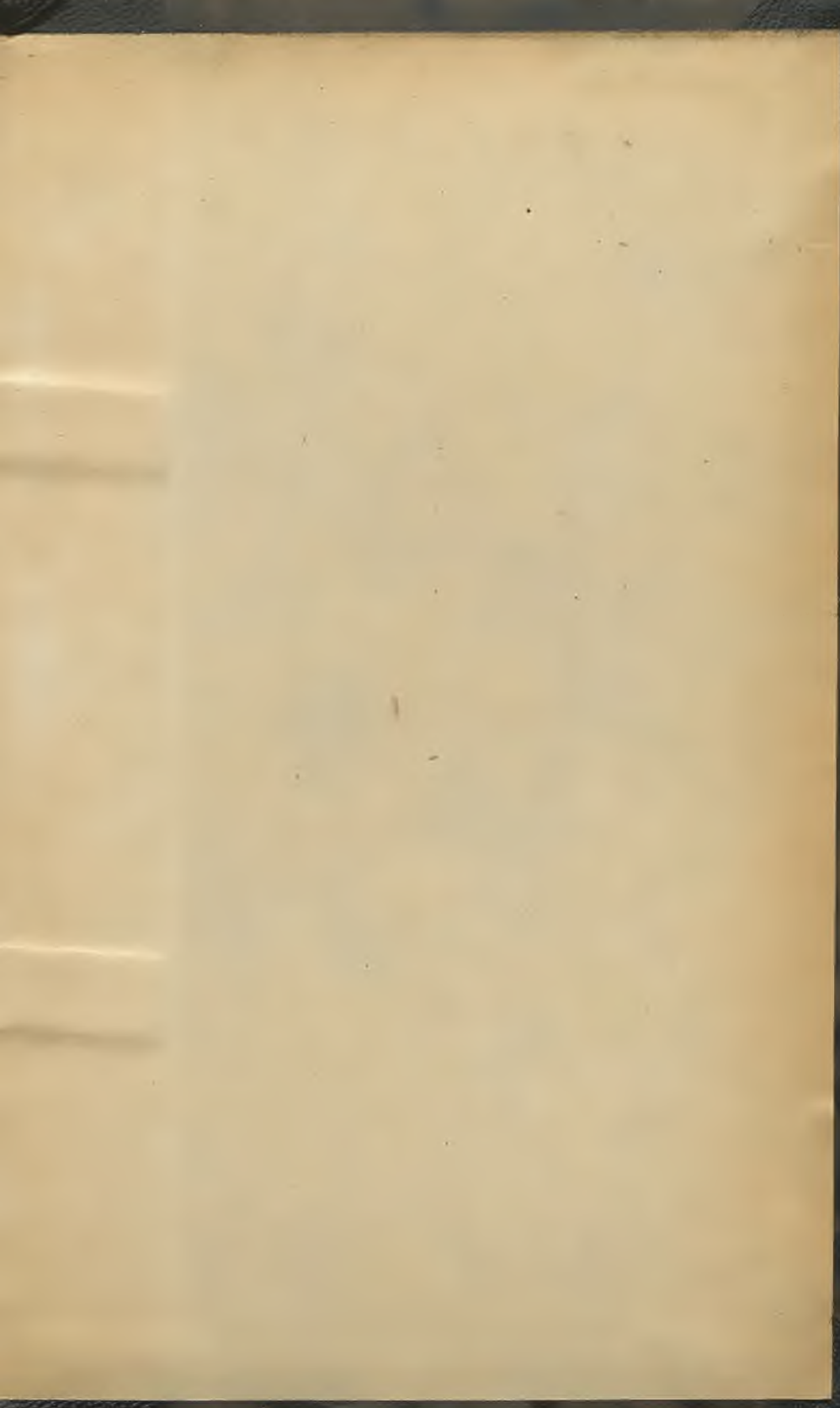


swoją sejmą krajową, zwołaną na dzień 8 czerwca. W nich to odbija się kwestya językowa w prawdziwym charakterze. Ale potrzebowalaby ona dla ostatecznego sprawiedliwego rozstrzygnięcia, ustawy wyborczej, opartej na etnograficznych i narodowych, naturalnych podstawach. Sprawa językowa jest nie tylko sprawą administracyjną, ale oraz polityczną. Od niej zależy stanowisko Austrii wobec Rosyi oraz jej siła naprzeciw knowaniom panslawistycznym. Wprawdzie Rosya od zmiany gabinetu angielskiego i powzięcia zamiaru powrotu do przymierza trójcesarskiego, zaparła się wszelkich planów wszechsłowiańskich, które jej miały posłużyć do obalenia Turcyi i podkopania Austrii, ale prace i zabiegi panslawistów nie oglądają się na wiatr wiejący w polityce rządu. Wiedzą panslawiści, że rząd rosyjski musi niekiedy przycichnąć tak w propagandzie, jak w zagonach zbrojnych, że od czasu do czasu trzeba mu powtórzyć słowa ks. Gorczakowa: *La Russie se recueille*, aby doczekać się dogodniejszej pory i sprzyjających okoliczności, aby uspić czujność sąsiadów i odzyskać straconych przyjaciół. Ale wszystkie te przejścia nie naruszają w niezem głównej idei, która jak nie czerwona ciągnie się przez dzieje Rosyi od półtora wieku. Nic się tam nie zmienia; nawet Loris Melikow, który miał być wielkim reformatorem, a nawet wielkim rewolucjonistą, zaprowadza tylko zmiany lokalne, osobiste, administracyjne, a nie polityczne. Ks. Gorczakow pozostaje nadal kanclerzem, lubo ks. Bismark zawierzył swojej sile, że go obali. Kanclerz rosyjski po ciężkiej chorobie wyjeżdża za granicę, a lubo oddawna daje tylko firmę swoją, wszelako utrzymanie tej firmy nadal ma służyć za dowód, że Rosya polityki swej nie zmienia. Giers, jego towarzysz, będzie jak był, zastępcą jego. Zmiana jenerał-gubernatorów jest także tylko zmianą osób, a nie systemu. Hr. Kotzebue opuszcza Warszawę, a miejsce jego zajmie ks. Albedyński; do Wilna zaś przeznaczony Todtleben; hr. Szuwałow, początkowo brany w rachubę dla Królestwa Polskiego, nie nadał się, jak się nie nadał na kanclerza, lubo go i na tę posadę naznaczano, jako reprezentanta pojednawczości Rosyi z Anglią. Hr. Szuwałow miał stawiać warunki pod względem reprezentacyi lokalnej, jak co do kanclerstwa stawiał warunki, którym nawet nadawano za granicą nazwę konstytucyi. Warunki nie były do przyjęcia, bo wszystko ma pozostać na dawnym.



Aleksander Szukiewicz.

Nakładca i odpowiedzialny redaktor Dr Ignacy Skrochowski.



Biblioteka Śląska w Katowicach
ID: 0030002007828



II 4501/14/3-4/1880